

Silber Diana

To jeszcze nie koniec

Cassie, lekarz ginekolog - obowiązkowa, porzucona przez męża matka dorastającej córki - bierze na siebie wszystkie winy tego świata. Ewa - agentka handlu nieruchomościami, której zawodowy sukces nie idzie w parze z powodzeniem w życiu osobistym - dwa małżeństwa zakończone rozwodem, jedno śmiercią męża. Nona - ekspedientka w ekskluzywnym butik, słodka i naiwna, której, pomimo olśniewającej urody, nie udaje się zrealizować marzenia o domu, mężu i dzieciach.

Co łączy tak diametralnie różne kobiety? Oczywiście przyjaźń, fakt, że mieszkają w Los Angeles i są mniej więcej w jednym wieku - około czterdziestki...

Ale przede wszystkim w ich życiu nie ma mężczyzny na stałe. Każda po swojemu radzi sobie z samotnością, z przygodnymi znajomościami, lękiem przed starością, z tęsknotą za miłością, każda inaczej patrzy na swoją przyszłość.

Cassie walczy, by się nie obudzić, ale niczym pokonany, znużony bitwą żołnierz opieszale wylania się na powierzchnię jawy. Niechętnie otwiera oczy. Leży na wznak i obserwuje drżące wzory na suficie wymalowane promieniami słońca, przenikającymi zza cienkich zasłon.

Wpół do ósmej! Boże! Kto kosi trawę o siódmej trzydzieści rano?!

"Wysoki mężczyzna w trykotowej koszulce z napisem *Raiders* sunie kosiarką przez jej trawnik, pozostawiając za sobą równiutkie pasy. Cassie przygląda się z okna idealnie schludnym rze-

dom wystrzyżonej murawy i krzyczy coś do nieznanego tytana, ale jej głos ginie w hałasie maszyny.

Wreszcie z obrzydzeniem zatrzaskuje okno, narzuca na siebie szlafrok i schodzi na dół.

- Hej! Kim pan jest? - Wypadła na ganek od strony kuchni i machnięciem ręki nakazała mu przestać.

Po tak strasznym jazgocie cisza aż dźwięczy w uszach i nagle Cassie zaczyna się czuć niezręcznie. Wyrwana ze snu, ma rozczochrane włosy i twarz bez śladu makijażu. Nerwowo pociera bosymi stopami o chłodną drewnianą podłogę ganku.

- Kim pan jest? Co się stało z Yangiem?

- Robię teraz dla niego. Nazywam się Jake.

Cassie owija się ciasniej szlafrokiem i krzyżuje ramiona na piersiach. Oczy mężczyzny są twarde jak dwa odłamki lazulitu, a spojrzenie pewne siebie. Patrzy na nią inaczej niż Yang, nie ucieka ze wzrokiem, nie unika jej oczu. - Musi pan tak wcześnie zaczynać? Obudził mnie pan. Pretensja, jeszcze owiana snem, brzmi trochę zbyt ostro, jakoś tak bez sensu. Cassie prawie przeprasza. Piekąca złość wobec kosiarki i kosiarza - do licha, czy nigdy nie wymyślą cichszej maszyny? - zaczyna z wolna ustępować. Stojąc twarzą w twarz z Jake'em, Cassie, nie wiadomo dlaczego, czuje się winna. To na pewno przez te stracone pół godziny snu. Każda minuta się liczy. Cassie uwielbia sen tak, jak grubasy lody. Cierpiącym na bezsenność zazdrości nie kończących się nocy przerwane snu. Całej winy za to psychiczne rozbicie skłonna jest upatrywać w wyjeździe Mandy do szkoły miesiąc temu, ale i przed trzema laty, w lipcu, kiedy Doug od niej odszedł, było dokładnie tak samo. Tak naprawdę, zawsze, gdy życie niosło jakieś kłopoty, sen okazywał się najlepszym lekarstwem. To głupie, bo sen niczego nie rozwiązuje, ale tak się jakoś działo, że niewidzialny ciężar przygniatał jej barki, giał kręgosłup jak słomkę, powietrze dławilo w gardle, a ona opadała na łóżko niczym wdzięczna kochanka. I tyle rozgoryczenia przez durne, stracone trzydzieści minut! Jake, pracownik Yanga, znów włącza kosiarkę. Cassie odwraca się gwałtownie. Za jej plecami fruwa świeżo ścięta trawa.

Kiedy Cassie znów zjawia się przed domem, ogrodnika już

To jeszcze nie koniec

4

dawno nie ma. Jego furgonetka nie wpija się zderzakiem w krawężnik. Przy schodkach do domu Cassie znajduje bukiet kamelii w metalowej puszcze. Niemal potyka się o nie. Spomiędzy kwiatów sterczy kartka z nabazgranym ołówkiem: „Przepraszam”.

Miły gest - myśli Cassie i wnosi kamelie do domu. Stawia je przy zlewie, ale to przypomina jej poranną scenę, Jake'a i ją w ogrodzie przed schodkami ganku. Przypomina sobie mrok jego oczu i kropelki potu lśniące nad górną wargą. Przywołuje się do porządku. Zapomnij! Ale obraz Jake'a uparcie trzyma się pamięci.

Ewa wytłumaczyłaby to jednym słowem: „Biologia. Biologia w czystej formie”. Cassie wręcz słyszy głos Ewy. I komu tu mówić o biologii? To ona, Cassie, jest lekarką. Ale, ale! Słyszy śmiech Ewy w wyobrażonej rozmowie: „Ty w klinice leczysz tylko kobiety, to ja się znam na mężczyznach”. Naprawdę się zna? Czy w ogóle jakakolwiek kobieta zna się na mężczyznach?

Cassie nic nie wiedziała o Dougu. Dokładnie tak jak w opowiadaniach z czasopism, co wieczór wracał na kolację. Nigdy nie pachniał ciężkimi damskimi perfumami. Marynarkę Douga ozdabiała tylko jej, Cassie, jasne włosy, nie jakieś tam rude, kasztanowe czy jeszcze inne. W łóżku obdarowywał ją hojnie, uważnie wypatrując wskazówek. Przynosił jej nawet kwiaty bez okazji, może akurat w dni, gdy w porze lunchu spotykał się z kochanką? Przecież tych róż nie było aż tak wiele, na pewno nie dość, żeby tak po prostu spakować manatki i odejść. Z udanym wdziękiem mężczyzny, który żyje poezją, powiedział tylko: „Kocham inną”. Czy można usłyszeć słowa bardziej brutalne? Cassie za wszelką cenę chce o tym zapomnieć, próbuje uciec w sen, ale ostrza jego słów ranią ją cały czas i czyhają na jej przebudzenie; szczerzą zęby już o kulawym świecie. Wystarczy chwila nieuwagi, a usta Douga będą niezmiennie powtarzać: Inną, inną, inną...

Z założenia nienawidzi Trący, kochanki i nowej żony Douga, która mieszka sobie teraz otoczona zbytkiem szkła i słońca w Marina del Rey. Mandy po powrocie z przepisowych dwóch wizyt w miesiącu opowiada, że Doug i Trący nie są szczęśliwi. Trący na śniadanie pija niskokaloryczną Pepsi i słucha Julio

Iglesiasa. Jest niechlujna. Nie przejmuje się brudnymi talerzami w zlewie i ścierkami rozrzuconymi po podłodze; z plaży ciągnie za sobą tony piasku. Ale Cassie właściwie odczytuje opowieści Mandy, jako deklaracje miłości. Ta „inna”, Trący, po prostu jest kobietą.

Wrażenie z jedyne go ich spotkania: Trący jest młoda i pod-lotkowato niezręczna, poza tym posepnie zamknięta w sobie. Gdyby nie złapała męża Cassie, odstrzeliłaby go komuś innemu. To kłusowniczką. Senna ociężałość powiek zdradza w niej kobietę nazbyt leniwą, by wyruszyć na legalne polowanie.

Cassie za często rozmyśla o Dougu. I to nie tylko w pierwszym okresie szoku i opuszczenia, kiedy zraniona do żywego chodziła jak błędna, szlochała i tworzyła najróżniejsze teorie, ale i znacznie później. Wraca do życia, bo tak właśnie zachowują się zdradzone kobiety; inaczej stają się żalonymi stworzeniami, ofiarami upartych schorzeń, które nie poddają się żadnemu leczeniu. Cassie zgadza się z przyjaciółkami, że Doug jest zerem, że lepiej o nim zapomnieć, że nie jest wart choćby jednej łzy, czy jednej nie przespanej godziny. Zresztą akurat snu nie zakłóca jej ani Doug, ani żaden inny maruder. Sen jest dla niej lekarstwem. Już dawno powinna była zerwać z nałogiem spania - o tak, zdaje sobie sprawę, że w pewnym sensie jest narkoleptyczką - i z mrocznymi zawodzeniami podświadomości. Chce, żeby wrócił, nie dla samego Douga, ale żeby wymazać tę skazę odrzucenia, chce rehabilitacji. Powracający mąż znakomicie oczyszcza. Klinika Magdalenę usytuowani jest na południu National, dzielnicy, którą w skomplikowanych konfiguracjach zamieszkują przedstawiciele klasy średniej i robotniczej. Cassie, gineko-log-położnik, lekarka bab, całe życie oddała tajemnicy. Słowa takie jak: piersi, macica, szyjka macicy, jajniki, jajowody, srom, pochwa mają dla niej znaczenie na co dzień, podobnie jak bolesne miesiączkowanie, zapłodnienie, ciąża, aborcja, histere-ktomia. Tyle jest chorób i stanów zupełnie obcych mężczyznom. Tyle nieprawidłowości w pracy dziwnych kobiecych narządów. Konstrukcja kobiety, jakkolwiek cudowna, ma jednak swoje niedociągnięcia. Cassie poznała ból rodzenia, zna niepokój okółmiesiączkowy, zapierające dech czekanie na

To jeszcze nie koniec

6

spóźnioną plamę krwi na bieliźnie. Patrząc na trzepoczące powieki i spocone dłonie, wyjaśnia zawilości planowania rodziny i zastanawia się, czy rozmnażanie gatunku nie mogłoby się odbywać w jakiś bardziej ludzki sposób. Dlaczego cały ciężar spada na barki kobiety?

Mimo doświadczeń z Dougiem i rzeczywistości, z którą zderza się w pracy, Cassie nie czuje do mężczyzn nienawiści. Byłoby to równie głupie, jak obrażanie się na psy, bo akurat jeden ją ugryzł, inny szczeknął na nią, a jeszcze inny skoczył z ubloconymi łapami. Mężczyźni są tylko płcią przeciwną, tak jak strona prawa ma swoje przeciwieństwo w lewej, anoda w katodzie. Są najzwyczajniej w świecie prościej zbudowani.

Zdarza się, że pacjentki zwracają się do niej również z katarami, zapchanymi zatokami, dolegliwościami niekoniecznie ginekologicznymi, ale jeśli ich schorzenia nie mogą ustąpić przy leczeniu aspiryną, Cassie odsyła je gdzie indziej. Organizm ludzki może szwankować w tylu miejscach, że są takie chwile, gdy Cassie żałuje, iż wybrała ten zawód. Ugina się pod chorymi ciałami i zazdrości niewiedzy wszystkim laikom. Dzisiejsze wizyty to dzień jak co dzień: wymazy, zakładanie spirali, przypadek dwudziestolatki, która jeszcze nie miesiączkuje, dwa przypadki gruczolistości i zakażenia drożdżycą.

- Pani Calman ma trzeci numer, a pani Rodriguez czwarty, Cassie. Barbara wzięła pierwszy i drugi. Karen siedzi w Cedars, a Jena dzwoniła, że spóźni się godzinę - informuje dyżurna pielęgniarka, wręczając jej dwie karty.

Klinika Magdalenę jest miejscem podporządkowanym przede wszystkim wymogom funkcjonalności, nie ma tam żadnych fanaberii. Na podłodze leży zwykle linoleum w biało-czarne kwadraty; ofiarowane przez Armię Zbawienia krzesła wymagają rychłego odświeżania. Świedówki emanują nieruchome, zimne światło. Ale na ścianach wiszą dziecięce obrazki malowane palcem, nieprzytomnie barwne i niewinne jak kwiaty. Są też plakaty z galerii: fantazje Chagalla i lilie Moneta.

Cassie odwraca się i idzie do swojego małego gabinetu, zagubionego gdzieś w lekarskim mrowisku.

- Możesz wziąć za Karen popołudnie w środę? - woła pielęgniarka.

Diana Silber

- Mogę! Nie ma sprawy! - Próbuje jak najwięcej godzin wypełnić pracą.

Cały personel kliniki, lekarski i pielęgniarski, złożony jest z kobiet. To czysty przypadek — za wiele w końcu wiedzą o dyskryminacji płci, by same ją uprawiać. Tak sobie mówią, ale jakoś nie szukają mężczyzn. Co prawda w administracji siedzi niejaki Harry Bryan, mają też kadrowego, Chrisa Tom-lana, i kilku salowych, ale zasadniczo klinika Magdaleny jest domeną kobiet. Cassie spędza wśród nich całe dni.

„No i jak ty chcesz znaleźć sobie faceta?” - pyta Ewa, nie przyjmując do wiadomości, że Cassie wcale nie ma takiego zamiaru. Ewa, najbliższa przyjaciółka Cassie, pracuje w agencji nieruchomości w zawodzie o wiele bardziej, jak to nazywa, nasyconym mężczyznami. I na szczęście, miała już bowiem trzech mężów i nieustannie wypróbowała nowych kandydatów. Jej głód partnerów graniczy z absurdem, ale Ewa odrzuca krytykanctwo Cassie, twierdząc: „Taka jest natura”. „Mężczyźni nie są każdej kobiecie potrzebni cały czas” - odparowuje Cassie w nie kończącej się dyskusji. Ona już swojego miała, i dziecko też, i małżeństwo. No to co, że nie będzie nocy aż do brzasku, dni wśród posiwiałych włosów, bujanych foteli, ganku dla pary wspominających emerytów? I tak jest w dużo lepszej sytuacji niż ich przyjaciółka, Nona, która za pół roku skończy czterdzieści lat i panikuje, a jej zegar biologiczny tyka tak głośno jak zapalnik czasowy na dynamicie. Cassie zapina biały fartuch, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. Dzwoni Ewa, żeby przypomnieć o kolacji o siódmej.

- Ty dzisiaj prowadzisz, zgoda? Ale jeszcze mi tylko powiedz, spotkałaś kogoś do rzeczy?

- Od naszej wczorajszej rozmowy?

- No wiesz, cuda się zdarzają. Mogłaś mieć stłuczkę z Syl-vestrem Stallone. Jest wolny, przynajmniej chwilowo. Cassie nie ma czasu na wygłupy Ewy.

- Pacjentki czekają.

- A na mnie czeka dom i szłocha, żeby go sprzedać. Mężczyźni. Robi się tak samo straszna jak Ewa. Łapie się na

tym, że cały dzień rozmyśla, kogo jeszcze będzie mogła spotkać.

A to co takiego? Jakaś zmiana przyływu? Skąd ten zapach w powietrzu? Czy ona też, zupełnie jak Mandy, chciałaby oszukać pamięć?

Głupota Cassie może się źle skończyć. Oplakuje męża, który nawet w dawnych, dobrych czasach, zdaniem Ewy, bardziej przypominał posrebrzany grosz niż talara. Owszem, jest całkiem przystojny, ale miękki, budyniowaty w środku. Ewa nigdy nie ufała Dougowi Morganowi, i proszę, okazało się, że miała rację! Dać dyla z sekretarką, czy tam jakąś recepcjonistką z biura! Zupełnie jak w miałym, tanim melodramacie. I kto by w to uwierzył? Cassie zasługuje na mężczyznę z charakterem, mężczyznę większego kalibru. I choć temu zaprzecza, nie chce sobie odpuścić i jest zupełnie nieczuła na wszelkich potencjalnych kandydatów. A tak niewielu ich zostało! Posucha w Los Angeles.

Mężczyźni w większości są już zajęci - Trący, drugiej pani Morgan, to akurat zbytnio nie przeszkadzało — i odpychający, tak jak ten tłusty, łysiejący gość z perkatym nosem, co zagląda do szaf w domu, którego sprzedażą Ewa właśnie się zajmuje. Co on sobie właściwie wyobraża, że w chalupie za milion osiemset nie znajdzie dość miejsca, żeby powiesić poliestrowe marynarki? Żonka za to, nakręcona przez Ewę, rozanielona, grucha sobie w kuchni. „Oszczędzamy na remoncie! O, i widok na basen!” Ewa mięknie i robi się jej ciepło na sercu, kiedy mały brązowy strzyżyk zagląda przez okno.

Ewa lubi domy, im większe, tym lepsze. Puste. Przestronne pokoje rozpaczliwie błagają o meble. Najbardziej ceni sobie domy, które wymagają remontu, te „do zrobienia”; takie z zdeptaną wykładziną i ohydnyimi lustrami, przed którymi człowiek od razu chce się bronić. Uwielbia wypacykowane palcami ściany, i dwudziestoletnie łazienki, domy z zardzewiałymi kabinami pryszniców, z poobtlukiwanymi stiukami, domy, które aż piszczą, żeby ktoś spojrział na nie z miłością. Możliwości przyprawiają ją o zawrót głowy. Od razu wyobraża sobie błysk świeżej farby, nowe zlewy i bidety, importowane kafelki i absolutnie niezbędny *jacuzzi*, potem lampki schowane w suficie i nowe otoczenie basenu w ogrodzie. Najbardziej pasjonują ją

kuchnie, i mamy klientów wizją włoskich szafek i granitowych blatów.

Umiejętnie zarzuca przynętę.

- Oczekują natychmiastowej oferty. Zatem jeśli państwo uważacie, że dom wam odpowiada, nie zwlekajcie z decyzją. - Z jej oczu wyziera powaga i odpowiedzialność, taka jak ta, którą widać w spojrzeniu ważnego dyrektora korporacji pod koniec trzeciego kwartału roku finansowego. Zręcznie podbija bębenek już przestraszonej żony. Klienci ufają Ewie, jej lnianym kostiumom, dyskretnym perełkom w uszach, elegancko depilowanym brwiom i szmince w kolorze, który mieści się gdzieś między różem a krwistą czerwienią. Mistrzowskie pasemka na włosach przywodzą na myśl Beverly Hills. Ewa stwarza wrażenie kobiety znającej swój fach, agentki z dużą klasą, takiej, która nie zniży się nigdy do sprzedaży tanich szeregowych domków ani nie wciśnie bubla. Jej domy spełniają oczekiwania klientów, nawet wówczas, gdy nie są pałacami szczęścia, co bez słów obiecuje ludziom, kiedy pierwszy raz otwiera przed nimi drzwi.

- A jaka ma być nasza oferta? - oficjalnym tonem pyta nadęty mąż, kiwając się na piętach dziecięco maleńkich stóp. Tymczasem żona rozmarzonym wzrokiem przygląda się kamiennemu kominkowi w salonie. - Żądają miliona ośmiuset, domyślałam się więc, że opuszczą cenę do miliona sześciuset.

- Domyślałam się! Domyślałam! - prychnął mąż i czerwienieje z oburzenia. - Interesów nie opieram na domysłach!

Niech cię szlag, głupi pierdoło! - myśli Ewa i przegląda luźne strony odbitek kompletu dokumentów związanych z domem.

- Dom wystawiony jest już od miesiąca i, mimo słabego rynku, cieszy się sporym zainteresowaniem. Nic w tym jednak dziwnego, biorąc pod uwagę jego lokalizację i standard. Wątpię, żeby zechcieli opuścić cenę jakoś zasadniczo. - „Oni” znaczy właściciele i ich agent, druga strona, wróg, przeciwko któremu Ewa walczy i którego musi wymanewrować.

- Jeżeli państwo zastanawiacie się poważnie - specjalnie akcentuje „poważnie”, tym samym mówiąc: „nie marnujcie

mojego czasu" - proponuję złożyć natychmiastową ofertę na jakieś... - w zamyśleniu postukuje piórem firmy Mark Cross o policzek - milion sześćset pięćdziesiąt. Na taką kwotę jesteście państwo chyba przygotowani, prawda? - Bo jeśli nie, to zaraz utopi faceta wraz z żoną w głębokiej części basenu.

- Proszę cię, Haroldzie! - Żona zaplata i ściska upierścienione dłonie.

- Zastanowię się - mruczy mąż, świadomy swej władzy,

i wychodzi, by jeszcze rzucić okiem na podwójny garaż. Jego żona i Ewa wymieniają współczujące spojrzenia pod hasłem „ach, ci mężczyźni!”, ale Ewa czuje, jak w kobiecie narasta determinacja. Naraz z okrzykiem „Haroldzie!” żona wybiega za mężem.

Ewa spogląda na sufit. Żeby nie oczyścić belek! Ohyda! Często się zastanawia, jak ludzie mogą mieszkać wśród mebli i boazerii krytych plastikową okleiną i pośród ścian w musztardowym kolorze. Choć nie wszyscy rodzą się z poczuciem smaku, mogą w końcu nadrobić ten brak; jest przecież dość projektantów dokoła. A jednak tylu ludzi uparcie trzyma się tandetnych wzorów, dziwacznych kolorów, schematów, które ranią oko i zagłuszają naturalne pragnienie piękna.

Ewa słyszy kroki w pralni i wychodzi na spotkanie zwyciężonego mężczyzny i odmłodzonej kobiety. Mam ich - radośnie podśpiewuje w duchu, odruchowo obliczając prowizję. Może już razem z nimi zbierać się do odwrotu. Śmiało spogląda na zegarek, by sprawdzić, czy zdąży jeszcze zrobić manicure przed kolejną turą z kolejną niecierpliwą parą. Tym razem będzie to dom kolonialny w Westwood.

Nonie cały czas się odbija. Ogień chwyta ją za gardło. Nona wymyka się do małej sklepowej łazienki i łyka tabletkę maaloxu. Niepokoi się, czy później nie powinna jednak zwrócić się do Cassie. Cassie na pewno nie będzie jej miała tego za złe, ale Nona nienawidzi prosić o bezpłatną poradę. Może jednak lepiej będzie zamówić wizytę u Rubina? Trzy tygodnie temu, kiedy była u niego, żołądek pracował bez zarzutu. Wtedy, dziwnie tajemniczo dokuczało jej ramię. Rentgen nie wykazał jednak nic prócz zdrowej tkanki i nienagannie zdrowych kości.

„Newy” - oświadczył doktor Rubin, gdy razem przeglądali wyniki badań. Siedział sobie wygodnie w gabinecie pełnym półek z książkami i zdjęć dzieci w ramach na ścianie. Gabinet przyjęć doktora Rubina w niczym nie przypomina gabinetu jej ojca. Mniejszy, nie zajmuje narożnej części domu i jest wręcz zalany światłem. Stoi w nim biurko, nie przywodzące na myśl pokładu lotniskowca, skromna kanapka i krzesła, nieco przechodzone. Zdaniem Nony, gabinet jej ojca wyglądał zawsze jak poczekalnia pierwszej klasy na lotnisku. Taki przystanek w drodze, z którego chwilowo korzystali bezimienni pasażerowie. Na krzesłach ojca siadywała na baczność, w każdej chwili gotowa do ucieczki niczym pracownik wezwany, by wysłuchać rozkazów albo reprimendy. Ojciec nie miał w swoim gabinecie ani jednej rzeczy, którą można by uznać za osobistą. Za to doktor Rubin pasuje do swojego pokoju przyjęć jak ulał. I cały czas huśta się daleko w tył na winylowym krześle. Nona nawet wtedy czuje się u Rubina miłym gościem, kiedy słyszy: „Nerwy, Nona. To tylko nerwy”.

Nerwy! Nerwy! Każdy je ma. Ale nikt od tego nie umiera - pocieszała się, sunąc łabędzim ruchem przez poczekalnię Rubina.

Ale te bóle żołądka? I fale ognia, które czuje za mostkiem? Tu już może nie być żartów!

Lorraine zwija się niezle przy jakiejś paniusi z szerokim, kaczym kuprem, która szarpie na sobie spódnicę z kolekcji Anne Klein i spogląda w trzyskrzydłowe lustro. Jak baba wstrzymuje oddech, materiał przestaje się marszczyć. Nona uśmiecha się i przez chwilę sama przelotnie pojawia się w szklanej tafli.

Na zapleczu sklepu spogląda w inne lustro. Wydaje jej się, że widzi błysk srebra we włosach. Nie, to niemożliwe; w trzydziestym dziewiątym roku życia jej włosy zaczynają się starzeć, szara rzeka wieku płynie nieubłaganie naprzód. Jakże to straszne! Już niedługo Nona nie będzie w stanie zmyć z siebie tego przygaszenia i, jak niepyszna, wstydliwie ruszy do salonu kosmetycznego. Z poczuciem winy bąknie: „Proszę ufarbować siwe”. Dokładnie tak, jak to robią wszystkie starsze kobiety, jak klientka z fiołkoworóżowym odcieniem na głowie - co za

To jeszcze nie koniec

12

fatalny kolor dla niej! - przy której stoi Lorraine. Czas jest bezlitosnym najeźdźcą. Jak rak. (O, nie, ból żołądka nie może być właśnie tym, tą strasliwą chorobą i największym koszmarem. Sama myśl mrozi już krew w żyłach!). Pozłaczany zegar tyka na ścianie za ladą, laskocząc Nonę w kark minutami i godzinami. Myśl pozytywnie! - napomina się Nona, przepędzając szarego ducha starości; rozgląda się po sklepie. Jest tu wicekierowniczka. Sklep Flora zawsze koi jej nerwy. Bardzo elegancki, stonowany, z wysepką miękkich krzeseł wokół szklanego stolika na kawowej wykładzinie, ma w sobie spokój nawet w porze ożywionego ruchu. We Florze nie jest tanio, ale nie jest też nieprzytomnie drogo - nie ma tu ubrań, których cena torturowałaby klientki wyrzutami sumienia. „Smak i umiar” to slogan reklamowy sklepu, który przyciąga klientki powyżej dwudziestego piątego roku życia. Dziewczyny rzadko zagląдают do Flory, chyba że akurat trafi im się wesele w West Side.

Nona pracuje tu już od dwóch lat. Sklep mieści się na pierwszej kondygnacji Crystal Mail i jest antyseptyczną enklawą i drugim domem Nony. O ileż większą ma klasę niż wielki magazyn Paxtona, w którym wypracowywała awanse szczebel po szczeblu. Kameralność poprawia jej chwiejny nastrój. Kolejny raz gratuluje sobie właściwego wyboru. Wygląda jedwabną bluzkę i odsuwa od siebie mało radosną prawdę, że z domu towarowego Paxtona nie odeszła na własne życzenie. Byli tak niewyrozumiali w kwestii jej zwolnień! A przecież to nie jej wina, że choruje! Pamięć co prawda podsuwa jej obraz doktora Rubina, który wzdycha i mówi: „Nerwy, Nona. To nerwy. Wyobrażasz sobie wszystko co najgorsze, a w rzeczywistości jesteś nieprzyzwoicie zdrowa”. Ale delikatna - stwierdza Nona stanowczo, tak jakby odpowiadała na pytanie Lorraine albo jej klientki.

Kobieta odbiera swój zakup w białym pudle w żółte kokardki z eleganckim napisem „Flora” i marszczy nos na myśl, że musi wyjść w akwaryjne światło pasażu. Powrót do domu - domyśla się Nona i już wyobraża sobie kobietę przed dużym lustrem sypialni. Stoi tam sama, pozbawiona głaszczących pomruków Lorraine oraz zwodniczych przymiotników. O ile lepiej ubrania wyglądają w sklepie! Jakiej magicznej transformacji

może dokonać właściwa sukienka czy kostium. Ile nadziei jest w ich nowości! Klientki Flory niosą do domu cenne marzenia, złożone w pudle i owinięte bibułą.

W sklepowym ruchu czuje się pewien rytm. Ranki są ospałe i wloką się noga za nogą, ale tuż przed dwunastą i koło drugiej zaczyna się nawałnica. Następna fala po piątej. Drzwi otwierają się bez przerwy aż do dziewiątej, kiedy nadchodzi pora zamknięcia wszystkich sklepów w pasażu. Czynne są tylko kina i restauracje. Dni ciągną się w nieskończoność jak autostrady i wykańczają Nona, ale ona nigdy nie skarży się Lorraine ani tym bardziej właścicielom, biznesmenom z Laguny, którzy przejęli sklep w drodze jakichś upadłościowych machinacji.

Pasaż handlowy stanowi drugi dom, a Flora jest jej prywatnym kącikiem. Są takie dni, kiedy myśli, że mogłaby tu zostać na zawsze; chodzić sobie po wykafelkowanych deptakach ze strategicznie rozmieszczonymi, krytymi skórą siedziskami i skupiskami zieleni. Mogłaby obserwować zmianę oświetlenia, wyciszenie fontann i noc, ciemną zasłoną otulającą szklany sufit. Nona chodzi to tu, to tam, kupuje rzadko, fachowo ocenia towar lepszych sklepów odzieżowych i butików. Pasie oczy sprzętem domowym i aparaturą stereo, rysunkami art deco pana Erte w galerii, czyta, co piszą na obwolutach książek w księgarni Waldena i B. Daltona. Psy w Centrum wyciągają w jej stronę mokre nosy, a Nona niechętnie podporządkowuje się zakazowi: PROSIMY NIE STUKAĆ W SZYBĘ!

We Florze słyhać muzykę, która płynie z ukrytych głośników. Nie jest zbyt głośna, a piosenki mają jakieś słowa. W repertuarze są Dan Fogelberg, Neil Diamond, Linda Ronstadt. Lorraine usiłuje wywalczyć u właścicieli z Laguny Stinga, U2 i Petera Gabriela. Nona jest temu przeciwna. Carly Simon ją w pełni zadowala. Jej zdaniem, kobiety kupujące sukienki Alberta Nipona mogą nawet woleć Mozarta.

Znienacka nadchodzi moment zwolnionego ruchu i wtedy tykanie zegara nasila się, gwałtownie popychając Nona ku jej czterdziestym urodzinom. Pragnienia, bezpiecznie i schludnie złożone wśród paragonów, wymykają się z szuflady. Nona przy śniadaniowym stole załamuje ręce nad mężem bez twarzy i niemowłkiem w wysokim krzeselku.

- Czy ten dzień nigdy się nie skończy? - jęczy Lorraine. Lorraine, której zawsze spieszo do końca dnia - jak kobieta oddana sprawie - nie ma w sobie lęku. Jest zaręczona z agentem ubezpieczeniowym z Torrance, który nabożnie przyjeżdża co noc, by przy jej boku odprawiać modły na ołtarzu wspólnej przyszłości.

Lorraine czuje swą wyższość. - Chcę na godzinkę wyskoczyć do klubu odnowy biologicznej, zanim zjawi się George. - Prycha i wciska za ucho pasemko mieniące się srebrem i złotem. - Jest tam taki jeden apetyczny facet od dziadków na wykończeniu. Ostatnim razem nawiązaliśmy wyraźny kontakt wzrokowy.

- A co z George'em?

- A co ma być? George, to George.

- Na co ci ten kontakt wzrokowy?

- No wiesz co, Nona! - Lorraine posyła jej pełne ubolewania spojrzenie mniszki, wtajemniczonej w kobiece sekrety. Tym samym powstrzymuje Nonę od przypominania jej, że George liczy na ślub latem, że zamówili już pastora i restaurację. Lorraine, strasząc zmniejszeniem zamówień na przyszły sezon wyszantażowała sobie od dostawcy jedwabny *shantung* zdobiony hodowlanymi perelkami, które od pasa w górę rozświetlały go niby księżycowa poświata.

Nona uznaje swoją naiwność. Ewa natychmiast zrozumiałaby sprawę apetycznego faceta z gabinetu odnowy biologicznej i motywy Lorraine.

Podejrzewa, że Lorraine, mając dość czasu na ćwiczenia, złapie i tego drugiego faceta. A potem będzie miała dwóch do wyboru. Przed George'em chodziła z Ralphem, a przed nim ze Stanleyem, który z biegiem czasu uwiądnął do „biednego Stan-leya”. Co to jest takiego, to, o czym ona wie, a czego ja nie wiem? -

zastanawia się często. Cierń niepokoju sprawia, że piekący ból zatacza coraz szersze kręgi. Nona usiłuje zebrać swoje atuty, skupić się na pogodnych myślach słonecznego brzasku, a nie na ponuractwach schyłku deszczowego dnia. Wraca za kontuar wyobrażając sobie, jak to dziś wieczorem, gdy będą razem z Cassie i Ewą na kolacji, pojawi się wreszcie MEŹCZYŻNA. Będzie sam albo z kolegą z biura... Rzuci okiem przez salę restauracyjną i na jej widok aż

wstrzyma oddech. Już przepadł, już stał się więźniem samotności, do chwili, gdy usłyszy jej imię i dowie się, gdzie jej szukać. Zamawia wszystkim trzem kolejkę (tylko nie szampana!), a kiedy kelner nalewa, on schyla głowę w ukłonie, uśmiechając się tylko do niej. Wreszcie podchodzi do stolika, subtelnie przeprosza za śmiałość i pyta Nonę, czy mógłby do niej zadzwonić. Ma właśnie dwa bilety na koncert w Bowl (których, rzecz jasna, wcale nie ma - to tylko romantyczny wybieg) i błaga Nonę, by mu zechciała towarzyszyć. Ewa kopie ją pod stołem — Nona wręcz czuje czubek jej buta na swojej lydce - a Cassie zachęca uśmiechem. W oczach obu przyjaciółek Nona i on rokują nadzieje na przyszłość.

- Nona, czy ty mnie słuchasz?

- Co?

Lorraine unosi marynarkę z kolekcji Liz Clairborne.

- Sprawdź, czy z tego dałoby się zamówić rozmiar dwanaście.

- Tak. — Pochyla głowę, skrywając rumieniec wywołany jego pragnieniem jej, jego oddaniem. Przecież to całkiem możliwe. Życie pełne jest tajemniczych wydarzeń. Może będzie miał jasne włosy i niebieskie oczy? Może będzie kochał dzieci, zwierzęta, będzie gotów założyć rodzinę i...

- Nona!

Scieśnione przy małym stoliku, dotykają się nogami. Ewa czubkiem stopy kłuje Nonę dokładnie tak, jak w scenie, którą Nona niedawno wyśniła. Brakuje tylko wspaniałego mężczyzny nad stekiem i czerwonym winem, który pokonałby obcość głęboką tęsknotą i szampanem. W restauracji siedzą głównie kobiety albo pary. Usiłują rozmawiać, zmagając się z mechaniczną muzyką miejsc publicznych, która u Cezara płynie z różowych wzmacniaczy, pasujących do wystroju wnętrza. Ale w dalekim końcu sali, naprzeciwko Nony, Ewy i Cassie, mieści się bar w kształcie podkowy i wygląda obiecująco.

Diana Silber

- Widzisz coś ciekawego? - pyta Ewa.

- Jedna zbląkana różyczka brokułów w sosie *pînmavera* — odpowiada Cassie. - Naprawdę, jak na osiemnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, te porcje są bardzo skąpe. Poza tym marchewka i cukinia powinny być pokrojone w *julienne*. A spójrzcie tylko na grzyby! - Nabija kawałek grzyba i unosi na widelcu. - Łupany tasakiem! Ja zawsze kroję je tak cienusieńko, że przez moje plasterki widać światło. - Cassie zabiera się właśnie do krytykowania szefa kuchni za brak umiaru w używaniu pieprzu, ale Ewa uśmiecha się do niej, a Nona chichocze. - Nasz kochany James Beard w spódnicy - żartobliwie droczy się Ewa. - Już dobrze, dobrze - przyznaje Cassie, zaróżowiona z zakłopotania. - Ta restauracja nie słynie z dobrej kuchni. Nona, która prawie nie je, tylko dłubie widelcem w talerzu pełnym makaronu cienkiego jak anielskie włosy, mówi: - Myślę, że jedzenie jest całkiem nie najgorsze.

Ani Nona, ani też Ewa tak naprawdę nie przyszły do Cezara na kolację. Bardziej interesuje je bar oblepiony samotnymi myśliwymi. Ale Cassie wciąż prześladują dawne kolacje, które gotowała dla Douga. Odkłada widelec na zmierzwione wstążki letniego *fettuccine*. Ostatnio niewiele gotuje, nie przygotowuje dań wymyślnych i przyprawionych z miłością. Kiedy Mandy zjeżdża do domu, pasie się głównie pizzą, gotową chińszczyzną, tylko do odgrzania, i mrożonym *cannelloni* firmy „Twoja linia”. Jak każda nastolatka woli łatwe, małowartościowe, podane w paczkach jedzenie od *haute cuisine*. Więc Cassie nigdy nie wmusza w nią *canard al'orange*.

- Jest jeden w beżowej, sportowej marynarce przy końcu baru! Widzicie? Ten, co popija piwo z butelki! - Nona z trudem powstrzymuje się od wskazywania palcem.

Ewa wykręca szyję.

- No wiesz, mogłabyś lepiej. Jest jakiś taki nieświeży na brzegach, jak tygodniowa sałata.

Nona wywraca oczami.

- Ewa, jesteś okropna!

- A co tu okropnego? To przecież rynek z towarem, targ

mięсны! Kupiłabyś kotlet jagnięcy w ciemno? Trzeba obejrzeć Wtkę i tłuszczyk, i w ogóle to wszystko, co sprawia, że masz przed sobą kawalek pierwsza klasa!

- Jeżeli idzie o jagnięce kotlety... - Cassie zabiera się do wyjaśniania, ale Ewa wstrzymuje ją machnięciem serwetki.

- Daj spokój! Żadnych porad kulinarnych Julii Child! Bardzo cię proszę - protestuje pół żartem.

Nienawidzi rozmów o jedzeniu. Żarcie jest tylko po to, żeby je zjeść. Kropka. Nawet kiedy była jeszcze żoną Abramsona, gotowała rzadko. Jej Niedźwiedź żywił się makaronem z serem, takim, jaki jadalі w dzieciństwie, rozdziabaną pomarańczą i krótkimi kluseczkami maszczonymi grudkami masła. Teraz Ewa nie może nawet patrzeć na makaron w sklepie. Omija z daleka część samu z kluchami, bojąc się, że niebiesko-białe pudełka same wskoczą jej do koszyka i zaatakują dawnym bólem. Kiedy zaś była z Williamem, głównie objeżdżali restauracje, a do domowych, gotowanych kolacji wynajmowali dostawcę. Umiejętności kulinarne Cassie przerażają Ewę. Czyżby przegapiła bądź zapomniała posiąść nieodzowną, rytualną sztukę, obowiązującą wszystkie mężatki? Czyżby jej brak fachowości w mieszaniu różnych składników miał metaforyczne znaczenie?

- Porozmawiajmy o giełdzie, o deficycie, może o Picassie... O czymś innym. O książkach, które czytamy, o nowym filmie. Czy jest coś, co warto zobaczyć? - Cassie pozbawiona możliwości wygłoszenia wykładu na temat kulinariów, gwałtownie szuka czegoś, co mogłoby je wciągnąć i zainteresować na dłużej. Wszystko dobre prócz chłopów. Denerwują ją komentarze na temat mężczyzn w swobodnie zarzuconych marynarkach. Siedzą przy barze ze szklaneczkami w rękach, nonszalancy i uprzywilejowani; to oni robią pierwszy krok. Ilekroć spotyka się z dziewczynami, Cassie udaje, że one są inne, że nie ruszają w miasto na łów. - To niebezpieczne - ostrzega Nony, która przed chwilą tęsknym głosem powiedziała o facecie siedzącym dwa stoliki dalej: „Z nim bym poszła”. Na szczęście, albo nie, facet jest całkowicie zajęty swoją wydrowatą towarzyszką o lśniących, ciemnych włosach i gębie pokrytej kilogramem makijażu.

- Och, Cass! Tak nie można! To nieuczciwe! - W oczach Nony widać wzbierające rozczarowanie.

Diana Silber

- AIDS nie ma nic wspólnego z uczciwością. To choroba. Zabija z okrucieństwem Oświęcimia. - Na ogół tematy medyczne rozluźniają nieśmiałą sztywność, która ściąga ramiona Cassie i zadziera kąciki jej pełnych ust. Sprawy życia i śmierci, te sprawy, w których ma możliwość czynienia dobra i zmiany tego, co pozornie nieodwracalne, przynoszą jej ukojenie. Jednak fakt, że tyle jest rzeczy poza jej kontrolą, poza progami, którego medycyna nie sięga, paraliżuje ją w bolesnej bezradności.

Patrząc na Nonę z przejęciem, zupełnie jakby opowiadała jakiś romans, mówi:

- Znasz statystyki.

- Nie lubię, jak się mnie straszy - przypomina Nona, na wypadek, gdyby zapomniały. Cassie wydaje się taka surowa, kiedy występuje w roli matkującego strażnika z dyscypliną, jakby się urodziła ze „Stój prosto! Umyj ręce! Nie ciamkaj!” na ustach.

- Powinnaś umierać ze strachu. Wszyscy w tej restauracji powinni zdać sobie sprawę, że...

- ...padł na nas pomór - skończyła Ewa, stukając ręką w szklanekę z wodą. Ona też słyszała już tę starą śpiewkę i jak Nona wcale nie ma zamiaru wysłuchiwać jej ciągle na nowo. A już na pewno nie wtedy, kiedy spotykają się, by miło spędzić czas, odprężyć się i w najlepszy ze wszystkich wieczorów poznać ciekawych facetów. - Odwieczny refren Cassie, że seks zabija, załatwia je dokładnie i zamyka drogę możliwościom.

- Wiem, że znów weszłam na ambonę - sumituje się Cassie, gniotąc serwetkę. Czasem nie umie zamilknąć w porę.

- Nasza Kasandra. Nona dotyka jej ramienia.

- Możesz mówić, co chcesz, i tak cię wysłuchamy. Ewa wybucha śmiechem.

- Hola, hola! Wolnego!

Cassie odwraca głowę myśląc o tym, że w klinice bez końca ostrzega kobiety prowadzące życie seksualne - przyjemność często otwiera drogę śmierci. W białym fartuchu staje się autorytetem, choć roztaczając złowieszcze perspektywy, czasami sama sobie wydaje się pompatyczna. Ale jak złagodzić coś, co nakazuje jej lekarskie sumienie? Choroba i śmierć trzymają je

w szachu, a rewolucja seksualna ich matek zbyt szybko przerodziła się w tyranie. Mimo to samotność nadal wyciąga z domów kobiety, którym źle, nieustraszone ryzykantki i sprowadza je do Cezara czy innej knajpki na Strip, w Marina, wokół Venice Beach, do śródmieścia czy do lotniskowych hoteli. Nazbyt często brak szczęścia stawia je w sytuacji zagrożenia. - Nigdy nie poszłabym z kimś do łóżka, ot tak sobie

- broni się Nona. - Do tego potrzebna mi miłość.

Cassie przypomina sobie miłość, uczucie spoczonej lepkości, zapach piżma, wysokie trele ptaków.

Wspomnienia są przeświecone. Minęły trzy lata od czasu, gdy spała z Dougiem, i te trzy lata zrobiły swoje; jej ciało już nic nie pamięta. Ewa szturcha łokciem jedną i drugą.

- Spójrzcie na włosy tamtej! Nona jęczy.

- Moja matka powiedziałaby, że nie jest to osoba, którą należy zapraszać.

- Nie gapcie się tak - upomina Cassie i spod oka przygląda się kobiecie w ciężkim makijażu i ze skrzyconym, różowym barankiem na głowie.

Kobieta usadowiona na wysokim barowym stołku ubrana jest w obcisłą czerwoną spódnicę ze skóry, wysoko zadartą na chudych nogach, i sweterek naszywany cekinami, perełkami i kępkami napuszonych piórek, które tworzą falisty wzór na piersiach małych jak agrest. Jedną ręką ściska dzinsowy rękaw połowę młodszego od siebie chłopaka, drapieżcy o wąskich oczach.

- Jej przeczytaj te swoje biuletyny znad grobu. Głupia dziwka - komentuje Ewa.

Czasami, późną porą, kiedy są razem, rozgrzane swoją przyjaźnią, naśmiewają się z innych kobiet, starannie unikając zerkania w dalekie lustra. Biedna kretyńka z zaślinionym uśmiechem - myśli Cassie.

Biedna kretyńka, biedna kretyńka

- Ewa i Nona wtórują wewnętrznie zjednoczone i wszystkie trzy mają przemożną ochotę chwycić się jedna drugiej i złączyć ręce w magicznym kręgu nad stołem. Stanowią trójkę i tyle ukojenia znajdują w przyjaźni! Żadna z nich nie jest tak samotna jak ta kobieta, siedząca przy barze i kiwająca nogą uzbrojo-

Diana Silber

na nad kostką w złotą bransoletkę, która rozbija światło na drobne okruchy.

Nona wierci się i zgłasza nagle zapotrzebowanie na wodę, Cassie decyduje się na *cappuccino*, Ewa zapala jednego ze swych nielicznych papierosów. Przy tej stolikowej reorganizacji dotykają się nawzajem. One są inne. Wdzięczne za swoją wzajemną obecność, odprężają się, a Nona pyta:

- Chcecie może zobaczyć tego Neila Simona w Pasadena Playhouse? Howard dał mi bilety na przyszły czwartek. - Jaki znów Howard? - dziwi się Ewa.

- Przecież wiesz, jeden z właścicieli.

Cassie ciągle płacze dwóch mężczyzn, którzy od czasu do czasu wypływają w opowieściach Nony.

- To ten gruby czy ten chudy?

- Niepotrzebnie wam o tym wspomniałam - mruczy Nona. - Tak naprawdę to Howard jest tylko trochę masywniejszy, trochę lepiej zbudowany od Leonarda. I wyższy. Mogłybyście mówić: wysoki i niski.

Ewa przewrotnie wydyma policzki.

- Czy Howard wygląda jak nadmuchany?

Druga filiżanka *cappuccino* zjawia się w miejsce pierwszej. Cassie nie pamięta, że ją zamawiała. Zbita z tropu, bez końca miesza kawę. Przygnębia ją hałaśliwa muzyka, nic nie znaczące pastele na ścianach, harmonizujące z kolorem obrusów, kobiety i mężczyźni, którzy pracowicie przygotowali się do wieczornego występu, niczym hodowlane begonie na wystawę. W takim świecie nie czuje samej siebie, jest obca. Jej myśli znów biegną do małżeństwa z Dougiem; wraca tam jak na nieznaną planetę z tajemniczymi księżycami. Całe życie oparła na małżeńskim szczęściu; a może to szczęście było tylko bezmyślną wygodą zrodzoną z codziennej zażyłości? Cóż, Cassie wciąż święcie wierzy - niezależnie od wszelkich zmian wokół - że małżeństwo pomyślane jest na zawsze, po grób. Nie widziała żadnych znaków ostrzegawczych, nie wiedziała, że stąpa po krawędzi skały i traci grunt pod nogami. Aż wreszcie zawałiła się część jej świata.

To niesprawiedliwe, że lubieżność Douga — a może jego apetyt na młodość czy nawet prawdziwa miłość - skazały ją na

wygnanie do barów późną nocą. Ogarnia ją gniew na męża, o którym powiedziała kiedyś, że nie był dla niej wszystkim. Wyprostowuje głowę, czuje mrowienie w palcach.

- Mężczyźni mają cały świat - twierdzi Nona. Każda z nich już to kiedyś mówiła. Ale czy to prawda? Czy mężczyznom dana jest taka przyjaźń, uczucie takie jak to, które łączy ją z Ewą i Noną?

Dziwne, że tak mocno są z sobą związane. Zupełnie jak siostry. Przy tym ogromnie różnią się od siebie, co widać zwłaszcza wtedy, gdy są razem. Wydaje się, że w tym tercecie nie ma równowagi. A przecież się kochają... Fakt, że w różnym stopniu - zarówno Ewie jak i Nonie bliższa jest Cassie - lecz ich uczucie jest równorzędne na tyle, by cementować ten trójskładnikowy związek.

To Ewa zapoczątkowała tę przyjaźń. Spotkały się z Cassie, kiedy Morganowie kupowali dom. Po spisaniu umowy Ewa podtrzymała znajomość z nimi. Właściwie z Cassie, bo Douga ustawiła w obronie. Nazwał ją tupeciarą. Bał się - Cassie myśli teraz i obserwuje, jak długie czerwone paznokcie Ewy przemierzają stolik do małego wazonika z nieskazitelną białą różą

i z powrotem, a potem jeszcze raz i jeszcze. Zastanawia się, czy Doug widział w nich obnażone kocie pazury, czyhające, żeby mu wydrapać oczy. Ewa odgrażała się, że to zrobi, kiedy Doug odszedł, i Cassie żałowała trochę, że nie spełniła swych gróźb. Szkoda, że nie dopadła Marina i nie poturbowała tego mężczyzny, który nie dość, że spakował walizki, to jeszcze siwiznę ufarbował na brązowo.

- Płacimy? - pyta Nona.

Ewa znalazła Cassie. Znalazła też Nonę. Kupowała sukienkę w Paxtonie, a później obie poszły do pobliskiej restauracji na jaja faszerowane krewetkami. Wreszcie któregoś dnia Ewa przyprowadziła Nonę, jak małe zwierzątko, żeby Cassie ją sobie obejrzała. Nona od razu oczarowała Cassie, zrzucając buty i wchodząc na kuchenną drabinkę z szeptaną piosenką Beatlesów na ustach. Śpiewała na zawołanie każdą nagraną przez nich piosenkę i nawet Mandy nie zdołała jej zagać, a kiedy już osuszyły cztery butelki wina i zjadły pięć kilo lodów, zaśpiewała im wszystkie jeszcze raz. To spontanicznie rozwijające się

spotkanie dobiegło końca aż o drugiej w nocy. Doug był akurat w delegacji (a może w ciepłym łóżku, usidlony długimi udami Trący?), kiedy zaś wreszcie się spotkali, Doug nazwał Nonę mokrym snem. Naturalnie przyjaciółki przetrwały, a Doug nie, i spośród wszystkich znajomych kobiet tylko Ewa i Nona wiernie wiodły Cassie przez straszne pierwsze dni. Bezwstydnie obnażała przed nimi rozpacz i gniew. Ewa demaskowała Douga i swą nie kończącą się litanie przerywała co trochę przekleństwami i krzykami w rodzaju: „Pieprz wszystkich facetów!” Nona była cicha i zajmowała się parzeniem saganów herbaty. To domowe lekarstwo babek swą bezsensownością często tamowało łzy. Nona przynosiła napar z rumianku w najlepszej porcelanowej filiżance na najlepszym spodeczku. Dodawała dwie kopiaste łyżeczki cukru mówiąc: „Masz, wypij. Lepiej się poczujesz”. Rumianek był tak samo dobry, jak inne zabiegi; odrywał ją od czarnych myśli. Jest już rachunek na srebrnej tacy i Ewa zagania przyjaciółki do baru, gdzie muzyka gęstnieje i wisi w powietrzu. Cassie odpływa na jednym z instrumentów.

Kiedy już siedzą nad drinkami, Nona nachyla się do Cassie. Ma leciutko podkrążone oczy. Opisuje swoje najnowsze symptomy choroby i pyta:

- Jak myślisz? Czy to coś groźnego?

Cassie współczuje nieznanemu doktorowi Rubinowi, kapłanowi, do którego świątyni Nona wiernie zanosí najróżniejsze bóle, z nadzieją na rozgrzeszenie. Jakiż to musi być anielsko cierpliwy człowiek, żeby nie pogonić tej hipochondrycznej kobiety z gabinetu, ani nie odesłać jej z workiem placebo, czy choćby nie zrugać w złości za marnowanie jego cennego czasu! Podobnie jak Cassie, on też naturalnie widzi, że Nona łaknie okresowych pobytów w swym wymagowanym królestwie choroby. A może Rubin boi się, że za którymś razem jej narzekania rozwiną się w coś istotnego? Cassie wykazuje przezorność i głośno, przekrzykując walenie perkusji, mówi:

- To najprawdopodobniej niestrawność! Trzymaj lekką dietę ze dwa dni, a jeśli objawy nie ustąpią, wybierz się do Rubina!

- Ale czy to coś groźnego? — docieka Nona, na wpół z przestachem, na wpół z tęsknotą w głosie.

Cassie, trzymając Nonę za rękę, odruchowo sprawdza puls. Normalny.

— Nie, nie sędzę.

— To nie wrzód? - Ile nadziei w jej głosie! Jeśli Nona nie znajdzie męża, czy zdecyduje się poślubić jakąś chorobę i czy narzekania zastąpią jej dzieci? Może je będzie dokarmiać?

— Tego się nie da od ręki wykluczyć, ale naprawdę jest o wiele za wcześnie na zmartwienia! Lekka dieta! — powtarza Cassie, doskonale wiedząc, że Nona uwielbia diagnozy nie straszące jej śmiercią, lecz stawiające warunki, których może przestrzegać. Dużo wody i światła, a Nona niczym roślina przenosi się na zalane słońcem okna. Palce Ewy bawią się srebrnymi listkami naszyjnika, kiedy zaczyna im opowiadać o nowym kompleksie apartamentów. Hałas jednak polyka co drugie słowo, więc jej opowieść niewiele ma sensu. Siedzą w samym sercu strefy działań wojennych, sącząc słodkie likiery, i udają całkowity brak zainteresowania bliskim sąsiedztwem mężczyzn. Ze ścisku wyłania się facet z przyklejonymi do czoła mokrymi pasemkami rzadkich włosów. Naciera na Ewę. — My się chyba skądś znamy — wyjeżdża ze standardową odzywką. Jego wytrenowany uśmiech jest już dobrze znoszony.

— Nie lubię łańcuszków - odpowiada Ewa, a oczy ma niczym jadowite zęby węża. Facet natychmiast łapie się za złotą pętlę na szyi, za lśniące, spięte ze sobą oczka na obwisłej, opalanej skórze.

— Śmiertelny cios — oznajmia Cassie, gdy tymczasem splawiony konkurent spiesznie wycofuje się rakiem.

— Po co tracić czas? — pyta Ewa bez skruchy.

Nona marszczy nos, urażona agresywnym zapachem męskiej wody.

— Był dość makabryczny — stwierdza.

— Nie widzę tu nikogo, z kim można by się wybrać schodami do nieba, ale zaczekajmy jeszcze z pół godziny, nim zwiniemy żagle - zarządza Ewa. W czasie wspólnych wypadów na miasto zachowuje się jak drużynowa. Od gadulskich klientów i agentów zbiera informacje na temat modnych knajp, po czym niby legendarny Pied Piper wiedzie Cassie i Nonę upatrzonym szlakiem. Ale dzisiaj Cassie

Diana Silber

jęczy już, że ma dość, że aż nadto wystarczy jej ta jedna knajpa dla samotnych i nie, wcale nie chce iść do Sida na Melrose, ani do Niebieskiej Papugi, gdzie jest dansing.

Ewa rozpiera się łokciami między dwiema przyjaciółkami siedzącymi na wysokich stolkach i dość obcesowo pyta Cassie, którą w sprawach „rozglądania się” uważa za symulantkę:

- Jak ty chcesz znaleźć sobie faceta, skoro nic w tym kierunku nie robisz?

- Z całą pewnością nie będę go szukać, latając od baru do baru. A poza tym, kto mówi, że chcę mieć kolejnego męża?

- Ani przez chwilę nie myślałam o mężu! Ty o nim myślisz. Ja mówiłam tylko o facecie. Jest wiele rzeczy, które można robić z mężczyzną, Cassie. Nie trzeba od razu za niego wychodzić.

- No dobra, wobec tego kochanka, co? — Cassie irytuje się. Jest przekonana, że płaczący się po domu mężczyzna czy nawet stały partner byłby jej tylko zawadą. W takich hałaśliwych momentach spokojne, pełne zamyśleń życie wydaje jej się ze wszech miar bardziej kuszące.

- Od czasu świętej pamięci męża zapomniałaś już, co to seks - szepcze Ewa, ale wydobyta na jaw prawda głośno dzwoni w uszach zawstydzonej Cassie, która w tym momencie żałuje, że nie trzymała języka za zębami i że dziewczyny wiedzą o niej tak dużo.

Nona zakręca lok na palcu.

- Doug jeszcze żyje - zauważa. Kiedyś zwierzyła się Ewie, i Cassie nadal o tym nie wie, że któregoś razu na przyjęciu Doug usiłował się do niej dobrać. Zapędził ją w róg koło lodówki, łapiąc w potrzask drzwi i swojej erekcji. Nona uparcie wbijała wzrok w zasadzoną przez Cassie bazylię, stojącą w doniczkach na półce przy zlewie, i grzecznie prosiła Douga, żeby się cofnął. Puścił ją wreszcie, ale przedtem w obie dłonie chwycił jej piersi. Po dziś dzień Nona czuje się winna wobec Cassie za ten niechciany incydent.

- Medycyna jest ważniejsza od miłości — sprzeciwia się Cassie, zmuszona uwagą Ewy do wygłaszania bzdur. Od tej obsesji związanej z mężczyznami, chęci znalezienia partnera czy choćby tylko przybocznego z niezłym samochodem i kartami kredytowymi, aż się jej kręci w głowie.

Przypomina sobie godniejsze czasy, kiedy kobiety żarliwiej mówiły o pracy, o prawie do głosowania, o zrzucaniu okowów niż o miłości i seksie. Unosiły zaciśnięte pięści i maszerowały przez miasto, wymachując transparentami. Kipiały gwałtownym buntem, a pójście do łóżka z mężczyzną było sprawą nieważną, przypadkową, ledwie motywem w de. Ale wtedy Cassie, zaślubiona Dougowi, nic nie wiedziała o świecie. Jakiś podpalony słońcem sześćdziesięciolatek, z ambicjami, by uchodzić za czterdziecę, pyta o coś None, przerywając jej rozmyślenia. Nona zakłada nogę na nogę, sygnalizując ciałem przynajmniej chwilowe zainteresowanie. Ewie wystarcza jeden rzut oka. - Księgowy — stwierdza.

- Skąd wiesz?

- Strzelał. - Ale jej strzały na ogół trafiają w dziesiątkę. Ewa ma wprost niezwykłą intuicję w odgadywaniu, czym kto się zajmuje.

Konwersacja z facetem utknęła w martwym punkcie. Nona znów odwróciła się do przyjaciółek.

- Przyjechał z Dallas na konferencję. - Przyjezdni są do bani. - Rzeczywiście, to K.K., kwalifikowany księgowy.

- Widzisz?! A to jest P.P., postrzeżenie pozazmysłowe - żartuje Ewa, dobrze wiedząc, że Cassie nie wierzy w parapsychologię.

Jakiś były piłkarz, który zaczyna już obrastać tłuszczem i którego niegdyś mocna żuchwa tonie w walkach podgardla, proponuje Cassie drinka. Nie skończyła jeszcze *creme de menthe* i odmawia.

- To zupełnie nieważne, czy masz ochotę na drinka czy nie - zauważa Ewa. Ale Cassie nie ma chęci spotykać się z kimkolwiek nawet przez chwilę. - Cassie, masz niewłaściwe nastawienie.

- Tak naprawdę, to boli mnie głowa. Głuchnę od hałasu i umieram z głodu po tej mikroskopijnej kolacji. Poza tym czuję się jak obierany melon. Idziemy. Tu jest nie do zniesienia.

- Chyba skończymy na dzisiaj - mówi Nona. Tusz do rzęs rozmazał się jej pod oczami. Cassie, biorąc ją za rękę w ludzkim geście współczucia, takim jak wtedy, kiedy z laboratorium wraca wymaz z pozytywnym wynikiem, żałuje, że nie może zamówić Nonie męża u Searsa.

Diana Silber

- Poddaję się. Klęska. - Ramiona Ewy opadają. - Cóż, samotne powroty do domu nie należą do moich ulubionych rozrywek. Lubię mężczyzn. Lubię, kiedy obejmują mnie męskie ramiona, lubię twarde męskie ciała, lubię mieć w łóżku kogoś ciepłego. - Uśmiecha się sucho. - Wiem, że obie uważacie mnie za maniaczkę orgazmów. Przyznajcie.

- Ewa, dobrze wiesz, że nie oceniamy się nawzajem - przypomina jej Cassie.

- Och, nie zwracajcie sobie mną głowy - rzuca Ewa i gwałtownym gestem obejmuje Cassie. - Mam tylko dość kolejnego zmarnowanego wieczoru, samotnych kroków na parkiecie i powrotów do pustego, zimnego łóżka w domu.

Łóżka, w którym na chwilę zatrzymało się trzech mężów — myśli Cassie i odwzajemnia uścisk przyjaciółki.

- A zatem do przyszłego tygodnia? - pyta Nona. Wyprostowuje się i idzie dumnie jak na paradzie. Dziś towar nie sprzedany, ale kto wie, może jutro?

Cassie, choć bardzo zmęczona, uśmiecha się.

- Tak, nie zrezygnowałabym z naszych spotkań za nic na świecie.

I mówi to najzupełniej szczerze.

Ewa udaje, że nie przywiązuje wagi do swoich małżeństw; o czasach, kiedy była panią Weber, panią Abramson, panią Sloane, wyraża się lekceważąco. Negocjując umowy, przygotowując akty kupna, nie traci z oczu przyszłości ani w sprawach zawodowych, ani w potyczkach z mężczyznami. Na byłych mężów spogląda przez ramię, jak na ołowianych żołnierzyków oblupanych z farby i rozrzuconych na polach bitewnych jej prywatnej historii. Straszne. Tak było wczoraj, a tak jest dziś. Wyczerpała całą energię. Zachowuje się tak, jakby wspomnienia już dawno zmatowiały, jakby małżeńskie lata okryła gruba patyna przeszłości. Kiedy Ewa wychodzi

na scenę i odczytuje scenariusz, który sama napisała i który świetnie pamięta, sprawia wrażenie rozgniewanej i umęczonej jak maratończyk po biegu. Tymczasem żal i gorycz ściskają ją za gardło, bo ani jedno z małżeństw, mimo zupełnie różnych mężów, nie było takie, jak udawała, że było.

Jordana poznała przy restauracyjnym stoliku. On siedział, a ona - wtedy dwudziestoletnia, rumiana, dziewiczo niewinna i chrupiąco świeża w białym fartuszk - serwowała jedzenie, które zamówił.

„Dotknęłaś biustem mojego ramienia” - szepnął w utrzymanej w rustykalnym stylu izbie ze szmacianymi chodnikami, mlecznymi kloszami lamp, pierzyną i sosnowym łóżkiem, które jak arabski dywan zawisło wysoko nad podłogą. Po drugiej stronie korytarza spała jego matka i zadowolona z corocznego wyjazdu w góry, śniła pulchne sny.

Jordan czekał na Ewę przed kuchnią i zaprowadził ją nad jezioro. Trzymając się za ręce, wzbijali pianistą koronkę w zimnej wodzie. Księżyc wyglądał jak biały płaski talerz, a powietrze miało zapach zielonej obietnicy i świeżo skopanej ziemi.

Ewa zakochała się w Jordanie, gdy pokazywał jej niebieską karecię - Wielki Wóz - i Gwiazdę Polarną, malusieńkie jak drobiny górskiego kryształu; kiedy z gwiazdnego chaosu wyczarowywał dla niej dramat. Nad brzegiem jeziora w Hampshire, z wprawą Kolumba kierował ją ku nowemu światu.

Ich małżeństwo nie miało racji bytu. Ewa rzuciła college i zaślepiona miłością podążyła za swym wiecznym włóczęgą. Mieszkali w samochodach, to znów w obskurnych pokojach z obcymi ludźmi za ścianą, w sypiących się domach z wiecznie brudnymi oknami i letniami, archaicznymi grzejnikami. Co jakiś czas zatrzymywali się w Filadelfii i spali ściśnięci na łóżku jego dzieciństwa pod plakatami baseballistów. W czasie tych pobytów matka Jordana nie odzywała się do niej słowem, tylko wysiadywała pieniądze Weberów, do których Jordan co jakiś czas wracał. Jarmarczny kuglarz, czarodziej wyciągający królika z kapelusza, gracz w trzy karty, odrywał drobne sumki od rąk uzbrojonych w klejnoty. Pani Weber nie była całkiem bez kręgosłupa; jej meduzowatość nabierała kształtów dzięki miłości do syna. Jordan czarował matkę i podsyczał jej uwielbienie. A jednak czasem, podstępnie, umiała być uparta.

Któregoś wieczoru, piękny i romantycznie mroczny niczym młody Byron, Jordan usadowił się naprzeciw matki przy końcu długiego stołu w jadalni. Ozdobny kryształowy kandelabr aż drżał od napięcia, które zawisło między matką a synem.

- Nie wierzysz, że to zrobię — powiedział Jordan z uśmiechem i wziął do ręki nóż do krojenia mięsa.

- Nie bądź głuptasem. Nie dostaniesz ode mnie ani centa, póki nie wrócisz do prawniczych studiów.

Mówię śmiertelnie poważnie. - Jej okrągłe oczka mało nie wyszły z orbit; dolna warga zwiślała.

- Potrzebne mi pięć tysięcy dolarów, mamó. To proste. - W tamtej chwili przypominał Ewie Rocka Hudsona, tyle że był drobniejszy. Matka nerwowo bawiła się okruszynami bułki na stole.

- Nie chcesz nawet zdradzić, na co ci te pieniądze - zauważyła bez cienia ustępliwości w głosie. Ewa dobrze rozumiała trudność przeciwstawienia się Jordanowi. W końcu czy nie wziął jej sobie, ot tak po prostu, jak zrywa się jabłko z niskiej gałęzi? Szepnął tylko „chodź ze mną”, a ona rzuciła wszystko i popędziła za nim, jak za Piedem Piperem. Dużo później wiedziała już, że wtedy była bezmyślna jak kotka, naiwna i głupia.

Czym się Jordan zajmował? Co znaczyły te częste spotkania w samochodach, barach szybkiej obsługi, w ciemnych pakamerach oświetlonych drżącym światłem świec wetkniętych w butelki po winie? Skąd brał te niewielkie sumy, które ich żywiły? To na zawsze zostało dla niej tajemnicą. Niechętnie odpowiadał na pytania i zmyślał jakieś najdziksze opowieści, których kolejne wersje zdecydowanie się od siebie różniły.

Ale przysięgał, że chce zbudować świat, w którym ludzie będą kierować się tylko czystymi pobudkami.

Ślepo zakochana w Jordanie, w jego gładkiej skórze, mocnym podbródku i ognistych oczach, Ewa wierzyła. Jego seksualność wywoływała w niej burzę pożądania. Jordan kochał się jak zawodowiec.

- Rozpruję sobie żyły i zaleję krwią twój adamaszkowy obrus, jeśli mi nie dasz forsy. - Nieźle czuł teatr.

- Nie wygłupiaj się! - mitygowała Ewa, ale zignorował ją jak powietrze.

Rodzice Ewy odcięli się od niej, kiedy po prostu rzuciła wakacyjną robotę w hotelu i studia, nie fatygując się nawet, by przedstawić w domu mężczyznę, za którego tak spieszenie wyszła za mąż. Dla matki Jordana była jedynie kimś spoza ich kręgu, kaprysem jej syna, takim jak rower czy nowa sportowa kurtka. Dwa lata włóczyli się z Jordanem i Ewa miała już tego dość. Zmęczona, błagała go, by wreszcie osiąść gdzieś na stałe. Chciała mieć własny dom, pracę dla siebie i dla niego. Czarodziej kłamstw uspokajał ją pocałunkami i zwodził z godziny na godzinę. Nie umiała od niego odejść, choć nienawidziła ciężarówek, starej farmy, gdzie mieszkali w Minnesocie, grubych dziewczuch o złośliwych oczach i prostych włosach, i odgrzających się mężczyzn w obszarpanych kurtkach. Nienawidziła też matki Jordana, nadzianej i grubej jak prosię. Ewa podejrzewała, że Jordan kradnie. Przez jakiś czas sądziła nawet, że jest Clydem, tym z *Bonnie i Clyde*, i umierała ze strachu na widok stróżów prawa, policji konnej czy innych przedstawicieli władzy. Chciała wrócić do domu, ale seks był wieczną ekstazą, a dym „trawki” otulał bezpiecznie jak wełniany koc.

- Nie - powtórzyła matka z uporem otwartymi dłońmi opierając się o stół.

- Jak chcesz. - Jordan bez wysiłku ciał nożem odwrócony w górę nadgarstek. Krew trysnęła i zboczyła obrus. Matka wrzasnęła; Ewa też. Jordan skrzywił się, w końcu był tylko stanowczy, ale nie szalony. Bólu nie lubił.

Wtedy powinna była odejść, powinna była uciec tylnymi drzwiami, którymi weszła w życie Jordana. Ale właśnie tego nie zrobiła. Zabandażowała mu rękę, podała matce valium, sprzątnęła, namoczyła koszulę i obrus, dopierając bure plamy krwi roztworem chloru.

Tylko jedna rzecz mogła ją ocucić - głupiutką dziewczynę chorą z miłości, zaślepioną, nieprzytomnie zadurzoną, domagającą się ciągłych wyznań, dziewczynę bez tchu od orgazmów.

Zatrzymali się w uśpionym Tucson u profesora filozofii, znajomego Jordana, a kiedy Ewa z gorącej, zakurzonej ulicy weszła do wychłodzonej klimatyzatorem, ciemnej sypialni, na

kryła całą trójkę - Jordana, filozofa i jego rudą żonę - na kopulacji wyjętej prosto z Kamasutry. Jordan nalegał, żeby dołączyła do nich. Niezależnie od tego, co straciła w czasie tych dwóch lat małżeństwa, zostały jej jednak tradycyjne wyobrażenia o akcie miłości. Spakowała wspomnienia - Jordana w cudzej żonie i profesora w Jordanie - spakowała ubrania i wsiadła do autobusu do Kalifornii. Przedtem jednak zwymiotowała na posadzkę w łazience i zostawiła zjednoczonej trójce sprzątanie tej cuchnącej kałuży. To tyle, jeśli idzie o Ewę w roli pani Weber.

Zachowała jednak jedno zdjęcie Jordana na tratwie na jeziorze i razem z perfumowaną saszetką schowała je głęboko w bielizniarce. Wyrzuciła wszystko inne, a mimo to, czasami, zupełnie nieoczekiwanie dopadały ją nawracające wspomnienia. Każdej kobiecie zdarza się co najmniej raz w życiu wyjść za jakiegoś gnoja. Niektóre zostają z nim na zawsze - tłumaczyła sobie. Wystarczy tylko spojrzeć na Cassie i Douga. Lecz chwile magiczne jak bańki mydlane wciąż jednak wracały. Znienacka potykała się o śmiech Jordana płynący z oddali lat i od czasu do czasu, nowa, silna Ewa słabła i żałowała, że Jordan nie był inny. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się z nim teraz dzieje. Czy nadal doił mamuszkę? Czy może dołączył do komuny, zapuścił brodę i aż do dziś walczy z resztą świata? A może przepoczwarzył się w opanowanego, gładko wygolonego maklera? Sądziła, że pewnie ożenił się powtórnie, miał normalny dom i pracę, ojcował dzieciom i tańcząco szedł przez takie właśnie życie, o jakim kiedyś marzyła dla nich dwojga. Jeśli nie siedział w więzieniu albo go nie zabili. Albo przez narkotyki nie odleciał gdzieś w dalekie przestworza. Cokolwiek się stało z Jordanem, Ewa zawsze czuła, że wyrównała rachunki.

Pod koniec kolejnego samotnego dnia przy pustym łóżku Ewa wyjmując zdjęcie Jordana - nękana poczuciem winy i wyrzutami sumienia - by spojrzeć znów na zatrzymaną w czasie twarz, na wpół oświetloną, na wpół skrytą w cieniu. Na chwilę znów stał się jej cudnym chłopakiem, olśniewającym kochankiem, który porwał ją wprost do nieba. Jego dłoń głaskała jej

Diana Silber

włosy, usta całowały powieki, a ona znów wsłuchiwała się w wolną muzykę płynącą przez gałęzie z hallu głównego budynku. Tafla jeziora wyglądała jak srebrna akwaforta.

- A niech to diabli! Niech to wszyscy diabli! - przeklina i wkłada fotografię między bieliznę. A potem robi sobie whisky z wodą i ogląda w telewizji Davida Lettermana.

Cassie znajduje wetkniętą w drzwi wiadomość na karteczce obramowanej małymi, uśmiechniętymi kucharczykami w wysokich białych czapach i fartuszkach. „Wpadnij do mnie rano. Mam dla ciebie kogoś bardzo interesującego. Beth.”

Beth i Al mieszkają po drugiej stronie płotu i żyją w harmonijnym i długotrwałym! związku. Podwójne życie Douga zbulwersowało Beth, która po koniecznym okresie żałoby po umarłym małżeństwie zaczęła martwić się o porzuconą Cassie. Statystyki rozwodowe przerażają Beth bardziej niż groźba wojny nuklearnej czy rozkład warstwy ozonowej. Za wszelką cenę chce widzieć wokół siebie zakochane pary i szczęśliwe rodziny, więc na podobieństwo kobiet oddających się działalności dobroczynnej, pracuje na rzecz znalezienia męża dla Cassie.

Cassie jęczy i rzuca kartkę na stół, kamelie w wysokim flakonie zwiędły; płatki kwiatów zbrązowiały i nie są już tak ładne. Cassie uważa, że to głupota i w pewnym sensie zdrada ścinać to, co rośnie, skracać i tak krótkie życie i nie dać kwiatom umrzeć śmiercią naturalną. Ale ten miły gest nowego pracownika Yanga sprawił jej przyjemność.

Pamięta Jake'a, jak stał na podwórku, pamięta jego muskularne ramiona i koszulkę mocno opiętą na piersi. Mężczyzna. Czy przeszedłby test na męskość w oczach Ewy? A Nony?

Myśli o mężczyznach nawet wtedy, kiedy spieszy na ratunek kobietom, zwłaszcza zaś, kiedy bada April DeVito. April została zgwałcona, choć temu zaprzecza. Jej miękkie śluzówki są roz-orane, a ciemnofioletowe sińce plamą uda. Jest zamężna, ma dwoje dzieci i zdumione, zapadnięte oczy. April poci się nieszczęściem.

- Zostaw faceta, który ci to zrobił - gniewnie radzi jej Cassie.

- Nikt mi niczego nie zrobił - upiera się dziewczyna. Ma jakieś dwadzieścia pięć, sześć lat; Cassie nie pamięta dokładnie, ale na pewno więcej, niż wskazywałaby jej dziecięca, wynędzniała buzia. April wygląda tak, jakby okaleczona cudem przedarła się przez strefę ostrzału.

Cassie urywa kilka dodatkowych minut z wypełnionego po brzegi popołudnia, żeby posiedzieć jeszcze chwilę w kabinie obok ubierającej się April. Chce rozmawiać, ale dziewczyna cicho wypiera się wszystkiego. Dlaczego? Bo się wstydzi, boi, a może, nie daj Boże, go kocha? Zmartwiona Cassie rozmyśla nad tym, jak mało rozumie ludzi, jak mało rozumie kobiety, które leczy, te, którym ofiarowuje pomoc i wobec których jest zupełnie bezsilna.

- April, nie opowiadaj mi bzdur! Siłą cię wziął! Był okropny i ranił cię w trakcie stosunku, choć ma to być akt miłości i wzajemne obdarowywanie się ludźmi, którzy się kochają. - Próbuje jeszcze raz, przyglądając się mlecznobiałej kępcie wśród ciemnych włosów na schylonej głowie April. - W końcu jest jakieś prawo i miejsca, dokąd można się udać po pomoc. Wezmę to w swoje ręce, jeżeli się zgodzisz. - Słyszac własne słowa, które uderzają o zielone ściany i kryty ceratą fotel ginekologiczny, sama sobie wydaje się naiwna i guwernantkowata. - April - dotyka ramienia dziewczyny - dlaczego mu na to pozwalasz?

- Pozwalam? Komu? Kochaliśmy się i trochę nas poniosło. Wielkie rzeczy! Każdemu kiedyś się zdarza. Też coś! - Jej głos brzmi piskliwie, palce nabierają przyspieszenia, grożąc urwaniem guzików.

- Mężczyzna, który kocha kobietę, jest delikatny i czuły. Ten, kto cię tak rozharatał, na pewno nie kocha, April. Dziewczyna wychodzi, na krótką chwilę wyprostowując ramiona. Straciła ją? Czy jeszcze przyjdzie, by podzielić się swoim bólem i pozwolić się uratować? Niektóre wracały.

Opowieści szeptane na fotelach i przy biurkach pchają lekarki w odmęty smutku, niczym pozbawione steru łodzie.

Panie doktor i kobiety zarazem, lekarki, wymieniają doświadczenia, opowiadają na odprawach historie pacjentek, popijają kawę i patrzą, jak spóźnione słońce zagląda do okien.

- U mnie jest pewna trzydziestopięcioletnia Latynoska. Ma

Diana Silber

dwanaścioro dzieci i jest doszczętnie zdarta - mówi Jena. - Skórę ma tak obwisłą jak sparciała guma. Kiedy zobaczyłam ją po ostatnim porodzie, już tylko mocznik we kiwi wyglądał na trzydzieści pięć lat.

Ostrzegałam ją bardzo poważnie, że to ma być koniec dzieci i że nie wolno jej zająć w kolejną ciążę. No i wiecie, co było dalej. - Jena jest najstarszą lekarką i na niej spoczywa odpowiedzialność za klinikę, i jeśli Cassie upatruje w kimś wzoru dla siebie, to właśnie w niej. Niska, krępa, wiecznie w ruchu, nie uznaje makijażu, zaplata kędzierzawe włosy w warkoczyk i nic sobie nie robiąc z ostrzeżeń ministerstwa zdrowia, pali trzy paczki papierosów dziennie. - Nie donosi - zauważa siedząca przy końcu stołu Barbara. Barbara ma urodę długoszyich kobiet Modiglianiego i męża nieroba, bogatego jak Krezus. Barbara obgryza paznokcie i skłania się ku jakiemuś niemożliwemu marksizmowi. W chwilach osłabionej czujności męża wspiera klinikę dużymi kwotami. - Przerwij tę ciążę, Jena.

- Wiem, że to właśnie należałoby zrobić. W pierwszym trymestrze, ale...

- Ale już dawno minął pierwszy trymestr, a ona wolałaby raczej umrzeć niż mieć skrobaną - kończy za nią Cassie. - Zgadza się?

- Trafiłaś w dziesiątkę. Jej samczy mąż nie chce o tym nawet słyszeć. Godzi to w jego męskość, czy jakies takie bzdury. Powiedziałam jej, żeby on urodził to dziecko. I niech on sobie umrze przy porodzie.

Wieczorem Cassie nader delikatnie muska kamelie i boi się, że odciski palców zranią płatki kwiatów. Siedzi przy stole, a pojedyncza niska lampka nad zlewem ledwie rozprasza mrok. Cassie z trudem zbiera się w sobie, by pójść do łóżka, gotowa natychmiast zasnąć na krześle w idiotycznej pozycji. Rozmyśla o pacjentkach. Tak wiele z nich unosi jakiś obcy prąd. I czy ona może się dziwić? Przecież też płynie za Noną i Ewą do barów i restauracji, gdzie gęsto od polujących mężczyzn. Dlaczego siedzi tam taka sztywna, jak lalka na sklepowej półce,

i milcząco czeka aż ktoś raczy ją wybrać? Jakoś nic nie zmieniło się od szkolnych czasów, kiedy w wykrochmalonej bluzce i układanej spódnicy sunęła z koleżankami na piątkowe zaba-

wy, a tam, wystawiona na sprzedaż, przestępowała z nogi na nogę i wyla mywała palce; ofiara jakiegoś chłopaka, który mógł, ale wcale nie musiał zaprosić ją do tańca. Jak ma zrozumieć pacjentki, skoro sama zachowuje się w tak niezrozumiały sposób? To pytanie zadaje kameliom i nagle głośno odpowiada:

- Bo jak każda normalna opuszczona kobieta, nie mogę znieść samotności. Chcę, żeby ktoś zapytał: „Kochanie, masz ochotę na jeszcze jeden kieliszek wina?” Albo na lody, czy truskawki. Albo na orgazm. Czując się głupio przez to gadanie do kwiatów i czując, że się starzeje w pachnącej naftaliną samotności, wstaje szybko i właśnie w tej chwili dzwoni telefon.

- Cześć, mammo!

- Cześć, kochanie!

Dla każdej matki jej dziecko jest piękne jak pięciokaratowy brylant wydobyty z szarej skały. Cassie nie jest wyjątkiem. Mandy - piegowate, nieśmiała i zgarbione dziewczę z nadwagą dziesięciu kilo i dużym biustem - po brzegi napelnia miłością serce matki.

- Mammo, spotkałam jednego chłopaka na dyskotecy w klubie! Jest fantastyczny! Ma na imię Ted i studiuje matematykę! Tylko pomyśl, spodobał mi się ktoś, kto ma świra na punkcie rachunków! Możesz w to uwierzyć? - Zawsze jest pierwszy raz - odpowiada Cassie ze śmiechem i natychmiast zaczyna się martwić. Czy ten chłopak zadzwoni do Mandy? Umówi się z nią? Czy nie potraktuje jej zbyt grubiańsko? Strofuje już nieznanego Teda: „Nie szukaj ładniejszej, pewniejszej siebie, weselszej, dowcipnej i wygadanej studentki. Zobacz, ile dobrego jest w Mandy i docień to”.

- Wiem, że chodzi na ekonomię wtedy, kiedy ja mam zajęcia z historii sztuki, co znaczy, że jeśli wyjdę z McLarena południową bramą, to na pewno go spotkam!

Nadzieje szumiały w kłuszącym wietrze wśród bagnistych szuwarów. Cassie przykucnęła i zastygła w bezruchu jak królik śmiertelnie przerażony zapachem człowieka. Za wszelką cenę starała się zadowolić Douga, który niechętnie przystał na to, żeby szła z nimi. Cassie czekała, czekał Doug i jego polujący wujowie. Doczekała się ognistej kuli słońca, które rozproszyło

ostatni oddech nocy, oni zaś zostali nagrodzeni kluczem kaczek w locie.

Słuchając dziewczęcego paplania Mandy, nuty nadziei w głosie córki, Cassie chce ją ostrzec, że często zbyt wielkie plany kończą się tylko upadkiem martwych ptaków. Ale takie gadanie nic nie da, Mandy nawet go nie usłyszy; tak jak nie usłyszeli by ani Doug, ani jego wujowie, siorbiący herbatkę zakrapianą burbonem. Istnieje jakaś równowaga w życiu, różne rzeczy się zdarzają - szepce do siebie Cassie - i niech ten Ted toba nie zawładnie. Ale jej podszyte strachem myśli, z chwilą gdy zostaną wypowiedziane, będą mieć dokładnie tę samą moc, co ostrzeżenia kierowane do kaczek, żeby nie latały. Cassie pragnie tylko uchronić Mandy przed bólem, trzymać ją z dala od kobiecych tęsknot. Wie jednak, że Mandy, choć młodsza, w gruncie rzeczy, nie jest wcale inna niż Ewa czy Nona.

Dlaczego ona nie trzyma w sekrecie tych swoich zadurzeń? Cassie już wie, jaki będzie następny telefon, i następny. Przeszedł obok, nawet się nie zatrzymał! Nie zadzwonił. Umówił się i nie przyszedł. Te wszystkie słówka, które mi szeptał, rzucał tylko na wiatr!

Przykład Douga niczego jej nie nauczył. Mandy nie chce zobaczyć perfidii ojca, chce go nadal kochać. Czy można ją za to winić? Ale przecież musi być jakiś sposób, żeby dostrzegła, że Doug i Ted są tacy sami. Albo ten Gary, który obiecywał, że weźmie Mandy do kina, i nie wziął! Czy Evan z recepcji, który ją mamił nad kufelkiem wieczornego piwa. Mężczyźni mają władzę, żeby wybierać i przebierać; ich władza jest okrutna i kapryśna. Czy kaczki - gdyby wiedziały - wzlatywałyby ku słońcu, czy raczej przycupnęłyby w mrocznym bezpieczeństwie bagien, które stanowią ich naturalną ochronę?

Z bólem głowy odkłada słuchawkę, pokonana w potyczce, o której Mandy nigdy się nie dowie. Walczy, żeby oszczędzić córce rozczarowania, złamanego serca, mokrych od łez poduszek i ranków o suchym gardle. Ale Mandy musi popełnić swoje własne błędy.

Cassie ogarnia nagle jakaś przemożna senność, ale zanim wejdzie do łóżka, wyrzuci jeszcze na śmietnik przywiedle kamelie.

Magik zawsze czeka przy drzwiach. Albo wyczuwa jej lekkie kroki na wykładzinie w korytarzu klatki schodowej, albo jakoś wewnątrz odbiera zbliżającą się obecność Nony. Tak czy owak Nonie nigdy nie udaje się zaskoczyć kota. Jeśli Magik akurat śpi - idealnie wkomponowany białym futrem w dzierganą narzutę łóżka - budzi się natychmiast i kroczy ku niej leciutko, ledwie muskając drewnianą podłogę aksamitnymi łapkami.

Jest cichym, zamkniętym w sobie stworzeniem. Właściwie nie wydaje żadnego dźwięku; tylko nocą mruczy, wtulony w jej bok. Wieczorna sonata kota często kołysze Nonę do snu. Ale Magik nigdy nie miauczy przy drzwiach na przywitanie, tylko siedzi tam sobie, niczym porcelanowa figurka, i po królewsku zezwala, by pogłaskała go po karku. Co w nią wstąpiło, żeby go zabrać spod klonu, cztery domy od miejsca, dokąd wybrała się w Tudor na niedzielne drugie śniadanie? Senna uliczka była jak liściasty tunel, a Magik siedział sobie wśród wystających korzeni drzewa, tuż obok samochodu Nony. Pomyślała, że uciekł z jednego z tych ogromnych zamczysk, w których ludzie tłoczyli się niczym Mercedesy na chodnikach w godzinach szczytu. Chciała go zwrócić właścicielom, ale kot nie miał obróżki. Jednak od chwili, kiedy wzięła go na ręce, zaczęła zachowywać się zupełnie absurdalnie. Może to jego hipnotyzujące oczy, a może jedwabiste futro sprawiły, że jak złodziej porwała ze sobą maleńkiego kociaka na cienkich nóżkach.

Nona nie zna się na zwierzętach. Jej matka wręcz nie lubiła kotów, psów, ptaków, ryb ani innych żywych stworzeń. Unosząc brwi, twierdziła, że są chodzącym siedliskiem chorób i brudu.

Gdyby nawet modlitwy Nony zostały wysłuchane i jakiś zwierzak cudem się zmaterializował, gdzież, u licha, miałyby go trzymać? Rodzinny dom w Bostonie miał niby wystarczająco wiele pokoi, ale aż świecił czystością. Wypucowane okna jaśniały tak, że wcale nie było ich widać, podłogi zaś pastowano do takiego błysku, że rozświetlone słońcem przypominały tafle szkła. Takiemu domowi nawet hipotetyczny zwierzak ujmował, a nie dodawał perfekcji.

Później, gdy wyjechała z Bostonu, nawet nigdy nie rozważała możliwości kupienia zwierzęcia. Owszem, głaskała koty i psy znajomych, gdy jakiś mokry nos zawędrował pod jej rękę lub

gdy futrzana kulka wskoczyła jej na kolana. Nie, nie ma żadnych uprzedzeń, lecz wyobraźnię Nony zawojowały nie psy i koty, a dzieci - niemowlęta, które trzeba utulić w ramionach. Miłość podpowiada gładziutki, aksamitny dotyk jedwabistej skóry i zapach leciutko skwaśniałego mleka. Nawet w jej wizjach szczęśliwej rodziny - ze zdjęciem mamy, taty i dzidziusia pod świąteczną choinką - nie widać wyciągniętego u stóp pudła czy innego charta.

Nie ukradła Magika. Właścicielom nie zależało na nim - zostawili otwarte na oścież drzwi, nie zabezpieczyli okien. Nona odcina się od nich, widzi siebie raczej w roli wybawczyni kota. A jednak, zwłaszcza na początku, miała wyrzuty sumienia. Oczekiwała kary. Martwiła się alergiami, bała się*, że będzie cierpieć na migreny i zapalenie spojówek, ale Magik nigdy nie zrobił jej krzywdy.

A teraz należy już do niej całkowicie. Czuje się w nim jakąś władczą, cesarską pewność siebie; Magik, sułtan bezkresnego terytorium, rządzi dwupokojowym królestwem Nony.

Jest jednak dobrodusznym tyranem i choć nie okazuje swych łask na każde zawołanie Nony, nigdy nie traktuje jej z kocią pogardą. Nona, siedząc przed lustrem i oglądając w nim kanciastą kobietę o wystających żebrach i mocno napiętej skórze, przygląda się Magikowi i jego cowieczornym zwyczajom. Kot liże łapki o różowych poduszkach, myje mordkę i długie, pajęczne wąsy, ociera się o jej kostki u nóg. Jest jedyną istotą płci męskiej, którą Nona kocha.

Dotyk jego futra wywołuje w niej drżenie. Wreszcie Magik odchodzi, a ona zostaje sam na sam z kobietą w lustrze. Patrzy na jędrne i śliczne piersi, pełne, lecz zadające kłam grawitacji, przygląda się brodawkom w kolorze brzoskwini, o jakich artysta może tylko marzyć. Komplementy i błysk w męskich oczach potwierdzają jej urodę, jej piękno. A mimo to, spoglądając w lustro, szepcze: „Jestem za gruba. Mam brzydki nos. Skąd mi się wzięły takie wielkie uszy?”

Nona ma szmaragdowe oczy, regularne brwi, elegancko wypukłe kości policzkowe. Usta są nieco za duże i nadają twarzy więcej zmysłowości, niżby jej przydała geometryczna perfekcja, u skóra jesi nieskazitelna i atlasowa w dotyku. Cóż, skoro ta uroda

To jeszcze nie koniec

43

nie daje jej żadnej satysfakcji... Raz po raz Nona wątpi i raz po raz oddaje się mężczyznom niczym ofiara na oltarzu poświęcenia.

Jej matka narzekała przed śmiercią: „Nie rozumiem, dlaczego przy twojej urodzie dotąd nie wyszłaś za mąż”. Ten niezamierzony komplement odczuła jak smagnięcie bata.

Po którejś z rozpraw na procesie ojca zapytała go, czy uważa, że jest piękna. Chciała wynieść jakieś potwierdzenie z jego świata zamkniętych drzwi i okratowanych okien. Tak naprawdę pytała go: „Czy jeszcze mnie kochasz, tato?” Ale na takie pytanie zabrakło jej odwagi. Na to, czy jest piękna, odparł: „To już nie ma znaczenia”. Magik ociera się o jej nogi, nieświadom swego odbicia w lustrze. Nona nachyla się, żeby pogłaskać wygięty grzbiet kota, wreszcie wyprostowuje się. Naga szcnotkuje włosy i widzi swe bezlitosne, taksujące spojrzenie. Dokuczliwy ból żołądka ustąpił, odkąd zwymiotowała — zostało tylko uczucie podrażnienia. Ilekroć pozbędzie się jedzenia połkniętego tak bezmyślnie i łakomie, jej ciało natychmiast staje się wyraźnie lżejsze. Piecze ją w gardle, ale płaski brzuch od razu czuje się lepiej. Jeszcze raz zdołała uciec, ale walka cały czas trwa. Tłuszcz jest niebezpieczny. Zniszczy ją, jeśli nie będzie uważać. Odwraca się, żeby ocenić zaokrąglenie pośladków pod kręgosłupem. Czy nie utyla tam czasem? Mruży oczy, ale nie może się zdecydować. Domowa waga uparcie twierdzi, że Nona wcale nie tyje, lecz wagi kłamia. Jutro kupi sobie nową, japońską. I drogą.

Okreca się przed lustrem i ogląda brzuch, dumając, jakich spustoszeń dokona tu ciąża. Jak bardzo się ten brzuch rozciągnie i nadmie? Czy ramiona i nogi też zrobią się grubsze? Widzi już miękką obwisłość ciała, uda jak z waty i zwisające sutki starej baby. Nie może dojrzeć żeber.

Przykłada dłoń do twarzy, szeroko rozstawiając palce, spomiędzy których oko wyziera niczym nie obsadzony klejnot. Dlaczego martwi się na zapas deformacją ciała? Żeby mieć dziecko, najpierw musi mieć męża.

Ewa twierdzi, że skoro tak bardzo potrzebne jest jej dziecko, powinna rozejrzeć się za jakimś dobrym genetycznie ogierem

i użyć go do celów rozplodowych. Świadeństwo ślubu nie stanowi przepustki do macierzyństwa. Dziwi się, że jeśli Nona nie może żyć bez dziecka, to czemu go jeszcze nie ma; klnie się, że ze statystyk wynika, iż macierzyństwo jest właściwie cudowne od samego początku do końca. Takie stawianie sprawy wstrząsa Noną gruntownie. Nie jest, broń Boże, feministką - a w każdym razie nie w takim sensie - i nie może znieść myśli, że w swoim śnieżnobiałym mieszkanku miałyby umieścić kołyskę, w lodówce trzymać butelki z mieszanką i jeszcze samotnie martwić się gorączką i wysypkami. Kobieta i dziecko bez ojca tworzą nienaturalny układ; są wybrykiem natury. Złości ją takie gadanie. Ewa mówi, że tylko sobie żartuje, a jednak obstaje przy swoim, twierdząc, że jeśli tak bardzo się czegoś pragnie, należy wyciągnąć po to rękę i wziąć. Nikt niczego w życiu nie dostaje za darmo.

Znalezienie mężczyzny-rozplodowca w przypadku Nony nie byłoby wcale trudne. Wielu facetów chciałoby się z nią przespać, odrzeć ją z ubrania i drażyć z wigorem górnika. Ale to tylko seks, a tu idzie o miłość i wieczne oddanie.

Nona ma już za sobą długie wycieczki na Hawaje, Jamajkę, karnawał w Rio, Paryż, Londyn i Rzym. Wszystko to w towarzystwie mężczyzn, którzy omal ze skóry nie wyskoczyli, żeby tylko zapłacić za samolot, drogie apartamenty w hotelach i wymyślne dania, które wybierała z karty, zamykając oczy ze strachu. Ale jakoś nikt nie odwozi jej do domu na święta Bożego Narodzenia, nikt nie chce przedstawić rodzicom (teraz już częściej własnym dzieciom) i nikt nie chce tych krótkich inter-ludziów rozciągnąć na wspólną przyszłość. Stephen, z którym chodziła przez pół roku, twierdził, że jest zbyt piękna, że czuje się przy niej ułomny, że uroda jest rzeczą ulotną, a on musi mieć coś trwalszego, na czym mógłby się oprzeć. Warren, kolejny kochanek, na sto sposobów rozważał, jak mógłby ją utracić; wszędzie widział mężczyzn, kuszących śliczną Nonę złotymi jabłkami, futrami i najnowszymi modelami Ferrari. Wszyscy jej kochankowie znajdowali tysiące wymówek. Któryś wręcz uznał, że przyglądanie się tracącej młodość Nonie byłoby dla niego zbyt bolesne. Wycofywali się jeden po drugim. Uciekali od jej urody, jej zmartwień i pragnień, uciekali w po-

płochu i każdy z nich odpływał w dal, ściągany jakąś niewytłumaczalną mocą, silniejszą niż morskie odboje.

Jej strach się udziela i muska mężczyzn lodowatą pieścizną. Pragnienia Nony są jak sieć, którą zarzuca po to jedynie, by patrzeć, jak puszczają oczka i kolejni mężczyźni uciekają, zostawiając ją samą. Uroda to nie wszystko — ostrzega wewnętrzny głos. Uroda jest przemijająca jak obrazy w kinie.

To jej brak spokoju przeraża mężczyzn. Ale skąd czerpać spokój, kiedy się jest prawie czterdziestoletnią niezamężną kobietą? A przecież była najładniejszą dziewczyną w szkole. Znalazłoby się i później kilku chłopców, którzy może chcieliby się z nią żenić. Przynajmniej tak sądzi teraz. Ale to było za wcześnie. Wtedy bardziej chciała tańczyć niż zakładać dom. Cóż, czas nie ma drzwi ani krat w oknach, choć tak się jej kiedyś głupio wydawało.

Oczywiście, był jeszcze Simon...

Jak strasznie zasmuca ją ta kobieta w lustrze, jej ciężkie ciało i siwiejące pod farbą włosy. Jak złości! Nona nie chce jej widzieć i uwalniając się wreszcie od jej spojrzenia stwierdza, że obie patrzyły na siebie ponad godzinę. Nieżyjący już ojciec Nony irytuje się takim marnotrawstwem czasu. Wygraża córce wyma-nicuirowanym palcem. Nona słyszy jego przyganę i łyka tabletkę, bo wie, że będzie spać krótko i źle. Śnią się jej wydawane przez rodziców kolacje, dokąd sprowadzano ją, by w biało-niebieskiej organdy nowej sukience, z kokardkami we włosach i nieśmiałym uśmiechem na ustach, budziła zachwyt gości.

Nona kładzie się; Magik umościł się już na łóżku i mruczy. Nona przytula do siebie czarnoookiego, pluszowego misia i odpływa, by znów usłyszeć: „O jaka ładna, ładna dziewczynka”.

4

Trawa nie lśni brylantowymi kroplami. Niecierpki, kamelie, petunie chwieją się smętnie, rajskie ptaki zastygły w locie i chylą spiczaste głowy ku ziemi. To dzień Yanga, a właściwie Jake'a. Nie zjawił się jeszcze, choć Cassie już jest gotowa do wyjścia.

Zatrzymuje się na schodkach do ogrodu, myśląc znów o przeprosinach i kwiatach w blaszanej puszcze.

Ranek od razu zawisa w próżni. Wątle promienie słońca, przejrzyste jak gaza, przebijają się przez poranną mgłę.

Mówił, że zaczyna od Palisades i od jej domu, ale już dochodzi dziewiąta. Co się stało? I dlaczego zawraca sobie

To jeszcze nie koniec

głowę tym ogrodnikiem o kręconych włosach nakrapianych siwizną, którym zdecydowanie przydałby się fryzjer? Dlaczego myśli o tym mężczyźnie, którego twarz zniszczył nie tylko czas?

Zawstydzona, jakby nie była u siebie w domu, nagle zaczyna się spieszyć. Wie, że się spóźni do kliniki.

Zaskoczył ją. Wracając do domu, Cassie wyjeżdża z za zakrętu i najpierw widzi jego ciężarówkę, a potem Jake'a z naręczem palmowych liści. Ogrodnik znika za kablami na śmieci i Cassie, zamknawszy główną bramę, omal na niego nie wpada.

- Zdawało mi się, że będzie lepiej, jeśli będę tu kończył robotę, zamiast zaczynać od rana — mówi. Ma na sobie dżinsową koszulę z zawiniętymi nad łokcie rękawami. Cassie dostrzega wyblakły rysunek orla na wewnętrznej części jego przedramienia.

- Dziękuję — odpowiada i ze zgrozą stwierdza, że niechcący wypadło to nazbyt chłodno. Jake przygląda się jej, a Cassie zachodzi go od tyłu i staje, by patrzeć jak ogrodnik wraca do ciężarówki.

Nagły wstrząs, jakby ktoś rzucił kamieniem.

- Dziękuję za kamelie! - woła za nim. Dlaczego zwolnił? - Bardzo dziś gorąco. Może napiłby się pan lemoniady albo piwa? — dodaje spiesznie.

- Może być piwo. - Idzie za nią do kuchennych schodów. Zatrzymuje się, czeka.

Cassie obserwuje go z za siatki w oknie. Wędrowiec-włóczy-kij, taki jak ci, których matka karmiła grubymi kanapkami i poila mlekiem. Cassie mieszkała z rodzicami w Ohio, niedaleko głównej autostrady. Tamtędy zawsze ciągnęli mężczyźni podróżujący bez celu z jednego końca kraju na drugi, miotani wiatrem, z plecakami jak garb Quasimodo. Nie byli to hippisi ani młodzi chłopcy, ale dojrzały mężczyźni. Wtedy wydawali się jej starzy, ale Cassie sądzi, że mogli mieć tyle lat co ona teraz albo nawet mniej. Byli bez pracy i marzeń. Drażliwi i biedni. Tacy, co to nigdzie nie zagrzeją miejsca; mężczyźni z wrogim ogniem w oczach. Zeskakiwali z dużych ciężarówek, z odkrytych furgonetek, ze wszystkich możliwych samochodów, które mogły ich podwieźć chociaż kilka mil dalej. Niektórzy grabili

liście, myli kubły po śmieciach, zdejmowali letnie markizy, zawieszali ekrany przeciwburzowe. Tym się zajmowali, dorywczos. Matka, oczywiście, nigdy ich o nic nie pytała, ale ci wędrowcy (tak nazywał ich ojciec) mieli też w swym bagażu kawałek dumy. Nie byli żebrakami, raczej robotnikami w trasie, opłacanymi kanapkami z mięsem czy kurczakiem. Zawsze grzeczni, do matki zwracali się „Pszepani”, a do niej „Panienko”. Ostrożnie stąpali po kruchej tafli rozpacz. Tak wiele miast przeganiało tych zaroiętych ludzi o obcych twarzach, ludzi bez miejsca na ziemi. Policja odwoziła ich do granic miasta, nakazując jechać dalej, gdzie indziej. Czy Landry było bardziej sentymentalne? Może nikt po prostu nie wiedział, że wieczni wędrowcy zatrzymywali się w rodzinnym domu Cassie niczym turyści, którzy stają na chwilę, by dopełnić bak albo przegryźć hamburgera w przydrożnym barze? W zachowaniu Jake'a nie widziała jednak znanej uniżoności. W odróżnieniu od tamtych mężczyzn, nie przestępował niepewnie z nogi na nogę ani nie kiwał się na piętach. Nie umykał też w bok niespokojnym spojrzeniem i wcale nie bał się patrzeć jej w twarz. - Proszę. - Podaje mu piwo, a on robi dwa kroki w jej stronę. Jego cień pada na nią przez cieką siatkę "drzwi. Nagle przestraszona, cofa się gwałtownie i zatraskuje mu właściwe drzwi przed nosem. Już w chwili, kiedy to robi, wie, że zachowuje się głupio, jak typowa, wystraszona kura domowa, której strach jest strachem kobiety pozbawionej męskiej opieki w domu. Po chwili słyhać silnik odjeżdżającej ciężarówki. Dopiero pod koniec dnia Cassie sięga po „Los Angeles Times”. Informacje są już nieświeże, a wszystkie artykuły zimne jak martwe ciała. Tylko złe wiadomości ciągle trafiają do gazet — wojny, ataki terrorystów, morderstwa, włamania, napady na kobiety, dzieci, zwierzęta, szykany dużych przedsiębiorstw, rządowe akrobacje z powierzonymi pieniędzmi. Lista ciągnie się w ponurą nieskończoność, dławiąc resztki dobrego humoru, jaki udało jej się cudem wynieść z kliniki. Zbrodnie i gwałty godzą w nią bezpośrednio i jeśli zapomina się na chwilę, sama zaczyna odczuwać cierpienia nieznanym sobie ludzi. Żeby móc stawić czoło gazecie, nalewa sobie drinka. Nie

rozumie, jak niektórzy - usadowieni wygodnie na słonecznej werandzie - mogą czytać o strasznych tragediach i popijać je pomarańczowym sokiem. Jak można strawić „Zatonięcie indyjskiego promu, 300 śmiertelnych ofiar” razem z puchatą maślanką? Cassie myśli, że - traktując rzecz metaforycznie - któraś część mózgu pewnie się zamyka i synapsy neuronów drętwieją na te dwadzieścia minut. Oczywiście, po dniu w klinice, po ciężkich rankach i popołudniach zawalonych rakiem, pozamacicznymi ciężarami, nagłymi przypadkami histerektomii na sali operacyjnej w szpitalu St. Johns, po rodzących się w przerażoną ciszę zdeformowanych dzieciach albo martwo urodzonych noworodkach, dalekie okrucieństwa świata osaczają ją z tym większą mocą.

Znużenie i wino opancerzają ją jakoś. Cassie siedzi przy kuchennym stole nad nagłówkami: „Trzy ofiary samochodowego wypadku”, „Ojciec zabija rodzinę”, „Sudan głoduje”. Zmęczona, przymykając oczy kartkuje strony, aż wreszcie z ulgą trafia na rysunkową opowieść o Snoopym. Uśmiecha się przelotnie do zbyt tłustego, komiksowego kota Garfielda i nie wykazując dość refleksu, by uciec, zaczyna czytać przedziwną historię z Santa Monica. Ludzkie kości wykopane z miejsca przeznaczonego na nowy fundament. Zburzony wiktoriański dom z lat dwudziestych siedemdziesiąt lat skrywał ludzkie zwłoki. Wstępne badania wykazały, że zwłoki należały głównie do młodych kobiet. Znalaziono strzępki kolorowego materiału, różową wstążkę, skórzane kapcie. Rzecznik policji oświadczył: „Prowadzimy śledztwo, na razie jednak nie możemy stwierdzić, czy mamy do czynienia z zabójstwem”. Świeżo odkryte zwłoki bardzo długo rozkładały się w ziemi.

Zapomniane kobiety odbierają Cassie ochotę na wino. Czuje na języku smak popiołu. Składa gazetę, żeby ją wrzucić do śmieci.

Nad zlewem ochlapuje twarz zimną wodą i spogląda w ciemność za oknem, poza swoje, miękkie odbicie w szybie. Nie może powstrzymać się od dociekań, jakim cudem kobiety znalazły się pod domem i jak to się stało, że leżały tam zapomniane, a tymczasem nad nimi dom tętnił życiem. Umarli odchodzą raz na zawsze i nie ma co wyobrazać sobie, jak wiercą się w ziemi, protestując przeciwko niewłaściwemu pochówko-

wi. Cassie śmieje się z siebie. Daj spokój, nie bądź taka melodramatyczna. Czas na film.

Unosi ramiona, jakby zmarłe kobiety mogły zagrozić jej najściem przez okno, i wtedy właśnie rozlega się dzwonek u drzwi. Nona jak zwykle zjawia się u Cassie bez zapowiedzi — nagle staje w kręgu mdłego światła. Mimo całej urody Nona przypomina Cassie chłopca o zadrapanych kolanach, który chodzi od drzwi do drzwi, sprzedając ciasteczka, albo dziewczynę we wzorzystej sukience, grubych pończochach i praktycznych, sznurowanych czarnych butach, która opowiada o zbawieniu i rozdaje broszury. W podpierającej się ugiętą z tyłu stopą Nonie widzi tę samą niepewność i czuje, że łzy zaczynają szczypać ją pod powiekami. Nona obnosi drogie ciuchy Flory jak rasowa modelka, miękkie sweterki, cudnie skrojone spódnice, francuskie džinsy czy małe dzieła sztuki - sukienki z lnu, bądź z najlepszej bawełny — lecz tylko wtedy, gdy jest wśród ludzi; kiedy jest sama, najwspanialsze kreacje wiszą na niej jak na kołku. Tak bardzo brak jej wiary w siebie, że Cassie walczy z sobą, by nie potrząsnąć mocno przyjaciółką. Ale w domu, po kieliszku wina, Nona rozluźnia spięte, wijące się włosy i wreszcie zaczyna się śmiać. Ma trzydzieści dziewięć lat, a pod wieloma względami tak bardzo przypomina nastoletnią Mandy.

Cassie już dawno zrezygnowała z próśb, by Nona uprzedzała ją telefonicznie o swoich wizytach. Taka prośba natychmiast ucinała wszelkie odwiedziny. Nonie potrzebny jest bezpieczny port, gdzie może, niby przypadkiem, zawinąć, wiedząc, że zawsze przyjmą ją z uśmiechem i otwartymi ramionami. Ma tabuny przyjaciół, lecz w ciągu pięciu czy sześciu lat ich znajomości Cassie zorientowała się, że te przyjaźnie są bardzo powierzchowne. Takich znajomych Ewa nazywa „jakiśmasz kochaniem”. Tylko nieliczni znaczą cokolwiek w życiu Nony i Cassie zastanawia się, co sprawiło, że ona do nich należy.

Cassie rozjaśnia się w wyczekiwanym uśmiechu. Całuje Nonę w policzek i czuje zapach jaśminu.

- Jadłaś coś?

- Jasne.

- Hm, robię sobie sałatkę, może zjesz ze mną? - Nona bud/i w niej macierzyńskie uczucia, a teraz, kiedy Mandy

wyjechała do college'u, Cassie chętniej wita nieczęste wizyty przyjaciółki, niż się do tego przyznaje.

- Proszę - mówi nalewając kieliszek wina, gdy Nona zasiada za stołem. - Całkiem przyzwoite Beaujolais. Kieliszki stuknęły o siebie. Przyjaciółki piją i wino straciło już smutny smak tajemniczych ciał i niedopełnionego życia dziewcząt. Rozgrzana obecnością Nony w pustym domu, teraz czuje na języku smak jasnych dni, łąk otulonych zielonym kobiercem, pierzastych chmur na de kobaltowego nieba. Nie, nie będzie mówić Nonie o tych kobietach, bo Nona umknie, bojąc się tego co nieprzyjemne. Ona chce samych „ładniutkich” rzeczy, jak to kiedyś ujęła Ewa, więc Cassie poddaje się temu i instynktownie łyka wino dławiące słowa.

- Musiałam wpaść na chwilę do sklepu i pomyślałam sobie, że zajrzę na moment do ciebie. - Nona wiecznie coś wymyśla, żeby usprawiedliwić swoje wizyty u Cassie. Ponieważ jednak mieszka w Westwood, a Cassie w zachodniej części miasta, wyjaśnienia są bardzo naciągane. Ale najwyraźniej konieczne. Rozbawionej Cassie przychodzi do głowy, że gdyby przyjaciółka miała psa, udawałaby, że bierze go na piętnastokilometrowy spacer. Już parę razy rozważała, czyby nie szepnąć wreszcie Nonie, że ta gra dawno się sfatygowała, ale obawia się, że podobnie jak prośby o telefon, taka szczerłość boleśnie ugodzi Nonę - delikatną i bezbronną. Pozory irytują Cassie, choć co i raz się na nie natyka, zwłaszcza w przypadku kobiet. Kobiety czepiają się udawania niczym alpiniści skały. Nie dalej jak dziś po południu badała pewną piętnastolatkę w piątym miesiącu ciąży, która żuła gumę na fotelu ginekologicznym. Dziewczyna zaklinała się na wszystkie świętości, że jest dziewicą, i przeczyła faktom z oburzeniem szczerego dziecka. *Nigdy tego nie robiłam. Ani razu. Nigdy.*

- W przyszłym tygodniu będziemy mieć wyprzedaż - informuje Nona. - Wiesz, jest taki genialny komplet Donny Karan z dzianiny w żywym zielonym kolorze, w którym ci tak do twarzy, Cassie. Jeśli się piszesz, przetrzymam go dla ciebie, żebyś kupiła sobie na wyprzedaży. Obniżona cena i moje dwadzieścia procent dają tylko dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów. - Nona zamiast ciastek i słodkiego wina na wieczorne posiedzenia

u Cassie przynosi swoje wyprzedaje. - Nie jest obcisły. Luźny. Góra kończy się tutaj. - Wstaje, żeby zademonstrować.

- Siadaj, Nona. Zjesz trochę sałatki.

Podczas gdy Nona opowiada o spódnicach z klinów i o szerokich rękawach, Cassie stawia na stole jeszcze jeden talerz. Chciałaby nakarmić wychudzoną Nonę, u której podejrzewa zaburzenia w łaknieniu. Akurat teraz Nona nie odstawia swoich zwykłych numerów przy stole, nie kroi jedzenia na małe kawałeczki i nie przesuwają ich w przedziwny sposób po talerzu, zostawiając na nim dokładnie tyle, ile zamówiła. Nie podsuwa też Cassie niczego do spróbowania i nie zaklina się, że raptem dwie godziny temu napasła się na bankiecie. - Cassie, mówię ci, zwariujesz, jak to zobaczysz!

- Nawet gdybym miała wolne dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów, i tak bym nie kupiła. Moja dusza skąpca nie zniosłaby takiej rozrzutności. - Komplet Donny Karan to inwestycja.

- Zostanę przy swoich sukienkach. A teraz mam ochotę zjeść kolację. I chcę, żebyś mi w tym towarzyszyła

- mówi Cassie, zupełnie tak, jakby były parą na balu. Nona z westchnieniem wraca na krzesło, momentalnie przeistoczona w dziecko, które ugina się pod dyscypliną. To też należy do ich gry.

Nona dłużej w pomidorze i Cassie już ma zamiar przywołać ją do porządku, ale przelyka słowa wraz z kawałkiem sera. W końcu Nona jest dorosła i - choć wygląda na ledwie dwadzieścia kilka lat i z trudem można by się dopatrzeć nielicznych śladów jej wieku - jest przecież dojrzałą kobietą.

- Jak tam Mandy?

- Jako tako. Lubi zajęcia z angielskiego i historię Grecji, poza tym, na szczęście, nie zionie gwałtowną nienawiścią do swojej koleżanki z pokoju.

- Wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw. - Nona klepie przyjaciółkę po rękę, uznając, że trzeba ją wesprzeć. Tracąc zainteresowanie sałatką, wypijają następny kieliszek wina; jej oczy zaczynają błyszczeć. Chowie kończy uprzątać ze stołu i obie przechodzą do saloniku. Nona zwija się w kłębek w rogu kanapy o wesołym kwiecistym wzorze, którą (lassie, dwa miesiące po odejściu Douga, w jakimś

irracjonalnym odruchu kazała obić na nowo, ukrywając dawne, proste szare pasy. Chciała przerobić cały dom, od góry do dołu, w szaleństwie zmian wyrwać z siebie wspomnienia, ale skończyło się na kanapie. Jeszcze zanim tapicer przywiózł tę obcą kanapę, Cassie uświadomiła sobie, że nowy dom w najmniejszym stopniu nie zmieni jej samopoczucia. Ona sama powinna poddać się renowacji, wyczyścić mózg, transplantować serce. Do dziś przechowuje kawałki materiałów, próbki wykładzin, ulotki na temat drzwi i okien w różnym stylu, zdjęcia wycięte z czasopism „Twój dom i ogród”, „Mieszkać pięknie”. I jeszcze ta kanapa, która klóci się z czarnymi jak smoła krzesłami przyrzuconymi luźnymi różowymi poduszkami - nieproszony gość na afrykańskim chodniku. Cassie wie, że trzeba by coś zrobić z salonem, kupić przynajmniej jakąś strawniejszą narzutę. Czasami jednak myśli, że zostawi kanapę w spokoju - tę wesołą dziewczynę, która z ogrodowego przyjęcia niechcący zapędziła się na poważną niedzielną mszę. Zostawi ją na pamiątkę swojej naiwności. Kolorowa sofa naśmiewa się z wiary Cassie w Douga i z zaufania, jakim darzyła mężczyznę, którego żoną była od dwudziestu lat.

- Spotkałam dzisiaj faceta - zaczyna Nona, kiedy Cassie zasiada już wreszcie w bujanym fotelu, w którym niegdyś, w mniejszym domu, nocami karmiła Mandy; były tylko we dwie, Doug spał i kto wie, może już wtedy śniła mu się zdrada? - Ze spotykaniem mężczyzn nie masz na ogół problemów.

- Więc z czym mam? - Pyta Nona z nadzieją, że Cassie postawi diagnozę. Fakt, że w jej oczach Cassie jest chodzącą mądrością, dla nikogo nie stanowi tajemnicy. To często szalenie męczące.

Teraz Cassie huśta się w fotelu na biegunach i nie chce powiedzieć, że widzi nie jeden, a wiele problemów: zamęt uczuć, raniące okruchy wspomnień, minione przeżycia, wiek, strach pierwszych zbliżeń. Wszystko to składa się na obraz skomplikowany jak rysunki Eschera.

- Opowiedz mi o nim.

Nagle wyrósł przy niej w pasażu. Wyglądał tak jak trzeba. Miał na sobie garnitur, w ręku drogą aktówkę i przeciskał się przez kryształowe pryzmy światła górnego piętra, jak gdyby

Diana Silber

spieszył się z jednego ważnego spotkania na drugie. W biegu spojrzął na zegarek i mijając Nonę, zapytał:

- Przepraszam panią, która jest godzina?

- Druga piętnaście - odpowiedziała i jakoś tak zaczęli iść obok siebie, jakby od początku wybrali się razem.

- No to mam raptem kilka minut, żeby kupić prezent

— powiedział rozzłoszczony. — Dla sekretarki. Dziś są jej urodziny. A może pani podpowie mi, do którego sklepu zajrzeć? Był taki tuzinkowy, banalny, żaden - gładko wygolony, szpakowaty, nie zwracał niczyjej uwagi. Miał twarz, którą zapomina się w mgnieniu oka, i nijakość bankowego kasjera. Tylko głos o ostrym brzmieniu pułkownika armii wyróżniał go z kręcącego się tłumu.

- Czy ma pan coś szczególnego na myśli? — spytała Nona grzecznie, kiedy zjeżdżali ruchomymi schodami na drugie piętro. Mężczyzna nie odpowiedział wprost.

- Z całą pewnością wszystkie moje pomysły byłyby nie trafione. Tak trudno zadowolić kobiety. Ale chciałbym, żeby to było coś, co zdradza jakieś uczucie, coś, czego nie można nie zauważyć.

- Może apaszka? Jakaś ozdoba do kostiumu? Albo perfumy? Mężczyzna miał tę pewność siebie, którą widziała u jednego z kolegów ojca — przy każdej jej sugestii z surowym lekceważeniem potrząsał głową. „To wszystko zbyt banalne.” Uniósł wypielegnowaną dłoń, żeby poskromić leniwy tik pod prawym okiem.

Nona wyobrażała go sobie jak - na podobieństwo jej ojca

— wyprostowany na krześle siedzi przy stole konferencyjnym nad żółtym notatnikiem, zabazgranym uwagami. - A może coś z bielizny? — zastanawiał się.

Nadal szli razem, choć niezupełnie jak para, i nagle mężczyzna nachylił się konspiracyjnie w stronę Nony, która wcale nie życzyła sobie poufałości.

- Na przykład przezroczysta, no... jak to się nazywa? Koszulka razem z majteczkami? Z koronką? Taka leciutka, że da się zobaczyć twardniejące sutki? Albo para skąpych fig, wyciętych tak głęboko, że aż widać włosy wijące się przy brzegach? Może takie jedwabne i wrzynające się w pośladki?

Nona gwałtownie stanęła przed kusząco otwartymi drzwiami

księgarni; mężczyzna trzymał się jej tak blisko, że w jego oddechu czuła zapach mandarynek.

- Albo też pas do pończoch, pod którym widać gołą cipkę - mówił poważnie, bez cienia uśmiechu.

Myślałam, że to kawał, że się z kimś założył. Albo że jest aktorem i ten tekst, który nadawał ze śmiertelną powagą, może miał być śmieszny... Ale okropnie się przeraziłam.

Nona wolałaby, żeby Cassie usiadła na sofce zamiast w fotelu, żeby mogła przytulić się do niej i odegnąć zmy, żeby mogła złożyć głowę na jej kolanach. Od chwili, gdy w łazience Flory ochlapała twarz i ręce - zupełnie jakby świństwa przyłgnęły do skóry i dawały się zmyć wodą — słyszała już swoją relację składaną Cassie. W gruncie rzeczy, z trudem się powstrzymała, żeby nie popędzić natychmiast do kliniki Magdaleny. Usta Cassie drgają jak otwarta rana.

- Dlaczego nie zostawiłaś go tam, żeby wysapał się nad bestsellerami? - wybucha nareszcie.

- Nogi miałam jak z ołowiu - tłumaczy Nona, unosząc chusteczkę do oczu. - Czy nigdy nie przeżyłaś chwili, kiedy nogi wrosły ci w ziemię? To wszystko było takie straszne... Tylko pomyśl, wiceprezes ważnej korporacji z doskonale kamienną twarzą opowiada ci o cyckach i dupie! Wcale się nie ślinił patrząc na mnie i nie wyciągnął ręki w moją stronę.

- A jak już wreszcie uciekłaś od niego, to szedł za tobą? Nona potrząsa głową.

- Zjeżdżałam schodami piętro niżej, odwróciłam się i spojrzałam w górę. Stał tam, gdzie go zostawiłam. Ani drgnął.

I czekał - myśli Cassie - na następną głupią kretynkę. Jej zdaniem, Nona miała wszelkie prawo zawołać strażników z ochrony pasażu.

Nona niczym mała, zagubiona dziewczynka — która błaga, by dać jej spokój, bo boi się wilków, pożądlivych spojrzeń i facetów w rozchyłonych płaszczach - wykrzykuje:

- I wtedy musiałabym im opowiedzieć, co mi mówił? Powtórzyć im słowo w słowo?

W gruncie rzeczy, dorośli mają rację. Choć kobiety trochę sobie pomagają, nie ma przecież bezpiecznego miejsca dla

Diana Silber

niewinnych, dla tych, które nie podejrzewają zła i nie wchodzą nikomu w drogę. Celowe akty uczuciowego wandalizmu oplatają pajęczyną dziewczęta i kobiety, które na chwilę zarzuciły czujność. Dlaczego życie kobiet musi być wiecznym Bejrutem czy Afganistanem? - rozmyśla Cassie i przesiada się z fotela na kanapę, by ująć lodowatą dłoń Nony. *Spotkałam dzisiaj mężczyznę.*

- To nie był mężczyzna, a zwykły zboczeniec! - oburza się Cassie, lecz oburzenie nie załatwia sprawy; odłupuje tylko okruchy z wielkiej skały.

- Dlaczego mnie sobie wybrał? - Na policzkach Nony widać czerwone plamy.

- Dlaczego w ogóle to robią? - odpowiada pytaniem Cassie. Jest zła i ma dość tego wszystkiego.

Należałoby zamknąć takich facetów i odessać im mózgi z trującej pożądlivosti. Cassie zrównowazona, Cassie o naukowym podejściu do życia, Cassie spokojna i bez uprzedzeń gdzieś znika, za to budzi się w niej kobieta potrząsająca zaciśniętymi pięściami, gotowa kastrować tych mężczyzn, którzy wykorzystują i gwałcą, zboczeńców i dzikie bestie, żerujące na dzieciach.

Tyle samo w niej teraz wścieklej odrazy co wstydu.

Nona wyznała swoje i od razu w lepszym nastroju wróciła do domu, ale tej nocy, po raz pierwszy od dawna, Cassie śpi niespokojnie, budząc się co i raz, zlana zimnym potem. Patrzy wtedy w ciemność, gdzie w sklepowej witrynie widzi żalosną twarz Nony i słyszy: *Przepraszam panią, która jest godzina?*

Bez Mandy soboty są puste. Przez ostatnie kilka lat rzadko wybierały się gdzieś razem; chodziły już własnymi ścieżkami, zanim jeszcze Mandy zrobiła prawo jazdy. Ale czasami zdarzały im się wspólne popołudnia, zakupy w Santa Monica czy Crystal Mail. A na życzenie Cassie Mandy jęcząc jeździła z nią na zakupy do supermarketu. Przede wszystkim jednak była w domu.

Najbardziej brakuje jej dźwięków: odkręconego prysznic w łazience, trzaśnięciem drzwi lodówki, ogłuszającego ryku U2 albo Michaela Jacksona, gdy Mandy wjeżdżała na podjazd. Jej wyjazd do college'u odebrał temu domowi wszystkie ludzkie odgłosy, zostawiając Cassie tylko z tymi, które stwarzała sama.

To jeszcze nie koniec

Bez Mandy, Cassie nie ma sił; żyje pozbawiona mocy. Głęboki związek, który istnieje tylko między matką a dzieckiem (a zwłaszcza między matką i córką), rozplywa się w nicość. Nie można zapobiec tej rozłące, została przesądzona z góry, już w chwili, kiedy Mandy wyslizgnęła się z łona. Ale brak córki na co dzień upośledza ją jak chroniczna choroba. Wzajemne odchodzenie od siebie każe jej myśleć o tym, ile ma lat, i o tym, że nieuchronnie przechodzi w szeregi starszego pokolenia. Dlatego właśnie częściej niż kiedykolwiek przedtem spogląda w lustro, wypatrując oznak starości.

Gdyby mogła mieć jeszcze jedno dziecko...

Ledwo wyczuwalne i niewyobrażalne szaleństwo ściska jej serce, w połowie cyklu pulsuje w jajnikach, narzucając jedno pragnienie: żeby jej łono jeszcze raz mogło napełnić i doznać spełnienia. Już wyzwolona (wylączywszy święta i letnie wakacje) jeszcze raz chciałaby doświadczyć macierzyństwa i tego, co się z nim łączy. Atawistyczna miłość do dziecka - tak obca wielu kobietom u schyłku dwudziestego wieku, że nie wywołuje w nich żadnych matczynych uczuć - obciąża Cassie w zdecydowanie bardziej skomplikowany sposób niż uprawianie medycyny.

Ani miłość do Douga, ani ich małżeństwo nigdy nie wywoływało w Cassie takiego dojmującego bólu, jaki odczuwa kochając Mandy. Gdyby nawet w czasach sprzed wyznania o „innej kobiecie” ktoś zażądał od niej dokonania wyboru, bez chwili wahania zostawiłaby męża i rzuciłaby się ratować dziecko. Choć czas i przestrzeń mijają, Cassie często marzy, że obie z Mandy splatają się ze sobą jak wirujące cienie, przenikają się wzajem, szczepiając molekuly, jak wtedy; gdy Mandy leżała zwinięta w jej łonie.

W jej wieku i przy jej zawodzie te mistyczne i romantyczne odczucia wprawiają Cassie w zakłopotanie. Myślenie, że tylko bezdzietne kobiety, jak na przykład Nona, lękają dziecka i wyciągają do niego drżące ramiona, jest czystą arogancją. Cassie też nic nie może na to poradzić. Sama w pustym domu, zbyt często cierpi na chorobę, którą Ewa nazywa niemowlęcym zatruciem mózgu.

Kiedy zamyka oczy i wyobraża sobie fizyczną miłość, pod powiekami widzi raptem tylko kawałki zlepione z niewyraźnych części. Wszystko się rozmywa. Nie ma przyspieszonego

bicia serca. Żadnych dreszczy pod kręgosłupem. Niby jest całkiem sprawna, choć odnosi wrażenie, że piersi i pochwę odlane ma ze spiżu, a myśl, że mogłaby naga leżeć w łóżku z mężczyzną, wydaje jej się bardziej surrealistyczna niż kolejne niemowlę.

Nie ma mężczyzny, który by dyszał z żądzą przed stosunkiem i nonszalancko rozpierał się później. Nie ma nawet cienia dziecka w gościnnym pokoju, a jak zawsze powtarzała matka, samo chcenie sprawy nie załatwia. Cassie odsuwa zatem lniany kostium i zdejmuje z wieszaka jedwabne wiązane wdzianko. Po pierwszej randce w ciemno obiecała sobie solennie nigdy więcej nie umawiać się z nieznanym facetem. „Nie” jest jedynym przyzwoitym i koniecznym słowem, ale wszelkie jej postanowienia spelzły na niczym, kiedy wpadła w sidła Beth, sąsiadki i przyjaciółki zarazem.

Dziewczęta w wieku Mandy mogą umawiać się na takie randki, ale nie niezależne zawodowo, wykształcone i dojrzałe kobiety, które samodzielnie kierują swym życiem. Jakże to niezręczne odstrzelić się w najlepsze ciuchy i uśmiechać do zdenerwowanego obcego faceta, przy czym obie strony mają to samo uczucie, że pasują do siebie jak rękawiczki nie do pary.

Przeszła już swoje w college'u. Czekać na dzwonek u drzwi, zamykała oczy i modliła się najzarliwiej: „Oby tylko nie był odrażający, niekształtny, tłusty, nijaki, z ustami wieloryba. Proszę cię, Boże, tylko żadnych pryszczyl!” Albo inaczej: „Jeśli okaże się niezłym facetem, wysportowanym, inteligentnym i ma odprasowane kanty, Boże spraw, żebym mu się spodobała!” Zabawa w szukanie partnera wywoływała te same mdłości co ciąża.

Dlaczego nie ma tu Douga, który zapobiegłby temu poniżeniu i gwarantował spokój, tworzyć dom i ratował? Ze wszystkich okropieństw jednym z najgorszych jest chyba zejść do poziomu ruchomego obiektu, który na zawołanie ma się złączyć z innym, a jeszcze wcześniej poddać zimnookiej inspekcji. Do końca życia nie wyjdę już za mąż, będę dobrą lekarką, będę pracować w klinice, stawiać diagnozy, leczyć i ratować życie, będę szczęśliwa patrząc, jak Mandy dorasta. Będę ją holować przez ostatnią fazę dzieciństwa, będę radować się jej

sukcesami i dziećmi. Mam nadzieję. Będę zadowolona z życia i będę tyć, ile dusza zapragnie. Jest tyle książek, których nie czytałam — myśli Cassie i wpina perłowy klips w ucho.

W Landry były tylko takie samotne kobiety, jak na przykład panna MacNamara, nauczycielka algebry. Nosiła się zawsze sztywno, w wykrochmalonych bluzkach, plisowanych spódnicach i swych nakryciach głowy — w niedużej beżowej doniczce wiosną i jesienią, a zimą w berecie z angory, w największe śnieżyce przewiązanym chustą — i w prostych, szytych na miarę płaszczach. Na nosie miała ślad muśnięcia pudru dobraneo idealnie pod cerę, a na wargach bladą szminkę w kolorze przywiedłych goździków. W trakcie długiej przerwy wakacyjnej panna Mac — jak ją powszechnie nazywano — w towarzystwie innych podstarzałych mieszkańców Landry, małżeństw lub wdów, jeździła na wycieczki autokarowe do Wielkiego Kanionu, na Florydę czy do Montrealu. Niezameżna kobieta, stara panna pełna tajemniczych równań, wyśmiewana przez uczniów, gdy tylko odwróciła się tyłem do klasy. Nie kochana, samotnie chodziła do kościoła, do kina, albo na kolacje w klubie kobiet, dokąd niosła zapiekankę ze słodkich pianek i patatów, martwiąc się po drodze, czy wystarczy dla wszystkich. Rozgrzewana matematyką, przygotowywała w domu samotne posiłki, nie dając żonom, matkom, nastolatkom (mężczyźni w ogóle jej nie zauważali) najmniejszego powodu do plotek.

Panna Mac... — wspomina Cassie, spryskując szyję wodą toaletową. Panna Mac sprawiała wrażenie osoby szczęśliwej, pełnej. Skąd się to brało? Czy stąd, że nigdy nie zanosła się płaczem na głównej ulicy miasta? Litowano się nad nią. „Biedna, stara Mac” — mawiała o niej matka. Żadna z dziewcząt nie wierzyła, by stara Mac kiedykolwiek była ładna, ani w to, że mogła chodzić z chłopakiem na tańce i jak one uciekać w parach gdzieś na siano, 14 lutego dostać kartkę z wyznaniem, nosić pierwszy stanik albo trzymać się za ręce i całować. No przecież niemożliwe, że taka panna Mac — w wełnianych spódnicach i ze sztucznymi kwiatkami wpiętymi nad pulchną lewą piersią — kiedyś mogła to robić.

Cassie maluje górną wargę i wspomina pannę Mac, samotną jak palec, od kołyski po grób.

Diana Silber

Nie jestem taka jak ona. Teraz już nie ma takich kobiet. Świat się zmienił. Wszędzie są plastiki i komputery. Mamy pigułkę antykoncepcyjną, wyprawy na księżyc i kreskówki pornograficzne.

Poza tym - przekonuje się Cassie - ja wiem, co to miłość. Wiedziałam. No i mam dziecko.

Chrupki serowe Beth są czystą poezją. Podobnie jak maleńkie paróweczki zawijane w plasterki boczku i pasztet, który aż trzeszczy od ziarenek pieprzu.

Beth, z natury hojna, ma dużą wyobraźnię, o wiele bujniejszą niż mocno dojrzałe, rozłożyste biodra; już jej się śni ślub Cassie z „nowym facetem z biura Ala”.

Wnosi wiaderko, w którym okruchy lodu błyszczą jak brylanty arabskiego szejka, i pyta wygodnie rozpartego męża:

- Bajkowy, prawda, kotku? - Nim Al zdążył wybąkać opinię w tej sprawie, Beth już tokuje dalej: - Jest bardzo miły. Dokładnie taki, jakiego ci trzeba, Cassie. Zrównoważony, można na nim polegać, rozumie, co to odpowiedzialność, i nie marzą mu się wypadki z podfruwajkami.

Obie pary przyjaźniły się po sąsiedzku i Beth nie może Dougowi darować dezercji. Zostawił Cassie, rozbił dobraną czwórkę, a w ciągu ostatnich trzech lat widziała go tylko raz, i to z daleka. Kiedyś, gdy Doug przyjechał zabrać Mandy, Cassie spojrzała w okno sypialni Levinsonów i ujrzała w nim Beth, która patrząc w dół ułożyła palce w znak krzyża, jakby broniąc się przed wampirem.

- Skąd ty wiesz, że on taki miły? - droczy się Al. - Przecież go nie widziałaś na oczy!

Beth potrząsa ondulowanymi lokami.

- Słyszałam, co mówiłaś. Wygląda mi na człowieka sukcesu, inaczej nie proponowałabym, żebyś przedstawiał go Cassie. W końcu Cassie zasługuje na najlepszego, a nie jakiegoś tam „przeleć mnie”, czy innego byle jakiego gościa. Mówię ci, jest świetny, więc nie denerwuj jej, bo mi tu skona. Jeśli już zapomniałeś, to przypominam ci, że niełatwo jest być samemu.

- Czy ja kiedykolwiek byłem sam? Mam wrażenie, że pobraliśmy się już w przedszkolu!

To jeszcze nie koniec

- Cha, cha, cha! Jakiś ty dowcipny, Levinson! Lepiej byś zrobił Cassie drinka - mówi Beth i wraca do kuchni.

- Mam ci zrobić drinka. Słyszałaś. Czego się napijesz? - pyta Al, udając rezygnację, i wlecze się do barku. Jest dużym mężczyzną; ma ponad metr osiemdziesiąt i z lekka mięknie jak przejrzały melon. Różowa, lśniąca skóra czaszki prześwieca niczym fragmenty układanki, spod rzednących, mysich włosów.

- Chyba wino. Białe, jeśli macie.

- Ona pyta, czy mamy białe wino! A czy papież ma święconą wodę?

- Tylko bez naśmiewania się z katolików! - wrzeszczy Beth. Al unosi krzaczaste brwi. Jego twarz nabiera wyrazu głupawego clowna bez makijażu.

- Jak ona to robi? Ja zaczynam już głuchnąć. Baterie nawalają, albo co? Ale spójrz tylko na moją żonę! Beth słyszy, jak szpilka spada w Australii! Cassie lubi Ala. Widać w nim jeszcze ślady urody sprzed lat, ma cięty dowcip i łagodną, wyrozumiałą naturę, która doskonale pasuje do wiecznie zaaferowanej, żywiołowej Beth. Al sprawia wrażenie życiowego szczęściarza, wędrowca gładkich autostrad, który bezbłędnie unika złych zakrętów. Lecz Cassie wie - z bezwstydných zwierzeń Beth - że kiedyś było im źle, że przeszli razem piekło i że nic, ani ich skromny dom w Palisades, ani ich syn, Tony, nie zostało im dane za darmo. Pobrali się zaraz po szkole średniej, ciemną nocą uciekając z Pensylwanii do Maryland. Rodzice, zdecydowanie przeciwni mieszanym małżeństwom, uważali ich związek za mezalians. Beth, katoliczka, i Al, Żyd, wzięli ślub cywilny przed sędzią pokoju. Trzydzieści lat później, ulegając w równej mierze kaprysowi, jak i dewocji, małżonkowie odnowili śluby przed kapłanem kościoła unitarnego. Na początku małżeństwa z miłością, później z ponurą determinacją próbowali zrobić sobie dziecko. Beth opowiada przerażające historie o termometrach i skrupulatnie prowadzonych wykresach owulacji, o lekarzach i specjalistach od planowania rodziny, o seksie w zadanych pozycjach i stosunkach, które w niedługim czasie przestały im sprawiać przyjemność. Każdemu orgazmowi towarzyszyło nie poczęte dziecko.

Kiedy Beth dowiedziała się o Dougu, wrzasnęła wielkim

głosem, odsądzając od czci i wiary wszystkich mężczyzn w wieku klimakteryjnym i młode kobiety bez zasad. Którejś rozszlochanej niedzieli nawet płakała z Cassie, jakby nieszczęście dotknęło ją samą; oplakiwała zmarnowaną miłość i koniec romansu. Tymczasem Al, któremu aż pociemniały szarogolebie oczy, poklepał Cassie lekko po ramieniu i stwierdził, że współczuje i Cassie - bo przecież nie chciała tego rozwodu - i Dougowi, błędzającemu głupcowi, który zamiast spodziewanego raju, odnalazł sobie piekło. Ciche współczucie Ala wzruszyło ją bardziej niż głośnie wybuchy Beth. — Spróbuj tych — nalega Beth i podsuwa talerz z serowymi chrupkami. — Wspaniale! — chwali Cassie.

— Mogą być, mała. — Mogą być? Ty to się znasz! Opowiedziałeś jej o Jimie?

— Myślałem, że już podrzuciłaś Cassie akta tego biedaka. Co ja mógłbym jeszcze powiedzieć? Ze na małym palcu nosi czterokaratowy brylant? — Nieprawda!

— Beth! — Cassie wybucha śmiechem.

— Nie uważasz, że powinna już wiedzieć, kiedy ją nabieram?

— Al udaje, że się gniewa, ale drażnienie żony sprawia mu niejaką przyjemność. Lubi patrzeć, jak żona nerwowo przebiera nogami i gotowa jest odgryźć sobie język.

— Nie rozmawiam z tobą — oświadcza Beth z urazą. Al traktuje rzeczy dosłownie, jest pogodny, ale i porywczy zarazem; to wszystko męczy Beth. Czasami widzi, jak Al, czymś zatroskany, marszczy brwi i mocno zaciska szczęki. Od czasu do czasu zgrzyta przez sen, co Beth przypisuje nocnym koszmarom albo niestrawności. Tymczasem jednak, zaalarmowana perfidią Do-uga Morgana, szpera po kieszeniach i obwąchuje mężowską marynarkę w poszukiwaniu obciążających dowodów.

— No, dobra — wzdycha Al i wyklada nogi 'na stolik, a Beth machnięciem ręki natychmiast przywołuje go do porządku. — Jim Harvetti jest u nas inżynierem. — „U nas” to firma budowlana Arco, gdzie Al pracuje jako główny księgowy. — Rozwiedziony, lat czterdzieści trzy...

— Widzisz, nie przyznawaj się, ile ty masz — ostrzega Beth,

rozparta w rozłożystym fotelu naprzeciw Ala. Cassie siedzi na kanapie między nimi.

- Beth, ja mam raptem czterdzieści cztery lata.

- Nie szkodzi. Tu idzie o jakąś dominację, czy coś w tym stylu. Czytałam o tym w jakimś czasopiśmie. Inna sprawa, jeśli w grę wchodzi ogromna różnica wieku, jakieś dziesiątki lat, no wiesz, dziesięć czy piętnaście. Wtedy to jest w dobrym tonie, nabiera hollywoodzkiego smaczku. Jak z Cher.

- Może Cassie zaczęłyby się umawiać z Tonym — proponuje Al.

- Ale śmieszne!

- Sama powiedziałaś, że starsze panie i młodzi chłopcy to jest to. Dlaczego więc Cassie nie miałyby zachowywać się stylowo, co? Tony ma dwadzieścia cztery lata i *voilà*. Masz swoją przepaść pokoleniową. Żarty z ich jedyne go syna, ni to chłopca, ni mężczyzny, nie są dobrze widziane. Tony trochę się ślizga przez życie, trochę potyka. Wyleciał z jednego college'u, potem z następnych, czasem statystuje w filmach, częściej kelneruje w knajpach i, jak to Beth nazywa, „sam siebie widzi jako jednostkę utalentowaną i ciągle poszukującą”.

Beth zdecydowała, jeśli nie na sali porodowej jeszcze, to w każdym razie zaraz potem, że Tony będzie lekarzem. Chlubila się wujem medykiem, który zawsze był dla niej wzorem, i chciała, by Tony poszedł w jego ślady. Chciała, by cieszył się społecznym prestiżem, by w każdej ludzkiej wspólnocie mógł znaleźć sobie bezpieczne miejsce i przeżyć dobrą karmę. (W latach sześćdziesiątych Beth przez chwilę interesowała się religiami wschodu.) Na drugim miejscu stawiała prawo, a dalej wspartą studiami księgowość, to już wzorem męża. Tony zawsze miał to wszystko w pięcie. Cóż, jest jeszcze młody. Dzieciaki teraz później zaczynają. Któregoś dnia zarumieniona ze wstydu Beth wyznała Cassie przez płot: „Tony musi się zebrać do kupy”.

- Jim, żebyś mi był ładnym chłopcem, bo inaczej... - mówi Beth, odsuwając od siebie niezdrową myśl o związku jej syna z jakąkolwiek starszą kobietą i naprowadzając Ala na temat dzisiejszego spotkania.

- Ładny chłopiec... A skąd ja mogę wiedzieć, czy jest ładny? Facet, ma dwie ręce, dwie nogi, głowę...

Diana Silber

- Ma włosy?

- Włosów ma tyle, że ptaki mogłyby w nich uwić sobie gniazdko - odpowiada Al.

- Już przestańcie. Przez was robi mi się jeszcze gorzej. Mam ochotę wpełznąć pod chodnik.

- O, Cassie, moja kochana! Przepraszam cię. - Beth zrywa się, pędzi do przyjaciółki na kanapę i chwyta ją za rękę; jej długie srebrne kolczyki kołyszą się współczująco.

- Już dobrze, dobrze. Jakoś to przeżyję. Wszyscy przeżyjemy. Cassie dobrze wie, że na stopniach przed drzwiami Ala i Beth nie stanie żaden Harrison Ford. Jakiś szósty zmysł, jej doświadczenie, entuzjazm i brak krytycyzmu Beth oraz bezbrzeżna miłość Ala do żony, która każe mu w nieskończoność spełniać jej zachcianki, podpowiadają jej, że choć Jim nie jest potworem, nie jest też i dla niej.

Czy w ogóle istnieje gdzieś mężczyzna dla niej? Jakiś drugi Doug (nie, nie, tylko nie to!) łagodny i pełen zrozumienia przyjaciel, kochanek? I po co ona to robi? Odpicowana siedzi tu i czeka na faceta, którego tak naprawdę wcale nie chce poznać. Jest niczym planeta, która wypadła z orbity i w pojedynkę szybuje przez kosmos. A mimo to przez pięć dni w tygodniu udaje jej się być kimś, stanowić miarę dla innych kobiet. Samotność — nieuleczalna kobieca choroba...

Dawno temu - rozmyśla Cassie, siedząc na środku pasiastej kanapy Levinsonów, z którą się gryzie jej sukienka — pionierskie Amerykanki, zasypane śniegiem surowych zim, blakły w domach i do wiosny odchodziły od zmysłów. Te, które mieszkały w miastach, kryły się na strychach. Jak świat światem, samotne kobiety zawsze były nieszczęśliwe. - Jeśli po dwóch drinkach Jim będzie nadal sztywny, powiem zwyczajnie: „Pewnie chcecie się gdzieś razem wybrać na kolację” — Beth powtarza sobie zadaną lekcję i właśnie wtedy rozlega się dzwonek u drzwi. — Już jest! — To Beth poprawia fryzurę, wygładza sukienkę i układa usta w uśmiechu, jakby to ona grała główną rolę w dzisiejszym spektaklu.

Oczywiście jest miłym facetem, jak wszyscy. Sympatyczny, o twarzy, o której Cassie - gdyby miała opisać ją z pamięci

To jeszcze nie koniec

- powiedzialaby, ze jest jak usypana z piasku. Jim ma niski głos, mówi bez szczególnego akcentu i nie podkreśla znacząco żadnych słów opowiadając o pracy, dzieciach, swojej bylej żonie, o ich małżeństwie, które rozeszło się jak nasiąknięta wodą bibułka. Mieszka w Manhattan Beach, ale bez widoku na morze. To właśnie boli go najbardziej i rozmawia z Cassie tak, jakby znalazł w niej partnerkę do swoich konspiracyjno-prze-prowadzkowych planów.

Siedzą nad dwiema margaritami, frytkami i *salsą* w meksykańskiej restauracji, którą wybrał on, i są tak samo dwuwymiarowi jak postacie, namalowane niezręcznie na szorstkim tynku ściany.

Jim pyta o pracę w klinice, lecz bez specjalnego zainteresowania. Cassie mówi, że jest babskim lekarzem i widząc, jak Jim wierci się na krześle, sądzi, że jej zawód wprawia go w zakłopotanie. Kobięce sekrety są pewnie przerażające, ale na szczęście Jim się rozluźnia, gdy Cassie zaczyna opowieść o Mandy. W ich wieku wszyscy, albo prawie wszyscy mają jakieś dzieci i dzieci stanowią świetną podporę kulejących rozmów obcych sobie ludzi.

- Spróbuj kurczaka *fajitas* - namawia Jim, kiedy nadchodzi pora, żeby zamówić główne danie.

Cassie zgadza się, bo najwyraźniej zależy mu na tym, ale szczerze mówiąc chciałaby już być w domu i usiąść nad resztką zupy z soczewicy i razową grzanką. Przykro jej, że dzieli ich martwa przestrzeń.

Zaczynają jeść, lecz mimo iż Jim usiłuje rozgrzać ją dowcipem, atmosfera jest zimna. Po chwili, kiedy ich śmiech wsiąka w ciszę, Cassie już nie pamięta kawału.

Po kolacji, gdy Jim odwozi ją pod dom, Cassie spogląda w górę, w okno sypialni Levinsonów; a nuż coś szepcze za firanką? Jim mówi, że świetnie się bawił, i obiecuje zadzwonić. Cassie wie, że nie będzie żadnego telefonu, i oddycha z ulgą.

Jego usta składają na policzku Cassie lodowaty pocałunek, a ona chce wierzyć, że Jim nie ma jej bardzo za złe straconego wieczoru i pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu dolarów wydanych na kolację z kobietą, której już jutro nie rozpozna na ulicy.

5

Zamglona postać z gumowym węzłem w ręku miękko porusza się za wodną ścianą akwarium. Cassie usłyszała strumień wody uderzający o kuchenne okno i szybko zbiegła na dół, by obserwować Jake'a. Wreszcie podniósł wzrok i dojrzał ją przez spływające po szybie strużki. Kiedy już skończył, wyszła przed dom i pyta:

- Piwo?

Jake ciągnie przez trawnik milczącą kosiarkę i bez wysiłku stawiając ją na tył samochodu, rzuca przez ramię:

- Chętnie.

Podchodząc pod dom, zawija rękawy wyblakłej roboczej koszu-

To jeszcze nie koniec

li, zupełnie tak, jakby zaproszenie na piwo stanowiło zwykłą formalność i jakby oboje rozumieli, że tym razem Cassie zaprosi go do kuchni. A jednak, kiedy Cassie przytrzymuje otwarte siatkowe drzwi, Jake waha się, sztywnieje i węszy prawie jak jeden z psów myśliwskich Douga - nim decyduje się iść za nią. Ma lekkość i grację ruchów tancerza; tak miękko stąpa na piętach, że Cassie zastanawia się, czy trawa się pod nim ugina.

Wyjmuje dwa piwa Coorsa - jedno dla niego, drugie dla siebie - i rozważa, czy nie zaprosić go do stołu. Ale on zatrzymuje się przy szafce i opiera o blat. Ona też szuka oparcia koło lodówki, czując się mało pewnie, jakby stała nie na podłodze, a na tafli wody.

Dobrze wie, że nagle zmiana w powietrzu i naładowane elektrycznością ładunki unoszące się wokół nich to tylko gra wyobraźni. A mimo to w jego obecności kuchnia staje się inna. Jake zmienia znajome wnętrze. Czując gwałtowną potrzebę przerwania ciszy - o wiele bardziej znaczącej niż cisza nad meksykańską kolacją - Cassie chwytą się pierwszej myśli, jaka przychodzi jej do głowy:

- Ogród wygląda prześlicznie.
- Nie ma tu za wiele roboty. - Jake upija łyk piwa, po czym przytula puszkę do policzka, zupełnie tak, jakby to zrobił Doug w gorący dzień, tyle że popołudnie akurat jest dość chłodne.
- Wiem, że nie jest to największy ogród, jakim pan się zajmuje.
- Jest trawa, żywopłot, palma i kwiaty. Czego więcej trzeba?
- Nie, nie, ja nie narzekam. Dla mnie jest zupełnie w sam raz. Nie za duże i nie za małe. Ale Mandy zawsze chciała mieć basen. Mandy to moja córka - wyjaśnia.
- A gdzie ona jest? Nigdy jej nie widuję.
- W szkole, w college'u. Jest na pierwszym roku. Okropnie mi jej brak. Dom bez niej staje się taki pusty, zwłaszcza w czasie weekendów. Obijam się tu jak zablakana kula bilardowa. — Cassie gotowa jest ciągnąć wątek i opowiadać mu, że czasem ma nawet ochotę wyć z tęsknoty za ludzkim głosem, lecz nagle boi się, żeby jej źle nie zrozumiał. Nie chce, by sobie pomyślał, że składa mu propozycję.

Diana Silber

Jake dopija piwo i, wbrew jej oczekiwaniom, nie zgniata puszki, lecz stawia ją ostrożnie przy zlewie.

- Może jeszcze jedno? - pyta Cassie i chwytając za rączkę lodówki, zastanawia się, dlaczego to robi.

Dlatego, że w zeszłym tygodniu potraktowała go tak jak jednego z włóczęgów mamy?

- Nie, dziękuję. Muszę już iść.

- Naturalnie — przytakuje mu spieszenie i niepokoi się, że on pewnie uważa ją za znudzoną, zlaknioną seksu kurę. Tylko co jej na tym zależy? Może jeszcze nie jęczy, żeby ją ktoś zgwałcił na kubie od śmieci, ale też wie, że nie zniesie już dłużej tej głucho dudniącej pustki, która jak liszaj rozpełza się po jej życiu.

W uszach dźwięczy jej „biologia” Ewy; słyszy to słowo rozciągnięte w kryształowe nuty sylab. I od razu szydzi z siebie w myślach: „No nie! Tylko nie to! Nie z ogrodnikiem!” Przypomina sobie Lady Chatterley i omal nie wybucha śmiechem.

- A skoro mówimy o ogrodzie - zaczyna Jake. - Myślę, że w przyszłym tygodniu trzeba będzie przyciąć żywopłot. Zwłaszcza przy podjeździe.

- Skoro pan tak uważa.

Podoba jej się twarz Jake'a, czasem nieco wroga i jakby nadto zużyta. W trakcie rozmowy miała ochotę zapytać go, kto złamał mu prosty nos i skąd wzięła się ta sierpowata szrama wysoko na lewym policzku. I właśnie dlatego czym prędzej mówi:

- Niech pan robi wszystko, co uzna pan za stosowne. Ja z trudem odróżniam nagietek od tulipana. Lepiej będzie, jeśli pan sam będzie decydował w sprawach kwiatów, żywopłotu i trawy. Zresztą i tak głównie mnie nie ma. Dzisiejsze popołudnie jest akurat wyjątkowe. - Usiłuje wymazać wszelkie niepochlebne i uwłaczające jej godności wrażenie, jakie mógł odnieść z wcześniejszej rozmowy. - Miałam nagły przypadek w szpitalu i już nie było po co wracać do kliniki. Łóżysko przodujące. Normalnie zrobiłabym cesarskie, ale i tak doszło już do rozwarcia.

No teraz znów przesadziła! Czy nigdy nie uda się jej zachować jakiejś równowagi?

- Wiem, wiem, pani jest lekarką. Yang mówił mi. Pani doktor Morgan.

- No tak. Właśnie. - Cassie wpycha ręce w kieszenie białych prostych spodni.

Jake stoi jedną nogą w kuchni, drugą już na ganku. Zaraz sobie pójdzie, machnie jej na do widzenia i podziękuje za piwo. Cassie aż płonie ze wstydu, że w ogóle przyjęła go w kuchni. Tymczasem on zatrzymuje się i pyta:

- Lubi pani muzykę?

- Pewnie. Jak wszyscy.

- Jaka?

- Ja wiem...? Chyba każdą oprócz hard rocka. Heavy metal brzmi dla mnie jak symfonia samochodowego karambolu. Bo? - Trochę gram na gitarze. Nic specjalnego. W sobotę mam kilka kawałków u Malone'a przy Siódmej za Arizoną. Wpadnie pani na chwilę? - Może - odpowiada Cassie. Czy to ma być randka? Jake jakoś nie może się zdecydować. - Zaczynamy o dziewiątej i gramy do północy. W przerwie mógłbym pani postawić piwo. W drodze rewanżu. Czeka na odpowiedź, a Cassie zaczyna krążyć wokół stołu, ustawiając dokładnie na środku miskę z owocami i przesuując na skraj blatu równiutko złożoną gazetę. Ma iść czy nie? Czego właściwie chce? - zastanawia się, jakby jej „chcę” albo „nie chcę” miało jakiegokolwiek znaczenie. Cóż, trochę muzyki, jedno piwo w barze i mężczyzna, który podoba jej się na tyle, żeby go wpuścić do kuchni... Cassie nie wie, kto bardziej wytrąca ją z równowagi: ona sama czy może ten Jake... Myśli o nim „ten” Jake, żeby chociaż przez użycie zaimka zachować pewien dystans.

Musi na niego spojrzeć, „ten” Jake czeka na odpowiedź, „ten” Jake ściska lekko, siatkowe drzwi jej kuchni... Nagle, rozzłoszczona własnym rozdygotaniem, którego nie może określić ani zdiagnozować jako zjawisko medyczne, rzuca: - Nie wiem. Zobaczą. - A kiedy drzwi cichną już za nim, łagodniej dodaje: - Może przyjdę.

Agencja sprzedaży nieruchomości Geoffreya Brooka zatrudnia stu dwudziestu pięciu agentów w biurach rozrzuconych we wszystkich południowych stanach. Pracują w niej bezdzietne

żony i młode rozwódki dorabiające do alimentów, którym wydaje się, że sprzedać dom nie jest żadną filozofią - każdy umie to zrobić - pracują też weseli faceci, którzy umierają ze strachu przed transakcją powyżej pół miliona dolarów, i starzy wujkowie w marynarkach z elany, sztywni jak na własnym pogrzebie. Ale trzon firmy stanowi grupa doborowych agentów, napalonych i zajadłych, obracających nieruchomościami tak zażarcie, jak farmer z Iowy obraca ziemię plugiem. Nie płeć, ale temperament i rozpalona ambicja charakteryzuje prawdziwych królów ulotnego rynku, tych, którzy wypracowują kontakty, wspólnie kupują osiedla luksusowych domków - rekinów złaknionych kolejnej wielkiej szansy. Ci różdżkarze i jasnowidze handlu i pośrednictwa idealnie wylapują okazję, ważą oferty i kontroferty, kalkulują miejsca i ceny.

W biurze Brooka na Beverly Hills - w głównej siedzibie firmy - tacy agenci nigdy nie siedzą na środku sali jak senaccy stenografowie. Oni wygrali sobie miejsca z tyłu, arcykapłani fachu zaś zajmują prywatne gabinety z dala od wysokich okien, przez które mogliby zaglądać ciekawscy spacerowicze z ulicy Rexford. Nie, nie, oni nie należą do skromnego klubu „miliona dolarów”; to ludzie, którzy wstąpili do złotego kręgu, wtajemniczeni zaś wiedzą od razu, że ich zarobki sięgają dobrych kilku milionów.

Ewa zajmuje miejsce na wewnętrznym kręgu biura, zaledwie dwadzieścia kroków od wyłożonego drewnem sanktuarium Tytusa Reynoldsa, gdzie drzwi są właśnie otwarte na oścież i wewnątrz widać światło rzucające perłowe refleksy na drewniane ściany. Tytus jest wiceprezesem firmy i zajmuje się wyłącznie „starymi” pieniędzmi i ludźmi, którzy w Beverly Hills mieszkają od co najmniej trzydziestu lat. Jego klientkami są wdowy i mężczyźni, którzy przechodzą właśnie na bajeczne emerytury i chcieliby zamieszkać w Palm Springs albo w jakimś spokojnym apartamencie w Wilshire. Tytus ma również swoją oddaną koterię wielce zaprzyjaźnionych rezydentów okolic Hancock Park, którzy natychmiast wydzwanają do niego, ilekroć odwiedzi im się przekazanie rodzinnego gniazda mocno już dojrzałym dzieciom. Tytus ma siedemdziesiąt lat i twarz chochlika, z wianuszkami srebrnych włosów okalającym piego-

watą czaszkę; jest bardziej kwintesencją dawnego Los Angeles niż krzykliwego hollywoodzkiego showbiznesu. Tytus nigdy nie zadaje się z imigrantami, osławionymi krezusami z Iranu - którzy o sobie mówią: „Persowie w Kalifornii” - z Koreańczykami ani też z ugrzecznonymi Japończykami. Ci przybysze mają tyle forsy, że mogą nią sobie tapetować łazienki, ale tak astronomiczne kwoty tracą ludzki wymiar i tego zasiedziałego od siedmiu pokoleń mieszkańca Los Angeles wprawiają w prawdziwe zakłopotanie. Tytus ma absolutny dar subtelnego rozgrywania partii; nigdy nie napiera na klienta i nie wychwala pod niebiosa dobrych stron danej posiadłości, z jasnym spojrzeniem przemilczając jej grube mankamenty. To bardziej zaszczyt dla klienta niż odwrotnie, że Tytus podejmuje się pośredniczyć w zakupie, że zada sobie trud, by znaleźć przyszłym nabywcom dom odpowiedni właśnie dla nich. Lecz w ciągu minionych sześciu miesięcy Tytus stracił pierwszą lokatę na Beverly Hills, a przez ostatnie trzy zjechał ze swej wygodnej pozycji wśród dziesięciu procent najlepiej prosperujących agentów w firmie. To właśnie jego gabinet bardzo marzy się Ewie. Ktoś powinien u niego zgasić światło - myśli Ewa wiedząc, że Tytus akurat gdzieś wyszedł. Stary pracuje od dziesiątej do szóstej przez pięć dni w tygodniu i, jak mu wypadnie, w soboty i niedziele. Ten zwariowany, nieobliczalny rynek w tym i w ubiegłym roku potrafił zachwiać nawet najlepszymi agentami. Niektóre domy nigdy nie trafiają na listy ofert, bo są rozchwytywane na pniu, inne usychają na listach przez rok. Pozbawieni wyczucia albo też uparci właściciele maleńkich rancz bądź kilkupoziomo-wych domków na działkach wielkości chusteczki od nosa nastają, z tytułu lokalizacji - to święte słowo w Los Angeles - na kwoty w okolicy miliona dolarów, znajdując coraz mniej chętnych. Na trasie - cotygodniowym objeździe najnowszych domów, które trafiły na listy - coraz częściej słyhać spory, czy dobrze ustalono cenę wywoławczą. W dzisiejszych czasach trudno jest idealnie trafić z wyceną domu, to znaczy przewidzieć, ile nabywca gotów jest maksymalnie wyłożyć. Sprzedający o zbyt wygórowanych oczekiwaniach albo taki, któremu sprzątają dom sprzed nosa, bo tani, pretensje ma zawsze do

agenta. Taki nieszczęsny agent za którymś potknięciem dostaje czarną polewkę od Toma Hollowaya, dyrektora na Beverly, bo stał się wrogiem sprzedającego i stracił klienta na przyszłość.

Na słabo związanej glebie południowej Kalifornii, gdzie ziemia drży od sejsmicznych wstrząsów, jej chwilowi mieszkańcy, kupując i sprzedając domy, wygrywają istne muzyczne kantaty. Ciągłe pnąc się w górę - albo, co nie daj Boże, czasem ześlizgując w dół - wracając pod koniec dnia z pracy, często nie pamiętają, gdzie ich dom. Dzieci w szkole muszą się dobrze zastanowić, nim podadzą właściwy adres. Handel nieruchomościami w Los Angeles przypomina jakąś planszową grę z domami-pionkami, które gracze z zapartym tchem ciągle przesuwają, by żony i mężowie nigdy nie mieli swego miejsca na ziemi, by za każdym rzutem kostką inny meblowóz wiózł ich dobytek w nowe miejsce. Zmiana oprocentowania kredytów jest głównym tematem dnia, nawet jeśli akurat w tym samym czasie zdarzy się też trzęsienie ziemi o sile pięciu stopni, od którego śródmiejskie budynki chwieją się jak trzciny na wietrze. Fakt, że okazały kawałek ziemi w każdej chwili może oderwać się od reszty ładu i podryfować na zachód, w stronę Kataliny, niektórych martwi w znacznie mniejszym stopniu niż fluktuacja cen działek.

Na biurku Ewy dzwoni telefon. Ewa podnosi słuchawkę i spodziewa się, że recepcjonistka zapowie jej klienta, tymczasem słyszy męski głos: - Ewa? Tu Johnny.

Zaczyna gwałtownie przerzucać w pamięci swój notes, by znaleźć tego „Johnnyego Jak On Się Nazywa?” a tymczasem radośnie rzuca w mikrofon:

- Cześć, kochany! Jak się masz? Kopę lat!

- Już dawno chciałem się odezwać, ale tak jakoś zleciało.

Nareszcie! To Johnny Lerner, handlowiec, żonaty, rozwiedziony, znów przez jakiś kwadrans żonaty. Jest właścicielem willi za półtora miliona w Malibu, i, jak wieść niesie, restaurował sobie gębę w klinice Betty Ford. Johnny, tłusciuch, nieodmiennie stojący troszkę z boku, w słonecznej Kalifornii obnosi bladą, woskową twarz. Od urodzenia ma pod brodą znamię przypominające truskawkę, a na ustach nieśmiały uśmieszek bohaterów ilustracji Normana Rockwella.

- Wczoraj na Heathrow widziałem kobietę, która przypomniała mi ciebie. Kochana Ewa, pomyślałem sobie, nie widziałem jej chyba od ostatniej ery lodowcowej.

- O, mglisty Londyn! Sama radość! - Ewa robi miny i uśmiecha się, jakby telefon wyposażony był w telewizjer. - Mglisty! Trafiłem akurat na falę upałów! Przez tydzień temperatura nie spadała niżej czterdziestu! - Śmieje się. - Było tak strasznie, że jakaś kobieta zemdląła na ślubie.

- Nie wiedziałam, że znów powzięłaś nieodwołalną decyzję

- mówi Ewa bawiąc się spinaczem do papieru; odbiega myślą od rozmowy z Johnnym. Wszyscy mężczyźni na tym świecie to albo mężowie swych żon, albo pedały. - Nie, nie ja. Moja siostra.

- A zatem nie pojechałaś do Londynu w interesach. - Ewa spogląda na zegarek. Właśnie teraz powinien zjawić się klient. - O, nie! Dzięki Bogu, nie! Wycofałem się z tego. Nic nie słyszałaś?

Czyżby sprawdzały się plotki? - Wygląda na to, kochany, że musimy uzupełnić dane.

- Mamy świetną okazję dziś wieczorem.

Johnny przypomniawszy sobie o przyjęciu, na które obiecał wpaść. Czy ona będzie kochana i wybaczy mu, że zaprasza ją w ostatniej chwili? On tak nie cierpi wielkich spędów!

- Potrzymasz mnie za rękę, co?

- Robię to tylko dla ciebie. - Stary dureń na pewno chce iść do łóżka. Ale dlaczego z nią? Nigdy nawet przypadkiem nie przytulili się do siebie, nawet się nie dotknęli. Ale, hm... nie jest w końcu taki najgorszy, a ona już zbyt długo nie spała w nocy z mężczyzną. - Wpadnę po ciebie o ósmej.

Powinna była odmówić, udać żal z powodu wcześniej umówionego spotkania, zwrócić mu uwagę, że w przyszłości musi ją zapraszać z jakimś wyprzedzeniem. Tak przecież zachowują się mądre kobiety - w krótkim terminie po prostu są nieuchwytnie

— ale Ewa natychmiast się rozgrzesza, że idzie jej o przyjęcie, a nie o Johnny ego. Przyjęcia są źródłem potencjalnych klientów firmy. Pracować można w salonie i nad basenem, wystarczy przy bufecie rzucić od niechcienia: .Absolutnie genialna okazja! Oddają to za

Diana Silber

darmo!" Tak naprawdę to wszelkie „okazje”, zwłaszcza te ze świetną lokalizacją, czarują tych, którzy tylko marzą o przeprowadzkach. Nie, nie, nie jedźcie tam dla Johnniego; wybiera się wyłącznie w interesach.

Przecież Johnny jest gruby i nudny.

Zmienił się. Jest szczupły, ma spadziste ramiona bez tej góry tłuszczu, którą Ewa pamięta, i kiedy tak stoi w drzwiach, wygląda jak postać wycięta z papieru; można by go bez trudu unieść i zawiesić na kołku. Kiedy to ostatnio widziała Johnniego? Sześć, osiem miesięcy, czy może już rok temu? Czas nie oszczędził jego twarzy. Pod oczami widać wiatr polnych dróg, a spadek wagi obnażył dramatycznie sterczące kości policzkowe. Ogólny koloryt też jakby zmienił się na lepsze; Johnny nie wygląda już jak przysypany mąką. Zrzucił zbędne dwadzieścia pięć kilo i choć się postarzał, jest znacznie przystojniejszy. Tylko to truskawkowe znamię... nic się nie zmieniło; nadal kształtem przypomina Australię i jest intensywnie czerwone i lśniące jak galaretka. — Genialnie wyglądasz! Co to się stało?

— Otrząsnąłem się. Postanowiłem dobrze się prowadzić i przestać opychać jak tuczone prosię.

Skończyłem z alkoholem, tłustym jedzeniem i wyzerką w Chinoise i Trumps. Jadam tylko zdrową żywność. Prawdopodobnie jestem jedynym przypadkiem człowieka w historii, który jakoś przeżył ten cios. -Uśmiecha się, a jego uśmiech wygląda teraz inaczej.

Czekają na windę w jej eleganckim bloku w Wilshire i Ewa stwierdza, że nowy, kanciasty Johnny zaczyna ją niepokoić. Wstąpił na drogę odnowy i stał się wyciszony i ostrożny. Pod słoneczną fasadą krył się męczyzna rozważny, który oprócz nadwagi stracił też wilę w Malibu Beach, handlowe konta rozliczeniowe, udziały, obligacje i niezwykle dochodowe zajęcie, które zapewniało mu wszelkie możliwe luksusy. Utracił też reputację bystrego kupca.

— Zaczerpnąłem powietrza, wciągnąłem nerwy głęboko i wysmarkałem kilka dobrych fortun. - Johnny strzela palcami, najwyraźniej świetnie pogodzony z utratą przeszłości. - Nie byłbym już w stanie tego odbudowywać. Przede wszystkim za nic na świecie nie chciałbym tego. Dostyc opasłych brzuchów

To jeszcze nie koniec

i życia pod wysokim napięciem! Interesuje mnie tylko jedna przeszłość, ta, która dzieje się dzisiaj. Amen — objaśnia natchniony niczym telewizyjny kaznodzieja.

Wszedł w skórę człowieka, który ma kilka tysięcy dolarów w banku, płaci niewygórowany czynsz, zajmuje się nieskomplikowaną pracą badania rynku dla Fortuny 500 i jest nad wyraz dobrze przystosowany — stwierdza Ewa. W górnym Bel Air, na tarasie, który zawisł gdzieś w próżni, Johnny wolniutko popija źródlaną wodę - jakby delektując się jej brakiem smaku — i dalej tłumaczy Ewie:

— Teraz już wiem, co się w życiu liczy. Wiem, co dla mnie ważne. Ewa, wierz mi, forsa to śmierć. — Nachyla się do niej i w półmroku czerwone znamię staje się prawie niewidoczne.

— Wszyscy mamy jakiś system wartości — odpowiada Ewa, sącząc mało zdecydowane Chardonnay i spoglądając przez szklane drzwi na nowych znajomych Johnnynego, do niedawna zniewolonych jakimś nałogiem, teraz porządnych i cnotliwych. Nie znajdzie wśród nich klientów; nie ma tu prących do sukcesu mężczyzn, nie ma kapryśnych kobiet, które chętnie zamieszkałyby w czymś „przestronniejszym”. Ci ludzie, pozbawieni ochronnej skorupy, wciąż jeszcze za bardzo się boją. — Mam program na życie - oznajmia Johnny, a jego uśmiech oblewa ją jak mleko. — Jaki? - Ewa czuje się w obowiązku zapytać. — Życ z dnia na dzień; cieszyć się tym, co jest.

A papierosy? Już chciała go o to zapytać, lecz tylko wzrusza ramionami i mówi:

— Świetnie.

Johnny wyszedł ze „złotego kręgu”, zeskoczył z karuzeli i siedzi skulony na bocznej ławce. Jest jednak mężczyzną, a to czyni go strawnym. Niektóre z koleżanek Ewy - znalazłoby się ich nawet kilkanaście - na pewno miałyby ochotę zabrać go do domu na zimę i pielęgnować. Ewie potrzebny jest mężczyzna i właśnie dlatego postanowiła zabrać go do Allie na imprezę dla samotnych. Zasada przyjęcia jest bardzo prosta: samotne kobiety przyprowadzają znajomych dżentelmenów, z którymi same nie wiążą żadnych planów, i szlachetnie ofiarowują ich innym paniom.

Diana Silber

- Wiesz, tobie może przy nim serce nawet nie piknąć, a inna od razu dostanie zawału - tłumaczy jej Cassie w codziennej rozmowie telefonicznej. Już od lat mają zwyczaj wydzwaniania do siebie bez ważnego powodu, po to tylko, żeby być ciągle na bieżąco. Ewa, ramieniem przyciskając słuchawkę do ucha, rysuje jakieś esy-floresy wokół własnego nazwiska w notesie i objaśnia jej cel spotkania. - Przypomina mi to wyprzedaż rzeczy używanych. Ewa szkicuje pagórki, płotek, dorysowuje korzenie swojemu nadrukowanemu nazwisku; wszystko czeka na ogrodnika. - Tracisz okazję, Cassie. Najlepsi faceci zjawiają się zawsze w najmniej oczekiwanych miejscach. Należy tylko odsiać stukniętych i brzydali. - Pod płotem zaczyna rysować domek, ale dach sterczy pod tak niemożliwym kątem, że Ewa czym prędzej go zamazuje. - To tak, jak zabawa dla samotnych.

- To jest zabawa dla samotnych, tyle że u Alli w salonie; wszędzie biel i ochra. Całkiem ładnie, choć nie w moim guście. - Ewa woli miszmasz nadruków i wrabianych w tkaninę wzorów, wrażenia bardziej soczyste, dzikie, szalone. Ma dwie tkaniny w stylu wschodnim i narzuty od Ralphi Laurena.

- Nona idzie.

- Mówiłaś mi, ale ja mam inne plany.

- Jakie plany? - pyta podejrzliwie Ewa. Te plany są zupełnie do Cassie niepodobne, tak samo jak i wszelkie zajęcia, które mogłaby tak nazwać.

- Słuchaj, nie mogę już rozmawiać. Wołają mnie.

Ewa nie słyszy żadnych dźwięków w de, nie słyszy cieniutkiego głosu z interkomu wzywającego: „Pani doktor Morgan! Doktor Morgan!” Czyżby Cassie kłamała? I to właśnie jej? Ewa wyrzuca z siebie: „Nie wierzę ci!” i zgłasza tym samym wotum nieufności. Nie ma to jednak i tak żadnego znaczenia, bo Cassie zdążyła już odwiesić słuchawkę.

Obie bardzo uważają, żeby nie nadszarpnąć wzajemnego zaufania. Nawet frywolna Nona nie pozwala sobie na kłamstwo, choć czasem odrobinę może się minąć z prawdą. Bez zbędnego gadania wszystkie trzy starają się stworzyć sobie

wzajemnie bezpieczną przystań. Żadnego osądzania. Żadnego włożenia w duszę z buciarami.

Oczywiście, że Cassie nie kłamie. Ale cóż to znowu za plany?

Dzwoni do Nony, która mówi:

- Ewa, przecież to szpital. Tam są chore kobiety. Niektóre krwawią. O, Boże wielki, wyobraź to sobie! Poronienia. Krwotoki. Mam klientkę, której siostra o mało co nie wykrwawiła się na śmierć. Uratowali ją w ostatniej chwili. Nie w Magdaleny, w jakimś szpitalu w Chicago. Wszystko jedno, pewnie dlatego Cassie nie mogła tłumaczyć ci wszystkiego przez telefon. Szkoda tylko, że z nami nie idzie. Fajnie będzie.

Skąd ona ma tę pewność, że będzie fajnie? Allie jest znajomą Ewy - zgryźliwą, chudą blondynką o szczerzej twarzy, kobietą, która czai się jak zgłodniały wilk z bajki. Ewa chce już powiedzieć Nonie, że z całą pewnością Allie się jej nie spodoba - jest we wrednym nastroju i korci ją, żeby się trochę posprzeczać. Cassie ma rację. Impreza będzie dokładnie wyprzedają staroci. Kobiety zajrzą do szaf i wyrzucą z nich jakieś wyblakłe, nie chciane pamiątki sprzed stu pięćdziesięciu lat. Dlaczego miałyby się interesować jakimś wyrzutkiem, kimś, kogo inna już miała dość?

- Przyprowadzę bankowca. Obraca walorami. Jeśli idzie o mnie, trochę nudny, ale w ogóle przyjemny.

Naprawdę przyjemny, Ewa. Jak Boga kocham - zapewnia Nona; żyje w przekonaniu, że jeśli się zacznie zaklinać albo podniesie dwa palce, ludzie natychmiast uwierzą każdemu jej słowu.

- Czy ten twój przyjemniaczek ma gębę rozoraną dziobami po trądziku? - Ewa dość sceptycznie podchodzi do przyjemnych facetów. „Przyjemny” to termin matki określający człowieka, na którego nawet truposz nie dałby się złapać. - Nie wygłupiaj się. Ma zupełnie normalną cerę.

- Pewnie łysy?

- Powiedziałaś kiedyś, że lubisz łysych i że brak włosów na głowie jest oznaką męskości.

- Bzdury! Nigdy niczego takiego nie mówiłam!

- Przysięgam jak na świętej spowiedzi, że mówiłaś. Spytaj Cassie, jeśli mi nie wierzysz.

W drugim telefonie błyska światelko.

Diana Silber

- Nie będę się z tobą teraz o to sprzeczać. Widzimy się razem z twoim panem Wall Street w sobotę. - Ewa odkłada słuchawkę. Ale wcale nie spotka bankowca Nony. W ostatniej chwili łysy bankowiec musi natychmiast jechać do Tarzany, by w trybie pilnym zameldować się na wezwanie żony, zostawiając Nonę bez męskiego fantu. Czy może przyjść sama? Dzwoni do Ewy. Brzmi tak żałośnie, że Ewa mówi w końcu, dobrze, postara się to jakoś załatwić z Allie.

- Na tym przyjęciu mamy spotykać mężczyzn, nie kobiety. Takie jest założenie. - Allie zije ogniem przez telefon. Jej gniew niemal osmala rzesy Ewy. - Tak się składa, że wszystkie znamy aż za wiele kobiet.

- No wiesz, trzeba sobie nawzajem pomagać. W ramach siostrzanej konfederacji.

- Daj spokój, Ewa! Co ty wygadujesz za brednie! Kobiety, bądźcie dobre dla siebie! Jakby babska solidarność miała być jakąś świętą misją! I jakby którakolwiek z nas w to wierzyła! Wiesz równie dobrze jak ja, że bez mrugnięcia okiem oplułybyśmy się nawzajem i jedna drugą usmażyły w ogniu dla faceta, pieniędzy czy awansu.

Ewa nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak wulgarna jest Allie, mimo eleganckiego lakieru Elizabeth Arden i drogich pasemek robionych u Jose Ebera. Cóż, Chanel noszą niekoniecznie damy - myśli Ewa przypominając sobie, że jej matka ubiera się u J.C. Penneya.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - mówi Ewa grając swą prywatną, złagodzoną wersję wolnej amerykanki. Z negocjacji z klientami nauczyła się, że milczenie często jest najskuteczniejszą bronią. Zgodnie z oczekiwaniami, Allie pluje ogniem jeszcze przez minutę, wreszcie kapituluje, lecz niestety bez wdzięku.

- Do zobaczenia o ósmej. I nie zapomnij tych dwóch butelek szampana, które wpisałam na ciebie.

- Ależ, kochanie, zawsze możesz na mnie liczyć. - Będzie musiała jednak kupić jakiś lepszy gatunek szampana, niż planowała - decyduje Ewa, z nadzieją, że Nona doceni jej trud.

Ale nic z tego. Wdzięczność Nony jest jak koronka; wiatr dmucha wszystkimi otworami. A potem, na przyjęciu, wysoko wśród wzgórz, ponad alejami świateł miasta, Nona w schludnej

czerni i perłach jest po prostu za ładna. Allie złowrogo rozplywa się nad urodą Nony - jaki to czarny anioł, jak zapiera dech w piersiach, że niby młodość ją uskrzydla.

- Nona ma trzydzieści dziewięć lat - zauważa Ewa, bo Allie aż kipi wściekłością i tylko czeka, jak by tu wbić nóż w plecy Ewy i Nony. Nona, odstająca od reszty pań, przyciąga uwagę wszystkich i kompletnie rozbija przyjęcie. Ewa kocha Nonę, Ewa widzi też to co w środku i nie zraża jej niesamowita uroda przyjaciółki. Teraz bez jednego skrzywienia słucha fałszywych komplementów Allie i chce tylko jednego: mężczyzny o oczach jak latarnie. Wreszcie wymyka się na patio, i tam po chwili odnajduje ją Johnny. Z tyłu słycać jakieś rozmowy i cichą muzykę Gershwina. Wszystkie cienie, chwilowo złożone, leżą w szafie.

- Twoim zadaniem jest siedzieć w salonie i czarować jakąś panią. A nawet kilka. Nie zapominaj, że po to cię tu przywiozłam. - Nie złość się. Nic złego nie zrobiłem. - Jest rozbawiony.

- Nie złoścę się na ciebie, tylko na Allie, bo ona wścieka się na Nonę za to, że jest piękna. Po dzisiejszym występie Allie nie zaprosi mnie nawet na pogrzeb. Sam rozumiesz, że serce mi krwawi.

- Jest niesamowita, nie uważasz? - stwierdza Johnny, przyglądając się Nonie zupełnie spokojnie, ani nie zahipnotyzowany, ani przestraszony.

- Idź, porozmawiaj z nią - rzuca Ewa i nagle budzi się w niej nadzieja, że jednak jej tu nie zostawi. Choć właściwie nie przejmie się wcale, jeżeli Nona wyciągnie go z tego smętnego towarzystwa. Stoją jak grono agentów ubezpieczeniowych - zauważa w myślach.

- Z tobą chcę rozmawiać.

- My tu nie mamy być razem. Naszym życiowym zadaniem jest spotkać nieznajomych i poznać nowych przedstawicieli odmiennej płci.

- A więc powinienem poznać jakąś kobietę, żeby z nią romansować. - Śmieje się. - Nawet w czasach, kiedy byłem gruby i bogaty, jako samotny mężczyzna zupełnie się nie sprawdzałem. Małżeństwa też mi nie pomagały. Jako mąż stawałem się błędnym facetem, chwilowo w łóżku jakiejś pani. Przez sezon, można by powiedzieć.

Diana Silber

- A co tusza ma z tym wspólnego?

- Warstwa tłuszczu izolowała uczucia. Kilometry podskórnej tkanki oddzielały wszelkie emocje od przyczyny albo od skutku. Gąbczasty, tłusty mur. Bardzo skuteczna izolacja, mówię ci. Nawet miłość grzęzła i tonęła.

- Brzmi obrzydliwie - mówi Ewa, ale się nie cofa i bierze ofiarowywanego papierosa. - I za prosto. - Nie ufa zbyt łatwym rozwiązaniom. - Psychoanalityczne brednie. - Jeszcze nie wie, dlaczego usiłuje go zranić, a on tymczasem opiera się o kamienną balustradę i pali z niegasnącym uśmiechem na ustach. Zakichany aktorzyna - myśli Ewa i zastanawia się, czy w New Hampshire Johnny zmieniłby skórę i wyglądał inaczej.

- O czym wy tu we dwójkę tak rozprawiacie? Kręćcie się między ludźmi! - napada na nich Allie. Jeszcze nie wybaczyła. Niczym sierżant od musztry, bierze Johnnynego pod rękę i wmaszerowuje z nim do salonu.

Johnny wkracza na scenę, Ewa zostaje z tyłu. W takich właśnie chwilach, kiedy wszyscy mężczyźni wydają jej się odpychający, mężowie tym skuteczniej atakują pamięć. Johnny w odwrocie nadal kroczy jak grubas. Toczy się ciężko i przypomina jej Abramsona - wielkiego, niechlujnego i kompletnie nieświadomego swojej fizyczności. Wiecznie wpadał na meble, mylił pokoje, zapominał, po co wstał i dokąd idzie.

„Roztrzepany i w dodatku profesor” - droczyła się z nim Ewa. Był postacią wprost wyjętą z kawału. Choć tyle wtedy młodsza, kochała go tak bez nadziei... Jeszcze dzisiaj pamięta.

Stalowy głos jej ojca wykrawa kolejne polecenia: żeby wróciła do domu i podjęła naukę, którą rzuciła w kąat jak sweter, rękawiczki czy nie doczytaną książkę. Stojąc na drabinie i malując obłupane ściany, marzył, kim będą jego córki; za żadną cenę nie chciał z tych marzeń zrezygnować. Dlatego dopadając Ewy choćby przez telefon, nie odpuszczał jej ani na trochę. Ale Ewa odeszła od Jordana i na dobrych kilka tygodni wyczerpała do cna swoją energię. Przycupnęła na kalifornijskiej plaży i patrzyła w ocean. Bała się. Siedziała na piasku i ramionami obejmując kolana, wyobrażała sobie, że Pacyfik będzie się tak przelewał w nieskończoność jak ona. Czula się płynna w środ-

ku, bez żadnego twardego rdzenia - wysadzona z siodła, wypluta przez morze sierota, gotowa znów wyprawić się donikąd. Jej własne przeciekające przez palce ciało stało się jej wrogiem.

Dokąd miała się udać? Przecież nie na wschód, przez cały kraj z powrotem do sypialenki, którą niegdyś dzieliła z najmłodszą siostrą. Znow liczyć różyczki na tapecie i wierząc w księżycową moc, marzyć, gdy srebrny promień zajrzy przez otwarte latem okno?

Z chwilą, gdy zostawiła Jordana, dla ojca stała się natychmiast dawną Ewą, może tylko troszkę tu i tam odrapaną. Wystarczyłaby jednak odrobina retuszu, świeża warstwa błyszczącej emalii...

- Skończyło się! Wybaczam ci! Wracaj do domu i zapomnij o wszystkim! - wydierał się w telefon.

Zupełnie, jakby mogła zapomnieć. Ojciec nigdy nie rozumiał, że przeszłości nie da się wymazać. Jeszcze przed Abramsonem, jeszcze zanim Abramson zadał jej lekturę, Ewa wiedziała już, że nie ma powrotu.

Gdyby czas przyrównać do rzeki, ona, Ewa, pływała zbyt słabo, by pchać się pod prąd.

Usiłowała wyjaśnić to ojcu, ale jej przerwał:

- Wyślę ci bilet.

- Nie o to chodzi.

Czas, dla jednych bez końca, dla innych stawał w miejscu, ale w żadnym wypadku nie dawał się jednak cofać. Z drugiego aparatu matka przysłuchiwała się tym rozwlekłym negocjacjom, które nie rokowały nadziei na porozumienie i tylko od czasu do czasu wtrącała „Och, mój Boże!” i pytała, czy Ewa je i co je. Wreszcie, zdesperowana, po kryjomu wysłała jej przekazem pięćset dolarów. Pieniądze doszły w ostatniej chwili, bo Ewa już od tygodnia zalegała z czynszem za „pokoik bez używalności kuchni”. Potem złapała pracę w greckiej restauracji, której właściciel, stary minotaur, wykańczał ją pretensjami i niechęcią.

To były najgorsze miesiące i kawałek życia, który najchętniej zakopałaby w ziemi niczym martwe kości, choć ucząc się uporą, unikała wszelkich żalów. Po trzech dniach w szpitalu rozstała się z grecką knajpką przez telefon i znalazła sobie inną pracę, w innej restauracji; tym razem we wschodniej części miasta i ze spokojniejszą klientelą.

Diana Silber

Przez jakiś czas — może rok, może dwa, a może trzy — nie wiedziała, kogo nienawidzi bardziej, Jordana czy siebie. Uporczywe nagabywanie ojca zmusiło ją w końcu do jednego: zapisała się do college'u na studia wieczorowe. Tam właśnie spotkała Abramsona, który wykladał literaturę amerykańską.

Jeśli Uniwersytet Southwest miał w ogóle gwiazdę, był nią niewątpliwie niedźwiedź Abramson z szopą siwych włosów, pulchnymi polikami i nosem jak armata. Popiół wiecznie spadał mu na marynarkę z trzymanego między zębami papierosa, a wielki brzuch mało nie rozsądził guzików. Kiedy miał dwadzieścia kilka lat, napisał niezłe przyjętą powieść, był też autorem subtelnych, eleganckich opowiadań, które przywodziły na myśl szczupłego autora o bardzo zdyscyplinowanym umyśle (pomyłka!). Teraz błądził po korytarzach. Niektórzy studenci mówili, że w jego głowie aż się roi od najróżniejszych obrazów. Później Ewa odkryła, że to słowa jak pociski zaprzętały Abramsona. Uwielbiał ich dźwięk, oddzielnie i gdy zderzały się ze sobą. Ewa chodziła na wszystkie kursy, które prowadził, i w końcu nawet on zauważył, że jej twarz wydaje mu się znajoma. - Skąd ja panią znam? Z kursu literatury dwudziestego wieku? Z naturalistów? Czy z Pounda i Eliota? — zapytał któregoś dnia w kolejce do baru.

— Czy pan mnie pamięta, profesorze? — droczyła się z nim potem, kiedy wychodził na śniadanie spod prysznic z otwartą książką w ręku.

- Ależ naturalnie! Panna Isabel Archer, prawda? - Abramson miał też poczucie humoru. Mógłby jeszcze dodać: — Chyba już jestem zajęty.

— Och, nie tyle zajęty, co żyjesz w innym świecie, a może w innych światach. Pełno tam słów, historii i stworzonych przez ciebie postaci.

Ale on wcale nie był pewien, czy rzeczywiście je stwarzał. Może był takim jakimś pomniejszym kalifornijskim bożkiem, który dawno, dawno temu trafił tu z Bronxu i jak czarodziej prządl opowieści o ludzkim życiu? — Może ja tylko przypominam to sobie...?

- Ty? Ty, który nie możesz zapamiętać, co kupić w spożywczym? — Kochała go tak bardzo, że mało jej serce nie pękło.

- ...A tak naprawdę, wszystko to gdzieś we mnie siedzi i tylko czeka. I to, co zapisuję, jest raczej wyjawianiem, a nie tworzeniem i troską, jaką czuje ojciec wobec nie narodzonych dzieci. Tak czasem czuję.

- Może ty jesteś jakimś przekąźnikiem?

- Może.

Wszystko to działo się, kiedy się wreszcie pobrali. Piękna i bestia, Ewa ciągle słyszała, jak szepczą po kątach, choć ani ona nie była taka znowu piękna, ani Abramson — zarośnięty i nie wyczesany, jak źle utrzymany kucyk - nie był przecież bestią. - Jak to się stało, że w ogóle zwróciłeś na mnie uwagę?

— zapytała go któregoś dnia. Abramson nie umiał oszukiwać i odpowiedział szczerze:

- Nie wiem. Po prostu stanęłaś mi gdzieś na drodze, w dodatku tak natarczywie. - Ale tu nawet on się połapał, że nie takiej odpowiedzi oczekuje żona. - Jesteś taka śliczna. Lubilem patrzeć na ciebie. Przy tobie spadały na mnie okruchy magii — rzekł, parafrazując Pounda.

I rzeczywiście, Ewa na niego polowała. Zupełnie bezwstydnie. Trzydzieści lat od niej starszy — nawet nie dwadzieścia, co byłoby jeszcze do przyjęcia — zupełnie nie przypominał jej ojca. I z całą pewnością nie przypominał też Jordana. Niechlujny, obdarty i gruby, stanowił uosobienie solidności. Podobny głązowi ze Stonehenge nie poddawał się ani czasowi, ani życiowym kryzysom. Abramson nie był głupcem, Abramson wszystko w sobie ważył. - Ale ciebie nigdy nie brałem pod uwagę — wyznał ze zdumieniem, gdy pierwszy raz znaleźli się w łóżku. — Ty po prostu jesteś. I ja jestem. Apetyt, chuć, przyciąganie, potrzeba, pragnienie. — Smakował ostatnie słowo i patrzył jej w oczy.

— Płynę w tobie — powiedział z niemalym lękiem. A wcześniej zwalczał ją i jej wysiłki.

- Jestem żonaty, nie miesiam romansów. Wiem, że lubież-ności profesorów ze studentkami są *de rigueur*, ale nie w moim przypadku. Szczerze mówiąc, rzadko kiedy podobają mi się młodsze kobiety. Są zbyt przejryste, brakuje im tkanki. - A ja? - pytała Ewa, jeszcze się martwiąc, choć już знаła odpowiedź.

Diana Silber

- Ty jesteś inna - jęknął, a ona triumfowała, bo wiedziała, że już wpadł w jej sidła. A mimo to nie zwalniała tempa nagonki. Biegała boso po rozżarzonych węglach. Wyczekiwała po zajęciach, niewinnie odprowadzała go do samochodu albo czasami podstępnie wciągała do swojego. Bombardowała pytaniami o Faulknera, Lowella, Bellowa, Dreisera i Harta Crane'a. Drażyla jego wiedzę niczym górnik litą skalę. Bywały takie noce, kiedy śmiertelnie zmęczona leżała w łóżku - sama - i w myślach przeliczała dolary w banku, porządkowała wspomnienia jak do autobiografii, zziębnięta od stóp do głów. Abramson był jej potrzebny również po to, żeby ją rozgrzać; wierzyła, że przy swoim Niedźwiedziu bezpiecznie spędzi wszystkie zimy.

Kiedy w maju nieoczekiwanie rozpełtała się burza, w rynsztokach kipiało i ulice przy Southwest tonęły w strumieniach wody, Ewa namówiła Abramsona, żeby ją wziął na kolację. Niespiesznie podjechali do małego włoskiego barku w mini-pa-sażu. Wewnątrz panował półmrok, a na kraciastych obrusach płonęły ociekające stearyną świece wetknięte w puste butelki po Chianti. Knajpka okazała się bajkowo romantyczna. Jak wymarzona. Ewa uznała to za dobry znak.

- Los tak zrządził - stwierdziła, ręką wskazując to wszystko Abramsonowi, który ocierał sobie mokrą twarz papierową serwetką. - Moja droga, czego ty właściwie chcesz? — Rogiem obrusu przecierał zakapane deszczem okulary. Miał sowe oczy w kolorze ciepłego brązu i, co zaskakujące, zupełnie pozbawione wszystkowiedzącego błysku życiowego doświadczenia. To były oczy młodego chłopca; ładniejsze nawet niż Jordana. - Chcę cię kochać - odpowiedziała po prostu.

- Nie rozumiem. - Okulary wróciły już na nos, ale i tak Abramson stracił już ten profesorski wygląd. W wielkim niedźwiedziu drzemał młody kochanek. - Jest tylu odpowiedniejszych mężczyzn i na naszym uniwersytecie, i w całym Los Angeles. A jeśli nie chcesz studenta, jeśli uparłeś się na akademika, to weź sobie takiego Eda Fursta. Jest wolny i ledwie po trzydziestce. Ed to dobra partia. Albo ten nowy od historii, jak on się nazywa? Chyba Stenson. Na pewno nie przekroczył czterdziestki. Zaraz, zaraz, czy któryś z filozofów nie jest po rozwodzie? Ale polecam ci

przede wszystkim Eda. W zeszłym tygodniu gościliśmy go w domu na kolacji. Mówił nam, że się rozgląda za kobietą. - Abramson, jesteś durniem. - Roześmiała się widząc, że Niedźwiedź wije się jak piskorz. Skąd miała w sobie tyle siły, żeby tak walczyć o mężczyznę? Doświadczenia z Jordanem nie nauczyły jej takiej determinacji. To musi być miłość. Była tego najzupełniej pewna; nowa miłość, miłość w innym wymiarze.

- Abramson - powiedziała, biorąc go za rękę - tu chodzi o ciebie.

- Skąd ty to wiesz? - Był skąpowany, ale i ciekawy.

- Instynkt. Czuję w kościach, że to Lady Brett i Jake Barnes.

- O Boże! Mam nadzieję, że nie! - ryknął.

Po tym wieczorze uwiedzenie go stało się łatwiejsze, chociaż wciąż musiała ciągnąć go na siłę, przymilać się, składać jakieś niesłychane, romantyczne obietnice. - Będę cię kochać na wieki.

- Z początku miłość zawsze jest na wieki - pouczał ją surowo. - A ja nie chcę żadnego na wieki, Ewo. Mam żonę i dom. Dorosłe dzieci. Mam w gabinecie skórzany fotel i zdeптane, wygodne kapcie. Jedyne podróże, w jaką się wypuszczam, to ta na papierze. - Ale całując ją w samochodzie, wysapał:

- Doprowadzisz mnie do szaleństwa.

Nie myślała nawet o tym, by go sobie przywłaszczyć na zwykłe niedzielne popołudnia, świąteczne kolacje, ciche chwile, z których składało się normalne życie. Do tego się nie posunie, od razu to zapowiedział.

- Pobraliśmy się, mając dwadzieścia jeden lat. Jakie byłoby moje życie bez niej? I nie da się tu zrobić żadnych sztuczek; tej prawdy nikt nie odmieni, nawet ty nie, moja droga.

Zaś innym razem wyznał: - W przyzwyczajeniu tkwi niezwykła siła. Skłaniamy się ku sobie i znów odchylamy, zupełnie jak tancerze. Naturalnie, ona mnie też potrzebuje. I to jest również nawyk.

Któregoś dnia Ewa wyciągnęła Abramsona na bezludną plażę, upstrzoną rozrzuconymi głazami i oddzieloną od reszty świata wysoką skalną skarpią. Zadzwońiła do szkoły, że jest chora; on odwołał popołudniowe zajęcia. Rozpierała go duma, że odważył się pójść na wagary.

- Czuję się jak ofiara porwania — zażartował.

Diana Silber

Wtedy znalazła go już na tyle, by móc odpowiedzieć:

- Cóż, możesz odpowiadać za współudział, więc nie krzycz tak bardzo.

- Mam być sabinką? Zamiana ról? - pytał, ale rękę trzymał na jej udzie.

Zaczynał mięknać, cieszył go seks, cieszyła miłość, Ewa i romantyczna przygoda. Przez ułamek sekundy, tam, na drodze wiodącej na plażę, Ewa przestraszyła się, co właściwie robi temu człowiekowi. Jej odwaga zaczęła topnieć. Zapisując się na uniwersytet, ślubowała sobie, że nie straci z oczu celu nadrzędnego.

Dokładnie tak, jak ojciec krzyczał z New Hampshire przez telefon.

Pamiętaj, po co to robisz! Przewiduj, co będzie za chwilę i zawsze wiedz, czego naprawdę chcesz! Nie pozwalaj sobie na złe wybory i nie daj sobą pomiatać! A wszystko to razem znaczyło: literatura to świetna sprawa, ale dyplom zrób z ekonomii i zarządzania. Choć raz w życiu usłuchała.

W towarzystwie zdenerwowanych mew i wirującego drobnego ptactwa jedli kanapki w zaciszu, które wynalazła dla swego dojrzałego kochanka. Fale rozbijały się gdzieś dalej w morzu, uderzając o grzbiet podwodnych skał i do brzegu dopływały już uspokojone. Abramson brodził w wodzie, podwinawszy nogawki spodni. - Jak się zapewne domyślasz, w sporcie byłem zupełnie beznadziejny - zwierzył się. - Tonąłem, myliłem nogę, potykałem się, przewracałem o własne dyndające sznurówki i upuszczałem każdą piłkę, którą jakiś wariat nieroztropnie rzucił w moją stronę. Całymi latami udawałem, że taka fizyczna pokraczność związana jest z charakterem intelektualisty. Albo z moim żydowskim pochodzeniem. Czy słyszał ktoś o żydowskim sportowcu, poza Maxem Baerem? Jak wiadomo, wyjątki potwierdzają regułę. Ewa mogła przypomnieć Abramsonowi o Sandym Koufoue, który tak samo jak jej Niedźwiedź był przygnieciony historią pięciu tysięcy lat, a mimo to błyszczał srebrzystą zbroją jako rozgrywający, ale wzruszało ją jego profesorskie zakłopotanie. Smutek Niedźwiedzia pchnął ją do działania. Roześmiała się więc z jego żalosalnej miny i powiedziała coś zupełnie innego:

- Za to jesteś niepokonany w jedynej konkurencji, która dla

To jeszcze nie koniec

87

kobiet się liczy. - I pociągnęła go w dół, na piasek. Niewyraźnie protestował. Dosięgała ich spieniona krawędź fali. Zadarła sukienkę. *Kochaj mnie, Abramson. Kochaj mnie teraz, tutaj.* Zaskoczyło go, że jest naga, że już czeka, i jęknął jak morze wśród wiatrów.

- Zamoczy nas - szepnął ponad dudnieniem fal, ale kochał ją, kochał ogniście. Drobinę piasku tworzyły wypukły wzór na ich gołej skórze, lecz im bardziej chmurzyło się niebo, tym częściej obmywała ich ołowiana morską wodą. Nawet po takiej miłości mogli się wcale nie pobrać, gdyby nie żona Niedźwiedzia. Słabo ją znał. Jej cichość wdzierала się między nich jak drewniana szczapka i kłuła drzazgami.

- Gardzę sobą! - wybuchnął po jej śmierci.

Ewa też gardziła i nim, i sobą, kiedy w załamujących się cieniach widziała rozmazaną kobiecą postać, tak przezroczystą, że przenikało ją światło. W domu, gdzie Ewa z mężem mieszkała po ślubie, dawna pani Abramson wciąż była ich sublokatorką. Obnosiła twarz kobiety zdradzonej i lodowatą obecnością zmuszała do nie chcianych łez. Zimno tu - mówi Nona.

Ewa, nagle wyrwana ze wspomnień, aż podskakuje i obracając się uderza Nonę w ramię.

- Nie skradaj się tak!

- Przepraszam, ale szłam do ciebie zupełnie otwarcie, prosto od drzwi. Zobacz, jeszcze są otwarte. Ewa, co z tobą?

- Chodźmy stąd. Okropne jest to przyjęcie. Trutnie i sklepikarze. Nudy na pudy. I te kobiety! Uśmiechnięte duchy. Niesamowite! Nie wiem, dlaczego w ogóle tu przyszłam.

Mówi za szybko. Nie może powstrzymać słów i cały czas myśli o Abramsonie i o tym, jakie miękkie miał usta. Rozpaczliwie pragnie pocałować go jeszcze choć raz.

- Ewa?

Mija Nonę z pośpiechem uciekającej, ale już w jadalni ktoś ją zatrzymuje.

- Próbowala pani pasztetu z kaczki? Niech pani koniecznie skosztuje. Proszę. - Jakiś mężczyzna wciska jej w rękę krakersa posmarowanego pasztetem.

6

Lorraine zaskakuje Nonę. Lorraine, wiotka niczym trzcina - podobnie jak Nona - ma jednak mocniejszą budowę. Widać w niej szkielet niczym miedziany rurociąg; w sklepie tnie powietrze, jakby jej ostro zakończone ciało zrobione było z lśniącego metalu. W jej sposobie bycia nie ma śladu piankowej lekkości. Śmiertelnie poważna, bez cienia humoru, sprzedając, nigdy nad niczym się nie unosi i niczym nie zachwyca. Często onieśmiela swoje klientki, dokładnie tak samo jak Nonę, więc kiedy je czasem pochwali, czują się nad wyraz zaszczycone. Absolutnie odpowiedzialna, jeśli idzie o sklep i jego zaopatrzenie, ma nieco surowy, ale

bezbłędny gust. Nie jest może obdarzona nadmierną wyobraźnią i nie przyjdzie jej na przykład do głowy, by łączyć jedwab z dżinsem, za to ma niewątpliwy styl i nieomyłne oko do dodatków.

Nona zastanawia się, jaka Lorraine jest prywatnie, i obserwując ją, często myśli, że kiedy kocha się z George'em, chyba bardziej go rani niż raduje. Nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że cokolwiek Lorraine robi, zawsze umie sobie sprawić przyjemność. Świat kręci się wokół niej, ona jest jego epicentrum, i jeśli zdarzy się jakieś nie planowane zachmurzenie, Lorraine wpada we wściekłość.

Zatem wypadek musiał wywołać w niej przekonanie, że los specjalnie sprzysiągł się przeciw niej.

Oczywiście Nona spodziewała się takiej reakcji, zdumiewa ją jednak, kiedy Lorraine, zaczerwieniona z zakłopotania - ujawniając tym samym drobne dzioby po trądziku, które wychodzą teraz spod makijażu - niemal gniewnie pyta:

- Pojedziesz ze mną? Naturalnie, nie boję się wcale jechać sama? Bo niby co? Nie potrafiłam nikogo. Nie była to moja wina. Ale z adwokatami zawsze lepiej być ostrożnym.

Nona na myśl o adwokatach szalenie się denerwuje, a wszystko od czasu, kiedy przez tyle miesięcy z ponurymi minami niemal co godzinę maszerowali tam i z powrotem pod kryształowym kandelabrem w hallu jej rodzinnego domu. Najpierw w roli zbawców, bohaterów w dwurzędowych marynarkach, groźnych obrońców z wachlarzem spiętych odwołań wśród skomplikowanych aktów prawnych, z czasem jednak zaczęli się jej wydawać zupełnie papierowi i uniżeni. Ich działania straciły znaczenie. A mimo to żądali ogromnych pieniędzy, żądali więcej, niż ktokolwiek mógł dać, a już na pewno więcej, niż mógł dać jej ojciec, który zgromadził o wiele mniej niż jego wrogowie, a z tego co miał, większość i tak już zdążył wydać.

Adwokaci strasznie ją rozczarowali, bo bardzo wierzyła ich butnym zapewnieniom. Byli dla niej taką wyrocznią, jak członkowie episkopatu, dyrektor szkoły czy ktoś, kto jak jej ojciec miał patent na prawdę. Nona ufała, że dotrzymają słowa, ale im dłużej trwał proces, tym cienie śpiewali adwokaci, aż wreszcie ich głosy przeszły w szept. Wreszcie, straciwszy grunt pod

Diana Silber

nogami, usunęli się w cień, umywając ręce od jej zrujnowanego ojca, który siedział za kratkami, posiwały i anonimowy. - Naturalnie, że z tobą pojedę - zgodziła się.

- George mógłby oczywiście przyjechać, ale w jego stanie podróż z Valley nie byłaby taką prostą sprawą. - Lorraine przypomina Nonie, że jest tylko chwilową dublerką.

- Czy George nie będzie musiał złożyć pisemnego zeznania? Lorraine podejrzliwie mruży oczy.

- A skąd ty się znasz na zeznaniach?

Nona stojąc w oknie wieszka na manekinie naszyjnik ze złotych monet. - Wpół do siódmej?

- Najszybciej, jak tylko się da dojechać stąd do centrum.

- Na autostradzie będzie straszny ruch.

- Na jakiś czas dosyć mam autostrad, dziękuję bardzo.

- Wypadek zdarzył się w drodze do San Diego i Lorraine winę za to upatruje we wszystkim, tylko nie w sobie, chociaż to ona siedziała za kierownicą. - Pojedziemy zwykłymi ulicami. - I potrwa to sto lat — myśli Nona — ale się nie sprzeciwia, a Lorraine mówi: - Przynajmniej wydusimy jakąś forszę z tego bajzla.

Musimy. - Jej głos brzmi groźnie i Nona czuje przyływ współczucia dla nieznanego adwokata. — Już samo to zamieszanie warte jest kilkaset tysięcy, nie mówiąc o kosztach leczenia. Noga George'a trzasnęła jak sucha gałąź. Na długie miesiące jest wyłączony z pracy. A co będzie ze ślubem? - pyta, jakby Nona znalazła odpowiedź. Nonie nie podoba się zestawienie fiołkoworóżowej wełnianej spódnicy z pasiastą bluzką od Vittadiniego i zastanawia się, jak Lorraine przyjmie zmianę, kiedy manekin wystąpi w różowa-wym sweterku. Teraz jednak nie pora, żeby zawracać jej tym głowę.

- Przecież George może wziąć ślub nawet z nogą w gipsie — uspokaja.

- Czy ty myślisz, że ja chcę sunąć przez kościół z facetem, który nie idzie, a jedzie? — Lorraine rzuca się jak ugodzona. - Jedzie? Och, myślisz o wózku inwalidzkim!

- Albo z takim, co kuśtyka o kulach? O, Boże! - Sama myśl najwyraźniej sprawia jej ból. Zostawia Nonę w oknie wystawo-

wym, odwracając się od niej plecami. - Zrób coś z tymi kolczykami. Poniewierają się jak szkiełka.

Bo też i są kawałkami szkła. Kryształy - za ciężkie do reszty bezpretensjonalnej wystawy.

Lorraine opiera się o ladę i pali papierosa, czego w sklepie nie wolno jej robić.

- Jeśli zmienię termin, to wylądujemy w jesieni albo, niech to szlag trafi, w zimie!

Nona z trzech par kolczyków układa półokrąg i woła:

- A dlaczego jesień ma być niedobra? Wielu ludzi bierze ślub jesienią. A zwłaszcza w okolicach Bożego Narodzenia. - Szyfon nie będzie pasował. Dlatego jest niedobrze. Będę musiała mieć coś cięższego, może coś z mory? — Lorraine postanowiła ubrać się niekonwencjonalnie. Odrzuciła tradycyjną biel, tiul, perły, tren i welon. - Ricardo akurat nie ma nic ciekawego w jesiennej kolekcji, co oznacza, że będę musiała zastukać do innych drzwi. Chytrus Ricardo natychmiast wyrwie mi ten szyfon z gardła, jeśli go na siebie nie włożę, i zapomni, że w każdym sezonie składałam u niego zamówienia, kiedy gdzie indziej nie mógł sprzedać nawet guzika. Od wewnątrz kolczyki wyglądają już całkiem nieźle; trzeba sprawdzić, jak prezentują się od strony pasażu. Przed wyjściem Nona rzuca: - Po prostu oddaj mu ten szyfon. Nie będzie ci potrzebny. - Nona, jak słowo honoru! - Lorraine nieprzyjemnie piszczy. Gdzie tu jakiś honor? Zdaniem Nony, nie ma tu miejsca na honor; w końcu Lorraine chce wydusić z Ricarda tę suknię za darmo.

Właściciele z Laguny będą mocno niezadowoleni, jeśli się kiedyś dowiedzą. Honor! Umowa Lorraine z Ricardem jest najzwyczajszym na świecie wyludzeniem. Jestem taka wściekła, że chyba będę wrzeszczeć! - krzyczy Lorraine i szarpie proste jak druty włosy, które zwijają się wyłącznie pod trwałą ondulacją. Od dnia potrójnego karambolu ciągle straszy, że się zawyje na śmierć, mimo że z wypadku wyszła bez jednego draśnięcia. Teraz w przytulnych beżach adwokackiego gabinetu daje upust swojemu niezadowoleniu.

Nona uważa, że Lorraine powinna się cieszyć, że przeżyła wypadek nie rozmazując

sobie nawet makijażu, ale Lorraine widzi wszystko w zupełnie innym świetle. Wypadek zburzył jej plany, tłumaczy prawnikowi, który na kartkach notesu zapisuje uwagi.

- A pani była w tym czasie pasażerką, panno...?

- Nie, nie. Nona przyszła tu ze mną, bo później jedziemy gdzieś razem. - Lorraine kłamie jak z nut, jakby lekceważenie prawdy miała we krwi. Za wszelką cenę chce ukryć swój niepokój. - Jedziemy na kolację - dodaje. Nie założyła nogi na nogę, trzyma je ciasno złączone; w opartych na udach, zaciśniętych dłoniach widać białe kostki. Lorraine zmalala nagle i wygląda jak niegrzeczna uczennica na dywaniku u dyrektora.

- Pracujemy razem z Lorraine - mówi nie pytana Nona, poważna, bez cienia uśmiechu, choć w innych okolicznościach na pewno rozpromieniłaby się na widok tego mężczyzny. Jest przystojny i przypomina aktora z reklamy komputerów, który w ostatnich kilku tygodniach pojawia się na każdym kanale.

Brazowe oczy adwokata przyglądają się jej spod ciężkich powiek, niezupełnie tak, jakby stała na miejscu dla świadków, chociaż może trochę? Nona właśnie siedzi z nogą założoną na nogę i nerwowo kiwa stopą, aż wreszcie puszcza zapinka w jej buciku. Nim wyjdą, będzie musiała nachylić się mało wdzięcznie i zapiąć but.

- No, nie tak bardzo razem. Wspominałam już chyba, że jestem kierowniczką sklepu Flora w Crystal Mall? Nona pracuje u mnie. Jest moją pomocnicą. - Nawet tak zajęta sobą, Lorraine dostrzega zainteresowanie adwokata Noną i bardzo tego nie aprobuje.

Nona niezbyt ucieszona tym pomniejszaniem swojej osoby - zwłaszcza że w końcu wyświadcza Lorraine grzeczność - protestuje:

- Jestem zastępczynią kierowniczką.

Kontakt wzrokowy zostaje nie tyle gwałtownie przerwany, ile się jakoś rozplywa, i Alan Stevens wraca do swoich zapisków. Nona patrzy, jak jego ręka sunie przez żółte kartki notatnika.

Nie zrobił nic niestosownego, spojrział tylko tak, jak mężczyźni patrzyli na nią całe życie, ale kwadratowa szczęka z dołkiem w brodzie, czapa włosów na głowie i lekko skośne

w dół oczy wytrącają ją z równowagi. Nie odezwał się słowem, a jednak sprowokował do marzeń o jutrzeńce na plaży i per-loworóżanym wschodzie słońca.

Kiedy już wyciągnął z Lorraine wszystko, co chciała mu powiedzieć, wstał i uściśnął dłoń obu kobietom. Rękę Nony przytrzymał chyba sekundę dłużej. Powtórzył jej imię, jakby się bał, że zapomni.

Zjeżdżając windą, Nona nadal czuje wyraźny uścisk palców adwokata, a wzbierająca świadomość jego fizycznej atrakcyjności przytłacza jej piersi jak ptak o rozpostartych skrzydłach.

- Był bardzo miły. Lorraine wywraca oczami.

- Tobie każdy wydaje się miły! Uwodziłabyś pewnie nawet naszego gońca, Hermana, gdyby tu z nami był! Lorraine wścieka się na nią, choć Nona nie wie dlaczego. Może powinna jednak słuchać Ewy, która jej ciągle mówi: „Nie bądź dla wszystkich taka dobra”.

Ale wychowano ją tak, żeby była słodziutka jak cukierek. Często występowała w roli maskotki rodziców, ich prześlicznego oczka w głowie.

„Jaki anioleczek! Jakież to чудо!” - wykrzykiwali znajomi rodziców, gdy przechodziła kroczkami małej księżniczki wzdłuż długiego stołu w jadalnym. Czyjeś ręce wyciągały się, żeby jej dotknąć. Czyjeś usta, miękkie jak gnieciony aksamit, muskały jej policzki. Ciepłe, wilgotne oddechy snuły delikatną pajęczynę szeptów. Kobiety pachniały piżmem. Tajemnicze zapachy parowały spomiędzy ich piersi. Kiedy mijala mężczyzn, śmiali się i żartowali. Niektórzy z nich - na ogół ci, którzy śmiali się najgłośniejszym - mieli takie dziwne oczy...

We wszystkie te wieczory, gdy nie kładziono jej spać, tylko wykwintnie ubraną stawiano w progu jadalni - by najpierw dygnęła, potem maszerowała samotnie wzdłuż stołu - cały czas, odrywając wzrok od twarzy gości, zerkając na ojca. Matka siedziała na przeciwległym końcu, przy rozsuwanych drzwiach, i po lekkim przyzwalającym skinieniu lakierowanych loków Nona biegła już wprost do niego. Siedział zawiadując szczytem stołu i był wielkim mężczyzną w czerni i bieli. Kiedy Nona

Diana Silber

docierała wreszcie do jego krzesła, następował najgorszy, trwający wieki moment. Serce biło jej jak młotem, a on decydował, czy może ją przyjąć. Czy dobrze się spisala wśród uśmiechniętych kobiet i mężczyzn, którzy nigdy co prawda jej nie dotknęli, ale których dotyk później towarzyszył jej w snach? Tylko ojciec mógł to ocenić.

Za każdym razem umierała ze strachu, że go zawiodła, i on na pewno nie obdaruje jej pieśczożą; stała przed nim skupiona jak malowana infantka i polykała lzy. Ale właśnie wtedy, kiedy spodziewała się, że ją odtrąci, ojciec wybuchal śmiechem i mocno ją całował.

Zatrważający zapach whisky unosił się w jego oddechu, ale ten pocałunek ojca najslodszy był ze wszystkich, jakie pamięta. Droga powrotna wzdłuż stołu mijala błyskawicznie. Nona podskakiwała triumfalnie, mimo że kobiety usiłowały ją złapać. Wreszcie którejś udawało się - przytulała Nonę zbyt blisko, ścisła za mocno, a ona nie miała chwili do stracenia, chciała już być na górze i czuła, że się dusi. Bardzo wyraźnie pamięta tamte przyjęcia, nawet wtedy, gdy całe jej dzieciństwo odpływa w porywie zapomnienia i, niczym wrak, leży na piaszczystym dnie morza. Pamięta podobne do kryształowych gwiazd roziskrzone światło zawieszonych wysoko pod sufitem dźwięczących kandelabrow. I kobiety - stworzenia za szkłem, egzotyczne żyjątko w akwarium, lśniące klejnotami, cekinami, wpiętymi we włosy ozdobami. Miały mokre, błyszczące usta i identyczne jak mama mandarynkowe paznokcie. Kiedy była jeszcze bardzo maleńka, zanim zorientowała się, że chcą ją rozdusić, wyciągnąć z niej coś dla siebie, chciała wejść na opięte taftą kolana, wtulić się w sztywne gorsety i twarde stelaże czegoś, co nosiły pod połyskliwymi sukniami, i dostać do ich nagiego ciała. Pod ubraniem pachniały cynamonem.

Pamięta też mężczyzn, czarnych jak rzeki w nocy, w śnieżnobiałych koszulach. Jacy byli niepokojąco wielcy, choć nie tak olbrzymi jak ojciec. Kiedy nachylali się do niej, owiewali ją chłodnymi oddechami o zapachu mięty bądź ogórka, a mimo to nie ziębili jej skóry, tylko ogrzewali. Nawet wówczas, gdy była bardzo małą dziewczynką, ich spojrzenia pieściły ją gorąco.

Nona musiała mieć jakieś dwa, trzy lata, kiedy zaczęto ją

podawać gościom na przystawkę przed zupą. Rodzice popisywali się jej bladą buzią kamei i mahoniowymi loczkami.

Matka trzymała przy talerzu srebrny dzwoneczek, który dzwonił jak kurant. Za drzwiami jadalni czekała już Nona z nianią. Niania poprawiała Nonie koronkowy kołnierzyk czarnej aksamitnej sukienki i śliniła palec, by wygładzić jej brwi, po raz ostatni sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Wreszcie odzywał się natarczywy głos dzwonka, niania rzuciła się, żeby otworzyć wielkie drzwi, a unoszący się w powietrzu dźwięk srebrnego kuranta wzbudzał rezonans w brzuchu Nony. Lata później, nieoczekiwanie słysząc ten sam ton, Nona zastyga w bezruchu i wspomnienia spadają na nią jak lawina.

W końcu dostaje swoje miejsce przy stole, lecz delikatny stukot butków na parkiecie i srebrny dzwonek matki, wzywającej pokojówkę, wywołują ducha przeszłości i mrozą atmosferę. Z chwilą, kiedy dostała talerz, srebrne sztucce, kieliszek do wina i szklankę do wody, stół bardzo się skurczył, nie był już tak długi jak bostońska ulica. Zabrakło na nim klejnotów, rozrzuconych między lichtarzami i bukietami kwiatów. Kobiety straciły już srebrzysty błysk; mężczyźni rozdęci jak balony, przypominali tłuste i pomarszczone, tuczone gęsi. Ale to, jak patrzył na nią ojciec, nigdy się nie zmieniało. Miał wciąż to samo nie słabnące spojrzenie orlich oczu, które przypominało jej o ich tajemnicy i o tym, jak bardzo go kocha.

„Dziewczynka Adama” - mówiono. Była jego dziewczynką.

Wspomnienia jak zwykle nachodzą ją całkiem nieoczekiwanie, ściskają za serce, łapiają, gdy jest bezbronna. Bez trudu wraca w przeszłość, wychodzi z jadalni, by w deszczowe niedziele przeciąć korytarz i kiedy matka śpi w sypialni na górze, trafić do gabinetu ojca, dokąd ją przywoływał. Zakurzone głosy, śmiech trzydziestopięciolatek, sztywne ruchy zmarłych, cichutkie jak opadające liście. Nieznane i nigdy więcej nie widziane ręce podnoszą wino do ust i szeroką falą przenoszą ciężar tamtych dni na teraz.

Jakoś nic nie dzieje się w jej życiu. Wszystkie romanse zaczynają się od górnego „C” i szybko spadają donikąd. Jeżeli w ogóle można mówić o romansie, bo większość mężczyzn, którzy się jej podobają, są albo, niestety, homo, albo żonaci, tak

jak ten prawnik Lorraine. Jest więc zarówno zdumiona jak i szczęśliwa, gdy Alan Stevens dzwoni, żeby zaprosić ją na lunch w elegancki półmrok restauracji, prowadzonej przez ucznia Ma Maison. Serce jej wali i czuje się nie w porządku, bo wie, że powinna odmówić. Usta jej wyschły i zachrypla; zgadza się. Naturalnie, przed Lorraine musi udawać, że jest umówiona na badanie, które zalecił jej doktor Rubin. Lorraine, co prawda, cały czas uważa Nonę za hipochondryczkę, tym razem jednak trzyma język za zębami; ma wobec Nony zobowiązanie. Teraz znów zostaje przywrócony delikatny stan równowagi. Długi zostają splacone. Następnym razem Nona będzie już musiała chorować poza pracą, ale jadąc na spotkanie z prawnikiem, na którego biurku stoją zdjęcia żony i dzieci w srebrnych ramkach, czuje się lekka i wolna jak podłotek.

Snopy zamglonego światła padają z kinkietów na bladozłote Pouilly Fuisse, które Alan zamówił. W krześle z wysokim oparciem, separując się, jakby siedział w sądzie w ławce dla obrony, pociąga wino, niemal zamykając oczy. Zadowolony kiwnięciem głowy daje znak kelnerowi. A później, delikatnie trącając jej kieliszek swoim, mówi:

- Za niezwykle atrakcyjną kobietę! Nie, atrakcyjną to mało. Za piękną kobietę. Co za twarz... - Ma bardzo wyważony sposób bycia, elegancki i schludny, jak jego dobrze skrojony garnitur. Oto rozsądny człowiek, który samym zachowaniem obiecuje rozwikłać wszelkie komplikacje. Mimo że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna to adwokat, Nona przestaje się denerwować.

Alan ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku i w trakcie tej kontemplacji wysuwa naprzód brodę z dołkiem w środku. Jego oczy podobają jej się - teraz nawet bardziej senne niż w biurze. Podobają jej się też pełne, nieco kobiece usta i uszy - małe i wysoko przyklejone do czaszki. Nona dochodzi do wniosku, że Alan nie przypomina jednak tego aktora z reklamy, a raczej Kurta Rusella, tyle że jest bardziej męski. Powoli rozbiera ją komplementami i Nona się temu poddaje. Fala pochlebstw unosi ją niemal kilka centymetrów nad wyścielanym aksamitem krzesłem. W gruncie rzeczy, mógłby ją nawet wziąć do łóżka w zaciszu tej drogiej francuskiej restauracji.

Mężczyźni często prawią jej komplementy. Prawdziwi z nich sztukmistrze; żonglują słowami niczym kragłymi pomarańczami. Gotowi są powiedzieć wszystko, i nie tylko po to - przed czym ostrzegano ją, gdy była młodsza — żeby nakłonić dziewczynę do seksualnej uległości. Mężczyźni tworzą nie istniejące światy - czyż właśnie nie tak zachowywał się jej ojciec? - i wiodą w nich życie z pozoru celowe i uporządkowane, lecz tak naprawdę nijakie, żadne, życie latawców na wietrze. Cóż, gdyby kiedykolwiek zechciała ogarnąć i uogólnić swoje doświadczenia, okazałoby się, że jej wiedza o mężczyznach jest nawet dosyć znaczna. Ale między puszczaniem mimo uszu bądź słuchaniem tylko tego, na co ma ochotę, zupełnie nie zauważa oszołomienia Alana. Jak ona może mu to robić! To znaczy, robić mu taki zamęt w głowie! Uwodzi go nie kiwając nawet palcem, po prostu będąc sobą, a mimo to przecież właśnie ona jest winna. Wyprostowuje plecy, ściąga łopatki, wydaje wyrok skazujący. Oczywiście, zakochuje się w nim, jeszcze zanim na stół wjedzie „Piękna Helena” — gruszki oblewane czekoladą. Jej skłonność do kochania jest równie instynktowna, jak seksualne wypychanie bioder naprzód w trakcie chodzenia.

Tej nocy Nona zapewnia niechętną kobietę w lustrze:

- Nie mrugnę nawet okiem. Będę siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. Nie mam najmniejszego zamiaru znów się z nim umówić, jeśli zadzwoni. - W lustrzanym odbiciu widać głębokie zmarszczki niepokoju. Wiedzą obie, Nona i ta druga, że Alan ma żonę i dzieci. Pamiętają o Cassie i niewiernym Do-ugu. - Jestem zupełnie inna niż ta okropna Trący! - przysięga Nona pociemniałym od kłamstwa oczom i dwa dni później wychodzi z Alanem na kolację, podczas gdy jego żona święcie wierzy, że mąż siedzi na konferencji zespołu.

Kiedy już wino - Chateau Margaux - zostało nalane do kieliszków, Alan nachyla się do niej i wypielęgnowanym paznokciem wiedzie po jej policzku, mrużąc:

- Taka piękna. - I zaraz potem: - Nigdy się nie rozwiodę. Rozwód nie jest celowy. - I dalej tłumaczy Nonie, ledwie żywej z emocji: - Jestem zadowolony z życia. Mam świetnych chłopców. Mówi się też o mojej kandydaturze w przyszłych wyborach do Zgromadzenia Stanowego. W Kalifornii obowiązuje

wspólnota majątkowa - wyjaśnia, jakby żądała od niego podania wszystkich przyczyn, odklepywanych niczym różaniec.

Nie można nic zarzucić jego trafności oceny sytuacji, ale Nona - rozmarzona księżniczka - buja w obłokach, jak zwykle zawieszona w bezruchu, z którego wyrwie ją dopiero pocałunek mężczyzny. Poza tym zapatrzona jest w jego oczy i w nich odczytuje zupełnie inną historię. W jego oczach widzi, że budzi się o trzeciej w nocy, żeby się kochać, żeby pójść na plażę między palmy, widzi ich wspólny spacer o wschodzie słońca.

Tka koronkowy romans i wcale nie zauważa, że Alan mówi o przyjemnościach, lecz nie o miłości.

Zaklinała się przed lustrem, ale w świede świec woli nie pamiętać o swoich przyrzeczeniach. Przysięgała, że tego nie zrobi, ale już za chwilę pozwoli, by wszedł z nią na górę.

Oczywiście, uważa, że wszystkiemu winna jest Lorraine, i uśmiecha się słodko do swej kierowniczkii, która jednak nie przychodzi na myśl kupidy. Nona naturalnie nawet przy niej nie pisnęła o swojej nowej miłości. Przecież Lorraine rozszarpałaby ją na sztuki. Taka straszna żmija z tej Lorraine, że gotowa jest wręcz zadzwonić do żony Alana, a potem do właścicieli sklepu i donieść, że Nona się źle prowadzi. Jasne, że wszelkie takie gadanie - jeśli idzie o panów - zupełnie mija się z celem, bo przecież Leonard objął kiedyś Nonę i zaproponował kolację, a Howard nieustająco patrzy na nią świńskimi oczkami wygłodniałego młodzieniaszka. I jakoś nie robi im to różnicy, że obydwaj w Lagunie mają żony i dzieci.

Cudzołóstwo jest grzechem. W dwudziestym wieku to absurd. Tak właśnie któregoś wieczoru Ewa mówi Cassie przez telefon: - W końcu to nie jest napad na bank ani kradzież w sklepie. Wiązanie się z żonatym może być durne, ale to jeszcze nie przestępstwo.

- Tak pewnie tłumaczyła sobie Trący, porywając Douga. Ewa sama się zaplątała w obronę Nony, którą tak naprawdę uważa za głupią gęś na niebezpiecznych wodach i widzi w niej dokładnie tyle samo miłości, co w betonowym słupie.

- Wiesz, że to kaprys. Trzydniowa sprawa. Romantyczne

spojrzenia, czerwone róże, całe to zwykle zawracanie głowy. No, wiesz.

— Nie wiem. Jedyne żonaty w mojej karierze był moim własnym mężem.

— Daj spokój, nie wciskaj tu własnych spraw, Cass. To w końcu jest Nona, a nie Trący, i jakiś adwokat imieniem Alan, którego już za parę tygodni na pewno będzie czuć naftaliną. A zresztą, może jego małżeństwo już dawno leży w gruzach i sprawa za chwilę trafi do sądu? Albo na przykład jego żona jest kaleką, nie może tego robić i czuje się winna?

— Nieźle cię ponosi! Ale nawet jeśli któreś z tych twoich ważnych powodów istnieją rzeczywiście, niech mnie najpierw utopiają i poćwiartują, zanim usprawiedliwię oszustwa jakiegoś faceta. Poza tym myśl o Nonie. Ona zawsze obrywa. Naobiecuje jej Bóg wie czego, urwie dla niej kilka godzin, każe jej siedzieć w domu w Sylwestra, aż wreszcie któregoś dnia rzuci się w ciepłe ramiona żony. Oczywiście nad wyraz zbolalały i przepraszający. I co Nona będzie z tego miała? Może srebrny naszyjnik, albo złoty, jeżeli pan okaże się szczodry. Cassie ogarnia to złość, to znów głęboki niepokój. A niech tę Nonę diabli, jeżeli złapie tego faceta, i niech ją diabli, jeśli go nie złapie!

Ewa ma swoje poczucie winy, z którym się szamocze - cudzołóstwo, które uznała za miłość. Cóż, to właśnie tym było. Wszystko się zmienia, ludzie się zmieniają.' Ma ochotę powiedzieć to Cassie. Mężczyźni myślą krok, spadają, potykają się miotani namiętnością. Tak jak Doug Morgan, którego Ewa nienawidzi, ale i rozumie.

Cassie jednak widzi świat tylko w białym i czarnym kolorze. Wie, co dobre, a co złe, i nie robi wyjątków. Słuchając jej, Ewa rozmyśla, co Cassie powiedziałaby o Abramsonie, który nie miał w sobie nic z lekkoducha, lecz wpadł w pułapkę i nie mógł się z niej wydostać.

— Jesteś cyniczna - stwierdza, gdy Cassie milknie.

— I chyba już najwyższa pora, nie sądzisz?

Słychać, jak obie dyszą w słuchawkę. Ewa zaczyna się zastanawiać, czym by tu udobruchać zwykle tak zrównoważoną Cassie, czym rozładować jej gniewne oburzenie.

Diana Silber

- Hm, i tak ten Alan lepszy, nawet jeśli przychodzi z obrączką i dziećmi, od tego jej popołudniowego zboczeńca. Sto razy lepszy.

Ewa nieprzerwanie obraca na przegubie dłoni złotą bransoletkę - pełne koło, bez końca, bez początku - i jest wściekła. Jest wściekła na Cassie i jeszcze bardziej na Nonę, że nie umiała trzymać języka za zębami. Dlaczego musiała wypaplać, że się zadurzyła? Ale Ewa dobrze wie, dlaczego. Mężczyźni mogą przemilczać miłości, kobiety o uczuciach muszą mówić. Dopiero wtedy uczucia stają się prawdziwe.

- Wiesz, to mało śmieszne. Trochę się uspokoiła?

- Daj jej święty spokój, Cassie, i nie mieszaj się. Za tydzień, za miesiąc, będzie już ktoś inny.

- Kto? Następny żonaty? Ewa, na litość boską, dlaczego? Przecież ona jest taka śliczna, ma tyle wdzięku.

- I nie szkodzi, że wszystko ciągnie do siebie, jak roczne dziecko. Uroda! Mam już dość tej urody! Czy jej śliczna buzia otwiera drzwi do życia w bajce?

- Nona ma dobrą pracę, więc nie gadaj tak, jakby była Miss Ameryki.

- Nigdy nie mówiłam, że jest *femme fatale* niezdolną do zarabiania na życie, ale od ciągłego piania, jaka to ona śliczna, ta nasza kochana Miss Dixon, aż mnie bołą zęby! - Ewa myśli, że Cassie posądzi ją o zazdrość, a przecież nie jest zazdrosna, bo uroda Nony łączy się z jej nadmierną kruchością. Nona jest wazą Ming, wrażliwą na wstrząsy.

Ewa nie jest zazdrosna, lecz Cassie czasem łapie się na tym, że chciałaby mieć urodę Nony, a w każdym razie jakiś jej fragment. Na przykład wielkie błyszczące oczy, albo jej bardzo pełne usta. I chociaż - od czasów akademickich, kiedy to co wewnątrz człowieka wysuwało się na prowadzenie przed tym co na zewnątrz - zdążyła już przywyknąć do swojej kwadratowej twarzy i jej niedoskonałości, do oczu, których koloru się nie pamięta, to gdyby dać jej wybór, wołałaby jednak patrzeć na Nonę niż na siebie. Pogodziła się już z faktem, że nikogo nie oszałamia wyglądem; zyskuje dopiero przy bliższym poznaniu. Lecz skoro Doug - przysięgał kiedyś, że jest zauroczony jej twarzą - z takim hukiem nawiał z jej życia, wołałaby jednak

znaleźć w sobie choć odrobinę czegoś wyjątkowego. Byłoby to jakimś zabezpieczeniem; tak jakby uroda stanowiła osłonę przed zimnym wiatrem odrzucenia, jakby uroda Nony nie była jej zagrożeniem i pułapką. Piękno nie daje wolności i Cassie dobrze wie o tym, chociaż chce wierzyć, że jest akurat odwrotnie.

Ona jest przecież zupełnie inna niż Trący, to już kobieta, nie dziewczyna, a ja nie mam prawa utożsamiać się z żoną tego adwokata - szepcze Cassie do siebie. Leżąc w łóżku na plecach, kontroluje własny oddech: wdech, wydech, wdech, wydech, odpędzając od siebie myśli o nowym zadurzeniu Nony, o jej perfidii, i wpatruje się w siatkę pęknięć na suficie.

Dom jest stary, stary jak na Kalifornię, i aż się prosi o malowanie. Kiedy to ostatnio meble wyjechały na środek pokoju i przycupnęły pod zarzuconą osłoną, chowając się jak dzieci? W swym szaleństwie zmian, które nosiło ją niczym burza, miała zamiar wziąć się też za ściany. Ale wypogodziło się. Wyparowała z niej energia. Ból osłabł i skończyło się na samotnej kanapie z salonu.

Wodząc wzrokiem po suficie, Cassie дума, ile milionów kobiet strawiło miliony godzin, gapiąc się w sufit jak w ekran telewizora, gdzie w płątaniu linii i spękań widzą ważne sceny z ich życia?

Śledzi te pęknięcia aż do ich zarodka, a potem dalej do komór serca, jego żył i arterii wiodących donikąd. Szlakiem dróg wyjeżdża z południowej Kalifornii w obcy świat, lecz niestety, najdłuższa wijąca się linia kręci się tylko dookoła siebie.

Będzie musiała już zaraz zamówić malarzy, a może też położyć nowe tynki? Przybrzeżny pas ziemi ciągle się przesuwa, targany lekkimi wstrząsami, jak cichnące drżenia po akcie miłości. Fundamenty domu przesunęły się malusieńki kawałeczek. Cassie wyobraża sobie zagięcie kości... Z punktu widzenia medycyny, zupełnie niemożliwe.

Dlaczego nie może być tylko i wyłącznie lekarką, idealną maszyną podobną do Jeny, całkowicie oddaną macicom i jajnikom innych kobiet? Po co ma wyobraźnię, potrzeby i pragnienia samotnej, starzejącej się, więdnącej kobiety? Dlaczego upodabnia się do starego domu: pęka i obłazi?!

Diana Silber

Stary dom... Stare kości...

W sobotę wieczorem w drodze do Malone'a, jedzie ulicą Victorian przez Santa Monica. Jest już ciemno, latarnie rzucają płytkie kałuże światła i Cassie widzi tylko duży, odrapany budynek. Gdzie ci robotnicy, którzy znaleźli martwe ciała? Czytając artykuł, myślała, że dom został zrównany z ziemią, beton rozdarty na strzępy, a tam, w ziemi, leżał gdzieś skarb: odłamki kości udowych i łokciowych, piszczeli, obojczyków, łysej czaszki i gołych palców bez cielesnych rękawiczek. A tu tymczasem stoi sobie dom, jak filmowa makieta, i tylko boki ma wygryzione.

Nie zbacza z drogi, by zobaczyć ów dom, ale też nie musi koniecznie tędy jechać. Nie planowała specjalnie tej trasy, żeby z mrocznym zaciekawieniem gapić się na tę niezwykłą mogiłę, wyobrażając sobie tłum napierający na drewniane kozły do piłowania i zasuwane na ekler czarne torby, pakowane do ambulansu. Naturalnie, że dziewcząt już tu dawno nie ma; przewieziono je do kostnicy i tłumek gapiów dawno zniknął z chodników. Nic nie zostaje, nawet to mrugające czerwone światło na jezdni. Wywóz dziewczyn jest jakby ich drugą śmiercią.

Jakie to wszystko ulotne, i wszyscy, wszyscy wokoło: pacjentki, znajomi, nawet Mandy, nawet ona sama. Walcząc ze wszystkich sił w klinice, może jedynie zatrzymać czas. Ofiarowany czas, w historii wszechświata jest króciuteńki niczym sekundy.

Mam czterdzieści cztery lata i jestem samotna...

Noc gęstnieje i Cassie jedzie dalej, przepisowo - równe czterdzieści kilometrów w terenach zabudowanych - jedzie, żeby posłuchać, jak Jake, ogrodnik, brzdąka na gitarze.

Cassie nie podchodzi do muzyki w sposób naturalny; jakoś tak wlecze się bokiem. Kiedy była w liceum i adapter grał na okragło, kolejne piosenki spadały z list i wyparowywały z pamięci. Tylko jedno się jej trzymało: muzyka, przy której same nogi podskakiwały, której rytm zgodny był z biciem serca, która podrywała w górę - twist. Jadąc samochodem czy siedząc w domu i wypełniając raporty, z przyjemnością słucha *Concerto*

grosso, ale nie rozpozna Haendla, gdy go następnym razem usłyszy. Nie ma pamięci słuchowej; w muzyce czuje się mniej pewnie niż na wodzie. Ale lubi muzykę, lubi ją naprawdę. Nie topi się w dźwiękoszczelnej kapsule, głucha z wyboru. Za to nie znosi głośnego jazgotu, dysharmonijnych dźwięków, wrzaskliwej, szczękającej furii spoconych chłopców, którzy kipią z radia jak lawa, nim zdąży zmienić stację, ani też tego, co grzmi zza płotu Levinsonów, kiedy Tony akurat jest w domu. Taka muzyka świdruje jej w mózgu. „To sprawa pokoleniowa” - objaśnia ją Mandy. Cassie niedowierza i pyta April, która jest już matką, a przy tym wciąż dzieckiem - ze wstążeczkami we włosach, kolorowymi nauszni-kami i w landrynkowych, obcisłych legginsach - co ona myśli o hard rocku. April marszczy buzię i wyrzuca z siebie ulubione grupy i tytuły, wszystkie znane piosenki o miłości. Wśród zespołów, które ją wzruszają, są o dziwo i te nieobojętne Cassie, jak na przykład Beach Boys. Muzyka Jake'a jest zupełnie innego gatunku. Jest eklektyczną mieszanką, w której pobrzmiewa Hank Williams, Woody Guthrie, Muddy Waters. Piosenki błyszczą smutkiem dawnych lat. Kilka z nich Jake gra solo, pochylony nad gitarą leżącą na jego udach jak ciało kochanki. Przy innych gładko dołącza do niego starszawy czarnoskóry pianista bądź stojący z lewej gruby, awanturniczo wyglądający młodzieniec z kornetem i klarncista - szczupły i srebrzysty jak jego instrument.

Rozrzucone po sali pary: kobiety siwe albo szpakowate i uróżowane, mężczyźni o obwisłych szyjach kurczaków, kilkoro młodszych romantyków splecionych uściskiem rąk, wtuleni w siebie tancerze na niedużym, wytartym parkiecie - wszyscy z uznaniem słuchają muzyki Jake'a. Grupka dorosłych nastolatków, ubranych jak najbardziej ortodoksyjni baptyści w niedzielny poranek, słucha ze szczególnym napięciem. W czasie występu Jake'a młodzi ludzie prawie nie podnoszą kieliszków do ust, a jeśli już, to robią to wyjątkowo cicho i subtelnie. Lecz samotnicy przy barze wypięli się na muzykę i niewystraszeni melodyjnym akompaniamentem, popijają sobie w najlepsze. W sfatygowanej knajpce Malone'a lata długich nocy i dni malują ściany warstwą brudu i stęchłym dymem papierosów.

Diana Silber

Niewyraźne fotografie złaczonych uściskiem ramion zapomnianych mężczyzn mocno są zakurzone, a zamglone oczy wpatrują się w muzyków niewierzącymi spojrzeniami.

Do starego irlandzkiego pubu z potarganym zielonym sztandarem u sufitu ta muzyka trafiła przez pomyłkę i przyniosła ze sobą smutek innego świata.

Cassie, choć nie zalicza się do trunkowych samotników, nie należy też do par przy stolikach. Decyduje się usiąść przy barze. Jest skrepowana swoją samotnością i czuje, że ludzie na nią patrzą. Do pubu wchodzi akurat w chwili, kiedy Jake zaczyna śpiewać coś, co się nazywa *Czy przerwiemy ten krąg?*, ale jest tak zdenerwowana, że nie docierają do niej ani słowa, ani cały artyzm jego gry. Po głośnych owacjach Jake ucisza publiczność rzewnym *Ten świat nie jest moim domem*. Śpiewa tęsknym barytonem i Cassie ma wrażenie, że adresuje tę pieśń właśnie do niej. Oświecenie u Malone'a jest równomierne; nie ma reflektorów skierowanych na niewielkie wzniesienie sceny, możliwe więc, że ją widzi. Cassie ma taką nadzieję, ale pewna nie jest, bo dzieli ich za duża odległość.

Ta część występu kończy się nagle; pianista nachyla się do mikrofonu i mówi:

- Robimy przerwę, żeby przepłukać gardła, ale za chwilę spotkamy się znowu.

Rozchodzą się, nie są już grupą, która z pojedynczych nutek tkala jedną całość.

Cassie usztywnia ramiona. A jeśli on nie podejdzie? Na pewno ma tu jakichś znajomych. Zatrzyma się przy stoliku, usiądzie, wypije piwo. Nie obiecywał jej przecież, że będzie się nią zajmował. Ale Jake ostrożnie odkłada gitarę, zeskakuje ze sceny i idzie do niej. Cassie odwraca się, żeby nie myślał, że czeka na niego.

- No i jak? - Jake wciska się między nią a zmiętą marynarkę starszego gościa na najbliższym barowym stołku. - Corone! - woła do barmana.

Cassie czuje w ustach metaliczny smak zdenerwowania i mówi:

- Podoba mi się ta muzyka.

Jego mroczność pogłębia się w sztucznym świetle żarówek.

To jeszcze nie koniec

Przypomina jej chłopców z rodzinnych stron, tych spod młyna, tych, którzy zawsze wiedzieli więcej, zawsze od niej starszych, choćby Bóg wie ile lat żyła, tych chłopców, którzy dumnie kroczyli w obcisłych dżinsach i posiadli jakieś sekrety.

- Może być. - Jake wzrusza ramionami i wreszcie, przystawiając butelkę do ust, spogląda wprost na Cassie.

- Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że pan śpiewa. Piosenki są cudowne. Pan sam je pisał?

- Nie. - Śmieje się. - Napisali je inni muzycy, o niebo lepsi ode mnie. - Mówi to całkiem zwyczajnie, ale jej komplement sprawił mu przyjemność.

Cassie chce przekonać Jake'a, że jego muzyka nie spłynęła po niej jak po gęsi, ale jakoś szamocze się z pochwałą, aż wreszcie słowa wysychają, i tylko powtarza sztywno:

- Podoba mi się i gra, i piosenki.

Jake uśmiecha się po raz pierwszy; widać to w jego oczach.

- Dziękuję - mówi, a ona przypomina sobie, co powiedziała Nona, piejąc kiedyś nad jakimś facetem: „taki wspaniały, że można umrzeć!” i świetnie to rozumie, gdy ich spojrzenia mierzą się ze sobą. Uderza w nich fala gorąca, a tymczasem jakieś obce głosy przyplływają i odpływają na zmianę; słycać głośnie wybuchy śmiechu, pojedyncze słowa „Jeszcze jedno! Może masz ochotę na...? Ależ, Sal! Coś podobnego! Nie Sal, nie, nie! A niech to diabli! Tutaj!” Cassie przysłuchuje się temu w skupieniu, próbując wyrwać się mocy Jake'a. Jak inne kobiety, takie Nony i Ewy, mogą to tak bez trudu robić nocą z mężczyzną, którego ledwie znają? Przy nich, i jeszcze w obecności Jake'a, czuje się straszną gęsią. Serce ma w gardle i zaczyna się pocić. - Jeszcze jedno piwo? - pyta Jake i ręką przywołuje barmana. Wyblakły orzeł wylatuje spod rękawa.

- Skąd ten tatuaż? - Cassie powstrzymuje się, żeby nie dotknąć zaskakująco delikatnych niebieskich skrzydeł.

- Z Wietnamu.

Jasne. Wojna - skaza ich pokolenia; rak, który pożarł ich młodość. Właśnie przez wojnę tak spiesznie brali z Dougiem ślub, właśnie dlatego Doug zapisał się na studia prawnicze. „Kocham cię” - powiedział, chcąc się trzymać jak najdalej od

południowo-wschodniej Azji. Ale oboje zachowywali się godnie, wysmarowując petycje i maszerując w skwarne popołudnia. Ona wybiegała z lodowatego laboratorium anatomicznego, zostawiając rozczłonkowane ciała, rozdarte martwe tkanki, i pędziła, by zgrzać się w euforii protestu. Zostawiała spokojną pracę ćwiartowania zmarłych i rzucała się w wir ratowania żywych. Pewnego razu przemaszerowała wiele kilometrów, niosąc wysoko nad głową zdjęcie zakłutego bagnetem dziecka. Wreszcie ból zmusił ją, by ostrym krzykiem zawtórowała wznoszonym hasłom, aż w końcu straciła czucie w ramionach.

„Frajerzy, głupki, zbyt durni, żeby sobie nawet sznurówki zawiązać” - żołądkował się Doug i jego koledzy, krytykując tych, którzy jechali na wojnę, zamiast bić się, żeby zostać w domu. Trzeba tylko trochę ruszyć mózgiem, przyznać się do homoseksualizmu, zamorzyć do postaci kościotrupa zbyt słabego, by walczyć, na komisję przyjść tak naćpanym, żeby chodzić po ścianach. Tylko kretyni salutując maszerowali na śmierć z *Gwiazdźdźistym Sztandarem* i jakimiś bogoojczyźnianymi bzdurami na ustach. Ratowali świat przed komunizmem!

Aż pewnego dnia wojna się skończyła. „Oni” wrócili do domu. Ci, na temat których ona i Doug krzyczeli tak głośno, wrócili)okaleczeni; ich ran żaden lekarz nie miał już wyleczyć. I tak się złożyło, że dotychczas Cassie nie spotkała nikogo z tych, których niegdyś - tak jak polityków - uważała za wrogów.

Jake mówi „Wietnam” i Cassie czuje nowy, ostry ból. Musiał być wtedy młodym chłopcem.

- Dwadzieścia lat - odpowiada na pytanie. - Zacząłem chodzić do college'u, ale miałem pstro w głowie i nigdy naprawdę nie wiedziałem, po co tam siedzę. Chyba tylko po to, żeby pograć w piłkę. Ale i w tym nie spisałem się na tyle dobrze, żeby mnie chcieli zatrzymać w drużynie. Wszystko to razem plus prywatki... - Starszy gość zsuwa się z sąsiedniego stolka i kulawo obchodzi bar, idąc do ustępu. Jake siada na jego miejscu; jest teraz dalej od niej. Orzeł obraca się i chowa; widać mu tylko jeden żółty szpon. - A potem, wesołych świąt, i już mnie mają, żadnych zwolnień. Powołanie czeka na mnie jak hrabia Drakula.

Cassie przypomina sobie, co mówił Doug, kiedy jego brat, Mark, zaczął opowiadać o rzuceniu uniwersytetu w Ohio, o wyjeździe na zachód i szwendaniu się po plażach. *Nie bądź dupkiem, stary! Zobaczysz wtedy plażę, ale te w Wietnamie!*

Wojna była zmorą, która chciała pożreć ich wszystkich, i choć to nie do wiary, Cassie nie myślała o niej już od lat. Dawno przebrzmiało My Lai, ofensywa Teta, nielegalne wkroczenie do Kambodży. Wojna siedzi gdzieś rozmydlona w pamięci jak pierwszy pocałunek. Teraz, kiedy o tym myśli, zastanawia się, czego właściwie dokonała swoim protestem poza tym, że nieźle się przy tym bawiła. Wszystkie te wiece, wzniesienie hasel, śpiewy, wymiana uścisków, znaki pokoju, euforia... W tamtych dniach miłość do ofiar była warunkiem przynależności do grupy, a antywojenne nastawienie należało do obowiązującego obrządku. Jake opiera stopy na metalowej obręczy stołka; podciągnął wysoko kolana, zasłaniając miękkie podbrzusze. — W czasie mojego pierwszego patrolu w Sajgonie tak się schlałem, że prawie nic nie pamiętam. Jacyś moi kumple wymyślili, że tatuaż to jest to. Więc pewnie powiedziałem, a niech tam, czemu nie? No i — Jake podnosi ramię — włóczyliśmy się jakimiś ciemnymi uliczkami, aż wreszcie trafiliśmy na tę dziurę w ścianie. To była kobieta. — Kobieta tatuowała?

— Mhm. Stara i pomarszczona jak orzech włoski. Naga do pasa. W tym cholernym pokoju był skwar jak w Hadesie i kiedy ją zobaczyłem nachyloną nad jakimś świńskim, mokrym od potu i błyszczącym ramieniem, o mało nie umarłem ze śmiechu! A potem nie wiem, jeden z chłopaków podał mi jakąś lepszą trawkę i jak się ocknałem — wyciąga przed siebie ramię, żeby popatrzeć na orla - stary lysielec już tutaj siedział. Niezupełnie na to liczyłem.

— A co to miało być?

— O, pewnie jakaś gwiazda. Nieduża. Na nadgarstku.

— Dlaczego gwiazda? Dlaczego nie serce? Albo imię dziewczyny?

Starszy facet wraca z ubikacji. Ma kaprawe oczy i pijacki nos pokryty siateczką czerwonych żyłek. Jest wzrostu siedzącego

psa, spod spiczastej brody zwisają mu fałdy skóry — bezceremonialnie szturcha Jake'a.

— Zająłeś moje miejsce.

Jake spina mięśnie i Cassie myśli, że bardzo nie lubi, jak go dotykają.

— Taak - mruczy i wstaje. Mężczyzna wciska się za niego, popychając go na Cassie. Jake ociera się o jej rękę i nogę, a dłonią muska jej ramię.

Jego bliskość wywołuje w niej podmuchy paniki. Pot rosi rowek między piersiami. Przypomina sobie randkę zorganizowaną przez Levinsonów - już dawno zapomniała, jak on miał na imię — i chirurgicznie zimne usta mężczyzny na swoim policzku. Właśnie takiego pocałunku oczekuje, takiego pocałunku nauczyła się oczekiwać, a nie tej wilgoci na karku, spowodowanej czymś, co nawet trudno nazwać dotknięciem.

— Jake! Hej, Jake! - Pianista daje znaki ze sceny. - Dosyć picia! Robota czeka!

— Zobaczymy się po tej części? To już ostatnia.

— Nie, nie mogę już dłużej zostać. Naprawdę, muszę wracać. Jutro mam pracowity dzień - mówi Cassie zapominając, że to sobotni wieczór.

Jake wyślizguje się bokiem.

— No tak, jasna sprawa. Dzięki za odwiedzinę.

— Było cudownie, i ta muzyka, i gra...

Ale z niej idiotka! Co za głupia gęś, zupełnie jak nastolatka! Jeszcze gorsza niż Mandy na pierwszej randce

— myśli Cassie i jest jej przykro, że Jake już odchodzi.

Ewa czeka na Johnnynego i nie może wyciszyć głosów, dochodzących z sąsiedniej łoży; nieubłagane unoszą się nad wyścielanym skórą przepierzeniem. Przesuwa się na drugi koniec stołu, ale nawet tam nie ucieka przed swobodnym, leniwym brzęczeniem starszych kobiet — starych kobiet.

- We wtorek wieczorem pojechałam do Centrum Muzyki z Sonyą Berger. Miała jeden wolny bilet. Nie zrezygnowała z abonamentu po śmierci Jacka.

- Sympatycznie.

- Miło. Ale to nie to samo. Jak się idzie samemu...

Diana Silber

- Przecież nie byłaś sama, tylko z Sonyą Berger.
- Prawda, ale wiesz, co mam na myśli. Niby przyjechała po mnie, a potem odwiozła do domu... Nie znoszę prowadzić nocą. Głównie Jonah prowadził, nawet w ciągu dnia.
- Tak samo jak Leo. Z chwilą gdy przeszedł na emeryturę, nie dawał mi nigdzie jeździć samej. Miał niesłychane wyczucie kierunku. Teraz, jak wsiadam do samochodu, muszę się dobrze zastanowić, jak najlepiej dojechać do Bullock's Wilshire. Albo czy pół godziny wystarczy, żeby dotrzeć do Century City.
- Ale wracając do tematu, koncert był bardzo przyjemny. Bruckner. A obok Sonyi siedzi jakiś bardzo miły pan. - Kto to taki? - Ona nie ma pojęcia. Ale zawsze przychodzi sam. Klaniają się sobie, troszkę rozmawiają. I to wszystko. - Ile ma lat?
- Pod osiemdziesiątkę chyba. Dobrze ubrany. Z prezencją. Sonya nie traci nadziei, że kiedyś po koncercie zaproponuje jej kawę. W końcu dlaczego nie? Ale jak dotychczas nawet nie spytał, jak jej na imię.
- Ciężka sprawa. - Nie wiem, czy ciężka czy nie ciężka, ale byłoby nieźle mieć kogoś, z kim można by pójść od czasu do czasu na kolację albo do kina. Jakiegoś zaprzyjaźnionego mężczyznę.
- U mnie na hiszpańskim jest taki jeden...
- I?
- W ostatni czwartek wyszliśmy razem. Jakby był trochę zainteresowany. - Tak? To dobrze.
- A bo to wiadomo? - Jaki on jest?
- Mężczyzna jak mężczyzna. Bardzo się udziela na lekcji. Ma sto pytań, zupełnie odwrotnie niż Leo, który całymi dniami mógł się nie odzywać. Nie jestem przyzwyczajona do ciągłych rozmów.
- Łatwiej jest, kiedy druga strona ma o czym mówić. Przynajmniej dla mnie.
- Wiesz, z kimś cichym jest też przyjemnie.
- Umówisz się z nim, jeśli cię gdzieś zaprosi?

- Może. Zobacze.

- Nie bądź taka twarda. Idź. Będziesz się dobrze bawić.

- Ale co mam zrobić, kiedy odwiezie mnie do domu?

- Co znaczy, co masz zrobić?

- Co będzie, jeśli zechce mnie pocałować? Mam mu pozwolić? Na pierwszej randce?

- Dlaczego nie? Pocałunek nie jest taki straszny. Już się przecież kiedyś całowałaś.

- W zeszłym tygodniu moja szwagierka, Greta, miała randkę umówioną przez agencję. To był emerytowany producent płaszczy. Żona zmarła mu dwa lata temu na raka krtani. Greta mówi, że on powiedział, że to było ohydne. - Opowiadaj mi o randce, a nie o zmarłej żonie. Mam dość swoich nieboszczyków. - Byli na kolacji w Trader Vic's. - A potem?

- Stał się napasdiwy. Chciał jej dotykać, robić różne rzeczy. Była taka speszona. Nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić, jak się zachować, jak odezwać. Mówiła mu: „Proszę, nie...”. Jak mogło mu przyjść do głowy, że ona jest tego rodzaju kobietą? Łatwą, bez zasad! - No i?

- W końcu wyprosiła go za drzwi. Tłumaczyła mu, że go lubi, ale że za mało się znają, żeby robić te rzeczy, no wiesz. Może następnym razem. Nie to, żeby mu coś obiecywała. Zresztą sama mówi, że nie może być następnego razu, skoro ma takie uda, no i w ogóle wszystko jej wszędzie wisi. Wiesz, Greta ma nadwagę. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia, bo on nie pokazał się więcej.

- Powinna się do niego odezwać. Teraz jest zupełnie inaczej niż w czasach naszej młodości. Teraz kobieta sama może zaprosić gdzieś mężczyznę. Może nawet zapłacić swoją część rachunku.

Przy stoliku kobiet zjawia się kelner - chłopak o aroganckich oczach. Panie dyskretnie milkną, on zbiera talerze. Ewa ma nadzieję, że zaczną mówić o czymś innym, o czymkolwiek: o wnukach, które zapewne mają, o ciuchach, o drożyznie...

- Sonya bardzo nastawia się na wycieczkę, liczy, że tam pozna kogoś. Przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy wybrać się razem.

Diana Silber

- Sonya ma nie po kolei. W zeszłym roku, kiedy pojechałam z Emily Gruber na wycieczkę na Alaskę...

- Pamiętam. - Na statku był tylko jeden samotny facet w naszym wieku i jeszcze Emily słyszała jakieś plotki, że to agencja go wynajęła, żebyśmy miały z kim tańczyć. - Jakie to ponizające!

- Sama widzisz. Szkoda pieniędzy.

- Może te wycieczki na Karaiby są lepsze? Sonya proponowała właśnie Karaiby.

- Wyrzucone pieniądze, jeśli myśli, że znajdzie jeszcze pod słońcem wolnego mężczyznę.

- Pewnie masz rację. Ewa gestem wzywa kelnera i już chce zmienić stolik, kiedy w drzwiach dostrzega Johnniego. Zaczyna gwałtownie wymachiwać ręką, chce usłyszeć swój głos, jego głos, żeby koniecznie zatopić smutek kobiet zza ścianki, ich wątle nadzieje i lęki. Tonęła już w samotności, którą one piją na kolację. - Spóźniłeś się. Czekam już od dwudziestu minut - zgłasza pretensje, kiedy Johnny, plecami do kobiet, opada na siedzenie naprzeciwko niej i ramionami odgradza ją od nich. Pociera truskawkowe znamię, które mu się jarzy na brodzie. - Przepraszam. Znów jakieś roboty na Bulwarze.

- Trzeba było jechać Wilshire. - Za duży ruch o tej porze.

- I tak lepiej tamtędy niż Bulwarem. - Ewa nie może się powstrzymać, by tego nie powiedzieć.

Johnny ruchem głowy wskazuje jej szklanekę. - Co pijesz?

- Jakąś szalenie wykwinną wodę. Na twoją cześć.

Ewa wyjmuję papierosa z paczki, którą położył na stoliku. Od czasu, kiedy zaczęła spotykać się z Johnnym, pali więcej niż kiedykolwiek dotąd. A tak naprawdę, to wcale nie uważa, że się z nim spotyka. Johnny jest tylko znajomym. *Kimś, z kim można czasem wyjść, na kolację, do kina...*

A on myśli, że co?

- Może zechcesz powiedzieć mi, dlaczego jesteś na mnie taka wściekła? Hej, Ewa! - rzuca lekko, bo przecież nie traktuje

jej serio. Od kiedy się nawrócił, zrobił się obrzydliwie ugodowy. Ewa pamięta dawnego Johnny'ego Lenera jako nadętego, zwartego w sobie, balansującego na linie akrobatę, mało odpornego na obrazę. I głos mu się wtedy łamał.

- Dlaczego miałabym się wściekać na ciebie? Po prostu miałam dzisiaj kiepski dzień. - Kłamię, bo dzień był zupełnie zwyczajny, bez szczególnych napięć ani radości, najzwyczajniejszy szary dzień umiarkowanego zachmurzenia i bladego słońca.

- No dobra, wobec tego jedzmy.

— Przepraszam. — Łatwość, z jaką Johnny przechodzi nad tym do porządku, zmusza ją do odwrotu. Taki miły z niego chłopak. *...Bardzo miły mężczyzna... taki, z którym dobrze się zaprzyjaźnić...*

Kelner przynosi Johnnyemu wodę sodową i karty z jadłospisem. Ewa zamawia krwisty befsztyk; Johnny zastanawia się nad półmiskiem jarzyn na gorąco. Odrzucił mięso tak samo, jak wszystkie chemikalia; bardzo jest teraz wybredny w sprawach jedzenia. Interesuje się tym, co je i jak ugotowano te jego brokuły z marchwią. Nie dopuszcza soli ani żadnych dodatków. Ani grama masła. Johnny odrywa wzrok od karty i nad okularami do czytania spogląda bacznie na kelnera - zupełnie jakby go przesłuchiwał. Chłopak poddaje się, zdecydowanie bardziej zależy mu na Johnnym niż na starszych paniach z sąsiedniej kabiny. Któż to może wiedzieć, czy Johnny - w sztruksowej marynarce ze skórzanymi naszyciami na łokciach i w rozluźnionym krawacie - nie pracuje czasem w wiadomym przemyśle i czy nie jest władny tworzyć fantastyczne, bajkowe kariery? Oczywiście może też być dokładnie nikim. Nie wiadomo... W Hollywood nie ma jakiegoś stylu noszenia się, który by zdradzał człowieka sukcesu; najbardziej szmatławy przyodziewek może kryć najpotężniejszego rekina. Nie oplaca się więc być bezczelnym czy wyniosłym wobec klientów, a w każdym razie nie oplaca się to ładnym chłopcom, którzy aż piszcza, by trafić przed kamerę.

Kiedy Johnny nabiera pewności, że jarzyny nie są skażone, oddaje kelnerowi kartę i odpręża się.

— Wiesz, zaczynasz być naprawdę nie do zniesienia z tą

Diana Silber

swoją troską o to, co wrzucisz do żołądka. W końcu są jakieś granice tej dbałości, Johnny. Nie mówiąc już o tym... - Podstawia mu pod nos zapalonego papierosa.

- W przyszłym tygodniu w poniedziałek. Rzucam za jednym pociągnięciem. Mam w sobie już dość siły i odporności, żeby się wziąć za najcięższą próbę.

- Proszę cię, Johnny, zatrzymaj choć jeden zły nawyk! Spogląda na nią spode łba.

- Ewo, ja chcę żyć długo, bardzo długo. Jak tylko wyplątałem się ze swojej dżungli, od razu ujrzałem, jak przyszłość ściele się przede mną niby otwarta równina Kansas.

- Ty i Judy Garland! - śmieje się Ewa. Naprawdę lubi Johnnynego, ale on tak straszliwie przejmuje się tym swoim oczyszczeniem, jakby poza nim nie robiły tego setki i tysiące ludzi, którzy też odwracają się od swojej zatrutej przeszłości i zaczynają życie od nowa. Przecież nie jest jedynym człowiekiem, który zostawia za sobą zniszczone, zmarnowane lata.

Ewa też ma na swym koncie złe uczynki i nie może ich tak łatwo wymazać. Ale nie rozpamiętuje tego, co było, nie rozpamiętuje, co robił Jordan i co zawijał w paczuszki z niepozornego szarego papieru ani co trzymał w tandetnych walizkach, które zostawiał w schowkach na autobusowych dworcach. Kto wie, jakich dokonały spustoszeń? A potem była żona Abramso-na - straszły ją zza grobu. Och, ta przeklęta Abramsonowa! Wiecznie trzymała się za rozlupaną głowę i szlochała!

Żeby uciec od unoszących się nad stolikiem duchów, Ewa zaczyna przysłuchiwać się namaszczonego wykładom Johnnyn'e-

- Zrobiłem sobie prezent, jak dziecku pod choinkę. Od razu jestem rodzicem i dzieckiem, jestem dobry dla siebie: ofiarowuję sobie zdrowe ciało i umysł, który nie cuchnie już jak kadź śniętych ryb. — Obok nich starszy, umęczony kelner pcha wózek z deserami. - Trucizna - oznajmia Johnny, palcem wskazując tort czekoladowy. - Unosi solniczkę. - Trucizna.

Naturalnie, Johnny ma rację. Co do tego nie ma dwóch zdań. Ale taki jest nadgorliwy, taki z niego kaznodzieja grzmiący o wiecznym potępieniu, że Ewa nie może się powstrzymać i mówi:

- Tak samo jak powietrze.

- Zgadza się. Los Angeles ma straszne powietrze. Równie dobrze moglibyśmy wdychać żywe spaliny.

Wszystkie światowe systemy kontroli i te przekłete prawa dotyczące emisji pyłów

- w godzinach szczytu samochody wydzielają podwójną ilość spalin — oczyszczanie przemysłowych odpadów i zbiorników z toksyczną chemią, wszystko to razem nie warte jest funta kłaków! W tym mieście żyje za dużo ludzi, ale to nikogo nie obchodzi. Kiedyś nie byliśmy tak wtłoczeni w autostrady, a Bulwar Zachodzącego Słońca był drogą na uboczu, a tu - rozłożył ramiona, jakby chciał właśnie odśpiewać „Alleluja” - słodko pachniały łąki, gdzie wszystko rosło, jak Pan Bóg przykazał, a nie jakby wzięte prosto od florystki i ułożone przez ogrodnika. Zapomniała, że Johnny pochodzi z LA.

- Nie było cię wtedy. Dla ciebie to już tylko obrazy i bajki zasłyszane od dziadków. Nie należałaś do tamtego świata. To jest twój świat. Nie da się żyć przeszłością, Johnny. - Ścisną go za rękę, próbując pocieszyć, by nie żałował, że żyje sto lat za późno i jest więźniem czasu. Wiecznie ta bolesna skarga. Tęsknota za przeszłością. Wiecznie za przeszłością - myśli Ewa - a tymczasem tyle samo życia za nimi, co jeszcze przed nimi. Na niego czeka Kansas. Johnny usuwa rękę i rozgląda się po sali.

- Gdzie to nasze jedzenie, do cholery? Umieram z głodu.

— Zawstydzil go własny wybuch. Ewa uświadamia sobie, że to z jego strony pierwsze prawdziwe uzewnętrznienie emocji od chwili, kiedy taki oczyszczony i higieniczny znów zjawił się w jej życiu. I to akurat z powodu środowiska! Z sąsiedniej łoży wylaniają się dwie kobiety. Są elegancko ubrane; jedna ma kostium z dzianiny, druga z ciemnogramatowego drukowanego materiału. Obie identycznie krótko ostrzyżone - panie ze spotkania przy brydżu. Trafiły tam, gdzie ceni się już każdy okrucieństwo czasu; są dobrze zachowane, mapę zmarszczek ukryły pod makijażem. Siostrzane uczucia jednoczące ją z wychodzącymi przerażają Ewę tak bardzo, że zatrzymuje kelnera i zamawia coś mocniejszego od wody.

- Trucizna - odruchowo przypomina Johnny. - Na litość boską, to tylko jeden kieliszek!

- Zaczyna się od jednego.

Och, ci nawróceni! Gorliwi neofici! Ciągłe by pouczali! Z ziemi obiecanej wydzierają się aż pod niebiosa na biednych grzeszników.

- Wszystko zaczyna się od jednego - zauważa Ewa.

- Nie bądź taka mądra. Nie wiesz, jak to jest. Nie znasz tego bólu, który cię aż zwija, nie wiesz, co to jest drżączka i koszmary. Są takie dni, kiedy nie możesz wyjść z łóżka, i noce, kiedy nie możesz zmrużyć oka. Widziałaś kiedyś pająki łązące po ścianach albo węże w pościeli?

Jest już jedzenie, ale Johnny niepowstrzymanie tokuje dalej, zupełnie jakby kelner, który właśnie pyta, czy wszystko w porządku, w ogóle nie istniał. Ewa krótko odprawia kelnera i patrząc w niewidzące oczy Johnny'ego, dziwi się, po czorta on to zrobił. Ma w sobie rozognioną pasję maniaka. Za chwilę gotów zacząć krzyczeć. Ale Johnny nagle milknie, zatrzaskuje jakieś drzwi i szepcze:

- Dzięki Bogu, że mi się udało. Teraz wszystko jest dobrze. Dobrze się czuję. Naprawdę jestem już całkiem w porządku. - Czubkami palców styka dłonie i Ewa nie wie, czy Johnny się aby nie modli.

Ewa wolniutko sączy szkocką, w obawie, że kostki lodu narobią hałasu. Nie jest już wcale głodna, za to on rzuca się na jarzyny, jakby wyglodził go gwałtowny wybuch złości.

- Oczywiście, że zrujnowałem sobie życie - ciągnie, jak gdyby nigdy nic, między kęsami. - Wąchałem, paliłem, piłem, pożarłem swoją karierę, forszę, dom, samochody, przyjaciół, rodzinę. Moja była do dzisiaj nie zezwalała mi na spotkania z Terrym. Wyjąwszy sporadyczne wizyty.

Ewa o synu też nie chce słuchać.

- Terry ma czternaście lat i siedzi w Nowym Meksyku. W zeszłym tygodniu dostałem od niego list. Gra w koszykówkę i zamierza na serio wziąć się za jazdę konno. Ojczym kupił mu konia. Konia! - Johnny wywraca oczami. - Zanim stałem się w Malibu pierwszym gruchotem na złom, mogłem dzieciakowi kupić całą stajnię. Teraz nie stać mnie nawet na tanie siodło. Jestem bez grosza! Goły i wesoły! - Odkłada widelec, a w oczach błyszczą mu łzy.

W powietrzu krążą czarne anioły Johnny'ego, wymachują

skrzydłami, i Ewa aż się schyla, żeby o nią nie zawadziły. A jednak mówi:

- Najgorsze już za tobą. Staraj się nie myśleć o tym, co się stało. Teraz jesteś już odrodzony i zaczynasz wszystko na nowo.

Jesteś przegranym człowiekiem - myśli Ewa - przepelniona litością i gniewem. Dlaczego ciągle musi wysłuchiwać historii jakiegoś biedaka, wieczna powiernica męskiej niedoli? Jakby sama nie miała dość własnych smutków? Lecz swoje żale zawija w niepamięć i nikogo nimi nie nęka. Nawet Cassie i Nona niewiele wiedzą o jej dawnym życiu. Przemilcza swoje tajemnice i udaje, że ich wcale nie ma.

- Masz rację - kaja się Johnny. - Nie wiem, co mnie napadło. Teraz jestem przecież nowym człowiekiem. I mam jeszcze Ter-ry'ego. To świetny chłopak. Kocham go. To jedyne, co mi się udało dobrze w życiu zrobić. Przepraszam cię, Ewa. Swoje pomyje na ogół wylewam tym, komu się należą. - Wrócił mu dobry humor, uśmiecha się, zapala papierosa i przygląda się jej zza zasłony dymu. - Coś ci powiem, Ewa. Zawsze dobry był z ciebie dzieciak.

- On, ona czy ono? Johnny wybucha śmiechem.

- Daj spokój, Johnny. Raptem kilka razy podwiozłam cię do domu, kiedy mógłbyś okazać się niebezpieczny za kółkiem. Ot i wszystko. Nie byliśmy nawet czymś, co można by nazwać „dalekimi przyjaciółmi”, raczej znajomymi z przyjęć. Typowymi balowiczami gali na Beverly Hills.

- No cóż, ja ciebie dobrze pamiętam. Ta pani z oczami.

- Z jakimi znów oczami? Każdy ma przecież oczy.

- Twoje są smutne. To wszystko. Ewa odsuwa od siebie talerz.

- Nie irytuj mnie. Zresztą, co ty tam mogłeś widzieć? W tamtych czasach nie mógłbyś odróżnić moich oczu od dwóch kostek domino. Johnny wciąż jednak uśmiecha się z satysfakcją. Ewa woli go, gdy jest nieszczęśliwy, kiedy rozczuła się nad sobą. - I nadal są smutne. Teraz może jeszcze bardziej niż kiedyś.

- Dość tych bredni o oczach! Dojrzałeś już do kawy? Ewa nie może sobie znaleźć wygodnego kąta. Ostry ból

przeszywa jej podbrzusze. Krzyżuje nogi, za chwilę przekłada. Zbliża się okres. Czuje niemile pulsowanie napiętego brzucha. Tak naprawdę to wcale nie chce tej kawy, tylko chce jechać do domu; zupełnie jakby mogła się wymknąć i jemu, i własnemu ciału. Ale Johnny wcale się nie spieszy; ma ochotę pogadać o synu — ciągle liczy, że go jeszcze odzyska.

- Widzę już nas, jak razem mieszkamy, jak żyjemy w świetnej komitywie, razem gdzieś chodzimy. Dlaczego nie miałoby tak być? Przecież to także moje dziecko. Najwyższy czas, żebym był dla niego ojcem. I postanowiłem dopiąć swego. Nie, nie, ja nigdy go nie opuściłem, nikt mi tego nie wmówił!

Och, zamknij się wreszcie! Ewa gryzie się w język. Łuna ojcostwa bije z Johnnynego i tworzy świedistą aureolę, w cieniu której niknie jego twarz.

Nareszcie! Ewa z ulgą wita rachunek. Jak zwykle, kiedy Johnny zaprasza ją na kolację, koszty dzielą sprawiedliwie po połowie. Mógłby choć raz zaproponować, że sam zapłaci! Przecież i tak by mu nie pozwoliła, bo zarabia trzy razy tyle co on, a może jeszcze więcej.

- Spójrzmy, co my tu mamy... Płacisz dwadzieścia cztery pięćdziesiąt... nie, z napiwkami będzie dwadzieścia pięć - prostuje Johnny, zupełnie serio prowadząc rachunki nad połówkami okularów. Wylicza jej działkę do ostatniego grosza i uraża ją swoją drobiazgowością.

A w środku ból pęcznieje.

- Masz tu trzydzieści. Reszty nie trzeba - rzuca Ewa ostro.

- A zatem jesteśmy rozliczeni - stwierdza, wbrew jej oczekiwaniom, zupełnie nie obrażony. - Gotowa?

Ewa wstaje i przez chwilę jest całkiem pewna, że nie da rady iść. Ból przecina ją w pół, obejmując kręgosłup. Wreszcie czuje ciepłą falę krwi między nogami - jak zerwanie tamy - i jakoś przedziera się przez to pulsowanie, zaciskając i otwierając pięści. Prymitywna kobiecość przygniata ją do ziemi. Mogłaby teraz równie dobrze rozebrać się do naga i ukucnąć w polu. Złota bransoletka uderza z brzękiem o zegarek Cartiera, kiedy Ewa wyciąga przed siebie rękę.

- Chwileczkę, pozwól mi być dżentelmenem. - Johnny przytrzymuje przed nią drzwi.

To jeszcze nie koniec

119

Drzewa przed restauracją osnute są pajęczyną mgły, przezroczystą bielą, która nadciągnęła znad oceanu. Mgła rosi policzki Ewy. Krew cieknie jej strumyczkiem po udach, a Ewa, oszołomiona, pospiesza Johnny'ego między drżące cienie.

Jedzie na wschód, swoim własnym samochodem, ale ulice robią wrażenie labiryntu widzianego przez gazę, a światła na Wilshire falują jak palmowe liście. Chłodne powietrze wpada przez otwarte okna, lecz nie przynosi ulgi w bólu, który ją zgina w pół.

Nadciąga fala bólu, gwałtownie wybucha i, dzięki Bogu, odpływa, ale tylko po to, żeby nabrać mocy i znów przetoczyć się przez jej ciało. Ewa ma wrażenie, że to jakiś obrzydliwy potwór wczepił się pazurami w jej miękkie organy. Zamiast zgrywać chojraka i udawać, że jest w świetnej formie, powinna była przyznać się przed Johnnym, że źle się czuje i nie jest w stanie jechać z Santa Monica aż na Beverly Hills. Jaka z niej komediantka! Ale upokarza ją ta słabość, to comiesięczne krwawienie skrywane przez kobiety i już na parkingu udaje, że wybornie spędziła wieczór. „Musimy to powtórzyć!”

Ewa przejeżdża pod autostradą San Diego, ruch samochodowy Westwood otacza ją z lewej i z prawej. Przytłoczona z obu stron, uwięziona w metalowej puszcze, trzyma się środkowego pasa. Rozsiane kolorowe plamy wybuchają jak ogniste kule. Jedzie, popychana bólem; poci się i ma mdłości.

I co to znaczy? Czyżby jej ciało miało się okazać obiektem jakiegoś okrutnego dowcipu? Nigdy dotąd nie odczuwała aż takich boleści, tak źle nie było nawet przy pierwszej miesiączce. Wydaje jej się, że to przypomina poród; jakaś jej część odrywa się gdzieś w środku i prze w dół wąskiego kanału. Nie zmieści się - myśli Ewa w panice i zupełnie irracjonalnie ma ochotę głośno krzyżeć.

Wyjeżdżają już z Westwood Village i skurcze cichną. Ewa słyszy, jak wali jej serce. Oddycha głęboko, wciągając wielkie hausty powietrza cieplejszego niż w Santa Monica. Czuje, że z brwi ściekają jej strumyczki potu. Spódnica jest mokra.

Nie ma powodu dzwonić do Cassie. Miesiączka jak miesiączka, może trochę gorsza niż zwykle, to co? Przecież nie jest chora, nic jej nie dolega. To tylko zmęczenie, przepracowanie.

I - cóż za perwersja - te bóle świadczą w końcu o jej wyższości nad kobietami z restauracji. Ona nie jest jeszcze sura i do niczego.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby ktoś czekał na nią w domu.

Gdzieś z tyłu dobiega ją ryk demonicznej syreny. Ruch gwałtownie zamiera i Ewa wdzięczna jest za chwilę wytchnienia. Rozdygotana, odrywa ręce od kierownicy i lepkie dłonie wyciera o żakiet.

Już tylko niecałe półtora kilometra.

Jakieś sto lat później, ba! całe wieki później, wjeżdża wreszcie do podziemnego garażu. Wysiada z samochodu i widzi, że spódnica przesiąknęła na wylot; krew smugami rozmazała się na szarym skórzanym fotelu. Jutro to posprząta.

Skulona we dwoje i złamana bólem, z nadzieją, że nie spotka sąsiadów, wlecze się jakoś do windy, a tam w błyszczących, metalowych ścianach widzi swoje odbicie i to, że płacze jak dziecko.

O mamó, jak to boli!

8

Mandy, zwyczajem Nony, zjawia się nie zapowiedziana. Nie zadaje sobie nawet trudu, żeby z lotniska zadzwonić do Cassie, tylko wchodzi przez kuchenne drzwi i woła:

- Cześć, mammo! Przyjechałam do domu na weekend!

- Co się stało? Dlaczego nie jesteś w szkole? - pyta przestraszona Cassie.

- Dlatego. - „Dlatego” jest typową odpowiedzią Mandy. Cassie całuje córkę, a Mandy na chwilę przytula się do niej

miętko i zaraz potem wymyka się z jej ramion.

Diana Silber

- Co ty robisz w domu? I jak się tutaj dostałaś?

Mandy stoi już gdzieś na środku pokoju, nie dając Cassie szans na żadne poklepywanie, dotykanie, głaskanie, pieszczenie i sprawdzanie, czy wszystko gra, tak jak to robią niespokojne kocie matki.

- Jest coś do jedzenia? W samolocie mieli tylko plastikowe kanapki. Umieram z głodu. - Połowa Mandy znika już w otwartej lodówce. - A co to za nędza! Tylko jarzynki i jogurt!

- Jestem na diecie.

Mandy wylania się z lodówki z butelką coli w rękę.

- Zamówmy sobie chińszczyznę. Słodko-kwaśna zupa w Portland smakuje jak letnie pomyje. Siedzę na strasznej prowincji, mamó. Nie uwierzyłabyś nawet. - Jęczy, wyciąga rękę po słuchawkę telefonu, wykręca z pamięci numer Królewskiego Smoka i zamawia coś, co, zdaniem Cassie, jest wielkim bankietem.

Mandy kręci się trochę na dole, potem idzie na piętro, a Cassie depcze jej po piętach i pyta:

- Mandy, nie oczekiwałam cię w domu wcześniej niż na Święto Dziękczynienia, no więc co ty tu teraz robisz?

- Jeśli nie chcesz mnie widzieć, wystarczy jedno słowo.

— Mandy rzuca się na łóżko i zagarnia wszystkie wypchane zwierzaki, jakie tylko mieszczą się jej w ramionach, zakopuje się w pluszowych misiach, szmacianych lalkach i kosmatych maskotkach.

Cassie siada na skotłowanej narzucie.

- Oczywiście, że chcę cię widzieć, i dobrze o tym wiesz. Jestem tylko zdziwiona. Teraz już będzie zgoda? No, zgoda?

- Choć dalej spięta, Cassie rozciąga w uśmiechu usta i z miłością wiedzie palcami po osypanym puszką ramieniu córki.

Mandy utyla. Spod trykotowej koszulki z nadrukiem „Rolling Stones”, wybrzusza się walek sadła. Są takie chwile, kiedy Cassie dostrzega ładną kobietę przyszłości, która wije się i miota w ciele nastolatki; siedzi gdzieś za bawełnianym trykotem i marmurkowym dżinsiem, wciąż jeszcze niepełna, nie uporządkowana.

Mandy należała do trudnych niemowląt; wiecznie marudziła, irytowały ją głośne dźwięki, dokuczał brzusek. Coś jej wyraźnie przeszkadzało - może świat, może samo życie, a może kod genetyczny z kiepsko dobranych rodziców? Płakała do momentu, póki nie zaczęła chodzić, a wtedy przeobraziła się w takie spokojne i pogodne dziecko, jakim był Al Levinson z za płotu.

Cassie przyjęła tę metamorfozę z ulgą, lecz ciągle czekała na kolejną, gwałtowną zmianę wiatru u swojej na ogół zrównoważonej córki. Trzeba jednak przyznać, że pominiawszy drobne zachmurzenia, Mandy pozostała miłym, łagodnym dzieckiem nawet w czasie rozwodu, choć, teoretycznie, rozstanie rodziców powinno było wytrącić ją z równowagi. We wszystkich książkach, które Cassie czytała, znawcy tematu ostrzegali przed nagłymi przewrotami, ale kiedy Doug żenił się z Trący - posępną dwudziestopięciolatką - piętnastoletnia wówczas Mandy wciąż była zdumiewająco opanowana i patrzyła na wszystko bardziej filozoficznie niż matka. Nie żeby Mandy - teraz, kiedy prawie dobiega dwudziestki - nie umiała być rozdrażniona. Są takie dni, które zaczynają się od „Zostaw mnie w spokoju!” w odpowiedzi na matczyne „Jak się masz, słoneczko?” W takie złe dni jej wrodzona pogoda ukrywa się za warstwą chmur. Czasem Mandy, sama jak chmura gradowa, straszy szybką burzą i chodzi bokiem po domu, lecz Cassie z parasolem w pogotowiu nauczyła się już wyczuwać nastroje córki.

Naturalnie, w kapryśności Mandy dużą rolę odgrywają hormony. Cassie jako lekarz rozumie ten pączkujący popęd płciowy, ale jako matka z najwyższym trudem znosi niełatwą metamorfozę dziecka w kobietę. Ma świadomość tego, że traci coś bezpowrotnie, że Mandy wymyka się jej własnymi ścieżkami, i chce zatrzymać córkę, choćby na chwilę dłużej. „Oddajcie mi moje dzieciątko i noce pełne miłości, gdy kołysałam ją w ramionach bezbronną, we wszystkim zależną ode mnie” - powtarza w sobie w chwilach samotności. Dla kogoś tak ściśle związanego z nauką podobne tęsknoty są, jeśli nie wstydlive, to na pewno zupełnie oderwane od rzeczywistości. Trzeba się zachowywać rozsądnie.

— Mandy, dlaczego przyjechałaś na weekend bez uprzedzenia? - Cassie wygładza ściągniętą koszulkę córki.

Diana Silber

- Może wcale nie przyjechałam na weekend, tylko na zawsze! - Mandy wydyma dolną wargę; mina dobrze znana od najwcześniejszego dzieciństwa. Serce skacze Cassie do gardła.

- Kochanie, co się stało?

Wciskając się co sił w zagłówek łóżka, Mandy, jak kapryśny wielkolud, rozrzuca wokół pluszowe zwierzątka. Gwałtownym ruchem opuszcza głowę i proste, jasne kosmyki spadają jej na twarz. Para brązowych oczu wyziera pomiędzy włosów, niczym zaszyte w jamie zwierzątka.

- Nie wpadaj w panikę, mamó. Wrócę do szkoły. Mam bilet powrotny - oznajmia. Zwrot w postanowieniach jest typowy, poza tym przywiozła przecież z sobą tylko małą płócienną torbę. - Po prostu nienawidzę tego wszystkiego. Szkoła jest nudna i bez sensu. Ty sobie myślisz, że ja się tam czegoś uczę, ale to nieprawda! Wszystko jest głupie! Żeby widzieć twarz Mandy, Cassie odgarnia jej włosy.

- Masz jeszcze przed sobą trudny okres adaptacji, i już. Poza tym, rozmawialiśmy o tym wcześniej, pierwszy rok naszpikowany jest różnymi warunkami i kursami, które nie muszą ci się zanadto podobać, ale które konieczne są do dyplomu. Mandy nie chce słuchać rozsądnych argumentów.

- Dlaczego muszę się uczyć czegoś, co mnie śmiertelnie nudzi? Na diabła ma mi się w życiu przydać geologia? Skala to tylko nudna skala, i koniec.

Czy wytykanie, że znajomość geologicznej budowy Ziemi jest dość niezbędna przy produkcji ropy, ma choćby najmniejszy sens? Czy Mandy dowie się, skąd się bierze miedź, żelazo, diamenty? A może geologia stanie się kolejną przepaścią, którą przeskoczy zręcznie, nie skażona wiedzą i bardzo z siebie dumna?

Cassie niedawno odkryła, że Mandy prześlizgnęła się przez dobrych kilka lat szkoły, nawet nie liznąwszy geografii. Ameryka, według Mandy, składa się z Kalifornii, miejsc zwanych Nowy Jork i Boston, jakiegoś miasta o nazwie Chicago i południa - nie bardzo wiadomo, gdzie ono właściwie jest - znanego jako Miami. Aż ją ciarki przechodzą i wcale nie ma ochoty zapytać osiemnastoletniej córki, czy wie, gdzie leży Maroko, Kenia, Nepal, nie mówiąc już o tak egzotycznych

krajach jak Tasmania. Czy dla dzisiejszego dziecka, które prawdopodobnie nie umie wymienić państw Skandynawii, mika i uraninit mogą w ogóle coś znaczyć? Mandy ściąga górną wargę i obnaża zęby.

- Mamo, przecież ja nie mam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek w życiu latać po górach i odłupywać kawałki skał!

- A inne zajęcia? Na przykład, współczesna historia europejska? Historia w szkole średniej była jednym z twoich ulubionych przedmiotów.

- Nic nie rozumiesz! - Zarzut dobrze znany, lecz jak zwykle chwiejny.

Cassie, pokonana, zmienia temat:

- A jak tam życie towarzyskie? - Ścisła kciuki pod fałdą różowej narzuty. Czyżby ten nagły przyjazd córki zawdzięczała okrucieństwu jakiegoś młodzieńca?

- Nie ma tam nawet na kogo spojrzeć! Wszyscy mają albo świra, albo sypiają na lewo i prawo, albo ćpają...

- Oczy Mandy napęlniają się łzami. - Och, mamusiu, nikt mnie nie kocha! - wybucha wreszcie i przewraca matkę, rzucając się jej w ramiona.

- Cicho, już dobrze, dobrze... - szepcze Cassie we włosy rozszlochane dziecka. Przytula Mandy do siebie i czuje się tak samo paskudnie bezradna, jak w klinice, gdy stoi wobec ostatecznej diagnozy.

Każdy nadchodzący weekend migocze niby oaza - magiczny i pełen obietnic. Z daleka sobotnie wieczory mają nadzieję i różnymi „a może...?”. Kobiety ciągną za sobą jak tren lata doświadczeń i tak zwanego rozsądku, ale gdzieś koło czwartku ogarnia je fala tęsknoty. Tym razem może się przecież wydarzyć naprawdę coś niezwykłego; coś więcej niż zwyczajna kolacja, więcej niż randka w ciemno - która prowadzi donikąd -i przyjęcia nijakie jak zwietrzały szampan.

Ale akurat ten weekend nie będzie ani na jotę bardziej wyjątkowy niż najzwyczajniejszy poniedziałek czy wtorek.

Cassie i Ewa ostrożnie przymierzają się do jakiegoś filmu. Nona nie może się zdecydować, zwleka, bo przecież mają tak różne gusta, jeśli idzie o kino. Ostatnim razem, kiedy się wspólnie

wybrały, Cassie cierpiała katusze. Widziała w filmie same poniżające sceny: kobiety zaspokajały potrzeby swoich mężczyzn zgodnie ze starym jak świat scenariuszem. Ewa uznała komedię za słabą, o wiele gorszą niż wynikało to z recenzji, a tymczasem Nonie film wydał się śmieszny, choć kiedy zatrzymały się potem na pizzę, nie była już w stanie obronić kinowego humoru.

Nona jednak nie otrzymała dotąd lepszej propozycji na wieczór - szczerze mówiąc nie dostała żadnej - i ma do wyboru albo samotnie oglądać w domu telewizję, albo pójść z dziewczynami do kina. W wymoszczonym poduszkami łóżku, białym statku z koronki i falban, może - jak to już nieraz bywało - do woli sączyć Chardonnay czy Merlot, aż do chwili, kiedy obraz w telewizorze straci ostre kontury, a jej żołądek wypełni się po brzegi. Wreszcie poczuje, że się zapada w materac, że pochłania ją własne ciało, które sama będzie głaskać, wyobrażając sobie męską pieszczotę, aż w końcu, o drugiej w nocy, do obejrzenia zostaną już tylko same nieznane starocie, poszatko-wane reklamami używanych samochodów. Wino podejście jej do gardła i nawet nie będzie musiała wkładać sobie dwóch palców za język. Jak tylko wypije odpowiednią ilość wina, zwraca od razu i bez tchu wisi nad sedesem. Mimo zawrotów głowy, oczyszczona.

Nona decyduje się na kino, tyle że kino nie dochodzi do skutku. Ewa, w ostatniej chwili ściągnięta jako zapchajdziura, musi się zająć mężem bogatej klientki, zaś Cassie upiera się zostać w domu, na wszelki wypadek, gdyby córka nigdzie nie wychodziła. Mało to prawdopodobne, bo Mandy przez telefon obiecuje jednej, drugiej, trzeciej koleżance, że wpadnie później, gdzieś się trochę pokręci, skoczy na jakąś prywatkę albo na hamburgera do knajpki w Westwood, gdzie pokazują muzyczne clipy. Mandy wyrzuca z siebie nieszcześnie i, choćby tylko na weekend, zostawia je matce. I Cassie się martwi.

Zatem Nona odwiedza Cassie. Cassie chcąc skusić Mandy, by została w domu, spędziła całe popołudnie w kuchni przygotowując *lasagne* i cytrynowe ciasto merengowe. Ale po drodze, między piątkiem a sobotą, Mandy przeszła na dietę.

- Przecież nigdy nie jadam ciasta! - Czyżby matka w ciągu

To jeszcze nie koniec

124

tych kilku zaledwie tygodni zdążyła już zapomnieć jej kulinarne gusta?

Cassie nie powinna się dziwić, ale nic na to nie może poradzić i zupełnie wytrącona z równowagi, krzyczy:

- Cytrynowe ciasto merengowe jest twoim najukochańszym przysmakiem na świecie! A w każdym razie było, zanim wyjechałaś do szkoły! I uwielbiasz *lasagnę*.

- Nienawidzę kluch!

Cassie wchodzi za córką do łazienki. Mandy, zaplótłszy długie włosy w gruby warkocz, wchodzi pod prysznic. Dzięki Bogu, naga wydaje się szczuplejsza.

Cassie walczy z nieuniknionym, a przecież powinna być roztropniejsza i wiedzieć - nim się jeszcze zabrała za gotowanie

- że Mandy wcale nie ma zamiaru zostać w domu na kolacji. Odwiedziny Nony nie stanowią żadnej satysfakcji, choć dzięki nim Cassie nie będzie musiała jeść sama, i nie wyrzuci jedzenia do śmieci.

Jakkolwiek Nona by się zachwycala kulinarną sztuką Cassie, żadne pochwały i tak jej nie pocieszą, bo ukoić ją może tylko siedząca po drugiej stronie stołu Mandy. Cassie kropłomierzem odmierza czas nieobecności córki i usiłuje się jakoś przystosować. Swoją tęsknotę uważnie rozciągnęła na tygodnie, lecz nieoczekiwane zjawienie się Mandy zburzyło cały kalendarz. Niespodziewana wizyta córki niesie ze sobą tyle samo radości co smutku. Podczas gdy *lasagne* grzeje się w piecyku, Mandy wylewa przed Noną szczegóły swojego ostatniego zadurzenia. Oszczędziła Cassie opowieści pod tytułem „kto i co komu powiedział” oraz jak okropnie „on” się zachował, ale teraz ściszym głosem zwierza się z tego wszystkiego Nonie. Widać dwie głowy - jasną i ciemną; blisko nachylone ku sobie, kłaniają się jak kwiaty na wietrze. Kiedy Mandy przerywa, Nona radzi: „Nie może ci bardziej zależeć na facecie niż jemu na tobie”, i jest to rada zapożyczona od Ewy. Cassie wie, bo wystarczająco często ją słyszała. Gdyby to było możliwe, wyborowałaby dziurkę w głowie Nony, żeby jej nalać do środka odrobinę rozumu; wygląda na to, że nigdy go nie nabędzie. I proszę, siedzi sobie tutaj - guru romansów

- i przekazuje Mandy święte słowa!

Och, daj nam wreszcie spokój - ma ochotę wrzasnąć, i nie zauważona przez żadną z nich, Cassie wynosi z domu śmieci.

Opiera się o ścianę garażu, krzyżuje przed sobą ramiona i chwyta za łokcie, czekając na objawienie. To samo robiła jako wyobcowana, młoda dziewczyna w sobotnie wieczory w Ohio, gdy tymczasem całe Landry śmiało się, tańczyło i trzymało w kinie za ręce. Miała wrażenie, że wypadła z gry „krzeselka do wynajęcia”, i samotnie wzdychała do księżyca (staromodny termin matki). Niemądra! Matczyne niegroźne łajania, żeby przestała w końcu rozmyślać i wreszcie zaczęła coś robić, zupełnie jak dziś wypędzały ją z domu. Najczęściej zaszywała się przy płocie za ogrodem warzywnym ojca i kępą dzikich malin - na ostatnim pagórku ich półtoraakrowego kawałka ziemi. Wciągała się na najwyższą poprzeczkę ogrodzenia i spoglądała na dom na wzniesieniu; widziała jego zarys od tyłu, jakby wycięty z papieru na de księżycowej poświaty. O ile więcej przestrzeni było wokół domu jej dzieciństwa, gdzie przeżywała radości i dramaty! Ale w noc taką jak dzisiaj Cassie pamięta tylko rozdzierające smutki. Jakże bolesna była młodość i to sobotnie przesiadywanie na drewnianym płocie!

Ojciec uprawiał kukurydzę, pomidory, marchew i melony. Pod koniec listopada nie rosło już nic; zostawały tylko suche badyle, które do wiosny leżały odłogiem. W jesienne wieczory powietrze było tak rześkie i ostre, że jeśli się oddychało ustami, po prostu szczypało w zęby.

Od kiedy wyjechała na zachód, Cassie co roku tęskniła do pożegnań odchodzącego roku, rannych przymrozków, zapachu ogniska. W Kalifornii pory roku mętnie nakładały się na siebie; czas przesunął się z drzeniem, jak pajęczyna na wietrze. Nie było żadnych zwiastunów zimy.

Zawodzenie silników samochodów osobowych, wielkie cię-zarowy pędzące przez kraj, autobusy z Cleveland - to wszystko składało się na autostradową symfonię, którą, jeżeli zamknie oczy, może odtworzyć lepiej niż jakąkolwiek muzykę. Obciążone poczuciem winy pragnienie, by znaleźć się gdzie indziej, gdzieś z dala od Landry, wyganiało Cassie na płot i zmuszało do łowienia spadających gwiazd, które pikowały ku ziemi, zabierając ze sobą życzenia.

To jeszcze nie koniec

126

Zabierz mnie stąd! Dokądkolwiek... Może być Casablanca, albo południowa Francja, może być łódka na Amazonce.

Kiedy się ma piętnaście czy szesnaście lat, wszystkie miejsca wydają się równie romantyczne.

Uważaj, byś nie dostała czasem, o co prosisz, myśli Cassie. Ze Środkowego Zachodu przyjechała tu, do Kalifornii, na skrawek ziemi w Palisades mniejszy niż warzywniak rodziców. I po co? Po to, żeby kolejne noce wpatrywać się w niebo.

Czy Jowisz byłby już wystarczająco daleko? A Mars? A gdyby tak wsiąść w osobową rakietę na Wenus?

Kiedy kobieta przestaje być głupim dziewczątkiem?

W zeszłą sobotę, gdy siedziała u Malonea słuchając, jak Jake-ogrodnik śpiewa tę nieszczęsną piosenkę o samotnych, serce waliło jej w piersi, miała spocone dłonie i czuła się tak, jak kiedyś w Ohio, jakby jej życie wciąż było nie zapisaną mapą i jeszcze wszystko miało się w nim zdarzyć.

Ucieczka od Jake'a była zagranieciem smarkuli, spanikowanej trzynastolatki. Chciała go w czwartek przeprosić, lecz nagły poród zatrzymał ją w szpitalu i się z nim minęła. Wczoraj miała nadzieję, że on zadzwoni, ale naturalnie nie dzwonił.

Ba, Cassie nadal ma taką nadzieję, choć rozsądek doradza jej, by, jeśli idzie o mężczyzn, tego właśnie nie robiła. Nie czekaj na ten telefon. Kable telefoniczne są jak arterie prowadzące wprost do kobiecych serc, których bicie zsynchronizowane jest z nie odbytymi rozmowami.

Przycupnięty po drugiej stronie żywopłotu dom Levinsonów bursztynowym blaskiem zapalonej na dole lampy rozprasza cienie. Beth i Al poszli w odwiedziny do jakiegoś małżeństwa. Cassie nie może wprost uwierzyć, że swego czasu jej sobotnie wieczory też planowane były wspólnie z innymi parami i że stanowiła wtedy raptem jedną flankę dwójki, a w pojedynkę nie miała towarzyskiego przebiccia. Dawniej, kiedy wchodziła do restauracji z Dougiem, widziała ludzi, a nie pojedynczych facetów oprawionych w ramki. O Boże, wybac mi moją bezgraniczną samotność — błaga. I to pragnienie, by znów stać się częścią zamkniętej społeczności, w której niegdyś piastowała zasłużoną pozycję.

Małżeństwo, choć takie wygodne, nie jest w końcu bajko-

wym rosarium. Cassie zna prawdę, przecież nie jest idiotką. Jej małżeństwo z Dougiem okazało się z czasem mocno zachwaszczonym ogródkiem. Inne bywają spaloną ziemią, ogniskami wojennych bombardowań... Na przykład małżeństwo biednej April.

Cassie zerka ostatni raz na światło w oknie Levinsonów i, równie zła jak przed wyjściem, wraca do siebie kuchennymi schodami. Nona i Mandy, złapane na gorącym uczynku, odskakują od siebie gwałtownie. Słyszą skrzyp krzesła na winylowej podłodze.

— Muszę wpaść do Sherri - oznajmia Mandy, wstając. Nona upięła jej włosy do góry i zostawiła tylko luźne kosmyki wiszące wokół twarzy. Mandy wygląda teraz znacznie poważniej i Cassie czuje ucisk w gardle. — To co będziesz robić? Zostaniesz u Sherri?

Mandy chwyta kurtkę i zarzuca na ramię dzinsową torbę.

— Czekaj, opuść kołnierz — mówi Nona i trzepocząc dłońmi, skacze wokół dziewczyny. Cofa się o krok.

— Sama nie wiem... Te kolczyki... Masz, weź te! - Zdejmuje własne i wpina je w uszy Mandy. - No, i co ty na to? Nie zwracając najmniejszej uwagi na Cassie, mijają ją w drodze do lustra w korytarzu. Przecież to czysta kradzież — krzyczy w duchu Cassie, zaciskając zęby. To moje dziecko!

Cassie idzie za nimi i jeszcze raz pyta:

— Dokąd idziesz?

— Do Sherri - odpowiada Mandy, podziwiając się w lustrze. — Nona, są genialne!

— Gdzie to jest?

— Mamo, kiedy jestem w Portland, nie wiesz, czy i z kim wychodzę z akademiku.

— Akademika — poprawia odruchowo Cassie.

— ...i czy jest wcześnie, czy późno. — Mandy aż obraca Nonę w mocnym uścisku, a potem, przy samych drzwiach, muska matkę w policzek. Z dworu powiewa żalostíą.

Muszę pozwolić jej odejść, teraz i później — rozpacza bezgłośnie Cassie, siadając do stołu. Skubie ziarna słonecznika z torebki, którą Mandy otworzyła i zostawiła na stole. Orzechy,

migdały, pistacje - Mandy gryzie orzeszki jak wiewiórka. Łuski orzeszków arachidowych zaśmiecają cały jej pokój. Cassie nie musi nawet wchodzić na górę, żeby zobaczyć czerwony szlaczek na łóżku.

Nona w grubych rękawicach, które przypominają wielkie łapska jakiegoś giganta, wyjmuje z pieca podgrzane *lasagne* i sztywno trzymając foremkę stawia danie przed przyjaciółką. Ale Cassie nie jest zainteresowana przygotowanym przez siebie daniem, jeśli nie może go przyprawić miłością.

- Może wybrałybyśmy się na jakiś późny seans filmowy? - proponuje nerwowo Nona, wierząc się na krześle i nie mogąc zapanować nad dłońmi; dotyka sztuców, kieliszków na wino, solniczki i pieprzniczki.

- W Santa Monica jest przegląd filmów. Sprawdziłam w gazecie. O dziesiątej grają *Mrs. Miniver*.

Cassie ma fioła na punkcie staroci, ale odyma usta i mówi:

- *Mrs. Miniver*? Dlaczego miałabym chcieć oglądać jakąś *Mrs. Miniver*?

- Greer Garson jest jedną z twoich ulubionych aktorek

- A kto to powiedział?

Cassie zachowuje się irracjonalnie i jest to u niej tak rzadkie, że Nona, której potrzebne są stale, zaprogramowane ludzkie zachowania, od razu się wycofuje:

- Może znajdziemy tu w okolicy coś innego, co miałabyś ochotę zobaczyć?

- Nona, to jest sobotni wieczór! Dlaczego nie jesteś na jakiejś randce? - Złość Cassie aż warzy powietrze.

- Nie wygłupiaj się, Cassie. Nikt mnie nie zaprosił. Czerwone, białe i kremowe wstążki makaronu na talerzu

przypominają Nonie włoski sweter z wełny i angory, który miały w sklepie zeszłej zimy.

- Ktoś przecież mógł. Jakiś facet powinien był się z tobą umówić. Kręcą się wokół ciebie tabunami.

- No cóż, wielu z nich to homo — odpowiada Nona z całą powagą, jakby musiała to Cassie tłumaczyć.

Cassie zaczyna wygłaszać kazanie, zupełnie tak samo, jak w czasach, kiedy jeszcze była zamężna. Marszczy nos i prycha, udając przez chwilę, że ona, samotna jak palec, wcale nie jest wolna.

— Zadajesz się z niewłaściwymi mężczyznami, z takimi, którzy nie wróżą nic dobrego. I nagle akurat ty — nie mogłam uwierzyć własnym uszom! — pouczasz Mandy, żeby nie chodziła z chłopcem, któremu na niej zbytnio nie zależy! Jakbyśmy obie z Ewą ci tego nie mówiły! — W dodatku sprzedajesz to Mandy jako twoją osobistą, przez siebie odkrytą radę — myśli Cassie obrażona. Nabiera coraz większego rozpędu, złość w niej narasta, choć nie wiadomo, kto ją tak naprawdę wścieka: ona sama, Nona czy Mandy.

Wszystkie dobrowolnie pakują się w więzienie. Ale są głupie! Wchodzą do cel i zatrząskują za sobą drzwi. Dlaczego mężczyźni potrafią zachować równowagę? Albo przynajmniej umieją zachować pozory? Kiedy tracą kontrolę, robią to z większą klasą. Wyjeżdżają na Tahiti, jak Gauguin, albo strzelają do ludzi.

— Dlaczego nie miałabym tego powiedzieć Mandy? Co w tym złego? — pyta zaniepokojona Nona. Przewraca solniczkę. Zawstydzona, zbiera szczyptę soli z usypanego na macie maleńkiego kopczyka i niedbale strzepuje przez ramię.

— Nie ma w tym nic złego. Rada jest dobra. Po co Mandy miałaby się beznadziejnie durzyć? Być związana jak spętane ciele? Niech jakiś chłopak wzdycha do niej", a nie odwrotnie. Dobry Boże, Nona, przecież to ja jestem jej matką! - A nie ty. — Nie chcę, żeby ktoś ją skrzywdził! I nie myśl, że nie miałabym ochoty zabić tego ostatniego chłopca za jego obojętność. — I za to, co zrobił, a co Mandy opowiedziała szczególnie tobie, nie mnie. — Ale Mandy tak samo jak ty dopuszcza do takich zdarzeń. Rzeczywiście, akurat ty jesteś właściwą osobą do takich rozmów, od razu wczuwasz się w sytuację! Tyle że ona jest jeszcze dzieckiem. Brakuje jej rozumu. Ale ty?!

Nona boi się tej porywczosci Cassie, lecz mimo to wykrztusza:

— Mandy ma osiemnaście lat.

— A ty prawie czterdzieści...

— Nie przypominaj mi o tym! — histerycznie wykrzykuje Nona, tym razem przestraszona nie na żarty.

— Całe życie szkolisz się w romansach, tylko jakoś nie możesz zrobić dyplomu.

Okrutne „czterdzieści" ugodziło Nonę swoim ostrzem i roz-

darło ranę, więc nawet nie słyszy dalszej krytyki. Palcami czesze ciemne włosy i zastanawia się, jak to się stało, że nie zauważyła, jak ten czas minął. Zasnęła w pullmanie i przejechała cały kraj. A Cassie ciągnie:

- A teraz w co się znów wplątałaś? No, proszę bardzo, jaka jesteś mądra, kiedy doradzasz Mandy, ale co sama robisz? Masz romans z żonatym mężczyzną! Mam nadzieję, że tego nie miałaś zamiaru jej powiedzieć.

Dojechały wreszcie na stację, dokąd cały czas zmierzały od chwili, gdy Mandy wyszła i obie zasiadły do kolacji. Jej złość nie jest tylko widowiskiem; Cassie naprawdę ziele ogniem od chwili, gdy Nona zdradziła niechcący, że się „widuje” z Alanem. Naturalnie nie widuje się po to, żeby na niego patrzeć, lecz by oddawać się nieokiełznanym burzom namiętności.

Kwadrat gołego okna nad zlewem stanowi łatę czerni splamioną tańczącymi refleksami. Gdzieś tam, w nocy, poza ludźmi-zjawami, poza tą straszną ciemnością, istnieje jaśniejszy świat, gdzie szczęśliwi zasiadają do kolacji i jedzą normalnie, a nie skubią tak, jak robią to obie z Noną. Jest taki Alan, na przykład. Alan wraz z żoną siedzą na proszonej kolacji w dolnym Bel Air, w posesji, która wcale nieźle udaje Tarę. Siedzą sobie na eleganckim przyjęciu, gdzie mężczyźni występują w czarnych krawatach i gdzie jest jeszcze wykwintniej niż na bankietach wydawanych przez rodziców Nony.

Nona myśli, że cikliwa twarz kobiety, którą ledwie pamięta z ramki na jego biurku, nie może być mocnym atutem w takim towarzystwie.

- Mamy sobotni wieczór i gdzie jest ten twój mężczyzna?

- atakuje Cassie. - Nie z tobą. Jest z kobietą, z którą się ożenił. Razem idą przez życie. Są szczęśliwi.

Nona protestuje, wymachując flagą miłości i próbując wyłowić lojalność Alana.

- Nieprawda!

- A skąd ty to możesz wiedzieć? Bo on ci powiedział? A ty uważasz, że możesz wierzyć we wszystko, co mówi mężczyzna, który chce cię wciągnąć do łóżka? Kiedy chce czegoś od ciebie?

- wrzeszczy Cassie, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo jest teraz wiktoriańska.

Diana Silber

— Ooc. - Nona usiłuje walczyć i wreszcie wyrzuca z siebie: - Myślisz, że się przeliczyłam.

— Przeliczyła się! — Cassie gwałtownie unosi ramiona. — Wytłumacz mi więc, dlaczego nie rozwiedzie się i nie zakończy szybko i przyzwoicie tego, co jest niewątpliwie nieznośną sytuacją, skoro taki jest z nią nieszczęśliwy? Zaraz ci powiem dlaczego! - Cassie nie ma litości. - Bo to wszystko bzdury! Wielki Boże, miałaś chyba z tysiąc romansów...

- Nawet się nie zbliżyłam do tej liczby, Cassie. Przysięgam!

- ...a mimo to za każdym razem odbiera ci rozum!

Nona nigdy w życiu nie powinna była — tak głupio — wy-chlapać Cassie choćby słowa o Alanie, a już przynajmniej należało przemilczeć fakt, że jest żonaty. Wiedziała przecież, jak gwałtownie Cassie reaguje na zdradę małżeńską. Akurat Nona bardzo znakomicie umie zachować coś w tajemnicy, umie wstrzymać oddech, by niczego nie wypaplać, i milczeć jak zaklęta. Wie, co to znaczy pilnować się, mieć się na baczności, ale tym razem wygadała się zupełnie bezmyślnie. Miłość się z niej przelewa niczym ze zbyt pełnego naczynia. Miłość sama wymyka się jej z ust i Nona tylko do siebie może mieć pretensje, bo doigrała się własną niedyskrecją. — Cass, nie bądź taka wściekła na mnie, proszę — szepcze.

- Do diabła! - wybucha Cassie i ciska kieliszek z winem przez całą kuchnię. Kieliszek rozbija się w drobny mak o drzwi lodówki, zaskakując je obie; nienawykłą do scen Cassie nie mniej niż Nonę.

Cassie nigdy nie traci panowania nad sobą, a już na pewno nie wybucha ogniem i z fajerwerkami. Po tej nieoczekiwanej eksplozji musi zerwać się z krzesła i wybiec z kuchni.

Oszołomiona przyjaciółka słyszy nad głową jej skrzypiące kroki w sypialni. Zastygła w bezruchu i czeka na jej powrót nieruchoma jak pomnik, ale serce omal nie wyskoczy jej z piersi. Dziwny ból, który Nona interpretuje jako zapowiedź wieńcówki, zaczyna pełznąć w lewym ramieniu.

Powinna zawołać tu Cassie, powiedzieć, że ją boli i że dokucza jej serce. Ale za bardzo jest wstrząśnięta zainscenizowanym przedstawieniem.

Po chwili zaczyna zbierać odłamki szkła, ściera lepkie smugi

wina papierowym ręcznikiem i uznaje, że Cassie się już położyła. Mimo to przez kolejne dziesięć minut przysłuchuje się tykaniu zegara w hallu i wreszcie wychodzi sprawdzając, czy dobrze zamknęła drzwi. Mokry, ponury niedzielny ranek, szary niczym starość, zupełnie nie poprawia samopoczucia Nony. Metaliczne światło rozjaśnia szybę. Nona, przybita, wzdycha do złotego słońca, czystego nieba i męczącego, pięciokilometrowego biegu. Ale deszcz ciągle straszy. Już widzi siebie, jak dobiega do parku na Veteran i otwierają się nad nią wzburzone niebiosy. Wobec tego zsuwa się pod zmierzwioną koldrę (obrubioną na bokach me-reżką i ozdobioną kokardkami, które pasowałyby do sypialni Mandy) i zasypia ze zwiniętym w kłębek u jej stóp kotem.

Kiedy wynurza się z głębokich ciemności, gdzie tak często czuje się najszcześliwsza, za oknem wisi ta sama stalowa, mokra szarość. Dzień jest jak wyrok sądowy - nie daje jej wyboru.

Nona przygotowuje sobie dzbanek gorącej czekolady, na talerzyku w kwiatki układa wianuszek owsianych ciastek i na srebrnej tacy znosi je do sypialni. Z chwilą gdy wsuwa kasetę do magnetowidu, poprawia się jej nastrój. Przed sobą ma dwie i pół godziny ulubionego serialu *Rodzina McKenzie*, który z oddaniem nagrywa codziennie o trzeciej, żeby obejrzeć w wolnej chwili.

Związek Nony z klanem McKenzie ma już swoją długą historię. A wszystko zaczęło się, kiedy leżała w łóżku z grypą i dryfowała to w sen, to w jawę, zbyt słaba, by zająć się czymkolwiek poza telewizją. W tym czasie bohaterowie serialu angażowali się w mordercze walki (były też i inne wątki), Brad i Helena chcieli podstępnie przejąć firmę siostry, Deirdre -aktualnie w śpiączce po wypadku, w którym Helena maczała palce — poślubionej Jedowi, byłemu mężowi żony Brada. Otóż właśnie oni odmienili tamten straszny tydzień. Wszystkie inne seriale okazywały się tylko średnio ciekawe, za to *Rodzina McKenzie* pochłonęła Nonę bez reszty. Czyżby dlatego, że w aktorce odtwarzającej postać Deirdre dostrzegła podobieństwo do twarzy znanej z lustra? A może dlatego, że Houston Bernard, szef konkurencyjnej firmy - który też dąży do przeję-

cia firmy, choć nadal kocha się w Helenie, miłości lat dzieciństwa — wykazywał pewne cechy jej ojca? Więc przesypiając gorączkę, snując się korytarzami snu, w czwartek i piątek zdołała już ocknąć się na czas, by złapać pół godziny niepokojów u państwa McKenzie. W poniedziałek poszła do pracy, lecz nagrała sobie odcinek, by go obejrzeć wieczorem. To samo zrobiła we wtorek, w środę i przez resztę dni tygodnia, aż wreszcie pod koniec miesiąca zdała sobie sprawę, że stała się niewolnicą nałogu. Teraz już zna całą telewizyjną rodzinę tak dobrze, jak swoją własną (nawet lepiej, gdyż jej jedyną rodziną, prócz jakichś efemerycznych kuzynów w Chicago, są tylko ciała pogrzebane w ziemi i prochy w kamiennych urnach). Tak naprawdę to Nona bardzo namacalnie, całym swoim wnętrzem, reaguje na wszystkich członków serialowej rodziny, złożonej z dwóch siostr, dwóch braci, różnych żon i mężów, teściów, dzieci, kochanków, eks-małżonków, matki despotki — która kapryśnie przenosi uczucie i przywileje z jednego dziecka na drugie - oraz niezliczonej liczby innych postaci, która dla nie wtajemniczonych wydaje się iść w tysiące.

Zależnie od tego, jak układa się jej życie towarzyskie, Nona albo tego samego dnia wieczorem ogląda-kolejny epizod, albo zbiera odcinki, by urządzić sobie rozpustę oglądania podczas weekendu. Oparta o nastroszone poduszki, ostrożnie sączy gorącą czekoladę uważając, żeby nie uronić ani kropli na pościel tak cudną i elegancką jak te, które pokazują w Pięknym Domu. A i Nona w swym jedwabnym peniuarze mogłaby pozować u Saksa czy Neimana-Marcusa.

Jedynymi nietelewizyjnymi dźwiękami są melodyjne pomruki kota i stuknięcia filiżanki o spodek. Oglądając reklamy, Nona gryzie ciasteczka i choć wcale tego nie chce, rozpamiętuje miniony wieczór. Chciałaby zmienić przystanek myśli, żeby bolesna scena rozmyła się w nicosć tak, jak przed chwilą na ekranie rozplynęła się zboląła twarz Deirdre McKenzie.

Wybuch Cassie był dla niej wstrząsem; jeszcze raz odtwarza w pamięci brzęk rozbijanego szkła.

Cassie na pewno jest już w lepszym nastroju i musi jej być teraz przykro - myśli Nona - gdy tymczasem Brad McKenzie

ukradkiem wyjmując testament z szuflady matki i czym prędzej chowa go do kieszeni. Zadzzwoni i powie: „Nie wiem, co mnie napadło”. Może spowodował to niespodziewany przyjazd Man-dy. Cassie działa zgodnie z nakreślonym planem i przyjętym porządkiem. Zawsze mówi: „Nie lubię niespodzianek”. Telefon jednak milczy uparcie. Już po piątej. Jesienne światło przedziera się przez okno i miękko miesza ze zmrokiem.

Nona różnie tłumaczy sobie fakt, że przyjaciółka nie dzwoni. Pewnie musi zawieźć Mandy na lotnisko. Cassie i Mandy wybrały się na spóźniony lunch. Cassie ma straszny ból głowy, śpi, czeka na wieczór i kieliszek wina, czeka na chwilę, kiedy Mandy usiądzie już w samolocie — na spokojne sam na sam z sobą, na właściwe słowa. Albo, na przykład, wezwano ją do szpitala. Do rodzącej pacjentki. Nona wyobraża sobie mokrego, śliskiego noworodka wpadającego wprost w ręce Cassie, która jedną dłonią trzyma pośladki, drugą podtrzymuje zbyt ciężką główkę.

Choć na widok krwi Nonie od razu robi się niedobrze i nie może patrzeć na brzydotę zdeformowanych ciał, zazdrości przyjaciółce tego asystowania przy porodach. Jak to wszystko cudnie wygląda w wyobraźni, jak bardzo sama chciałaby nosić dziecko, wtulone gdzieś pod sercem, jak marzy o tym, by je urodzić, bez względu na ból. Urodzić. Być matką, taką jak Cassie, nawet taką jak jej własna matka, która nieczęsto ją przytulała i z rzadka obdarowywała zimnym, jaszczurczym pocałunkiem. Ale oczywiście, byłaby od niej lepsza. Pamięć Nony wypełnia teraz tykanie zegarów i zgrzyt obracanych w zamkach kluczy. Nona wyrosła wśród mrocznych korytarzy, w domu tak cichym, że po południu na piętrze słychać było grające w kuchni radio. Szkoła była dla niej wyjściem w świat zgiełku, ostrych, nasyconych kolorem pejzaży, krzyczących nakładającymi się strzępkami melodii. Najpierw, już na kamiennych schodkach słuchała ptaków w klonach - drapieżnych i złośliwych lotników - pod ich piskliwą wrzawą zaś rozlegały się ściszone dźwięki obojów i fagotów - dalekie odgłosy ruchu na Commonwealth. Z każdym krokiem dzielącym ją od domu nasilało się tempo muzykowania - allegro hałasów - aż wreszcie, na skwerze, dopadały ją głośne krzyki skrzywdzonych dzieci.

Diana Silber

A jednak, kiedy sprowadzała do domu koleżanki, ich głosy obumierały do nienaturalnych szeptów. Z tego okresu Nona pamięta przede wszystkim zabawy lalkami u siebie w pokoju z małymi dziewczynkami: blondyne-czką o imieniu Melissa i nadaśaną, chudą Norą. Na koniec kucharka dawała im kruche ciasteczka i mleko na wyszorowanym kuchennym stole z sosnowego drewna. Jeśli matka w ogóle się zjawiała, aż lśniła od lakieru na głowie i paznokciach; miała ten sam rodzaj blasku, co świeżo nawoskowany i wyblyszczony Cadillac. Marian pokazywała się Nonie i koleżance zawsze zadbana.

Marian codziennie jadła luncha na mieście i wiecznie coś z tych wypadów przywoziła. Jej filozofię życiową stanowiło bezgraniczne oddanie się wydawaniu pieniędzy i kupowaniu - zazwyczaj w małych eleganckich sklepikach, takich właśnie jak Flora. Każdego popołudnia triumfalnie wносиła do domu swoje trofea. Jej „cudeńka”, zawinięte w gniecioną bibułkę, od czasu do czasu przeznaczone były dla Nony. Na przykład, kasztanowa aksamitna sukienka z białym dzierganym szydełkiem kołnierzykiem, różowy sweterek z angory, czapka z królika i dobrana do niej mufka, które Nona dostała na siódme urodziny. Po jednym z lunchów, gdy nie spaliła energii na zakupach, ale bawiła z „dziewczynami”, grając w brydża, rozprawiając ściszym głosem o jakichś tajemnicach — ściągała wtedy brodę i gwałtownie opuszczała głowę — wróciła do domu zmęczona i nieświeża. Kiedy zatrzymała się w drzwiach sypialni Nony, miała odrobinę skrzywione szwy pończoch i jakoś, kiedy musnęła córkę pocałunkiem, gwałtownie wzburzyła powietrze, wysyłając niespokojne prądy. Jej oddech pachniał kwaśno alkoholem i, żeby posłać Nonie i jej koleżance z klasy uszminowany i zębaty uśmiech, Marian musiała się wręcz oprzeć o framugę drzwi. Zapytała je nawet o szkołę i obie dziewczynki zdębiały.

W takie popołudnia Marian traciła swoją precyzję i miała przekrwione białka. Ale taka właśnie wydawała się Nonie bardziej swojska — nie była już malowaną damą — i naprawdę nie wiadomo dlaczego straszyla dziewczyneczkę, która akurat tego dnia bawiła się z Noną. Może właśnie dlatego, że Marian

wtedy chciała być mamusią i przestawała być sobą - matką Nony, do której koleżanki przywykły. Co kilka miesięcy Marian przechodziła jednak ataki zawziętego macierzyństwa; malowała się spokojniej i ściągała w kok ciemne loki. Nagle na światło dzienne wyjeżdżały sukienki i garsonki od Bonwita czy Filene'a. Sama zawoziła Nonę na lekcje tańca, odbierała z domu Melissy i przy kolacji opowiadała Adamowi: „Czego to myśmy dzisiaj nie robiły! Och, mój Boże, jakie byłyśmy zajęte! Od rana do wieczora! Ale bawiłyśmy się świetnie, prawda kochanie?”

Chodziły do kina na filmy rysunkowe o olbrzymich pomarańczowych, głodnych kotach, uzbrojonych w straszliwe jadowite zęby, śliniących się buldogach, dziurach w niebie, którymi wpadały martwe ptaki, by natychmiast ożyć. Marian wymykała się na papierosa i zostawiała Nonę z torebką prażonej kukurydzy.

Wracała, żeby za chwilę znów zniknąć. Nona siedziała z lepkimi od potu dłońmi i bolał ją brzuch.

Mamusiu, nie odchodź! Któregoś popołudnia Marian wzięła ją do zoo. W Bostonie nie chodziło się do zoo, doklejonego jak sierota do miejskich ogrodów małego, brudnego miejsca o zakurzonych alejkach, w którym mieszkały stare, wygryzione przez mole zwierzęta. Ale Nona cieszyła się bardzo.

- Zwierzęta w wielkich klatkach! - wykrzykiwała, to rozkładając, to znów ścieśniając ramiona. - I takie malutkie, malusieńkie! - Pogrubiła głos mówiąc: - Groźne, mrużące tygrysy. - I spod oka obserwowała Marian, badając jej reakcję. Dłoń matki, ozdobiona kwadratowym szmaragdem osadzonym w wianuszku brylantów, mocniej zacisnęła się na kierownicy.

- Przestań się wiercić!

- I będą słonie, mamo?

- Będą słonie.

- A aligatory?

- I aligatory.

- Niania mówi, że jeśli się wpadnie do ich stawu, to aligator zaraz cię pożre.

- Niania jest głupia. Nie można wpaść do stawu, sadzawki, czy

jak to się tam nazywa. Wszystko jest otoczone wysokim ogrodzeniem. Bardzo wysokim ogrodzeniem, zakończonym ostrymi szpikulcami, żeby ludzie nie mogli się przedostać do środka.

- A czy to ogrodzenie ma jakieś drzwi? - spytała Nona, wygładzając na kolanach czyściutką błękitną sukienkę. Miała białe skarpetki wykończone przy gumce koronką i nowe białe buciki firmy Mary Janes. Wyprawa do zoo była okazją, żeby się ładnie ubrać.

Niania upominała ją, by uważała i to nie tylko na krokodyle. *Masz być czysta i się nie pobrudzić. Ta sukienka to prawdziwy potwór w prasowaniu.* Jak zwykła sukienka mogła być potworem? Straszydła mają wielkie zęby, włochate uszy i wyskakują zza krzaków, by porwać niegrzeczne dziewczynki. Nona odczuwała słuszny strach przed potworami, które po zmroku zjawiały się w ogrodzie. Nocą przechodziły przez ogrodzenie i skrobały w jej okno, a tymczasem ona leżała w łóżku i błagała:

- Nie wchodźcie tu, proszę!

Niania mawiała, że z Nony jest jeszcze mała głupiutka dziewczynka, która wymyśla różne bzdurstwa. To, co słyszy za oknem, to tylko wiatr w ogrodzie i gałęzie drzew bijące o ścianę domu. Ale Nona wiedziała swoje. Straszydła chciały ją skrzywdzić. Kiedyś siedziała na kolanach ojca i czując jego ciężką i ciepłą dłoń na swojej nodze, miała ochotę zapytać dlaczego. Dlaczego potwory chciały ją zjeść żywcem, schrupać kości i wypić krew? Instynktownie wiedziała, że nie są to pytania dla matki.

Kiedy go wreszcie spytała, przysunął się do niej tak blisko, że jego oczy wyglądały jak dwie sadzawki. Nigdy nie mówił jej, że nie ma potworów za kruszącym się kamiennym murem, w gęstej mierzwie ciernistych i kłujących krzaków; nie, nie zaprzeczał, że wychodzą na żer. Za to zapewniał ją, że żadne straszydło nie waży się sięgnąć po jego kochanie, jego laleczkę, jego pieścidelko, jeżeli tylko będzie słodka jak miód i cicha jak myszka... i jeśli będzie słuchać tatusia. Jeżeli będzie grzeczna, on własnoręcznie obroni ją przed potworami, które o północy wychodzą z kryjówek.

Nona nie wiedziała, dlaczego matka padała ofiarą nagłych zapędów, żeby ją gdzieś wyprowadzać jak psa na smyczy. Wiele

lat później uświadomiła sobie, że Marian w obecności dzieci czuła się niezręcznie; stanowiły dla niej zupełnie obcy gatunek, tak samo pełen zagadek jak zwierzęta w zoo.

Została matką, bo taka już naturalna kolej rzeczy. Kobieta wychodziła za męża, a potem - tak jak po nocy następuje dzień

- rodziła dziecko. Tym lepiej, jeśli robiła to równie sprawnie i bez zbędnego zamieszania, jak organizowała wystawną kolację dla dwunastu osób. Być może tego oczekiwał od niej mąż, a może była to paskudna pomyłka, której czterdzieści lat temu nie dawało się łatwo skorygować. Faktem jest, że Marian urodziła Nonę i że obie były z sobą nieszczęśliwe. Zatem od czasu do czasu - albo ze smutku, albo z potrzeby wyżycia się

- Marian naśladowała matki koleżanek Nony. Odpuszczała któryś lunch, partię brydza czy bieganie po sklepach i obie wsiadały w samochód. Kiedy Nona miała koło ośmiu lat, wiedziała już na tyle dużo, by żałować tych wspólnych wyjazdów, nim w ogóle się odbyły, i wyobrażała sobie, że kiedyś wypowie jakieś magiczne słowa, które zwolnią ją i matkę od nie chcianego obowiązku.

Jednak tamtego dnia, kiedy jechały do zoo, Nona - o tyle jeszcze młodsza i niewinna - była bardzo podekscytowana. Będzie mieć matkę wyłącznie dla siebie, do tego jeszcze poza domem!

- Siedź spokojnie! - Upominana przestawała się wiercić w obawie, że matka zawróci. Strach mijał, kiedy parkowały. Do zoo wybrały się późną wiosną, ale gorąco było jak w sierpniu. Marian maszerowała w żółtej pice jak spod igły i już na samym początku drogi skarżyła się na upał i wachlowała chusteczką obrębianą koronką. Skoro już jednak dotarły do zoo, pokonały zdradzieckie pułapki terenu, składając najwyższą ofiarę - tak w każdym razie można by sądzić po stopniu niezadowolenia Marian - matka raptem zaczęła Nonę poganiać. - Nie ociągaj się - sztorcowała, kiedy córka przystanęła koło czarnych fok, które uśmiechały się filuternie podczas zabawy.

Gdy przechodziły obok wielkich kotów, jakiś lew otworzył paszczę wielką jak stodoła i rozgniewany, groźnie ryknął. Nona gwałtownie wtuliła się w nogi matki.

— Uspokój się! Pomniesz mi spódnice!

Nona pamięta ten dzień jak topograficzną mapę, wraz z jej geometrią ścieżek, zwierzętami w klatkach, tumanami kurzu który osiadał na jej bucikach, kiedy długą aleją szła do wybiegu słoni. Czekala, że Marian sama zauważy, lecz wreszcie zdobyła się na odwagę, zamachała ramionami i pobiegła do małp.

Nie były to zwykle małpy, lecz gibony, pawiany, mandryle, orangutany i szympansy. Małe małpeczki z akrobatycznym wdziękiem huśtały się na zwisających linach, hasały po kratkach. Opos obnażył złowrogie żółte zęby. Wszystkie miały małe głowy, spodeczkowate uszy, węzowe ogony i tylko z rzadka okazywały zainteresowanie światem ludzi, którzy stali pod klatkami, wyciągając przed siebie palce.

W upale dnia zapach małp aż dławił. „Śmierdziuchy” - oznajmiła Nona marszcząc nos. Huśtała się na ogrodzeniu i w każdej chwili spodziewała się usłyszeć chłodną dezaprobatę matki. Stanowcze ręce już zaraz uniosą ją w powietrze i postawią na ziemi.

— Śmierdziuchy — powtórzyła, rozglądając się wokół.

Najbliższe sekundy przyniosły z sobą najpierw niedowierzanie, niepokój, wreszcie śmiertelne przerażenie. Marian nigdzie nie było!

Nona cofnęła się spod klatek; doszła na środek chodnika i zawołała drewnianym głosem:

— Mamo?

Nigdy przedtem nie była nigdzie sama. Nawet gdy bawiła się w ogrodzie, to zawsze pod czujnym okiem niani, usadowionej spokojnie na tarasie. Ilekroć Nona podniosła wzrok, tyle razy napotykała uważne spojrzenie opiekunki. Nigdy dotąd poza domem nie zostawiana samopas, zacisnęła piąstki w kieszeniach. Poczula ostre klucie napływających łez. Kolory na ścieżce zsiniały, a mocno zarysowane linie nabrały miękkości węglowej kreski. Świat zamieniał się w film.

Jakiś duży chłopiec, biegnący znikąd donikąd, znienacka wpadł na Nonę. To zderzenie pchnęło ją do działania; pędem puściła się zaciemnionym labiryntem ścieżek pośród dorosłych i ich długich nóg.

Mama poszła sobie, odeszła... Mama się zgubiła, potracił ją

To jeszcze nie koniec

143

samochód! Nona, nigdy nie wychodź sama na jezdnię! Straszne samochody! Ktoś porwał mamę! Mamusiu...

W rozpaczy kręciła się jak fryga. Spłynęła łzami z przerażenia, że zostanie sama w tym obcym zoo, gdzie nocą dzikie bestie wymykają się z klatek i płaczą na wolności w poszukiwaniu zamkniętych na terenie ogrodu, porzuconych dzieci. Buzię miała mokrą jak mała foczka. Wilgotne plamy pstrzyły kleksami sukienkę. Och, niania byłaby bardzo niezadowolona, gdyby ją jeszcze kiedyś w ogóle miała zobaczyć. Rozhisteryzowana Nona biegła to tu, to tam w poszukiwaniu żółtej piki, ale żaden z odsuwających się na widok płaczącej dziewczynki wielkoludów, nie miał twarzy jej matki.

Zoo, cudownie łagodne, w książkowych pastelach, tamtego okropnego popołudnia przeobraziło się w złowieszczą jamę, z której wiało przerażeniem. Kiedy Nona po raz drugi trafiła znów do małp, skrzeczały sobie w najlepsze po swojemu. Potknęła się, upadła na cementowy rowek do odprowadzania wody i rozkrwawiła kolano. Jej przenikliwy krzyk gwałtem wdarł się w popołudnie; przez chwilę nawet małpy przestały jazgotać. Jakiś starszy pan, doglądający gromadki wnuków, nachylił się nad nią i spytał:

- Zgubiłaś się, malutka?

- Nona, na litość Boską, przestań urządzać przedstawienie!

- matka zjawiała się równie naturalnie, jak po burzy nadchodzi pogoda, i od razu wsiadła na córkę. -

Dlaczego uciekłaś ode mnie? - łajęła. - Ale nie odepchnęła od siebie Nony, która przywarła do niej rozsmarowując na żółtej sukni matki lzy i brudne ślady palców.

- Odwróciłam się tylko na sekundę, a jej już nie było

- tłumaczyła się Marian nieznanemu dziadkowi.

- Wszystkie dzieci to małe diabłatka!

A Nona uradowana, wtulała się w matkę tak, jak teraz wtula się w spiętrzone poduszki wspominając przeszłość, i myśli, że i Deirdre McKenzie odzyska swą córkę. Chyba żeby mała Virginia została jednak porwana, czego Deirdre właśnie się obawia. Ginny cierpi na epilepsję, której ataki powstrzymywane są codzienną dawką leków; porywacze nie będą ich mieli.

Diana Silber

Pozbawiona środków uspokajających, może umrzeć w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin... Nona wzdycha i przewija taśmę.

Noc ciemnością wkrada się przez okno. W pokoju panuje mrok rozświetlony ekranem telewizora. Po wchłonięciu całotygodniowej dawki *Rodziny McKenzie* Nona uspokaja się; mięśnie pleców rozluźniają się wreszcie, ucisk pod sercem znika. Ogarnia ją dobry nastrój i Nona w końcu wstaje.

- Za chwilę - obiecuje kotu, który się dopomina kolacji. Nona wyjmuje kasetę i zmienia kanał. Pamięta, że koło jedenastej ma być jakiś film.

Dzwoni telefon. Cassie. Nareszcie. „Tak mi przykro...”

- Poproszę z Noną Engels.

- Z kim?

- Czy to Nona Engels?

Nona raptownie siada na brzegu zmierzwionego łóżka, wzbijając obłoczek zapachu fiołków, który rozpyła w pościeli. Oblewa ją fala potu. Na ekranie jakaś kobieta i mężczyzna idą ramię w ramię zalaną deszczem ulicą; mocują się spojrzeniami w żarliwej, bezgłośnej dyskusji. W zbliżeniu usta kobiety przypominają Nonie — która nagle zmalała do -rozmiarów dziecka — paszczę lwa. A tymczasem wciąż słyszy to pulsowanie w słuchawce. *Nona Engels, Nona Engels.*

- Pomyłka! - wyrzuca z siebie z trudem; krople śliny padają na białą słuchawkę.

Uderza z trzaskiem słuchawką o widelki, aż Magik podskakuje i zatacza krąg wśród fałd jedwabnej pościeli. Nona chwyta go mocno.

- To tylko pomyłka, nic więcej. Zwyczajna pomyłka. Magik odpowiada przeraźliwym miauknięciem, bo uścisk pani jest bolesny. Kot chce się wyswobodzić, ale upływa dobra chwila, nim Nona wypuszcza go z rąk. - Pomyłka - powtarza, jak gdyby spodziewała się, że uciekający kot wróci, żeby temu zaprzeczyć.

Później, gdzieś koło dziewiątej, Cassie przeprasza:

- Powinam była wcześniej do ciebie zadzwonić...

9

Nie wiem, co mnie napadło...

- Nie chciałabym tutaj odgrywać wiesz jakiego lekarza, ale... - Ewa robi minę i powstrzymuje się od krytyki. Wstaje z wiklinowego fotela, uważając, by się nie uderzyć o wiszący nad głową daszek. Cały czas, kiedy jadły z Cassie lunch w restauracji, miała wrażenie, że jest uwięziona w kielichu muchołapki i że to głupie krzesło za chwilę ją pożre.

- Ale co?

W rozmowach na temat dzieci człowiek porusza się jak po polu minowym. Najlepsi przyjaciele sztywnieją niczym myśliwskie psy, gdy tylko usłyszą najmniejszą wzmiankę o swoich

pociechach. Cassie nie jest ani trochę odporniejsza niż inne matki.

— To chyba zazdrość, co? Przynajmniej troszeczkę? Bo takie z nich kumpelki?

Na ulicy Cassie odwraca się twarzą do słońca. Głęboka zmarszczka czai się w kąciku jej ust, przez co uśmiech zdaje się nieco krzywy. Ewa żałuje, że w ogóle się odezwała. No bo co ona może wiedzieć? W końcu, jeśli idzie o dzieci, staje się *tabula rasa*. Maluchy mają dla niej dokładnie tę samą - czyli żadną, wartość co psy bądź koty, nastolatki zaś są tylko eksperymentalnym modelem człowieka, nie całkiem jeszcze ukształtowanym. Sama pewnie nie zamieniała z Mandy więcej niż dziesięć słów rocznie i omijała ją jak niekoniecznie stabilny mebel. Nie, nie była też nigdy niechętnie do niej nastawiona. Co to, to nie. Kiedy przychodzi taka chwila, że Cassie musi wygadać się jako matka, Ewa przysłuchuje się grzecznie, dokładnie tak samo, jakby słuchała klienta, który ma pół miliona dolarów w kieszeni, i bezzasadnie marzy o nowocześnie wyposażonej kuchni w trzypokojowym mieszkaniu w West Side, na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Dla Ewy dzieci istnieją w zupełnie innym wymiarze. To albo mrzonki, gwiazdki z nieba i hasło „furda życiowe kłopoty!” - tak dramatycznie przedstawiane w telewizji — albo chytrze wypracowane sposoby, w jaki umiejętnie przerzucają je, niczym worek kartofli, na barki rodziców. Tak naprawdę to Ewa w ogóle nie lubi nawet myśleć o dzieciach i natychmiast, zmieniając kanał, ucieka od wypadków samochodowych, narkotyków, alkoholizmu, wpływów rówieśników, złych stopni, zagmatwanych zawodów miłosnych.

— Nie mam pojęcia, dlaczego sugerujesz, że jestem zazdrosna o Nonę. Oczywiście, że Nona świetnie się z Mandy dogaduje. Zupełnie tak samo jak ty — mówi Cassie garbiąc się.

Czy ta Cassie ma już kompletną zaćmę? Przecież Ewa nigdy nie przesiaduje z Mandy, obgadując zespoły rockowe czy gwiazdy rodzinnych seriali. Kiedy to Cassie widziała ją pomagającą Mandy w makijażu czy układającą jej włosy? Widują się tak, jak sąsiedzi z piętra spotykają się przypadkiem w recepcji, żeby wymienić ukłony. Jednak przytakuje:

— Naturalnie, że się dogaduję z Mandy, ale one są ze sobą

bliżej. I to nie dzięki Mandy, ale dzięki Nonie. Maturzystka-Z-Każdym-Za-Pan-Brat. Wiecznie młoda. Czas stoi w miejscu. Sama wiesz, jaka jest Nona. Przecież na tym, między innymi, polega jej urok, prawda? Cassie pomija temat wiecznie młodej Nony.

- Zdenerwowałam się, że Mandy wpadła tak bez uprzedzenia. W ogóle jej do głowy nie przyszło, żeby zapytać, czy może przyjechać do domu. Pewnie, że nie musi o to pytać, ale kupić sobie ot tak bilet lotniczy i przylecieć do L. A., rozumiesz...

Czy to nagle samodzielność córki tak źle nastraja Cassie? I czyżby zapomniała już, jak bardzo się martwiła, że Mandy nie poradzi sobie w college'u, że jest zbyt bojaźliwa i zanadto do niej przywiązana?

Ewa stara się nie wychylać w żadną stronę.

- Nie mogłaby tego zrobić, gdybyś nie dała jej karty kredytowej. - Grunt to logika. - Dotychczas dostawała tylko kieszonkowe i to, co sobie sama zarobiła pilnowaniem dzieci.

Choć Ewa i Mandy nie mają sobie wiele do powiedzenia, Ewa wie o dziewczynie całkiem sporo. Mandy jest najwspanialszą gwiazdą Cassie. W ciągu ostatnich lat Ewa wiedziała, jakie stopnie Mandy przynosi ze szkoły, z opowiadań poznała jej koleżanki, kompleksy, wysiłek przy odrabianiu lekcji i powściągliwą reakcję na rozwód. Czasami Ewa, znudzona, tłumi ziewanie gdzieś w środku rodzicielskiej tyrady Cassie, ale wybacza jej tę miłość, zwłaszcza ostatnio, bo przecież samotne wychowywanie dziecka wymaga iście herkulesowych sił i wytrzymałości bawołu. Cassie zasila szeregi bohaterek.

Dlaczego kobiety tak bardzo chcą mieć dzieci? Wystarczy tylko popatrzeć na Nonę, która się ślini na najmniejszą wzmiankę o niemowlęcej wyprawce czy o przedszkolu. W końcu rozmnażanie gatunku nie może być warte aż tyle zachodu - myśli często, lokując pieniądze w budownictwie, zamiast zasilać college.

- A co innego mam zrobić? Przecież może jej nagle zabraknąć pieniędzy...

- No to zadzwoni do ciebie.

- A jeśli akurat nie będzie mnie ani w domu, ani w klinice?

- Wtedy zadzwoni do Tego-Jak-Mu-Tam - mówi Ewa, jak zwykle złośliwa, jeśli idzie o Douga Zdrajcę.

- Och, do Douga! — Cassie prycha na wspomnienie męża. Spacerują sobie po Main Street, oddalając się od samochodu

Ewy. Ewa podjechała po Cassie do kliniki, a teraz odwiezie ją z powrotem. Idą co prawda w złym kierunku, ale Cassie jakoś wszystko jedno, a Ewa ma czas. Na następne spotkanie z klientem umówiona jest dopiero o trzeciej, w Palisades. Cassie najwyraźniej musi zrzucić z serca ten ciężar, który cały czas jednak ją gniecie od chwili, kiedy tak źle obeszła się z Noną. I choć minęło już dobrych kilka dni, Ewa zdążyła ze dwa razy od obu przyjaciółek usłyszeć relację o tym incydencie. „Źle się obeszła” jest terminem Cassie, nie Ewy. - Przecież nie torturowałaś jej psychicznie. Przestałaś nad sobą panować. Poniosło cię, to wszystko. Też mi sprawa! Nona już tego pewnie wcale nie pamięta — kłamie Ewa.

Cień i światło podzieliły ulicę; one spacerują po słonecznej stronie.

- Nona pamięta każde drgnienie powiek w ciągu ostatnich trzydziestu lat - zauważa Cassie, ale w jej głosie nie słychać nawet śladu krytyki. - Wiesz, że ona nie ma żadnej warstwy ochronnej.

- Przeprosiłaś. - Naturalnie, ale chyba trochę za późno. Sama byłam przerażona swoim zachowaniem! Wrzeszczeć na Nonę to tak, jakby kopać kota. Poza tym byłam jeszcze zajęta Mandy, głównie biegałam w kółko i wypytywałam, co się złego stało.

- I co się złego stało? - pyta Ewa, bo Cassie tego oczekuje.

- Nic... poza tym, że ma właśnie osiemnaście lat i jest na pierwszym roku, daleko od domu. Do tego jeszcze hormony też pewnie robią swoje. Tylko żeby mnie czasem nie usłyszały feministki! Wszystkie genialnie funkcjonujemy albo dlatego, że mamy hormony, albo właśnie mimo wszelkich hormonalnych przeszkód. Nie pamiętam, jaki jest ostatnio kurs.

- Cieszę się, że Mandy w ogóle ma jakieś hormony.

- Daj spokój! - Cassie czerwienieje i chybia, chcąc dać Ewie kuksańca w ramię. - No cóż, przy Nonie zawsze czuję się taka niezręczna i to jest kolejny powód, dla którego cały dzień zwlekałam z telefonem.

- Masz najelegantszy szew w całym lekarskim zespole. Tak mi przynajmniej kiedyś mówiłaś.

- Och, trochę się przechwalałam, poza tym mam na myśli psychiczną niezręczność słonia w składzie porcelany.

- Wiem, wiem. Próbuję cię tylko zniechęcić do tego chodzenia na palcach, które jest niepotrzebną i złą przysługą. Za dużo martwimy się o Nonę, za bardzo się przejmujemy jej delikatnością, zupełnie jakby była papierową lalką niezdolną do życia w nowoczesnym świecie.

- Bo w pewnym sensie tak jest.

Przystają na wysepce cienia, przed straszidłami wpatrującymi się w nie metalicznym wzrokiem przez okno galerii. Potwory lśnią i jak w koszmarnym śnie pokazują coś palcami - mityczne stworzenia dawno zmarłego artysty. Ewa otrząsa się i idzie dalej.

Zatrzymują się przed wystawą samych białych sukien, staromodnych, koronkowych, starszych od nich obu i zwiewnych jak mgiełka. W wyłożonej lustrami tylnej ścianie odbijają się obie — dwie kobiety stojące ramię przy ramieniu. W nakrapia-nej szybie wydają się kostropate i szepczą ponad czasem. Chyba coś knują, więc Cassie cofa się, żeby nabrać dystansu. Ma ciężkie serce. Paskudne zachowanie wobec Nony cały czas dusi ją za mostkiem, zupełnie jak jakaś niestrawność; rozmowa z Ewą nic nie pomogła i choć to absurdalne, po obfitych kanapkach w restauracji zrobiło się jej jeszcze gorzej.

Cassie cały czas waży za dużo i czuje się przyciężka. Pięć kilo ponad jej normę powoduje, że staje się ospała. Pacjentkom zaleca proste jedzenie, dania bogate w wapno i witaminy i dużo wody, ale sama nie przestrzega diety. Ewa ma już dość kajających się przyjaciółek i pogania Cassie przez ulicę do parkingu. Po drugiej stronie jezdni mijają zatłoczoną wystawę meksykańskiego fajansu, wystawę ręcznie robionych witraży, galerię ozdobioną ognistymi obrazami w płomiennych kolorach i dziwacznych w kształcie ramach. Tam, na zachodzie, oddalony o kilka zaledwie uliczek, leży sobie ocean. Ukryty za sklepami i osiedlem domków, łagodnie obmywa piasek. Zapomniany i bezwonny. Jeśli idzie o wydzielane zapachy, Pacyfik mógłby równie dobrze udawać wodę w wannie; w przeciwieństwie do Adantyku, tam każdy powiew wiatru niósł z sobą zapach ryb i soli.

Dochodzą do samochodu i jak tylko wyjeżdżają na Main Street, Ewa oznajmia:

— Mam nowiny.

— Dobrze, złe czy takie sobie?

— Cudowne. Siedem milionów jak strzelił.

— Co takiego?

— Mam do sprzedania dom za siedem milionów. Cassie zatrzymuje Ewę, kładąc rękę na jej ramieniu.

— Od kogo? Jakim cudem? Siedem milionów jest kwotą astronomiczną, zupełnie księżycową. Są ludzie, którzy mówią o milionach i żyją wśród milionów, ale Cassie nie jest pewna, czy chciałaby tego, nawet gdyby mogła. — Uwierzysz, że przyszedł do mnie facet z ulicy? Po prostu spadł mi z nieba. Taki uśmiechnięty, mały Irańczyk, którego żona rzuciła dla jakiegoś rockowego piosenkarza i który nie posiada się wprost ze szczęścia, bo teraz może się przenieść do Nowego Jorku. Mówi, że tam toczy się prawdziwe życie. — To prawie tak, jakbyś dostała Oscara. — Aż mi się w głowie kręci, choć nawet nie kiwnęłam palcem, żeby to dostać. Byłabym jeszcze szczęśliwsza, gdyby to się stało dzięki moim zabiegom, a nie tylko-dlatego, że przypadkiem stanęłam pod drzewem, kiedy spadło jabłko. — Przesadzasz.

Ewa zadziera głowę do góry i recytuje: — Szczęście nie wydaje się pełne, jeśli przychodzi bez wysiłku.

— A to co znowu? Kazanie z niedzielnej szkółki? — dziwi się Cassie. Taka cnota zupełnie nie jest w stylu Ewy. — Nic na to nie poradzę, tak to właśnie czuję. — Ewa prychnęła, rozzłoszczona.

— Nie odymaj się, nie krytykuję cię przecież. W gruncie rzeczy to dobrze, a nie źle mieć poczucie, że na nagrodę trzeba w życiu zapracować. — Cóż, nie zadrećza mnie moralny niepokój z powodu pałacyku w Holmby Hills. Moja filozofia życiowa i konto w banku nie jeżdżą tym samym pociągiem.

To już zabrzmiało jak należy. — Zakończenie transakcji opijemy szampanem.

— Tak, tak — mówi Ewa, ale wcale nie jest udobruchana.

Dlaczego Cassie nie może zrozumieć, że przecież ona, Ewa, też ma swoje zasady, zdrową etykę Nowej Anglii? Czy to dlatego, że na co dzień zajmuje się kupnem i sprzedażą domów i że miliony swobodnie fruwały w powietrzu? A przecież rynek nieruchomości nie jest wolną amerykanką, są pewne reguły postępowania, pewne zasady obowiązują. Ma ochotę powiedzieć to wszystko Cassie, ale nie zrobi tego. Jest chora, jak ma się z nią sprzeczać. Cassie jest jej świętością, amuletem, i Ewa ma nieodpartą potrzebę wiecznego zdobywania jej aprobaty, czy choćby skinienia głowy na znak przyzwolenia. A zatem w żadnym wypadku nie może nawet bąknąć, że siedmiomilionowy dom powinien się dostać staremu Tytusowi Reynoldsowi, lecz Tytus - kapryśny dziwak o dawno zważonych poglądach - i tak wypiałby się na Irańczyka, zwanego „Persem”. *Przejmują miasto. Spójrz tylko na ten cudowny dom przy Bulwarze*. Tytus wciąż jęczy, choć domu już dawno nie ma; została tylko ziemia, bardzo drogi kawałek ziemi. Kompletnie zrujnowana posiadłość! „Oni malują pomniki na zielono! I figowe liście! Stary Hartman pewno się w grobie przewraca!” - mruczy Tytus, jakby stary dom wciąż jeszcze stał na swoim miejscu, zarażony obecnością Irańczyków, którzy tak naprawdę nigdy w nim nie mieszkali.

Tytus to stary snob. Liże tyłki posiadaczom ziemskim i dobrze mu tak, że to nie on dostał ten dom Ahmera do sprzedania.

Zasady Tytusa wpędzają Ewę w depresję. Czy ten stary piernik nie zdążył się jeszcze nauczyć, że pieniądz nie ma koloru? Któregoś dnia w swym wykładanym drewnem gabinecie, gdzie na podłodze leży dywan z Buchary, powiedział Ewie: „Jestem już zbyt leciwy, żeby się denerwować. Cudzoziemcy są trudni. Są inni niż my”. To ludzie bogaci są inni - chciała mu wtedy powiedzieć, ale wtedy - tak samo zresztą jak dzisiaj - potrzebowała jego przychylności.

- Czeka! - upomina zdenerwowana Cassie. - Powinnaś była skrócić w prawo na tamtym skrzyżowaniu!

- Tędy tu przyjechałam - ucina Ewa.

- Możliwe. Chyba nie zwróciłam uwagi... Ale jeśli objedziesz szpital i odbijesz bardziej na wschód niż na północ, nie będziesz musiała robić całej tej trasy z powrotem.

Diana Silber

- Cassie, kto tu siedzi za kierownicą, ty czy ja? — pyta Ewa z wymuszonym uśmiechem, który jest raptem grymasem twarzy i zmusza Cassie do zadumy nad własnym uporem.

- Oczywiście, że ty - odpowiada i, zmieszana, wygląda przez okno.

Ale co Ewa ma odpowiedzieć? Że nigdy nie jeździ tą ulicą, że nie objedzie tego szpitala, bo już go raz objechała, bardzo dawno temu, i że już chyba odruchowo niektóre ulice omija z daleka? Nie, nie będzie się Cassie spowiadać, choć tak bardzo chciałaby móc jej powiedzieć: - Kiedyś, kiedy byłam młoda i głupia... Nareszcie! Ewa oddycha z ulgą, bo zajechały w końcu pod klinikę. Zatrzymuje samochód; obie nachylają się ku sobie, pocałunkami wachlując powietrze. Wszystko już darowane: ostre słowa i wybuchy gniewu. Przywiązanie - ba! nawet miłość - przenika je aż do kości i to dokładnie w tym samym momencie.

Zupełnie tak, jakby łączyły je jakieś nieczyste moce. Ściskają się.

- Nie gniewaj się — szepcze Ewa.

- Pilnuj się - odszeptuje Cassie.

Cassie odchodzi i dopiero wtedy Ewa ma ochotę krzyknąć za nią: „Ciagle krwawię! Za bardzo! Wyciekają ze mnie całe wiadra krwi! Dzieje się coś złego. Już się stało. Boję się!”

Ale ten krwotok jest tylko chwilową niedyspozycją, niczym poważnym, bo w końcu to niemożliwe, żeby jej ciało mogło się tak zdradziecko zachować. Ewa żadnej zdrady nie przyjmuje do wiadomości. Opuszcza więc okno, podkręca radio, które huczy agresywnym rytmem dysharmonijnego utworu, i chce zapomnieć. Kiedy wyjeżdża wreszcie na krętą drogę przy Temecula Canyon, jest już w kiepskim nastroju.

Zdenerwowana jak diabli, czuje się wzdęta i tak pełna wody, że mało nie pęknie. Przecina wyłożony kafelkami korytarzyk, natychmiast przeprasza wdowę, którą reprezentuje przy sprzedaży dwupoziomowego domu, i znika w łazience.

Małeńka łazieneczka wymaga remontu, ale tylko kosmetycznego - myśli Ewa, usiłując skupić się bardziej na tym, jak rozegrać w najbliższym czasie swoje mało atrakcyjne oferty, niż na krwi, która płynie nieprzerwanie.

Zmienia podpaszkę i żałuje, że tę zakrwawioną musi wrzucić do plastikowego kosza na śmieci, bo kosz wygląda tak, jakby wdowa nigdy nie zaśmieciła go nawet zmiętym kleenexem. Ewa czuje się poniżona, choćby tylko przed wdową, tym manifestowaniem swojej kobiecości.

- Pani Ewo? - Łagodnie woła wdowa. Głos dochodzi z tak bliska, że mogłaby stać z nosem przyciśniętym do drugiej strony drzwi.

Jednak kiedy Ewa wychodzi z łazienki, wdowa jest zajęta zupełnie czymś innym; w wystudiowanej pozie odpoczywa na patio z gazetą w dłoniach. W saloniku czeka klientka i spoglądając na zegarek, liczy uciekające minuty. - Mam mało czasu — oświadcza i niecierpliwie stuka elegancko obutą stopą.

Gniew zaćmiewa wzrok Ewy. Niech cię szlag trafi! - myśli sobie, a tymczasem tonem suchym i tak obojętnym jak kobieta interesu, która siedzi w jej granatowym kostiumie o męskim kroju i białej, zapinanej pod szyję bluzce, mówi: - Nie traćmy zatem ani chwili.

Kobieta jest klientką innej agentki, która powinna być teraz obecna i szukać dziury w całym, ale dziewczyna pracuje tylko na pół etatu i teraz właśnie od zajęć odciąga ją albo chore dziecko, albo wywiadówka w szkole, albo też jakiś inny domowy powód.

Klientka jest niezamężna; szuka domu i zarazem lokaty kapitału.

- Zależy mi na dobrym zakupie - informuje Ewę, zwiedzając dom, i sugeruje tym samym, że Ewa pewnie zechce jej wcisnąć bubla. Dość szybko przechodzą z pokoju do pokoju; klientka o krok wyprzedza Ewę. Nie jest z tych, co to dokładnie wszystko spenetrują, ledwie zerka na szafy. Przez szklane rozsuwane drzwi Ewa widzi, jak wdowa znad słonecznych okularów niespokojnie patrzy na nie wyblakłymi jak u królika oczami. Dom już od sześciu miesięcy wystawiony jest do sprzedaży i wdowa aż przebiera nogami, by wreszcie wyrwać się stąd do Phoenix, gdzie mieszka jej syn z synową. Fakt, że została sama w pustym domu, dusi ją jak pętla na szyi. Dom stoi na uboczu, z dala od sąsiadów, na zakręcie drogi do kanionu i choć niezwykle skomplikowany system drutów i świateł broni jego

drzwi i okien, wdowa denerwuje się potencjalnymi intruzami. Z lubością zaczytuje się makabrycznymi historiami o gwałtach i napadach opisywanych w gazetach. Sama, bez żywego ducha wokół, czekając tylko, kiedy stanie się wreszcie ofiarą napadu — wbrew radom Ewy — na własną rękę opuściła już cenę o pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Klientka przechadzając się po drewnianej podłodze w pumpach od Bally’ego, jest dokładnym zaprzeczeniem wdowy. Lokalizacja domu nie niepokoi jej w najmniejszym stopniu. — To plus, że się nie widzi sąsiadów.

— No i ten widok... — podsuwa Ewa, patrząc z głównej sypialni na wzgórze, na którym, niczym małe pagórki, stoją też inne domy. — W pogodny dzień widać stąd Catalinę. — Widok wyspy, plamki na de oceanu, zawsze podnosi wartość domu. Ocean na krótką chwilę, może dwie, hipnotyzuje kobietę, która zaraz potem schodzi do pralni i bada termę do wody. — To bez sensu — stwierdza. — Jeśli terma rąbnie, woda zaleje cały dom - orzeka z naganą w głosie, adresowaną do wdowy i jej zmarłego męża. — A to — mówi w kuchni, po szybkim przemarszu krokiem żołnierza Wehrmachtu — musi być przerobione od początku do końca. — Wyrzuca przed siebie rękę nie obciążoną żadną aktówką i macha nią z pogardą. - Staromodna i brzydka jak nieszczęście. Doprawdy, niektórzy ludzie... - Nawet nie usiłuje stonować wzgardy w głosie, choć właścicielka kuchni siedzi raptem kilka metrów dalej. Patio mruga popołudniowymi cieniami i wdowa w cętki leży z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Ewa odwraca się, by nie napotkać jej wzroku, i przygląda się akwareli z czerwono fiołkowymi kwiatami. Imię wdowy wymalowane jest w prawym rogu obrazu.

— Kupując dom, trzeba się zawsze liczyć z koniecznością wprowadzenia zmian - stwierdza Ewa i, zupełnie nie po ku-piecku, ma nadzieję, że ta kobieta tu nie zamieszka i nie wymiecie stąd wspomnień wdowy. — Im mniej, tym lepiej.

Znów patrzy na zegarek i Ewa z ulgą myśli, jak to dobrze, że jej klientką jest wdowa — kobieta z nadwagą, o skórze garbowanej słońcem, galaretowatych udach i piersiach wzdętych jak poduszki kanapy. Ewa pełna jest opiekuńczych uczuć wobec

wdowy, zagubionej na morzu (może raczej w kanionie) bez mężczyzny u steru. Bezgłośnie usiłuje przekazać zdenerwowanej właścicielce wiadomość: „Nie zwracaj uwagi!” Przyszła właścicielka nie jest w końcu w lepszej sytuacji; też nie ma męża i jeśli kupi dom, będzie spać dokładnie w tym samym towarzystwie co wdowa - z widokiem oceanu za oknem. Jeśli o to idzie, ani sprzedająca, ani kupująca tak bardzo się od siebie nie różnią.

Nie decydując się w żadną stronę, kobieta wychodzi. Wdowa wraca do domu i we dwie z Ewą uważnie przysłuchują się, jak tamta włącza wsteczny bieg. Zupełnie jakby chrzęst żwiru na podjeździe miał im coś wyjaśnić.

— Cisza jest dużym atutem tego domu — stwierdza Ewa, kiedy odgłos silnika milknie już w kanionie. Ale wdowy to nie przekonuje, bo właśnie ta cisza zraza ją najbardziej.

— Niech pani zostanie na kawę, pani Ewo — zaprasza, a Ewa podejrzewa, że wdowa chciałaby ją zatrzymać aż do wieczora, do kolacji i jeszcze potem.

— Innym razem — wykręca się z uśmiechem, dając do zrozumienia, że wzywają ją nie cierpiące zwłoki obowiązków zawodowych, gdy tymczasem na biurku czeka raptem papierkowa robota, z którą się wcale nie pali. Przed wyjściem jeszcze raz wchodzi do łazienki i znów zmienia zakrwawioną podpaszkę. Tym razem, mimo zapewnień wdowy, że wcale nie musi tego robić, wynosi wiaderko na podwórko do dużego pojemnika na śmieci. Usunąwszy widoczne dowody ułomnej kobiecości, czuje się odrobinę lepiej.

Cassie zdaje sobie sprawę z tego, że zanadto rozdziera szaty nad swoim zachowaniem wobec Nony. Nie jest w końcu taką świętą, która nigdy nie traci panowania, nie wrzaśnie, nie dygocze z wściekłości, ale wtedy w sobotę posunęła się jednak za daleko. Że też akurat trafiło na Nonę! Dlaczego?

Podejrzenie Ewy, że to przez zazdrość, piecze ją do dziś, choć obraz własnej córki szukającej zrozumienia u jej przyjaciółki sprawia, że znów czuje się całkiem pominięta i niepotrzebna. Była dla nich obu ścianą, krzesłem, przedmiotem, a w najlepszym razie obserwatorem.

Tyle z życia mija ją z daleka. Widzi symptomy, rozważa je

w świetle swej wiedzy i doświadczenia, podejmuje decyzje, ale robi to zawsze dla kogoś, dla innej kobiety. Naturalnie nie chciałaby się rozchorować, położyć, dławić, kaszleć, cierpieć w bólach ani żeby Jena czy Barbara badały ją i wzdychały: „Biedna Cassie”, ale uczucie, że stoi obok, nie opuszcza jej ani na chwilę. Chciałaby uczestniczyć. W świecie, który dzieli się na tych, którzy się przyglądają, i tych, co działają, należy do grupy widzów. Udziela pomocy tym, którzy wyciągają ręce, te zaś przywodzą na myśl ręce lalkarza wylaniające się gdzieś z ciemności, spoza kurtyny. Dałaby wiele, żeby choć raz wślizgnąć się na scenę. Przyjęła już cztery pacjentki, od chwili gdy wróciła z lunchu. Czeką ją jeszcze jedna, kiedy pielęgniarka w recepcji zawiadamia: — Mam tu April DeVito, Cassie.

— Była na dziś umówiona? — Cassie wie, że kwadratowym, nie opiłowanym paznokciem po liście popołudniowych zgłoszeń, ale nie widzi nazwiska April.

— Nie, ale chyba powinnaś ją gdzieś upchnąć.

Cassie wylapuje coś swoim radarem; głos Heleny brzmi złowieszczo i pielęgniarka najwyraźniej nie mówi wszystkiego. — Dobrze, daj ją do trójki, jeśli tam nie ma nikogo. No i wytłumacz pani Cera, że będę za kilka minut. Nie czekając, aż April się usadowi, Cassie depcze po piętach pielęgniarce, która potrząsa karmelkowymi loczkami i przytrzymuje szeroko otwarte drzwi.

— O co chodzi, April? — pyta Cassie, nim dziewczyna zdążyła odwrócić się do niej twarzą. — O, Boże! — wyrywa się Cassie.

April jest drobniutka, ma niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, a nogi i ramiona tak chude jak gałęzie brzeziny. Jest jak żywcem wyjęta z patyczakowatego rysunku przedszkolaka i - o ironio! - w świecie kobiet walczących z nadwagą nie może przytyć ani pół kilograma.

Ogromny fioletowo-czarny siniec otacza lewe oko April i spływa w dół policzka niby atrament. Oko napuchło i prawie go nie widać, została tylko cieniusia jak igła szparka między powiekami. Spuchnięta warga jest dwa razy większa niż normalnie i dziwacznie wykrzywia twarz dziewczyny.

Poszarpane rozcięcie szpeci kącik ust i widać, że rana musiała krwawić obficie.

- Spadłam ze schodów - mówi April wolniutko, usiłując nie urazić skaleczonej wargi, którą wysuwa do przodu, by jej nie dotknąć zębami. Zęby są chyba na miejscu, ale jeden, a może i dwa prawdopodobnie się chwieją. - Ze schodów?

- Mhm.

To możliwe, ale mało prawdopodobne - myśli Cassie, ostrożnie obracając głowę April i oglądając uszkodzenia. April krzywi się, choć jej zdrowe niebieskie oko ani drgnie, zupełnie jak szklane oko lalki. Cassie nie ma odwagi zajrzeć między powieki drugiego. - Widzisz coś tym okiem? - pyta cicho.

- Trochę. - Boli?

- Nie tak jak ostatniej nocy.

- Kiedy spadłaś ze schodów...?

Środek przeciwbólowy nie jest chyba konieczny, skoro April dotrwała bez niego aż do dziś, ale Cassie przez interkom zamawia atropinę, żeby rozszerzyć źrenice.

- Chcę, żebyś na wszelki wypadek poszła do okulisty. Mogła się odkleić siatkówka, na przykład. To się zdarza przy silnym uderzeniu w oko. - Nikt mnie nie uderzył. - April uparcie broni swojej wersji.

- Albo w usta. - Rozerwana warga zasklepiła się już sama bez szwów, ale blizna zostanie. Cassie delikatnie bada wnętrze ust dziewczyny, której stłumiony krzyk bulgocze w gardle. — Przepraszam — mówi odruchowo. - Boli mnie też ręka. Dopiero teraz Cassie zauważa, że April cały czas osłania jedną ręką drugą. Nadgarstek jest spuchnięty, a kiedy Cassie próbuje zgiąć w stawie dłoń dziewczyny, słyszy gwałtowny jęk. — Silne zwichnięcie, może nawet naderwane ścięgno - wyrokuje. - Ale to trudno stwierdzić bez rentgena. - Kiedy wchodzi Helena z atropiną, Cassie zleca jej zaprowadzenie April na zdjęcie.

- Chodźmy, moja rozbójniczko - mówi Helena z prawdziwie przyjacielskim uśmiechem nauczycielki pierwszoklasistów. Jak tylko krople dotarły do sfatygowanego oka i gdy zostało opatrzone, pomaga April zejść ze stołu.

Kiedy w ramach stażu Cassie trafiła do ambulatorium pierwszej pomocy w dużym szpitalu miejskim, z ogłupiającą regularnością zjawiali się tam poturbowani uczestnicy ulicznych bójek i ofiary męskich ataków furii. Młodzi lekarze na każdej zmianie zajmowali się ocalałymi mieszkańcami strefy działań wojennych i z właściwym sobie czarnym humorem nazywali ich uratowanymi z masakry na ringu albo też sparringowymi partnerami Muhammeda Ali. „A więc zleciałaś ze schodów, niech mnie diabli!” - zżyma się Cassie, gdy Helena wraca z dziewczyną. Jej domysły potwierdziły się — nadgarstek jest zwichnięty. Cassie owija nadwerżoną rękę bandażem i zapisuje na kartce nazwisko okulisty, do którego kieruje April.

— Co jeszcze ci zrobił? — pyta, kiedy już prawie skończyły. — Znów przemoc seksualna?

— Nie wiem, o czym pani mówi. — Puls na szyi April trzepocze niczym uwięziony ptaszek w klatce.

— Po co do mnie przyszłaś, April? Jestem w końcu twoim ginekologiem. Leczę kobiece schorzenia, na przykład twoją drożdżycę, czy zeszłoroczną cystę. Albo to nader tajemnicze rozerwanie pochwy, pamiętasz chyba? — Cassie patrzy na April spod oka, a później zagląda w kartę. Doktor Allerman jest twoim internistą. Do niego powinnaś się zwrócić, kiedy spadasz ze schodów. Chyba że zmieniłaś lekarza.

— Nie. Chodzę do doktora Allermana.

Cassie czeka, gotowa w razie potrzeby trzymać panią Cera całe popołudnie i opóźnić wszystkie pozostałe wizyty. Gotowa jest zapuścić korzenie w tym chłodnym gabinecie badań, dopóki nie wydusi z April tego, co trzeba. Ale co ma z tego wyniknąć? Prawda jedynie spotęguje wściekłość Cassie, wcale jej nie zmniejsza.

— Nie muszę nawet pytać, bo obie wiemy, kto tak tobą pomiata. Jesteś chyba ulubionym workiem treningowym swojego męża. Ty i dzieci! — Dzieci nigdy nie rusza — rzuca April szybko.

— Bo ty rzucasz się w środek i zasłaniasz dzieciaki. Zgadza się? April nie ma nic do powiedzenia, a Cassie już widzi, jak ta mała szmaciana lalka miota się w deszczu ciosów, żeby obronić dzieci. Cassie bardzo wyraźnie czuje, jak by to było, gdyby

miała wyrwać Mandy z niebezpieczeństwa i wziąć na siebie uderzenie rozpędzonego samochodu, pociągu, cios noża czy kulę. Ale nie mężowskie pięści, ojcowskie pięści. Ten sam instynkt podpowiada jej, że wtedy spakowałaby się i wyprowadziła, ale naturalnie ona nie jest April, ani Doug - co by o nim nie mówić - nie był też, choćby w najmniejszym stopniu, podobny do pana DeVito.

- Czy dalej będziesz udawać, że to nie on? - pyta Cassie, a April, wciąż siedząc na stole, macha nogami w sznurowanych adidasach i gapi się w podłogę, choć nie jest to najlepsza pozycja dla jej podbitego oka.

Cassie chciałaby ją widzieć w łóżku z torebką lodu przyłożoną do opuchlizny.

- Myślę, że przyszłaś tu do mnie, bo chcesz porozmawiać. Chcesz, żebym ci pomogła albo znalazła kogoś, kto to zrobi. Lekarka jest w tym przypadku lepsza niż lekarz. Czujesz, że kobieta cię zrozumie. Mam rację?

- Czy mogę dostać coś od bólu? - To wszystko, co April mówi.

- Jakiego bólu? Bólu oka? Wargi? Ręki? A może wszystkiego naraz? Albo też bólu tego, co siedzi w środku i czego zabandażować się nie da?

April chowa się w skorupę i uporczywie milczy.

- Jak długo, twoim zdaniem, będziesz w stanie to jeszcze znosić? Przedtem był gwałt...

- Nikt nie może zostać zgwałcony przez własnego męża!

Cassie ma ochotę potrząsnąć dziewczyną, a zarazem ją przytulić. Jedyne, co można by zrobić, gdyby w ogóle się dało, to spakować April i dzieci, a potem odtransportować w jakieś bezpieczne miejsce, poza zasięg męża i ojca, który morderczo wisi nad nimi jak miecz. Niebawem uderzy o jeden raz za dużo albo źle trafi i April przeobrazi się w krótką wzmiankę w gazecie, dokładnie taką, od jakich Cassie ucieka przeglądając „Timesa”. A może jeden komplet kości z Santa Monica należał do dziewczyny właśnie takiej jak April?

- Czasem wypije o jednego za dużo - odzywa się April, zaskakując Cassie, która już straciła nadzieję, że dziewczyna przemówi. - A potem - jej chude, ptasie ramiona drgają - traci kontrolę... Jak doktor Jekyll czy Mr. Hyde, nigdy nie pamiętam

Diana Silber

który jest który, ale rozumie pani. Staje się kimś, kto dla mnie i dla dzieci jest całkiem obcy. - April zwierza się podłódze. Siedzi z opuszczoną głową; widać jej biały kark. Cassie czuje, że coś ją aż dławi, gdy patrzy na tę białość i kruche, drobne kości. - Potem, następnego dnia, nigdy nic nie pamięta. Mówi, że to niechcący i że nie miał na myśli nic złego. Albo że ja sobie to wymyśliłam, bo on by tak nigdy nie mógł.

Cassie nie może się powstrzymać i wybucha:

- Wymyśliłaś to sobie? - Podnosi głowę April. Zdrowe oko kołysze się we łzach jak klejnot w filmowym akwarium. - Mówi, że mnie kocha.

- To nie jest miłość!

- I przez całe dni, nawet tygodnie jest dla mnie taki dobry!

- April, on cię niszczy, a ty potrzebujesz pomocy. Słuchaj uważnie, niedaleko National jest dom pomocy społecznej, gdzie przyjmą cię z dziećmi, pomogą ci znaleźć pracę i mieszkanie. Znajdą ci adwokata i jeśli będzie trzeba, załatwią ograniczenie praw twojego męża do dzieci. Twarz April wisi w powietrzu jak obraz na ścianie; jedynym znakiem życia jest wolno spływająca łza. - April?

- On mnie zabije, jeśli odejdę.

- Zabije cię, jeśli nie odejdiesz. - Cassie nagle uświadamia sobie, że obie szepczą i że ich słowa są lodowato zimne. April schodzi ze stołu. Cassie musi się wycofać. Tracić ją.

Jeszcze dziś wieczór, jutro, za tydzień, gdy sińce April zbledną i żółkną, mąż znów jej przyłoży. Jest to równie oczywiste, jak to, że po nocy nadchodzi dzień. Cassie, znawczyni zbyt wielu złowrogich statystyk, wie, że musi tak być. Nie wie natomiast, ile czasu wytrzyma April, nim pęknie jak złamana gałązka. Ale Cassie nie ma wyraźnej wizji, jak by ją uchronić. Poprzysięgła sobie, że ją uratuje, lecz bez współdziałania April jest zupełnie bezsilna. Błagać, ostrzegać, straszyć?

- Weź chociaż nazwę domu i adres...

April odchyła się w pustkę, rozsypując podziękowania, wychodzi, zabierając swój cień, a Cassie czuje dreszcz, o jakim jej matka mówiła: „Śmierć przeszła mi po krzyżu”.

10

Czarownice świergoczą jak kosy, małe mordki stanowią precudne kompozycje gumy i rodzyrkowych oczu. Są radośnie złowrogie, podskakują z nogi na nogę, nawzajem na siebie wpadają. Spiczaste czapki z kartonu przekrzywiają się na kędzierzawych czuprynkach i na pewno spadłyby z głów, gdyby nie zabezpieczały ich elastyczne paski pod brodą.

W ciemnym zmierzchu dochodzi do kolizji duchów. Z głośnym, przenikliwym piskiem jakiś diabełek potyka się o własny ogon z krepiny, a z opresji ratują go mocne ramiona ubranego w lamparci strój mężczyzny. Na skrawku zadbanego trawnika

Diana Silber

mały kowboj galopuje wśród okrzyków po nieskrępowanym świecie wyobraźni. Niedźwiedziowaty szmaciarz maszeruje ramię w ramię z Wielką Dynią. Wieczór ma smak jabłek i tętni gwarem małych istotek, ściskających w garści torby UNICEF-u. Nona z zakupami w ramionach wraca do domu przeciskając się wśród opętanych radością dzieciaków. Dzieci są jak paździenikowe liście niesione wiatrem życia. Karzelkowaty Człowiek-Pająk atakuje nogę Nony i krzyczy:

- Wykup się!

— Chodź tu, Jeddle! — strofuje go zniecierpliwiona, podstarzała balerina i odciąga na bok.

Nona śmieje się i chciałaby też tak jak one przetańczyć tę noc. Wspomina dawne święta Halloween, smak mrozu na języku i dynie w odsłoniętych oknach. Kukurydziane karmelki i bułeczki Tootsie... ile mogła mieć lat? Osiem, dziewięć? Na pewno mniej niż dziesięć, bo wtedy odesłali ją w góry, do szkoły panny Pettet.

I...

— Nie chcę tam jechać!

- Rośniesz tu jak dziki chwast. Nie pozwolę na to. - Marian była zdecydowana przeprowadzić swą wolę do końca i, akurat ten jeden raz, Adam nie był w klótni powściągliwy.

Kłócili się ostro, psując atmosferę w domu na dobrych kilka dni, aż wreszcie Adam ustąpił i Nona musiała ucichnąć. Kiedy Marian z kolejnym bólem głowy poszła wreszcie na górę, Nona wtuliła się w ojca w gabinecie - ale dopiero, gdy obiecał wstawić się za nią — i szlochala mu w ramię: „Nienawidzę jej!

Gładził jej głowę ciężką dłonią. Co poczęłaby sama, bez niego? Jak daleko sięgała pamięcią, zawsze była „dziewczynką Adama”. Potrzebowała go, a kiedy nikt nie mógł ich usłyszeć, on szeptał: „ciało mego ciała” i przysięgał bronić jej przed straszydłami z ogrodu.

Lecz i tak w końcu wyjechała.

Szkoła panny Pettet okazała się tak surowa jak zakład poprawczy. Ściany zbudowano z nie tynkowanego kamienia,

a w oknach tkwiły kraty. Lodowate przeciągi hulaly między piętrami.

Wszystkie dziewczęta nosiły szare więzienne mundurki i spały na cieniutkich materacach po sześć w jednym pokoju.

Na Halloween drzewa aż po horyzont stały już całkiem bezlistne i na tle nieba wyglądały jak grube kreski malowane węglem. Ziemia była żółta i krucha, a sucha trawa trzeszczała pod stopami.

Halloween w szkole panny Pettet było niewesołym przyjęciem; dziewczęta schylały się po jabłka, uważając, by nie zamoczyć białych wykrochmalonych kołnierzyków. Trzymały ze sobą latarenki, ale nie miały kostiumów tylko czarne, zasłaniające pół twarzy maseczki, a całą ich zabawę stanowiła gra w „krzeselka do wynajęcia”. Potem słuchały czytanych przez pannę Croydon — nauczycielkę angielskiego i geografii — opowieści o duchach, które tak śmiertelnie przerażały młodsze uczennice, że po zgaszeniu światła co bardziej bojaźliwe ulegały atakom najprawdziwszej hysterii.

Dziewczęta nigdy nie dostawały żadnych słodyczy, a na Halloween wzdychały z ulgą, że październik przeobrażał się właśnie w listopad i przybliżał je do przerwy z okazji Święta Dziękczynienia, a potem do trzytygodniowych ferii na Boże Narodzenie.

Z mostku za stajnię Nona wrzucała grosik po grosiku swoich chudych zasobów kieszonkowych do rzeki, płacąc za spełnienie życzeń. Chciała wrócić do miękkiego łóżka, fotela na biegunach, nie tkniętych porcelanowych lalek na półce, miękkich dywanów, ciepłej kuchni. Chciała wrócić do ojca na kolana, znów poczuć zapach whisky i szmuglowanych kubańskich cygar, gładkość ogolonego policzka albo twardą szczecinę, kiedy się nie golił. W jego ramionach czuła się bezpieczna, a dotyk jego dłoni sprawiał jej przyjemność.

— Przestań się kleić do ojca! Za duża już jesteś na to! - zawyrokowała matka, kiedy Nona przyjechała na ferie. Ale ojciec był taki ciepły i tak mocno ją przytulał.

„Obronię cię” - szeptał jej w ucho, gdy Marian nie mogła słyszeć. Czyżby już „zapomniała o czarnożębych potworze z przekrwionymi oczyma i nosem jak korkociąg?”

Diana Silber

Nona mija jakąś nastolatkę okoloną pomarańczową szopą włosów niczym paw. Dziewczyna włożyła jedną rękę w tylną kieszeń chłopięcych skórzanych spodni. Jej duży, nieskrępowany biust opina podkoszulka z napisem „Do piekła i z powrotem”. Brodawki piersi, okrągłe jak kapsle od butelek, nadymają się pod cienką bawełną. Równie dobrze mogłaby maszerować nago, przynajmniej od pasa w górę - myśli Nona, uważając się za starą konserwę. Choć należała do bezstanikowego pokolenia, sama zawsze nosiła biustonosz.

Łatwe panienki, dziwki, kurew ki. Tak właśnie jej ojciec nazywał dziewczyny odziane w lachmany, obwieszane koralikami sierotki Marysie, dzieci znajomych, które brzdąkały na gitarach i wykrzykiwały hasła. Kiedy wróciła z Yardleya - dokąd wysłano ją po szkole panny Pettet - słyszała, jak utyskiwał przed przyjaciółmi. „Tamte” dzieciaki były społeczną zakalą, robactwem, które podgryzało własne gniazdo - korzenie żywiących je domów i wspierających interesów. Tyrady ojca aż pęczniały od czarnowidztwa. Adam nienawidził brudu, nienawidził rozpasania zawszonych dzikusów tak innych od jego słodkiej Nony. Nie znosił stad niewiernych zbierających się na Cornmon, wzdłuż Commonwealth i w okolicach — *niech to diabli wezmą!* — Placu Harvardzkiego. Czy już naprawdę niczego nie można oszczędzić, niczego uszanować? Nona spotkała kiedyś na przyjęciu kuzyna swojej koleżanki z Yardleya. „Walczymy o swoje prawa” - mówił.

Odprowadził ją do domu. „Kuzyn z gorszego świata, hip, mieszaniec, życiowa pomyłka biednego, młodszego brata” -ujadał ojciec.

Spójrz tylko na ten kolczyk w uchu! Dlaczego nie w nosie? I o jakich prawach on mówi? O prawie do ubierania się jak iachmyta? Do cuchnięcia?

Nonie podobały się oczy kuzyna, ale jak tylko ojciec wyprawił go za drzwi, od razu na dole umyła ręce. Po zakończeniu nauki w Yardley wysłano ją do niewielkiego college'u, który mieścił się w niegdysiejszej posiadłości węglowego potentata na granicy z francuską częścią Kanady. Szkołę prowadziły zakonnice i tego Marian już znieść nie mogła. *To*

To jeszcze nie koniec

162

dla katolików! Zamienia dziewczynę w czarną wronę! Ale nawet gdyby miało do tego dojść, ojciec wolął ją widzieć jako dozgonnie czystą siostrę miłosierdzia, wspomagającą ubogich, niż topielicę z długimi, brudnymi włosami, w drucianych okularach, minispódnicy i bez stanika, klnącą jak szewc i zaciągającą się marihuaną. No więc obśmiewał religijność szkoły, za to podkreślał kameralność klas, zróżnicowany program nauczania i pochodzenie uczennic - wszystkie rekrutowały się z zamożniejszej warstwy klasy średniej. Święta Celestyna była jeszcze zimniejsza niż szkoła panny Pettet i ponura jak grób. Wisiało nad nią wiecznie stalowe niebo i otaczał szary krajobraz.

Nona napisała do matki, w której nagle znalazła sprzymierzeńca: „Nienawidzę tej szkoły!” A mimo to, choć miała już dwadzieścia lat, nigdy nawet do głowy jej nie przyszło, żeby spakować walizki i zwinąć żagle. Połowa młodej Ameryki była w ciągłym ruchu — nigdzie nie zagrzewając miejsca — lecz Nona czekała.

Adam przyjechał sam, żeby się z nią zobaczyć. Kolację zjedli przy kominku w wiejskiej gospodzie. Adam zamówił Chablis i zarzucił córkę pytaniami. Co się jej nie podoba w Świętej Celestynie? Dlaczego?

Czy ktoś ją szykanuje? Nie korzysta z zajęć?

A może chce wrócić do Bostonu i razem z tym talatajstwem chodzić na uniwersytet?

Czy wiesz, że co semestr mam obowiązkowe lekcje z „zajęć domowych”?

To co?

Zajęcia domowe to szycie i gotowanie! Tato, tylko pomyśl - lekcja haftu w college u! Czy to coś złego?

Nona miała nadzieję, że odwiedziny ojca oznaczają automatyczne ulaskawienie. Tymczasem Adam wyciągnął broszury z aktówki. *Proszę bardzo, przywiozłem ci coś. Jesteś już chyba wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć, dokąd prowadzi rozpasa-nie, któremu tak wielu się teraz poddaje.* Rozłożył zdjęcia na stole. Były to kolorowe zdjęcia kobiet i mężczyzn obrzuconych

Diana Silber

czyrakami, liszajcami, wrzodami w najobrzydliwszy sposób zmieniającymi skórę. Ich krosty wyglądały niczym góry o żółtych wierzchołkach.

To są chorzy wenerycznie. Zobacz, w jakiego potwora może się człowiek zamienić, jeżeli nie jest ostrożny. Leciutko, końcem palca dotknął jej policzka. Nie mogę znieść myśli, że na tę skórę byłoby kiedyś strach patrzeć, nie mówiąc już o dotykaniu. Ja przecież nigdy bym tak...

W zeszłym tygodniu syn mojej sekretarki przedawkował. Umarł. Nie żyje. Nie podniesie się z ziemi jak aktor w telewizji. Adam rzucił Nonie na talerz zdjęcie młodej dziewczyny o kruczoczarnych włosach, które zwisały z metalowego stołu. Byk naga. Ta dziewczyna brała LSD. Wyszła przez okno.

Nona przysięgała, że nie będzie zażywać narkotyków, niech tylko zabierze ją stąd do Bostonu. A na to on się dziwił, że jego słodka córeczka nie chce sprawić mu przyjemności. Nie chce być mu posłuszna? Nie chce wygodnie dać się unosić prądowi, niczym łódeczka na Charles? Mówił, że niebezpieczne czasy miną; nie wypowiedziana wojna musi być wkrótce zakończona. Wszystko miało się zmienić i wrócić do normy. Tymczasem Nona mogła czekać. W Świętej Celestynie. Bezpieczna. Nawet gdyby ją miał ominąć choćby cały świat! Największy w życiu ubaw, jeszcze lepszy niż halloweenowa zabawa w Los Angeles. Tumult lat sześćdziesiątych wchodzących w siedemdziesiąte. I cały bunt. Mówił też, że wszystko wokół śmierdzi, ona zaś pachnie wodą kolońską.

Zapach fiołków w oddechu Nony sprawiał Adamowi przyjemność.

Nona wzdycha i wraz z nielicznymi zakupami z targu odsuwa na bok wspomnienia. Lubi kupować na straganach, lubi spacerować ulicami. Poza tym lepiej jest nie mieć w domu jedzenia, wtedy nic jej na pewno nie skusi.

Podgrzewa wodę na filiżankę zupy.

Mogłaby gdzieś pójść. W Miejskim Klubie Sportowym organizują zabawę, na której szampan poleje się strumieniami, a stoły uginać się będą od zakąsek. Przewidziane są też nagrody za najbardziej udane kostiumy. Lśniący chromowany bar oblepiony będzie samotnymi łowcami, ale Nona nie ma potrzeby

To jeszcze nie koniec 167

spotykać nikogo. Obecność Alana w jej życiu uwalnia ją od „rozglądania się”.

Przez szklany blat stolika obserwuje swe stopy i nagie palce, zupełnie jakby była przecięta na pół — dolna połowa ciała po rozwodzie z górną. Ostrożnie sączy zupę, nie spuszczać wzroku z Magika, który ociera się o jej kostki. Nie może jednak patrzeć na niego w nieskończoność. Już po chwili mieszkanie zaczyna pulsować ciszą. Mimo wszelkich postanowień Nona wychodzi i jedzie do Cassie. Ona będzie mieć cukierki, gumę do żucia, pięcio- i dziesięciocentówki i jabłka McIntosha dla zablakanych dzieci. Ale Cassie wcale nie ma w domu. Pali się tylko światło na ganku.

Skąd Nona może wiedzieć, że poszła z Jake'em na...

CÓŻ, to w końcu regularna randka, zupełnie inna niż ich czwartkowe spotkania w kuchni przy puszcze piwa.

W czwartki Cassie pędzi do domu, żeby zdążyć zobaczyć Jake'a. Bez tchu wyjeżdża z za rogu i dostrzegając jego ciężarówkę, wykrzykuje z przejęciem: „Pan na pewno spragniony”. Albo: „Co za upał!”. Cokolwiek, czego mógłby się chwycić, by spłynąć do niej przez skoszony trawnik i ścięte kwiaty, by wejść do kuchni, gdzie tymczasem Cassie rzuca torbę w kąt i wyjmuje dwie Coronas z lodówki.

W ten czwartek Cassie, zatrzymana przez opieszalą pacjentkę, martwi się, czy aby nie wraca za późno. Ale Jake czeka oparty o samochód, jakby nie spieszyło mu się do niczego na świecie. I może to prawda. W końcu co ona o nim wie?

— Nie sądziłem już, że się spotkamy — stwierdza Jake, zupełnie jakby się umówili na randkę. Cassie podjeżdża do garażu i wysiada z auta.

Nie mogąc wymyślić nic mądrego, chichocze nerwowo i rzuca pierwszą uwagę, jaka przychodzi jej do głowy.

— Świat jest bardzo chory. Za bardzo. Chcę powiedzieć, że miałam dziś dużo pacjentek — brnie dalej. Wytracił ją całkiem z równowagi. Skończył pracę: zagrabił podwórko, podlał ogródek, obciął suche gałęzie, a mimo to nie odjechał. Cekał. I właśnie wtedy spytał:

— A może zjedlibyśmy razem kolację?

Nie ma w tym nic dziwnego, że mężczyzna zaprasza kobietę i ona przyjmuje zaproszenie. Taniec godowy. Biologia Ewy. Ale zakłopotana Cassie oblewa się ciemnym rumieńcem i chciałaby tańczyć z radości.

„Dobrze” — odpowiada i nagle siedzi w Hondzie Civic Jake'a, która swe dni świetności dawno ma już za sobą.

Samochód jest czyściutki, jedynie z popielniczki sterczy długi niedopalek papierosa. Cassie podejrzewa, że Jake sprząta samochód tak, jak kobieta mieszkanie - z wigorem obcym mężczyznom. Ze znanych Cassie mężczyzn tylko jej ojciec z babskim oddaniem pucował swojego Buicka. Szczotkował fotele, odkurzał tablicę rozdzielczą, popluwał na chrom, by go wypolerować do błysku, obustronnie spryskiwał szyby wodą z octem. A w każdą ciepłą niedzielę namydlał i z ogrodowego węża splukiwał swoją limuzynę, miłośnie nacierając zderzaki szerokie niczym grube kobiece uda, i buczał pod nosem jak człowiek opleciony żywym kablem elektrycznym.

„Mężczyzna i jego samochód” — mawiała wtedy matka i potrząsała głową, zerkając na niego przez kuchenne okno, zupełnie jakby podglądała jakiś męski rytuał.

O czym z nim będę rozmawiać? - głowiła się Cassie, nim po nią zajechał. Przypomina sobie bar u Malone'a i ten skurcz w gardle, kiedy miękka tkanka aż napuchła ze strachu. A teraz będą sam na sam!

Zaprosił ją na kolację! Idzie na męsko-damską randkę z ogrodnikiem, który na ramieniu nosi wytatuowanego orła. Co gorsza, z ogrodnikiem, którego nazwiska nigdy nawet nie słyszała!

Przecież „ten” Jake jest jeszcze bardziej obcy - i już zupełnie nie wiadomo jaki — niż inżynier od Levinsonow! A jednak Cassie odsuwa na bok niepokoje, bo bliskość Jake'a wywołuje w niej dreszcz radości. Jake nie dzieli jej zdenerwowania, a jeśli nawet obecność Cassie wytrąca go trochę z równowagi, umie to dobrze ukryć albo zagłusza muzyką. Wsuwa kasetę z nagraniem Bixa Beider-becke'a w samochodowy odtwarzacz. Czy Cassie zna Bixa?

— Nazwisko tak, ale nie muzykę.

Jake zaczyna jej opowiadać, że Bix był najlepszy, że umarł

mając dwadzieścia osiem lat i że własnym geniuszem zniszczył swój zbyt wielki talent.

- W dzieciństwie - mówi Jake, swobodnie prowadząc jedną ręką, jak to tylko mężczyźni potrafią - grywał na rzece, póki go ojciec nie złapał. Był biały, ale zakochany w murzyńskiej muzyce.

Gdyby Cassie była Ewą, uwaga Jake'a o Bixie natychmiast dałaby jej asumpt do kokieteryjnego pytania: „A ty w czym się kochasz, Jake?” i tak zaczęłaby rozmowę o nim, a nie o zmarłym przed pięćdziesięciu laty muzyku. Ale Cassie brakuje bezpośredniości Ewy i o Jake'u wie tyle co nic, prócz tego, że był w Wietnamie.

U Malone'a, trzymając drinka w garści, mogła przynajmniej sklecić jakichś kilka zdań, teraz jednak, w czasie jazdy przez miasto, żałuje, że nie przygotowała sobie listy tematów do dyskusji. Umie tylko zapytać o Yanga, to wszystko.

Na de blaszanej muzyki - tak staromodnej jak akompaniament do niemych filmów - Jake mówi:

- Yanga znam z wojny. Chodziliśmy razem na robotę.

Na robotę? Co znaczy „robota”? Casie już ma o to zapytać, kiedy Jake sam zadaje pytanie:

- Od jak dawna jest pani po rozwodzie, Cassie?

Nigdy przedtem nie zwracał się tak do niej i Cassie czuje, że dźwięk własnego imienia w jego ustach wywołuje w niej dreszcz emocji. Żeby tak usłyszeć to jeszcze raz!

- Od trzech lat.

Powstrzymuje się od tłumaczenia, jak Doug odszedł do Marina do Trący, młodszej, w skąpym bikini. Nie ma uczucia, że jej były mąż odgradza ją od Jake'a, tak jak przedtem od innych mężczyzn.

- Długo - stwierdza Jake.

- Jakby minęły wieki - mówi Cassie i rzeczywiście ma takie wrażenie, choć wczoraj wcale tego nie czuła.

Teraz tak właśnie jest. Doug może już jutro, niby duch, nawiedzić znów jej dom i snuć się po schodach w górę i w dół, przewracać na jej łóżku i oplątywać pajęczyną wspomnień. Ale akurat w tej chwili wydaje się, że odszedł już na zawsze, że wyparowała z niej złość i wyblakły żal.

Diana Silber

- Lekarz?

- Nie. Prawnik.

Lekarz, prawnik, wódz indiański. A co robił Jake przez wszystkie te lata, nim zaczął kosić trawę dla faceta, z którym w czasie wojny chodził na „robotę”? Cassie nie musi nawet pytać, by wiedzieć, że jego historia będzie długa i tak zagmatwana, jak tajemnica odkopanych dziewczęcych kości, które na moment trafiły do gazet, by zniknąć bez słowa wyjaśnienia. Czy władze pogrzebały szkielety? I kto odprawiał nabożeństwo? Ksiądz, pastor czy rabin? Kto i jak podjął w tej sprawie decyzję?

Ku jej zdumieniu - w czasie kuchennych pogawędek mówił jej tylko o ogrodzie, baseballu i o tym, czy po długotrwałej suszy doczekają się wreszcie deszczu - Jake wyznaje, że też miał rodzinę.

- Byliśmy trochę razem, częściej osobno przez dwanaście lat. Kobieta, o której mówi „moja była”, mieszka w Galveston,

wyszła za mąż - już po raz trzeci - i jest matką jego dwóch córek. Cassie właśnie ma zamiar zapytać o ich imiona, kiedy Jake ją uprzedza:

- Co pani myśli o Bixie?

Cassie nie jest w stanie odróżnić srebrzystego kornetu od reszty instrumentów na taśmie. Żaden z nich nie wybija się jakoś szczególnie. Nie wyćwiczonemu uchu Cassie wydaje się, że wszystkie instrumenty dęte albo mieszają się metalicznie ze sobą, albo też w bójce skaczą sobie do gardeł. I nagle z samochodowych głośników dobiega dźwięk czysty jak kryształ, nie ma w nim nic przyziemnego, jest niczym samotny ptak, ulatujący do nieba. Na króciusięnką chwilę Cassie sztywnieje w bezruchu. Kiedy ów dźwięk zanika, zostawiając po sobie tęsknotę tak silną, że niemal łamiącą serce, Cassie odwraca się, by spojrzeć na Jake'a. Jake się uśmiecha. Jeżeli uczciwość i dzielenie się wszystkim stanowią dwa podstawowe składniki przyjaźni, to oczywiście Cassie winna jest zdrady, bo ani słowem nie wspomniała Ewie i Nonie o swoim zainteresowaniu ogrodnikiem. A one nadal myślą, że ktoś bezimienny i bez twarzy, kto od niepamiętnych czasów zajmował się jej ogrodem, przychodzi jak zawsze co tydzień, by przystrzyc

trawnik i powyrywać chwasty. Ogrodnicy jakoś nie *zaprzatają* uwagi mieszkańek apartamentów, takim Ewom i Nonom. Ewy i Nony nie śnią po nocach o krzaczkach i palmach. Kwiaty przynosi się z kwiaciarni, dawno ścięte. Naturalnie, gdyby Cassie bąknęła kiedyś, że pewien facet w dżinsach i podkoszulku - któremu szpakowate, ciemne włosy spadają jedwabistą falą na ostro rzeźbioną twarz — podlewa jej azalie, gdyby opisała im jego szerokie ramiona i wąskie biodra, niebieskie oczy i delikatną siateczkę zmarszczek pod opalenizną, wspomniała szlachetny kształt nosa i pełne usta, przyjaciółki natychmiast wykazałyby gwałtowne zainteresowanie i zastrzygły uszami.

Cassie nie umie wymyślić żadnego powodu, dla którego zapomniała powiedzieć im o tych czwartkach, kiedy jej serce — na przekór medycznym dowodom — naprawdę bije nieco prędzej i kiedy niecierpliwe oczekiwanie już koło trzeciej zaczyna co i raz gonić ją do łazienki, zwodząc pełnym pęcherzem. Przed wyjazdem z kliniki Cassie nie palcami, a szczotką przy-czesuje włosy, różuje policzki, poprawia tusz na rzęsach i wpół zjedzoną szminkę na wargach. Tymczasem Ewa i Nona myślą, że czwartek niczym nie różni się od czterech innych dni pracy.

Dlaczego trzyma to w tajemnicy? No chyba nie dlatego, że Jake jest tym, czym jest, a nie na przykład architektem terenów zielonych, że pracuje jako zwykły robotnik, zamiast jeździć własną ciężarówką i zatrudniać ludzi. Cassie za nic na świecie nie chce nawet myśleć, że wierzy w podział i przynależność do klas, że oddziela umysłowych od fizycznych. Ci mężczyźni mogą być, tamci - fe! W końcu to Kalifornia, kraina marzeń i snów, słoneczny stan, gdzie żebrak może się stać królewiczem i gdzie uparci wypływają na powierzchnię życia towarzyskiego niczym oliwa na powierzchnię wody. Tu historia olśniewających karier sięga zaledwie wczorajszego dnia. Więc czego się boi? Że akurat Ewa zawrzaśnie wielkim głosem o niestosowności takiego związku? Że nie wypada, żeby jej tak odbiło?

Odbiło! Odbijać może Mandy i jej koleżankom, ale nie ich matkom. Matki powinny mieć więcej rozumu i nie dać się ponosić jakimś szaleńczym, romantycznym porywom. Jak mają doradzać swym córkom, gdy same tracą głowę i wychodzą przez okna, bo nagle rosną im skrzydła?

Czy Ewa i Nona uznałyby, że Jake, owszem, nadaje się, ale na przewalankę w sianie? Ze można z nim pohulać między związkami na serio - czego Cassie zresztą w ogóle nie zna od czasu rozwodu - że może stanowić odmianę, komiksową przygodę? Lecz że tak naprawdę brak mu atutów, by się z nim wiązać na stałe? Bo on po prostu, najzwyczajniej w świecie, nie ma zawodu ani też w gruncie rzeczy pracy, żadnego sensownego źródła utrzymania, pieniędzy?

I właśnie pod koniec kolacji Cassie zaczyna liczyć pieniądze. Skromna japońska restauracja, w której siedzą po turecku na podłodze zarzuconej cienkimi poduszkami, nie jest droga, ale Cassie ciągle nie może się zdecydować, czy nie powinna zaproponować, że pokryje swoją część rachunku. Jak to się teraz robi? Czy Jake oczekuje, że ona wyjmie portmonetkę? Przy innych podobnych okazjach zawsze mężczyzna sięgał po rachunek, ale teraz palce ją świerzbią. Czy nie obrazi się, gdy mu powie, żeby na spółkę uregulowali należność? A może jeszcze bardziej będzie miał jej za złe, jeżeli nie odezwie się słowem?

Dopóki ugrzeczniomy, kłaniający się kelner nie przyniósł rachunku - kładąc go odrobinę bliżej Jake'a - Cassie była odprężona, ba!, wręcz zupełnie rozluźniona. Obawy, że nie znajdzie słów, które przeprowadzą ich przez ten wieczór i że gdy tylko ucichnie muzyka, fala skrępowanego napięcia podniesie się, żeby ją zatopić, okazały się bezpodstawne i ulotne jak mgielka. Choć te kobiece wzruszenia - o nie, nie żadna tam pożądlivość! - z początku ją nieco rozbiły, Cassie, cokolwiek przestraszona Jake'em, przy dwóch czarkach sake dość łatwo odzyskuje równowagę.

Najpierw długo wybierają dania, zgadzają się dzielić wybrane potrawy, potem Jake bardzo *a propos* zaczyna opowiadać o Japonii, dokąd pojechał na wojenny urlop. Japończycy wydali mu się bardzo zajęci, mrówczo pracowici, przebudowujący wszystko dookoła i przez chmury sięgający nieba. Mówi, że przejmują świat. Jest tym rozbawiony i nie słyhać w nim bigoterii, zupełnie jakby chciał powiedzieć - „niech tam i na zdrowie!” Wietnam rozbił twardą pięść amerykańskiej dominacji nad światem i Bogu za to dzięki.

- Jeżeli zależałoby to ode mnie, to pozwoliłbym wszystkim rozgrywać wojny na ich prywatny rachunek.

- Czy myśli pan, że nie mieliśmy racji? - Znow sobie przypomina, że Jake jest dla niej pierwszym autentycznym weteranem tej wojny. Jest najprawdziwszym na świecie rzygającym ołowiem potworem, weteranem z krwi i kości. Jeszcze teraz czerwieni się na to wspomnienie.

Jake jakoś wierci się, przesuwa nogi, a jego oczy rozjaśnia twardy błysk zimowego światła.

- Za późno już teraz na racje - odpowiada, a wokół niego narasta chłód, którego przed chwilą jeszcze nie było. Cassie cofa się instynktownie, choć ma ochotę nakryć jego dłoń swoją.

- Ale drugi raz bym tam nie pojechał.

Gdyby czas można odwrócić i gdyby Jake mógł wybierać, teraz by uciekł, na północ, do Kanady, do Skandynawii, na bezludny atol południowych mórz, wszystko jedno dokąd. Ale przeszłość na zawsze zostanie już taka sama, a on wiecznie będzie ją ciągnął za sobą.

Cassie przenika jego pamięć i widzi morze ognia, słyszy dudnienie ciężkiej artylerii, wirujące łopotanie powietrza obracanego śmigłem helikoptera, krzyki rannych i umierających, a jej wyobraźnię barwi krwista czerwień wojennych filmów kręconych w technicolorze.

Jake wyjmuje pieniądze i obok rachunku kładzie dwie dwudziestki. Cassie za nic nie może wymyślić, jak by tu zρέcznie zapytać, ile jest mu winna. Tak samo, jak nie umie też zadać pytania: „Jak tam było?” Przy nim czuje się taka bezwolna i traci pewność siebie. Jest całkiem bibułkowa, niczym dziewczyna u progu dnia, a nie dorosła kobieta — lekarka, przedstawicielka średnio zamożnej klasy, dobrze ustawiona w życiu. Czy to jego uroda i przytłaczająca męskość rozkładają ją tak na łopatki? Musi być jeszcze coś... Jakies ważniejsze rzeczy powodują takie skrępowanie.

Ma spocone dłonie i ukradkiem wyciera je o sukienkę, nim ujmie wyciągniętą dłoń Jake'a, który pomaga jej wstać. Nie dziwi się jego sile ani temu dreszczowi, który przebiega jej po ramieniu, i stawia na baczność meszek włosków aż na samym karku, tam, gdzie kołnierz sukienki obnaża szyję.

Wszystko sprowadza się do reakcji chemicznych. „Albo to

coś jest, albo go nie ma" — wyznała kiedyś Nona w pasach, na co Cassie odparła: „Czytujesz za dużo romansów”. Wtedy Ewa powiedziała: „Nie przymykaj oczu na oczywiste korzyści, jakie płyną z chemii”. Teraz Cassie - wychodząc z restauracji przed Jake'em - usiłuje przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek doświadczała już takich uczuć. Takie rzeczy się przecież pamięta. Ale jakaś mgła zaćmiewa wspomnienia. Z trudem przypomina sobie Douga i narzeczeńskie czasy, przed nim zaś byli tylko wyrośnięci chłopcy. Ale wie jedno: w ciągu ostatnich trzech lat samotnego życia nic nie poruszyło ją tak, jak te emocje, od których teraz aż ją ściska w żołądku.

Częściej niż samych mężczyzn Nona pamięta na przykład światło. Pamięta, jak przeciskało się zza żaluzji, rozlewało spod nocnej lampki, przenikało szpary w zasłonach, mrugało na szybach samochodów. Wspomina miejsca, gdzie dla mężczyzn stanowiła obiekt miłosnego aktu: pokoje w motelach wynajmowane naprędce tuż po przyjęciu czy tańcach, hotele, apartamenty, domy, samochody zaparkowane na uboczu, koce na leśnej ściółce, na polach i plażach. Kiedy coś się dzieje, gdy jest czymś przejęta, wszyscy mężczyźni jednocześnie odżywają w pamięci Nony.

Z początku, przez pierwszych kilka razy miała wrażenie, że obrabiają ją jak w fabryce, później nauczyła się leżeć grzecznie i tylko rozmyślała o pompujących szybach naftowych, o pracujących tłokach, maszynach parowych, ale przede wszystkim o tych zdjęciach ojca.

Adam pęklby z wściekłości, gdyby się o tym dowiedział, gdyby ją kiedykolwiek zobaczył taką całkiem bezradną. Nona tak samo zamykała oczy przy nim, jak przy mężczyźnie, z którym leżała naga. Ale nie mogła ogłuchnąć na ojcowski szept: „Každy akt ma swoje konsekwencje!”

Po chwili szept zanikał albo przepadał w wielkiej rzece głosów, której prądy mieszały się i wirowały, aż wreszcie wszystko plątało się ze sobą i podobnie, jak nie sposób zawrócić biegu rzeki, tak samo nie można już było odróżnić jednego słowa od drugiego.

Och, Nona pozwól mi...

„Nie” wysycha na jej ustach jak lzy.

Kochaj mnie - myśli Nona, kiedy kolejni mężczyźni dotykają jej piersi, gnioją ją i ściskają w amoku pożądania. Tańcząc, wyprowadzają ją z parkietu, wyluskują z ubrania, wiodą do łóżka, zagarniają pod siebie, ciągle stanowiąc ciemne księżycy dla jej zamkniętych oczu i niezależnie od wszystkich dzielących ich różnic, są - o dziwo - zawsze tacy sami; tacy jak ten pierwszy, który miał tajemniczy uśmiech, niski głos i na imię Joe. Joe zaprosił Nonę na kolację w restauracji - na co ledwie go było stać - zamówił ulepkowane wino z Napa Valley i bąknął, że kiedyś w muzeum widział obraz, na którym dziewczyna wyglądała dokładnie jak Nona. Mówił, że potrzebuje jej i że umrze od razu w samochodzie, jeżeli Nona nie da mu dotknąć biustu i tam, między nogami. Niech da mu się dotknąć, chociaż tylko trochę. Nie ma się czego bać. Nic się nie stanie, tylko, och!, niech mu tylko pozwoli! I pozwoliła, bo on tak bardzo tego pragnął. Ból był podniecający. Stanowił karę za przyjemność chłopca, jej własne odczucia i za chłopięce jęki. *Boże, jakaś ty wspaniała! Och, och, och, ooo...* Mała, mała dziewczynka - myślała wtedy, gdy ogrodowy smok o zębach węża wyl nad jej głową i choć rozsiewał wokół mrok, nie wydawał się już taki straszny, kiedy krzyczał

głośno: „Dobrze, Jezu, jak dobrze, lepiej niż sobie... o Chryste...

- Co jest, do cholery! — krzyczy Alan i wysuwa się z niej gwałtownie. Jego nagły odwrót sprawia, że Nona czuje się obnażona i bezbronna, a wilgoć na jej skórze lodowacieje.

— Wynocha stąd! — Alan usiłuje uderzyć Magika grzbietem dłoni, lecz rozzłoszczony kot zwinnie się wymyka; niczym akrobata przeskakuje sterczące wzniesienia kołdry i prześcieradła.

Magik skradał się, żeby zwinięty w kłębek zasnąć u boku Nony. To jego dom, jego łóżko i jego pani. Teraz siedzi na toaletce i syczy na obcego mężczyznę, który wrzeszczy:

- Ten pieprzony kot! Jezu, jak ja nienawidzę kotów! Podstępne sukinsyny!

- Daj spokój, Alan! - Nona chce go opleść ramionami, ale mężczyzna robi unik i opada na plecy. Nona obraca się i wtula w niego, a on leży zaspokojony i już obojętny. Ucieka od niej, już żyje swoim życiem, wraca do siebie nie kończącymi się wewnętrznymi korytarzami, gdy ona tymczasem wciska się w niego, chcąc wniknąć w głąb jego ciała, tak jak on wnikał w nią, ledwie sekundy temu.

Alan klepie ją od niechcienia po ramieniu, które przecina jego pierś.

- Już jako dziecko nie lubiłem kotów. Mówiłem ci o tym?

— Mówił, ale wcale nie czeka na odpowiedź. — Psy, to co innego. Wiadomo, pies to pies. Psu można zaufać. O, bracie, jeśli pies chce cię zaatakować, widzisz to gołym okiem. Ale koty? — Alan siada na łóżku.

— Gdzie jest ten zasraniec?

Magik jest na krześle przy toaletce i siedząc na koszuli Alana liże aż nadto czystą białą łapę.

- Hej ty, spierniczaj z mojego ubrania! - Magik lekceważy go, tymczasem Nona obejmuje Alana, nakłaniając do uścisku. Potrzebuje ciepła. - Wyrzuć go, Nona - mówi Alan, kiedy wreszcie opada na łóżko.

- Co?

- Wyrzuć kota. Pozbądź się go.

- Mam oddać Magika? - Ze strachu przed grożącą jej stratą oddech Nony staje się zimny jak lód. Nie, to niemożliwe, Alan

nie mówi poważnie. Za chwilę roześmieje się, mrugnie i cmoknie ją w policzek. Powie: „Nie gniewaj się, tylko tak żartowałem”.

— Znajdź kogoś, kto go weźmie. A może utop? — Wściekłość wykrzywia mu twarz. - Nie znoszę kotów!
- Nie możesz nie znosić Magika. Nie ma w nim nic, czego mógłbyś nie znosić. To mój kot. Zupełnie jakby był moim dzieckiem, moim synem, a nie moim krzesłem, stołem czy lampą.

- Nona, nie życzę sobie go widzieć, kiedy przychodzę do ciebie. - Jego głos brzmi ostro i boleśnie ją rani. Alan nigdy dotąd tak do niej nie mówił; Alan zawsze jest dobry, słodki i kochany.

- Będę go zamykać - obiecuje Nona, a siatka lęków oplata jej serce.

Naciąga prześcieradło, lecz Alan już wstaje i idzie do krzesła, jakby miał zamiar zrobić kotu krzywdę.

Szósty zmysł Magika każe mu działać błyskawicznie. Kot jednym susem trafia na toaletkę, a stamtąd kolejnym wdzięcznym skokiem na podłogę. Nie ma go już w sypialni, nim Alan dopada koszuli, by ryknąć: — Jezu, pełno kociej sierści na koszuli! Jak ja mam teraz iść do domu? - Zupełnie jakby biała sierść Magika była pasmami rudych czy blond damskich włosów, niechybną oznaką niewierności.

- Oczyszczę to szczotką, i już. Nie martw się. - Naga wyskakuje z łóżka. Jeszcze mokra od ich potu biegnie do szafy w korytarzu, by wrócić ze szczotką do ubrań. Ale on jest już prawie ubrany.

- Dokąd idziesz?

— Już późno. Od pół godziny powinienem być w domu.

— Jeszcze jest wcześnie.

— Nona, nie zaczynaj znowu.

Ma jej za złe Magika i teraz na bosaka zapinając koszulę, ujada. Mężczyzna, który się ubiera po zaspokojeniu seksualnej potrzeby. No właśnie, właśnie tak. Jest mężczyzną, który przyszedł tu, zrobił swoje, a teraz denerwuje się, bo chce już wyjść. Przyszedł, żeby się spuścić. Wstrętne określenie, jakby rzeczywiście spuszczał w nią coś - Nona czuje się winna, bo nie ma

w tym cienia miłości. A kiedy już spuści ładunek - jeszcze większa ohyda!, zupełnie jak na zdjęciach Adama - wychodzi.

- Nie, Alanie! Nie! - krzyczy i pada na jego pierś.

- Nie rób tego! - Alan reaguje ostro i ze złością, po chwili łagodnieje. W końcu obejmuje ją, ugniata pośladki. - Muszę już iść, kochanie. Przecież wiesz... Marjorie nabierze podejrzeń, jeśli nie będzie mnie za długo.

Niech sobie nabiera, niech się zamartwi na śmierć, niech sobie wypłacze oczy! Czy ja się nie martwiłam, czy nie płakałam? Właśnie, niech nerwowo przemierza pokoje, wygląda zza szpary w zasłonach, siedzi z ręką na telefonie. A kiedy usłyszy klucz Alana w drzwiach, niech jej strach zamieni się w podejrzenia. *Gdzie on się włóczył?*

Alan usiłuje ochronić koszulę przed łzami i równocześnie pocieszyć Nonę - jakby nagle był czymś więcej niż kochankiem żegnającym kobietę, do której nie ma praw. Może jest wojownikiem idącym w bój, nurkiem schodzącym w otchłań, śmiałkiem u podnóża Mount Whitney, Rainier czy Everestu. Nona widzi w nim każdego z nich osobno i wszystkich naraz, widzi w nim każdego mężczyznę, tylko nie tego, który popełniwszy cudzołóstwo, wraca do domu z twardym „Zrób coś z tym kotem!” na ustach, gdy tymczasem ona przytrzymuje mu otwarte drzwi. Leżąc skulona z pluszowym misiem pod pachą i wtulonym w jej nogi Magikiem, który odzyskał swoje terytorium, Nona układa rozmaite strategie zasypiania. Teraz wyobraża sobie, że idzie pustą plażą, nie kończącą się łachą piasku przy brzegu morza, którego ołowiane wody ciągną się aż po horyzont. Powietrze wisi nad nią nieruchomo, a morze otwiera się i zamyka bezgłośnie. I w czasie, kiedy Nona oblicza, ile kroków dzieli ją jeszcze od zapomnienia, od jej świata bez snów, Cassie i Jake kończą późną kolację. To ich druga prawdziwa randka. Kiedy odprowadzał ją po tej pierwszej, niewiarygodnie lekko - jak na tak dużego mężczyznę - dotykając jej pleców, dziękowała mu, mówiąc, że to udany wieczór. I już miała nawet powiedzieć: „Powtórzmy to jeszcze kiedyś”, ale zabrakło jej odwagi. Przed drzwiami nachylił się - chyba po to, żeby ją

Diana Silber

cmoknąć w policzek — lecz Cassie nerwowo (a może naumyślnie?) ruszyła głową i jego usta dotknęły jej warg. Usta miał bardziej miękkie, niż się spodziewała — owszem, wyobrażała je sobie wcześniej — ale zanim to w ogóle do niej dotarło i zanim mogłaby zacząć cieszyć się tym pocałunkiem, chwila pękła jak bańka i Jake zniknął.

Dzwoni następnego ranka, jeszcze przed jej wyjściem do kliniki. Telefonuje z publicznej budki i Cassie słyszy jego głos na de ulicznego ruchu. *Nie chciałem czekać cały tydzień, żeby powiedzieć, że było...* Pisk hamulców zagłusza ostatnie słowo. Wspaniale? Dobrze? Nie najgorzej? / *że chcę panią znów zobaczyć.* Nawet niedoświadczona Cassie tym razem rozumie, że dla niego zobaczyć znaczy więcej niż widzieć. „Zobaczyć”, to znaczy zabrać ją gdzieś ze sobą. Aprobata Jakea raduje ją niesłychanie i Cassie, ośmielona, zaprasza go do siebie na kolację.

Tak. No pewnie. Oczywiście. Zdaje się, że to nie słuchawkę tylko jego usta Cassie przyciska do ucha i planując już kolacyjne menu, ożywia w pamięci ten nazbyt ulotny pocałunek.

Nie przyrządzi Jakeowi zwykłej kolacji, -nie włoży na talerz dania bez polotu, jakie można zamówić w każdej zwyczajnej restauracji. Cassie zasiada nad Julią Child, Craigiem Clairbornem i zbiorem francuskich przepisów, który dostała od Mandy na ubiegłoroczną Gwiazdkę. Przerzucając strony książek, żałuje, że nie ma więcej czasu na przygotowanie potrawy, której smak tak subtelny, iż ledwie uchwytny, rozpuści się w ustach Jake'a niczym miłość. Tak, miłość. Cassie myśli o miłości przygotowując *buerre blanc* do rybnych *mousselines*, duma o niej obierając gruszki na *poires au gratin* i rozmyśla nad nią, dusząc groch. Z czułością odrywa liście od główki czerwonej sałaty.

Nie wystarczy go tylko olśnić kulinarnym kunsztem. Trzeba mu jeszcze przekazać uczucie, trzeba mu dać jakąś część siebie, żeby wprowadzić go w intymny świat zmysłów, by wchłonął narastające emocje, których Cassie nie umie wyrazić, a które w niej wzbierają, przerażające, ale i słodkie zarazem. Na ślubnej rosenthalowskiej zastawie - wyjmowanej tylko na specjalne okazje - poda mu to, na co ciągle nie może odnaleźć słów;

ofiaruje mu nie tylko zioła, przyprawy i cudowną pieczeń jagnięcą, ale też swoje serce.

Dopiero kiedy stół jest już nakryty, świece płoną, każdy półmisek stoi w najlepszym dla siebie miejscu i Jake dzwoni do frontowych drzwi, dopiero wtedy włos jej się jeży z niepokoju. Co będzie, jeśli on woli mięso z ziemniakami, dobry stek z grilla, ostro doprawione żeberka, gęsty gulasz, kurczaka upieczonego na chrupko? Już za późno. Jest Jake z butelką słodkiego wina - Cassie wypije je dzielnie, choć wino skleja jej usta. Tak naprawdę, to wcale nie czuje ani smaku wina, ani też smaku potraw, nad którymi pracowała z oddaniem Millay układającej sonety.

Przez całą kolację nie spuszcza z niego oczu ani z kęsów jedzenia, które Jake podnosi do ust; z całego serca ma nadzieję, że on naprawdę myśli to, co mówi.

- Wspaniale! - Kosztuje rybę. - Nie wiedziałem, że z pani taka świetna kucharka, o wiele lepsza niż najwięksi z szefów kuchni.

- Przesada. Cóż, zrobiłam kolację, nic takiego znów nadzwyczajnego. - Cassie zakłada pasemko włosów za ucho i odwzajemnia się pochwałą wina. Zdenerwowanie odbiera jej smak i tylko ze strachu, by nie wyjść na kompletną idiotkę, usiłuje coś w sobie wepchnąć. Sto razy wolałaby patrzeć na jedzącego Jake'a i na to, jak migotliwe okruchy światła tańczą na jego policzkach, otulając cieniem zagłębienia twarzy. Gdyby tylko mogła czuć ten smak, który on teraz czuje, i (och, czy nie pozwala sobie w myślach na zbyt wiele?) zlizać z jego warg oliwny sos do sałaty, zrobiłaby to natychmiast. Rumieni się na samo wyobrażenie; uśpione długo zmysły gwałtownie dają znać o sobie. Cassie nagle rozkwita niczym rabaty jej matki, a płomień pożądania przygina ją do ziemi niby kwiat.

Jak bardzo świadoma jest jego rąk, kwadratowych paznokci, dużych kostek w bliznach! Nie przestaje myśleć o ramionach i szerokich barkach Jake'a. Zupełnie tak, jakby już przytulał ją do siebie i przyciskał jej głowę do serca, Cassie czuje zapach świeżo wyprasowanej koszuli.

Przestań, przestań! - upomina się w duchu, cofając się w myślach o krok i obserwując kobietę przy stole, która właśnie

Diana Silber

kończy *poire au gratin*, gdy tymczasem Jake odkłada łyżkę na pusty talerzyk. Nic się po kawie nie zdarzy. Jake odchyli się na krzesło i westchnie, jak to się zwykle robi, kiedy człowiek jest pełen. Może wypiją jeszcze w salonie po filiżance i jedno z nich zasiądzie na sofie. Potem Jake podziękuje jej i wyjdzie. W czwartek, przy piwie — w mrocznej szym niż dziś świetle kuchni - napomknie coś o *mousselines* czy pieczeni z jagnięcia, może o duszonym grochu albo gruszkach. Nic się nie zdarzy...

— Zmyję naczynia — proponuje Jake.

— Nie, nie — Cassie protestuje. — Zostawię je sobie na rano. — Ale on już wstał i niesie talerze i filiżanki do zlewu. - Tak będzie sprawiedliwie. Musi być podział pracy. Pani gotowała, ja sprzątam.

Cassie wcale nie chce, żeby kolacja tak szybko zniknęła ze stołu, nie chce zobaczyć uprzątniętej kuchni, zmytych naczyń, wszystkich rzeczy schludnie złożonych i pochowanych tak, że nawet jeden ślad nie zostanie po wspólnie spędzonym wieczorze. Woląaby, żeby stół został tak jak jest - z pustą butelką po winie, z zapapranymi kieliszkami i resztkami jedzenia przyklejonymi do talerzy. Jakby to było miło zejść rano na dół i w świetle słońca wrócić do minionej nocy; usiąść przy stole i wyobrazić sobie Jake'a. Znowu usłyszeć, jak mówi: „Kręciłem się trochę po Nowym Meksyku, głównie po Taosie...” Kręciłem się. Fragmenty jego życia robią na niej wrażenie czegoś tymczasowego, jakby cały czas dopiero zaczynał, dopiero się do czegoś zabierał, przygotowywał do głównego starcia. Jak bardzo różni się od niej i od Douga, który pazurami drapał się od jednej sprawy do drugiej, do coraz większej i większej, promieniejąc ze szczęścia, kiedy jego nazwisko trafiło do gazet.

Po kilku minutach, bez jednego zbędnego ruchu Jake'a, opłukane naczynia znajdują się w zmywarce.

- Mam wprawę. Pracowałem w najróżniejszych knajpach. Ale nigdy jako kucharz. - Śmieje się. - Owszem, skleczę coś, czym nie otruję nikogo, ale moja kuchnia nie może się nawet przymierzać do wspaniałości, jakie jedliśmy przed chwilą. Gdzie się pani tego nauczyła?

Cassie wzrusza ramionami. Czy on aby zanadto się nad tym nie unosi? Może kolacja była za bardzo wyszukana?

- Z książek. Jeśli umie się czytać, umie się gotować. Taka jest prawda. - Cassie unosi dłoń. - Owszem, moja matka świetnie gotowała i piekla. Robiła ciasto cytrynowe, które się wprost rozpląwało w ustach.

- Niech mi je pani kiedyś zrobi. *Niech mi je pani kiedyś zrobi.* Następnym razem, do następnej kolacji, tylko we dwoje. Skłaniając ją do złożenia takiej obietnicy, sugeruje jakąś wspólną przyszłość.

Sprzątnął naczynia - z wyjątkiem kilku garnków, które od-makają w zlewie - i na pewno będzie się już zbierał do wyjścia, ale tymczasem pyta:

- Zostało jeszcze trochę kawy?

- Chyba tak. - Lecz kiedy Cassie przechyla cynowy dzbanek, wycieka z niego ledwie cienka strużka. - Zaraz dorobię.

- Nie warto.

- Naprawdę, zrobię świeżą. To żadna fatyga.

Oboje stoją przy stole i kiedy Cassie, nie patrząc na gościa, odwraca się do kuchenki, słyszy:

- Bez kawy mogę żyć, ale nie bez tego.

I zanim do niej dociera, co Jake ma na myśli, dzbanek z powrotem stoi na tacy, a on odwrca ją do siebie i obejmuje jej twarz stwardniałymi dłońmi. Tym razem pocałunek jest bez wątpienia zamierzony.

Wzajemne odkrywanie ust przedłuża się w nieskończoność jak letnie popołudnie, aż wreszcie pod Cassie uginają się kolana i zaplata ramiona na szyi Jake'a. Z trudem sobie radzi, gdy tymczasem on sprawia wrażenie doskonale pewnego siebie, wprawnego, kogoś, kto wie, że dobrze to robi. Naturalnie, Jake ma doświadczenie, nie to co ona, niewinna rozwódka. Ile miał kobiet? Dziesięć, dwadzieścia, a może setki? Bóg raczy wiedzieć. Cassie jest strasznie onieśmielona, czuje się gorsza, skrępowana tym, że знаła tylko Douga... A i jego zdążyła już zapomnieć. Pocałunek się kończy, lecz tylko na ułamek sekundy, bo oto drugi akt, i Jake ponownie zagarnia jej usta, a ona ostrożniutko bada wnętrze jego. Tym razem ich wargi i języki są już sobie mniej obce i Cassie naturalniej wtula się w twarde ciało Jake'a, omal nie wybuchając śmiechem. Coś sobie przypomniała. „Twarde ciała” Ewy... I w tym momencie odczuwa absolutnie

szalone pragnienie, żeby zawołać przyjaciółki; niech zobaczą, jak ona odbywa ten najzwyczajniejszy, a przy tym najradośniejszy akt. *Widzicie? Nie jestem Królową Śniegu, ja też mogę to robić. I podoba mi się.* I rzeczywiście jej się podoba. Nie może się nadziwić, że ten Jake Bez Nazwiska tak bardzo i tak cudownie smakuje, pachnie i tak cudowny jest dotyk jego ciała. W swojej męskości jest absolutnym objawieniem. Nakrywa dłonią jej pierś i drażniąc brodawkę, wysyła bezbłędne impulsy wprost w jej podbrzusze... I Cassie wie, wie, że Jake nie wyjdzie zaraz, że nie będzie pił kawy ani powiedział komplementów za *mousselines* czy pieczeń jagnięcą. Luiza, siostra Ewy, zadzwoniła z Indiany. Ostatni raz rozmawiały jakieś pół roku temu, a od ostatniej rozmowy z JoAnne

- najstarszą z siostr - minął już chyba rok. Nic nie powstrzymuje ich od częstszych kontaktów, żadne ostre słowa ani złe wspomnienia - jedynie czas i odległość. JoAnne mieszka w New Hampshire, zaledwie trzy przecznice od domu, w którym się wychowały i gdzie matka po dziś dzień siedzi w starym salonie na pluszowej kanapie i dzierga szydełkiem chodniczki dla wnucząt.

Siostry nie czują się teraz ani bliższe, ani dalsze sobie niż w czasach, kiedy mieszkały razem. Ale też niewiele mają sobie do powiedzenia; wymieniają tylko detale. Luiza i JoAnne są żonami ciągle tych samych mężów i mają po batalionie dzieci

— Ewa musi je wszystkie dobrze przeliczyć na palcach, by nie pominąć w myślach żadnej siostrzenicy ani siostrzeńca. Niemowlęce buźki dawno już zeszczuplały i zmężniały, i dzieci wykształciły własną osobowość. Najmłodsze, jedno z dzieci JoAnne, musi już chyba być w wieku licealnym - myśli Ewa, ale nie spyta Luizy, która na końcu języka ma wszystkie imiona, lata, upodobania, zamierzenia, zdobyte medale i nagrody oraz kolekcję osiągnięć każdej pociechy, gotowa od razu rozwodzić się nad ich sukcesami i porażkami. Ewa - w wiecznej defensywie wobec dzieci - nie ma najmniejszej ochoty wysłuchiwać niczego o tej następnej generacji, z którą związana jest tylko genetycznie, bo nie emocjonalnie.

Oczekiwała telefonu od Luizy albo od JoAnne, bowiem każdej jesieni siostry dzwonią z propozycją wspólnego lotu do New

Hampshire na Święto Dziękczynienia albo na Boże Narodzenie. Rodzina jak zwykle spotyka się w Laconii, do ostatniego miejsca wypełniając dom, który aż pęka w szwach od tyłu Standfordów. Ściany drżą, bukietki herbacianych róż dygoczą na tapecie, deski podłogowe skrzypią, a szyby w oknach straszą, że lada moment trzasną pod wpływem kakofonii głosów. Niewiele miejsca zostaje już dla Ewy, lecz skoro dla siostr jest kimś obcym, więc kto zauważy jej brak? Mimo to Luiza ciągle dzwoni.

„Matka się starzeje” - informuje Ewę na wypadek, gdyby siostra żyła w błędnym przekonaniu, że akurat mama, jedyne ze wszystkich stworzeń ziemskich, młodnieje z każdą chwilą, zamiast posuwać się z wiekiem, jak Pan Bóg przykazał. A ponieważ Luiza sypie mądrością ludową jak z rękawa, musi więc też dorzucić, że matka nie będzie żyć wiecznie. Ewa nie daje się sprowokować i nie odpowiada pytaniem „Kto z nas będzie?”, lecz nie może opędzić się od myśli, że wszyscy kiedyś muszą odejść w niepamięć. Skoro taki niedźwiedź Abramson mógł umrzeć, każdy może zejść z tego świata. Ale Ewa nie ma nic przeciw matce i życzy jej jak najdłuższego życia. Żadna, największa nawet, miłość nie uchroni nikogo od śmierci i nic nie zmusi Ewy, żeby wybrała się na wschód, by wsiadła w samolot, zносиła niewygody zimy w New Hampshire i klaustrofobiczne ciepłko rodzinnego spotkania.

Minęły lata od czasu, kiedy ostatni raz była w Laconii, i choć Luiza przypomina jej, że ojciec staje się coraz słabszy, Ewa nie wybierze się tam w grudniu. Ojciec i tak jej nie pozna, nawet gdy siądzie przy jego łóżku. Leży w domu opieki zupełnie bez kontaktu - na podobieństwo kawałka marchewki - gaworzy i chlipie jak dziecko; dawno przeniósł się w świat niemowlęstwa, które wymaga pieluszek i przecieranych zupek jarzynowych. Nie ma już nic do powiedzenia ani jej, ani nikomu innemu, za całą konwersację wystarczają mu teraz płacz i chrząkanie, jakie wydaje osesek przy mlecznej piersi. I chociaż Ewa nie widziała skurzonego, zwiniętego jak płód w brzuchu matki, skamlącego ojca, opisy Luizy są na tyle plastyczne, że przenoszą biedaka w kołysce wprost do salonu Ewy w Los Angeles.

Luiza, nie czekając na specjalne okazje, co jakiś czas wpada do New Hampshire. Leci sama bądź z mężem — albo z jednym z dzieci, tym, które uda jej się jakimś cudem skusić — by trzymać małą rękę ojca i zawodzić w nieutulonym żalu nad mężczyzną, który miał niegdyś metr osiemdziesiąt wzrostu, a teraz zostały zeń tylko kości obleczone skórą cieniutką jak papier. To, co stało się z jego mózgiem, dla Luizy jest czystą zbrodnią, dla Ewy zresztą także, lecz przecież przyjazd kolejnej córki na święta do New Hampshire nie ukarze winnych i niczego nie zmieni. Obie z Luizą doskonale wiedzą, że Ewa nigdy nie zada sobie trudu wysłania prezentów na Gwiazdkę; jedynie mamie, jak zawsze, wyśle czek ze słowami: „Kup sobie coś na tę okazję”. Rozmowa telefoniczna przeciąga się. Luiza jest jakaś bardziej elokwentna niż dawniej. Ewa wyciszyła telewizor i obserwuje nieme postacie gestykujące na sali sądowej, gdy tymczasem siostra mówi: — Biedny tatuś, jest w fatalnym stanie. Głowę daje, że waży najwyżej ze czterdzieści kilo, a mama żyje w przekonaniu, że go tam głodzą na śmierć. Kiedy ostatni raz byłam w domu, upiekła mu biszkopt, z którym ruszyliśmy do St. Mary's, ale te cholerne siostry nie pozwoliły mu dać. Twierdziły, że tatuś zadławi się ciastem! Tylko to sobie wyobraź! Mama zalala się łzami i powiedziała, że one mają ją za zbrodniarkę i uważają, że chce zamordować mężczyznę, z którym przeżyła pięćdziesiąt lat! Oczywiście wyłączywszy okres spędzany w St. Mary's. Mało tego! Ze niby chce go zabić jego ulubionym ciastem! Krew mi krzepnie w żyłach na myśl o tatusiu. Powinnaś go zobaczyć.

— Nie chcę — stwierdza Ewa.

— No wiesz! Jesteś bez serca! - wybucha Luiza, odzyskawszy głos.

— Nic podobnego. Chcę go pamiętać takim, jaki był; nie chcę zobaczyć skurczonego, dzieciinniałego starca. Chciałabym go zawsze widzieć, jak stoi za domem na podwórku, pali fajkę i spoglądając w niebo opowiada, że gdy dorośniemy, będziemy jeździć na inne planety tak, jak się jeździ do Concord albo do Bostonu.

— A tak, rzeczywiście! A kiedy Armstrong chodził po księżycu, tatuś nie mógł oderwać się od telewizora. Nie mógł nawet

jeść, taki był przejęty! - Na chwilę zapada cisza i, jeśli szczęście będzie Ewie sprzyjać, Luiza odda się wspomnieniom i za chwilę znajdzie się już tak daleko od St. Mary's, jak daleko jest księżyc od Laconii w stanie New Hampshire. Ale Luiza niezmordowanie ciągnie wątek. - To już ostatnie dni tatusia, Ewo. - Kracze chcąc ją sprowokować. — To nie jest tatuś. - Ewa nie daje się wmanewrować.

— Nie mów takich strasznych rzeczy! Naturalnie, że to tatuś, tyle że zmieniony. Przeszedł metamorfozę, zresztą tak jak my wszyscy.

— My wszyscy nie postradaliśmy jeszcze zmysłów i nie jesteśmy zawieszani między niebem a ziemią, czy jak to tam nazwać.

— No cóż, ja na przykład mam siwe włosy i dziesięć kilo nadwagi. Poza tym już się garbię i nic na to nie poradzę. Nie jestem już tą nastolatką, która dawniej po kolacji wystawała z tatusiem na podwórku i marzyła o niebieskich migdałach. — Luiza mówi o Ewie, bo sama, najpraktyczniej sza z siostr, mocno stąpała po ziemi. — Jak ja.

— Co będzie, jeśli okaże się, że zgubiony na schodach bucik pasuje jak ulal?

Och, ta Luiza, doprowadza ją wprost do szału i Ewa wcale nie ma ochoty z nią rozmawiać. Kiedy usłyszała w słuchawce jej głos, najpierw była zadowolona i nawet powtórzyła skargę Luizy. *Nie rozmawiamy ze sobą zbyt często.* Jednak po półgodzinnej rozmowie z siostrą aż nazbyt dobrze pamięta, że dzisiaj łączy je tylko przeszłość. Czas, niczym ostrze, rzeźbił je po swojemu, wydobywając różne kobiety z dziewcząt, którymi niegdyś były. A Luiza nadal chce wierzyć, że dawne dziewczynki gdzieś w nich jeszcze istnieją. Ewa, odwrotnie, często się zastanawia, czy gdyby kiedyś spotkała którąś z siostr w jakimś zupełnie przypadkowym miejscu, na przykład na lotnisku, albo na parkingu, to czy w ogóle by ją poznała? Może przeszłaby obok, tylko przez mgnienie oka myśląc: „Chyba skądś znam tę twarz”.

Ewa kłamie, żeby nareszcie splawić siostrę.

— Spróbuję. Tylko tyle mogę obiecać. Na rynku mieszkaniowym ciągle się coś dzieje i jestem strasznie zajęta.

- Zupełnie tak samo jak JoAnne. Ona też utyskuje, że nie ma wolnej sekundy, żeby wziąć mamę na spacer albo w niedzielę spędzić godzinkę przy tacie. - JoAnne jest panią adwokat i, zdaniem Luizy, ma nieźle przewrócone w głowie. - Można by sądzić, że jest jedyną kobietą na świecie, która ma obowiązki rodzinne i pracę zawodową. A w czasopiśmie tylko o tym się pisze na prawo i lewo. Ciągłe nam trąbią, jak to się robi.

- Luiza ukończyła uniwersytet w New Hampshire z trzecią lokatą, lecz dyplom psychologa wykorzystuje tylko do analizowania psychiki własnych dzieci. Jest urażona, że JoAnne umie spożytkować wykształcenie i zarobić pieniądze. — Ale żeby po Nowym Roku cały tydzień opalać się na Karaibach to ma czas.

Naturalnie, nawet przez myśl jej nie przejdzie, żeby oprócz Davida wziąć jeszcze ze sobą mamę. A jej ten odpoczynek bardziej by się przydał niż im. "Wiecznie przesiaduje w St. Mary's, jak tylko znajdzie kogoś, kto zechce ją tam podzucić. Odrobina słońca podziałałaby na nią jak balsam, taka jest wykończona.

Czyżby Luiza dawała Ewie do zrozumienia, że powinna zaprosić mamę do Kalifornii?

Zanim umysł taty wybrał się na ten tysiąckilometrowy spacer, oboje rodzice przylecieli kiedyś do Los Angeles i odbyli najdłuższą dziesięciodniową wizytę w dziejach ludzkości. Ewa była wtedy żoną Williama i jedynym jasnym punktem całego ich pobytu był fakt, że dom na wzgórzu miał aż cztery łazienki

- osobną dla każdego z nich. Być może już wtedy coś zaczynało szwankować w umyśle ojca, bo aż kipiał niechęcią wobec Williama i ciągle nazywał go Sonnym. Matka przeproszała Williama na osobności, tłumacząc, że Sonny był nie żyjącym już od 1950 roku kolegą taty z dzieciństwa, który kiedyś zepsuł mu rower, zbił szybę czy zrobił coś takiego, co wpakowało ojca Ewy w kłopoty. Choć z drugiej strony, o ile matka dobrze pamiętała, William w niczym nie przypominał Sonny'ego Pottera.

Ewa wtedy łatwiej dogadywała się z matką; mama zawczasu łagodziła konflikty, zdmuchując słowa, nim zdążyły przerodzić się w kłótnie - tak jakby zdmuchiwała niewidzialny pyłek z kredensu w stołowym.

Koila, uśmiechała się aż do bólu zębów i martwiła do utraty tchu. Choć ma już siedemdziesiąt

trzy lata, mama wciąż jest romantyczką. Lata temu, kiedy Ewa była żoną Jordana, po rozmowach telefonicznych Ewy z ojcem, matka wspierała ją jak mogła, mówiąc: „Miłość jest wszystkim”. Ewa stanowiła dla niej odbicie bohaterki melodramatycznych seriali telewizyjnych, a kiedy zaczęła snuć się po kalifornijskich plażach, samotna po utracie przystojnego męża - znanego rodzinie zresztą tylko z fotografii - mama bardzo to przeżywała.

Mija kolejnych dziesięć minut, zanim Ewie udaje się uwolnić od Luizy i mieć nadzieję, że nie usłyszą się przez następne pół roku. Obok kanapy, na końcu stolika, stoi elektroniczny zegar, który w czasie rozmowy siostr wyświetlał zielone cyfry. Ewie wydaje się, że to jej życie uciekło, sekunda po sekundzie... I znów czuje żal do siostry, jak wtedy, kiedy była w dziesiątej klasie i podsłuchiwała chłopaka, który mówił o Luizie: „ta ładna Standfordówna”. Znowu Luiza jej coś ukradła. Czterdzieści osiem minut.

Boli ją strata czasu, choć i tak telefon w niczym jej nie przeszkodził. Nie miała żadnych planów na wieczór prócz oglądania telewizji, przejrzenia ostatniego numeru „Vogue'a” bądź rzucenia okiem na powieść jakiegoś Latynosa, którego zdjęcie co prawda bardzo jej przypomina Abramsona, ale jego proza jest mocno przegadana. Mogłaby też zrobić porządek w szafach, gdzie na ogół wszystko leży złożone idealnie pod sznurek, lecz akurat teraz zrobił się bałagan. Mogłaby zadzwonić do Cassie czy Nony lub dziesięciu innych koleżanek i jakoś wypełnić sobie czas, zanim nadejdzie pora snu. Ale mieszkanie nagle zdaje się więzieniem. Ciągłe ma w uszach nie kończący się rodzinny bełkot, narzekania Luizy i wiszące w powietrzu, choć nie wypowiedziane zarzuty, że jest złą córką.

Robi sobie cienką whisky z wodą sodową i mijając kąt jadalny, w wyłożonej lustrami ścianie przygląda się opuszczonej i smutnej kobiecie ze świeżo utlenionymi, bladozłotymi pasemkami włosów. Nie chce pić sama. W Cicero, w Laconii jej siostry kładą się w łóżkach obok mężów, szczęśliwe jak kawki - kochane, mimo szerokich bioder i nie farbowanej siwizny.

Nie zastanawia się długo. Idzie do szafy w korytarzu po płaszcz i torebkę.

Mieszkańcy Los Angeles jadają wcześnie.

O dziesiątej sala restauracyjna ma już niewielu klientów, za to wszystkie stołki przy barze są zajęte. Ewa trzyma w garści drugiego drinka i skupia się na lekkim szumie w głowie; chce się nim cieszyć, ale nie bardzo się to udaje. Choć na prawo i lewo pełno męskiego towaru, pije solo tak, jakby piła w domu. Sama bliskość ciał nie wystarcza, by podnieść ją na duchu. Musi jeszcze wymienić kilka banałów z kimkolwiek oprócz znudzonego barmana, który rzuca parę zdań dla podtrzymania rozmowy. W gruncie rzeczy, mogłaby na kanapie oglądać „Prawo i LA.”, wznosząc toasty w stronę rozpromienionych gospodyń z reklam kawy. Już zbiera się do odejścia, kiedy do restauracji wchodzi hałaśliwa grupka trzech mężczyzn. Są w szampańskich nastrojach, w smokingach, w koszulach o rozchełstanych kołnierzykach i odpiętych muchach, zwisających smętnie jednym końcem. Tęgawy gość z tyłu, wygladzając marynarkę, wrzuca ćwierćdolarówki do szafy, która po chwili eksploduje awanturniczą muzyką Eurythmics. Gestykujące dłonie zamierają w powietrzu, głowy zbliżają się do siebie, żeby pochwycić słowa niknące w dźwiękach piosenki. Czyjeś ramię w czarnym rękawie wyciąga się nad Ewą i barman wkłada kieliszek w otwartą dłoń pokrytą ciemnym, gęstym włosiem. Ramię cofa się, znów wraca na sekundę po drugi kieliszek i jeszcze raz po trzeci. Trzej mężczyźni odnajdują swoje miejsce na niewielkiej przestrzeni przy barze — kokoszą się w wieczorowych strojach i chociaż nie są ułomkami, wypełniają sobą więcej przestrzeni, niżby to wynikało z ich wzrostu. Stoją tuż za Ewą i biorą ją w dwa ognie, wykrzykując coś do siebie nawzajem. Kiedy cichnie muzyka Eurythmics, męski głos nagle ryczy jej w ucho tak blisko, że Ewa podskakuje: — Grover to stary kutas. — Normalka.

— Jak na faceta, który ma dziesięć tysięcy...

A Phil Collins śpiewa: *I can feel it coming in the air...* Ktoś ją potrąca. Już niemal trzyma drinka przy ustach, gdy nagle drży jej ręka i krople alkoholu spryskują spódnicę.

— Ojej, przepraszam. Barman, potrzebujemy serwetki! — Okrągła, nalana twarz, okolona słomianymi włosami, zawisa

To jeszcze nie koniec

191

nad Ewą. - Pani pozwoli. - Zderzają się ze sobą, równocześnie sięgając po papierową serwetkę.

- Dziękuję. Dam sobie radę sama. *It's been a pack of lies...*

- Chciałbym chociaż postawić pani drinka, skoro tyle wylałem. - Mężczyzna wciska się obok niej, popychając kobietę na sąsiednim stolku, która teraz z obrzydzeniem spogląda na Ewę.

Co najwyżej łyżka whisky mogła się wychłapać, lecz lód w szklance już topnieje.

- Proszę bardzo - zgadza się Ewa i odwraca głowę, by spojrzeć na jego roześmianych kolegów.

Wipe that grin off your face - śpiewa Phil Collins. Dobra rada - myśli Ewa i skupia uwagę na mężczyźnie, który zamawia już whisky.

Jest prawie przystojny z tym algowatym zaczerwienieniem na dziobatych policzkach. Z zainteresowaniem wpatruje się wodnistymi oczami w Ewę i cały czas gada, a każde jego słowo podzwania *Wilkiem stepowym*. Ewa pije, uśmiecha się i ani na centymetr nie cofa nogi, gdy czuje jego udo przy swoim. Niebawem mężczyzna stawia następną szklaneczkę, za moment jeszcze jedną i alkohol szumi jej w głowie niemal tak głośno, jak rycząca muzyka.

Ewa czuje rozluźnienie mięśni, czuje, że mięśnie jej kręgosłup, a brodawki piersi ocierają się o koronkę stanika. Za chwilę powie, że musi już iść, a on, że po co, jeszcze wcześniej, i zaraz potem Ewa rzuci jakimś wyświechtanym banałem. „Jutro też jest dzień... Dziewczyny muszą się wysypiać...”

On palcem uniesie jej brodę i wyśmiejże wszystkie jej wykręty dokładnie tak jak trzeba, i już szybko dojdą do porozumienia.

I tak się właśnie dzieje. A później do niej w dwa samochody.

Gdyby ktoś miał nakręcić film, kamera najpierw objęłaby kanapę obitą beżowym lnem, ponad bladopomarańczowymi pasiastymi fotelami przesunęłaby się na chromowaną *etagere* i pedantycznie ustawione marmurowe jajko na tekowym stojaku, srebrne puzdreczko, białą muszlę o mlecznych żyłkach, perłoworóżową konchę, w której ocean ryczy wysoką falą, porcelanową figurkę Chinki, miseczkę z Acomy i wreszcie ob-

jęłaby fragment ramki z połową dużej, zafrasowanej twarzy Abramsona. Dalej oko kamery zamarłoby znacząco na stojącej na szklanym blacie stolika do kawy ultranowoczesnej ceramicznej popielniczce z dwoma niedopałkami Marlboro oraz na dwóch pustych, wysokich szklanicach, w których topnieją kostki lodu. Wreszcie obiektyw przeniósłby się szybko na lypiącą czerwonym światelkiem wieżę stereo, by w końcu omieść hall i sunąc nad beżowym dywanem, zajrzeć za półotwarte drzwi.

Gdyby była kamera i rolka filmu, i jeszcze do tego publiczność...

Nie ma nic niezwykłego ani w tej scenie, ani w skodowanej pościeli, ani w niedbale rozrzuconych ubraniach. Spodnie od smokingu, marynarka, riuszkowana biała koszula, czarne zwinięte w kulki skarpetki, czarne lakierki, żółta sukienka Ewy, zrolowane rajstopy, byle jak rzucony biustonosz i szpilki leżą na dywanie.

— Co tam robisz? — pyta Ewa zeszywniałym językiem i unosi się na poduszce.

— Szukam gumki, wiem, że na pewno gdzieś mam... — Odwrócił się od niej i Ewa obserwuje jego nagie plecy usiane wzdłuż kręgosłupa maleńkimi krostkami. Mężczyzna grzebie w portfelu — Jest! Bogu niech będą dzięki! Ostrożność nigdy nie zawadzi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Jego ciało ma kolor białego wielorybiego podbrzusza, jest całkiem nie owłosione i giętkie jak mięciutkie zagłówki. Ewie kręci się w głowie, więc kontury rozmazują się, kształty nabierają miękkości, a mężczyzna się nad nią przelewa. — No, mała, na czym to stanęliśmy?

Ugniata jej piersi, klepie ją po brzuchu; jego usta mają cierpki smak. Zaczekaj! — chce zawołać Ewa, ale jęki mężczyzny dławia jej krzyk w gardle. Nie udało się go zatrzymać, jest w środku, i już rusza się, unosząc na drżących ramionach. I kracze. Podobny krukowi, ma zapadnięte, wykrzywione usta, którymi zasysa powietrze, lykając własną namiętność. Wznosząc się, ze śmiertelną powagą na twarzy, trafia na czubek najwyższego drzewa. Na ułamek sekundy zamiera, potem krzyczy krótko i obsuwa się, ten nienasycony, krztuszący się kruk, aż wreszcie upada jak nieżywy, jak ugodzony w serce.

Drapący ból między nogami przeradza się w uczucie niewy-

gody. Ewa drga, usiłując zaszyć się głębiej w poduszki, by uciec od gorącego, kwaśnego oddechu mężczyzny, i wtedy on się cofa. Mijają raptem ze dwie, może trzy minuty i mężczyzna wzdychając, wypuszcza resztki pary. Zdejmuje kondom i zanim Ewa ma czas zaprotestować, wrzuca go do porcelanowej miseczki z pachnącymi płatkami kwiatów. — Muszę iść — oznajmia i przesunawszy się na brzeg łóżka, siada. — Bzdura. - Ewa unosi się na łokciu.

Mężczyzna zagarnia części garderoby i — równie szybko, jak przedtem je zrzucił — teraz naciąga na siebie. — Muszę już lecieć, kochana. Późno.

— Myślałam, że zostaniesz na noc — mówi Ewa żałośnie. Mężczyzna śmieje się.

— I że zaryzykuję trzecią wojnę światową, którą rozpęta moja żona? Nie da rady.

Ewa wyciąga rękę, żeby go dotknąć, ale on unika jej wzroku i ręka zawisa w powietrzu.

— Myślałam, że jesteście w separacji... - Przecież tak mówił. *Rozpadło się... odchodzę... ta dziewczka chce mnie wycykać ze wszystkiego...* No przecież sam powiedział!

— Ustalamy dopiero warunki. Nie jest łatwo. Kiedyś do tego dojdziemy. Ale nie w tej chwili. Poza tym, dlaczego miałbym się wyprowadzać i płacić za nowe mieszkanie? — Klepie się po kieszeni. - Klucze - stwierdza z miną człowieka zajętego już inną myślą. Zadowolony nachyla się, żeby zdawkowo cmoknąć Ewę we włosy. - Było wspaniale, Ewelino...

— Ewo! Na imię mam Ewa!

— Ewo. Zadzwoń do ciebie i jeszcze się spotkamy, dobra? Nie, nie wstawaj. - Gestem zatrzymuje ją w łóżku. - Sam wyjdę. - i szybciotko, jakby go kto gonił, wychodzi. Ewa słyszy cichutkie stuknięcie wejściowych drzwi. Uciekł jak złodziej, ukradkiem i na palcach, spiesząc się, żeby nie zostawić śladów. Przez chwilę, może trochę dłużej, Ewa łudzi się, że mężczyzna wróci, choć wie, że jest już w windzie, w drodze na dół. Widzi go, jak wychodzi na ulicę, idzie do samochodu, odjeżdża. I wtedy krzyczy tak głośno, że aż firanki tańczą na de ciemnego okna:

— Nie wzięłeś nawet mojego numeru!

Nona jedzie cichymi, wymarłymi ulicami i bez pomocy mapy pewnie skręca w przecznice. Pierwszy nieśmiały brzask wypelza od wschodu na niebo. Za chwilę ogniste słońce rozproszy ślady nocy i w ciemnych oknach zaczną podnosić się rolety. Już teraz ranne ptaszki zaczynają wychodzić w szlafrokach na ganki po gazetę.

W tej części Santa Monica wszystkie domy mają trawniki od ulicy, z tyłu małe ogródki, a w środku ludzi z zasadami. Przynajmniej Nona tak się ludzi. Wiele domów, sądząc po koszu do gry przybitym do drzwi garażu, rowerku za płotem, wyciętej dyni w oknie pierwszego piętra - pozostałości po święcie Halloween - hołubi w sobie dzieci.

Z koszyka na tylnym siedzeniu dobiega zdenerwowane miauczenie Magika. Kot nie lubi jazdy samochodem i płacze od chwili, gdy wyjechali z Westwood. Może myśli, że Nona wiezie go do weterynarza i poczekalni pełnej psów obwąchujących jego wiklinową klatkę? One warczą, a on syczy zza splotów wikliny. Ale tym razem Nona, o dziwo, nie uspokaja go wcale, jak to zwykle robi przy tej corocznej okazji. Nie mówi: „Cii, za godzinę będziemy już w domu”.

Nona włóczy się samochodem po ulicach - lzy przesłaniają jej wzrok — i usiłuje zagłuszyć wysokie tony skargi kota miłosnym wyznaniem Alana. Powiedział: „Kocham cię”. Nie „Lubię cię”, ani „Myślę, że się w tobie zakochałem”, czy „Jestem tobą odurzony, porażony, zafascynowany” ani też „Tracę głowę i nie wiem, co robię”. Nie usłyszała żadnej niepewności w jego „Kocham cię” wyznaniem w biały dzień przy lunchu. I tylko jednego teraz żałuje, zalewając się łzami - że jego deklaracja wplątała się w tę strasznie bolesną rozmowę o Magiku. — Nie chcę być przykry, Nona. Chcę być tylko uczciwy - mówi Alan. - Wolałabyś, żebym udawał, żebym kłamał w sprawie uczuć?

— Oczywiście, że nie — zapewnia ugodzona Nona.

— Hm, i tak nie mógłbym ci skłamać, Nona, bo... — i tu padają te najcudowniejsze słowa: - bo cię kocham. - Alan chwyta ją za rękę i Nona omal nie umiera z radości, szczęśliwa tak, że prawie zapomina oddychać. Drżąc z przejęcia, niemal nie słyszy już dalszego ciągu. — A jeśli i ty mnie kochasz...

— Wiesz, że tak. Kocham cię nieprzytomnie, jak niebo, jak gwiazdy na niebie...

— Wiem, najdroższa — gasi jej poetyckie uniesienia. — Ale jeżeli rzeczywiście tak jest, więc drobnostka, o którą proszę, nie powinna znaczyć dla ciebie tak wiele. Sprawianie mi przyjemności powinno dla ciebie być takim samym szczęściem, jakim dla mnie jest radowanie ciebie.

Nona zaczyna się śmiać, kiedy po pierwszym „kocham cię”, Alan mówi:

— Chcę, żebyś pozbyła się kota. Zrób to dla mnie.

Cały czas nalega. Nienawidzi kotów. Gdyby Nona była mniej pokornego serca, mogłaby tu powiedzieć, że jeden biały

wykastrowany kocur jest niczym w porównaniu z żoną, dziećmi i domkiem w Brentwood.

— Koty są fałszywe i podstępne - przypomina jej Alan. — W podaniach i bajkach uosabiają zło. Mogą zadusić człowieka we śnie.

— Bzdury. Magik jest moim przyjacielem — broni się Nona. Magik staje się obsesją Alana, bo prawda jest jedna – tego mierzącego ponad metr osiemdziesiąt mężczyznę, dawnego maratończyka i zarazem wioślarza reprezentacji Princeton, koty po prostu śmiertelnie przerażają. Upiera się, żeby na czas jego wizyt Nona zamykała gdzieś kota, a jeśli zdarzy się, że znajdzie sierść kota na poduszce, natychmiast oskarża Nonę o to, że specjalnie go torturuje i wcale już nie kocha.

— Przecież proszę cię o tak niewiele — stwierdza Alan któregoś wieczoru, w trakcie ubierania. - O taki drobiazg... Poza tym, jestem naprawdę łatwy w pożyciu. No i Kocham cię, pamiętasz jeszcze? - Nachyla się nad Noną, by pocałować ją suchymi od kochania wargami. - Dlaczego chcesz wszystko między nami zepsuć? — A twoja żona?

— Moja żona? Co ona ma wspólnego z tym cholernym kotem?!

Magik miauczy za drzwiami sypialni. Odwzajemnia się Alanowi równie zaciekle nienawiścią.

Nona zaczyna płakać, choć Alan nie lubi łez. Mają być razem po to, żeby im było dobrze, żeby się sobą cieszyć, żeby upajać się szczęściem. W ich związku nie ma miejsca na łzy.

— Mam już dość romansów, jestem zmęczona. Chcę wyjść za mąż. - Stało się, wreszcie powiedziała to, czego nigdy w życiu mówić nie należy i przed czym ostrzegala ją Marian. Mężczyzna prosi, kobieta tylko się zgadza. *My nie naciskamy. Jesteśmy powściągliwe, czekamy.*

— Daj spokój! Od początku mówiłem, że małżeństwo nie wchodzi w grę. - Nona płacze, a on zawiązuje krawat. - Wiem, że to wszystko jest bardzo trudne dla ciebie, nie myśl, że tego nie wiem. Ale pomyśl też o mnie. Przez to ciągle udawanie jestem równie nieszczęśliwy. Boże! I to poczucie winy! Zostawianie ciebie tu samej i powrót do Marjorie jest dla

mnie najprawdziwszą udręką. - Teraz jego oczy zamglone są łzami.

Nona szlocha. Ile razy Alan wymienia imię żony, żołądek wywraca jej się do góry nogami. „Marjorie”, w przeciwieństwie do „żony”, to prawdziwa kobieta z krwi i kości.

Alan sięga po Nonę, nadspodziewanie szeroko otwierając ramiona. Zduszony okrzyk wyrywa mu się z ust, kiedy przywierają do siebie z impetem. Alan drży i szepcze:

- Nie wiem, co mam robić! Nie mogę cię stracić! Na samą myśl, że mogłabyś z kim innym... Nie! O Boże, nie! Nie!

Tak, Alan ją kocha. Na podobieństwo Beduina szukającego oazy, Nona kręci się po Santa Monica, wiedząc, że Alanowi na niej zależy. Zaklina się przecież, że ich związek nie jest przelotnym, tanim, ukradkiem prowadzonym romansem, w którym jedno z partnerów cały czas jest zaangażowane gdzie indziej. To, co dzieli ją z Noną, nie przychodzi mu lekko, bo przecież wkłada w to całe serce. Kocha ją i dlatego seks, który ich łączy, od razu staje się przeżyciem wyższego rzędu. Kiedy ich ciała stykają się ze sobą, jest w tym przecież ładunek emocjonalny, kiedy się odrywają od siebie, czują rozdarcie duszy. A Nona uwielbia Alana wprost bałwochwalczo. I jest tak, jakby nie było przed nim innego mężczyzny. Nona staje się dziewicza, nie tknięta, czysta - jakby nikt nigdy nie wnikał w nią w szorstkim pożądaniu przy akompaniamencie klaskania spoconych ciał. Jest księżniczką zamkniętą w wieży.

Tylko Magik ich różni, chodząc cichutko na miękkich kocich łapach. Wąsy mu drgają i uśmiecha się jak kot z Cheshire, bo po kociemu wie, że Alan go nie lubi.

Któregoś wieczoru Magik cudem wymyka się z kuchni i jednym susem ląduje na ramieniu fotela, w którym Alan popija brandy. Alan krzyczy, a tymczasem alkohol ciemną plamą wylewa mu się na spodnie.

Innym razem Nona leży na kanapie, Alan nachyla się nad nią. I kiedy sięga, by rozpiąć jej bluzkę, Magik zakrada się pełznąco przy podłodze, i drapie Alana w rękę. Krwawy ślad zostaje u nasady trzech środkowych palców. Alan odwraca się gwałtownie, śmiertelnie przerażony, i ramionami na oślep mlóci powietrze. Zabiłby Magika, gdyby mu tylko wpadł w ręce.

Diana Silber

— Albo kot, albo ja!

Alan ma ściągniętą twarz - bez śladu miłości - i nie życzy sobie, żeby mu Nona przemyśla zadrapanie. Sam opatruje ranę plastrem.

— Albo kot, albo ja — powtarza lodowato.

— Mówisz od rzeczy.

— Już ci to mówiłem; to nie jest świeża sprawa. To ty się upierasz bez sensu. I nie masz racji. Chyba że bardziej zależy ci na nim niż na mnie. — Chce ją pewnie zmusić do wyboru, chce pokazać, jaki jest ważny. Białą cień Nony cichutko wciska się za szafę.

— Nie, nie wyrzucę kota — oświadcza. Oczywiście, że nie; podkreśla gestem stanowczość decyzji.

— Więc ja muszę odejść.

Nona czyta w jego oczach, jak bardzo chciałby, żeby go zatrzymała, jednak pozwala mu odejść, skoro tak zdecydował. A potem macha ręką, jakby go przepędzała, jakby to on był kotem, którego trzeba przegonić. Ma nadzieję nastraszyć go trochę urządzanym przez siebie teatrem, ale tu ją Alan zaskakuje.

Nona spodziewa się telefonu z przeprosinami, słów miłości płynących obficie po telefonicznym drucie, obietnic zawieszonych w eterze. Zadzwoni i będzie się kajał, będzie jej opowiadał, że nie wiedział, co mówi, że ani jego żona, ani też Magik nic nie znaczą, że Nona jest dla niego wszystkim. Jutro wieczorem zabierze ją na plażę do Geoffreya. Będą patrzeć, jak słońce nurza się w Pacyfiku, i sączyć *Margaritę*. Będzie ją trzymał za rękę, a gdy zapadnie zmrok, będzie jej szeptał, jak bardzo, bardzo ją kocha. Bardziej niż wczoraj, lecz jeszcze nie tak jak jutro.

Tymczasem Alan milczy.

W piątkowej gazecie Nona czyta o wielkiej gali. W Century Plaża zorganizowano dla członków palestry bal pod hasłem „Rzymskie wakacje”, a do wygrania było weneckie szkło i wycieczka do Włoch. Nona odnajduje nazwisko Alana i dowiaduje się, że jego żona należała do jednego z komitetów organizacyjnych. Nona pociera palcem w tym miejscu i tak długo trze

gazetę, aż robi w niej dziurę. Marjorie Stevens znika i już do końca dnia Nona na próżno дума o tym, w czym wystąpiła Marjorie. W czymś długim? Do samej ziemi? W szyfonie? Krepie? Jedwabiu? Tafcie? Na czarno? Czerń jest zawsze najbezpieczniejsza - ukrywa niedoskonałości figury.

Nona przejeżdża koło domu Alana w Anita; kuli się za kierownicą jak złodziej, który planuje skok i najpierw ogląda teren.

Mija jego biuro. Tylko jakie mrzonki chodzą jej po głowie, że niby co, zobaczy go, jak wychodzi z tego szklanego gmaszyska?

W niedzielę znów objeżdża jego dom, to jedną, to drugą ulicą, lecz widzi jedynie zielony trawnik, białe kolumny i czerwone drzwi.

- Jestem niezamężną kobietą z kotem - skarży się Magikowi. - Jestem samotna. Powiedz mi coś. - Magik mruczy i liże futerko. - Kot to za mało. Sam o tym wiesz, prawda? Och, Magik!

Trzyma Magika w ramionach, a on emanuje ciepłem, hipnotyzując ją zielonymi oczami. Nona zastanawia się, czy koty mają duszę.

Kiedy dzwoni do niego, Alan wręcz rozplywa się z miłości.

- Kocham cię! Jak ja cię kocham! Czy ty wiesz, jak bardzo pragnę cię zobaczyć? - Jego głos drży z napięcia, a Nona dławi się tęsknotą. Jest złakniona jego uśmiechów i dotyku. - Mam jednak drobną ułomność dotyczącą kotów i twój Magik świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Za każdym razem, jak wchodzę do twojego mieszkania, skóra na mnie cierpie. Przykro mi.

Naprawdę? Nona wie tylko, że po zakończonej rozmowie czuje się samotna i zagubiona.

Nie może zawieźć kota do schroniska. Nawet w imię miłości nie umie zdobyć się na pewne rzeczy - a z całą pewnością wręczenie Magika obcemu, nieczulemu na ból człowiekowi w szarym mundurze jest właśnie jedną z nich. Widzi cieniutką smużkę dymu unoszącą się z komina schroniska. Dym zwija się w ciepłym powietrzu jak wisielec na sznurze i Nonę ogarnia fala mdłości.

Zabiera kota do Santa Monica, przekonana, że ponieważ Magik jest takim pięknym kocurem — śnieżnobiałym szejkiem, władczy i niezależnym — mieszkańcy któregoś z mijanych domów na pewno go zechcą przygarnąć. Kupią mu wiklinowy kosz — taki sam jak ten, w którym dotąd sypiał — i nabijaną brylantowymi szkiełkami obrózkę. W kocią starość wkroczy tłusty i kontenty, codziennie wylizując śmietankę z kryształowego spodeczka.

Nona wybiera najpierw jedną ulicę, potem drugą - nie może podjąć decyzji, gdzie ma się zatrzymać; zupełnie jakby wypatrywała miejsca wypadku, jakiegoś konkretnego rogu, żeby rozbić samochód.

Nie robię nic złego — powtarza sobie w duchu. Nawet się nie ocieram o nic, co Cassie nazwałaby złym uczynkiem. Choć przecież nikt jej nie zaaresztuje, nawet nie wlepi mandatu, cały czas czuje niepokój, który kłębem waty dusi ją w gardle — niepokój rabusia jedną nogą już za parapetem okna albo sklepowego złodziejaszka, smykającego się między stanowiskami kas. Samochód przesiąkł zapachem winy i żaden prysznic - żeby nie wiem jak długi - i żaden sen - Bóg wie jak głęboki - nie uwolnią Nony od niego, bo co jakiś czas jej skóra będzie nim parowała na nowo.

Czuje pulsujący ból w prawej skroni, który promieniuje aż na szczękę. Tej dłużej się w nieskończoność nocy nie zmrużyła oka nawet na sekundę, chociaż leżała prawie do piątej, nasłuchując cichego tykania zegarka tak, jakby słuchała drżącego oddechu niemowlęcia. Od chwili, kiedy podjęła tę ohydłą decyzję, leżała wpatrując się tępo w ciemność.

Nie muszę - myślała i myśli, i naturalnie nic jej do tego nie zobowiązuje oprócz... miłości Alana.

Magik ciągle miauczy, choć Nona ze wszystkich sił stara się tego nie słyszeć. On już ją potępia, mimo że ciągle jeszcze siedzi w koszyku, w samochodzie. Co to będzie dla Magika za wolność wyznaczona serpentynami ulic, rządzonymi metalowymi słupami latarni? Przynajmniej tyle może dla niego zrobić, żeby go wywieźć z dzikiej krainy kojotów, daleko od kanionów, gdzie czyhają drapieżcy. Niedaleko stąd na północ kojoty - poruszające się cicho i często mylone z psami - na poran-

nych przechadzkach suną przez miasto śmiało niczym legalni rezydenci. Grzebią w nie domkniętych śmietnikach i polują na wszelką małą zwierzynę, która hasa po ulicy.

Tu Magik będzie bezpieczny i może sobie kroczyć po chodnikach przy piętrowych domkach i wokół Mediterranean.

Sięgając do tyłu, Nona wyciąga wiklinowy skobelek i unosi pokrywę zamykanego koszyka. Magik natychmiast wystrzeliwuje w górę - niby diabełek z pudełka - i pręży jedwabisty grzbiet.

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się kochany - uspokaja kota, który leciutko, bez wysiłku melduje się w jej ramionach, przytulając głowę do brody Nony. - Będiesz sobie mieszkał w większym domu i będziesz się bawił z dziećmi. Będziesz wychodził na dwór, zamiast tylko wyglądać przez okno. Fajnie będzie, prawda? - Płacze, kiedy Magik mości się na jej kolanach. On nie wie, co to zdrada, i myśli - jeśli koty w ogóle myślą - ocierając się o rękę Nony i dopraszając się, by go podrapała za uchem, że ta dziwna przejażdżka jest jakimś ludzkim fiu-bździu i w ogóle go nie dotyczy. On przecież nic nie knuje. Choć strzepuje łzy Nony ze swych wąsów, jej dotyk jest mu nadal bliski. Co też taki kot może wiedzieć o bólu, co może zrozumieć z szeptanych zaklęć Nony?

Zanim jednak Magik zdąży zwinąć się w kłębek i zapaść w płytki koci sen, Nona otwiera drzwi samochodu. Unosi Magika. Zawieszony w powietrzu, nie dotykając jeszcze łapami krawężnika, musi już podejrzewać, co go za chwilę czeka, bo głośno miauczy, wykręca w korkociąg giętkie kocie ciało i oszłomiony wpatruje się w Nonę.

Stąpienie po trawie jest całkiem nowym przeżyciem, ziemia pod poduszkami łap stanowi obcy teren i kot robi ruch, jakby na powrót chciał wskoczyć do samochodu. Tyle że nie ma już do czego.

Nona odjechała, nie oglądając się za siebie ani razu.

To najdziwniejsza rzecz, o jakiej słyszałam. Nie żebym w ogóle znalazła się na kotach, a jeśli kiedykolwiek coś na ich temat wiedziałam, i tak już nic nie pamiętam - mówi Ewa. - Żeby tak po prostu wyrwać ci się z ramion, kiedy go niosłaś

do samochodu! I uciec? Przecież to domowe kocisko! Ale dlaczego nie trzymałaś go w tym zamkniętym koszyku? — Teraz to już bez znaczenia — przerywa Ewie Cassie. — Ważne jest tylko to, że Magik uciekł, a Nona jest nieszczęśliwa. Nona osusza łzy serwetką. Takie uzewnętrznianie uczuć w publicznym miejscu wprawia Ewę w zakłopotanie, ale jakoś nie może oderwać się od tematu.

— Dlaczego nie zamknęłaś go w tej wiklinowej klatce, zanim wyszłaś od weterynarza? Dlaczego postanowiłaś z tym czekać, aż dojdiesz do samochodu? Ewa wyczuwa coś nienormalnego w opowieści przyjaciółki, jednak nie umie tego nazwać. Nona chodzi czasem z głową w chmurach, lecz jej uczucia do kota są przecież autentyczne. Powinna była uważać. — Nie pomyślałam jakoś, ot co. — Nona zaczyna kaszleć i Cassie podaje jej szklankę wody. — Rozlepiłaś ogłoszenia w okolicy na wypadek, gdyby ktoś go znalazł? - pyta Cassie. Nona spogląda na nią znad brzegu szklanki oczyma tak wielkimi jak oczy francuskiego gawrosza z pamiątkowych obrazków. — I oczywiście, mówiłaś weterynarzowi? A schronisko? Sprawdzałaś w schronisku? Możesz jeszcze spróbować przez gazetę. Napisz, że dasz nagrodę. — Pieniądze nieźle ludzi podkręcają - przytakuje Ewa.

Ból Nony jest wprost przeogromny. Ewa macha na kelnera i zamawia jej podwójną szkocką z wodą sodową. Nona musi się czymś pokrzepić — wszystkie trzy muszą — żeby przetrwać kolację, bo tego wieczoru nad stołem będzie się unosił cień kota.

— Znajdziesz go. — Cassie utwierdza Nonę w tym, co zdaniem Ewy jest wrogą uludą. Nie ma żadnej gwarancji, że kot się kiedykolwiek znajdzie.

Nona kręci głową.

— Nie, on już zniknął na zawsze. Całe życie tak było. Jak już ktoś mnie zostawia, rozmywa się bez śladu. Puffl I znika w obłoku dymu. — Trzepocze dłońmi. — Zaszywa się gdzieś na końcu świata albo umiera. Wydaje ci się, że wróci, że jeszcze się namyśli, ale jest już po wszystkim. Tak właśnie było z Simonem. Cassie i Ewa wymieniają znaczące spojrzenia. Simon?

- Jaki znowu Simon? - dziwi się Cassie. - Myślałam, że to Alan.

Nona łapczywie pije whisky i chyba ta druga szklaneczka niekoniecznie była najlepszym pomysłem, choć zapewne jeszcze nie tak druzgoczącym, jak trzecia czy czwarta, którą Nona najwyraźniej zamierza zamówić. Stwarza wrażenie osoby zdecydowanej skutecznie zalewać robaka.

- Alan jest teraz. Kiedyś był Simon. Ewa prycha.

- Oooo, kiedyś. Takich „kiedysiów” jest wielu. Najprawdopodobniej mogłybyśmy zapelnąć nimi tę salę.

Nie, Cassie, ty nie. Tylko Nona i ja. A który to z nich nazywał się Simon?

- Gdybym wyszła za Simona, Magik nie zginąłby wcale. Miałabym swojego Magika i w ogóle nie siedziałabym tutaj z wami... - Gdyby babcia miała wąsy... - przerywa jej Ewa.

- Mieliśmy zamieszkać w Newton. Nie od razu, rzecz jasna, tylko jakbyśmy już mieli dzieci. Simon chciał mieć troje. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Zrobił nawet projekt domu, który chciał wybudować. Dziecięce pokoje miały wychodzić na wschód. Simon był architektem.

- Nie wiedziałam, że byłaś zaręczona - mówi Cassie. Kostki lodu dzwonią w szklance Nony. Skończyła drinka i unosi szklaneczkę wysoko, by zwrócić na siebie uwagę kelnera.

- Jeszcze jedną - zamawia, a uśmiech gaśnie jej na ustach.

- Za szybko pijesz — zauważa Cassie. — Zamówimy ci coś do jedzenia.

- Nie chcę jeść. - Twarz Nony twardnieje w masce uporu.

— Chcę się jeszcze napić.

- Wypiłaś już dwa drinki.

- A co to jest dwa? Kropelka, dwie krople. Robi mi się niedobrze na myśl o Sim... nie, nie Simonie, na myśl o Magiku. Mój biedny kociak, zupełnie sam na świecie. - Chwyta Cassie za rękę i pyta: - Jacyś ludzie opiekują się nim, ktoś go pokocha, prawda?

- Oczywiście, że tak. I dadzą ogłoszenie do prasy, będą dzwonić po schroniskach, weterynarzach. Zobaczysz, Magik na pewno się znajdzie.

Diana Silber

- Nie znajdzie się. Rozmył się w de... Tak, jak to się dzieje na filmach.
 - Chciałabym usłyszeć coś o Simonie — mówi Ewa, po-dzwaniając lodem o brzegi szklaneczki.
 - To smutne. Smutna jest ta historia moja i Simona. -W ochrowym świede sali restauracyjnej Nonę otacza jakiś blask.
 - Dobra jest. Będziemy płakać - stwierdza Ewa.
- Kelner przynosi Nonie drinka, a Cassie prosi go o kartę. Za chwilę coś wybiorą.
- Kurczak może być interesujący - zwraca się do dziewczyn, ale Nona i Ewa w nosie mają teraz jedzenie.
- A oto opowieść Nony...
- ..Jak to jej ojciec nie wiedział nic o Simonie i nawet do głowy mu nie przyszło, że Anderson, z którym załatwiał interesy, ma syna imieniem Simon. Gdyby wiedział, być może nigdy nie zabrałby Nony ze sobą na to bożonarodzeniowe przyjęcie. Zapewne nie rozważył wszystkich możliwości - niekoniecznie związanych akurat z Simonem - choć przecież nie przestawał Nony ostrzegać i wiecznie podsuwał jej zdjęcia, które krzyczały: „Strzeż się chłopaków!” Marion natomiast; owszem, poświęcała tej sprawie uwagę i od czasu, gdy Nona zaczęła nosić stanik, myślała o wydaniu jej za mąż w ogrodzie za domem pod wielkim namiotem, przy dźwiękach orkiestry, szampanie lejącym się strumieniami i w sukni, której tren druhny niosłyby, stąpając po jedwabnym białym chodniku, co leżało na trawniku niczym Droga Mleczna. A zatem, kiedy Simon pojawił się na scenie, Marian przyjrzała mu się zimno, taksująco i wykrzyknęła: „Jest boski! Nie przegap go! Mężczyźni jemu podobni nie rosną jak grzyby po deszczu!” I Nona nie przegapiła go, bo Simon był, i może nadal jest, po prostu boski! Miał zabójcze złote kędziory i firanę rzes - długą i gęstą jak u dziewczyny. Jego twarz przypominała obrazy Botticellego, do tego pachniał świeżym chlebem. Nona nie знаła dotąd mężczyzny, który by pachniał jak Simon - nad innymi unosiła się albo zbyt słodka woń płynu po goleniu, albo też kwaśny odór drinków wypitych poprzedniego wieczora. Od samego początku Simon odnosił się do niej z ogromną

To jeszcze nie koniec

205

delikatnością - ba! - nawet z rewerencją. Drżał, by nie rozpadła się na kawałeczki, i tak się bał, że kiedy obejmował jej rękę, między jego palcami a nadgarstkiem Nony zostawało zawsze tyle miejsca, że można by tam jeszcze zaparkować samochód.

A jednak Adam podejrzewał go o najgorsze. Martwił się, że Simon okaże się wredny, brutalny, niewierny. *Mężczyźni obojętniej po ślubie. Oddają się pracy. Zaczynają szufladkować swoje sprawy - tu jest miejsce na to, a tu na tamto. A kiedy zwiędnie już kwiat pomarańczy i zaschnie w jakiejś książce, czy Simon będzie chciał jeszcze o ciebie dbać? Będzie myślał o sobie, a nie o twoim szczęściu.* Nie będzie myślał o jej szczęściu jak ojciec - to właśnie Adam chciał powiedzieć. „Będziesz dla niego lalką” - ubolewał na zapas, jakby właśnie dla niego Nona była czymś innym.

Matka parowała ciosy lodowatym tonem. *Nigdy nie traktowałeś mnie jak porcelanowej figurki, dlaczego więc krytykujesz Simona za coś, co się przecież w ogóle nie zdarzyło i może nigdy nie zdarzyć? Zresztą, żebyś nie wiem jak kręcił nosem, i tak nie wstrzymasz tego ślubu, Adamie.* W końcu Adam wzruszył ramionami i nabrał wody w usta. Choć za nic w świecie nie chciał Nony oddać, byłoby to najpiękniejsze wesele, bo talent Marian objawiał się właśnie przy urządzaniu przyjęć. W odpowiedzi na zaproszenia dwustu ludzi zapowiedziało swój przyjazd. Ale to wszystko miało miejsce jeszcze przed Świętem Niepodległości, kiedy wszyscy przylecieli do Martha's Vineyard, na przylądek, gdzie stał dom Andersonów, szary i sfatygowany wiatrem - drewniany żab Adantyku.

W głąb oceanu ziemia wypluwała język o stromych skalistych brzegach, porośnięty ostrą trawą. Dom miał spadziste dachy - na najwyższym z nich urządzono idealnie kwadratowy taras, który obrósł wspartymi na filarach przybudówkami i w ciągu ostatnich dwustu lat nieraz dostał cięgi od morskiej soli i wiatru. Czas nie oszczędził drewnianych okapów - przybrały kolor szarych liszajów - a szyby od strony oceanu, od drobinek wody niesionych porywami wiatru, świat oglądały przez mgłę. Wszędzie, gdzie się nie obrócić, były jakieś okna, zapraszające do środka całą przyrodę, i Nona nie mogła wygrzebać z pamięci takiego pomieszczenia, które nie byłoby obrośnięte okiennymi laskami, parapetami i zalane światłem.

Andersonowie robili wrażenie ludzi wykutych z litego kamienia - twardzi mieszkańcy Nowej Anglii, których historia oraz żelazna moralność zahartowały na wszelkie grymasy pogody. Zarówno Simon, jak i jego ojciec dorównywali wzrostem Adamowi, lecz byli bardziej kościści. Starego Andersona charakteryzowała żyłastość kolonialnego żeglarza i, jak twierdził Adam, czas tak samo miał się obejść z Simonem. Cherubinowa uroda musi z czasem wypłowić, a w jej miejsce nastanie twarz surowo rzeźbiona w kości słoniowej, z roku na rok coraz bardziej polerowanej.

Nawet jeśli Andersonowie należeli do ludzi ostrych zim, tamtego lata rozkwitali słonecznymi uśmiechami i radosnym śmiechem. Marian rozkoszowała się rodowodem Andersonów, jakby małżeństwo Nony i ją miało odmienić. Lecz Adam szepnął: „Żeni się z tobą dla moich pieniędzy” i wsączył jad w ucho córki - uważał swój majątek za magiczny pył, a o Calebie mawiał, że umie łapać wiatr w żagle i dobrze liczyć forszę. W tamten weekend urządzili sobie piknik na plaży, na którym piekli krewetki, i drugie śniadanie na wychodzącym na ocean ganku. Pływali na keczu Simona, opalali się na skałkach i nawet się trochę kąpali w lodowatej wodzie Atlantyku. Simon nowym półmasztowcem woził gości grupkami do Edgartown. Podczas spaceru wąskimi uliczkami miasteczka kupił Nonie rybacki sweter i ręcznie rzeźbionego pingwina. Tymczasem ich ojcowie rozmawiali o interesach, matki zaś o zestawieniach kolorów. Erie, kolega Simona z akademickiego pokoju w Harvardzie, zachowywał się nader dwornie, ofiarowując Nonie róże prosto z kwiaciarni i prowokując ją do uśmiechów głupstewkami w rodzaju prażonej kukurydzy, cukrowej waty i pączków, choć z drugiej strony nie przestawał utyskiwać, że traci najlepszego przyjaciela. „Żegnajcie stare, dobre czasy. Małżeństwo to poważna sprawa” - tak mówił Erie, obejmując ramieniem barki Simona. Sam - jeśli w ogóle - nie miał zamiaru się żenić jeszcze długie lata. Nona była zdania, że Erie jest przemiły, Marian podziwiała go za urodę - był niemal bliźniaczo podobny do Simona — natomiast Adam nazwał go jadowitym wężem.

- Mam po prostu sceptyczny stosunek do ludzkiego gatun-

ku - odparł Adam, kiedy jego żona oskarżyła go o wrogie nastawienie do życzliwych ludzi.

- I masz za złe, że Nona jest szczęśliwa - dodała.

- Nie bądź durna - odrzekł. - Po prostu nie uważam, żeby ten Simon był takim ósmym cudem świata.

Nonę, która z radości chciałaby szybować w powietrzu, mroziła nieco rezerwa i niepokoję Adama. Jakże to małżeństwo będzie funkcjonować, skoro jej ojciec tak pogardliwie się o nim wyraża? Co z tego, że ona upatruje w tym związku. tylko samych korzyści i bardzo kocha Simona, jedynego chłopca - który mimo ich narzeczeństwa - nie wciągnął jej do łóżka? Skąd jednak miał wiedzieć, że mógłby ją mieć i przed ślubem, gdyby tylko bąknął, że jej potrzebuje, i ładnie ją poprosił?

Na uroczysty wieczór w Święto Niepodległości Andersonowie zaplanowali bankiet z czteroosobową orkiestrą i tańcami. O dziesiątej na plaży i na łódce przycumowanej za skarpą skalnego brzegu miały wystrzelić fajerwerki. Wielka feta przygotowana została w intencji prezentacji - oficjalnego przedstawienia Nony - była jakby publicznym oświadczeniem i oczekiwaną ceremonią. Andersonowie sprosili wszystkich znanych sobie mieszkańców Vineyard i znajomych z całej Nowej Anglii. Nie pominęli nikogo, a goście zaproszeni zostali z całymi rodzinami, w tym również z dziecięcym drobiazgiem.

Marian zabrała Nonę do domu mody w Jordan Marsh, by tam kupić najodpowiedniejszą sukienkę - naturalnie nie białą, ale bladożółtą ze szlachetnej bawełny, obcisłą w talii i odsłaniającą ramiona, w dość staroświeckim stylu porcelanowej pastereczki, tyle że krótką. Nona w tej żółtej sukience wyglądała jak „z najpiękniejszego obrazka”. Simon wzdychał i mówił:

- Jak ja cię Kocham! Nie mogę się już doczekać, kiedy będziesz moja!

W trakcie wolnych tańców przytulał ją do nabrzmiałego namiętnością podbrzusza. Patrzył jej prosto w oczy wygłodniałym wzrokiem.

- Skonam marnie - jęczał, a Nona, która już nieraz to słyszała, doceniała potęgę jego tęsknoty.

Stała akurat na górze przed lustrem, kiedy orkiestra przestała grać i goście wylegli na taras i trawniki.

Ludzkie głosy drżącą

niecierpliwością odcinały się od szumu oceanu. Ogniki podniecenia strzelały w lipcową noc i nagle w feerii kolorowych świateł, na tle ciemnego nieba, ukazały się sypiące skrami, wirujące koła. Pisk rozradowanej dzieciarni wzbił się tumanem w górę, a mimo to Nona usłyszała wołanie: „Nona, Nona...”

Wybiegła na poszukiwanie Simona i właśnie dlatego osiemnaście lat później, w wynaturzonym świecie Los Angeles, mogła opowiadać dziewczynom tę swoją historię. Odnalazła Simona, odnalazła ich tak blisko siebie, że nawet szpilki nie dałoby się wcisnąć między ich ciała. - Zobaczyłam Simona z Erikiem - tłumaczy Nona cierpliwie przyjaciółkom zastygłym nad talerzami misternie ułożonego i nie tkniętego jedzenia.

- Jak go zobaczyłaś?

- Po tym już nie mogliśmy się pobrać. Ewa kopie Cassie pod stołem.

- O Boże, pewnie, że nie!

- Nie pomyliłaś się?

- Ależ, Cassie, na pewno się nie pomyliła! Są takie sprawy, w których trudno o pomyłkę. Miłość homoseksualistów... A niech to cholera!

- Zostawił mnie. Nie mógł zrobić nic innego. Tak mi to przedstawił i ja go rozumiałam.

- Och, ty słodka kretyńko! Ona rozumiała! O Boże, już cię prawie słyszę jak mówisz, że to wszystko przez ciebie! A jemu w to graj i dalej obwiniać ciebie za to, że nie umiałaś dać mu satysfakcji! Może nie, co? - Ewa wyrzuca to z siebie spiesznie, splukując winem niesmak z ust. - Ale oni przecież musieli to robić już wcześniej, jeszcze przed czwartym lipca! Nie zaczęli przy akompaniamencie fajerwerków. Hop! Hop! Chodź, obciągnij mi fiuta! - Ewa, zamknij się! - Cassie trąca ramię przyjaciółki.

- Ty masz umysł, serce i duszę wiecznej dziewicy, Cassie. Jak na kobietę-lekarkę jesteś chyba największą chodzącą niewinnością tego świata. Faceci obciągają sobie, w każdym razie tacy, którzy są z tego gatunku.

- Czy musisz być aż tak obrazowa? Wiem, co homoseksualiści robią z sobą, więc proszę przestań traktować mnie jak idiotkę.

To jeszcze nie koniec

209

Zaczynają się sprzeczać, szczęśliwe, że mogą skoczyć sobie do oczu, uciekając od smutku Nony, którego żadna z nich nie może zmienić, naprawić ani nawet zmniejszyć, choćby odrobinę. Pedał, który miał powieść ją do ołtarza dla pieniędzy jej ojca, pasuje do Nony jak ulał. Homoseksualiści, żonaci i ci, co nie chcą się angażować — to właśnie mężczyźni Nony, tacy mężczyźni, którzy nie mogą spełnić jej oczekiwań ani dać szczęścia. Nona jest — a w każdym razie w takich chwilach sprawia wrażenie — skazanym na wieki Syzyfem miłości.

Nona popija szkocką - głucha na głosy Ewy i Cassie - wsluchuje się w siebie, w przed chwilą opowiedzianą historię, i wspomina, jak to było, kiedy ją Simon opuścił. Zupełnie tak samo jak teraz, kiedy zabrakło Magika.

Cassie miała nawet zamiar opowiedzieć dziewczynom o Jake'u, ale to Nona tego wieczoru znalazła się w centrum uwagi. Najpierw rozdierała szaty nad zaginionym Magikiem, a potem wystąpiła z opowieścią o Simonie. „Gotowy scenariusz do filmu” — powiedziała później Ewa do Cassie w toalecie. *Tak nieprawdopodobne jak coś, co się ogląda na ekranie!* Cassie nie miała zatem okazji oznajmić: „Jestem szczęśliwa w szatańskim zalubieniu — to termin Mandy — i unoszę się, płynę w przestworzach przez obłoki uczuć i pragnienia; szybuję w stronę miłości”. O nie, tylko nie miłości — myśli Cassie, zupełnie jakby miłość była zakażeniem bakteryjnym.

Cassie wyszła na spotkanie z przyjaciółkami na wpół przekonana, że Jake nie jest przygodą jednej nocy, nie jest amantem, który rozmyje się bez słowa, mężczyzną, który przeleciał ją i nawet się nie zatrzymał.

Nigdy nie wdała się w jednonocne przygody i czuje się zobowiązana praktykować w życiu to, o czym trąbi pacjentkom szukającym u niej pomocy w klinice: „Nie traktuj seksu lekko. Przez seks można stracić nie tylko głowę, ale nawet i życie”. A tymczasem sama weszła do łóżka z mężczyzną, z którym ma mglistą nadzieję stworzyć jakiś związek. A teraz spotyka się z przyjaciółkami, żeby się do tego przyznać.

„Przyznać” jest chyba zbyt mocnym słowem. „Żeby się tym podzielić” brzmiałoby właściwiej. „Przyznać” przywołuje na myśl jakiś zły uczynek, winę, a jednak Cassie tak bardzo nie umie mieć sekretów, że dzwoni do Ewy z kliniki, z postanowieniem opowiedzenia jej o wszystkim przez telefon.

Zaczęłam chodzić z facetem, który bardzo mi się podoba i z którym byłam już w łóżku.

O Boże, czy naprawdę musi w ogóle się z tego zwierzać i przekonywać Ewę, podkreślać, że taka jest normalna, że aż uprawia seks po tym długim okresie samotności i posuchy, kiedy miała wrażenie że wszystkie jej kobiece uczucia rozsypały się jak ziarenka piasku? Kiedy to zmienił się obowiązujący model zachowań: od ukrywania pragnień seksualnych — od udawania, że kobiety nigdy nie zaspokajają swych potrzeb, choćby po ciemku własną ręką, nie mówiąc już o tym, co dzieje się w zaparkowanych samochodach — aż do przechwałek? Cassie pamięta czasy, gdy słowa „orgazm” nie wymawiano nawet szeptem, a „dochodzić” znaczyło tylko trafić w określone miejsce w przestrzeni bądź wyciągać wnioski. Pamięta czasy, kiedy czasowniki określające skądinąd codzienne czynności wywoływały rumieniec na dziewczęcych liczkach. *Zrobić to. Zrobiła to.* Tylko dziwki, kurwy, zepsute dziewczyny mówiły takie rzeczy i dlatego szeptano o nich po kątach i nie przyjmowano ich w towarzystwie. Przyzwoite dziewczęta mocno zaciskały nogi, zapinały bluzki pod szyję, opędzały się od macających rąk i gorących języków. Nigdy nie poddawały się bez walki. A jeśli miały takie pragnienia i pozwalały na „świństwa”, milczały

Diana Silber

później jak grób - były tajemnicze i dyskretne. Nie mogły się niczym zdradzić, najbardziej bowiem ze wszystkiego zdołało je dobre imię; tego właśnie uczyły je matki. Dziś natomiast, jeśli kobieta nie chce pójść do łóżka czy też nie umie tego zrobić i wychodzi z mężczyzną tylko na kolację albo tylko do kina, natychmiast staje się dziwaczką, której należy współczuć.

Na biurku mruga telefon, ale Ewy nie ma w biurze. Cassie odkłada słuchawkę i widzi stojącą w drzwiach Barbarę w czarnej wieczorowej sukni z perłami na szyi.

- Co się stało?

- Piekielna noc. Mam pacjentkę z silnym zatruciem ciążowym i przesiedziałam w szpitalu chyba całą wieczność. - Zapala papierosa, a to widomy znak wykończenia. Barbara pali tylko wtedy, gdy, jak to sama nazywa, osiąga kres wytrzymałości ludzkiej. - Zdażyłaś już wyjść, kiedy koło szóstej weszła tu, a, mówiąc precyzyjniej, ledwo się wtoczyła w towarzystwie rozhisteryzowanej teściowej. Jest w siódmym miesiącu. Kostki u nóg ma opuchnięte jak balony i ciśnienie takie, że powinna już orbitować. Cholera, miała wszystkie objawy: zawroty głowy, zaburzenia wzroku i ból podbrzusza. Zharowałam się jak górnik, zanim się ustabilizowała. Barbara przesuwając ręką po ukrytym pod czarnym jedwabiem biodrze.

- Mo miał właśnie jeden z tych swoich dobroczynnych wieczorków, więc wskoczyłam w mundurek i hajda! Ale tuż po grapefrucie wywołali mnie do telefomu. Dziewczyna wpadła w drgawki. *C'est la guerre!* A zatem Mo został w Century City i słuchał przemówień faciów w czarnych krawatach, a ja spędziłam długą noc walcząc z naturą.

- Jak ona teraz?

- Cały czas siedzi na bombie, ale ma się na pewno lepiej niż Mo, który jest całkiem ugotowany. — Wzdycha. Wszyscy dobrze wiedzą, jak bardzo mąż Barbary nie znosi jej lekarskiej praktyki, tego czasu - jego zdaniem - skradzionego z ich małżeństwa, jej zaangażowania w sprawy pacjentek i klinikę Magdaleny. Potrzebuje Barbary, choć ona ciągle upiera się, że z pewnością mniej, niż potrzebują jej chore i cierpiące kobiety, które traktuje z nieograniczonym oddaniem, grożącym rozwo-

dem Mo. „A niech tam” - mówi Barbara. „Najpierw przysięgałam Hipokratesowi, a dopiero później składałam śluby przy ołtarzu.”

- Mo przeżyje to jakoś.

- O tak, do czasu, a wtedy... - Uśmiecha się. - Dostanę odpowiednie zabezpieczenie finansowe i załatamy najpilniejsze dziury Magdalene.

Cassie nie traktuje tego poważnie, bo podejrzewa, że w głębi serca Barbara kocha Mo i właśnie jego uważa za ten najbardziej stabilny element, na którym może się oprzeć w życiu pełnym bólu, choroby i śmierci.

Dzwoni telefon. To Jake. Cassie oblewa się rumieńcem i okręca na swym obrotowym krześle, z nadzieją, że Barbara wyjdzie. Ale koleżanka z ciekawością sroki siedzi i czeka, gdy tymczasem Cassie, muskając słuchawkę wargami, mówi, tak, może umówić się na kolację i tak, zgoda, niech on ją przyrządzi w jej kuchni. Barbara zdusiła papierosa w doniczce z nakrapianą diffenbachią i zasiadła na krześle pacjentek, po drugiej stronie biurka. Nawet po takiej nocy wygląda w czarnej koktajlowej sukience jak najwyższej klasy modelka, gotowa miękkim ruchem pantery runąć do przodu niczym dzikie zwierzę, którego akurat jest żywym zaprzeczeniem.

- To nic ważnego - tłumaczy się Cassie. - To tylko... Tylko co? Nie wymyśliła sobie jeszcze nazwy.

„Chłopak” jest słowem zarezerwowanym dla nastolatek. „Kochanek” brzmi ryzykownie. Czy zna już Jake'a na tyle, żeby go nazwać przyjacielem?

- Miłość i medycyna kiepsko idą w parze, Cassie. A małżeństwo... Spójrz tylko na mnie i biednego Mo.

Zawsze, ilekroć on chce polecieć na Maui, żeby odpocząć w słońcu, ja mam w sam raz rodzącą pacjentkę!

- Śmieje się, lecz jej fiołkowe oczy ostrzegają.

Barbara zakłada nogę na nogę i czeka, aż koleżanka zacznie po dziewczęcemu paplać o mężczyźnie, który dzwonił przed chwilą. Cassie jednak wykrzykuje tylko:

- Małżeństwo! No nie, Barbaro, to raptem facet, z którym spotykam się od czasu do czasu. Nic więcej.

- Na myśl o tym facecie dostajesz przedorgazmowych wy-

pieków — stwierdza Barbara, a Cassie jeszcze bardziej purpurowieje.

Lekarki patrzają na siebie, aż wreszcie Cassie, skrępowana jak panienczka, która przychodzi po środki antykoncepcyjne, chwyta za jakieś kartki leżące w drucianym koszyku na biurku.

— Mam straszne zaległości w papierkowej robocie, a ty?

- Dobra nasza! - Barbara wstaje z niemożliwym wdziękiem.

- Ale pamiętaj, że mężczyźni to tylko dygresje obok głównego tematu. - Zatrzymuje się w drzwiach (Cassie uważa ją, jak Jenę, za Joannę d'Arc medycyny) i odwraca się, żeby rzucić:

- Nigdy do głowy mi nie przyszło, że możesz lubić te rzeczy.

- Wychodzi jakby nieco rozczarowana, a Cassie ma wrażenie, że sprawiła jej wielki zawód.

Cassie spóźniła się z telefonem tylko kilka minut. Ewa oprowadza teraz parę po „swoim” domu. Ma kilka domów na liście sprzedaży, ale właśnie o tej posesji Irańczyka, za siedem milionów, myśli jako o swojej.

Nie, żeby w ogóle urodził jej się w głowie pomysł, by kiedykolwiek zamieszkać w ogromnej rezydencji z kamienia w zupełnie nijakim stylu, za to o nieprawdopodobnej powierzchni 836 metrów kwadratowy/h, pociętej wielkimi pokojami i korytarzami. Człowiek zajeżdża tam niczym pod ambasadę, a w środku czuje się jak w kostnicy. Kroki odbijają się echem od marmurowych posadzek, a głosy sięgają sufitów tylko w postaci szeptów. W słonecznej Południowej Kalifornii światło ukradkiem wkrada się do wnętrza i zawstydzone, niezręczne, ledwo dotyka ścian i mebli.

Para Koreańczyków najwyraźniej jest zadowolona z oględzin. W każdym razie Ewa nie wyczuwa z ich strony niechęci. Nie umie jednak ocenić stopnia zainteresowania ludzi Wschodu, to

- ku jej wiecznemu upokorzeniu i złości - ciągle pozostaje dla niej tajemnicą. Nauczyła się już odróżniać charakterystyczne cechy jednej grupy etnicznej od drugiej. Na pierwszy rzut oka wie, czy ma do czynienia z imigrantem z Seulu, Hong Kongu czy Tokio. Przedkłada w końcu tolerancję nad bigoterię. Poza tym trzeba dobrze prowadzić interes. Ale od klientów z Dalekiego Wschodu dzieli ją coś więcej niż Pacyfik i mimo jej całej zewnętrznej oglady Ewa czuje się jak tonący w morzu, stając

twarzą w twarz z orientalnymi klientami, którzy wykupują wcale niemałą część amerykańskiej Kalifornii. Chciałaby lepiej rozumieć, co robią w Los Angeles i co spowodowało, że stali się taką światową potęgą pieniędzy i władzy. Naturalnie Ewa nie jest Tytusem Reynoldsem, który - gdyby to zależało od jego uprzedzeń - zepchnąłby ich wszystkich do oceanu i, jeśliby po drodze nie utonęli na tratwach, pozwolił im odplynieć do innego kraju.

- Sypialnia - informuje Ewa otwierając dwuskrzydłowe drzwi do pomieszczenia wielkości niedużej sali gimnastycznej. Usiłuje pochwycić ślad reakcji w ciemnych, głęboko osadzonych oczach, w których na widok grubej czerwono-fioletowej wykładziny i tonącego w atlasowych falbanach łóżka pod baldachimem dokładnie tyle jest emocji, co w obiadowych talerzach.

Dom, o surowych liniach pionu i poziomu - nie ma tu żadnych zaokrągleń ani zbiegających się strzeliście okien, żadne wyokragłone kąty nie łagodzą koszarowo precyzyjnej architektury - urządzony jest z rozmachem. Ewa zastanawia się, co przyszedł właściciel pocnie z taką ilością mosiądzu, niezliczoną liczbą zdobionych luster, wyściełanych brokatem krzesel, ciężkich kanap, rozrzuconych na podłodze skór i dywaników, z szezlongami wybijanymi jedwabną żebrowatą tapicerką, scenkami z włoskiej ulicy i weneckich kanałów na ścianach, chińskimi bibelotami i kryształowymi kandelabrami o tysiącach szklanych lęz. Dom wygląda jak salon aukcyjny, a mnogość przedmiotów tak agresywnie atakuje zmysły, że łatwo jest przegapić rzeczy godne uwagi. Na przykład cudowną komodę w stylu art deco zagubioną między kapiącymi od złota kotarami. Można by powiedzieć, że Irańczyk nakupił zbyt wiele, to jednak, co zebrał, jest warte majątek, dom zaś dyszy egzotyczną atmosferą wschodniego bazaru. Jego wnętrza balansują na granicy kiczu, nadęte, przedobrzone, więc Ewa, zakłopotana tłumaczy potencjalnemu nabywcy: „No cóż, nie oglądacie go, państwo, od najlepszej strony. Spróbujcie go sobie wyobrazić bez mebli” — mówi z bolesną świadomością, że wtedy wielkie domiszcze niechybnie zacznie przypominać stodołę. „Odnowiony, zrobiony inaczej...”. Chodzi jej o to, by ujrzeli dom bez wzorzystej tapety, złoto-kryształowych kinkietów w łazience,

wyłożonych lustrami ścian i równo zakrywającej podłogę wykładziny w kolorze rozgniecionych śliwek. Koreańczyk poważnie skłania głowę, jak gdyby rzeczywiście coś widział. Może wnętrza poprzedzielane plecionymi matami, jedwabne parawany, cienkie jedwabne poduszki do siedzenia na podłodze? Zona, która dokładnie obejrzała sypialnię i łazienkę, na próbę spuściła wodę w sedesach pani i pana domu, teraz wygląda przez okno. O czym myśli? Ewie ciśnie się na usta pytanie: „Czy pani widzi tu więzienie dla siebie i trojga dzieci?”, ale oczywiście milczy. Taktyka dobrego agenta nakazuje jej sugerować poprawki, wskazywać mocne punkty, które umykają uwadze nabywcy. Na przykład znakomite salony na przyjęcia gości. Ale Ewa nie robi tego. Zapomina o swych zawodowych chwytach, bo jest urażona tym domem, jego wielkością, brzydota, niesłychaną wprost ceną, która kłuje w oczy jak ogromny brylant, no i poza tym nie umie sobie wyobrazić tych łagodnych ludzi, cichych jak lilie na stawie, w tej wielkiej, europejskiej fortecy. Choć z drugiej strony, w ogóle nie widzi na ten dom kupca i nie wyobraża sobie jego przyszłych mieszkańców. Nawet Irańczyk, który z nieklamany talentem przysłonił straszną nagość tego domu, nie pasuje do jego-wnętrza. Podobnie jak jego nieobecna żona, jest wyłącznie turystą. Bo też dom ten nikomu nie będzie gniazdkiem. W gruncie rzeczy, choć Ewa wie, że kiedyś wreszcie go sprzeda, i to z niemalym zyskiem, patrzy na tę posesję jak na straszliwe więzienie.

- Zimno tu. Jak wygląda ogrzewanie domu? - pyta mąż, bez śladu obcego akcentu. Ewa, nie znając nawet jednego koreańskiego słowa, wyjaśnia z pokorą szczegóły wewnętrznych systemów. Mówi o piecach z wymuszonym obiegiem ciepła, o miedzianych rurach i instalacji elektrycznej w idealnym stanie. Cóż, dom może sobie być potworkowaty, ale za to jest niezwykle solidny. Właściciel, który go stawiał, zabezpieczył go na najbliższe milenium.

Przechodzą przez sześć sypialń i pięć łazienek znużonym krokiem pokonanego w potyczce oddziału, a nie dziarskim marszem zwycięzców, jak przystało na kogoś, kto może w każdej chwili wyjąć z kieszeni siedem milionów dolarów czy inną podobną kwotę. Co do ceny, naturalnie, będzie się można dogadać.

Kiedy zwracają do hallu i zaczynają schodzić na parter, Ewa zwraca uwagę koreańskiej pary na grubość ścian klatki schodowej — w drodze na górę mówiła im o wysokich sufitach. Podobnie jak przedtem, Koreańczycy zupełnie nie reagują, nawet nie mruczą nic uprzejmie. Ewa sądzi, że zaraz odejdą gdzieś sami, na kolejną inspekcję kuchni wykończonej granitem i nierdzewną stalą, gdzie irański kucharz właśnie przygotowuje posiłek

— z kuchni napływa cudowna kompozycja woni, słodka niczym zapach kwiatów. Ale para potencjalnych kupców trzyma się blisko pleców Ewy i idzie za nią krok w krok do samych drzwi wyjściowych.

- Może chcielibyście, państwo, obejrzeć coś jeszcze raz?

— pyta Ewa. Ma idiotyczne uczucie, że gotowa jest zaraz jak do modlitwy zetknąć dłonie palcami, by złożyć im niski ukłon. - Nie, dziękujemy — mówi mąż, nie zerkając nawet w stronę żony. Kobieta ma nieobecny, rozmarzony wyraz twarzy; można by tę twarz oprawić w ramki i zawiesić na ścianie.

— Pani jest bardzo uprzejma.

Ewa trzyma się sztywno, nie pozwalając sobie na żadne sentymentalne uwagi na temat posesji, której kolistym podjazdem kroczą teraz ramię w ramię w kierunku jej Mercedesa.

- Możemy tu w każdej chwili przyjechać na ponowne oględziny, jeśli państwo chcieli. Właściciel chętnie pójdzie nam na rękę. - To nie będzie konieczne — odpowiada Koreańczyk, pochylając brodę o ćwierć centymetra. Ewa czeka, aż jej klienci usadowią się w samochodzie - mąż na miejscu „trupa”, żona z tyłu. Przynajmniej tę subtelność przejęli od Amerykanów. Choć kto wie, czy to nie amerykańskie pary nauczyły się od ludzi Wschodu siadać w samochodzie właśnie w taki sposób? Ewa nie pamięta, by kiedykolwiek widziała taką parę małżonków, gdzie kobieta usiadłaby z przodu, a mężczyzna z tyłu. Czy to może jest przejaw małżeńskiej struktury władzy, której nie dane jej było odczuć, skoro nigdy z żadnym ze swych mężów nie kupowała domu?

- Niewykluczone, że znajdę coś innego, co państwa zainteresuje - ciągnie Ewa po drodze do biura. - W Bel Air jest willa w stylu śródziemnomorskim; ma pięć sypialni i sporo uroku.

Kuchnie i łazienki należałoby wyremontować, ale i tak jest to dobra okazja, bo cenę wywoławczą rozsądnie ustalono na osiem milionów dziewięćset.

Koreańczycy trafili do niej z czyjegoś polecenia i chociaż dom Irańczyka był pierwszym, jaki im pokazała, jeśli dadzą jej dość czasu i okażą cierpliwość, znajdzie im dokładnie to, czego szukają.

- Poza tym na Holmby Hills jest bardzo nowoczesny dom i parcela o powierzchni jeden i dwie dziesiąte hektara. Staram się umówić nas tam na jutro. Niestety, właściciel jest teraz za granicą. To interesujący dom. Czteropoziomowy, z windą, rzecz jasna, i dwoma basenami, w środku i na zewnątrz. Bardzo ciekawy, ale kosztuje prawie dziewięć i chyba niewiele da się tam opuścić. — To niesamowite, że operuje milionami, jakby pieniądze absolutnie nic nie ważyły, zupełnie jak płatki śniegu.

— Nie wiem, czy to się mieści w granicach tego, co pan chciałby wydać. — Zerka na zaokrąglony policzek Koreańczyka, ale mężczyzna wbija wzrok przed siebie, nie zwalniając jej z roli przewodniczki. Twarz żony odbija się w tylnym lusterku - tyle samo w niej życia, ile przedtem. Jednak spojrzenie Koreanki mocno wwierca się w szkło i napotyka jej oczy. Ewę przeszywa dreszcz; wzdycha, potem udaje, że kaszle, i wreszcie przeprasza, jak zawstydzona dziewczynka. Bogaci — myśli sobie — są tak zupełnie inni. Ale to, czy są biali, czarni, żółci, różowi czy w kropki, nie ma żadnego znaczenia. Bogactwo przenosi człowieka poza granice koloru skóry, wynosi ponad narodowość, wprost do krainy marzeń, tam, gdzie się kończy brukowana droga, wysoko ponad tęczę, gdzieś w inną galaktykę, dokąd zwykli śmiertelnicy nigdy, nigdy nie dotrą, choćby zbudowali najwspanialsze statki.

Ewa czuje się, jakby dostała obuchem w łeb, kiedy Koreańczyk mówi:

- Bierzemy ten dom. Niech pani zaproponuje sześć pięćset, ale w ostateczności gotów jestem zapłacić i sześć milionów siedemset pięćdziesiąt. Ta informacja jest oczywiście wyłącznie dla pani uszu.

- Wszystko to recytuje, nie zadając sobie nawet trudu, by obrócić głowę, i przez moment Ewa sądzi, że mężczyzna przemawia do jakiegoś niewidzialnego dżina po drugiej stronie szyby.

Ewa otwiera i zamyka usta. Przez chwilę nie może wydusić ani słowa. Ma wyłączność jako agentka, co oznacza, że na tej sprzedaży zarobi prawie trzysta tysięcy dolarów, wkładając w to daleko mniej wysiłku niż Abramson, kiedy pisał nieduże opowiadanko, za które dostawał zaledwie kilkaset dolarów. Z całą pewnością William śleczął nieporównanie dłużej nad jedną konferencją, a Jordan nie zarobił nawet dziesięciu procent tej prowizji przez cały okres ich małżeństwa. Ewa zabiera się do omawiania warunków, rodzaju umowy, spraw związanych z zachowaniem wyposażenia domu — które jej wyniosły klient najwyraźniej życzy sobie zatrzymać — a tymczasem jakiś rwący niepokój zaczyna rozsadzać jej pierś. Przez jej umysł przetacza się niepokorna myśl, że nikt na świecie nie powinien kupować domu aż z taką łatwością, a w każdym razie nie za dowolnie wysoką cenę, i że na jej oczach odbywa się coś strasznie nieprzyzwoitego. Co więcej, ona bierze w tym udział, o zgrozo! Ewa mówi spokojnie, zwięźle, jak zwykle kompetentnie o geologicznych przekrojach gruntu, tytule własności, pierwszej wpłacie, hipotece, o spisaniu umowy i zarówno ona, jak i przyszły właściciel mają pełną świadomość faktu, że złożona przez Koreańczyka propozycja zostanie przyjęta, jeśli nie za sześć pięćset, to za sześć siedemset pięćdziesiąt na pewno. Najwyraźniej nie zależy mu na tych dwustu pięćdziesięciu tysiącach dolarów, negocjacje odbędą się tylko dlatego, by zwyczajowi kupieckiemu stało się zadość. Pieniądze nie są w tym przypadku żadną sprawą. Ewa czuje nagły ścisk w żołądku i oblewa ją fala tajemniczego lęku. Słyszy głos Abramsona, który jej objaśnia, że żyją w Orwellovskim świecie. Wprowadzając Koreańczyków do biura, myśli, że Jordan też przyznałby rację Niedźwiedziowi. Zdumiewa ją odkrycie, że jej dwaj pierwsi mężowie mieli w niektórych sprawach zbieżne poglądy i obydwaj - tak, z łatwością mogła to sobie wyobrazić - uznaliby zapewne, że należy otworzyć sejfy depozytowe ludzi tak bogatych jak ta koreańska para i oprószyć chmurą bogactwa biednych, potrzebujących i bezdomnych.

Naturalnie Magik wyrwał jej się z ramion i pomknął: przez parking jak strzała. Krzyknęła i rzuciła się za nim, gdy on tymczasem dał nura w tylną uliczkę i jak rasowy buras wpadł między kubły na śmieci i zniknął. Nona wymyśliła sobie taką

scenę i tak długo obracała ją w wyobraźni, przewijała i znów puszczała od początku, aż wreszcie scena ta zdarzyła się naprawdę. Nona wymyśliła scenariusz, wyreżyserowała ujęcie, zagrała. Teraz to zdarzenie nabiera ważności, utrwała się w pamięci. Nona publicznie boleje nad utratą kota, który od niej uciekł. Jak wszyscy jej mężczyźni, wcześniej czy później. Na przykład Simon. Albo jej ojciec, który pewnego dnia zasłabł na podwórku - przewieźli go do szpitala, ale nie udało się go odratować.

Dzwoni do Alana, żeby opowiedzieć mu o Magiku. Szłocha jak dziecko, w którym przebrała się miara nieszczęścia. Alan pociesza ją jak może. „Proszę cię, nie płacz!” Żeby otrzeć jej łzy, proponuje, że odwoła wieczorne spotkanie z klientem i weźmie ją na kolację. Do jakiegoś bardzo miłego miejsca. Może do Valentino, jeżeli jeszcze uda mu się zarezerwować stolik.

Nona wie, że serce powinno w niej zatrzepotać szybciej, ale nie czuje nic oprócz piekącego bólu w piersi. Błaga Lorraine, żeby zwolniła ją po południu z pracy. Lorraine jest zła i zdenerwowana, bo nogę Goerge'a trzeba jeszcze raz składać od początku, a ten Adonis z klubu okazał się pedałem.

- Jesteś straszną egoistką — zarzuca jej Lorraine. — Ja też mam swoje kłopoty i czuję się okropnie.

Nona wie, że to prawda. Pod wpływem stresu opryszczka Lorraine znacznie się zaogniła - George pewnie jeszcze w miękkim gipsie kuśtyka korytarzem — i widać, że Lorraine jest niesłychanie spięta. Nona zaczyna już rozważać, czy nie wycofać swej prośby, ale do uczucia pieczenia nagle dołącza nowy ból.

Kiedy wychodzi z pasażu, od razu pędzi do doktora Rubina, który oznajmia jej, że jest zdrowa jak rydz.

- Nic mi nie dolega?

- Tylko to co zwykle.

Ramiona jej opadają. Twarz, którą widzi w małym lusterku na ścianie gabinetu przyjęć, jest całkiem pozbawiona energii i woli życia. Nona już przecież zdążyła wmówić sobie po drodze, że te bóle, które odczuwa, to zapowiedź najnowszej azjatyckiej grypy.

W domu, w mieszkanku, które wydaje się bardziej puste niż powinno - w końcu brakuje w nim jedynie kota - Nona, spóźniona o pięć minut na początek kolejnego odcinka *Rodziny*

McKenzie, rzuca się na łóżko przed telewizorem. Perypetie znajomych bohaterów zaprzatają jej myśli do ostatniej reklamy na ekranie.

Zapada w drzemkę rozmyślając, czy Deirdre zastawi dom, żeby zdobyć pieniądze na kaucję dla Heleny. Czy pomoże swojej młodszej i ładniejszej siostrze? Co ona zrobiłaby na miejscu Deirdre? Nona śni, jaka byłaby łagodna i wybacząca, śni o miłości, która jest lepsza od zemsty, i na zamglonym planie filmowym, pod mrugającym czerwonym okiem kamery, przyjmuje hold za to, że ma dobre serce. Stoi przed kominkiem w gabinecie Brada i mówi im wszystkim, że lepiej jest dawać niż brać.

Budzi się bez najmniejszego śladu bólu. Przez to roztkliwia-nie się nad sobą, przez grypę, *Rodzinę McKenzie* i drzemkę za chwilę spóźni się na spotkanie z Alanem. Jeśli narzuci zaraz ostre tempo, dojedzie do restauracji ledwie kilka sekund po siódmej. Ale kiedy wychodzi z domu, widzi czerwonego Triumphu parkującego równolegle do jej samochodu, tuż przy jego lewym tylnym zderzaku. Zanim wycofa samochód - podjeżdżając to w przód, to w tył - straci cenne minuty!

Triumph ma podniesioną maskę, spod której Nona widzi jedynie nogi w dżinsach.

- Hej! - Mężczyzna cofa się znad silnika i wyprostowuje.
- Nie ma pani czasem kabla, co? Muszę pożyczyć trochę prądu, żeby go stąd ruszyć.
- Nie. I jak ja mam teraz wyjechać?

Mężczyzna wygląda jak Mel Gibson; ma niesforne włosy, oczy słodkie jak lukrecja i opaleniznę wczasowicza z Point Dune. Jego uśmiech jest jak lśnienie księżycy.

- Trup nieboszczyk. - Mężczyzna zerka ponownie w głąb ciemnej i tajemniczej czeluści pod maską, gdzie, zdaniem Nony, tak naprawdę to gremliny obracają koła, po czym mówi:

- Stawiam dziesięć do jednego, że to akumulator. Ale może nie. Kto wie, czy czasem nie zapłon? Jeśli go jakoś zapalę, dowlokę się do stacji przy Olympic. Inaczej będę go musiał holować.

Nona otworzyła już drzwi swojego BMW i ma zamiar wślizgnąć się za kierownicę.

- Bardzo dobrze, ale tymczasem muszę wyprowadzić jakoś swój samochód.

Diana Silber

- Niech się pani w ogóle nie denerwuje. Nic prostszego.

- Mężczyzna podchodzi do niej i odgradza Nonę od ulicy.

- Zaraz stąd panią uwolnię. A potem, śliczna panienko, podwiezie mnie pani do warsztatu, co? Zgoda? -
Stoi tak blisko, że Nona widzi swoje pomniejszone odbicie w jego źrenicach. Jest raptem tylko kilka centymetrów wyższy od niej, ale wypełnia całą przestrzeń przy samochodzie. Powietrze szumi śpiewnie jak trącona struna, a drobne włoski na ramionach Nony stają na baczność.

Nie czekając na jej „tak” czy „nie” ani na to, że Nona przypomni sobie, że nie należy wsiadać z obcymi do wozu, mężczyzna zajmuje już miejsce za kierownicą i przedstawia się: „Przyjaciele nazywają mnie Fitz”.

Nona nie ma wyboru. Musi usiąść w fotelu pasażera, powiedzieć nieznanemu, jak ma na imię, i odpowiadać na jego pytania. Przedziwnym sposobem stała się więźniem we własnym aucie, które jakiś Fitz niedbale prowadzi, wystawiając łokieć za opuszczoną szybę. Fitz ma swobodny sposób bycia studenta, ale nie jest już wcale taki młody. W jego ciemnych włosach widać nitki siwizny.

- Jest pani dobrą wróżką - mówi jej, jakby to Nona czynnie zadziałała. - Troskliwym aniołem w mieście, które ma serce z kamienia. Rzadko spotyka się takie istoty jak pani. - Zatrzymują się na światłach i Fitz obraca się do niej tak, że czaruje ją teraz pełnym uśmiechem. — To dobroć kobieca, nie zaś ich piękne lica, zdobędzie moją miłość - parafrazuje. - Stary Willy miał zupełną rację. Choć trzeba przyznać, że jest pani najpiękniejszą kobietą, jaka skoczyła mi na ratunek. A przecież powinno być odwrotnie. To ja powinienem rzucić kapotę i przykryć nią kałużę, byś mogła po niej stąpać... - Szybko zerka na jej nogi i stopy. - Stąpać małą szóstką. Mam rację?

- Czy pan zawsze tak dużo gada? - pyta zakłopotana Nona.

- Gęba mi się nie zamyka. Ale co tam, powinna pani spotkać moją matkę! „Synku, nie paplaj tyle, zwłaszcza przy pięknych damach. Wezmą cię za półgłówka.” To właśnie pani myśli, prawda?

- Ze co? Ze pan jest głupi? Nie, raczej przyćpany. - Nona rzuca oskarżenie z nadzieją, że to nieprawda. Wie, że ryzykuje jadąc z Fitzem w nieznaną, ale chciałaby, żeby jego wdzięk

okazał się autentyczny, a nie wywołany chemicznie. Jak to cudownie słyszeć, że ktoś deklamuje Szekspira! Fitz śmieje się.

- Nawet jednego złamanego skręta nie przytknąłem do ust od wielu godzin. Energia, która mnie rozsadza, ma najzupełniej naturalne źródło. Tryskam wigorem i optymizmem, w przeciwieństwie do zgorzkniałych posepniaków, którzy tłuką się przez życie ubolewając ciągle nad śmiercią i podatkami. Ot, smutno, tutaj panią zostawiam. - Podjeżdża na stację benzynową, wyłącza silnik i wrzuca Nonie kluczyki do ręki. Twarz mu poważnieje. - Dziękuję. Żarty żartami, ale naprawdę jestem niezmiernie wdzięczny. - Nona wysiada i obchodzi samochód, żeby usiąść za kierownicą. Fitz otwiera jej drzwi. - Niech pani zapnie pas - instruuje, gdy Nona siedzi już w środku. - A, i jeszcze coś pani powiem. To był mój najszcześniejszy zdechły akumulator, czy może awaria zapłonu.

Przez chwilę widzi go w tylnym lusterku, jak macha jej spomiędzy dystrybutorów. Choć jest już późno, Nona ma ochotę zostać na stacji, żeby w myślach odegrać ten epizod jeszcze raz. I właśnie dlatego ogarniają ją też wyrzuty sumienia. W końcu czeka na nią Alan. Schludnie ubrany, zawsze jak spod igły. Rozważny Alan. Inny niż Fitz - ten wręcz kipi energią i dobrym humorem. Nona czym prędzej naciska pedał gazu i szybko mknąc przed siebie nie widzi już Fitz'a, który wolnym kroczkiem truchta między dystrybutorami i nie zadając sobie fatygi, by kogoś poprosić o pomoc, wychodzi ze stacji i skręca dokładnie tam, skąd przed chwilą przyjechał.

Oczekuje, że Alan będzie się nad nią litował, wychwalał ją pod niebiosa, i ze wszystkich sił zwalcza w sobie pokusę, żeby wypalić: „Powiedz, że mnie kochasz, bo ja Kocham Ciebie”. Przyszedł do nowo otwartej meksykańskiej restauracji spóźniony o dziesięć minut - w Valentino wszystkie stoliki były zarezerwowane - i cmoknął ją w policzek. Pochwalił sukienkę, zamówił wódkę z martini, bez cytryny i oliwki, i zaczął narzekać na komplikacje, jakie powstały wokół sprawy o przywłaszczenie jakiegoś kawałka ziemi. Jego klientowi gwarantowano to i owo, nie dotrzymano słowa, a teraz jeszcze, na domiar złego, ten sam klient, na skutek

machlojek przeciwnej strony, został pozwany do sadu. A wszystko to robi się po to, żeby rozmydlić sprawę, i sądząc z tego, co mówi, żeby rozzłościć Alana.

Nona, słuchając tych skarg, uświadamia sobie nagle, że taką samą rozmowę mógłby przecież odbywać z żoną. A Nona z powodzeniem mogłaby zająć jej miejsce. Nie siedzieliby teraz nad upitraszoną przez nią kolacją w Brentwood, ale właśnie tu, gdzie słucha go z taką uwagą. Nie ma już Marjorie, jest tylko Nona. Na palcu Nony lśni obrączka z brylantami. Są też dzieci. Dwaj chłopcy; chodzą do dobrej szkoły po drugiej stronie Coldwater. To Nony zdjęcie stoi w srebrnych ramkach na biurku Alana, a obok niej widać chłopców, nie płowych, ale ciemnowłosych.

Ale zanim Nona wypływa na szersze wody marzeń, Alan, zmieniając temat, sprowadza ją na ziemię. W rozmowie chyłkiem pojawia się najpierw Marjorie, a potem dwaj synowie, ci, którzy są, nie ci, których Nona by mu dała. Kto wie, czy nie miałaby z Alanem córki? I znów z taką łatwością stała się kimś spoza czarodziejskiego kręgu, przybłądą, która cukierek małżeństwa może polizać przez szybę.

Przepaść pomiędzy Noną a Alanem powiększa się, aż wreszcie dzieli ich już nie białe nakryty stół, a cały wszechświat. Kiedy Nona zaczyna mówić, z jej krtani dobywa się tylko chropawe echo głosu. Alan, zajęty smakowaniem cielecych *rancheros* i papryczek, w ogóle tego nie zauważa. Wydaje jej się, że tak właśnie zawsze było. Inni mijali ją paradnym krokiem, ciągle gdzieś szli, ciągle w ruchu... Zupełnie jak Alan i Marjorie, którzy wraz z chłopcami będą wyjeżdżać na weekendy do Tahoe i mieszkać w wynajętym domku.

Jak mogłaby być jedną z nich i uciec przed samotnością? -zastanawia się zupełnie tak samo, jak przed laty na rogu Cambridge, kiedy fale protestujących płynęły ulicą. Szli w kolorowych nierówno ufarbowanych podkoszulkach, w dżinsach, druczianych okularkach, drukowanych spódnicach do kostek, w opaskach na głowach i w kurtkach z wyhaftowanym symbolem pokoju. Ileż w nich było życia! Spleceni ramionami, śpiewali, a ich głosy aż tętniły muzyką. Wszyscy byli braćmi i siostrami w wielotysięcznej rodzinie, a Nona, sztywna, gładko

odprasowana, w mocno nakrochmalonej białej bawełnianej bluzce, marzyła o tym, żeby do nich dołączyć i bosy, przy akompaniamencie dzwoneczków, zatańczyć na chodniku.

Adam wyszedł z restauracji akurat w chwili, kiedy Nona, na wysokich obcasach, zrobiła krok w przód.

Powstrzymał ją, kładąc mocną dłoń na jej ramieniu. Jego palce zacisnęły się niczym imadło.

- Pajace! - prychnął. - Nie rozumieją, co to polityka ani co rządzi światem. Szukają tylko okazji do rozróby.

Wieczna zabawa! Dzieciątka! Południowi Wietnamczycy są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami -

ekscytował się, jakby mówił jej o tym po raz pierwszy. — Jeśli nie wyciągniemy ręki, żeby im pomóc, czym

się to wszystko skończy? Tajlandia, Laos, Kambodża, wreszcie Indie i reszta Azji trafią w łapska

czerwonych. Kiedy upadnie Japonia, zaczną się rządy Chin! Chin i Rosji. Musimy pokonać naszych

wrogów, bronić naszego modelu życia! Nona przestała słuchać. Chciała się tylko bawić, jak te dziewczęta,

które maszerowały obok swoich chłopców. Gdybyż tylko umiała się ojcu wyrwać!

- Oni nie są tacy jak my - ciągnął Adam. - Boże jedyny, przecież oni nigdy się nie kąpią i wiecznie żyją w

brudzie! — Nachylił głowę, żeby ją pocałować. Poczula świeży, cytrynowy zapach jego wody po goleniu.

Miał gładką skórę mocno napiętą na ostrych, zimnych jak marmur kościach. Kiedy go dotykała, czuła, że

głaszcze kamień, a pragnęła ciepła, pragnęła tego nieposkromionego upojenia piszczących dziewczyn,

które wiara i wykrzykiwane hasła wynosiły pod niebo.

Wolność, tak, wolność we wszystkim...

Och, tak, tak! Cudownie... Oooh! - Nona unosi pośladki i spod półprzymkniętych powiek usiłuje

napawać się przyjemnością Alana. Ale Alan ma wykrzywioną twarz. W trakcie gwałtownych skurczów

wygląda jak plujący deszczem żygacz. Pchnięcia stają się coraz łagodniejsze, chrapliwe krzyki przeradzają

się w ciche posapywania, a Nona dostosowuje do niego rytm swoich ruchów z większą wprawą, niż

kiedykolwiek była

by skłonna się do tego przyznać. Ma uczucie, że jej ciało jest statkiem, którym wypłynęła na morze. Ale tylko pamięć jest wyraźnie wzburzona. I kiedy Alan wysuwa się z niej i pobieżnie całuje ją w zagłębienie szyi, Nona w pustce przed sobą widzi twarz Adama. Nie, tego oczywiście nie może wyznać Alanowi ani nikomu innemu. Dla Ewy i Cassie jej zmarły ojciec jest już tylko przeszłością uroczyście pochowaną w mahoniowej trumnie pośród kwiatów i zapomnianą gdzieś na cmentarzu w Bostonie, a nie zjawą z zaświatów goszczącą w łóżku Nony. Dla nich ojcowie są historią. Ta świadomość je łączy. Ojciec Ewy jeszcze żyje - ma płytki oddech i mózg nie skażony myślą - ale Ewa uważa go już za zmarłego. Mówi o nim w czasie przeszłym, a kiedy opowiada im o domu, wspomina tylko matkę. Matka Nony nie żyje i Nona w wieku trzydziestu dziewięciu lat jest pełną sierotą. Nie ma braci, sióstr, krewnych, którzy by ją wiązali, nie ma żadnych rodzinnych zobowiązań i ze wszystkich sił wysłała Ewę na Boże Narodzenie do Nowej Anglii. Nona wyobraża sobie spotkanie przy świątecznym stole na podobieństwo obrazów Normana Rockwella i zazdrośnie wzdycha. Ale Ewa się wzbrania. Teraz we trzy wybrały się na niedzielną przejażdżkę do Capistrano. Jadą białym Mercedesem Ewy, a ponieważ Ewa jest w okropnym humorze, prowadzi jak szalona. Jej złość częściowo spowodowana jest bajdurzeniami Nony o śnieżnym Bożym Narodzeniu, a częściowo nagłym odkryciem, że Cassie ma faceta. Ta dobra wiadomość trafia do Ewy w zniekształconej postaci, bo Cassie za długo strzegła swojej tajemnicy, nie chcąc dzielić się wczesnymi szczegółami. Chodziła już z Jake'em na dobre, a w każdym razie jakiś czas z nim była, gdy zdecydowała się bąknąć: „Poznałam faceta, który mi się podoba”. Co z nich za przyjaciółki, skoro mają przed sobą tajemnice? Cassie jest dotknięta tym, że Ewa ciągle pyta:

— Dlaczego nie powiedziałaś nam wcześniej?

— Nie miałam nic ważnego do powiedzenia. — Oczywiście, że miała. Mogła im opowiedzieć historię o rzeźącej kosiarce. Bo tak się przecież zaczęło.

— Moim zdaniem, to wprost cudowne i takie romantyczne!

- unosi się Nona. Cassie jest tą jedyną kobietą, której sukces

przynosi Nonie radość. Bo Cassie, w odróżnieniu od takiej Lorraine na przykład, nie depreczuje po facetach, którzy jej leżą u stóp. Ten Jake, z którym zaczęła się spotykać, jest czymś wyjątkowym. — Kiedy go poznamy? - Kiedy go poznacie? - Cassie jakoś nigdy nie przyszło do głowy, że Nona i Ewa w pewnym momencie z wyrazem oczekiwania na twarzach zechcą obejrzeć „tego Jake'a”, że któregoś dnia trzeba go będzie wyprowadzić z cienia na pełne słońce.

- Moglibyśmy się spotkać u ciebie na kolacji. Przygotujesz nam jakąś fantastyczną potrawę!

- Już to widzę — przerywa Ewa. — Wgapiamy się w niego jak sroki w gnat, a on się czuje jak na rewizji osobistej u federalnych. „Był pan może...?” albo „Kiedy pan był...?”. Pogadusz-ki jak u cioci na imieninach. Miałabyś zresztą za swoje, Cassie, za to, że tyle czasu trzymałaś go głęboko w szafie.

Idą drózkami misji, zaglądając do odnowionych pomieszczeń. Potem wybiorą się do sklepów z antykami, gdzie Cassie chce poszukać małego stoliczka w wiktoriańskim stylu, który umieści w salonie pod oknem. Kolejny już raz postanowiła przemeblować dom, wypchnąć z niego wspomnienia o Dougu i ich dawnym życiu, wypchnąć je poza margines codzienności. Jake też odegrał w tym swoją rolę. Nie pasuje do dawnych mebli. Cassie kupiła już nową pościel - bładoniebieską -i sztruksową narzutę w drobne prążki. W te noce, w które obejmują ją ramiona Jake'a, łatwiej jej leżeć na pościeli nie tkniętej przez byłego męża.

- Gdzie są jaskółki? — pyta Nona.

- Już odleciały — mówi Cassie.

- Dokąd?

- Tam, dokąd odlatują jaskółki - burczy Ewa. - Gdzieś do ciepłych krajów. Może do Meksyku albo Południowej Ameryki? — Ściąga ramiona i wpycha ręce w kieszenie kurtki, bo niebo jest stalowoszare, a wiatr naciera zimnymi podmuchami. To kłamstwo, że w Kalifornii jest zawsze łacina pogoda, ciepła i słoneczna. Wydaje się, że w to niedzielne popołudnie deszcz jest nieunikniony. Teraz idą w kierunku kaplicy. Rozstawione wkoło znaki nakazują ciszę, bo kaplica nie jest muzeum, ale prawdziwym, czynnym domem Boga. Kościół jest długi, wąski,

wysoko sklepiony i unosi się w nim ponura atmosfera grobowca. Drżące światło świec obmywa bogobojnych wiernych, klęczących przed ołtarzem, a tymczasem na ścianie wisi zakurzony i zmatowiały Chrystus.

Ewa zastanawia się, po co tu w ogóle przyszły. Wie, że powinna raczej siedzieć w biurze, żeby podgonić papierkową robotę, choć akurat teraz nie ma ani rozpoczętych sprzedaży ani klientów, nad którymi powinna roztaczać opiekuńcze skrzydła i oprowadzać ich po domach. W gruncie rzeczy, w tej chwili jest niewątpliwie gwiazdą Agencji Bookera, bo przecież ledwie pstryknęła palcami, a już sprzedała dom wart siedem milionów dolarów. Ten dom nie zdążył nawet zagrzeć miejsca na rynku, a to nie lada sztuka - wielki Tytus Reynolds osobiście gratulował jej mistrzowskich umiejętności. „Sam nie zrobiłbym tego lepiej” - przyznał, a w jego wodnistych oczach zauważyła lęk. Tytus jakoś zapomniał, że sam nie chciał mieć do czynienia z obcokrajowcami, że w interesach wydają mu się „lepsy”. Gdyby Ewa przekazała mu tego Irańczyka, który pytał właśnie o niego, zamiast posadzić go przy swoim biurku, poczęstować kawą i wysłuchać szlochów na temat utraconej żony i zniechęconego teraz domu, gdyby go podesłała Tytusowi, bardzo by kręcił nosem. Mdliloby go na widok mężczyzny płaczącego przy ludziach. Nie, Tytus nie potrafi zrozumieć ani tego, że bywają serca tak strasznie przepelnione miłością, że każde uderzenie staje się bolesne, ani też tego, jak można napakować do domu tyle złota, kryształów i jedwabnych materii, żeby go wypełnić po brzegi. Ale też Tytus nie dowiedział się nigdy, że zajmował pierwsze miejsce na liście agentów zdradzonego Irańczyka. Tylko czy miało to jakieś znaczenie? W końcu i tak, rezygnując z prowizji - co równałoby się ze spadkiem jego zarobków do górnej granicy pensji nowicjusza - Tytus odrzuciłby obce pieniądze.

Nie, nie ma powodu do wyrzutów sumienia. Nie ukradła mu niczego ani nie wykiwała go. Tytus i Irańczyk od razu by się zniechędzili, a zatem może sobie pogratulować, że obu zrobiła przysługę.

- Skąd ptaki wiedzą, że już czas odlecieć? I skąd wiedzą, kiedy mają wrócić? - pyta Nona, zaciekawiona jak dziecko.

Cassie wyprowadza je z lodowatego kościoła, skąd Ewa z ulgą wychodzi; nie umie swobodnie siedzieć czy stać w kościele, ale też za nic na świecie, bez względu na okoliczności, nie mogłaby kornie uklęknąć.

- Poszukajmy tego stolika dla mnie, a potem przegryźmy coś, zanim się zrobi za późno — proponuje Cassie.

- Przypomnij mi, po co właściwie jechałyśmy po ten stolik aż do Capistrano - rzuca Ewa zgryźliwie.

- Zaczekajcie. Jest budka informacyjna. Zapytam, jak to jest z tymi jaskółkami - mówi Nona, kiedy opuszczają teren misji i wchodzą na chodnik.

- Daj spokój z tymi cholernymi ptaszydlami! - złości się Ewa. Cassie bierze Nonę pod ramię.

- Jesteśmy tu ze względu na sklepy z antykami, a poza tym chciałyśmy przyjemnie spędzić dzień. Pojechać gdzieś, wypić lampkę wina, zjeść obiad. Pamiętasz?

- Do obiadu jeszcze kawał drogi - mruczy Ewa z niezadowoleniem.

- Wyobrażacie sobie, jak to musiało być, kiedy ksiądz zabierał się do budowania misji? Wszystko wokół było pustym polem. - Nona usiłuje czytać po drodze z przewodnika i nie wypaść z rytmu marszu.

- Przysięgam, że ona jest jak drugoklasistka na wycieczce szkolnej! - jęczy Ewa i bierze Cassie pod drugie ramię. - Zobaczysz, jak to będzie, kiedy się przypnie do twojego Jake'a!

- Mojego Jake'a! Mówisz tak, jakby był jakimś meblem.

- No właśnie. I tym właśnie jest. Masz swój stół i masz swojego Jake'a. Jest twoją własnością - mówi Ewa.

- Myśl o nim w ten sposób. Jak o przedmiocie, o rzeczy, a nie o człowieku, który ma nad tobą władzę. Wtedy cię nie skrzywdzi.

- Dlaczego miałby mnie krzywdzić? - dziwi się Cassie tak, jakby nie otarła się nigdy o ludzi niegodnych zaufania, jakby nie wiedziała, na ileż to sposobów człowiek może zawieść człowieka.

- Dlaczego? Czyżbyś, kochana moja, zapomniała już tego swojego kryształowego mężulka? To jest świat drapieżników, a nie słodkich jaskółek świętego Franciszka. Mężczyźni to dzikie zwierzęta. Tacy jak Doug czy Alan.

Diana Silber

Nona aż przystaje.

— Mój Alan?

— Będzie twój, jak go sobie narysujesz. Alan jest własnością swojej żony.

— Dlaczego zawsze, ilekroć rozmawiamy o Alanie, natychmiast pojawia się jego żona? — Nonie łzy kręca się w oczach, ale nie wiadomo, czy z przykrości czy może od wiatru. W każdym razie Cassie tego nie wie i tylko ściska ramię Nony i zwalcza pokusę, żeby ją mocno przytulić.

— Jak ona ma właściwie na imię? — podchwytuje czym prędzej Ewa.

— Przestań! — broni się Nona.

— A może ty wiesz? — pyta Cassie.

Cassie czuje, że obie szarpia ją w swoją stronę.

— Zapomnijmy na kilka godzin o facetach, dobrze? Chciałabym pomyśleć o meblach i o tym, jak doprowadzić dom do jakiegoś przyzwoitego stanu. — Zganione przyjaciółki odwracają głowy i najpierw Nona, potem Ewa puszcza ją ramiona Cassie.

Po chwili Nona bierze Ewę pod pachę.

— Przepraszam. Ewa wzdycha.

— Za co? Jestem dzisiaj największą małą Zachodniego Wybrzeża.

— Co tam! Jutro wypadnie na mnie.

— Wątpię.

14

Z nich trzech Ewa jest najtrudniejsza. Przyznaje sama przed sobą, że jest w niej coś twardego, czego Cassie i Nona nie mają. Nie zawsze taka była, choć nawet jako młoda dziewczyna nie miała w sobie nigdy ani tej niewinności Nony, ani też umiejętności współczucia, jaka tkwi w Cassie. O Ewie można co najwyżej powiedzieć, że kiedyś była łagodniejsza. Od tamtej pory stwardniała, ale mimo to nie jest przecież potworem i kiedy czepia się swoich przyjaciółek, czuje wyrzuty sumienia. Żałuje, że tak je cięła ostrym językiem i paskudnymi uwagami. Wszystko dlatego, że naiwność Nony i głupota Cassie w sprawie tego jakiegoś tam Jake'a

całkiem ją wytrącają z równowagi. Są nowoczesnymi kobietami i mają głowy na karku — Cassie oczywiście jest o niebo bystrzejsza od Nony — więc powinny zachowywać się jak osoby dorosłe i przede wszystkim zadbać o własne interesy.

Ale kimże ja jestem, żeby je pouczać - rozmyśla Ewa, po tym, jak je właśnie obsztorcowała równo, i wie, że zrobi to jeszcze nieraz. Głosi prawdy biologiczne, tłumaczy wszystko potrzebą ciała, oddaje się przyjemnościom seksu tak, jak to robią mężczyźni. Na pewno nie jest żalostną romantyczką, nikt jej nie nabierze na lep sentymentalnych słodczy, nie czytuje też czułościowych romansów. Jak Nona. A może nawet Cassie. Czy kobiety nigdy nie nauczą się zachowywać dystansu i wiązać tylko warunkowo? Dlaczego gotowe są oddać mężczyźnie nie tylko swoje serce, ale i głowę? Albo dlaczego przynajmniej nie biorą nauki z własnego doświadczenia, tak jak to robi ona po Jordanie, Abramsonie i biednym Williamie? O tym wszystkim rozmyśla, jadąc do Johnnynego.

Akcje Johnnynego jako przyjaciela, czy prawie przyjaciela, znacznie skoczyły w górę od czasu, kiedy znów zjawiał się w jej życiu, desperacko szukając towarzyski na bankiet. Mógł naturalnie odpłynąć z powrotną falą, nie widzieć Ewy przez kolejny rok czy nawet dwa, ale jakimś sposobem został, przyciągany bardziej siłami grawitacji niż jakimś działaniem z jej strony. Nie jest jej kochankiem. Nie poszli ze sobą do łóżka. Nie z jakiegoś konkretnego powodu, ale tak, po prostu. Oczywiście Johnny w nowym wydaniu jako partner seksualny podoba się Ewie daleko bardziej niż Johnny z dawnych lat. Z tamtym nie przespałaby się za nic na świecie, nawet gdyby był, jak to mówią, jedynym mężczyzną we wszechświecie.

Ponieważ Ewa wyznaje zasadę, że kobieta wybiera bądź ma prawo wyboru partnera, tak samo jak mężczyzna partnerki, w każdej chwili może więc sama zaofiarować się Johnny'emu. Ale nie zrobiła tego. Nie było do tej pory odpowiedniej chwili. A poza tym, jakoś za bardzo go lubi. Z drugiej strony, niby z kim kobieta powinna pójść do łóżka, jeśli nie z przyjacielem? Wrogowie są tym gatunkiem mężczyzn, z którymi należy uprawiać seks. Tak właśnie mówi Cassie i Nonie, chociaż w rzeczywistości, potajemnie, sama zachowuje się aku-

rat odwrotnie. Ale gdyby nie to, że jedzie do Johnny'ego na kolację, teraz właśnie byłaby w odpowiednim nastroju, żeby poderwać nieznanego. Spośród trzech przyjaciółek jest jedyną, która nie ma mężczyzny. I chociaż nie zazdrości Nonie Alana - co jej po żonatym facecie? - ani też Cassie nieznanego Jake'a (nareszcie!), mimo to, zupełnie wbrew sobie, czuje jakieś bolesne ukłucia. Romanse tamtych podkreślają jej samotność. I dlatego czuje się jeszcze paskudniej, jest też teraz dla nich niedobłą przyjaciółką.

- Jak się masz! - Johnny z rozmachem otwiera drzwi; ubrany w biały fartuch, w ręku trzyma drewnianą łyżkę. Wygląda jak żywa reklama „mężczyzna w królestwie kuchni”. Pomaga Ewie zdjąć płaszcz i mówi: - Dzisiaj jemy spaghetti. Typowe danie, na jakie zdobywa się samotny mężczyzna podejmujący damę kolacją. - Jest w dobrym nastroju. Uśmiecha się. Całuje Ewę w policzek. - Spaghetti jest tuczące.

- Bzdury! Makarony są bardzo dietetyczne.

- Poza tym sądziłam, że nie jadasz mięsa.

- Kto tu mówi o mięsie? Przygotowuję aromatyczny sos na gwoździu! Zrobiło to na tobie wrażenie, co? Świeże pomidory, świeża bazylia, wszystko świeże!

- Ładnie pachnie - przyznaje Ewa.

W małej kuchence Johnny nalewa Ewie wino i stuka w jej kieliszek szklanką źródlanej wody z supermarketu.

- Na zdrowie!

- No proszę, jak nam dzisiaj dobrze. - Ewa bez trudu ogarnia wzrokiem mieszkancko, bo tylko wykładany kafelkami blat oddziela kuchnię od pokoju. - Bardzo intymnie. Johnny śmieje się.

- Ładnie powiedziane. Małeństwo. Gdybym był taki gruby jak dawniej, objąłbym się o ściany.

- Gdzie jest sypialnia?

- Stoisz w niej. Albo prawie w niej stoisz. Kanapa się rozkłada. A tam... - wyciąga rękę na lewo - tam jest mała łazieneczka. Te drugie drzwi to kibel. - Prawdę mówiąc, całe mieszkanie jest mniejsze niż jego łazienka w Beverly Hills. Ale

czynsz wynosi tylko pięćset siedemdziesiąt pięć miesięcznie, w co wchodzi wszystkie opłaty.

- Nieźle - przytakuje Ewa. Podchodzi do jednego z dużych okien i wygląda przez szybę.

- Nawet jak na taką dzielnicę. - Johnny znów parska śmiechem i Ewa zadaje sobie w duchu pytanie, czy rzeczywiście coś kryje się za tym wybuchem dobrego humoru, czy tylko ona szuka dziury w całym. Nie wierzy, że na jego miejscu nie miałyby pretensji do całego świata i do siebie za własną głupotę.

Przez okno widać jedynie ciemną boczną ulicę, parkujące samochody, tylną ścianę następnej taniej kamienicy. W podobnej dzielnicy i domu mieszkała kiedyś z Jordanem. Meble też przywodzą jej na myśl lata wczesnej młodości. Z wyjątkiem skórzanego fotela, sprowadzonego tu z wytworniejszego miejsca, i abstrakcji na ścianie namalowanej śmiałymi kolorami ziemi.

Wreszcie napatrzyła się już na ulicę i pyta:

- Może pomogę ci przy tym spaghetti?

- Nie. Stół jest nakryty, sałata gotowa, a za sekundę makaron będzie jak trzeba. O, wiesz co? Parmezan... Masz, zetrzyj.

Wręcza jej duży kawał sera i tarkę. Ewa zabiera się do roboty. Nie może nie czuć jego bliskości, bo Johnny krążąc po kuchni ciągle poszturchuje jej plecy albo biodra. Para unosząca się nad bulgoczącą wodą nagrzewa kuchnię i sprawia, że biedne, małe wnętrza przez moment wydają się Ewie miłe i przytulne. Słucha brzęku potraconych garnków, dzwonienia łyżek i kuchennych widelców, nucącego pod nosem Johnnynego. Gdyby nie miała czterdziestu kilku lat i nie była przyzwyczajona do większych przestrzeni, mogłaby nawet odczuwać chwilowe zadowolenie. Tymczasem musi pogodzić się z nagłym zakrzywieniem czasu i radzić sobie z niepokojem wynikającym z faktu, że oto za sprawą pamięci znalazła się w zupełnie niewłaściwym miejscu.

Jeszcze krok niżej, a biedny Johnny upaprałby się błotem. Nie, nie ma go co tak żałować, że przepalił, przepił i przehulał majątek. Nie wygląda też na to, żeby i on nad tym bardzo ubolewał, a już na pewno nie teraz, kiedy zajęty jest przygotowaniem kawalerskiej kolacji. Spaghetti *marinara*. Jeszcze

jedno wspomnienie młodości. Minęły lata, kiedy Ewa ostatni raz jadła makaron z wysuszonymi słońcem pomidorami, sosem *pesto primavera* albo ze śmietaną, bądź z owocami morza.

- Chanel powinien butelkować ten zapach - mówi Ewa, kiedy Johnny przelewa sos do szklanej misy, i dopełnia sobie kieliszek winem. - Stary, rodzinny przepis.

- Nie wiedziałam, że jesteś Włochem.

- Nie jestem. Ale gdzie jest, u licha, powiedziane, że wyłącznie Włosi robią spaghetti? Czy tylko Żydzi jedzą chałkę? Spaghetti stało się tak samo amerykańskie, jak szarlotka czy pieczony indyk. Pizza zresztą też. Masz, powąchaj. Muszę postawić to na stole — dodaje Johnny i przeciska się do pokoju.

- Wystarczy tyle sera?

Johnny wpada do kuchni, to znaczy robi dwa wielkie kroki, i stwierdza:

- Wystarczy. Przesyp go do miski. - Ruchem głowy wskazuje szafkę nad kuchenką. — Weź z góry.

Jakaś fajansowa miseczka w kwiatki jest jedynym naczyniem, które nadaje się do tego, żeby w nie wsypać te kilka garści startego sera. Nie pasuje do niczego na stole, ale wszystkie naczynia Johnnynego pochodzą z różnych kompletów i są zbląkanymi niedobitkami.

Stół z dwoma dyrektorskimi krzesłami na końcach stoi wciśnięty w róg pokoju, i Ewa musi bardzo uważnie wślizgiwać się na przydzielone miejsce, żeby nie stuknąć telewizora. Ale choć naczynia są od sasa do lasa, posiłek, który Johnny na nich podał wraz z kruchą sałatą i nieodzownym czosnkowym pieczywem, jest wprost znakomity. Ewa czuje, że polknęłaby konia z kopytami i że nic nie smakowałoby jej bardziej, nawet gdyby widelcem ze srebra jadła na prawdziwym Rosenthalu.

Z głośników wieży sączy się koncert Brahmsa; za smukłymi, pełnymi wdzięku świecami siedzi Johnny.

Wciąż ma na sobie biały fartuch, a na czole delikatną warstwę potu; wygląda tak atrakcyjnie jak za dawnych lat, kiedy występował we fraku jako zamożny przedsiębiorca.

Po dużej dokładce Ewa odsuwa talerz.

- Wystarczy. Było wspaniale. Nie nakarmiliby mnie lepiej

ani w Promi, ani w Pręgo. - Unosi kieliszek z resztką czerwonego wina. - Za znakomitego szefa kuchni!
- *Grazie* - dziękuje Johnny, uszczęśliwiony jak dziecko. W bursztynowym świecie wygląda młodziej niż wtedy, kiedy poznała go dawno, dawno temu, zanim zdążył obrosnąć tłuszczem i bogactwem, w czasach sprzed koki, hery, marychy, alkoholu, zawrotnego tempa, szaleństw, odurzeń i ekstazy. Twarz mu się wygładziła, cień przyciemnia siwiejące włosy.

Nalewa jej resztkę wina z butelki.

- Możesz to równie dobrze skończyć, mnie się na pewno nie przyda.

- Obciągnęłam całą butelkę? - dziwi się Ewa.

- Obciągnęłaś całą butelkę. - Johnny przeciąga słowa i nagle oboje wybuchają śmiechem.

- Powinni mnie stąd zabrać na płukanie żołądka. Johnny unosi kąciuki ust w lekkim uśmiechu.

- Nie jest to taki głupi pomysł. Trucizna w alkoholu...

- No nie! Nie chcę słyszeć kolejnego wykładu! - protestuje gwałtownie. Rozgrzana dobrą kolacją i winem, od którego zaczyna jej się kręcić w głowie, nie pamięta już o ciosach, jakie spotkały Johnnynego, i nie ma najmniejszej ochoty roztrząsać czegoś tak paskudnego jak trucizna. Ewa nie umie spokojnie myśleć o tym, co może ją zabić, o tych wszystkich rakotwórczych czynnikach w powietrzu i jedzeniu, o cząsteczkach tłuszczu, które czają się we wszystkim co smaczne, żeby jej zapchać arterie, o morderczych skutkach narkotyków i lekarstw, których w ogóle nigdy nie nadużywała i których nie bierze od lat. Od pewnego czasu każda minuta jest dla niej całym życiem.

- Chyba ciągle będę - poddaje się Johnny, kiedy Ewa odwodzi go od jego ulubionego tematu. Ewa poklepuje przyjaźnie jego dłoń, on przytrzymuje jej palce. - Nie powinienem, co?

- Nie mówię, że nie powinieneś. Po prostu przestań. Kolacja była za dobra, żeby ją psuć poważnymi sprawami. Nie chciałabym akurat teraz myśleć o trupiej czaszce i dwóch skrzyżowanych piszczelach. Jeśli w tym, co zjadłam, jest coś, co może mnie zabić, wolalabym o tym nie wiedzieć.

- Nie ma nawet najmniejszej śmiertelnej cząsteczki!

- zaperza się Johnny. - Wszystkie jarzyny pochodziły z uprawy organicznej.

- Co powiedziałaś? Orgazmicznej? - Ewa zaczyna chichotać, co bardziej pasuje do Nony niż do niej.

Ostatni łyk wina przepelnił czarę; Ewa czuje, jak miękkie fale alkoholowego upojenia, pnąc się w górę, obmywają jej kręgosłup. Głowę ma lekką jak z waty i kiedy, o ile to się uda, wstanie, to jeśli nie upadnie, na pewno wzięci w powietrze. Ojej - myśli sobie, wciąż nazbyt trzeźwa, żeby powiedzieć to głośno — jaka szkoda, że Johnny już nigdy tego nie doświadczy. - Widzisz, co się dzieje, kiedy wypijesz za dużo?

- Nie wypilałam za dużo! Przestań! Ale z ciebie okropny stary piernik! — Stary piernik? Naprawdę tak powiedziała? Johnny ściąga brwi i Ewa natychmiast odczuwa skruchę. Przecież to fajny chłopak. Ani po pijanemu, ani na trzeźwo nie będzie go tak drażnić. - Przepraszam cię. Nie powinnam naśmiewać się z tego, co dla ciebie ważne. Zwłaszcza że tak się starałaś. Zadałaś sobie tyle trudu. Johnny z łatwością daje się ugłaskać. - Nie ma o czym mówić. Przepraszam cię. Nie daj się tylko zwieść talerzowi makaronu z sosem! - Według przepisu twojej starej mamy. Chciałam powiedzieć starego przepisu twojej mamy.

- Tak, moja mama to Dione Lucas.

- Kłamiesz! - Ewa wstaje z krzesła.

- Siadaj. Na deser mamy lody w mandarynkowej polewie.

- Co to za mandarynkowa polewa?

- To coś, czego nie nauczyłem się od mamy, która jest okropną kucharką, ale od mojej ciotki, Dee. Dee prowadzi restaurację w Boise, w Idaho.

Ewa przeszła już na kanapę, gdzie ciężko opadła na poduszki. Przez cienką, tanią gąbkę czuje twarde sprężyny.

- Myślałam, że pochodzisz z Minneapolis.

- Tak. To moja ciotka Dee mieszka w Boise. Jest drugą żoną wuja Vince'a, co znaczy, że Dee jest ze mną tylko spowinowacona. Wszystko jedno. Dee pochodzi z Birmingham w Alabamie, nie w Michigan, i jest w moim wieku, może rok starsza, albo młodsza.

Johnny staje się coraz bardziej interesujący. Ale czy dlatego, że wypila zbyt wiele, czy też z powodu jego talentów kulinarnych, a może przez tę młodą ciotkę w Boise, o której mówiąc Johnny nerwowo oblizuje wargi — wyraźny objaw pożądania, bądź pożądliwych marzeń. Nie, Ewa nie potrafi zdecydować. Kto wie, czy to czasem jej własne pragnienia nie przeobrażają Johnny'ego, choć nie czuje się jakoś specjalnie pobudzona. W każdym razie jeszcze nie. Niewykluczone, że tak się zaraz stanie lub mogłoby się stać, jeżeli Johnny właściwie zagra swoją rolę — mężczyzny, który zaprosił kobietę na domową kolację, wilka z *Czerwonego Kapturka*, uwodziciela. Ale Johnny'emu ani w głowie uwodzenie Ewy.

— Lody są niskokaloryczne, waniliowe. Domowe! Jedną z niewielu rzeczy, jaką udało mi się ocalić z wyprzedaży bankruta, jest maszynka do lodów.

Myśl o tym, że Johnny uratował całkowicie zbędne, drogie urządzenie z rąk szarpiących jego majątek wierzycieli, wpędza Ewę w ponury nastrój. Co też jej udałoby się uchować, gdyby bank postanowił, że ją zlicytuje? Nie żeby coś zapowiadało choćby cień takiej możliwości w ciągu najbliższych kilku lat. Prowizja za dom Irańczyka rozedmie jej konto bankowe jak balon. Będzie musiała nabyć jakieś obligacje... Mogłaby nawet kupić trochę akcji, gdyby nie to, że boi się wahaniec rynku. W West Hollywood jest pewien dom z mieszkaniami, o dużo wyższym standardzie niż kamienica Johnny'ego. Mogłaby zainwestować w ten dom i w minipasaż handlowy w Redondo. Mglista zasłona z wypitego wina unosi się troszeczkę, kiedy Ewa дума nad tym, jak zainwestować pieniądze. Już otwiera usta, żeby zapytać Johnny'ego o zdanie, kiedy słyszy jęk sprężyn obok — usiadł przy niej na kanapie.

— Spróbuj tylko — mówi wręczając jej pucharek lodów.

— Co to takiego?

— Waniliowe w polewie mandarynkowej. Mówiłem ci przecież.

Są za słodkie i Ewa czuje, jak cierpną jej zęby.

— Nie mogę. Jękę. Pękę. — Oddaje mu lody i w trakcie przekazywania naczynia pomarańczowy syrop wylewa się na sukienkę.

- Hej!

- Zaczekaj!

- A niech to wszyscy diabli! Johnny pociera materiał mokrą gąbką.

- Zdejmij, wypłuczę pod wodą.

- Nie trzeba - mruczy Ewa i dodaje: - Daj mi jeszcze wina. - Chce splukać z ust smak mandarynek.

- Już nie ma. Poza tym jedna butelka powinna ci wystarczyć.

- Nigdy byś tego nie powiedział, zanim nie wyporządniałeś i nie stałeś się takim bogobożnym baptystą - wypala Ewa. Czuje dreszcz, kiedy jej szyję owiewa chłodny oddech Johnnynego, a potem spływa między jej odkryte piersi. Zdjął z niej suknię tak szybko i zręcznie, że nawet nie spostrzegła kiedy. Ale nie będzie się skarżyć, nie, nie. Jego język w jej ustach jest słodszy od domowego deseru i Ewa nie czuje już mdłości w okolicach żołądka, ale gwałtowne impulsy w dole brzucha. Wzdycha, wyciąga się i poddaje jego wprawnym zabiegom.

- Dobrze... Mhm, lepiej... - mruczy Johnny.

Co? Nieważne. Ewa zapada się głębiej, potem się obraca, unosi pośladki i opada w dół.

Kochanie się, nie, raczej uprawianie seksu, nie powinno rozpalać w niej aż takiej złości, kiedy leży i odpoczywa - czy choćby tylko udaje - w rozspanym cieple. Młodsza, mniej doświadczona kobieta mogłaby się uzalać, że Johnny, nie tracąc ani chwili, wykorzystał okazję i wziął ją wbrew jej woli.

Nieprawda. Była jego współniczką od pierwszego pocałunku. Nie odepchnęła go, nie zakazała niczego i nie rzuciła mu kłód pod nogi. Ochoczo pomagała mu zdjąć z siebie ubranie i włączyła się do zabawy.

Dlaczego teraz tyle w niej żalu, że chciałaby walić pięściami w kierownicę i złać nie Johnny'ego - którego raptem przed chwilą zostawiła w tanim pokoju — ale samą siebie?

I dlaczego została tam na noc, kiedy czarna kawa i tusz zimnej wody na twarz załatwiłyby sprawę na tyle, by mogła, jadąc trzydzieści na godzinę, wrócić do siebie do domu? Nie musiała przecież zagrzebać się na składanej kanapie o polistyrenowych materacach, cieniutkich jak bibułka, i drzemać bez

snów aż do rana, by już za dnia znów wyjść mu naprzeciw i uprawiać z nim seks od nowa.

W domu, stojąc pod prysznicem, szoruje skórę ostrą rękawicą, ścierając z siebie zapach i dotyk Johnny'ego.

W każdym razie próbuje. Ale jej złość nie przygasa, tylko ciągle rośnie. Ewa chciałaby myśleć, wbrew oczywistym przesłankom, że to Johnny zawładnął nią i podstępnie upijając winem, uwiódł słodkimi słowami, mandarynkowym sosem i domowym deserem. Naturalnie, że tak; jej gniew jest całkowicie na miejscu. Ale zupełnie nie na miejscu są te wciąż odczuwalne fale ciepła...

Nie chciałam! Nie podobały mi się jego pocałunki, dotyk, jego ciało przy mnie, we mnie! O nie, żadnych przybojów orgazmu, nie!

Uderza dłonią w kafelki, płacze i wspomina, jaką słabość niosą z sobą uczucia właśnie takie jak te. Kobieta z celofanu, rozerwana w strzępy. Taka była przy Abramsonie - potem zmądrzała i przy Williamie już umiała się trzymać - i taką, ku swemu przerażeniu, mogłaby stać się znowu.

Abramson był niewprawnym podróżnikiem w krainie miłości. Nie miał właściwej waluty, nie znał też języka. Ale Ewa nauczyła go, wszystkiego nauczyła swojego Niedźwiedzia.

- Jak to się dzieje, że taka młoda dziewczynka wie więcej o tych rzeczach niż mężczyzna w kwiecie wieku, jak ja, co? - pytał Abramson. - Nauczyłaś się tego od męża hippisa?

Tyle było rzeczy mówionych na ucho, wyjawiania tajemnic, zastygłych w czasie obrazów, i to *menage a trois* w Tucson, którym skończyło się małżeństwo Ewy. Tylko jeden szczegół zatrzymała dla siebie w nadziei, że kiedyś zapomni o tym czymś na dobre; martwiła się, co myślałby o niej Niedźwiedź, gdyby się dowiedział.

- Jordan nie miał pojęcia o miłości. Wiedział tylko, jak to się robi.

- Robi? O, masz na myśli uprawianie miłości. Tak, to całkiem nie to samo. Uprawianie miłości jest tylko fizyczną przyjemnością, chociaż w ten sposób nie robiłem tego już od jakichś stu, ba, chyba tysiąca lat!

- A co robisz z żoną? - pytała Abramsona i siadając mu na

kolanach, mierzwiła mu włosy, a potem zaczesywała palcami na jego wysokie czoło. — Uprawiasz z nią miłość czy się z nią kochasz? Nie... - Kładła mu palec na ustach. - Nic mi nie mów. Nie zniosłabym świadomości, że kochasz się z inną kobietą.

I wcale się nie kochał. Nawet do głowy mu to nigdy nie przyszło.

Mogli tak z sobą rozmawiać bez końca — rozmyślała Ewa po latach. Ona w roli małej dziewczynki, a on w roli tatusia. Ewa. - studentka; Abramson - uczony profesor. Z wyjątkiem miłości. W miłości była ekspertką.

- Tak, znasz się na tym o wiele lepiej niż ja - przyznawał w trakcie pieszczot. „Wykochać cię” - tak mówił, a brzmiało to nieśmiało i żartobliwie.

- Nauczyłaś mnie, jak cieszyć się w łóżku, jak nie być takim poważnym.

Ewa nie chciała nawet myśleć, czym to się któregoś dnia skończy. Żyła chwilą. Odkąd była z Abramsonem, świat stanął do góry nogami. Przepelniało ją szczęście, jego znów, przez tę konspiracyjną miłość, dręczyło poczucie winy. To nie było uczciwe wobec żony. Dobra z niej przecież kobieta.

Abramson łkał wtulając policzek w nagi brzuch Ewy, zaklinał się, że to już ich ostatni raz, że odejdzie od niej złamany na zawsze, przysięgał, że będzie ją kochał wiecznie, i wreszcie, zamiast zostać w maleńkim pokoiku Ewy, wstawał i ze ściśniętym gardłem szedł do swojego domu.

- Idź więc - mówiła. On robił dwa kroki, a ona miała ochotę krzyczeć pod niebiosa. Ale wracał do niej.

Ledwie zamknął za sobą drzwi. Albo już nazajutrz.

- Nie mogę cię nie widywać — mawiał, czasem ze łzami w oczach, czasem śmiertelnie poważnie.

Abramson pisarz, Abramson profesor, Abramson uczony.

Należał do innej kobiety, lecz chociaż nie chciał się z żoną rozwieść, Ewa i tak postanowiła się nim cieszyć.

Nawet nieźle to wszystko znosiła, jednak co jakiś czas zaczynała przymilać się do niego i błagalnie pytać:

- Jak myślisz, jak się tu czuję sama, wiedząc, że siedzisz z nią w domu i żyjesz innym życiem?

- To też jest częścią mego życia, jego ważną częścią. To życie mojej sztuki.

Wierzyła mu. Alternatywa była zbyt potworna.

Z czasem wszystko okrzepło, weszło w znajome koleiny, a na uniwersytecie zaczęto postrzegać ich jako parę. Minęło lato i Ewa rozpoczęła drugi rok studiów. Koledzy Abramsona wspominając o niej mówili mu: „twoja przyjaciółka”, za jego plecami zaś nazywali ją jego zachcianką, maskotką, laleczką. Unosili w zdumieniu brwi i potrząsali głowami, a Bloom, równy Abramsonowi i wiekiem, i osiągnięciami, mrucał zazdrośnie: „Nie sądziłem, że coś takiego może ci się przydarzyć, Abe. Ani, że na to pójdziesz”. Przy „pójdziesz” policzki Abramsona oblewał rumieniec i bąkał niewyraźnie - jak zwykle wtedy, gdy zmuszano go, by spojrzeć na swą „przyjaciółkę” oczyma innych: „Nie mam pojęcia, o czym ty w ogóle mówisz”. Abramson był człowiekiem, który nie lubi blasku jupiterów. Na scenę wychodził tylko w swoich opowiadaniach i powieści; nie chciał, żeby ludzie wtykali nos w jego sprawy. Ale prawdą jest również i to, że ich miłość napawała go dumą - puszył się, że ma młodą kobietę, która go adoruje i miłośnie zagląda mu w oczy. Przy niej rósł, a kiedy widziano ich razem, błysk w oczach Abramsona zdradzał męską satysfakcję. - Ciekawość ich zżera i mówią: „Aha, nie sądziliśmy, że w tym starym piecu jeszcze diabeł pali!” - szeptał jej na ucho.

- I to jak! - odpowiadała rozradowana i dawała mu kuksańca poci żebra. Twarz Abramsona jaśniała szerokim uśmiechem. Ludzie zatrzymywali się, by popatrzeć na poważnego literata. Należał do znanych postaci Południowego Zachodu. Patrzyli, jak ich Abramson zrzuca z siebie lata i zachowuje się jak młokos. Wiadomo było od dawna - zanim jeszcze Ewa zjawiała się w jego życiu - że pani Abramson nie pokazuje się w ogóle na kampusie i że uwagę jej zaprzatają różne sprawy w Los Feliz Spanish. Wychowywała dzieci - teraz już dorosłe - a potem zaczęła robić na drutach.

- Dzierga szaliki, czapeczki i rękawiczki dla sierot w zimnych krajach - z dumą chwalił się Niedźwiedź. - Zapisała się też na kurs malarstwa. - Ewa znalazła na ścianie między regałami Abramsona olejny obraz w bambusowych ramkach. Para dłoni zło-

zonych do modlitwy. Palce, długie i wąskie, troszkę zielonkawe, wyglądały jak luźne pędy alg. - Dostała za niego nagrodę - dodał nieśmiało.

— Picasso. Przesuń się — powiedziała Ewa.

— Interesujący, prawda? - zauważył Abramson, zakłopotany, że dzieli się częścią żony ze swoją kochanką. Czy wiedział, że ten obraz to zupełnie zero — niewprawnie namalowany i całkiem infantylny?

Po ślubie Ewa zniosła do piwnicy wszystkie obrazy jego pierwszej żony. Były tam też i namalowane stopy, tej samej chorobliwie zagłodzonej osoby, która użyczyła do obrazu zielonych rąk. A może to były dłonie i stopy pierwszej pani Abramson? Nigdy nie spytała o to, choć nieraz się nad tym zastanawiała.

Na zdjęciach żona Abramsona była pulchną kobietą z dołkami w policzkach, nie zaś ponurą kwoką, która potrafi urządzić niezłą awanturę. Później Ewa usiłowała nałożyć jakoś na siebie tę jednowymiarową żonę z albumu z fotografiami i tę kobietę ze zmierzwionymi włosami, w swetrze z dziurą na rękawie, w pończochach i sznurowanych trampkach, którą ujrzała na ganku w West Hollywood, gdzie wynajmowała pokój.

— Nie mogę się zdecydować, kogo powinnam zastrzelić: panią czy siebie. A może Abe'a? Nie, nie mam pistoletu, ale zawsze przecież mogę kupić. To bardzo proste. Wystarczy wejść do sklepu, powiedzieć: „Chcę kupić rewolwer” i podać kaliber. Trzydzieści osiem albo czterdzieści pięć, jeden z tych, o których się słyszy w telewizji. — To właśnie usłyszała Ewa, kiedy otworzyła siatkowe drzwi na ganek. Zona nie przestawała mówić, jakby ciągnęła dawno zaczęłą rozmowę, choć Ewa nie odezwała się słowem.

Wystraszyła Ewę. W cętkowanym świetle późnej jesieni, ze szminką rozmazaną na cienkich wargach, kobieta wyglądała jak obłąkana. Pocierała sterczące kostki dłoni o twarz i filtrowała zdania między palcami. Ewa od razu wiedziała, kim jest ta wątła i koścista postać, choć nigdy nie podejrzewała, by któregoś dnia żona Niedźwiedzia mogła porzucić druty i sztalugi i przyjść straszyć ją we własnym domu. Zakładała, że żona Abramsona zostanie w kokonie, który sobie uwiliła, i nigdy nie przyjmie do

wiadomości, że serce męża należy do innej. Bo przecież mogła się nigdy nie dowiedzieć. Na jej miejscu Ewa zachowałaby się zupełnie inaczej, ale w końcu wyrosły w innych czasach. Pani Abramson bezwolnie płynęła tam, dokąd ją wiódł małżonek. Tak Niedźwiedź przedstawiał Ewie swoje małżeństwo.

— Utonęłaby beze mnie.

A jednak jakoś udało jej się dopłynąć o własnych siłach z Los Feliz na ganek domu z wynajmowanymi pokojami i o zmierzchu łagodnie kołysać się na starej drewnianej huśtawce. Łańcuchy skrzypiały. Rozpacz dźwięczała w niej tak, jak dźwięczy pęknięta struna. Palcami nerwowo szarpała perłowe guziki sweterka. Ewie zdawało się, że wszystko to zna już z telewizji. Pomyślała, że jeśli zejdzie kilka stopni do samochodu, to żona wyparuje jak letnia kałuża. Wtedy nic nie trzeba będzie mówić Niedźwiedziowi...

A mimo to wybuchnęła: — Dlaczego pani się z nim nie rozwiedzie? — Co w nią wstąpiło, że tak się obnażyła? Nie mogła tego później zrozumieć.

Żona nucila coś pod nosem, to podpływając, to znów odpływając na huśtawce. Na ganku, tuż obok, stały metalowe krzesła, ale Ewa nie usiadła. Miała wrażenie, że usiąść przy żonie Abramsona znaczy wejść z nią w komitywę, utworzyć jeden front przeciwko niemu. Stała więc i znów zadała pytanie: „Skoro już pani o nas wie, dlaczego go pani nie puści?” Mimo że Ewa zachowywała dystans, kobiety świetnie się rozumiały. Wiedziały, że sprawa leży w rękach jego żony, a nie w rękach Niedźwiedzia. Wobec żony Abramson był równie bezsilny, jak wobec Ewy. To one, jego kobiety, miały zdecydować. Ale kiedy Ewa nareszcie ujrzała tę rywalkę, której istnienia od dawna już nie przyjmowała do wiadomości, myślała, że żona Niedźwiedzia dalej już nie może się posunąć, że zostało w niej tylko tyle energii, by rozbijać huśtawkę tam i z powrotem. Nie uwierzyła w szczęk broni i zabijanie ludzi.

— To stary mężczyzna. Przecież wcale go nie chcesz. Są młodszy — mówiła żona opanowanym tonem. Nie, nie błagała.

— Abramson nie jest stary — protestowała Ewa i płonęła ze wstydu, że ten mężczyzna, którego uwielbiała jak boga, jak silnego herosa, kochał również tę siwiejącą kobietę w podartym swetrze.

Miała garbek na nosie, a jej wąskie wargi ginęły pośród zmarszczek. Ewa zastanawiała się, jak pani Abramson wyglądała w młodości i czy w jej oczach rozpaliał się błysk ognia. Zaczęła sobie wyobrażać ich razem w łóżku, widziała, jak wielkie ciało Niedźwiedzia nakrywa ten worek skóry i klekoczących kości. Straszliwa pornografia. Widziała ich jako aktorów krótkometrażowych czarno-białych filmów: ona miała obwisłe piersi, on czarne skarpetki na nogach.

- Nie powinna pani tu przychodzić - stwierdziła Ewa sztywno, napięta do najwyższych granic.

Szpaler lamp wzdłuż ulic rzucał stożki światła, które nie docierało do ganku. Wokół kobiet zbierała się ciemność. Wreszcie Ewa wyskrzeczwała:

- Po co pani tu przyszła?

Z radia płynęły ciche, smutne piosenki. Gdzieś w głębi ulicy ktoś zawołał: „Hej, Rhett, tu, kochanie!”, a w dali, na bulwarze, zawodziły syreny.

Życie się nadal toczyło, niewidzialne jak świerszcze w wysokiej trawie New Hampshire, i Ewa chciała wrócić doń jak najszybciej. Ale ten bezcielesny głos, płynący z ciemności, gdy huśtawka wychyliła się daleko w tył, osadził ją na miejscu: - Po co ci taki staruch? Wiek go już przecież rozkłada.

- Nie jest stary. - Tylko tyle była w stanie powiedzieć. Żałowała, że jego żona nie przypomina Elizabeth Taylor. Zasługiwał na kobietę wielkiej urody, Ewa natomiast potrzebowała rywalki godnej siebie. Kiedy Abramson opowiadał o kobiecie, którą poślubił, jak tylko skończyła seminarium, o młodej nauczycielce, która nie podjęła wcale pracy zawodowej, żeby wychować jego dzieci i zapewnić mu domowe wygody, Ewa widziała w wyobraźni kogoś, kto dwa razy w tygodniu urządza brydżyka i jest zadbaną, choć już posuniętą w latach damą - kimś podobnym do koleżanek jej matki ze spotkań chóru kościoła prezbiteriańskiego. Nawet jej się nie śniło, że zobaczy taką ruinę człowieka.

- Niech pani stąd idzie. Nie powiem Abramsonowi.

- Nie należy go denerwować. To podrażnia jego wrzód żołądka.

- On nie ma żadnego wrzodu — zaoponowała Ewa.

— I hemoroidy. - Abramsonowa chwyciła się za łokcie, wciąż płynąc na huśtawce.

— Pragnę go! - krzyknęła Ewa, wytracona z równowagi.

— A on pragnie mnie! Jesteśmy dla siebie stworzeni.

— Tralala - mruknęła kobieta na jednej nucie.

I Ewa znienawidziła żonę Abramsona, matkę jego dzieci

- córki w Potomacu, w stanie Maryland, i syna w San Luis Obispo, którzy z kolei potem znienawidzili Ewę.

„Są wzburzeni, ochłona” - zapewniał ją Abramson rok później. Ale nie ochłonęli nigdy.

Kiedy tamtego dnia, na ganku, żona Niedźwiedzia napomknęła o dzieciach, Ewa pomyślała, że i ona może je z nim mieć. Tylko że on już nie zechce. Ostrzegali ją, że w bardzo wielu sprawach zaszedł już za daleko, żeby zaczynać od nowa. Och, gdyby mogła cofnąć czas!

Kiedy przyszła jedna z tych jego przykurzonych, oblepionych pajęczyną smutku chwil, powiedział jej:

— Powinnaś znaleźć sobie młodszego mężczyznę, który ci da synów i córki.

— Nie mów tak, jakbym chciała zakładać dynastię, i poza tym wiek jest tu nieistotny. Ty możesz mi ich dać. — Nie mogę. — Nigdy nie będziesz mieć z nim dzieci — z satysfakcją zapewniała ją kobieta na huśtawce. — Już je sobie zrobił. Teraz ma wnuki. Opowiadał ci o Charliem, o tym, jak jego życie wisiało na włosku? Modliliśmy się całą noc z rabinem.

Mówiły o dwóch różnych mężczyznach.

— Abramson jest agnostykiem.

— W szpitalach nie ma niewierzących — odparła żona śpiewnie. Sprzeczały się łagodnie, dwie kobiety dalekie od przyjaźni, kobiety z dwóch różnych epok i różnych kontynentów, związane jednym mężczyzną: starym Abramsonem, podstępny Abramsonem, jak nazwał go Bloom w chwili zawiści. Wreszcie Ewa uciekła, jednym susem w dół pokonując schodki. Była już spóźniona.

Kiedy w restauracji zrobiło się spokojnie, wyszła zza kasy, podeszła do telefonu, wrzuciła dziesięć centów i wybrała domowy numer Abramsona. Bo i dlaczego nie? Żona prawdopodob-

nie nadal huśtała się na ganku, niczym cień za oknem. Jednak po pierwszym dzwonku odłożyła słuchawkę. Często myślała o tym, żeby powiedzieć Abramsonowi o tamtym spotkaniu, lecz nigdy tego nie zrobiła. Ewa łączy się z centralą Agencji Bookera i tłumaczy, że z powodu grypy żołądka nie przyjdzie dzisiaj do pracy. Odstawia numer Nony i wycofuje się w wyimaginowaną chorobę i nastroszone poduszki. Robi sobie kubek herbaty i dziecięce śniadanie: jajka w koszulkach, twarożek, mus z jabłek i grzanek z masłem. Włącza automatyczną sekretarkę, żeby nie fatygować się odbieraniem telefonów.

Dziewczyna w centrali biurowej przekaże jej wszystkie wiadomości od klientów, a rozmowa z Johnnym jest absolutnie wykluczona. Tak samo jak rozmowa z Cassie czy z Noną. Zwłaszcza z Cassie. Ona od razu wyczuje ocean nieszczęścia w głosie Ewy i spyta: „Co się stało?”. Nic się nie stało poza tym, że poszła do łóżka z facetem, który ją dobrze wykochał i którego lubi tak samo, jak zafundowane przez niego orgazmy. Noc z Johnnym ciągle odbija się w niej echem.

Myśli o Abramsonie, wspomina jego niespieszne kochanie i łagodność, jaką wnosił w ich łóżko, nim podstarzała żona stanęła na ganku w West Hollywood. Ale jej rozmyślenia o nim są całkiem bezproduktywne, bo żadna miłość czy jej wspomnienie nie wskrzeszą umarłych ani nie osłabiają radości, jaką czuła w ramionach Johnny'ego. Nie ma co zagłębiać się w przeszłość, beznadziejnie ścigać coś, czego nie sposób złapać, bo przecież nieżyjący Abramson zawsze o krok będzie ją wyprzedzał. A mimo to Ewa dławi się wspomnieniami.

Mówiła im, żeby nie telefonowali do mnie. Ale zadzwonili. Na ogół tego nie robią.

Abramson nie chciał jej objąć. Nie podszedł w ogóle do łóżka, tylko przysiadł na krześle przy biurku, jak orzeł na rozchwianej gałęzi — rozkładał skrzydła, łapał równowagę.

Ewa siedziała z kolanami podciągniętymi do piersi, opierała plecy o metalowe guzy u wezglowia łóżka i patrzyła na Abramsona. Z tej odległości nie widziała już jego zaczerwienionych

oczu, co było pierwszą rzeczą, jaką dostrzegła otwierając mu drzwi.

— To już drugi raz w miesiącu, dlatego mnie zawiadomili. No i jeszcze dlatego, że nie poddała się terapii. Terapia! O Boże, co ona im nagadała? I dlaczego w ogóle to zrobiła? Miała przecież pieniądze. - Mocniej pochyła głowę w jej stronę, jakby Ewa żywiła cień wątpliwości, czy jego żona miała dość gotówki i kart kredytowych. Jakby ją chciał przekonać, że żona nie kradnie dlatego, że skąpił jej pieniędzy. — I wzięła takie głupie rzeczy! Bieliznę męską, rozmiar trzydzieści trzy, zupełnie nie dla mnie, i flakon drogich perfum... — Perfumy są takie głupie?

— Nigdy nie używała perfum tylko mydła, wody i talku, którym się pudrowała po kąpieli.

Ten intymny szczegół sprawia, że Ewa przewraca się na bok. Teraz robi to znowu, wyobrażając sobie nagie ciało żony Abramsona w zaparowanej łazience, której przykurzony róż ścian rok później własnoręcznie przemaalowała na ciepły błękit, a pomięte zasłony przy wannie wymieniła na składany, żaluzjo-wy parawan.

— Dlaczego wzięła perfumy i męską bieliznę? — Ewa musiała mu zadać pytanie, na które wciąż nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Mówią, że na to złożyło się kilka czynników: jej wiek, zespół menopauzy, jak to nazwali, tyle że ten okres przechodziła już jakieś siedem czy osiem lat temu, poczucie bezradności i potrzeba dowartościowania się. — Ściągnął usta wymawiając ten psychoanalityczny termin. — Wściekłość i gniew, które ją toczą jak rak. Kobieta, którą Ewa widziała na ganku, była tak daleka od gniewu jak galaktyka od galaktyki. Już samo to sugerowało szaleństwo. I te pogrożki wypowiedane konwersacyjnym, lekkim tonem. Kupi pistolet i zastrzeli siebie, Ewę, Abramsona. Ewa nie uwierzyła, nie mogła jej przecież uwierzyć, ale denerwowała się, że nie ostrzegła Niedźwiedzia, nie krzyknęła: „Uważaj!”. Gdyby wtedy położył się koło niej, gdyby mogła przycisnąć wargi do jego piersi, powiedziałaby mu o pistolecie, o otwartych ustach, o lufie i o kuli, która nie uszkodzi pomarszczonej twarzy, a rozłupie tylną część czaszki. Ale Abramson uparcie tkwił na krześle.

Później pocieszała się, że to i tak nie miałyby znaczenia. Żadne opowieści o podejrzanym natręctwie ruchów jego żony ani opisy jej nerwowych zachowań, kiedy ciskała nagle szczotkę z wiadrem, nie domyte talerze i nie odskrobane garnki, rzucone jakby ziemia rozstępowała się jej pod nogami, ani to, ani też inne rewelacje i tak nie zmieniałyby niczego. To nie Ewy wina, że żona Abramsona dała się złapać w Bullock's Wilshire z nie opłaconymi towarami w torbie. Ewa nie miała z tym zupełnie nic wspólnego, nikt nie rzucił jej w twarz oskarżenia: „To ty jesteś za to odpowiedzialna!”. Nic z tych rzeczy.

Tymczasem Abramson przedsięwziął kroki na najbliższą przyszłość:

- Nie możemy się jakiś czas widywać. Muszę być teraz z nią.
- Jesteś z nią każdej nocy! - krzyknęła Ewa. - W jej łóżku śpisz, nie w moim!
- Nie, nic nie rozumiesz. Muszę jej poświęcić uwagę.
- A co ty sobie właściwie wyobrażasz, że jesteś Lindą Loman? - krzyczała dalej.
- Proszę cię...
- A ja? Ja się nie liczę?

- Moja ukochana - zalkał i na czworakach szedł do niej przez łóżko. — Ostatni raz — westchnął, a Ewa choć przestraszona, wiedziała, że najdalej za kilka tygodni jej Niedźwiedź do niej znów wróci.

Nie może spać ani nawet spokojnie odpoczywać. W odróżnieniu od Nony nie ma cierpliwości do oper mydlanych; uważa, że są durne i wloką się w nieskończoność.

Telefon dzwoni kilkakrotnie, ale to nie Johnny. Jego chce usłyszeć, choć postanowiła, że nie będzie z nim wcale rozmawiać. Nie przez najbliższych kilka dni. Wtedy powie mu tylko: „To było nieporozumienie”.

Chce zawczasu pozbawić Johnny'ego złudzeń co do możliwości powtórki minionych zdarzeń. Nie będą tego robić ani u niego, ani u niej - w nieco wygodniejszych warunkach. Nic z tego nie będzie, więc lepiej, żeby zostali platonicznymi przyjaciółmi, ofiarowującymi sobie towarzystwo prywatnie i bardziej oficjalnie, kiedy tego wymaga okazja. Zdrowy, kulturalny układ. Tak, to właśnie ma zamiar oznajmić Johnnyemu, ale choć

Diana Silber

telefonuje do niego do biura, nie zastaje go i nie podaje też swojego nazwiska. Nie może dopuścić do tego, by odniósł mylne wrażenie i przypuszczał, choćby tylko przez moment, że Ewa dzwoni po to, by wzdychać mu w słuchawkę, zmysłowo szeptać czułe słówka, proponować, żeby znów się kochali, pieprzyli (nie, właśnie kochali, choć pieprzenie się byłoby łatwe, lepsze, byłoby chwilową wymianą przyjemności, transakcją, jaką dokonuje z którymś z przygodnie poznanych facetów) już zaraz, teraz, najszybciej jak się da.

Za bardzo jest podminowana, żeby chorować, udawać przed sobą bóle i klucia, dzięki którym wyleczyłaby się jakoś z tego wstrząsu. Nie może się nadziwić, jakim cudem Nona tak gładko wchodzi w ten stan hipochondrii i w ogóle nie przygląda się własnym motywom. Na to Ewa ma zbyt wyostrzoną świadomość, wie, co robi i kim jest, dlatego w połowie dnia wygodne legowisko w sypialni zaczyna jej dokuczać jak przysłowiowe łożo madejowe. Ewa nie ma wyboru — musi wstać i pójść do biura, przynajmniej na godzinę. Wyjmuje z szafy jedwabną podomkę i odgarnia palcami rozmazaną postać żony Abramsona, która huśta się na wieszaku. W przesunięciu linii światła i cieni, nagromadzenie materiału, kostiumów, żakietów, sukienek, biegnące w dół przepierzenia, tworzy bolesne fantasmagorie, ale nie ma przecież racjonalnego powodu, który tłumaczyłby nagły krzyk Ewy.

Nie wiem, czy powinnam kupić pistolet i zastrzelić jego, ciebie, czy siebie...

A kiedy już to zrobiła, Ewa odczuła głęboką wdzięczność.

Nie chciałam nigdy, żeby się zabiła. Tak samo jak nie chciałam, żeby zabiła któreś z nas czy kogoś obcego — przypadkowego przechodnia. Dlaczego ona to zrobiła, dlaczego nie zniknęła po prostu, nie zostawiła go, nie powiedziała: „Nie mogę z tobą żyć, idź, jesteś wolny”?

— Cała tapicerka... czerwona od krwi. — Abramson łkał całymi tygodniami, miesiącami, w najdziwniejszych porach i momentach: nad kolacją w restauracji czy nagle wybudzony ze snu. Nigdy nie zapomniał, jak krok po kroku podchodził do salonu... Słyszał tykanie zegara w hallu, wykrzyknął jej imię, a potem spytał: „Dlaczego siedzisz tam po ciemku? Coś się

stało?" Pstryknął przełącznikiem na ścianie - później zdawało mu się, że to pstryknięcie zabrzmiało wtedy jak strzał, tylko że kto oprócz niego miał je słyszeć? - i jeszcze zanim ją zobaczył, wiedział, że stało się coś bardzo złego. Nie mógł widzieć jej skroni, którą tak paskudnie rozerwał nabój przebijając czaszkę. Z prawej strony, tam gdzie przytknęła lufę, tuż nad uchem, wplotła we włosy — tak myślał w pierwszej chwili — jasnoczer-woną wstążkę. Jakież to do niej niepodobne!

Miała zaskakująco pogodny wyraz twarzy i zamknięte oczy - przez tyle lat zaglądał w nie tysiące razy! Pistolet upadł jej na ukwiecony podolek i leżał w fałdach szlafroka, jak małe martwe zwierzątko.

Abramson nie dostrzegł na żonie innej krwi prócz tej zdobiącej włosy, bo ściana przy krześle, na którym zakończyła życie, ściana, gdzie rozprysnięty mózg tworzył skomplikowany wzór, ginęła w mroku cienia.

- Trzymałem się - tłumaczył Ewie - bo nie mogłem się rozpaść na kawalki, tó byłoby nieukrywane pobażanie sobie. Moje potrzeby w tamtej chwili zeszły na plan dalszy, choć chciałem się rozplakać, rzucić na podłogę... No i, nade wszystko, nie dopuszczałem do siebie myśli, że coś jej się przydarzyło, że jest już...

- Zawsze długił się słowem „martwa”. Zupełnie inaczej niż przy pisaniu książek, używał słów ciężkich, niezdarłych - nie literackiego języka, a raczej takiego, jakim dyskutuje się na zebraniach wydziałowych. W tych źle dobranych słowach uwidaczniała się cała męka ciągłej potrzeby mówienia o tym, co się wtedy stało, a Ewa gryzła się w język i milczała.

Sądziła, że z biegiem czasu moc, z jaką żona trzyma go za gardło, zelżeje, ale nie miała racji. Co jakiś czas, kiedy Niedźwiedź wracał z uniwersytetu, słyszała najpierw szuranie nóg na stopniach przed drzwiami, potem chrzęst klucza w zamku i wreszcie dawne pytanie: „Jak się masz! Jesteś w domu?”

Ewa usiłuje pogrzebać te wspomnienia, ale potyka się o uśmiech Abramsona. Kiedyś opowiadał jej różne historyjki, swoje i nie swoje. „Och, Niedźwiedziu!” - szlocha Ewa i osuwa się na podłogę.

Mija godzina i parę minut. Kiedy nareszcie dzwoni Johnny, Ewa jest już odświeżona i ubrana do wyjścia. Z wdzięcznością przyjmuje jego telefon.

15

Cassie jest w dziwacznej sytuacji: wykryła już istnienie Jakea, ale musi go jeszcze pokazać. Nona i Ewa nie dają jej spokoju pytając ciągle, kiedy zobaczą tego wspaniałego faceta, symbol męskich cnót, mężczyznę, przez którego Cassie traci głowę - a może już straciła? Beth i Al też jeszcze go nie widzieli. Beth wyszukała kolejnego rozwodnika do wzięcia, ale „mam kogoś” osadza ją już przy furtce. Kogo?

Beth nie wie, że wystarczy co czwartek wyrzeć przez okno, żeby zobaczyć Jakea, i wykrzykuje mu ponad głową: „Przyprowadź go do nas na kolację!”

Cassie jest skrepowana tym, że będzie musiała pokazać go przyjaciółkom, pozwolić im, żeby go wymacały i wybadaly - choćby najbardziej żartobliwie - co do jego zamiarów. Jej niechęć wobec tych kontaktów nie wynika stąd, że Jake nosi na ramieniu tatuaż, który najprawdopodobniej wyjdzie na światło dzienne w czasie pikniku organizowanego przez Beth, ani też stąd, że brakuje mu pewnych oczekiwanych w tym środowisku atrybutów. Tylko Ewa krzyknęła głośno: „Kto? Ogrodnik?“, ale zaraz dodała: „Wspaniale!“ To takie pobudzające i w dodatku pachnie literaturą — cudowne połączenie. Cassie przypuszcza, że ta sytuacja przywodzi Ewie na myśl jej najdroższego męża, Abramsona. Profesora Abramsona.

Nie, naturalnie nie wstydzi się tego, że Jake rękami zarabia na życie — prawdopodobnie dostaje zresztą pensję w wysokości minimum socjalnego albo niewiele wyższą. Nigdy nie zadała mu tak prywatnego pytania, więc nie wie, jakie są jego dochody. Jej niepokój jest bardziej zasadniczy - dotyczy tego, na ile można Jake'owi zaufać. Czy jest kimś, kto może niespodziewanie zniknąć albo znenacka zmienić zdanie? A jeśli okaże się, że jest rozczarowany, niezadowolony, po cichu się wycofuje i oszukuje ją? Może wybrał już sobie jakąś inną kobietę albo nie chce mieć teraz żadnej? Może ona buduje sobie zamki z piasku w oparciu o te kilka spotkań i nocy spędzonych razem w łóżku?

Jake nie przywiązuje zbytnej wagi — Cassie aż kurczy się na myśl o tym — do ich związku i rzadko do niej zagląda. Naturalnie w czwartki zawsze na nią czeka i, jak dotąd, umawiał się z nią na każdą sobotę. Poza tym wyskakuje czasem nie wiadomo skąd, niby diabeł z pudełka, i nieoczekiwanie dzwoni do drzwi - jak Nona - po prostu wpadając, ot tak sobie, przekonany, że zastanie ją w domu. Co on sobie właściwie myśli? Że leży owinięta w plastik i ożywa tylko w jego obecności? Cassie zaczyna przemyśliwać, jakby nałożyć temu ustalone ramy. Może jakieś wspólne plany? Ale strach odbiera jej odwagę. Nie może Jake'a przyciskać, bo mężczyźni są przeczulenii na punkcie wszelkiej presji i wyciągania zbyt daleko idących wniosków. Tego akurat nauczyła się słuchając Ewy i Nony. Chodzi więc na paluszkach wokół ich związku, jak kobieta po nieznanym

sobie domu — nie wie, gdzie co ma swoje miejsce, ani też co wypada, a co pewnie nie.

I co mu teraz powiedzieć, kiedy on stoi przy tylnym wejściu i stuka w okno od kuchni? Jest cieniem po drugiej stronie zasłonki - chwytając za klamkę dokładnie w chwili, kiedy Cassie otwiera mu drzwi. Zaczynają niezręcznie dreptać wokół siebie usiłując wyminąć się w wąskim przejściu. To rozładowuje napięcie — już się uśmiechają. Jake nigdy nie pozwala sobie na przypadkowe serdeczne gesty. Jego dotknięcie jest bardziej wykalkulowane — jego usta nie musną jej policzka, dłoń nie potrze jej barków w szorstkiej, ale cieplej pieśczoce. Cassie chciałaby, żeby ją zamknął w ramionach, delikatnie wodził palcami po jej brodzie, odgarnął niesforne pasmo włosów, ale nie może go o to prosić.

Uważnie patrzy, co Jake robi, i trzyma się wyznaczonego terytorium. Jest doskonale opanowana, chociaż dziewczynka, która w niej siedzi, chce się rzucić na niego, przytrzymać go mocno i przytulić, wejść mu na kolana i nosem załaskotać w szyję.

Cofa się troszkę i pyta:

- Jadłeś już kolację?

— Pomyślałem sobie, że możemy wyskoczyć gdzieś na hamburgera, co ty na to?

Nie jest już kimś obcym w jej kuchni — otwiera lodówkę, żeby wyjąć piwo. Cassie chciałaby mu powiedzieć: „Naprawdę nie możesz mnie cmoknąć na dzień dobry? I dzwoń, zanim przyjdiesz”. No bo, gdyby akurat wyglądała okropnie, miała potargane włosy i zmiętą sukienkę czy bluzkę? W końcu może się zdarzyć, że czasem wniesie do domu krew w postaci plamy na spódnicy albo na koszuli, czasem na ręce, mankietcie, rękawie. Tymczasem mówi mu:

— Pójdę się przebrać.

- Wyglądasz dobrze - zapewnia ją Jake. Naprawdę? A jeśli kłamie?

Cassie chowa się w łazience na dole, żeby sprawdzić makijaż w lusterku. Jej oczy wyglądają blado jak u zabiedzonego królika - bardzo tego nie lubi, więc pędzi na górę po tusz i zastanawia się, czy Jake w ogóle na nią patrzy. Jak może nie zauważyć tej

plamy na swetrze i jej starych spodni? Może interesuje go tylko seks (ten stereotyp nigdy się nie starzeje) i chce z nią leżeć po ciemku? Powinna spytać o to Ewę. A jeśli Ewa odpowie, że to tylko biologia, co będzie wtedy? Na myśl o Jake'u Cassie czuje wyraźne mrowienie w żołądku. Ale co on czuje, kiedy patrzy na nią? Coś czy może całkiem nic? Może miłość?

Szczotka zastyga nad jej głową. Naelektryzowane pojedyncze włosy sterczą na baczność. Jakiś skurcz w piersi Cassie straszy, że ją nagle zadusi. Miłość? No nie, co to, to nie! Kolana jej drżą; przełknięta siada na sedesie.

Słyszy, jak na dole Jake gwizdże. Jest tak niemuzykalna, że nie ma szans rozpoznać, co to za kawałek. Ale jest to coś bardzo melodyjnego. Jake nie wydaje z siebie nieharmonijnych dźwięków. Chyba jest szczęśliwy. A ona? Tak, po stokroć tak - odpowiada sobie w myśli, nie potrzebując się nad tym zastanawiać. Szybkimi ruchami dotyka ubrania, poprawia makijaż. Pewnie, że jest szczęśliwa, tylko nie całkiem w swoim żywiole. Zupełnie jak pstrąg w morskiej wodzie...

Nie sądziłam, że jeszcze się kiedyś zakocham...

Te słowa nie palą już tak strasznie, kiedy ostrożnie obraca je w ustach - wygląda to tak, jakby przyzwyczajała smak do ostrej papryczki. Uodparnia się na nie, aż wreszcie wydusza z siebie: „Ale czy on kocha mnie?”

- Jeszcze nie jesteś gotowa? — Dobiega ją z dołu zniecierpliwiony głos i Cassie zaczyna się spieszyć.

- Idę już! - Zbiega po schodach, a pytanie o miłość zaczyna w niej dojrzeć jak infekcja.

Dlaczego tak ją to dziwi, że zaczyna się swobodnie czuć w jego towarzystwie, skoro już od pewnego czasu są razem? Ale zanim przyzwyczai się, że Jake jest jednak bardziej tu niż tam, gdziekolwiek to „tam” by było

- Cassie nigdy nie odwiedza go w jego mieszkaniu w jakiejś niesprecyzowanej okolicy blisko centrum miasta - przestępuje z nogi na nogę i robi mnóstwo niepotrzebnych ruchów. Jake wywołuje w niej nerwowość, którą jedynie czas może uspokoić.

- Chłopaki grają na zabawie w dolinie - mówi Jake. — Pro-

sili, żebym z nimi zagrał. To prywatna zabawa, co znaczy, że nam zapłacą. Nie będą to duże pieniądze, pięćdziesiąt dolców na głowę, ale zawsze to coś.

Zacząła już liczyć na te soboty spędzane wspólnie. Jeśli Jake grał w knajpie U Malone'a, ona siadała przy barze i słuchała muzyki. Potem jechał za nią do domu swoim samochodem. Jeśli nie był wieczorem zajęty, robili kolację w kuchni, oglądali telewizję, czasem Cassie wypożyczała kasetę z filmem. Jake lubi komedie, te stare, czarno-białe, lubi braci Marx, W.C. Fieldsa, Abbotta i Costello.

Teraz myśl o sobocie spędzonej samotnie albo z przyjaciółkami sprawia jej ból. Zaszli już z Jake'em na tyle daleko, że może go po prostu zapytać:

— Mam jechać twoim samochodem czy swoim?

— Wcale. Nie wpuszczają przyjaciół zespołu.

— O! — Cassie opiera się o przepierzenie kabiny w barze. „Wcale”. Czy to znaczy, że Jake już jej nie chce? „Przyjaciół zespołu...” Niewykluczone, że jednak mówi prawdę. A może taką prawdę Douga, wypaczoną jego pragnieniami? — Wpadniesz później?

Słyszy w swoim głosie błagalną nutę, -ale jest już za późno. To Nona prosiłaby o coś mężczyzną właśnie takim tonem, albo biedna April, uwięziona bardziej przez warunki życia niż przez swoją namiętność.

Odsuwa od siebie porównania i zanim Jake zdąży wymyślić jakiś wykręt, szybko dodaje: „Nie, jasne, że nie.

Która to będzie? Pierwsza, druga w nocy? Będę już spała. W niedzielę rano gram w tenisa, więc muszę wstać o ósmej”. Gra w tenisa! Dlaczego tak się zgrywa? Ostatni raz wyszła na kort trzy miesiące temu.

Poza tym Barbara, jej jedyna partnerka do gry, w niedzielę zawsze sypia długo. Ale tenis jest pierwszą rzeczą, jaka przychodzi jej do głowy, żeby pokazać mu, że świetnie sobie bez niego poradzi — dziękuję bardzo, żyję własnym życiem — a kiedy już raz powiedziała, nie może się wycofać.

— W porządku — mówi Jake. - Chciałem jeszcze wpaść, ale skoro nie możesz, nie ma sprawy.

„Nie możesz”, nie „nie chcesz”, ale oczywiście na myśli ma to drugie. Sińce pod jego oczami mogą mieć najróżniejsze

przyczyny, ale Cassie upatruje w nich rozczarowania i serce zaczyna jej bić szybciej.

- Mogłabym właściwie zagrać później, kiedy już ciebie nie będzie — zapewnia go natychmiast. Powolutku przesuwając rękę po plastikowym blacie stołu. A nuż zechce jej dotknąć? Ale on tego nie robi, tylko wzrusza ramionami na znak, że nie powinna zmieniać swoich planów ze względu na niego.

- To nic takiego. Po południu pewnie i tak będzie przyjemniej. Wpadnij do mnie, wszystko jedno o której godzinie. Zostawię ci drzwi otwarte.

- Nie, nie. To zbyt niebezpieczne. Lepiej daj mi klucz.

Ta prośba popycha ich zażyłość kilka kroków do przodu. Klucz daje mu prawa właściciela i zaproszenie, by w dowolnym dniu, o dowolnej godzinie przychodził i odchodził wiedząc, że nie zostanie jej nigdy w towarzystwie innego mężczyzny. Oczywiście już dawno temu powiedziała mu, że nikogo nie ma, ale ta jego prośba o klucz wprawia ją w stan osłupienia. Klucz zwiąże ich jeszcze bardziej, na różne sposoby.

- Dorobię jutro zapasowy.

Teraz milczą, jakby rozważali konsekwencje nieograniczonego dostępu, jaki Jake będzie miał do domu Cassie — będzie mógł wchodzić bez dzwonienia czy pukania.

Jake daje znak kelnerowi, żeby mu dołał kawy, i pyta Cassie, co chce dostać na deser.

- Nie mogę sobie pozwolić na tyle kalorii.

- Daj spokój, nie jesteś gruba. Grubi tak wyglądają. - Rozkłada ramiona na boki.

- Mam trzy kilogramy za dużo, a prawdę mówiąc to pięć.

- Nie mów takich rzeczy. Jesteś idealna - zapewnia ją Jake, a w jego głosie brzmi mieszanina irytacji i zadowolenia. Cassie nie rozpoznaje tego tonu, ale Ewa czy Nona mogłyby ją pouczyć, że tę gardłową chrapliwość w męskim głosie słyhać wtedy, kiedy mężczyzna chwali kobietę, z którą sypia na stałe.

Ten komplement sprawia Cassie radość, lecz rozkoszując się jego smakiem, mówi:

- Bzdury. - Nie może pozwolić na to, by pomyślał, że jego „idealna” zostało przyjęte bez zastrzeżeń.

Jake potrząsa głową.

— Piękna z ciebie kobieta, a w łóżku jesteś dokładnie taka jak trzeba.

Płomień oblewa jej policzki. Ewa prawdopodobnie odpowiedziałaby mu jakąś seksowną, ciętą uwagą. „Ty mi się też podobasz i w łóżku, i poza łóżkiem.” Ale Cassie ma zupełnie skołowaciały język. Brakuje jej odwagi, by przyznać się przed Jake'em, jak bardzo jej na nim zależy.

— Nie odwracaj wzroku.

— Nie odwracam. Tyle że mnie... zaskoczyłeś.

— Mówiąc, że jesteś piękna?

Cassie lęka się, żeby jej niezręczność w przyjmowaniu komplementów nie rozzłościła go. Ale nie potrafi plawić się w słowie „piękna”, tak jak by to umiała Nona. Mocuje się z tym słowem jak dziecko, a potem szepcze: — Dziękuję. Jake chrząka jak jej ojciec, jak Doug - wtedy, gdy byli z czegoś niezadowoleni.

Mężczyźni często chrząkają, kobiety prawie wcale - zauważyła kiedyś matka Cassie.

Jake płaci rachunek, opędzając się od jej propozycji wspomżenia go finansowo. Zazwyczaj płacą pół-na pół i Jake nie oponuje. Za to w innych sprawach jest zdumiewająco staroświecki - otwiera przed nią drzwi, odsuwa jej krzesło przy stole i zachowuje się czasem nader dwornie, można powiedzieć, że z wiktoriańskim wdziękiem. A Cassie to lubi. W gruncie rzeczy są całkiem dobrani i tak naprawdę - przynajmniej w tej chwili — zupełnie szczęśliwi, choć nie obnoszą się z tym nawet przed sobą. Cassie dopiero z trudem uczy się szczęścia i ta nauka musi jeszcze potrwać. — Dziękuję za hamburgera - mówi już na chodniku. Prowadząc ją do samochodu, Jake odpowiada uprzejmie: — Nie ma o czym mówić.

— Następnym razem ja stawiam - obiecuje Cassie, kiedy Jake rusza.

— Nie musisz.

— To przygotuję kolację w domu.

— Też nie musisz.

Na światłach, tam gdzie ulica Wilshire opada na tyle, że

widać, co dzieje się aż dwie przecznice dalej, srebrzysta furgonetka wpada w poślizg i niczym źle wypuszczona strzała przecina ukośnie ulicę, by uderzyć w nadjeżdżający z przeciwka samochód. Dwa pojazdy zwierają się w metalowym uścisku zgiętych zderzaków i rozprutych błotników, szczepione tak blisko, że niczym jedno auto, gwałtownie pędzą w prawo. Splecione w lubieżnym zwarciu wpadają na limuzynę z podnoszonym dachem. Słysząc pisk wbijanych w podłogę hamulców, łoskot rozrywanej blachy. - O Boże! Widziałeś to?! - krzyczy Cassie. Wypadek wyglądał jak w kinie na celuloidowej taśmie.

- Skrećimy w pierwszą w prawo, żeby ich objechać.

- Co ty mówisz? Musimy się zatrzymać.

- Po diabła?

- Żeby im pomóc! W tych samochodach są ranni!

- A karetka jest w drodze. To zajęcie dla sanitariuszy z pogotowia, to oni mają wjechać na scenę z wizgiem opon i rykiem syreny.

- Jake, nie będę się z tobą kłócić. Po prostu podjedź najbliżej, jak możesz. - Cassie chwytła go za ramię, które gotowa wręcz oderwać od kierownicy, gdyby zamierzał skreślić. - Nie odjadę stąd jak gdyby nigdy nic!

- Chryste! Ostatnia rzecz, jaka tu może pomóc, to wtrącający się gapie. Tylko im zaszkodzimy. — Światło wpadające przez szybę pod ostrym kątem zabarwia skórę Jake'a na zielono. Jego czoło i wklęsła blizna nad wargą błyszczą kroplami potu. - Jestem lekarzem i nalegam, żebyś się zaraz zatrzymał. Możesz sobie odjechać i zostawić mnie tu, jeśli chcesz, ale ja chcę im pomóc! — oznajmia Cassie.

Ich sprzeczka prowadzona jest ostrym i nieprzyjemnym tonem, ale Jake zatrzymuje się równolegle do parkującego tuż przy krawężniku wozu — cztery samochody dalej od kłębu zgniecionej stali. Wypadek miał miejsce tak niedawno, że koła dachującej furgonetki, która wypadła aż na chodnik, wciąż jeszcze się obracają. Cassie nie ma czasu, żeby przystanąć i pomyśleć, co właściwie dzieje się z Jake'em — dlaczego tak nerwowo chciałby stąd uciec - bo już wysiada z auta i biegnie najpierw do furgonetki, gdzie na wydętej, spękanej jak pajęczy-

na szybie zaklinowała się, podobna do czerwonej kapusty, głowa mężczyzny. Z szyi sterczy mu ostry odłamek szkła, gruby na dwa palce; krew sika z niego jak z dziurawej beczki. Kiedy Cassie wyciąga rękę, nie wiedząc jeszcze, co robi, przerażone niebieskie oczy zachodzą mgłą. Kierowca furgonetki umiera, a ona klnie cicho pod nosem w poczuciu bezradności.

O godzinie dziesiątej ruch na Wilshire jest zadziwiająco mały — ledwie kilka przejeżdżających samochodów, prawie nie ma pieszych. Słychać tylko coraz głośniejsze krzyki bólu, wysokie piski pośród szlochu. Cassie obraca się w kierunku niskiego zawodzenia słabo widzialnej postaci w dżinsach, która sunie do niej na czworakach. Klęka. Młody człowiek pada koło jej nogi i jęczy jak malutkie dziecko.

- No, no - uspokaja Cassie. Chłopak może być najwyżej w wieku Mandy, o ile nie młodszy, i serce mało nie wyskoczy jej z piersi, kiedy szybko bada jego klatkę i szyję. Chłopiec krzywi się pod uciskiem jej dłoni, ale ona czuje, że poza stłuczeniami i wstrząsem powypadkowym właściwie nic mu na szczęście nie jest.

Ostrożnie przewraca go na plecy, zdiera z siebie kurtkę i złożoną podkłada pod jasną głowę chłopca.

- Leż spokojnie, nie ruszaj się. Muszę pomóc innym. Wokół zbiera się tłumek ciekawskich. Cassie obrzuca ich wzrokiem w poszukiwaniu Jake'a. Jest, stoi w kręgu gapiów. Woła go, ale on nie słyszy albo nie chce jej słyszeć. Gdzieś w dali rozbrzmiewają syreny i pisk opon nadjeżdżających karettek i wozów strażackich - noc wybucha ożywionym hałasem.

Samochód strażacki ustawia się w poprzek jezdni i zamyka ruch na Wilshire od południowej strony. Scena wypadku, osadzona w gobelinie świateł i błyszczących odłamków szkła pośród pól ciemności, zostaje odcięta kordonem wozów.

Cassie rozpycha sanitariuszy przy odkrytej limuzynie. „Jestem lekarzem” — wyjaśnia. Bez jednego zbędnego słowa dwaj młodzi ludzie przyjmują ją do drużyny. Teraz wszyscy zgodnie pracują przy mężczyźnie wgniecionym w kierownicę. Dziewczyna siedząca obok leży bezwładnie jak cień na desce rozdzielczej. W migających światłach jej długie włosy błyszczą raz rudawo, raz ciemnym brązem, to znów czernią, okalając jej

twarz jak całunem. Ale kiedy Cassie uwolniwszy chłopaka zza kierownicy, podchodzi, by pomóc przy dziewczynie, stwierdza, że rubinowy połysk głowy to krew na jasnych włosach. Dziewczyna nie ma już twarzy. A jednak Cassie wyczuwa na jej szyi lekkie trzepotanie pulsu. „Ona żyje!” Pospiesznie wyciągają ją z auta. „Udrożnijcie jej drogi oddechowe!” - woła, kiedy sanitariusze nakładają rannej maskę denową. Jest sześć ofiar. Martwy kierowca furgonetki, ledwie żywa para z odkrytej limuzyny, najmniej poturbowany chłopiec na kurtce Cassie i jego dwaj mocno potłuczeni i poharatani koledzy.

Dla Cassie ten nieduży odcinek ulicy Wilshire jest jak linia frontu - pracuje nie pamiętając o Jake'u, nie myśląc, czy jeszcze tam jest czy może już odjechał. Tylko czas teraz się liczy - każda minuta, każda stracona sekunda. Dziewczyna o krwawych włosach czubkami palców trzyma się jeszcze życia, jej towarzysz ma pęknięte płuco i nie wiadomo jakie inne jeszcze obrażenia wewnętrzne.

Wreszcie Cassie odchodzi na bok, słyszy, jak jeden z sanitariuszy mówi „Dziękuję, pani doktor”, wzrusza ramionami i opiera się o witrynę zakładu fotograficznego - za szybą pełno zdjęć panien młodych w białych sukniach ślubnych i okazała kolekcja wypucowanych dzieci. Nie słabnące napięcie powoduje teraz nagle drżenie nóg. Jake wyrasta przed nią jak spod ziemi. Wyszedł gdzieś z cienia i pyta:

- Dobrze się czujesz?

- Niezupełnie. Jeden człowiek nie żyje, drugi pewnie też umrze niedługo. Co będzie z dziewczyną, nie wiadomo. - Cassie patrzy na niego bladymi oczami. - Ona nie ma już twarzy.

- Nie myśl o tym.

- A co mam robić? Pojechać do domu, obejrzeć program Davida Lettermana, napić się kawy, wziąć prysznic, kochać się z tobą?! - Traci resztki panowania nad sobą. Ogarnia ją gniew, nie na Jake'a, ale na tę rzeź i na to, że nie może cofnąć czasu, wyrwać mu z gardła tej jednej, jedynej sekundy, kiedy furgonetka wpadła w poślizg.

- Chodźmy. - Widzi, że Jake porusza ustami; w zimnym świetle wydają się jej fioletowe. Krew tak dudni jej w uszach, że

Cassie nic nie słyszy. Jake opasuje jej barki ramieniem i szlochającą odciąga od wystawy. e parzy herbatę, nie kawę, i wlewa w nią dobrą miarkę whisky. Ta mikstura smakuje paskudnie, ale on upiera się, żeby ją wypić.

— Jesteś we wstrząsie. Spadł ci poziom cukru we krwi.

— Wiem. — Cassie dzwoni zębami.

Gniew wcale jej nie przechodzi, mimo że Cassie nie chce słyszeć złości we własnym głosie. Ból, który odczuwa po doświadczeniach krwawego wypadku, upokarza ją, bo przecież tyle krwi widziała już w życiu, że można by nią napęłnić wszystkie baseny w Palisades. To nie jest pierwsza tragedia, z jaką się zetknęła, ale przez dyżury na pogotowiu przy szpitalu St. Luke's, gdzie odbywała staż z interny, przeszła już blisko dwadzieścia lat temu, poza tym tam odpowiedzialność była rozłożona. Połamani, zmiżdżeni, postrzeleni, rozdarci, rozerwani, zszatkowani, dźgnięci i skłuci nieszczęśnicy nigdy nie należeli tylko do niej. Cassie miała swoje miejsce w zespole i regulamin, którego musiała przestrzegać. W szpitalnej atmosferze białych i seledynowych ścian i chromu zawsze była jakaś nadzieja. Ale na ulicy, na linii frontu, po przyjęciu głównego uderzenia, zmasakrowane ciała zamieniały się w szczątki. Cassie miała wyłącznie ręce i wiedzę i czuła, że jest słabo przygotowana, by stawić czoło nieszczęściu.

— A ty gdzie się podziewałeś? — pyta rozgniewana.

— Nie wciskam się tam, gdzie mnie nie szukają.

— Mogłeś mi pomóc — rzuca mu oskarżenie, jakby to on ponosił winę za wypadek.

— Nie jestem lekarzem. Ścinam trawę, wyrywam chwasty i przetaczam kubły ze śmieciami. I co, mam się może wcierać w nie swoje sprawy? Nie wiem jak, nie chcę, nie umiem. Do jasnej cholery, dlaczego mam sobie znów uwalać spodnie krwią? — W jego głosie pojawiają się skrzekliwe dźwięki, przypominające tarcie gwoźdźcia o szkło, i nagle Cassie odnosi wrażenie, że Jake jest gdzieś daleko, że dzieli ich dużo więcej niż szerokość kuchni, w której nalewa sobie czystą whisky.

— Mogłeś w każdym razie spróbować.

Przyznaj, że źle zrobiłeś, wyduś to z siebie! Cassie zaciska zęby.

— Daj mi święty spokój! — krzyczy Jake. — Widziałem aż za dużo rozwalonych mózgów i bebechów bez końca kipiących z brzuchów! Dlaczego, do ciężkiej cholery, znów miałbym na to patrzeć? Choćby tylko na drobne zadrapanie, na zadraśnięty paluszek?

Wybucha tak niespodziewanie, jak nagle zrywa się szkwał na morzu. Jego złość wymazuje z jej pamięci obrazy zmasakrowanych ciał. Ogarnia ją troska o tego mężczyznę, którego zna tak niewystarczająco, a którego być może kocha.

— Już dość. Wszystko w porządku. Dobrze już. Przepraszam, że mnie tak poniosło.

— No tak, mieliśmy genialnie udany wieczór. A to, że zarzucasz mi tchórzostwo, naprawdę mnie wkurza! - Jednym ruchem wlewa w siebie whisky, odrzuca głowę w tył, przewraca oczami, jakby jak naszybciej chciał się zapić na umór.

— Nigdy nie powiedziałam, że jesteś tchórzem. — Cassie nerwowo przytyka dłoń do ust. — Ale mogłeś przecież coś zrobić.

— Coś zrobić? Rzeczywiście! Na przykład przykleić facetowi z powrotem głowę do szyi, tak? I co ty na to? Taka magiczna sztuczka! Proszę państwa, oto Jake Houdini! Albo wcisnąć komuś bebechy na powrót do brzucha i zapiąć go na agrafkę. A może by tak zejść na kolana i poszukać zgubionej pary oczu? Albo...

Wstała z krzesła i jest już przy nim. Przyciska jego twarz do siebie, głaszcze jego włosy, kark, obejmuje go, kołysząc się z nim w rytm spazmów, które, zdaje się, wstrząsają całym domem.

Jake szlocha w jej piersi, w szorstką wełnę swetra, w gładkie, mleczne ciepło jej skóry i głęboko w żyły:

— Nie chcę już więcej widzieć krwi, żadnych urwanych ramion, kikutów nóg...

— Cii — szepcze Cassie, mocniej go obejmując. — Przepraszam cię. Nie myślałam...

Jake rzuca się w tył gwałtownie, łokciem uderzając w jej pierś.

— Skurwysyn! — wyrzuca z siebie z furją, skierowaną nie wiadomo do kogo. Do wszystkich? Ociera oczy rękawem, rosząc śpiącego orla. — Chcę się napić.

- Proszę, masz moją herbatę.

Po co mu herbata? Podchodzi do zlewu, przytyka butelkę do ust i pije, zdawałoby się, bez końca. Spryskuje twarz zimną wodą, moczy włosy - ciemna rzeka płynie mu po koszuli.

- Widziałem takie gówno... - Unosi prawą rękę. - Trzymałem ludzkie serce. Leżało sobie w błocie. Serce w bagnistej wodzie. Myślisz, że to niemożliwe, co? Niemożliwe, żeby kogoś tak rozerwało, że tylko jego serce zostało na ziemi, jak jakiś krwawy owoc. Rzeczywiście niemożliwe. Mówiłem o tym jednemu lekarzowi, a on powiedział, że pewnie byłem naćpany, że takie pieprzone gówno nie mogło się zdarzyć nawet tam, w Wietnamie. Ale tak się zdarzyło. Trzymałem w ręce serce jakiegoś faceta. Było śliskie. Obrzydliwe. - Nerwowo wyrzuca rękę w bok, jakby dalej czuł je na skórze.

Cassie trzyma się od niego w pewnej odległości — dzieli ich metr drewnianej podłogi - bo dotknąć go teraz byłoby niebezpiecznie, jak przytknąć zapalną do bańki z benzyną. Jake drży, gotów wybuchnąć w każdej chwili, rozwalić jej dom i wystrzelić pod niebo rakieta pamięci.

- Chodźmy do łóżka - proponuje Cassie. Chodźmy do domu, do łóżka, napijmy się... Jak niestosowne rzeczy sobie ofiarowują. Błądzą po omacku, udęczeni uginają się od wysiłku, by wymazać ból, zaleczyć rany. Ale ciosy nie zmieniają się w pieszczoty, a Cassie wie, że zagojona rana zostawia po sobie bliznę. Jake daje się zaprowadzić na górę do sypialni, gdzie Cassie rozbiera go delikatnie - robi to bez cienia namiętności, podobnie jak matka czy lekarz. Ostrożnie pomaga mu wejść w pościel, gdzie leży sztywno od wspomnieniowego *rigor mortis*. Naga kładzie się obok niego i obejmuje go ramionami. Jake ma lodowate ciało, jego chłód mrozi jej serce. Cassie sądzi, że ani on, ani ona nie zasną wcale tej nocy, ale spleceni, osuwają się coraz niżej w zimne kanały mroku.

Jake'a budzi jakiś straszliwy, potworny krzyk; Cassie wypelza ze snu. On rzuca się na łóżku i trafia ją ramieniem.

- Co się dzieje? - woła Cassie i nerwowo sięga do przełącznika lampy.

- Aaa! Aaa! Aaa! - Jego usta tworzą czarną dziurę; unosi tors

nad łóżkiem; oddycha głęboko, spazmatycznie. Wygina plecy w łuk, jak w nagłym ataku choroby, aż wreszcie krzyknąwszy po raz ostatni, wyrывa się z mocy koszmaru i ciężko opada na pościel.

Cassie zbliża się do niego bardzo ostrożnie. Gładzi jego wilgotny podbródek, wdycha zapach strachu, tak nieprzyjemny jak odpadki w śmietniku.

— Zimno ci — mówi i podciąga mu koldrę pod brodę. Teraz Jake oddycha płytkim, szybkim rytmem, jak zwierzę złapane w potrzask. Cassie bierze go za rękę; jego dłoń jest lekka i martwa jak szept.

— Przepraszam - odzywa się Jake chropawym głosem po kilkunastu minutach.

— Nie ma za co przepraszać. Męczył cię zły sen. Mnie też się coś śniło. Latałam nad dachami domów na tym twoim orle. Miałam na sobie czarną spódnicę i wybierałam się na wiec czarownic. - Usiłuje rozśmieszyć go, a kiedy to się nie udaje, chce go uspokoić taką samą łagodną miłością, jaką okazałaby dziecku: - Sny to normalna rzecz, te złe, te śmieszne, wszystkie. - Ale wie dobrze, że w czasie nocy, które mają jeszcze nadejść, ona nigdy nie będzie miała tak koszmarnych snów jak ten, z którego Jake obudził się z krzykiem; nie ma pojęcia, jakie potwory jawią mu się przed oczami, i jak ostatni tchórz nie chce się nigdy dowiedzieć. Nie chce ich poznać nawet wtedy, gdy leży koło niego i czeka, aż Jake opowie jej o ich zębach, kłach, pazurach, o tych okropieństwach, pod wpływem których tak spadła temperatura jego ciała, że zawisł na krawędzi wstrząsu.

Bagno wojny, części ciała, ostatni stopień strachu? W domu jest chłodno i wilgotno. Przez ten krzyk o trzeciej nad ranem zrobiło się jeszcze zimniej i cicho jak w grobie.

— Włączę ogrzewanie — mówi Cassie. — Zaraz wracam. — Jake nie reaguje, więc Cassie waha się przez chwilę, lecz potem biegnie naga do hallu na dole.

Kiedy wraca do sypialni, Jake jest już na nogach i nakłada ubranie.

— Dokąd idziesz?

— Do domu.

Diana Silber

- Do domu? Dlaczego? Jake zapina koszulę.

- Musisz się trochę wyspać, a ja jakiś czas będę chodził po ścianach.

- No dobrze, nastawię czajnik. Porozmawiamy. Nie przeszkadza mi, że zarwę noc. - Kłamczucha.

Przeszkadza jej, a jakże, ale daleko mniej niż fakt, że Jake zaraz stąd wyjdzie.

Patrzą na siebie, aż wreszcie Cassie dostrzega, że stoi przed nim naga jak ją Pan Bóg stworzył - ciało ma cętkowane gęsią skórą, nieładne uda, na brzuchu widać płataninę rozstępów. Wściekła na siebie, gwałtownie chwyta szlafrok przerzucony przez oparcie krzesła.

- Miałaś zły sen. Cóż, nic dziwnego. Wypadek wytrącił cię z równowagi. - Czy mówi może zbyt cicho?

Mówi do niego jak do dziecka, do Mandy sprzed pięciu, sześciu lat?

- Wiele rzeczy wytrąca mnie z równowagi, Cassie.

- Porozmawiamy i od razu będzie ci lepiej. Porozmawiamy o tym twoim śnie. Koszmary nocne właśnie wtedy się kończą; wystarczy otworzyć okno i wpuścić trochę światła. To kamień milowy psychologii.

Jake wkłada marynarkę i podchodzi do Cassie.

- Moje złe sny od dawna nie boją się światła. Nie opuszczają mnie i w pełnym słońcu. Dobra?

- Co dobra?

- Chcę być teraz sam.

- Proszę bardzo! - Nie będzie płakać. Absolutnie za nic na świecie nie sięgnie po tę niską, płaską, kobiecą taktykę lez, tyle że jakaś mokra fala zalewa jej piersi. Nie może powstrzymać płaczu, więc obraca się do łóżka, żeby nie widzieć, jak Jake od niej ucieka.

Kiedy wreszcie zerka w tył przez ramię, pokój jest pusty. Wyszedł już - cichy jak wiatr, jak duch - odpłynął: na czymś lżejszym niż dym.

Cassie i tak nie zaśnie do rana. Poczucie nieszczęścia i niesprawiedliwość Jake'a nie dają jej zmrużyć oka.

Leży sztywna, z szeroko otwartymi oczyma, daleka od snu. Myśli, gdzie on teraz jest i co robi. Zamartwia się tak do białego dnia, a potem się ubiera i wcześniej rano jedzie do kliniki.

Nie ma od Jake'a zadnej wiadomosci. Spodziewa sie, ze zadzwoni, ale dzien mija, a on sie nie odzywa. Potem, wieczorem w domu, telefon uparcie milczy.

Znowu wyjechal? Rozpiera sie byle jak gdzies w samolocie, a pociagu, autobusie i ucieka z Kaliforni, odpychajac wspomnienia o Cassie, jakby jej nigdy nie bylo? A moze zmaltretowany dwudziestoletnim juz bolem lezy zwiniety w jakiejs norze, niezdolny nawet krzyknac czy zaplakac? Moze to meska dumka kaze mu ja od siebie odepchnac, bo widziala go w chwili slabosci?

Nastepnego dnia Cassie jest bez kontaktu, zyje niczym

w foliowej torbie, odcięta od pacjentek, lekarek i pielęgniarek, które muszą dobrze podnieść głos, żeby do niej dotrzeć. Lekarko, lecz się sama! Chris, księgowy, nie wytrzymuje w końcu i wybucha w nagłym przypływie irytacji, kiedy po raz kolejny bezskutecznie usiłuje wydebić z Cassie parę inteligentnych odpowiedzi związanych z podatkami. Na szczęście dzień w klinice upływa dość pogodnie, wszystko idzie zgodnie z regulaminem - rutynowe zabiegi i profilaktyka, przy której nie trzeba aż tak wysilać uwagi. Cassie odplywa myślami do Jake'a, który nagle wydaje jej się uludą - tkwi w jej umyśle jako wytwór rozpalonej wyobraźni, wysniony kochanek, zjawa. Wzdraga się przed wypowiedzeniem jego imienia w rozmowie telefonicznej z Noną. Dopiero nazwisko Ewy na liście pacjentek umówionych z Jeną na następny dzień wyrywa Cassie z transu. - Nie wiedziałam, że leczy się u ciebie - zwraca się do Jeny, kiedy spotyka ją przy dzbanku z kawą. Papieros, którego Jena nie wyjmuje z kącika ust, tworzy między nimi chmurę dymu.

- Nie jest. Nigdy jej nie widziałam. Dlaczego pytasz?

- To moja znajoma. Nie wiedziałam, że ma jakieś kłopoty

— odpowiada Cassie.

- Pewnie okresowa cytologia i tak dalej. Nie marszcz czoła na zapas.

- Nic nie mówiła, że się do ciebie wybiera.

- Masz, lyknij sobie kawy i nie gub się w domysłach, co też znów dzieje się za twoimi plecami. Twoja przyjaciółka Ewa jest kolejnym przykładem na to, że kobiety wolą rozkładać nogi przed obcymi niż przed psiapsiółkami, z którymi plotkują nad „krwawą Mary”. My kobiety w niektórych sprawach jesteśmy okropnymi gęsiami. - Nie, nie spodziewałam się, że Ewa będzie przychodzić do mnie jako do lekarza. Zdawało mi się tylko, że chodzi do Schwartzmana na Beverly Hills.

- Do Bena Schwartzmana? Ben ma raka prostaty. Ktoś przejął jego praktykę. Nie pamiętam kto.

- Hm, mogła mi wspomnieć, że potrzebny jej nowy ginekolog. Nie widziałabym w tym nic złego, gdyby mi powiedziała, że jest umówiona z tobą.

- Kicia, jak ona jutro przyjdzie, najlepiej zrobisz spuszczać

zasłonę milczenia - mówi Jena. - Daj sobie jednak powiedzieć, że powinnaś być wdzięczna, że tak właśnie wyszło. Znajomi to kula u nogi. - Jena wierzy tylko w medyczne związki. Wszyscy w szpitalu wiedzą, że żyje sama, niczym nie związana ze światem.

- Ale ta tajemniczość...

- Coś to wszystko za bardzo cię niepokoi. Co ci tak dokucza?

Problem tych, którzy są zrównoważeni i nigdy się nie potykają, polega na tym, że niezależnie od tego, jakie emocjonalne trzęsienia bywają ich udziałem, świat oczekuje, że już po chwili wrócą znów do stanu idealnej równowagi. Nie, Cassie nigdy nie wolno się zachwiać.

— Chyba samo życie.

— Napięcie okółomiesiąckowe? — pyta Jena.

Cassie potrząsa głową i wraca do swojego gabinetu, żeby zadzwonić do Ewy. Słyszy tylko tekst nagrany na automatyczną sekretarkę. Recepcjonistka w agencji informuje, że Ewy nie ma w biurze. Chętnie przekaże jej jakąś wiadomość. - Nie, dziękuję. Skontaktuję się z nią później - odpowiada Cassie, tonem wyższym o oktawę. Jest urażona, że nie zastała przyjaciółki.

Pacjentka jest już gotowa, dzięki czemu Cassie zapomina na chwilę o Jake'u i Ewie. W końcu Jake jest tylko tymczasowo. Nie łączą go z nią żadne więzy, żadne obietnice. Przyjdzie do pracy w ogrodzie i opowie jej jakąś zmyśloną historyjkę. Może zresztą ograniczy się do lakonicznego stwierdzenia, że był zajęty, i tyle.

Co jakiś czas Cassie usiłuje dodzwonić się do Ewy. Ostatni raz wybiera jej numer aż o jedenastej w nocy. Wreszcie, wyprowadzona z równowagi, krzyczy w słuchawkę:

— Ewa, dzwonię już dziesiąty raz! Gdzie jesteś? I proszę, skontaktuj się ze mną jeszcze dziś. Inaczej zobaczymy się w klinice, przed albo po twojej wizycie u Jeny!

Nie chciałam ci nic mówić, dopóki nie dowiem się, co tam szwankuje. Żeby nie wyszło na to, że robię dużo hałasu o nic. Babskie przeczulenie. Poza tym nie mogę patrzeć, jak Nona wiecznie pędzi do ciebie i rozdziera szaty, jak tylko wyskoczy jej pryszcz na nosie.

- Ty nie jesteś Nona.

- Dzięki Bogu, nie. Mam te sześć centymetrów mniej i jakby mniej kości. - Ewa przygryza wargę. Leciutko wysunięta górna szczęka jest czymś, co mężczyźni na ogół postrzegają jako rys seksualnie atrakcyjny.

Siedzi na krześle dla pacjentek, trzyma się za łokcie i udaje, że wcale się nie martwi - Cassie widziała już setki kobiet w tej pozycji. Dzieli je teraz ten dystans — coś więcej niż samo biurko — który wytwarza się między lekarzem i pacjentem.

- Jesteś tak różna od Nony jak dzień od nocy. Nona potrzebuje swoich bólów, musi doszukać się w sobie czegoś, co nie gra, albo przynajmniej mieć nadzieję, że zrobi to za nią biedny doktor Rubin.

- Sądzisz, że to coś poważnego?

Cassie myśli, że co prawda Ewa różni się od Nony, ale akurat zadaje takie same pytania jak ona i ma ten sam wyraz oczu zaszczutego zająca. Co więcej, hołubi w sobie nadzieję, że jeśli usiądzie cicho i wstrzyma oddech, ominą ją złe wiadomości.

- Jena chce cię skierować na USG - mówi Cassie wymijająco. Na lewym jajniku Ewa ma guz wielkości mniej więcej orzecha włoskiego. Robią to co zwykle w takich sytuacjach, ale Cassie obawia się, że wyniki nie zostawią im żadnego wyboru. Jena nie jest rzeźnikiem, w odróżnieniu od wielu mężczyzn ginekologów, którzy wycinają kobiece organy bez zmrużenia oka, jak ogrodnicy chwasty. „Ja tam uważam, że należy zachować jak najwięcej tego, co Pan Bóg nam ofiarował” - powtarza przy różnych okazjach Jena ateistka. Ale jeżeli Jena ma rację, guz Ewy nie rozejdzie się sam z siebie i miesiączki Ewy będą płynęły z niej jak Niagara. Ból będzie się nasilał. Ewa unosi brodę i pyta: - Czy to rak?

To straszne słowo natychmiast rozkwita brzydota, gdy tylko zostaje głośno wypowiedziane. Cassie zwalcza w sobie chęć, żeby wybiec zza biurka i przytulić Ewę i zapewniać ją o tym, co może okazać się kłamstwem. Narzuca sobie absolutny spokój i ten szczególnie pogodny ton, z którego korzysta na obchodach lekarskich.

- Nie martw się. Jena uważa, że to łagodny nowotwór. Po USG będziemy wiedzieć więcej.

- Ale co ty myślisz, Cassie?

- Nie ja cię badałam. - Reakcja Ewy jest charakterystyczna dla każdej pacjentki, która słyszy, że „trzeba jeszcze coś sprawdzić”, zamiast „wszystko w porządku”. Przecież wie, że w tym białym fartuchu kryje się człowiek taki jak ona, człowiek, który tak samo jak ona ma serce, mózg, wątrobę. Ich zdaniem, lekarz powinien być wszechwiedzący.

- No tak. Byłoby trochę... - Ewa wpatruje się w sufit i szuka właściwego słowa.

- Rozumiem. Krępujące - pomaga jej Cassie. Ewa klaszcze nagle w dłonie i wybucha śmiechem.

- Tylko sobie wyobraź! Leżę sobie przed tobą ze wszystkim na wierzchu, a ty pchasz mi tam palec i kopiesz we mnie w środku, jakbyś szukała złota! - Pochyliła plecy i krztusząc się ze śmiechu, tłucze pięścią w piersi. Teraz dopiero Cassie czuje zakłopotanie i mówi sztywno:

- Trudno jest ludziom nie obytym z medycyną zrozumieć, że czasem ta fizyczność jest tylko ciałem, tkanką, naczyniem krwionośnym, nie związanym z konkretnym człowiekiem.

- Bardzo cię przepraszam, ale ja akurat czuję się z nimi dosyć blisko związana. - Ewa śmieje się i raptem wybucha płaczem. - I nie chcę być chora! W kostiumie koloru khaki od Raima Laurena, w świeżutkiej bawełnianej bluzce, opleciona złotymi łańcuchami wokół szyi i nadgarstków, w złotych kolczykach wysadzanych diamentowymi rautami i w butach z polerowanej skóry, Ewa przeobraża się w przestraszone dziecko. Roztopia się jak świeczka, a jej lęk zaraża Cassie, która wstaje zza biurka, bierze przyjaciółkę za rękę i uspokaja: - Nikt nie mówił ani słowa o raku, więc ciiii, daj spokój, nie płacz...

- Wyzdrowieję?

- Obejrzymy wyniki badań i zdecydujemy, co będzie dla ciebie najlepsze. Niewykluczone, że trzeba ci będzie zrobić histerektomię. Ewa tężeje.

- To znaczy wyciąć wszystko?

Wypatrują w swoich oczach kłamstwa, a Cassie myśli o tym, że wszystkie pacjentki tego świata chcą tylko słyszeć: „Jest pani

w stu procentach zdrowa. Będzie pani żyć wiecznie". I chociaż wie, że może mijać się z prawdą, że przecież zawsze mogą się zdarzyć jakieś niespodzianki, mówi:

— Tak. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Ewa niesie do domu to „tak” usłyszane od Cassie, niczym rybę w torbie napelnionej wodą. To słowo wisi sobie luźno w jej umyśle, niczym nie skrepowane. Jasne, że wszystko będzie dobrze. Jasne, własne, nie zasnę... Guz wyciska Ewie łzy z oczu podczas jazdy.

Przecież Cassie za nic na świecie nie minęłaby się z prawdą. Ona opiera swoje życie na prawdzie bardziej niż na ziemi, po której stąpa. A przecież kłamstwo nie tylko nadwerężyłoby ich przyjaźń, ale byłoby też wyraźnym łamaniem przysięgi Hipo-kratesa. Nie - myśli Ewa - Cassie jest ponad takim kłamstwem, z którego korzystają jej koledzy lekarze, by uwolnić pacjenta od strachu. Mówiła, że wyzdrowieje.

I oddycha z ulgą, nie dlatego, że w ogóle pozbędzie się guza, ale dlatego, że może przestać o nim teraz myśleć, aż do czasu, kiedy przechwycą go fale dźwiękowe. A potem wytną jej (Kto, Jena? Bo przecież nie Cassie) jej kobiece organy, całą sterownię jej kobiecości. Cóż, w końcu wcale jej nie potrzebuje. Bo i na co? Czy chciałyby mieć dziecko?

- Nie bądź kretynką! - krzyczy na siebie i ociera łzy bibułkową chusteczką.

Cały wszechświat dzieli ją teraz od sióstr i ich przychówku, ich zgubionych rękawiczek, prezentów, lizaków, załamań wieku dojrzewania, uścisków i pocałunków. W tej chwili jest śmiertelnie przerażona ostateczną pustką i tęskni do matczynych kolan, do tego, by znów stać się chudą, małą, kościstą dziewczynką, tęskni do obszywanych koronką chustek do nosa i napomnień: „Na podróż wkładaj zawsze najlepsze majteczki". Jest zbyt przerażona, by martwić się tą nagą pustką, która zapadnie się do środka niczym czarna dziura.

Jestem gdzieś w świecie, jestem kimś, kogo nie znasz...

Kłęby kurzu pamięci zbierają się na przednim siedzeniu, a Ewa szlocha i wali ozdobioną pierścionkami dłonią w kierow-

nicę. Jakiś kierowca na sąsiednim pasie przygląda się jej zaciekawiony, a potem ostro rusza spod świateł. Nie będzie dziecka, dzieci, nie będzie już tego różowego kielicha ani delikatnej łodyżki... Niczego nie będzie w środku. Tylko wolne miejsce. Pusty dom...

Wyrok, który może zapaść, jeśli idzie o Ewę, został już wydany — *Nienykluczone, że trzeba ci będzie zrobić histerektomię* — ku jej zdziwieniu, głównie ją zawstydza. Łzy ciekną jej po twarzy, gdy uświadamia sobie, jak bardzo normalnie reaguje na myśl, że mają ją pozbawić kobiecości. Reaguje z najwyższym przerażeniem, zupełnie tak, jak to zrobiłyby jej siostry. A w gruncie rzeczy, cóż to za różnica? Spraw tylko, dobry Boże, w którego wierzę — jak się okazuje — żeby nowotwór nie okazał się złośliwy.

Rak. To słowo wstrętne smakuje i Ewa - elegancka, klasycznie ubrana kobieta sukcesu — z obrzydzeniem spluwa białą śliną na deskę rozdzielczą.

Nic w niej nie gnije. Nie ma w niej oszalałych komórek pożerających zdrowe ciało, przypominających potworki w grach komputerowych, więc po co się tak martwi? Trzeba jedynie usunąć coś, z czego i tak nie miałyby żadnego pożytku. Więc o co chodzi? Widać w tym nawet jeszcze pewną korzyść. Nie będzie już tej niewygody co miesiąc, tego przenikliwego bólu, który ją pożerał i łamał wpół, zostanie seks bez niepokojów, bez środków antykoncepcyjnych.

Jakimś cudem dojechała na plażę - zupełnie nieświadomie, jadąc na oślep przed siebie. Skręca w Pacific Coast Highway i jedzie, dopóki łzy nie zaschną jej na policzkach. Potem zajeżdża pod pierwszą lepszą nadmorską restaurację.

Z kieliszkiem w ręku schodzi na piasek Zsuwa z nóg buty i w pończochach wchodzi w lodowatą wodę. Piana perli się wokół jej palców u stóp. Ewa idzie pod wiatr, popijając wino. Wreszcie wymanewrowuje zimną bryzę - teraz podmuchy wiatru podwiewają jej włosy. Idzie daleko, daleko, aż ostatnie krople wina wysychają na dnie kieliszka.

Cassie walczy ze snem, w nadziei, że kiedy otworzy oczy, woda będzie się lała obficie - na rabatkach będą się tworzyć strumienie

spływające z pluskiem na beton, a zbląkane krople uderzą w okna, dobywając z nich cymbalkowe tony. Ale gdy wreszcie na dobre się rozbudza, wokół panuje niezmacona cisza.

Oczywiście, że nic nie może słyszeć. Jake przyjeżdża dopiero późnym popołudniem. Jej dom jest jego ostatnim przystankiem tego dnia, jednak w pierwszej chwili, jeszcze nie całkiem obudzona, wyobraża go sobie, jak stoi na trawniku nagi do pasa i kręcone włoski na piersi błyszczą mu od potu.

Musi jednak poczekać, a dzień wlecze się noga za nogą, jakby nigdy już nie miał się skończyć. Koło czwartej zaczynają jej się pocić ręce. Prosi Barbarę o zastępstwo przy ostatniej pacjentce.

W domu bierze prysznic, robi sobie makijaż z „miłosną troską”, jakby powiedziała Nona, podkreca włosy - nie może patrzeć na tę dziewczęcą pretensjonalność, więc znów je rozprostowuje - wybiera zieloną bluzkę, potem niebieski sweter i wreszcie wybucha płaczem. - Jesteś głupią, starzejącą się babą! A niech to wszyscy diabli! — krzyczy w lustro. Dzwoni telefon. - Mama?

- Co się stało?

- Dlaczego od razu miało się coś stać, mamó? Dlatego, że dzwonię?

- Przepraszam, Mandy. Miałam ciężki dzień.

- Ja też. Chyba uwalilałam test z biologii. Potworny był

- skarży się Mandy, a Cassie nasłuchuje, czy czasem już nie jedzie furgonetka Jake'a. Może się w każdej chwili zjawić, a ona, owszem, ma wyrzuty sumienia wobec córki, ale chciałaby jak najprędzej odłożyć słuchawkę. Ćwiczy sobie w myślach słowa „zadzwoń później” i czeka, kiedy będzie mogła je wślizgnąć między matczyne potakiwania i pomruki. Tymczasem ma uczucie, że wjeżdża kolejką na szynach najwyżej jak się da, osiąga zapierającą dech wysokość, mało nie wyleci z wagonika, ale już, już za chwilę Jake wyrwie ją stamtąd i uniesie pod niebo. Jest, jest! Słyszy trzask zamykanych drzwi.

- Mandy, ktoś przyjechał! Zadzwoń do ciebie później!

- Kto taki? - Mandy nie jest aż tak pochłonięta swoimi sprawami, żeby nie usłyszeć łzawego tonu w głosie matki.

— Nie wiem.

— Mamo, odłóż słuchawkę i zobacz. Potem...

— Mandy, proszę cię! Kocham cię! - mówi Cassie i przerywa połączenie w chwili, kiedy dostrzega Yanga podchodzącego pod kuchenne okno.

— Yang, jak się masz? Dawno cię nie widziałam. Zgarbiony, mały człowieczek, zmarszczony jak pieczony kasztan, podnosi głowę.

— Dzień dobry, pani doktor. Czy wszystko dobrze u pani?

— Tak, dobrze. A u ciebie?

— Doskonale, dzięki łasce Pana naszego. — Yang wyznał jej kiedyś, że jest praktykującym chrześcijaninem, wdzięcznym misjonarzom za wykształcenie, jakie mu dali. Ludzie o czystych umysłach natchnęli go taką siłą, że cało przetrwał okrucieństwa nie kończącej się wojny. Był na dnie rozpaczy, kiedy litościwy Pan Bóg i Biblia pospieszyły mu na pomoc: rozłożyły siatkę bezpieczeństwa, a Yang wypłynął na swej wierze na wolność. Przynajmniej tak to rozumiała Cassie. — A Mandy, zadowolona ze szkoły? — pyta Yang z gumowym węzłem w rękę, gotów oddać się kulturalnej rozmowie; ma ugrzeczniony sposób bycia dworzanina. — Tak. Bardzo — odpowiada Cassie i uważnie rozgląda się po małym podwórku. - A gdzie Jake? Dlaczego ty jesteś tu dzisiaj zamiast niego? — Czerwieni się pod nieruchomym spojrzeniem Yanga. — Oczywiście bardzo się cieszę, że cię znowu widzę. To zawsze dla mnie przyjemność. Ale Jake świetnie się tutaj spisuje. Nie mogę narzekać. Nie myśl, że mam coś przeciw niemu — Cassie mówi nerwowo, a z każdą minutą coraz bardziej narasta w niej bolesne przeświadczenie, że Yang jest sam i doskonale wyczuwa, że to właśnie głębokie rozczarowanie nakręca trybiki jej paplaniny.

— Cieszę się, że pani jest zadowolona z mojego przyjaciela Jake'a.

Trudno wyczytać coś z oczu Yanga — małych czarnych kamyczków pośród zmarszczek. Z szarmancją ludzi Wschodu unika jej spojrzenia; rozmawiając, spogląda gdzieś w powietrze wokół głowy Cassie jak wróżbita, który zna przeszłość i przyszłość i który lepiej potrafi oddzielić jej myśli od słów niż Cassie

złośliwy nowotwór od zdrowej tkanki w czasie operacji. Naturalnie natychmiast zauważa, w jaki sposób jej wargi układają się do imienia „Jake”, jak opadają jej ramiona i kąciki ust, kiedy słyszy: „Jake jest chory. Nie mógł się stawić do pracy ani dziś, ani wczoraj, ani przedwczoraj”. Cassie ogarnia niepokój i strach.

- Co mu jest?

— Nic takiego, w czym lekarz mógłby pomóc.

Jej uśmiech nie prowokuje reakcji ogrodnika - jego twarz przysłonięta jest maską czasu i odmiennej kultury. Cassie traci nadzieję, że Yang powie coś więcej, ale właśnie wtedy ogrodnik dodaje:

— Jake ma stare kłopoty. Czasem od nich choruje.

- Przykro mi. - Cassie chce wiedzieć więcej, chce, żeby Yang jeszcze mówił.

Delikatność Yanga nakazuje mu schylić się nad grządką. Wyciąga jakiś niewidoczny chwast, aksamitnymi palcami ugniata ziemię wokół krzaka azalii.

— Powinniśmy zasiać nową trawę, pani doktor.

- Skoro tak uważasz - zgadza się Cassie i wraca do kuchni. Tam opiera się o zlew.

Stare problemy...

Wojna jest dla Cassie nieznanym doświadczeniem. Filmy robią z niej widowisko. Aktorzy grają swoje role i umierają na niby. W książkach i gazetach słowa i ich sylaby unoszą bitwy, naloty, zwiadowczo-niszczycielskie misje. Ale żeby Cassie nie wiadomo jak próbowała zrozumieć, co zdarzyło się w południowo-wschodniej Azji — wszystkie te akcje militarne, których oficjalnie nigdy nie nazywano wojną - pozostaje przecież wciąż na swoim podwórku i wie, że całą wiedzę czerpie z drugiej ręki.

Odnotowała, że Jake ma „stare problemy”, bo dostrzegła pewne symptomy: kwaśny zapach potu, obniżoną ciepłotę ciała, przyspieszony puls; zobaczyła ogień w jego oczach, ten ogień, który gwałtownie podnosi mu ciśnienie krwi. W tym związku z Jake'em Cassie jest tylko obserwatorką. A cóż to za miłość, kiedy ona, jak dickensowski żebrak, musi wciąż stać na zimnie, na ulicy? Nie za dobra to miłość. Poskarży mu się, kiedy go zobaczy.

Popelniasz wykroczenie braku zaufania. Jeśli nie wierzysz we mnie, nie ufasz mi, to do czego to wszystko podobne? Nie powiedział jej, że ją kocha. W ogóle niewiele mówi. Jake jest jak cichy pies, nie, raczej jak kot — chodzi bezszelestnie, wymyka się przez otwarte drzwi, wskakuje otwartym oknem. Teraz liże zadawnione rany, „stare problemy”, a Cassie siedzi w kuchni i zamartwia się tak intensywnie, że niemal nie słyszy, kiedy Yang puka w siatkę przy wejściu.

- Chcę tylko powiedzieć, pani doktor, że to może ja znów przyjdę w przyszłym tygodniu. Może ja, ale też może nie ja. Trzeba od nowa znów ułożyć cały plan. Zobaczymy. Mój przyjaciel Jake... - Wargi zaciskają się na sobie i znikają pośród zmarszczek. Widać, że Yang nie aprobuje zachowania Jake'a. — Mój przyjaciel Jake może na jakiś czas zniknąć — dodaje.

- Zniknąć? Dokąd? - Jej zdenerwowanie, spowodowane tym, że Jake nie chce wejść w jej życie, nie chce, by się nim zajęła, gwałtownie się potęguje. W tej chwili pragnie go tak mocno, że w ustach czuje smak jego słonej skóry. - Kto to może wiedzieć?

Cassie siłą powstrzymuje się, żeby gołymi rękami nie rozerwać siatkowej zasłony i nie chwycić za gardło tajemniczego staruszka. Wytrzesłaby z niego ten jego pogodny spokój, gdyby tylko mogła.

- Dlaczego?

- Dlaczego, albo dlaczego nie, u Jake'a znaczą tyle samo, pani doktor Morgan. Ten człowiek jest w kawałkach. Jak to młodzi mówią? Nie może się pozbierać. — Yang mówi zupełnie poważnie. — Wojna to zły czas dla dobrych ludzi. Jake nie jest jedyny. Kiedy mój kraj przenicowano na lewą stronę jak płaszcz jakiegoś żebraka, tak że widać mu było dziury na podszewce, wielu ludzi straciło wtedy dusze. W tamtych czasach żyliśmy śmiercią, nie życiem. Mój syn zginął w rowie; urwało mu ramiona - mówi Yang, zanim go Cassie powstrzymuje. Widzi Yanga klęczącego przy drodze, słyszy wysoki krzyk kobiety, a tymczasem twarz Yanga wygląda przez gęstą siatkę jak ciemny lej po bombie.

- Przykro mi - mówi Cassie bezradnie. Czuje się poniżona i nienawidzi się za to, że nie potrafi znaleźć stosowniejszych

słów. Ma ochotę uderzyć ręką w usta, wepchnąć sobie to „przykro mi” do gardła. Jak obraźliwy jest ten jej żal i współczucie, kiedy syn Yanga już nigdy nie stanie na nogach i nic na świecie nie zwróci mu ramion.

- Jake widział wiele takich dzieci - opowiada Yang bez cienia emocji. - I między nami mówiąc, pani doktor, sam spowodował niejedną straszną śmierć. Ale żaden człowiek nie odda swojej duszy tak łatwo, jeżeli ma dobre serce. Przez cały czas, kiedy Yang doglądał jej trawnika, kwiatów, i królewskiej palmy, zamienili ze sobą tak niewiele słów, że Cassie mogłaby je teraz zmieścić w solniczce. Z bólem stwierdza w duchu, że nie wie nic o starym ogrodniku, o misjonarzach i tej wierze, którą Yang otacza się bezustannie, niczym peleryną. Kim on tam był u siebie w domu, w Azji?

- Większość z nas próbuje zapomnieć. Jednym się to udaje, innym nie. Mnie też czasem dręczą złe sny. Piję wtedy gorące mleko i czytam kilka wersetów z księgi Powtórzonego Prawa pięcioksiągu Mojżesza. Ale mój przyjaciel Jake nie wierzy. Błuźni o jakiejś pustce, o tym, że nie ma żadnego drogowskazu, żadnej świadomości ani mądrości. — Ten brak wiary u Jake'a zasmuca Yanga; wydaje się, że postarza go o kilka lat. — Ale wybaczam mu. Poza tym tylko Bóg Wszechmogący może nas osądzić.

- Gdzie on jest? — pyta Cassie. Nie dałaby pięciu groszy za to, czy Yang nie osądza jej właśnie.

- Jego serce jest w ciemnym miejscu, w ciasnej, ponurej grocie. — Ogródnik wzdycha i wywraca oczami; białka jego oczu pobłyskują i Yang wygląda tak, jakby za chwilę miał wbiec na ambonę i wygłosić kazanie. — Próbuje wyjść na słońce, ale to trudna rzecz, bez boskiego przewodnictwa. Chciałem pokazać mu drogę, bo znamy się od wielu, wielu lat. Był dla mnie dobry w Sajgonie. Dlaczego? Kto to wie? Znalazł mi papiery. - Papiery?

- W tamtych ostatnich dniach papiery znaczyły więcej niż złoto. Nic nie dało się zrobić bez właściwych dokumentów.

- I Jake ci znalazł jakieś?

- Dobrze. Takie jak trzeba. Żadna tam lipa. Rząd amerykański bardzo pilnował, żeby go nikt nie nabrał na jakieś fałszerstwa.

To jeszcze nie koniec 279

- I dzięki tym papierom trafiłeś do Stanów?

- Tak. Bogu niech będą dzięki.

Co znaczy - myśli Cassie - że Yang to nie Yang - jeżeli ta opowieść odpowiada prawdzie. Ale dlaczego miałby kłamać? Tylko po co jej mówi, że jest oszustem?

Ogrodnik omiata wzrokiem podwórko i zastanawia się, co trzeba będzie zrobić w następnym tygodniu. A może sprawdza, czy rzeczywiście stoi na amerykańskiej ziemi?

- Widzi pani, że muszę teraz odplacić mu przysługę za przysługę. Zwłaszcza że to było przecież coś więcej - mówi wreszcie. - Daję mu pracę, kiedy jej potrzebuje. Mimo że rzeka lat upłynęła już od tamtej pory, ja nigdy nie zapomniałem. Zapomnieć to znaczy mieć bardzo złą karmę. - Czymże jest karma dla chrześcijanina, który żyje tylko raz, umiera na zawsze i jest zbawiony na wieczność albo też skazany na nie kończący się ogień piekielny? Najwyraźniej dla Yanga nadal jest czymś ważnym, bo możliwość ponownego odrodzenia się ciągle steruje jego zachowaniem.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony, Yang - stwierdza Cassie i czuje, że wstrząsa nią nagły dreszcz, kiedy nagle zupełnie bezzasadna myśl przebiega jej przez głowę, że to Jake pozbawił rąk syna Yanga i zostawił go w rowie. Ogrodnik wzrusza ramionami w geście, który wyraża stulecia akceptacji ciągłych upadków i wiecznego odradzania się na nowo. Podchodzi do furgonetki i zdejmuje z niej kosiarkę do trawy. - Musimy sobie w miarę możliwości pomagać. Lekarka w Cassie może temu tylko przyklasnąć.

- Ja też chcę pomóc Jake'owi.

Yang nie jest niewiniątkiem. Chociaż rozumie uczucia Cassie — tak jakby się sama przed nim wypowiedziała wśród szlochów nad gorącą herbatą - prostuje plecy i mówi:

- Wielu ludzi rozmawiało już z Jake'em. Ja też. I lekarze, ci ze szpitala...

- Jakiego szpitala?

- Zdradziłem może jakąś tajemnicę? - pyta Yang, bez śladu niepokoju. W jego głosie jest jakiś orientalny spokój, coś gładkiego, jedwabistego, coś, co koi Cassie nawet wtedy, gdy słyszy rzeczy, o których nie chciałaby słyszeć.

Diana Silber

- Ciekawiło mnie tylko, co to był za szpital, to wszystko. Może ten dla weteranów, u nas w Westwood? - Trochę za późno usiłuje przybrać zawodowy ton.

- Muszę już kończyć. Obiad pewnie czeka na stole, a mnie tam nie ma. - Uśmiecha się, jakby powiedział jakiś dowcip. Zresztą, może i powiedział, któż to może wiedzieć? Dla Cassie znaczy to tyle, że Yang zniknie nie wiadomo gdzie aż do następnego tygodnia. Do tej pory nigdy nie zastanawiała się nad tym, dokąd ogrodnik jeździ, co robi i z kim. Ma może inne dzieci, które sprowadził tutaj przez Pacyfik? Żonę? Może nawet wnuki?

Yang wycofuje się po schodkach.

- Lis i ryba nie mogą pływać razem ani biec obok siebie przez las — stwierdza sentencjonalnie. — I proszę się kłaniać ode mnie pannie Mandy.

- Yang!

Ale Yang sprytnie chwycił już kosiarkę za rączki i pcha ją na daleki koniec trawnika.

Cassie nie ma ochoty wychodzić na kolację, ale nie może też zostać w pustym domu — cichym grobowcu — beznadziejnie czekając na telefon od mężczyzny, który prawdopodobnie wcale nie zadzwoni. Nie powinna sobie w ogóle życzyć tego telefonu. W tej tęsknocie za nim jest jakieś szaleństwo. Rozsądek podpowiada, że musi wyrzucić Jake'a z serca i z myśli, przesunąć go do kategorii już minionych błędów. Tylko że jej serce jest czymś więcej niż mięśniami. Zanim więc Nona zadzwoniła, Cassie siedziała gdzieś, wewnętrznie załamując ręce, a tak naprawdę przy kuchennym stole popijała codzienny kieliszek wina „na wyhamowanie”. Przed nią leżała rozłożona gazeta z normalną porcją nieszczęść: KATASTROFA LOTNICZA W GÓRACH SIERRA; SIEDMIORO DZIECI GINIE W POŻARZE; TOKSYCZNY OBŁOK NAD DOLINĄ. Łzy, które Cassie wylewa na strony dziennika, obmywają nieszczęścia jej i innych. Poczucie winy rodzi się w niej dopiero wtedy, gdy Nona mówi: „Ewa na pewno bardzo to przeżywa. Możemy zrobić chociaż tyle, żeby zaprosić ją gdzieś do restauracji i pocieszyć choć trochę”. Zła z niej przyjaciółka, zajęta swoi

mi sprawami, zapomniała już o guzie Ewy. Zdradliwość kobiety pragnącej mężczyzny obraża w Cassie poczucie własnej godności; miałaby ochotę wybiczować się za to, że zachowuje się jak porzucona samica. Mogłaby równie dobrze być, ba!, przecież jest taka sama jak April, Nona, Mandy... Czuje tak straszne niezadowolenie wynikające ze świadomości, że nie jest bardziej uodporniona na wirusa miłości niż inne, że na złamanie karku pędzi do Westwood, do drewnianej knajpki z podłogą z surowych desek, z wiszącymi paprociami i szklanicami lodowatego piwa, aż wreszcie zatrzymuje ją policjant i wlepia jej mandat.

Nona przyjmując wobec nich zabawną rolę matki, klepie Ewę po dłoni i mówi:

- Cassie ci zaraz powie, że to wszystko furda. Nie wyrosną ci włosy na brodzie i nie będziesz potem tygodniami chodziła na czworakach, zgięta jak agrafka.

- Wiem, że nie. Histerektomia jest operacją taką jak wszystkie inne. Trzeba tylko wyróżnić zardzewiałe części i wywalić je na złomowisko. - Ewa jest cięta jak zwykle, może tylko nieco bledsza niż zawsze, no i pod makijażem widać piegi...

- Mogłabyś nie palić - denerwuje się Cassie, kiedy Ewa przypala papierosa. Ewa postanowiła zadrzeć nos w górę i w obliczu niewiadomej przyszłości znów zacząć palić. - Nie wiemy jeszcze na pewno, czy będziesz musiała poddać się tej operacji. Poczekaj jeszcze z papierosami.

No, to absolutnie nie jest kłamstwem. Nikt jeszcze nie podjął decyzji, czy najlepszym sposobem leczenia będzie operacja. Nikt, to znaczy Jena. To będzie wiadomo dopiero wtedy, gdy dostaną już wyniki badań i omówią wszystkie aspekty sprawy — uspokaja się Cassie.

Nona jest podekscytowana jak dziecko w Boże Narodzenie — pełna oczekiwań i przygotowana na rozczarowanie. Wreszcie znalazła coś, czym lekarze naprawdę się przejmują. Nie można powiedzieć, że sama chciałaby pójść pod nóż jako osoba autentycznie chora, ale ma zamiar głęboko przeżyć doświadczenie Ewy.

- Jak długo będzie musiała leżeć w szpitalu?

Diana Silber

- Na ogół teraz wystarcza pięć dni.
 - Pięć dni! - wykrzykuje rozczarowana Nona. - To jakoś krótko...
 - Jeżeli zdecydujemy się operować - przypomina Cassie.
 - Ta operacja nie jest mi potrzebna do szczęścia, gdyby się ktoś pytał - zauważa Ewa.
 - Decyzja, rzecz jasna, należy tylko do ciebie — przypomina Cassie.
 - Jasne - mruczy Ewa bez przekonania.
 - Naprawdę — powtarza Cassie.
 - Nikt z nas o niczym naprawdę nie decyduje. Uciekamy tylko od jednego lęku do drugiego. Udajemy, to jest taka gra, udajemy, że kontrolujemy życie, a wciąż paktujemy z nim na nowo. Tylko że każdą umowę można zawsze zerwać. Cassie czuje drapanie w gardle, ale nie potrafi wydusić z siebie imienia Jake'a; nie zagadnięta, nie umie dzielić się swoim nieszczęściem. Chyba że Ewa sama ją zapyta.
 - Jak tam ogrodnik? Ewa traktuje Jake'a jak zabawkę, kaprys Cassie, kogoś do igraszek na sianie. Nie powiedziała tego wprost, ale oczywiście uważa, że to jest znížanie się. Cassie-wzięła sobie kogoś spoza swojej klasy, i nie jest to z jej strony upadek, ale czysta głupota.
 - Dalej się świetnie bawicie? Jak trzeba? Potrzebujesz trochę pofiglować. Dobrze jest zakręcić się czasem w tańcu, tylko za bardzo się nie zmęczyć, co? - ciągnie Ewa, przekonana, że Cassie byłoby znacznie lepiej z jakimś kardiologiem albo chirurgiem. Po policzku Cassie spływa łza.
 - A niech to jasna cholera! - sapie Ewa, gasząc dymiącego papierosa.
- Nona aż drży z przejęcia.
- Co się stało?
 - Nic.
 - Nie płaczesz bez powodu — naciska Ewa.
 - Co on ci zrobił, Cassie? - Coś tak strasznego, że wszystkie mogą się nad tym popłakać i upić?
 - Nic mi nie zrobił. Po prostu zmienił zdanie. Albo tak mu

się teraz wydaje. W każdym razie od kilku dni nie mam od niego żadnej wiadomości. Ewa kiwa głową.

- Brak spodziewanych telefonów. Witaj w krainie złamanych serc. Mężczyzna zawsze cię tutaj dopadnie.

Ewa owija je własnym doświadczeniem, przygważdża do ziemi nie tylko dwie przyjaciółki, ale wszystkie kobiety, pęta ich miłość łańcuchami, aż wreszcie Nona musi zaprotestować:

- Nie każdy romans kończy się nieszczęśliwie! Nie słuchaj jej, Cassie. Jake wróci.

- Serduszka i kwiatki, marzenia słodkiej Pollyanny - ironizuje Ewa. - Dlaczego zawsze znajdują się kobiety, dla których każdy mężczyzna jest ósmym cudem świata, takie, które się zawsze uprą, że masowe reprodukcje są tyle samo warte co oryginalne płótno Rembrandta?

- Jesteś niesprawiedliwa - odpowiada dotknięta Nona. - Ja tylko nie jestem do nich źle nastawiona.

- Zle nastawiona! Moja ty kochana, moje ty serce ze szczerzej platyny! Dla ciebie każdy romans jest od razu miłością. Ty sama jesteś dowodem na to. Masz tyle zabliznionych ran, że mogłabyś występować w cyrku jako dama z tatuażem!

Ewa jest przerażona i musi wylądować jakoś ten lęk, który znajduje upust w gniewie - gotowa rozgnieść na proch każdego, kto się jej nawinie. Ale choć raz Nona obiera rozsądną taktykę. Prycha i mówi, że nie będzie słuchać krytyki pod swoim adresem, zresztą - przypomina - muszą teraz poświęcić uwagę problemowi Cassie.

Cassie jednak nie umie przehandlować im wspomnień o Jake'^ To, czym się z nią podzielił, zrobił przecież w pełnym zaufaniu i tak przy tym cierpiał, że teraz nie sposób pozwolić na to, żeby nawet najlepsze przyjaciółki bawiły się nim nad talerzem z hamburgerem. Opowiada więc historię niekompletną, pełną niedomówień.

Nona i Ewa mają sceptyczne miny.

- Nie o to chodzi, że ci nie wierzę, ale coś chyba zgubiłaś po drodze — mówi Ewa. — No bo dlaczego miałby tak nagle zerwać się w środku nocy i uciec bez powodu?

- Miał swoje powody, ale ich nie znamy - wyjaśnia Nona.

Diana Silber

- Oczywiście, pod warunkiem, że nie jest to przypadek kwalifikujący się do domu bez klamek. Ale możemy chyba zaufać pani doktor, że jej Jake jest przy zdrowych zmysłach. Musi więc być jakieś wytłumaczenie tego dziwnego zachowania. - Ewa przygląda się Cassie z miną pod tytułem „tylko nie próbuj mnie tutaj wykiwać”. - Miał zły sen — wyznaje w końcu Cassie.

- Stary koszmar: bagno, potwór o ostrych klach, cały oblepiony łuskami.

Cassie chce zmienić temat.

- Zamówię sobie chyba kawałek tortu orzechowego. Z kremem waniliowym. Ktoś będzie mi towarzyszył? Ale Ewa nie da się wywieść w pole.

- Jaki zły sen?

- O Wietnamie - mówi Cassie w końcu, bo inaczej czekałyby w nieskończoność.

- Ale kiedy to było! - wykrzykuje Nona.

- Niektóre koszmary trwają całe wieki - mówi Ewa. Jeżeli Cassie sądziła, że rozmowa o Jakeu zdejmie jej ciężar rozpacz z piersi, była w dużym błędzie. Teraz czuje się jeszcze gorzej i pyta nieśmiało, jak jej pacjentki: - I co mam teraz zrobić?

- Pojedź do niego - podpowiada Nona. - Zobacz, jak się czuje. Sprowadź go do siebie i porozmawiaj. Na pewno będzie wdzięczny losowi, że znalazł kogoś tak rozsądnego jak ty.

- Ostatnio słyszałam, że rozsądne kobiety nie są u mężczyzn w cenie — zauważa Ewa.

- Dlaczego jesteś dla niej taka niedobra? - Nona marszczy nos, jakby czuła jakiś kwaśny odór. Zapomniała już, że to z powodu Ewy, nie Cassie, spotkały się na kolacji. To do Ewy trzeba dziś wyciągnąć pomocną dłoń, to Ewę trzeba wesprzeć i pocieszyć. - Nie znasz go ani odrobinę lepiej niż któregoś z tutejszych kelnerów - mówi Ewa i wyciąga palec w stronę Cassie. - Ten Jake jest jak nocny motyl! Jak kichnięcie wiatru. To nie jest związek, to dno! - Nie mów takich rzeczy! - protestuje Nona, machając rękami wokół Ewy, jakby chciała słowa krytyki odegnać w inną stronę.

Ewa nie zwraca na nią najmniejszej uwagi i ciągnie:

- Dla ciebie będzie lepiej, Cassie, jeśli zobaczysz wreszcie, że twój Jake nie jest cudownym zrządzeniem losu. Jeżeli Ewie zależy na tym, żeby pokłócić się z przyjaciółkami, to prawie osiąga cel, bo Cassie jest naprawdę wściekła. - Przestań o nim źle mówić, Ewa! On jest... jest... - Już ma powiedzieć „cudowny”, ale waha się zakłopotana, wreszcie mówi im to, bo przecież Jake jest absolutnie cudowny i ona tak bardzo chce, żeby do niej wrócił. Chce go znów widzieć, słyszeć przez telefon, chce go mieć w kuchni nad puszką piwa i w łóżku. - On nie jest dla ciebie. Ten ogrodnik, któremu śni się Wietnam, który wybiega z twojej sypialni o trzeciej nad ranem i milczy, po prostu nie jest dla ciebie. Człowiek o takim pochodzeniu i przeszłości może równie dobrze któregoś dnia zamieszkać pod śmietnikiem na Main Street!

- Nie możesz złego słowa powiedzieć o jego pochodzeniu! - Cassie podnosi głos.

— Zapomnij o nim. Znajdź sobie kogoś stosowniejszego

- radzi Ewa, jak dorosła, rozsądna kobieta, dokładnie w ten sam sposób, jakby robiła to Cassie, gdyby odwrócić sytuację i w życie Ewy wdarłby się mężczyzna, który zawirowałby z siłą cyklonu i potem raptem zniknął. — Nie mogę. — Jesteś uparta. Po prostu nie chcesz.

— Dobra, niech będzie, że nie chcę.

Nona, która jest już na granicy łez, rozumie to doskonale.

- Biedna Cassie - szepce.

Nerwowo dotykają przedmiotów na stole: sztuców, solniczki, pieprzniczki, szklanek, w których topnieją kostki lodu, talerzy z niechcianym jedzeniem.

— Chodźmy już — proponuje Cassie. — Marzy, żeby jak najszybciej wrócić do domu, ukryć się przed ich wzrokiem i boleć w samotności. — Hej, co u pani słyhać?

Zaskoczone spoglądają na mężczyznę w dżinsach i skórzanej kurtce; przestępuje z nogi na nogę tuż przy ich stoliku i wbija wzrok w Nonę.

- Pamięta mnie pani? - pyta. - Była pani moją wybawczynią, moją dobrą wróżką, a ja księciem w kłopotach. - Uśmie-

cha się. Ma krzywy ząb z przodu, przez co wygląda jak znajomy, chłopak z tej samej ulicy, ktoś, z kim się szło na zabawę szkolną w pierwszych latach gimnazjum, ktoś, kto czekał na ganku z bukietem gardenii.

— No nie! Naprawdę tak łatwo można mnie zapomnieć?

— Pamiętam pana — rzuca Nona pospiesznie. Przedstawia Fitzę przyjaciółkom, które siedzą teraz poważne jak sowy i uprzejmie słuchają opowieści o zepsutym samochodzie i o tym, jak Nona podwiozła Fitzę na stację. Ewa i Cassie mruczą coś niewyraźnie pod nosem, kiedy nieznajomy zamawia wszystkim po szklaneczce czegoś mocniejszego. Z naturalnym wdziękiem odsuwa krzesło, siada przy stoliku, dowiaduje się, jak mają na imię i czym się zajmują, ale cały czas prawie nie spuszcza wzroku z Nony i wreszcie, kiedy Nona daje hasło do wyjścia, pyta: — Lubi pani tańczyć?

— Pewnie.

— Świetnie! Niedaleko stąd, w North Hollywood, jest klub z najlepszą dyskoteką w całej Kalifornii. Niech pani jedzie ze mną, a odstawimy Freda i Ginger. - Nona waha się. - Proszę...

Nona spoziera na przyjaciółki, a Ewa - która uznaje, że ten nieznany facet, mimo powierzchownego wdzięku, jest i tak sto razy lepszy od żonatego Alana — namawia ją: — Idź, idź.

— Sama nie wiem...

— Bardzo by się pani ze mnie śmiała, gdybym powiedział, że noc jest młoda, a pani bardzo piękna? - pyta Fitz. - Nona chichocze. - Fajnie. Jest pani jeszcze śliczniejsza, kiedy się pani śmieje.

Cassie i Ewa są zakłopotane tak publicznym uwodzeniem Nony i rewerencją, jaką dostrzegają w oczach Fitzę. Ale są też poruszone. Cassie wygładza bluzkę, Ewa poprawia włosy za uchem, zupełnie jakby zainteresowanie Fitzę obejmowało je też jakąś falą, na której zaczynają się właśnie unosić. Fitz oczarowuje je wszystkie, z ulgą więc przyjmują zgodę Nony na wieczór w klubie. Szybko się żegnają, wymieniają leciutkie pocałunki - przytknięcie ust do policzka - i dopiero, kiedy obie siedzą już w swoich samochodach, a jedynym ich towarzystwem jest powiew ciepłego wiatru, czują, jak opuszcza je zadowolenie.

Alan klnie, miota się po pokoju, nadyma w złości tak bardzo, że zaraz głową sięgnie sufitu.

- Przylatuję wcześniejszym samolotem wyłącznie ze względu na ciebie! A ty... A ty...

Widział ich przez okno? Słyszał, jak Fitz proponował strze-miennego? „Herbata, kawa, płaszcz czy piżama?” Słyszał śmiech Nony, do którego Fitz prowokował ją cały wieczór. Fitz... W jego obecności jeżą jej się drobne włoski na ramionach.

— Jak mogłaś być tak niewierna? — woła Alan ze łzami w oczach i w głosie.

Diana Silber

— Nic się nie stało. To tylko mężczyzna, nikt więcej - tłumaczy Nona, ale nie osiąga właściwego efektu.

— Mężczyzna! Tylko mężczyzna! Lincoln też był mężczyzną. I Billy Kid, i Clark Gable. Ja też jestem tylko mężczyzną! — Przepraszam.

— Ale co to za mężczyzna? Gdzie go spotkałaś? Poderwałaś go sobie w barze?

— Nie bądź wulgarny!

— Chcę znać prawdę! — upiera się Alan, choć wcale nie chce prawdy. Chce tylko, żeby Nona czekała na niego w domu w długim jedwabnym szlafroku, który jej kupił w Magnin's, chce, żeby była w domu, kiedy on przylatuje, dzwoni, wpada, ma czas, wtedy, gdy mu wygodnie, na pół godzinki między pracą a kolacją w domu. Myśl o tym, że ktoś, Fitz, czy ktokolwiek inny, mógłby ją gdzieś zabrać, opowiedzieć jej kawał, postawić drinka, tańczyć z nią w czułym uścisku — w ogóle sama możliwość, że mógłby się przy niej znaleźć jakiś inny mężczyzna — doprowadza go do wybuchu, od którego szyby drżą w oknach. Tak, jak to się dzieje na setkach filmów, teatralnym gestem, z rozmachem rzuca szklanekę whisky do kominka i przekrzykuje brzęk tłuczonego szkła: — Myślałem, że coś nas łączy!

— Bo to prawda!

Alan zakłada, że Nona jest winna - zresztą jest w gruncie rzeczy: zaskoczyła go, stworzyła niewygodną sytuację — rozdłubuje więc to drobne zadrapanie, aż do krwi. Nona podchodzi za nim do kanapy, on zbiera swoje rzeczy i szepcze głosem pełnym najprawdziwszego bólu:

— Myślałem, że mnie kochasz, że łączy nas coś więcej niż zwyczajny...

— Kocham cię, Alan! - przerywa Nona. - Nie zrobiłam nic złego. — Chwyta go za rękaw. — Ale nie możesz oczekiwać, że będę siedzieć w domu jak wierna Penelopa...

— Poszłaś z nim do łóżka? - W jego głosie słychać zazdrość i strach.

Jakim sposobem wmanewrowała się w tak paskudną sytuację? Tylko bez paniki. Cicho. Uważaj, co robisz. Myśl! Nona przysiada na brzegu bujanego fotela.

— Alan, muszę czasem wyjść z domu. Sam rozumiesz, że byłoby to niesprawiedliwe z twojej strony, gdybyś wymagał, żebym siedziała tu sama, podczas gdy ty idziesz się gdzieś bawić z żoną. — Nona wie, że to, co mówi, brzmi rozsądnie i że Alan też to rozumie, a mimo wszystko szarpie się w lepkiej pajęczynie, którą ją omotał. Alan jest sprytny i ze swadą złotoustego prawnika wytrąca jej argumenty, sprawia, że Nona przegrywa w tym fechtunku. Twierdzi, że złapał ją na gorącym uczynku, z dymiącym pistoletem w ręku i trupem u stóp, i w obliczu jego świętego oburzenia Nona wie, że co prawda nie popełniła występku, ale wierzy, że łatwo mogłaby to zrobić. Teraz więc błaga go o wybaczenie. Poza tym boi się, bo Alan przestał już krzyczeć i zbiera się po cichutku do wyjścia. To przeraża ją bardziej niż przekleństwa i głośne oskarżenia.

— Kocham cię — powtarza uporczywie, patrząc przez mgłę łez na jego rozmazaną postać.

— Nona, nie jestem potworem — mówi Alan ze smutkiem. - Pragnę, byś była tylko moja. Nie chcę się dzielić tobą nawet całkiem niewinnie. Wiem, że żądam wiele. Ale cię kocham, a kiedy kocham kobietę, oczekuję od niej pewnych rzeczy.

— A jak się ma do tego twoja żona?

Jego westchnienie porusza zasłonki w oknach.

— To zupełnie inna sprawa.

— Alan... Potrząsa głową.

— Może dobrze się stało. Wcześniej czy później... - Jego ramiona unoszą się i opadają. A potem jak podrzędny gracz, który marzy o gwiazdorstwie, Alan godnie opuszcza mieszkanie i cicho zamyka drzwi. I chociaż Nona nie może powstrzymać łez i wbija paznokcie w dłonie, żeby nie pobiec za nim, to jednak dobrze wie, że gdyby coś takiego zdarzyło się Ewie, Cassie czy jakiejś innej kobiecie, uznałaby, że Alan jest okropny, a tamta po prostu głupia. Płacze gorzkimi łzami, bo przecież kocha Alana — a w każdym razie żyje w takim przekonaniu - potrzebuje go i rozmyśla o tym, jak by to mogło być, gdyby zostawił Marjorie i synów dla domu, dzieci i małżeństwa, które sobie wyśniła.

Odchodzi od drzwi. Zupełnie ciche mieszkanie - nawet powietrze jest jakby opakowane styropianem — jest dla niej oskarżeniem. Nona bezgłośnie stąpa po wykładzinie i odruchowo zaczyna się rozbierać. Nie wie, co robić, za co mogłaby przehandlować swój ból. Może już tylko płakać. Kolejny mężczyzna odplynął z jej życia, kiedy tak bardzo chciała, żeby przybił do portu.

Jest zbyt zmęczona, żeby klócić się z losem.

Wiesza sukienkę w szafie i słyszy delikatne srebrzyste dzwonienie, jakiś znajomy dźwięk. Coś blyszczy na podłodze, między dwoma brązowymi butami. Nona pochyła się i widzi myszkę w obróżce z dwoneczkami, zabawkę Magika. Widok zabawki jest kroplą przepelniającą czarę. Nona opada na kolana. „Magik!” - krzyczy i szarpana żalem, szlocha coraz głośniejsze i wyżej. Ból po stracie kota miesza się z bólem utraty Alana. Telefon długo dzwoni, zanim Nona słyszy dzwonek.

- Wiem, że jest późno i pewnie leżysz już w łóżku, ale musiałem do ciebie zadzwonić. Tylko po to, żeby ci powiedzieć, że to był wspaniały wieczór i że bardzo chciałbym, żebyś... Nona? Nona?! - Jej łzy skapują po kablu i kropelkami opadają na Fitz'a. — Co ci jest? - Nic. Nic mi nie jest.

- Poczekaj, już do ciebie jadę. Coś się przecież stało.

- Nie, nic się nie stało. Niczego mi nie trzeba.

- Może nic ci nie trzeba, ale jesteś zdenerwowana. Jak to jest, że pół godziny czy godzinę temu zostawiłem cię wesołą, roześmianą, a teraz toniesz we łzach i to może jeszcze przeze mnie...

- To nie ma nic wspólnego z tobą! — Dlaczego mężczyźni zawsze sądzą, że kobiece łzy rosną z tego ziarna, które tak bez troski zasiali? Przecież można w końcu płakać z tysiąca powodów. Ma ochotę wykrzyknąć mu to wszystko w słuchawkę, ale powstrzymuje się w ostatniej chwili. Przecież płacze właśnie z powodu mężczyzny, tyle że innego.

- Fitz? - Słuchawka milczy. Fitz zaraz wprowadzi obietnicę, czy groźbę, w czyn. Za chwilę będzie go miała u boku. A przecież odrzuciła jego ofertę pomocy.

Szybko zmywa z twarzy ślady łez, podmalowuje oczy, zawiązuje czerwoną apaszkę na włosach, przez co upodabnia się do Cyganki. Chce wyglądać najwesелей jak może. Polyka valium, powoli wdycha kilka głębokich haustów powietrza, postanawia pomyśleć raczej o spokojnym morzu niż o rozsierdzonym Alanie, który jak burza wypadł z jej mieszkania i życia, a kiedy Fitz naciska dzwonek u jej drzwi, jest już gotowa, żeby ją pocieszał.

Na jego widok załamuje się jednak. Jej dobre intencje, by się dzielnie trzymać, leżą w gruzach i Nona pozwala, by Fitz wziął ją w ramiona. Ciepło bijące z jego ciała i drżąca cisza wywołują kolejną falę łez. Chciała mu powiedzieć - musi przecież znaleźć jakieś wytłumaczenie swego stanu - o Magiku. O tym, jak go straciła i jak tuż przed telefonem Fitz'a znalazła myszkę-zabawkę w szafie. Wszystko to prawda, ale Fitz nie tyle jest zainteresowany tym, co spowodowało fakt, że zalana łzami wisi mu teraz u szyi, ile tym, co mógłby zrobić, żeby przerwać obfity strumień łez.

Zaczyna ją więc pocieszać. Muska jej kręgosłup, całuje szyję, szepcze jakieś bzdury do ucha, aż wreszcie obejmuje wargami słone usta Nony i pocałunkami wpycha jej szloch do gardła. Nona chciałaby go może powstrzymać, ale wtedy on z pewnością sobie pójdzie, a przed nią rozciąga się przecież transkontynentalna autostrada nocy. Ciemność ustąpi świtowi dopiero za setki godzin. Nie, Nona nie zmruży tej nocy oka, bez względu na to, ile tabletek połknie. A jeśli nawet zaśnie, znów przyśni jej się ten sen... Więc znów daje się prowadzić Fitzowi - jak w tańcu - tylko że teraz do sypialni, do łóżka, gdzie chowając się w jego ramionach pozwoli mu wylądować na sobie jego męskie pragnienia.

Bądź wdzięczna swojej szczęśliwej gwiazdzie. Całuj ziemię. Zmów paciorek dziękczynny patronowi samotnych kobiet. To co stare wyrzuc na śmietnik, teraz idzie nowe! Wiesz, ile kobiet nie posiadałoby się ze szczęścia? - We francuskim bistro, w pasażu, Ewa stuka filiżanką bezkofeinowej kawy o szklanke nisko-kalorycznej coca-coli, którą popija Nona. - Wiwat! Fitz na głowę bije tego twojego żonatego adwokata.

- Nie możesz tak mówić. Nigdy nie widziałas Alana. Poza tym, ja go kocham.

Diana Silber

- Miłość jest kapryśna. Płynie jak rwąca rzeka. O tym, kogo kochasz, porozmawiamy w przyszłym lipcu.

- Wtedy już skończę czterdzieści lat!

- Czterdziestka nie jest najgorszą rzeczą, jaka się może człowiekowi przytrafić - konstatuje Ewa, która ten moment ma już za sobą, a teraz mierzy się ze śmiercią.

- Ale ja chcę... - zaczyna Nona.

- Tylko mi nie mów znów o dzieciach! Gwałtowność, z jaką Ewa wyrzuciła to z siebie, wrywa Nonę ze stanu roztkliwiania się nad sobą.

- Wcale nie miałam zamiaru - protestuje, gdy tymczasem dzieci, mąż, dom, rodzina, niedzielne obiady miały się już perlić jej na ustach.

Ewa poprawia mankiety bluzki, wyrównuje je pod granatowymi rękawami żakietu, patrzy na zegarek i nic nie może wyczytać z twarzy przyjaciółki. Na Nonie nie ma ani śladu dramatów ubiegłej nocy; nie widać oznak załamania czy bólu - Nona błyszczy jak dziewczyna z reklamy lodów. Tak rzadko na jej twarzy gości choćby cień uczucia, że Ewa mimo miłości do niej czuje również niechęć. Nona wydaje się wprost nieludzko młoda - słodka ofiara wampira krwiopijcy.

I dlaczego narzeka? Tak, oberwała po nosie, ale już następny, zupełnie niezły facet, zajął miejsce dawnego. Ewa mówi jej o tym, ale Nona znów zaczyna bredzić o miłości. Na szczęście spokojniej.

- Miłość! Miłość! - Ewa kręci się na krześle, jakby szukając jakiejś jednej, jedynej wygodnej pozycji. -

Miłość jest jak chomąto. Mężczyzna zakłada ci je na szyję, a potem ciągnie za sobą przez błoto, nie oglądając się w tył. Zakochana kobieta przypomina spętane zwierzę!

Nona uważa za niesprawiedliwość fakt, że Ewa uzurpuje sobie prawo do uczestniczenia w jej nieszczęściu, jednocześnie odmawiając jej, Nonie, podobnych przywilejów wobec siebie.

Ewa na ogół zachowuje chłodny spokój w obliczu różnych katastrof. Naturalnie niepokoi się swoim guzem. Czy jest na pewno łagodny? Ale, w gruncie rzeczy, nie sposób ją krytykować za to, jak radzi sobie z lękiem. Można spodziewać się nawet, że choć raz tama puści pod naporem uczuć i Ewa

wybuchnie histerycznym płaczem. Nona ma nadzieję, że stanie się to, zanim jeszcze wwiozą ją na salę operacyjną. Taka utrata samokontroli pomniejszy nieco Ewę w oczach Nony, sprowadzi ją do ludzkich rozmiarów, sprawi, że stanie się mniej idealna i tym samym mniej przerażająca.

Ewa czasem onieśmiela Nonę, chociaż jest jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Właściwie najlepszą - lista koleżanek od serca jest zresztą bardzo krótka. Ewa jest zawsze niewymownie schludna - jej uczucia są równie elegancko przykrojone jak jej szykowne kostiumy. Nona nie może sobie wyobrazić Ewy, która babrze się w swoich przygodach. Ma za sobą co prawda trzy małżeństwa, ale wszystkie wiedzą, że do tej chwili byłaby panią Abramson, gdyby profesor któregoś dnia się znienacka nie przekreślił. „Martwy jak skała” - mawiała Ewa opowiadając, jak to było.

Martwy jak książka, którą czytał, jak słowa na kartce papieru, długopisy w dzbankach na biurku, tuż obok bibula-rza. Martwy jak przedmiot - myśli Ewa teraz i myślała wtedy, kiedy dotykała karku Abramsona - wąskiego paska bladej, obnażonej skóry, gdzie jak raz zmieściłoby się ostrze gilotyny. Martwy...

Myśli też, że jej „choroba” - którą uznaje za błąd w działaniu nieistotnego elementu - przyciąga Abramsona bliżej. Teraz powitałaby go całym sercem (choć zdarzały się momenty w ciągu tych lat gniewu po jego śmierci, kiedy nie otworzyłaby dla niego ramion) i wybaczyła, że umarł, zostawiając ją samą.

Niedźwiedziowi wystarczył jeden wybuch w sercu, gdy tymczasem piętro niżej ona siedziała na podłodze przy pralce, przyglądała się bulgoczącym prześcieradłom i ręcznikom i rozmyślała, jak mu tu powiedzieć, że chciałaby się wyprowadzić z tego domu. Duch jego żony — którego Ewa nie mogła przecież widzieć, a jednak wciąż widziała — ścigał się po schodach z promieniami słońca i ścigał też Ewę, która sądziła, że jest już tylko o krok od obłędu.

Pierwsze kilka miesięcy w domu Abramsona spędziła bardzo uważając, żeby nie krzyczeć przeraźliwie, gdy co jakiś czas - całkiem bez ostrzeżenia - lodowate zimno zaciskało się jej na szyi niczym pędą. Duch skrzywdzonej kobiety wchodził po

Diana Silber

schodach, schodził na dół, siedział sztywno w hallu, wylaniał się z szaf. Pierwsza pani Abramson mogła być absolutnie wszędzie.

To moje wyrzuty sumienia - tłumaczyła sobie Ewa. Gdyby tylko mogła opaść na kolana i wyznać, może, może wtedy i tylko wtedy... Ale co miałyby wyznawać? Miłość? Czy to moja wina - przekonywała sama siebie - że zakochałam się w żonatym mężczyźnie? To ona sama wysłała się na tamten świat. Nie ja wpakowałam jej pistolet w usta. A u góry, w wyłożonym książkami profesorskim gabinecie, kostucha wyciągała już ręce po Abramsona. Przez sekundę Ewa odczuła jej chłodny oddech na plecach, ale potem śmierć pochłonęła Niedźwiedzia w całości i kiedy pralka zaczęła cykl wirowania, Abramson cicho zgasł. Później Ewa przeklinała i los, i siebie - powinna się przecież domyślić! Lekkim krokiem pokonała schody na piętro, uchyliła podwójne drzwi i powiedziała: „Porozmawiajmy. Mamy pewien problem”.

Co za ironia! Gdyby nie to, że Abramson zaledwie kilka minut wcześniej wyzionął ducha, na pewno byłby się roześmiał. Sądziła, że zasnął - głowa zwisała mu na pierś, książka spadła na dywan. Czytał akurat *Wyznania* Augustyna!

A zatem gdzie i kiedy doznałem takiego szczęścia, by je pamiętać, pieścić w sercu i do niego tęsknić?

— Abramson, zbudź się!

Wbijał szklany wzrok w liść na obrzeżu dywanu.

— Niedźwiedziu, przestań się zgrywać!

Kiedy zaczęła krzyczeć, jej krzyk obijał się po pokoju bez końca, aż wreszcie zabrakło jej tchu.

Zamknęła oprawną w skórę książkę, którą Abramson przechowywał od czasów matury, ułożyła ją ostrożnie na biurku i czerwoną jedwabną wstążką zaznaczyła miejsce, gdzie czytał. Tak jakby za chwilę miał znów po nią sięgnąć...

— Nigdy ci tego nie daruję — przysięgała.

Potem wezwała karetkę. Sanitariusze bezskutecznie usiłowali przywrócić martwego mężczyznę do życia.

Ewa za późno zajrzała do biblioteki. Kiedy podjęto próbę ściągnięcia go znów na

ziemię, jego ciało było całkiem zimne. Nie walczył już z prawem grawitacji i Ewa - wbrew protestom jego dzieci - pochowała Niedźwiedzia bez żadnej ceremonii.

Abramson jak zwykle zjawia się bez zapowiedzi. Umie nieoczekiwanie zawładnąć jej pamięcią i martwym głosem wyrecytować: „Będę cię kochał wiecznie...” Ewa wita to z całkowitym spokojem, udaje, że jest już kimś zupełnie innym.

Gdyby Abramson był wśród żywych, obok niej, nie bałaby się tak śmiertelnie. Ale Abramson istnieje bezcieleśnie, nie może otoczyć Ewy ramionami, uspokoić jej, zapewnić, że wszystko dobrze się skończy, pocieszyć: „Nic się nie martw...”

Rozważa, czy nie powiedzieć Johnnyemu: „Nie będzie mnie jakiś czas. Mam operację. Babskie sprawy”, ale się powstrzymuje. Johnny zaprasza ją na kolację do drogiego bistro na Pico, gdzie przesiadują młodociane pary, młodzi małżonkowie, którzy przychodzą tu z pierwszego własnego gniazdka, i kilkoro podstarzałych mężów i żon, najprawdopodobniej z Rancho Park. Johnny jak zawsze deliberuje w nieskończoność nad kartą, uważny i skupiony jak uczeń z *jeszzywe*. Kiedy odwraca się, żeby zawołać kelnera, Ewa nie może nie zauważyć tonsurki, lysej polany na czubku jego głowy. U takiego bogacza, jakim Johnny był swego czasu, nie jest to żadną wadą, ale teraz przywodzi Ewie na myśl pupcię niemowlaka. Nieszczęśliwa odwraca wzrok na prawo i przy ostatnim stoliku zauważa samotną kobietę. Kobieta siedzi z książką w ręku.

Dawno temu poszli któregoś dnia z Williamem do Bistro Gardens, gdzie Ewa zapamiętała samotną kobietę - elegancką, w brylantowych kolczykach - jedzącą zupę i cicho łkającą. Łzy spadały jej na łyżkę i mimo że kobieta ani razu nie chlipnęła głośniejsz ani też nie cisnęła bułką - w gruncie rzeczy wyglądała zupełnie malowniczo — Ewa miała uczucie, że obserwuje coś bardzo nieprzyzwoitego. Wezwwała szefa sali i kazała mu znaleźć dla nich inny stolik.

Łagodny deszcz kobiecych łez przy samotnym stoliku w restauracji...

A tu siedzi kolejna.

Kobieta bez towarzystwa przy kolacji ma wiele powodów do

placzu i Ewa czuje nagle mrowienie na plecach, myśląc o tym, jak Johnny - razem ze swoją tonsurką i wegetariańskimi przyzwyczajeniami - wypełnia pustkę jej wolnego czasu. Czuje wdzięczność i wstyd za tę wdzięczność, a przy tym już się zastanawia, czy jest dla niego dość miła. Gdyby teraz odszedł z jej życia, czułaby się odarta ze wszystkiego - bo przecież musi mieć kogoś, kto ją potrzyzyma za rękę. A Johnny jest sympatycznym, przyzwoitym człowiekiem, wprost do tego stworzonym. Choć wytarmoszony przez życie i nie może go nazwać ani swą wielką czy choćby drobną miłością, to przecież nie jest zdobyczą, którą należałoby wzgardzić. Powinna go poważnie potraktować. Może nawet ułożyć sobie życie dla niego. Albo z nim? Do czegoś się zobowiązać. Naturalnie, Johnny nigdy nie sugeruje, że jest w niej zakochany albo że oczekuje od niej czegoś więcej niż to, czym już się cieszy.

- Co zamawiasz? - pyta, kiedy Ewa ma właśnie oświadczyć, że już najwyższy czas, by porozmawiali ze sobą poważnie.

- Kurczaka *paillard*— odpowiada.

- Niezłe - a próbuje Johnny gładko i ma taką minę, jakby oceniał efekt, jaki wywiera na Ewie.

Jego zadowolenie irytuje ją na tyle, że postanawia wycofać się z zamiaru podjęcia dyskusji. O operacji już mu też nie powie. Może później nakłoni go do mówienia i zobaczy, ile Johnny jest skłonny dać jej z siebie, a ile ona może mu zaofiarować. Może zaproponuje mu, żeby więcej czasu spędzali u niej w mieszkaniu, trzy czy cztery noce w tygodniu, żeby spróbowali jakiś czas być ze sobą bliżej. Tak na próbę. Z całą pewnością będzie mu lepiej u niej. Jej dom będzie mu przypominał to, do czego wcześniej był przyzwyczajony. Mogą zresztą rozejrzeć się za czymś większym. Tak, Ewa już zacznie się rozglądać.

I właśnie robi to, wodząc palcem w dół listy nowych domków z apartamentami, kiedy po drugiej stronie biurka wyrasta Tytus Reynolds - mączysta skóra zwisa mu wokół ust. Jego wzrok odbija się od Ewy. Tytus ma wygląd zmarnowanego człowieka; jest zbyt zmęczony, żeby być niebezpieczny. Ale Ewa nadal mu nie ufa i dlatego wcale jej nie dziwi, kiedy Tytus mówi:

- Ten dom Irańczyka... Zdawało mi się, że sprawa została skierowana do mnie przez Wattmana z First Federal.

- Naprawdę? Mam wrażenie, że nie chcesz pracować z obcokrajowcami.

- O czym ty mówisz? - piszczy Tytus, unosząc się na palcach.

Ewa przypomina mu, jak sam jej kiedyś oddał pewnego Izraelitę, szukającego apartamentu za pół miliona dolarów.

Tytus ani nie potwierdza tego, ani też temu nie zaprzecza, ale jego nerwowe, drobne ruchy zaraz uniosą go nad szarą wykładzinę podłogi. Za chwilę z piskiem poszybuje w górę, pod sufit wyciszonego biura Bookera. Nadejście klienta ratuje Ewę.

Później słyszy od jednego z agentów, że Tytus jest w dołku. W zeszłym tygodniu stracił dwie sprzedaże i duży plan inwestycyjny, który się dostał agentom z Monrovii. Jego sanktuarium jest mocno zagrożone i niewykluczone, że niebawem zostanie mu odebrane.

Ewa czuje, jak na myśl o tym ślinka napływa jej do ust, i w dogodnym momencie wybiera się do gabinetu Toma Hollo-way'a na krótką pogawędkę, żeby zobaczyć, jak ją potraktuje. Tom zachowuje się z wdziękiem, zakłada nogę na nogę, proponuje jej Pellegrino z lodówki. To dobry znak. Ewa zapala papierosa, choć wie, że Tom nie znosi palaczy — chce sprawdzić, czy nie poprosi jej o odłożenie papierosa na potem. Ale Tom ledwie się krzywi i Ewa z uśmiechem zaczyna mu opowiadać, jak bardzo niewygodnie jej za małym biurkiem, jak mało ma przy nim miejsca. Brak jej przestrzeni, żeby się rozwinąć, i szafek katalogowych, których już nie sposób nigdzie upchnąć. Hm, po prostu czuje się tam jak w komórce.

Naprawdę. - Nie chcielibyśmy, żeby ci było niewygodnie — mówi Tom. Ewa ma jeszcze sporo czasu, żeby powiedzieć mu, że musi wziąć miesiąc urlopu; jeśli się da, odsunie operację aż na grudzień, kiedy w handlu nieruchomościami zaczyna się najgorszy sezon. A do tego czasu może już przejmie wyśniony gabinet, w którym teraz Tytus obija się jak zablakana kula bilardowa. W końcu zasłużyła sobie na to - w ciągu ostatnich pięciu miesięcy bije go na głowę wysokością prowizji.

Ewa jest pół kroku od tego, by wspomnieć Monrovię, agencję Hermana i szepnąć, jak ludzie z Monrovii zdobywają nowe punkty. Ale niewywieranie presji jest najlepszą taktyką, jaką Ewa wypracowała sobie w tym zawodzie. Nie przedobrz tylko — ostrzega się w myślach, a kiedy słyszy dzwonek wzywającego ją *pagera*, wychodzi z biura Toma.

Jej ciało, uwolnione od przeszywającego bólu i nadmiernego krwawienia, jest tak samo sprawne jak dawniej i Ewa zapomina o swoim kłopotcie. Zaczyna podśpiewywać pod nosem i zastanawiać się, jak zmieni wystrój gabinetu Tytusa. Rozjaśni go kolorami ziemi i może nawet powiesi obraz jednego z najbardziej awangardowych artystów, Manuela Swacza, który maluje wyborne abstrakcje. Stać ją na olejny obraz - nawet po cenach, jakie proponują galerie. Zresztą to będzie również pewna inwestycja.

Ewa podnosi słuchawkę wesola jak szczygieł - przyszłość widzi tylko w jasnych barwach. Kto wie, czy nie kupi sobie nawet Rollsa w tym roku — używanego oczywiście. W końcu dlaczego nie? Wreszcie po co są pieniądze? „Żeby je puścić” - mawiał Jordan, chociaż Ewa częściej stosuje zasadę, jaką jej wpajał Abramson: „Ewuś, musimy działać ostrożnie”.

Obiecywała Abramsonowi, że zapracuje na większy dom, że kupi nowy samochód w miejsce jego starego gruchota i jej trzeszczącego Forda, że zafundują sobie wyjazd na południe Francji, plażę, Negresco, Grand. „Och, Ewuś — śmiał się Abramson - pieniądze są tak mało warte, jak dmuchnięcie wiatru”.

- Ewa? Miło cię znów słyszeć. Sądząc po głosie, jesteś w świetnej formie.

- William?

Jakże często myli swego trzeciego męża, tego, który równie dobrze mógł nigdy jej mężem nie zostać, ze śladami, jakie zostawił na jej psychice. Teraz już nawet nie wie, dlaczego za niego wyszła. Chyba przez pomyłkę. Gdyby nie szaleńczy rejs na armagnacu pod żaglami z wydętych prześcieradeł pewnego weekendu w Las Vegas i zawrót głowy spowodowany wygraną przy stole blackjacka, czy wszystko skończyłoby się w Orange Blossom, o drugiej nad ranem? Czy skończyłoby się wariackim wybuchem śmiechu, kiedy stanęli przed drobnym sędzią pokoju

w szlafroku kąpielowym, i niecierpliwymi ponagleniami: „Dalej, niechże pan spełnia obowiązek”? To był żart. Wyciągnęli żonę sędziego z łóżka — miała różowe lokówki na głowie — i rozespaną nastolatkę, żeby stanowili parę świadków przy ślubie. Donośny głos sędziego — taki zaskakujący w zestawieniu ze szczerkowatą twarzą o cienkim, spiczastym nosie — związał ich węzłem małżeńskim. Ze ścian uśmiechali się inni szczęśliwcy — aniołowie stróżujący ceremonii, świeci, męczennicy.

Ślub był najbardziej doniosłym wydarzeniem ich krótkiego związku — nie minął cały rok, kiedy Ewa wycofała się z niego na dobre, a William zaczął ją oplakiwać. Chciał ją zatrzymać przy sobie dla jakichś skomplikowanych powodów, których nawet nie umiał wyjawić. Ale choć Ewa nie może w końcu powiedzieć, że go nie lubi — William jest zbyt mialki i jedwabny, żeby wzbudzać jakieś silne uczucia - musi wszakże przyznać, że nigdy go też nie kochała. A przecież miłość jest sprawą podstawową. William zapadł się w cień Abramsona i kto wie, czy ich małżeństwo nie było aktem zemsty z jej strony, czy u jego źródła nie leżała nieświadoma chęć dokuczenia nieżyjącemu Niedźwiedziowi. O tak, mimo że minęły lata, wciąż czuła gorzką złość do Abramsona za to, że ją wykiwał tak okrutnie - zostawił samą, kiedy prała dla niego bieliznę. Chyba dlatego wyszła za człowieka, którego sama upiła i na którym wcale jej nie zależało. Głos Williama niesie ze sobą wspomnienia ślubu, plastikowe kwiaty, nagły atak kaszlu nie dobudzonej córki, likier gruszkowy u matki, czerstwe serce z piernika, jakie dostała od Williama... Ewa uśmiecha się, bo nadal go przecież lubi. Lubiła go również wtedy, gdy za niego wychodziła.

Jak ludzie dopiero co sobie przedstawieni, uprzejmie rozmawiają o niczym, aż wreszcie William przechodzi do konkretnego. Nie dzwoni ot, tak sobie.

— Chcę sprzedać dom i pomyślałem, że tobie powinienem zaproponować zajęcie się tą transakcją.

— Dziękuję ci, Williamie. — Tak, Ewa docenia ten gest, bo przecież były mąż nie jest jej nic dłużny.

Dobrze wie, że on został bardziej poszkodowany w ich małżeństwie. Z drugiej

jednak strony, jak często wypominają jej to koleżanki rozwódki, nie wystąpiła o żadne alimenty dla siebie, zabrała tylko kilka mebli, swój samochód i książki. Finanse Williama nie ucierpiały nic a nic z powodu jej odejścia.

Rozmawiają o całkiem znośnym ruchu na rynku nieruchomości, a Ewa zastanawia się w głębi duszy, dlaczego William chce sprzedać dom. Wreszcie pyta go o to wprost, on jednak nie odpowiada i proponuje, że wpadnie do niej później i zaprosi ją gdzieś na drinka. Ewa umiera z ciekawości, ale William bywa uparty jak muł, więc wie, że nic nie wskóra. Postanawia więc wymierzyć mu karę za zwłokę i mówi:

- Nie dzisiaj. Mam dzień wypełniony po brzegi. Może jutro.

Od tylu dni, tygodni, miesięcy nie poświęciła Williamowi jednej myśli, że teraz musi wziąć się za bary z pamięcią, żeby odtworzyć jego jasne włosy, gładkie, błyszczące policzki, żyły tuż pod skórą, jasnobrązowe oczy okolone rzadkimi rzęsami. Jest dość przystojnym mężczyzną, jeśli się lubi ten typ. Świetnie pasowałby do angielskiej bawialni - przypomina trochę Leslie Howarda w roli Ashleya. Uroda Williama nie jest teraz w modzie, poza tym kryje się w nim o niebo więcej cichej łagodności niż w obu poprzednich mężach Ewy.

Jest taki delikatny, że kiedy niesie jej drinka i przecina smugę jasnego światła, wydaje się prawie przezroczysty. A przecież Ewa pamięta, i przez chwilę jest tym gwałtownie zakłopotana, jak umiejętnie radził sobie w łóżku.

- No i proszę bardzo, jesteśmy na miejscu — mówi William, jak gdyby nigdy tu nie była.

Dom - czapla na chudych stalowych nogach - wyrasta z górnej półki kanionu. Zawieszony nad martwą przestrzenią na wspornikach, dla Ewy jest równie niestabilny, jak jej małżeństwo z Williamem. Mieszkając w tych przestronnych pokojach, gdzie z każdego okna roztacza się inny widok, nigdy nie zapomniała, że dom ma słabe fundamenty.

William rozgląda się wokół, jakby próbował zobaczyć swój dom jej oczami.

- Wyremontowałem podłogi, ale poza tym nic się nie zmieniło, prawda?

- Tak, nic się nie zmieniło. - Jest dokładnie tak samo uprzejma i grzeczna wobec Williama, jak wobec każdego klienta. Wierzy mu na słowo, że wszystko wygląda tak jak dawniej. Żyła z nim tutaj, a jednak nie pamięta już nic. Owszem, dom sprawia na niej wrażenie czegoś znajomego, ale takie samo mało w nim charakteru, jak w motelowym pokoju. Nic w tym po-mieszczeniu nie trąca żadnej struny, nie słyhać symfonii radości ani też jęków żalu. Ewa przechadza się po pokoju i robi notatki w pamięci.

- Muszę zrobić listę rzeczy mogących zainteresować klienta.

- Wszystko, co tu jest, chyba znasz na wylot - mówi William urażonym tonem. - Nie musisz długo myśleć, jakie tu są plusy.

Ich małżeństwo znaczyło więcej, dużo więcej dla Williama niż dla niej. Sięgając pamięcią wstecz, Ewa wie, że tak naprawdę nigdy już nie zamierzała wychodzić za męża, że te wycieczki pod ołtarz, które zdążyła odbyć, wyprały ją z wszelkich uczuć. Woląla wtedy, niekoniecznie po wiek wieków, ale przez kilka lat być po prostu wolna, zależna tylko od siebie i nie zaciągać długów u mężczyzn, kupując sobie przy nich bezpieczeństwo i dobre samopoczucie. Cóż, mieszkając kilka miesięcy razem z Williamem w domu, który on teraz chce sprzedać za jej pośrednictwem, przeżyła niejednym momentem zakłopotania głupotą, do której może przywieść śmiech i oddech pachnący whisky. W świąde dnia nie umiała nic o nim powiedzieć.

Oczywiście, że ledwie się znali, a co ważniejsze, kiedy otrząsnęła się z oparów wesołej weselnej nocy i skończyły się żarty, doszła do wniosku, że wcale nie chce być w intymnych stosunkach z Williamem.

Równie mocno nie chce być z nim, jak z jakimkolwiek innym obcym jej mężczyzną. A przecież pomijając seks, po dech zapierającym, iście hollywoodzkim pierwszym wrażeniu, William okazał się miękkim, łagodnym facetem, po prostu sympatycznym gościem, którego można przejrzeć niemal na wylot. To najzwyczajniej w świecie zupełnie nie był ten człowiek, którego chciała oglądać rano po drugiej stronie łóżka. Tak, romans z nim mógł być nawet przyjemny, ale myśl, że jest z nim związana małżeństwem aż po grób, mroziła ją do szpiku kości.

Idą razem przez pokoje, a Ewa zbiera po drodze okruchy pamięci. Rozpoznaje szkic, który kupili pewnej soboty w Lagunie — kobiecy akt o stalowych oczach. Prezent urodzinowy dla "Williama od jej matki — skórzaną cygarniczkę, która po dziś dzień stoi na końcu stołu. Srebrną popielniczkę. Skazę na lustrze w łazience przy małżeńskiej sypialni. Wielkie mosiężne wezglowie podwójnego łóżka.

Ale przede wszystkim pamięta bardzo dobrze, jak słońce zaglądało tu ze wszystkich stron. Tyle tutaj okien, że światło napływało do wnętrza falami, czy się tego chciało, czy nie — nawet żaluzje nie mogły mu przeszkodzić. Tak, światło — główny atut domu — myśli Ewa i szepce do siebie: „Dlaczego nie byłaś tu szczęśliwa?”

William jest krok za nią i mógłby ją właśnie zapewniać — jak za dawnych czasów — że ją kocha i nigdy nie sądził, że aż tak bardzo będzie mu na niej zależało. Ofiarowywał jej uczucie — tak, teraz to dobrze pamięta — z ogromną czułością. Czysty absurd! Pobrali się dla zabawy, dla zgrywy, dla

sportu, zupełnie, jakby mieli po kilkanaście lat, a tu nagle William zaczął się robić poważny. Przygoda w Las Vegas i ślub pasują w sam raz do filmu z Claudette Colbert i z kim jeszcze...? Fredem MacMurreyem? Robertem Cummingssem? A może z Cary Grantem? Ale w odróżnieniu od filmów z lat trzydziestych, tutaj nie może być szczęśliwego zakończenia. Bo, żeby tak się stało, musiałaby przecież pokochać Williama, a wszystko, na co ją stać wobec niego, to uczucie letniej sympatii.

Abramson zbyt wielką część jej duszy uprowadził do nieba czy do piekła, dokąd sam udał się tak spieszenie. Ewa nie miała niczego do zaoferowania. Nie umiała odpowiedzieć choć odrobiną uczucia na miłość Williama. Mogła mu tylko ofiarować tolerancję i namiętność. Ale to było dla niego za mało.

„Pragnę twojego serca” — powiedział o jeden raz za dużo i wtedy odeszła.

— A więc, Williamie... — Ewa uśmiecha się. Są już znowu w jadalni, za stupięćdziesięcioletnim, szwedzkim stołem z sosnowego drewna. — Dlaczego chcesz go sprzedać? Kupujesz inny dom?

- Niezupełnie - odpowiada William. Składa dłonie jak do modlitwy, tuż przy ustach. Jego głos jest przytłumiony.

Ewa czeka. Milczeniem zawsze wyciągała z Williama wszystko, co wzdragał się jej wyznać, wszystko to, co wołałby przed nią zataić. Jej absolutny spokój drapał go jak papier ścierny, łamał jego postanowienia, wyciągał nieliczne sekrety na jasne światło dnia. Jest uczciwym człowiekiem i Ewa często zastanawiała się, jak dobijał targu, co ludziom obiecywał. Nigdy nie pytała go o jego pracę. Bała się odkryć, że wszyscy go wykorzystują - studio, reżyser, gwiazdy - i że ta jego słabość okryje ją palącym wstydem. Sympatia, jaką do niego czuła, była uczuciem tak wątłym, że musiała chronić ją za wszelką cenę i nie dopuścić, by cokolwiek ją choćby zadrasnęło. - Nie interesuje mnie kupno innego domu - wyjaśnia William patrząc ponad jej głową przez oszkloną ścianę na zbocze domów Monopoly, jakieś pięć, sześć kilometrów dalej. Tak, teraz wygląda jak Ashley, który oznajmia Melanie, że się wybiera na wojnę. Kłopoty finansowe - myśli sobie Ewa. - Potrzebujesz forsy?

- Forsy? O, nie. Nie mogę narzekać. Mam trzy filmy w produkcji i całkiem nieźle zarobiłem na *Złych snach*.

- Jego wzrok błądzi przez chwilę i zatrzymuje się tuż nad jej głową. - Na pewno go nie widziałas.

Eksploatacja człowieka. Straszne rzeczy. Ale razem z zyskami z dystrybucji poza krajem zarobi jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć milionów — zapewnia z przekonaniem.

Nie zapyta go, dlaczego chce sprzedać dom, skoro nie idzie o pieniądze, ale nadal się dziwi. Ewa pamięta, że William bardzo go lubił. Był tylko jego, w czasach sprzed Las Vegas i w ciągu tych jedenastu miesięcy, podczas których nie dała jednego znaku życia i zostawiła mu szafy pełne ubrań, moc kosmetyków w łazience, kilka rozrzuconych książek i czasopism. Nie, nie zapyta go. Będzie tak siedzieć jak za dawnych lat, wygrzewać twarz w słońcu i drzemać jak kotka. Przy Williamie ogarnia ją senność. Nagle przypomina sobie, że nieźle tu spała. Nie zrywała się w nocy - rzadko śniły jej się koszmary - a płakała tylko w dzień, gdy zostawała sama w domu.

- Cóż, przeprowadzam się.

Diana Silber

- Tyle wiem, Williamie. Nie widzę, żebyś rozbijał się po wzgórzach swoim Mercedesem i urządzał pikniki w parkach. Ale dokąd?

- Do Alicji.

- A kto to jest Alicja?

- Jedyna kobieta, którą naprawdę kochałem. Mam zamiar poślubić ją w przyszłym miesiącu - oznajmia William i wstaje, wyprostowany jak jeden ze stalowych wsporników domu. Wygląda niczym gladiator, składający oświadczenie przed walką.

„Mam zamiar poślubić ją w przyszłym tygodniu”, w porządku, mogłaby mu od razu gratulować, wyrazić swoją niekłamana radość, ale dlaczego musiał dodać: „Jedyna kobieta, którą naprawdę kochałem”. To zabolalo ją jak policzek. Jakże on może mówić, że kocha po raz pierwszy, skoro w trakcie ich małżeństwa był tak szaleńczo w niej zakochany? Zapomniał już czy postanowił być wobec niej okrutny?

Powinna przełknąć to gładko i pamiętać, że skoro wtedy nie miało to dla niej znaczenia, tym bardziej nie może mieć teraz. Kochał ją czy nie — może chce jej tylko dokuczyć — czy to w ogóle ważne? Ale Ewa nie słucha głosu rozsądku. Czuje się tak, jakby ją William spoliczkował, więc oburzona zrywa się i wybucha:

- Co za koszarne bzdury! Pierwsza miłość w życiu! Słowo daję, Williamie, masz pięćdziesiątkę na karku i kochałeś już mnóstwo kobiet, w tym również i mnie. Zapewniałeś mnie, że będziesz mnie kochał do śmierci, a nawet do końca świata. Zalewałeś mnie takim bajdurzeniem i w dzień, i w nocy, jak kran z zepsutą uszczelką. Robiłeś to tutaj, w tym domu, nad tym stołem, przy kameralnych kolacjach przy świecach. - Już i tak za dużo powiedziała, ale ciągnie dalej, całą naprzód: - A kim jest ta cudowna Alicja, co? Zapewne jakąś dwudziestopięcioletnią gwiazdką, blondynką z wytrzeszczem oczu, która aż się pali, żeby na chwilę zejść z planu i wypracować sobie odpowiednie tyły! Powiedz jej lepiej, że z ciebie żaden Sidney Lumet ani Steven Spielberg, że w życiu nie udało ci się zrobić filmu powyżej czterech milionów, a jak rozdają Oscary, ty siedzisz na wysokim balkonie!

Tchu jej zabrakło z oburzenia. Serce łomocze niebezpiecznie

w piersi, uderza z furją o żebra, jak pięść. W ustach pojawia się jakiś kwaśny smak. Z wściekłości bolą ją zęby. - Okłamywałeś mnie, czy wszystko wyssałeś sobie z palca? Nigdy nie podejrzewałam cię o taką dwoistość, o to, że mógłbyś bębnić mi na okrągło o miłości, jakby to był temat towarzyskiej rozmowy, nic więcej! - A co to za różnica, zwłaszcza po tylu latach - myśli Ewa z goryczą. Ale miłość Williama, która tak mało dla niej znaczyła w tamtych czasach, stała się już niezaprzeczonym, twardym faktem przeszłości.

Uznała ją za pewnik.

William nie patrzy na Ewę, tylko wygląda przez okno.

- Uwolniłem się od tego dzięki terapii. Jestem już wyleczony.

- Wyleczony? Z czego? Ze mnie? A czym ja dla ciebie byłam? Chorobą? — Oskarżycielsko wyciąga palec. Światło skupia się w brylancie, który sama sobie kupiła na Gwiazdkę. Przez chwilę zastanawia się, gdzie zniknął jej ślubny pierścionek. Nie ten z platyny wysadzany szlachetnymi kamyczkami, który William specjalnie zamówił dla niej, ale ten tani, ta obrączka z turkusów, którą kupił Ewie w kasynie, w sklepie z nagrodami, i na miejscu jej wsunął na palec. Nie, no tego akurat nie powinna była nigdzie posiać!

William nerwowo skubie guziki koszuli. Pozwolił sobie przejść na kanapę w salonie. Ewa co prawda idzie tam za nim, ale nie może usiąść spokojnie i słuchać o Alicji, której William czuje się w obowiązku bronić.

Nie, Alicja nie jest jakąś podfruwajką. Jest czterdziestoletnią rozwódką z dziećmi i dużą posiadłością na Beverly Hills. William twierdzi, że jego miłość jest spokojna i głęboka. Ewa chichocze piskliwie.

- Czytaj: Alicja jest gruba jak beka!

- Dlaczego jesteś taka wredna, Ewo? Przecież ja zachowuję się wobec ciebie elegancko. Proponuję, żebyś zajęła się sprzedażą mojego domu.

- Bardzo ci dziękuję* Williamie! Jakie to wspaniałomyślne z twojej strony! Ale nie potrzebuję tego domu! Zarabiam wystarczająco dużo, żeby się obyć bez twojej zasranej łaski! William krzywi się.

- Nie ma powodu używać wulgarnych słów.

- Nie ma też powodu zdzielić mnie od niechcenia tą Alicją, twoją jedyną miłością! Kto cię o to prosił?

William obejmuje ramionami nogi i zwija się w pół na kanapie; teraz jest mężczyzną ogarniętym cierpieniem.

— Zawsze mówiłem ci prawdę, tylko nigdy tego nie doceniałaś. Bo też nigdy ci nie zależało na naszym małżeństwie - dodaje z goryczą.

Czyżby William miał znowu zacząć wszystko od początku? Wszystko to, o czym Ewa zdążyła już zapomnieć? Czyżby jego niechęć i gniew mogły trwać aż tak długo? Ale Ewa nie może jasno myśleć, bo czuje nagły ucisk wzdłuż lewego biodra, który, jak zdarzało się wcześniej, zaraz ogarnie jej miednicę, przepel-znie w poprzek miękkiego brzucha i wybuchnie ogniem. Za chwilę popłynie strumień krwi — myśli Ewa w panice; nogi zaczynają jej drżeć, opada na brzeg kanapy. — Nie mówimy

o naszym małżeństwie, tylko o tym, że wyparłeś się miłości do mnie. Bez powodu... Zupełnie bez powodu... - Jakby sama nigdy nie zraniła Williama, mieszkając pod jego dachem

1 umierając z miłości do Abramsona, bez końca oplakując jego śmierć i pragnąc, żeby znów był przy niej, na miejscu Williama. Pakty, jakie skłonna była wtedy zawrzeć z Lucyferem, dopuszczały wszelką zdradę. Czy William wiedział, że oddała serce innemu?

— Mogło nam się udać, dobrze o tym wiesz — mówi William.

— Tak, tak, mogliśmy nawet pionowo wystartować. Gdybyśmy byli samolotami.

Ból w boku zaczyna coraz bardziej pęcznieć, za chwilę poderwie ją w górę, nad parowy kanionu i czerwone dachy domów. — Bóg mi świadkiem, starałem się jak mogłem. Walczyłem jak oszalały, żeby nas utrzymać razem. Ale ty przez chwilę nie chciałaś podejść do tego poważniej.

— Ślub w Las Vegas w Orange Blossom! Uważasz, że powinnam przywiązywać do niego wagę? — To, co naprawdę ich dzieliło, to fakt, że prawnie zostali złączeni, ciało z ciałem, tak jakby przy kościelnym ślubie jakaś siła wyższa związała ich łańcuchami. Ewa smakuje swoje puste małżeństwo, które nigdy nie powinno było zostać zawarte, i czuje w ustach gorycz.

William czekał na tę rozprawę z nią przez wiele lat, a nie

chęć, jaką do niej żywi, zatrula go zupełnie. Teraz, czerwony na twarzy i spocony, daje jej wreszcie upust:
- Żebym nie wiem jak harował nad tym związkim, nie wiem jak walczył o ciebie, byłaś zimna i twarda jak skała, jak odlana z betonu. Wyprana z wszelkich uczuć, martwa za życia. Nie było cię przy mnie, Ewo. Ma rację, oczywiście, że ma rację. Ewa mieszkała w tym domu, ale żyła gdzie indziej - w małżeństwie zakończonym śmiercią, wbrew jej woli.

Abramson nosił ją na rękach, a ona weszła w niego jak promień słońca i w nim znalazła swój prawdziwy dom. Z Williamem tylko wynajmowała mieszkanie, szklane ściany, przez które równo sączyło się światło. Pewnie, że jej przy nim nie było.

- Nikt nie może mnie o nic obwiniać - protestuje William.

- Nikt cię nie obwinia — odpowiada Ewa. Chce już wstać i wyjść. Poszłaby zresztą, gdyby nie perspektywa prowizji. Każda sprzedaż się liczy, jeżeli chce wyrzucić Tytusa z siodła.

- Prosiłem, żebyśmy się do kogoś wybrali, porozmawiali z kimś. Rozsupłali to, co nas dzieli. Bez końca ci o tym mówiłem.

- O, tak! A jakże, mówiłeś! Świetnie to umiesz załatwiać! Idziesz sobie do odpowiedniego fachowca i mówisz: „Macie, to jest mój problem, rozwiążcie go za mnie”. - Wraz z bólem narasta w niej złość.

Zaplami krwią skórzaną kanapę Williama? Zaplami?

- ...dziecko...

Ewa nie słyszy, co William mówi, jego głos raz odpływa, to znów przyplywa falami, jak w zepsutym radiu. Musi już iść i niech szlag trafi tę prowizję!

- Ale tak bardzo nie chciałaś mieć dzieci. Dlaczego? Nigdy nie mogłem zrozumieć twojej awersji do dzieci. Dziecko sce-mentowałoby nasze małżeństwo. Moglibyśmy być normalną rodziną, mieliśmy przecież wszystko co trzeba. — W zdenerwowaniu przeczesuje ręką włosy, chwytając się za koniuszek ucha.

Dziecko — mówi William i powtarza się, i powtarza bez końca. Aż wreszcie to słowo odbija się od drzwi, raz po raz uderza w szyby i unosi się coraz wyżej, zupełnie jak ból w jajniku Ewy.

„Dziecko, dziecko, dziecko...”

Wydaje jej się, że nie jest już w salonie Williama, ale w małym pomieszczeniu, którego białe ściany giną gdzieś w bezkresie. Leży tam i czując to samo pulsowanie przenoszące ją na wierzchołek bólu, krzyczy przeraźliwie, a potem nagle tryska strumieniem krwi. Ryczała jak zarzynana krowa, przeklinała Jordana, posłała go do diabła, przeklęła wszystkich mężczyzn i wyrwałaby z nich życie z korzeniami, żeby tylko pozbyć się tego, co ją rozrywało od środka. Jedynie długie czerwone paznokcie Ewy wbite w skórzaną kanapę, na której, zawstydzona przypadłością swej płci, bólem i straszliwą słabością kobiecości, Ewa zostawi krwawe ślady, trzymają ją wciąż tu i teraz, nie pozwalając, by osunęła się w przeszłość i wróciła do sali porodowej, gdzie dziecko Williama - nie, nigdy! - dziecko Jordana walczyło, żeby wydostać się z jej ciała. Ewa krzyczy, wybuchając nienawiścią wprost w twarz Williama:

- Miałam dosyć dzieci, dosyć noworodków! Dosyć! Dosyć! Dosyć! Raz wystarczyło! Myślałeś, że może dam się namówić na to jeszcze raz? Po co? Żeby znów przeżyć ten ból?

- Jakie dziecko? O czym ty mówisz?

- Żebyś i ty mógł mnie rzucić i żebym mogła odstawić wspaniałą samotną matkę zdaną tylko na siebie?

- Miałas dziecko?! - Usta Williama tworzą czarną czeluść w jego twarzy. — Zawsze mówiłaś, że nie będziesz mieć dziecka, że nie chcesz. Mówiłaś...

Ale Ewa nie słyszy tego, co mówiła kiedyś, dawno temu, bo przeszywa ją tak gwałtowny ból, że wreszcie zrywa się z kanapy. - Miałas dziecko i oddałaś je komuś? Czy to mi chcesz powiedzieć?

Naprawdę wyznała mu swój sekret?

William, blady jak trup, wstaje chwiejnie. Ewa potraça go łokciem i ucieka od krzyku, płaczu i zawodzenia noworodka. - Nie! Nie! Nie! - krzyczy, zatykając uszy, oskarżona o to, że jest inna od swoich siostr czy kobiet takich jak Cassie, o to, że nie chciała mieć z dzieckiem nic wspólnego, że znienawidziła je, znienawidziła Jordana, wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem Niedźwiedzia.

Mamo, gdzie jesteś?

„Jestem w domu opieki, siedzę przy mężczyźnie, którego umysł błądzi nie wiadomo gdzie, a mieszkają w nim tylko oderwane sylaby.”

Nie, to przecież nie Ewa. To jej matka, a dziecka dawno nie ma. Jest gdzieś indziej, jest kimś innym, nie ma z nią najmniejszego związku. Dlatego ten ból, który wlecze ze sobą do samochodu — William wciąż wrzeszczy coś za jej plecami — powinien już też zniknąć. Poród zakończony. Stworzenie wyszło na świat.

- Zabierzcie go! Nie chcę słuchać jego płaczu! William szarpie ją za ramię.

- Ewa, coś ty mi zrobiła?! - pyta, jakby nawet teraz nie był pewien, jakby czas nigdy nie wyjaśnił nędzy ich małżeństwa i jego śmierci. Pyta, jakby mu nadal zależało — mimo deklarowanej miłości do Alicji — jakby wcale nie miał zamiaru sprzedawać tego domu i żenić się z inną kobietą.

Jakby to dziecko było jego.

- Co?

Ewa wyrywa mu się, odpycha ręce, które ją przytrzymują. Słyszy szorstkie, chropawe głosy: „Oddychaj! Nie bądź dzieckiem! Każda kobieta musi przez to przejść! Cicho już! Umarłego obudzisz! Zachowuj się, jak należy!” - Zostaw mnie! Nie chcę cię! Nigdy cię nie kochałam! - Wreszcie ostatecznym szarpnięciem uwalnia się z jego uścisku i przez chwilę wszystko wokół jaśnieje i wyostrza się tak bardzo, że Ewa widzi, jak jasnoniebieskie niebo — do za krawędzią kanionu - rozwarstwia się na igielki drzazg. Widzi, że William przewraca się do tyłu i zszokowany siedzi na żwirkowym podejździe.

Już jest w samochodzie, włącza bieg, Mercedes rusza z piskiem. Ewa słyszy trzask i śpiewny dźwięk sypiącego się szkła, rozbitego o cementowy mur wspierający wzgórze. Rozwalila reflektor, ale nie zatrzymuje się, żeby obejrzeć szkodę, bo znów dopadł ją ból i rozrywa jej brzuch od krocza po żołądek. Narasta w niej coraz mocniej, kiedy Ewa pruje drogą w dół, objeżdża zakręty na dwóch kołach, hamuje z piskiem opon. Ucieknie od tego bólu, od dziecka, wyrosniętego chłopca, który siedzi teraz na fotelu obok i ma tak samo rozczochrane włosy jak Jordan.

Droga wiję się niczym grzechotnik wśród zarośli i zbyt

Diana Silber

szybko jadący Mercedes co i raz wpada w poślizg. Jakimś cudem Ewie udaje się wyminąć samochód combi, rów i psa, który wyskoczył na drogę nie wiadomo skąd.

Łzy zamazują jej ostrość widzenia, słońce ją oślepia. Ból minął już brzuch i czepiając się Ewy pazurami, pnie się coraz wyżej, sięga gardła, mało jej nie udusi. Teraz Ewa czuje krew - ma mokre nogi, lepkie pończochy. Majtki przykleiły jej się do ciała, spódnicę ma przesiąkniętą krwią.

— Nie będę cię mieć! — krzyczy do chłopca drżącego w falach wiatru, który wdarł się do wnętrza wozu. „Już masz...”

Szłocha.

Wie — kiedy tak pruje na złamanie karku — że mogła robić dobrą minę do złej gry, ale gniew na Jordana wyłobił taką szramę w jej sercu, że wołała raczej oddać część siebie.

Zabrali go tak szybko. Poza salą porodową widziała go tylko raz... Nie, żeby jej na tym jakoś zależało. W końcu nic dla niej nie znaczył. Niemowlę jak niemowlę. Kłamczucha!

Wspomnienia wciągają ją w przeszłość...

...Miała go przy sobie przez godzinę. Rozpływała się nad nim w zachwycie. Takie tycie rączki, stopki. Sama perfekcja. I skórka jak najprawdziwszy jedwab... Chętnie przedłużyłaby tę godzinę, kiedy trzymała go przy sobie, w nieskończoność. Pielęgniarka wyrwała go z jej ramion.

Nie wolno im było zostawić go Ewie nawet na ten krótki czas, ale pielęgniarki gdzieś zaraz pobiegły, a potem zapomniały. W końcu Ewa już wcześniej podpisała stosowne papiery w obecności wysokiej kobiety o arystokratycznym wyglądzie i twardym głosem, która przekonywała ją, że dobrze robi przedkładając nad wszystko dobro dziecka i że nigdy tego nie będzie żałować. Kłamała! Nikt nie powiedział, że jej synowi musi być lepiej z obcymi!

Oddała go. Zamroziła swoje uczucia i myślała tylko, jak mądrze i inteligentnie to rozgrywa. Myślała też, że wreszcie może mieć Jordana gdzieś i że teraz wyrównała już z nim rachunki. Och, ale zawinięty w błękitny kocyk chłopczyk obrócił na nią wzrok, a ona zamieniła się w kawał lodu!

Teraz, kiedy traci nad sobą kontrolę, on znów się przy niej znalazł. Już prawie całkiem dorosły, siedzi obok, z przodu. Ma takie same brązowe oczy osłonięte gęstymi rzęsami.

— Nie! — krzyczy Ewa. — Odejdź! — Gwałtownie potrząsa głową i żałuje, że nie wypowiedziała się Abramsonowi, który nawet gdyby jej nie mógł rozgrzeszyć, potraktowałby ją łagodnie. Rozumiałby, że były takie czarne chwile w jej życiu, kiedy wszyscy ją opuścili. Ucałowałby jej dłonie i ukołysał w ramionach...

Tylko że teraz słyszy jego głos nabrzmiały oskarżeniem: „Moją żonę też ty zabiłaś!”

— Nie! To nie ja! Nieprawda!

Kobieta na huśtawce mówiła o pistolecie.

— Pistolet! Kupiła sobie pistolet! Zrobi nim coś strasznego!

- krzyczy Ewa, gwałtownie omijając drzewo. Liście opadają na przednią szybę.

Samochód przechyła się w bok, Ewa szarpie się z kierownicą. Nawet Mercedes jest teraz przeciw niej, jest jej wrogiem - z przodu siedzi niewyraźna postać chłopca, z tyłu brocząca krwią żona Niedźwiedzia.

Dlaczego Abramson czytał Augustyna?

Ewa drży i mimo że droga staje się szersza, tak mało siły zostaje jej w dłoniach, że nie potrafi kontrolować samochodu. Mercedes wpada na parkującego przy krawężniku Cadillaca. Głowa Ewy najpierw leci do tyłu, potem opada na kierownicę. Uderzenie zatrzymuje wóz, a w dzwoniącej w uszach ciszy Ewa próbuje wydostać się z ciemności, po powierzchni której ślizga się jak po lodzie. Ból ją znowu rozrywa i Ewa powolutku, ręka za ręką, noga za nogą, wypelza z samochodu, chcąc przejść na drugą stronę ulicy. Kiedy fala bólu się cofa, wykorzystuje chwilową przerwę w szturmie i zdecydowanie rusza przed siebie.

Opada na ławkę na skwerku i ma przedziwne uczucie, że jest więźniem, który po wielu trudach wy dostał się w końcu na wolność. Małe dzieci — ciemnowłose, ciemnookie, maluchy na trójkołowych rowerkach, niemowlęta stukające łopatką w blaszane wiaderka - zapełniają wszystkie alejki, żeby ją dręczyć.

Ciepło maleńkiego ciała przytulonego do jej piersi, różane

Diana Silber

usteczka ssące jej brodawkę... Pamięta miękką linię małego policzka, różową muszlę uszka, gęste, drżące rzęsy. Tymczasem skurcze ciągle ją rozrywają, wciąż rozdzierają, tylko tym razem nie prowadzą już do niczego — wypompowują tylko krew. Czerwone krople skapują po desce i spadają na ziemię, mocząc ubity pył. Koło jej stóp tworzą się czarne gwiazdy; zgięta w pół kołysze się i próbuje wypłakać je z siebie. Nie może się wyprostować nawet wtedy, kiedy ubrana w wykrochmaloną biel kobieta zatrzymuje się przy niej i pyta: - Czy pani źle się czuje? Chce jej powiedzieć, że tyle w życiu straciła przez własne błędy, ale nie może wydusić z siebie głosu, bo gdyby tylko otworzyła usta, uwolniłaby z siebie dziki skowyt bólu i straciłaby dziecko, które z takim zaufaniem kopie ją i walczy, chcąc się narodzić. Nie zaatakowana bólem część jej umysłu wie, że niemowlę jest tylko chimerą. Nie ma żadnego dziecka, żadnego nawiedzającego Ewę chłopca, i gdyby nawet pierwsza pani Abramson zawisła nagle w szafie Ewy równie wyraziście, jak spacerowała po korytarzach jej małżeństwa z Niedźwiedziem, to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że tylko niespokojne sumienie Ewy raz po raz sprowadza ją między żywych. To samo sumienie zresztą, podszyte poczuciem winy, każe chłopcu sięść obok niej w samochodzie, albo też jeszcze się nie narodzić i wracać do jej łona. - Pijana! - Nie wygląda.

- Narkomanka! Coś podobnego, nawet tutaj! Kokainistka!

- Nie opowiadaj głupstw...

- Spójrz...

- Czy pani jest chora?

- Chyba coś z nią...

- Zupełnie nie w porządku.

- To krew?

- O, Boże, krew! Biedactwo, ona ma krwotok!

Głosy tworzą parasol nad głową Ewy, wyśpiewują swą troskę, za którą jest im tak wdzięczna, choć nie może im tego okazać. Ból nadyma się i wypełnia już cały wszechświat, omotuje ją jak bandażę mumię.

18

Później Cassie opowie Nonie wszystko tak, jak to jej zostało przedstawione. Opowie o wy-krochmalonych piastunkach do dzieci - zapamiętałe strzegących swych małych podopiecznych - które rzuciły się do budki, żeby wezwać policję. Chciały zameldować, że na skwerku siedzi obca kobieta, jakaś przybłęda - chyba niespełna rozumu - choć nawet dobrze ubrana. Tylko jedna młoda, przytomnie myśląca matka na widok krwi uznała, że powinny raczej pomóc tej nieznajomej kobiecie niż myśleć wyłącznie o tym, jak ochronić przed nią siebie i swoje dzieci. Wezwała karetkę. Potem karetka - do której Ewa weszła równie niechętnie, jakby wcho-

działa do wozu patrolowego — przywiozła ją do Cedars-Sinai, gdzie Cassie podała, że jest Ewy lekarką i członkiem rodziny zarazem.

„Przecież wcale nie jesteś z nią spokrewniona” - zaprotestuje Nona. „Po co tak kłamać?” A Cassie przypomni jej, że przecież, tak samo nie ona jest Ewy lekarką, a Jena, ale że nie ma to żadnego znaczenia. Utrata krwi i uderzenie w głowę spowodowały, że Ewa nie bardzo wie, co się z nią dzieje.

Lekarz szpitalnego pogotowia, chłopak tak młody, że wygląda po prostu na szalbierza, namawia Ewę, żeby została na obserwacji. Cassie — choć nie należy do personelu Cedars-Sinai - ma swoje zawodowe przywileje, zagląda więc w kartę Ewy i popiera ten pomysł.

- Nie.

Ewa leży na kozetce za parawanem. Ma twarz bladą jak opłatek, ledwie szepcze opuchniętymi wargami.

- Chcę wrócić do domu. - Usiłuje podnieść się na łokciu, a Cassie tymczasem zniechęca ją do tego, jak może. Ewa jest uparta. Czuje pulsowanie w głowie, a guz na czole jest wrażliwy na dotyk jak plamka na przejrzalym owocu, ale wstrząs, jaki przeszła, na szczęście był dość łagodny. Prześwietlenie nie wykazało żadnych obrażeń. A jednak Cassie nie chce jej ruszyć ze szpitala, wie, w jakim stanie jest Ewa - choć zasadniczy atak płaczu już minął, łzy nadal płyną jej cienkim strumyczkiem po twarzy. Naturalnie nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Krwawienie jeszcze trwa, ból też, tyle że nie tak silny jak ten, który spowodował tę szaleńczą, niekontrolowaną jazdę. Ale Cassie i młody lekarz zgadzają się nie podawać Ewie żadnych leków. Nie dostanie nic ze względu na uraz głowy.

- Kto to może wiedzieć? - mruczy Cassie, przytrzymując Ewę na cienkiej poduszce. Głaszcze dłoń przyjaciółki i odruchowo odnotowuje jej przyspieszony puls. Ma wrażenie, że w wąskim nadgarstku uwieczono kruchego ptaka; serce jej się ściska na widok bezbronności Ewy.

- Musisz zwolnić tempo na kilka dni - mówi tonem lekarza zwracającego się do pacjenta. - Powinnaś leżeć w łóżku.

- Nie mogę teraz przestać chodzić do pracy.

— Praca poczeka.

Odgarnia włosy z czoła Ewy; wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy. W ciągu tych wszystkich lat, od czasu, gdy się przyjaźnią, Cassie nigdy dotąd nie widziała jej w takim stanie - spódnicę ma zmiętą, oczka na rajstopach, na bluzce plamy z krwi i ziemi. — Pomóż mi, Cassie, proszę. Nie mogę tu zostać. Nie mogę, po prostu nie mogę! — Ewa błaga, obolała w miejscach, co Cassie zauważa, niewidocznych dla oka. Cassie powinna zaprotestować, nakazać jej, żeby nie wychodziła ze szpitala. „Ale Ewa i tak może się przecież wypisać na żądanie, wbrew wszelkim radom i namowom, i odejść stąd sama, głucha na wszelkie ostrzeżenia. — To błąd. Powinnaś zostać na obserwacji — mówi Cassie, pomagając jej stanąć na drżących nogach. Barbara zgadza się zastąpić ją w Magdalene, więc Cassie odwozi Ewę do domu. Łagodnie pakuje do łóżka, tak, jak to robiła dawniej, kiedy chorowała Mandy. Parzy dzbanek mocnej herbaty i wmusza w Ewę dwa idealnie usmażone jajka na pszennej grzance.

Ewa zachowuje się posłusznie, ale protestuje słysząc, że Cassie ma zamiar zostać u niej na noc.

— Będziesz się lepiej czuła, kiedy ktoś tu będzie.

— Nie, nienawidzę, jak ktoś u mnie nocuje. Nienawidzę od zawsze. Przez to, że dzieliłam sypialnię z Luizą, chcę mieć trochę przestrzeni wyłącznie dla siebie. - Ewa unosi brwi i próbuje uśmiechnąć się zadziornie, ale zmęczenie bierze górę.

Czuje się ponizona. Umyta, wykąpana, w babcinym szlafroku frotowym, z gładko zaczesanymi włosami spiętymi spinkami, staje się znów małą dziewczynką, która wyziera spomiędzy sińców obolałej kobiety. Najwyraźniej to, że Cassie widzi jej straszny upadek, sprawia jej ogromną przykrość, której nie naprawi rzucone lekko: „Nie ma o czym mówić”. Mają w końcu prawo do złych chwil, do takich momentów w życiu, kiedy emocje wykołują je na jakiś czas z torów. W trakcie praktyki lekarskiej Cassie widziała rozmaite reakcje na rozpacz. Widziała kobiety, które zamykały się w milczącym gniewie, kobiety, które gwałtownie wybuchały, i takie, które na krótkie okresy traciły rozum — by go zresztą z czasem na powrót odzyskać. Ponieważ Cassie sama już czegoś doświadczyła w życiu, ma

intuicję i praktykę zawodową, nie wierzy, że kobiety i mężczyźni nie różnią się aż tak zasadniczo, a odmienność funkcjonowania ich ciał polega jedynie na innym zorganizowaniu dwóch niemal identycznych systemów. Zarówno cykl miesięczkowy, jak i menopauza dają kobietom wizy wjazdowe na tereny, dokąd mężczyźni wcale się nie zapuszczają. No i w czasie ciąży kobiety działają zgodnie z nakazami ciała, jakich mężczyźni nigdy nie doświadczy.

Cassie przyciąga krzesło do łóżka, choć Ewa wyraźnie chce, żeby sobie już poszła.

- To, przez co przechodzisz, nie jest takie dziwne. Nie jest wyjątkowe. Wydaje ci się zupełnie niesłychane dlatego, że przydarzyło się tobie, ale inne kobiety też to przecierpiałły, dokładnie to samo. A są ich tysiące. Gdzie tam, miliony! To jest nierozzerwalnie wpisane w kobiecość.

- Wszyscy kiedyś umrą, co nie znaczy, że muszę się cieszyć, kiedy wypada na mnie - wypala Ewa.

- Przecież ty wcale nie umierasz. Przestań się wyglupiać.

- Mam krwotok.

- Duże krwawienie, ale nie krwotok. Krwawienie ze sporego guza na jajniku. Nieprzyjemne, ale zupełniewyczarne. - Cassie jest precyzyjna, dość chłodna, przemawia do Ewy jak lekarz, ale jej zawodowy sposób bycia nie robi na Ewie wrażenia. Ewa tak samo nie zwróciłaby większej uwagi, gdyby Cassie otoczyła ją teraz pełną czułości troską.

Ewa milczy, a Casie wsłuchuje się w daleki szum samochodów na Wilshire. Potem, kiedy należałoby się spodziewać gniewnego parsknięcia, Ewa nagle wzdycha:

- Nie możesz tego zrozumieć, bo to nie twoje ciało cię zdradza. To nie twoje wnętrzości wypowiedziały ci wojnę i stały się twoim wrogiem. - Drżenie unosi koszulę na jej piersi. - Jeśli nie możesz ufać własnemu ciału, to komu albo czemu mogłabyś zaufać?

- Za bardzo filozofujesz - mówi Cassie. Tylko tyle przychodzi jej na myśl.

- Naprawdę? Być może, ale teraz jestem dwojgiem ludzi. Jestem moim „ja” w głowie, uwięzionym stworzeniem, które wygląda zza prętów klatki, tym kimś, kto słyszy i coś czuje... I jest

jeszcze drugie „ja”, to „ja” wypełnione fizycznym bólem, który tak strasznie daje mi w kość, że chwilami mogłabym wykrzyczeć całe płuca. To drugie „ja” jest okaleczone, złamane, chore, gnijące...

— Dość! — Mimo wszystkich okropnych bólów, przez jakie Ewa przeszła, Casie uważa, że teraz jednak nazbyt dramatyzuje.

— I tu masz właśnie zdrajcę, tego, który umrze...

— Ty wcale od tego nie umrzesz, Ewa. Bez przerwy ci to powtarzam!

Jeśli nawet Ewa słyszy zirytowanie w głosie przyjaciółki, nic sobie z niego nie robi. Ciągnie bezlitośnie:

— Tamto drugie „ja” weźmie to pierwsze „ja”. Zabierze ją ze sobą. Ją? A może mnie? Tak, mnie. Dwie mnie, tak.

— Słuchaj, ja już nic nie rozumiem przez ten nadmiar zaimków. Wypij herbatę i spróbuj na chwilę zasnąć. Jeśli nie możesz spać, oglądaj telewizję albo słuchaj muzyki. - Cassie wije się jak piskorz, próbując znaleźć lekarstwo'na posępny nastrój Ewy, ale przyjaciółka postanowiła nadal być ponura. Wpadła w taką melancholię, z której nie da się za nic wyciągnąć. I po raz pierwszy Cassie zastanawia się, czy tego wypadku samochodowego nie spowodowało czasem coś więcej niż tylko fala fizycznego bólu. Skąd ona wracała? Dokąd jechała? Cassie nie może się zdecydować, żeby o to zapytać.

Ewa uspokaja się. Nie skubie już nerwowo pościeli. Jej oddech staje się coraz płytszy. Wreszcie, na oczach Cassie, zasypia. Cassie powinna już iść, ale siedzi jeszcze kilkanaście minut — niby cichy strażnik — i analizuje swoje uczucia do kobiety, która śni teraz — daj Boże! — spokojne sny.

W ich przyjaźni nie ma nic nadzwyczajnego. Trwa już sporo lat, ale są przecież kobiety, które zna znacznie dłużej niż Ewę: koleżanki z dzieciństwa, siostry zakonne ze szkoły, do których pisuje na święta i które ją odwiedzają, kiedy przyjeżdżają na wycieczkę do Kalifornii. Barbara i Jena też weszły w życie Cassie wcześniej niż Ewa, a Nona ledwie rok czy dwa później. Czas w przyjaźni nie znaczy zbyt wiele, poza tym, że jest pojemnikiem, gdzie przechowuje się wspólnie przeżyte chwile. To nie czas, ale miłość sprawia, że Cassie martwi się o Ewę.

Jak zubożyłoby się jej życie bez Ewy! Jest dla niej kimś więcej niż koleżanką, której dzień urodzin zaznacza się kółkiem w kalendarzu, kimś więcej niż psiapsiółką, z którą plotkuje się przy kolacji czy idzie do kina. Mają za sobą długie, ciepło-szorstkie rozmowy... Teraz Ewa leży na obrębionej koronką poduszce, a jej rzęsy kładą się cieniem na bladych policzkach. Tak, mają za sobą pełne lez spotkania, które zaczynały się od słów: „Dłużej już nie mogę”, a kończyły spokojną akceptacją losu. Nieraz opierała się na zdrowym rozsądku Ewy i dobrze wie, że jeśli nawet sposób bycia jej przyjaciółki nie zawsze jest delikatny, to przecież Ewa nigdy nie chce jej zranić. Zawsze wstanie — choćby w środku nocy, czy kiedy sama jest w dołku — i przybiegnie do boku Cassie na każde wezwanie. Tak, właśnie ona jest tą osobą, do której można dzwonić o drugiej nad ranem, gdy cały świat tonie w ciemnościach i wszyscy wokół zabarykadowali nawet okna.

Nic złego" jej się nie przydarzy. Nie będzie niespodzianek, które uparły się udowodnić, że medycyna jest nauką mało ścisłą, z dużym marginesem na szczęście, nadzieję i modlitwę. Nic takiego się nie przydarzy — obiecuje Ewie w myśli, jakby miała upoważnienie do składania takich przyrzeczeń, i wstaje cichutko, a potem, w ostatnich promieniach popołudniowego słońca, na palcach idzie do drzwi.

VCidoczna kruchość kobiety, która dotychczas była dla niej opoką, wstrząsa Cassie do głębi. Każdy się kiedyś rozsypuje w proch, wcześniej czy później. Jej ojciec lubił żartować, że ludzie są karmą robali. Cassie nie myśli o śmierci Ewy, ale o umieraniu, o przemijaniu czasu.

Wychodząc z domu Ewy, czuje się zarazem dzieckiem - gotowym krzyczeć ze strachu — i osobą szalenie dorosłą, superko-bietą! Chce walczyć, chce wziąć los w swoje ręce. Dni siedzenia, czekania, nicnierobienia, dni, kiedy była bezwolną kobietą, są bezpowrotnie skończone! Jak taki Jake w ogóle śmiał spaść jej na głowę wprost znikąd! Ale była głupia i słaba, że dała mu się omotać!

Dosyć tego wszystkiego — postanawia i zjeżdża na Pico, a potem pod pierwszą stację benzynową na prawo. Z budki

telefonicznej dzwoni do Yanga. Nie ma go w domu, ale czyjś cienki głosik posłusznie podaje jej adres. Pojazdy na autostradzie wloką się noga za nogą. Chmury puchate jak wata cukrowa, różowe niby flamingi, suną leniwie po niebie od zachodu. Jedwabiste światło spływa z góry powoli, aż wreszcie ostatki błękitu ustępują ciemnemu granatowi. Cassie trafia we właściwy rozjazd i zostawia za sobą nieprzerwany sznur samochodów.

Nielatwo jest znaleźć dom Yanga, dlatego dwa razy zatrzymuje się i pyta o drogę. Kiedy wreszcie parkuje przy rozmazanym w mroku zarysie ciężarówki Wietnamczyka, jest już prawie noc. W ten bezksiężycowy wieczór pali się tylko jedna latarnia na samym końcu ulicy i Cassie ma wrażenie, że jest w ciemnym lochu. Ostrożnie idzie przez świeżo podlany trawnik, który jak gąbka ugina się pod jej nogami.

Trzema schodkami wchodzi na szeroki ganek. Ledwie dotyka drzwi, a już Yang wystawia przez nie głowę.

- Dobry wieczór, pani doktor Morgan.

Zaprasza ją do środka, proponuje jej miękkie krzesło bądź miejsce na sofie z wypoczynkowego kompletu. Cassie chce wyluskać z jego głosu zdziwienie, ale nic takiego nie słyszy. Czyżby przewidział, że ją tu zobaczy? A może to jego orientalny sposób bycia, ta eteryczna grzeczność, nie pozwalają mu uzewnętrznić uczuć?

- Chciałabym dostać od ciebie adres Jake'a, Yang. Proszę.

- A może napije się pani herbaty?

W domu panuje nabożna cisza niczym w mauzoleum i Cassie przez moment zastanawia się, jak wygląda rodzina Yanga. Kto odebrał telefon? Zona? Może dziecko?

Chociaż chce już być w drodze, najszybciej jak się tylko da, rozumie, że są pewne zwyczaje, których należy przestrzegać. Musi nakazać sobie spokój. Tyle że wprost umiera z niecierpliwości. Za dużo czasu zmarnowała i teraz obsesyjnie chce już zaraz, najdalej za chwilę, dotykać brody Jake'a, całować jego powieki, drzeć pod wpływem pieszczoty jego warg w zagłębieniu szyi. Jak chora z miłości panienczka pragnie znaleźć się w jego ramionach. Przepraszam, powie mu, choć właściwie niezupełnie wie za co.

Diana Silber

- Nie, dziękuję, Yang - odpowiada w końcu i ma wrażenie, że wstrząsają nią dreszcze. Siada na kanapie, a kiedy jest jej już w miarę wygodnie, z jej lewej strony, na samym brzeżku krzesła, przysiada Yang.

- Chciałam odwiedzić Jake'a, zobaczyć, jak on się czuje. Może... - Kaszle w zwiniętą dłoń. - Może mu czegoś potrzeba. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, a może pierwszy raz w ogóle, Yang patrzy jej prosto w oczy. Jego niepokojąco nieruchome, brązowe spojrzenie jest równie nieprzeniknione jak dwa kawałki skały. Ściany pokoju nagle się ścieśniają tak bardzo, że prawie nie ma już między nimi powietrza. Cassie słyszy głośnie tykanie zegara. A może tak wali jej serce? - Jak on się teraz czuje? - wyrzuca z siebie.

- Nie wiem, pani doktor. Chyba dobrze.

- Wróci do pracy w ciągu kilku dni?

- Może tak, a może nie. Jake jest raz tu, raz tam. To niespokojna dusza, lubi podróżować. Mógł już spakować rzeczy i wyjechać dokądś. To duży kraj. Jest się gdzie zatrzymać.

Dlaczego tak ją straszy? Cassie wie, że z Jake'a pędziwiatr, jeśli można go tym słowem nazwać. Ale nawet najbardziej zagorzali podróżnicy czasem muszą gdzieś odpocząć. Nawet biegacz czasami przystaje. A Jake dotarł już nad sam brzeg Pacyfiku. Dalej jest tylko woda. I jeśli chce zostać na lądzie, musi zrobić w tył zwrot i wrócić po własnych śladach. Cassie mówi to wszystko. Yang kiwa głową. Chwila ciszy, dwa uderzenia więcej i wreszcie Cassie wybucha: - Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mi dać tego adresu!

- Proszę, pani doktor, niczego nie chcę zataić. To nie jest moja sprawa, tylko... - Unosi rękę. Jego ramię zamiera w powietrzu, a potem Yang, w zamyśleniu, powoli opuszcza je w dół. Jak martwy przedmiot, a nie część własnego ciała. - Tylko co?

- Nie moja sprawa - powtarza Yang.

Naturalnie, że to nie jego sprawa, dlaczego zależy jej na adresie Jake'a i kim dla siebie są. Yang i tak wie bardzo dobrze. Uczucia Cassie są równie widoczne, jak jej bluzka czy koszula, i Cassie umarłaby ze wstydu, obnosząc się z nimi przed kimkolwiek, zwłaszcza przed kimś obcym - do tego przed kimś, kto u niej

pracuje, przed własnym ogrodnikiem (Ha! A kimże jest Jake, proszę pani?) - gdyby nie to, że tak okropnie się już niecierpliwi. Czas rozplywa się w nicości, odmierzany tykaniem zegara. Cassie traci minuty życia, a tymczasem drobny człowieczek siedzi naprzeciwko niej najspokojniej w świecie, gotów trwać na krześle całą wieczność, zajmując tylko odrobinę miejsca i patrząc pized siebie.

Cassie żałuje, że nie przyjęła filiżanki herbaty - miałaby teraz czym zająć ręce i nie czułaby się tak strasznie nie na miejscu w pokoju z kolekcją świętych obrazków na ścianie. Chrystus w Kanie. Wygnanie Adama i Ewy. Ostatnia Wieczerza na kawałku metalu przechwytuje światło - lśniące promienie odbite od stołu.

A co będzie, jeśli Yang nie da jej adresu, jeśli nie powie już ani słowa więcej? Albo jeśli okłamie ją i oświadczy, że nie ma pojęcia, gdzie mieszka Jake?

Jasne, że nie będzie go błagać, ale głos jej drży, kiedy mówi:

- Muszę się tam dostać, zanim będzie za późno. — A ponieważ zabrzmiało to tak, jakby spodziewała się odkryć u Jake'a jakąś fizyczną potworność, dodaje: - Już prawie ósma. †

- Nie mnie sądzić, czy pani powinna czy nie powinna tego robić, pani doktor. Pani i Jake... - Urywa, a Cassie wstrzymuje oddech.

Nagle Yang wstaje, idzie w kąt pokoju, gdzie stoi biurko z drzewa palmowego, i pisze coś na skrawku papieru. Podaje jej karteluszek ze słowami:

- Proszę powiedzieć Jake'owi, żeby dał mi znać, czy i kiedy stawi się do pracy.

- Dziękuję, Yang.

Dom, w którym mieszka Jake, znajduje się w dalekiej, wschodniej części Hollywood. Cassie musi zygzakiem przejechać całe miasto, choć ruch na ulicach znacznie o tej porze zelżał. Teraz jednak, kiedy już zna adres Jake'a, może spokojnie zwolnić. Jedzie powoli, specjalnie staje po drodze. Zatrzymuje się na stacji benzynowej, chociaż ma jeszcze pół baku, a po zatankowaniu pije sobie Pepsi i długo siedzi z zadartą głową, wypatrując gwiazd.

Fakt, że ma jego adres w kieszeni, zupełnie ją uspokaja.

Znów staje. Tym razem w barze Denny. Zamawia cheeseburgera i kawę i rozmyśla nad tym, co jej powiedział Yang. Rzeczywiście tak bardzo się różnią? Myśli Cassie wirują wraz z łyżeczką, którą miesza gorący, ciemny płyn.

Głupia, głupia, głupia... Tyle razy zadawałaś sobie to pytanie

- upomina się w duchu i chce natychmiast przestać tak dramatyzować. Pozwól mu odejść albo go zatrzymaj, ale zrób coś wreszcie - nakazuje sobie z całą mocą i zamawia jeszcze porcję czekoladowych lodów. Albo jest dla niego miejsce w moim życiu, albo nie ma. Jedno albo drugie...

Boli ją głowa. Mądra kobieta odwróciłaby się na pięcie i wróciłaby do domu, ale Cassie wsiada do samochodu, przygląda się adresowi, który Yang tak starannie wypisał, i jedzie dalej na wschód...

...Zapominając, że umówiła się z Noną na kolację.

Nona dzwoni do centrali osiedla, ale w ciągu ostatnich kilku godzin nie mieli od Cassie żadnych wiadomości. Ptzekają pani doktor informację, jak tylko złapią z nią kontakt. Nona dziękuje, mówi, że to nic ważnego. Musiała źle zrozumieć

- myśli, uznając, że jest na pewno umówiona z Cassie na dziś wieczór, ale najwyraźniej nie dogadały się wcale do końca. Nona zawsze zakłada, że to ona za wszystko ponosi winę, więc nie czuje do Cassie niechęci za to, że ją wystawiła, tylko smutne rozczarowanie. Musi z kimś pogadać, odegrać jeszcze raz ostatnią scenę z Alanem, zrelacjonować szczegółowo wcześniejsze randki. Czy opowiadała już Cassie, jaki Alan był czuły, jak raz przyniósł jej gardenię, nazwał ją swoją zakonniceką, opowiadał o swoich najciekawszych sprawach, czego nigdy nikomu nie mówił? Czy Cassie rozumie, że Alan naprawdę ją kochał? Nie, nie zadzwoni do Ewy, która ze wszystkich sił ciągnie w górę akcje Fitza, jakby był co najmniej laureatem Oscara. Cassie radzi Nonie, żeby zaczekała, najpierw odetchnęła trochę. Pewnie, że z Fitza miły facet, i Nona bardzo go lubi. Tak, Fitz się jej podoba, choć noc spędzoną z nim wspomina dosyć mgliście, jakby ją oglądała przez drobne oczka gazy. Była tak

zdenerwowana, że z tamtego wieczoru nie pamięta nic, tylko Alana zamykającego za sobą drzwi. I bardzo dobrze skądinąd, bo trudno liczyć, że Fitz się jeszcze zjawi - to taki niespokojny duch, dziś tu, jutro w Santa Barbara. Przypomina jej chłopców, których widziała w pochodzie w Cambridge — mieli głowy nabite ważnymi planami na przyszłość i śmiali się od ucha do ucha.

Poza tym Fitz jest od niej młodszy. Nigdy dotąd nie chodziła z kimś młodszym — na samą myśl o tym natychmiast czuje się stara. Ten fakt podkreśla zbliżające się czterdzieste urodziny, które z daleka lśnią jak neon. Okropnie boi się tej podstępnej liczby, jakby czwórka i zero, dwie cyfry zaspalone ze sobą, tworzyły stalową broń, maszynę z filmowych horrorów, która tylko czyha, żeby zmiażdżyć jej kości.

Więc kiedy Fitz dzwoni do niej zaledwie kilka minut po tym, jak odłożyła słuchawkę, Nona nerwowo przygryza waigę. Fitz namawia ją, żeby poszła z nim gdzieś na pizzę.

— No chodź, Nona, trochę się zabawimy. Jesteśmy stworzeni do zabawy. Jesteśmy pokrewnymi duszami.

— Masz zupełnego fioła. Wcale mnie nie znasz. — Owszem zna, ale w biblijnym sensie, choć nie zadowolili jej wtedy, nie mógł jej zadowolić, bo tego przecież by nie zapomniała. Tak mało orgazmów przeżyła w życiu, że mogłaby je policzyć na palcach jednej ręki. Tak, było ich o wiele, wiele mniej niż mężczyzn, którzy próbowali ich Nonie dostarczyć. Ale z tego nigdy nikomu się nie zwierzy, ani mężczyźnie, ani najlepszym swoim przyjaciółkom. Nona, wielka mistyfikatorka, czuje się boleśnie zawstydzona faktem, jak mało zaznała w łóżku przyjemności.

Fitz nie przyjmuje do wiadomości jej odmowy. A może ona jest jednak za łatwa? Zresztą czuje, że musi wyjść z domu, pójść gdzieś pomiędzy światła i ludzkie głosy. Fajny jest ten Fitz, i ma taki miły dołek w brodzie... Porozmawiają, rozśmieszają ją, a po kilku lampkach wina zapomni o Alanie.

— Dobrze.

— Będę za piętnaście minut.

Dopiero po odłożeniu słuchawki Nonie przychodzi do głowy, że Fitz powinien był zadzwonić dzień czy dwa dni wcześ-

niej, bo - teraz przypomniła sobie nauki Marian - nigdy nie należy umawiać się chłopakiem na ostatnią chwilę.

Matka Cassie nie instruowała jej, jak wygląda etykieta męsko-damskich stosunków. Jeśli w ogóle miała jakieś przeczucia w tych sprawach, nie przekazała ich córce, ale z całą pewnością nie aprobowałyby tego, że jej Cassie ugania się za facetem, który przestał do niej dzwonić, i ściga go tylko dlatego, że ten mężczyzna przyprawia ją o przyspieszone bicie serca. Matka jedną rzecz jej wszakże powiedziała: „Szanuj się, nie bądź za łatwa” i tę naukę Cassie przekazała Mandy. Ale Mandy śmieje się i mówi, że należy do całkiem innego pokolenia, że nie ma już takiego pojęcia jak „łatwa dziewczyna”.

Cassie pociesza się, że działa jak nowoczesna kobieta, wie, czego chce, szuka tego, co sprawia jej przyjemność. Zachowuje się jak mężczyzna, który walczy do końca. Tak sobie właśnie myśli, stając przed drzwiami Jake'a. Jake mieszka w maleńkim, wolnostojącym domu, na tyłach większego domu, przy bocznej zapuszczonej uliczce Hollywood. Nawet po ciemku, kiedy nie widać oblażącej ze ścian farby i walących się ganków, okolica sprawia wrażenie bardzo zaniedbanej.

— Cassie, co ty tu robisz?

Na jego widok osaczają ją dwa sprzeczne uczucia: ulga, że nigdzie nie uciekł, i upokorzenie, że sama musiała go gonić. Nagle zmienia zamiar i robi krok w tył, ale Jake już otworzył drzwi, już chwyta ją mocno za ramię i wciąga do środka. Cassie potyka się o próg, Jake przytrzymuje ją, pomagając jej odzyskać równowagę.

Domek jest idealnie sześcienne jak karton do pakowania; surowy i schludny jak cela samotnika. Światło lampy o długiej, giętkiej szyi, stojącej obok wysokiego, sfatygowanego i wysie-dzonego fotela, nie rozprasza do końca mroku wiszącego pośród ścian, które nie mogą już doczekać się malowania.

Cassie ma wrażenie, że znalazła się w grocie, tysiące kilometrów pod ziemią. Tu naprawdę trudno odgadnąć, kiedy słońce stoi w zenicie, kiedy nastaje dzień czy zapada noc — tutaj zawsze jest trzecia nad ranem.

— Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz. Tamtej nocy byłeś bardzo zdenerwowany. Potem nie odzywałeś się wcale. Nie przyszedłeś w czwartek. Yang powiedział mi, że jesteś chory. Nie wie, czy w ogóle wrócisz do pracy. - Cassie mówi zbyt szybko. Znalazła się w tym samym pomieszczeniu co on. Dzieli ich tylko długość wyciągniętego ramienia, ale Jake jej już nie dotyka. Teraz, gdy jest obok niego, ze zdenerwowania zaczyna paplać bez końca. - Myślałam, że może ci czegoś trzeba. Albo jeśli naprawdę chorujesz, to przecież ja jestem lekarzem. Przyjechałam tu z bezpłatną pomocą lekarską, chociaż nie jesteś kobietą. A może chciałbyś porozmawiać? Nie rozmawialiśmy wtedy o tym wypadku, o tym, jak na ciebie podziałał. — O tym, jak mnie rąbnęło? - Śmieje się nieszczerze. - Na chwilę ożyła przeszłość. Zupełnie jakbym tam Bóg wie jak długo siedział. W Wietnamie. A przecież, do cholery, wcale tam wtedy nie byłem! Siedziałem w twoim domu w Kalifornii, w dodatku dwadzieścia lat później.

Wygląda strasznie, jakby przez trzy doby nie jadł, nie pił i nie spał. Jego oczy przypominają dwa wypalone węgielki. Cassie, przepelniona miłością czy litością - a może jednym i drugim, co w połączeniu tworzy dość zabójczą mieszankę - rozgląda się po pokoju szukając jakichś znaków, które jej podpowiedzą, co Jake przez tyle dni robił. Ale mógł skądś dopiero co wrócić, tuż przed jej przyjściem. Nie widać puszek po piwie, filiżanki po kawie, talerza, spodka. Żadne czasopismo ani książka nie leżą rozłożone w pobliżu fotela, a mały telewizor na drewnianej półce milczy.

Najwyraźniej siedział w tym starym fotelu. Po prostu sobie siedział.

— Przepraszam — szepcze Cassie.

— Za co? To nie ma nic wspólnego z tobą. — Jake wtyka zgięte kciuki w szlufki dżinsów i stoi na szeroko rozstawionych nogach jak *macho*, żołnierz piechoty morskiej, gliniarz, zdobywca świata. Dopiero teraz dociera do Cassie, jak bardzo nie chciał, żeby widziała go przerażonego, spoconego, oszalałego ze strachu.

— Ty chyba nie zaczęłaś wojny i nie zabiłaś nikogo ani nie próbowałaś w ogniu uchronić tyłka przed obstrzałem. Ty pew-

nie siedziałaś tu, w tym najlepszym ze światów, i maszerowałaś ulicami na znak protestu. Wykrzykiwałaś pełnym gardłem, że amerykańscy żołnierze mordują skośnookie dzieci.

— Przecież nie zabijałeś dzieci! — krzyczy Cassie, jakby była tam przy nim i wiedziała najlepiej.

— Dwa różne punkty widzenia.

Jasne, Jake ma rację, ale Cassie może powiedzieć tylko:

— To było dawno temu. Ja tylko chcę ci pomóc.

— Pomóc? Jak? Wymazać dwadzieścia lat z życia? Wskrzesić zmarłych? Zamienić złe czasy na majówki?

Co, do cholery, twoim zdaniem, możesz takiego zrobić, co by mi mogło pomóc, co?!

Złość Jake'a i echo jego słów odbijające się od ścian sprawiają, że pokój wydaje się nagle dużo mniejszy.

Cassie czuje ból w uszach.

— Kochać cię — mówi w próżnię. — Złagodzić twój ból. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

— Nie jestem jedną z twoich pacjentek.

Cassie nie ogarnia już swoich splątanych uczuć, ale one nie mogą przecież stanowić powodu, żeby kogoś kochać - nawet Jake'a, z jego nadszarpniętą urodą, nie zabliźnionymi ranami, nie wykrzyczanym płaczem.

Cassie gotowa by przysiąc, że słyszy wołanie o pomoc.

Uciekaj - szepce jej głos rozsądku. Uciekaj, wracaj do swojej dzielnicy, umawiaj się na randki w ciemno, zapisz do biura matrymonialnego Wielkie Nadzieje, odpowiadaj na ogłoszenia w „Los Angeles”, oglądaj mężczyzn przy barach i dalej szukaj faceta, przy którym ci zadrżą kolana.

Tak, najgorszą rzeczą, jaką może zrobić, to zostać tu, blisko Jake'a, w tym małym dusznym pomieszczeniu, pełnym rozmaitych zagrożeń, i powtarzać jak w naiwnej bajce: „Mogę cię kochać. Będę cię zawsze kochać”. — Chryste, wy kobiety! — wybucha Jake. — Jesteście wszystkie takie same. Wydaje się wam, że miłość z czarnego robi białe! Tylko mnie kochaj, kochaj mnie, kochaj — parodiuje jakąś piosenkę. Unosi ramię i uderza pięścią w ścianę. — Powinnaś poznać moją byłą żonę. Ta to umiała kochać, na piątkę z plusem! I co z tego miała? Albo ja przy niej? — Odwraca się

od ściany i złowieszczo nachyla do Cassie, ale ona nie ustępuje pola, nie cofa się ani o krok. - Którejś nocy rozwalilem wszystkie meble. Wyrzuciłem krzesło z jadalni przez okno na ulicę. Fajnie?

- Nie było mnie przy tym.

- Nie było cię też wtedy, jak rozbiłem tyle samochodów, że w Teksasie odebrali mi prawo jazdy.

- Co chcesz usłyszeć, Jake? Że głupio robiłeś? Że potrzebowałeś pomocy?

- Tylko nie mądrzyj mi się tu! Zachowuj się tak, jak moje dzieci. Miały majtki pełne strachu i chodziły pod ścianą.

- Nie boję się ciebie - zapewnia go Cassie, ale sama nie bardzo w to wierzy.

- Taa? A powinnaś, bo byłem lepszym chujem jako ojciec i mąż. Lepiej się stąd zabieraj. Gdyby Emily kopnęła mnie w dupę, zanim ją rzuciłem, całej trójce byłoby z tym o niebo lepiej. Ale nie! Emily czuła się damą, która ma do spełnienia dziejową misję! Niech żyje miłość, Cassie! Myślisz, że tobie lepiej się uda? Cassie płacze. Stoi jak wmurowana w tym małym kurniku, tak blisko Jake'a, że drobinki jego śliny wykrzyczane w złości, mieszają się ze łzami na jej policzkach. Cassie płacze bezgłośnie. Pod wpływem furii Jake'a serce w niej topnieje i wycieka z niej łzami.

- Uda ci się? - krzyczy Jake.

- Myślałam, że nam ze sobą dobrze. Byłam szczęśliwa. Myślałam...

- Nic nie myślałaś. Siedzisz sobie w swoim ładnym domku, pijesz wino po dziesięć dolarów, gotujesz wymyślne kolacje, puszczasz elegancką muzykę z wieży stereo, która kosztuje więcej, niż ja zarabiam w ciągu kilku lat, no i dobra! Żyjesz w świecie kolorowej pocztówki. Żyjesz życiem z jakiejś pieprzonej reklamy! - Nagle Jake osuwa się na fotel i ściska głowę, jakby w obawie, że mu spadnie z karku. Cassie stoi wciąż w kałuży łez.

- Było właśnie tak, jak trzeba. Nie miałam nikogo innego. Od czasu Douga. Mówiłeś...

Jake przerywa jej takim rykiem, że Cassie mało się nie przewraca pod impetem jego krzyku.

Diana Silber

- Nic nie mówiłem! Nie wciskaj mi czegoś, czego nie mówiłem!

Cassie czuje się jak w wysokogórskiej kolejce w wesołym miasteczku - pragnienia i emocje szarpiają ją na zakrętach, pchają w dół przerażających przepaści.

- Tobie też było ze mną dobrze. Wiem to na pewno. Nie mogłeś przecież tak udawać. Wtedy, kiedy śmialiśmy się razem, kiedy się kochaliśmy...

- Cassie, nie. Nie, Cassie, nie... - Z wolna gniew z niego uchodzi, jak z przekłutego balona.

- Nigdy nic od ciebie nie chciałam.

- O tak, chciałaś. Cały czas chcesz. Każdym gestem usiłujesz podciągnąć mnie do swojego poziomu. Jesteś kobietą, przy której mężczyzna ciągle musi równać górę i sprawdzać się co krok, a ja, do cholery, jestem zupełnym kaleką. Chryste, przecież ja chodzę o kulach!

- Nie. — Cassie czuje zwycięstwo; gwałtowny przypływ adrenaliny mało nie wbija jej w sufit.

- Posłuchaj mnie, zawsze przychodzi taki moment, kiedy wywijam orla, obracam wszystko w ruinę i jakiś czas stoję na głowie. To nie ma żadnego związku z tym, co akurat jest, ale z tym, co było przedtem. Nagle wpadam w jakąś dziurę w czasie, zapominam o LA. i przenoszę się tam, do Wietnamu, jakbym nigdy stamtąd nie wyjechał. Jesteśmy nad rzeką, zawałeni palmami, i trzymamy się za głowy, bo świat na nas rzyga. Brunatna, mętna rzeka wybucha raz po raz i lekkimi kroplami pryska na przeciwległy brzeg. Błoto i woda wałają na nas równo. Jesteśmy załatwieni. Z lewej terkocze karabin i jeśli któryś z nas wystawi tylko łeb, od razu po nim. Ten skurwiel przygwoździł nas w dziurze i pluje w nas opętającym ogniem. A niebo wygląda jak surowa wątroba. Jakby za chwilę miało pęknąć na dwoje. Czyjaś ręka spada skądś z góry i łąduje mi na kolanch. Cholerna ręka z włosami na palcach! Głupi kawał. To nie może być prawda. Ale choć nie widzieliśmy ich na oczy, to przecież są tacy chłopcy, rozerwani na strzępy, którzy spadają z nieba. Ciężki dowcip, co? Tylko czyj? Pana Boga?

Nie ma sensu jej tego opowiadać, wrywać tego z siebie, aż wszystko w środku będzie go piekło żywym ogniem, a on nie

będzie mógł się uwolnić od tamtych obrazów. Jest dokładnie tak, jak jej powiedział - wskrzesza tamte chwile, póki każda z nich nie stanie się godziną, dniem, rokiem.

- To już minęło. Jest tylko przeszłością. A przeszłość musi odejść.

- Jasne. Mówisz tak, jakbym trzymał się jej kurczowo, bo lubię zrywać się w nocy z krzykiem i lubię też zamarzać w sopel lodu, kiedy coś akurat wystrzeli niespodziewanie i wywoła jakieś skojarzenia.

- Każdy...

- Tylko mi tego nie mów. Każdy ma swoją zmore, która go po swojemu nęka.

Jake zapada się w fotel. W zmarszczkach, jakie już żłobią mu twarz, Cassie odgaduje przyszłego starca.

- Kiedy byłem dzieckiem - zaczyna Jake - miałem kolegę, Kevina. Mieszkał przy końcu ulicy. Kevin nie miał lewego ramienia. Taki już się urodził, nikt nikomu nie powiedział dlaczego. Zresztą, czy ktokolwiek to wiedział? Wszedł taki niedorobiony, jak ukraszony herbatnik. Nie wydawało mi się to znów takie ważne. Kevinowi też nie; on nie wiedział, co znaczy mieć obie ręce. Jego rzeczywistością był świat, w którym miał tylko jedno ramię, i dobra jest. Ale jak tylko przychodziły skądś dzieciaki, które widziały go po raz pierwszy, wpadały w przerażenie, jakby był jakimś potworem. Potem jedne czerwieniły się, szurały nogami i patrzyły wszędzie dokoła, byle tylko nie spojrzeć na pusty rękaw fruwający na wietrze - jeśli zdarzyło się, że Kevin go akurat nie zapiął. Inne patrzyły wielkimi oczami w miejsce, gdzie wszyscy ludzie na ogół mają lewe ramię, zupełnie tak, jakby schowało się gdzieś Kevinowi i już za chwilę miało skądś wyskoczyć. A bywało i tak, że jakiś dzieciak uczepił się Kevina i dalej nękać go pytaniami. Jak to się stało? Jak człowiek wtedy się czuje? I tak dalej, i dalej. Ten brak jednego ramienia był zmorą Kevina. Uważałem, że byłoby dużo gorzej, gdyby urodził się z obydwoma, a potem stracił jedno. Wtedy miałby co opłakiwać i mógłby czuć żal po stracie. Trudno boleć nad brakiem czegoś, czego się nigdy nie miało. Zapytałem go o to któregoś dnia, a on mi odpowiedział, że to w ogóle bez różnicy, bo jak się dobrze nad wszystkim zastanowić, i tak w końcu wylądowałby bez jednego ramienia.

Jake ociera sobie twarz dłonią i wstaje z fotela.

- Chcesz piwa? - Burza w nim najwyraźniej wygasa. Mijając Cassie, w drodze do malutkiej kuchenki, Jake przyjaźnie pociera jej plecy.

Cassie czuje dreszcz.

- Tak, napiję się. Wyszło mi w gardle.

- Ha, Kevin przynajmniej nie musiał iść na wojnę! Tyle miał z tej swojej strasznej zmory.

Jake nalewa jej Coronę i czeka, aż piana opadnie, a potem wręcza Cassie szklankę.

— Wiesz, przez chwilę sądziłem, że musi być jakaś nagroda za to wszystko, co było, za cały ten ból, ale *nada*. Unosi mnie jakaś fala, niebo nade mną zaczyna się przecierać, nie, nie dzieje się nic wielkiego, ale ja właśnie zaczynam się jakoś zbierać, a tu nagle trafiony, zatopiony! I ziemia mi się usuwa spod nóg. - Jake wraca na fotel. Cassie idzie za nim i siada na kanapie. — Wypadek.

— Nie trzeba aż krwi na ulicy. Wcześniej wystarczał deszcz kilka dni z rzędu, tropikalny upał, Santa Ana. Jakiś sen. Program w telewizji. Któregoś razu pewna Wietnamka w sklepie. Chłopcy mówili, że wszystkie żółtki wyglądają tak samo. Głupki. Wietnamczycy są tacy jak wszyscy inni: wysocy, niscy, grubi, chudzi, ładni, brzydki, mają duże oczy, małe oczy, duże i małe nosy. Wiesz, tak jak biali i czarni, nie są spod jednej sztancy. Wszystko jedno. Więc akurat bywałem wtedy w Piggly Wiggly w Baton Rouge, gdzie wszyscy są z wszystkimi za pan brat. Byłem tam w przelocie. Przejechałem taki kawał tego zasranego kraju, że mógłbym napisać o tym książkę. No więc skończyłem robotę na jakiejś budowie i miałem przy sobie kawałek grosza. Obijałem się trochę to tu, to tam przed kolejną podróżą. Wynajmowałem nieduże mieszkanie i sam sobie gotowałem. Pewnego ranka poszedłem do spożywczego po zakupy i zobaczyłem dziewczynę. Stała przede mną w kolejce. Mogła mieć ze dwadzieścia lat. Ładna. Miała skórę jak z wypolerowanego egzotycznego drewna i okropną szramę na twarzy, grubą na palec, od ust przez całą brodę. Jej wargi wyglądały tak, jakby jakiś wariat ciał: je siekierą. Po prostu rozłupał dół jej twarzy, a jedna jej część poszła wyżej niż druga. Dwie połowy warg

straciły synchronizację. Patrzę na tę dziewczynę, gapię się na nią, a ona wybucha mi tuż przed nosem, rozerwana na drobne kawałki. Tak, wiem, że bomba nie posłała Piggly Wiggly aż pod samo niebo, ale ta Wietnamka naprawdę rozpadła się na moich oczach!

Cassie chciałaby stworzyć nowy język, jakieś słowa inne niż „Och, to okropne”, „Co za straszna historia”, „Biedny człowiek”, ale niczego innego nie znajduje. Kiwa głową, słucha z zawodowym skupieniem, próbuje opanować drżenie kolan i nie ma śladu nadziei, że będzie mogła wypisać jakąś receptę, skierować pacjenta na serię badań czy przepuścić go przez szpitalny magiel.

- Tak skończył się mój Baton Rogue, miejsce nawiedzone przez duchy. Tylko że ten kraj pełen jest takich duchów. Nie, nie wietnamskich, raczej tych na wózkach inwalidzkich, których nie muszę pytać, gdzie podziali nogi. Pełen facetów, co chodzą o białych laskach, bo dali sobie zaszyć puste oczodoły. Myślałem, że uda mi się ich pogrzebać, jak sobie dobrze popiję, albo jak się naćpam. Ale to daje tylko chwilowy spokój. Potem nadchodzi świt i jakiś czas człowiek znów jest trzeźwy. W końcu światło nabiera mocy pożaru, oślepią cię zupełnie i jesteś przerażona aż po czubki palców u nóg. Zmęczyło mnie to. Znudziło mnie wieczne branie i rzyganie. Chciałem znów zacząć logicznie myśleć. Chciałem myśleć bez padania na tyłek. Tylko że wtedy, kiedy tak bardzo siebie nienawidziłem, że mogłem albo połknąć czegoś za dużo, albo natychmiast wytrzeźwieć, Emily już dawno odeszła z dziewczynkami i minęło prawie dwadzieścia lat mojego życia. - Jake, możesz zacząć wszystko od początku.

- Zawsze zaczynam od początku. Ale wystarczy, żeby zdarzył się taki wypadek jak tamtego wieczoru, a wszystkie syreny znów wyją na alarm.

- Wypadek był straszny. Zginęli ludzie. Każdy rozchorowałby się od takiego widoku - spieszy wyjaśnić Cassie, zdecydowana przekonać go za wszelką cenę. - Tak, może nie ja, ale ja jestem lekarzem. Miałam praktykę na pogotowiu, a to tak, jakby się walczyło na froncie. Tam nauczyłam się obcować z okaleczeniem i śmiercią człowieka, po to, żebym mogła robić, co do mnie należy. Do tego mnie przygotowano.

Diana Silier

- Patrzcie ja, Florence Nightingale!

Cassie nie może już czekać ani chwili dłużej. Wstaje z kanapy i siada na podłodze - nogi sterczą jej niezręcznie, jak u czapli - tuż obok fotela Jake'a. Opiera głowę na jego kolanie, kładzie sobie jego dłoń na włosach.

- Florence, znajdź sobie lepiej miłego doktora.

- Moja żydowska marne.

- Cassie, mówię zupełnie poważnie. Nie jestem dla ciebie. Wierz mi. Jestem jak zbłąkane działo.

- Nie zawsze.

- No tak, ale też nikt na świecie mnie nie zatrudni prócz mojego starego kumpla, tego drania Yanga, który płaci raptem o jednego dolara więcej za godzinę, niż wynosi minimum socjalne, i któremu jestem niewymownie wdzięczny. Byłem już na ulicy, pewnie jeszcze nieraz na niej będę. A sama widziałaś, jak to jest, kiedy miewam koszarne sny.

- To bez znaczenia.

Jego palce zaciskają się w jej włosach.

- Zakochane kobiety zupełnie kretynięją. Za mądra jesteś na to, żeby mnie kochać. Za mądra, żeby mieć ze mną cokolwiek wspólnego, poza: „Cześć, zobaczymy się przy okazji!”

Jego głos kołysze ją, koi. Cassie znów jest w swoim starym łóżku, w pokoiku w Landry. Cichy deszcz uderza miękko w szybę, a ona na wzgórkach z poduszek śni pod kołdrą spokojne, bezpieczne sny. Jest jej dobrze, jest jak utulona muzyką.

- Weź mnie do łóżka, Jake - mówi Cassie, po raz pierwszy w życiu prosząc mężczyznę, żeby ją dotykał, przytulał, kochał. Przez chwilę drży ze strachu, że posunęła się za daleko, że Jake odmówi i odepchnie ją, ucieknie jeszcze dalej. Ale on nie robi nic takiego.

19

W jej śnie Jake idzie przez trawnik. Zanim zasnęli w maleńkiej sypialence, ciasnej jak marynarska koja, opowiedział jej o Waszyngtonie. Cassie na własne oczy nigdy nie widziała pomnika, oglądała go w częściach na zdjęciach. Wyobraża sobie, że jest usytuowany na rozległej, otwartej równinie, gdzie honorową wartę trzymają stojące w dali pagórki. Jedna wielka płyta nagrobna z wypisaną listą nazwisk ludzi pochowanych w pamięci.

Pomnik jest tworem żyjących, jest tym czymś fizycznie namacalnym, do czego ci, którzy przeżyli, mogą odprawiać pielgrzymki. Tak jak to zrobił Jake. Jechał z Kalifornii przez

trzy dni bez przerwy — zatrzymywał się tylko na króciutkie postoje. Dlaczego się tam wybrał? Bo już nadeszła pora — to wszystko, co może powiedzieć na ten temat. Przyjechał na miejsce z trzydniowym zarostem; pod powiekami czuł piasek, w ustach kwaśny smak metalu.

Odszukał znajome nazwiska — niektórych dotykał palcami. Każdy jego dotyk na chwilę ożywia kolegę. Żaden z tych, których Jake pamięta, nie był całkiem dorosły, ot podrośnięty chłopak. Wszyscy mieli więcej lat życia przed sobą niż za sobą.

„Cześć” i „Bywaj, stary” — mówi Jake w deszczu zimnym jak granit, bardziej lodowatym niż lzy.

Cassie krzyczy we śnie. Budzi się nagle z kulą zdławionego dźwięku, która uciska jej krtań. Nie wie, gdzie jest. Nie widzi bladych promieni porannego słońca.

Nigdy w życiu nie spędziła nocy u mężczyzny i teraz rano wydaje się jakiś strasznie zniekształcony. Jest przemarznięta do szpiku kości, ruchy ma kanciaste, choć stara się poruszać ostrożnie jak kot. Może to sen narodzony z pamięci Jake'a powoduje, że Casie czuje jakąś bolesną wilgoć w stawach.

Pojechał do Waszyngtonu odprawić egzorcyzmy, żeby na dobre pogrzebać w pamięci zmarłych, a tym samym odegnąć od siebie ich duchy. To się udaje tylko w książkach - śmiał się z goryczą. Albo w filmach. Ale w rzeczywistości fakt, że zobaczył ich nazwiska - jakby nazwisko miało nagle zastąpić człowieka, niespodziewanie być czymś więcej niż jest — nie znaczy zupełnie nic.

Żadne egzorcyzmy nie wyrwą umarłych z pustki, a już na pewno nie czas. Czas sprawia, że dawni koledzy stają się coraz bardziej sędziwi. To wszystko.

Dla Cassie, która od zawsze inwestuje w przyszłość, ma w banku odłożone oszczędności i wykupione obligacje państwowe, dla niej, która już jako mała dziewczynka stawiała mocno klocek na klocek, dewiza Jake'a - żyć chwilą obecną — jest może nie tyle obrazoburcza, ile wprost niewykonalna. Myśli Cassie gubią się w ciemnych zakamarkach; ona musi znać prognozy na przyszłość.

Jake parzy jej tak mocną kawę, że można postawić w niej łyżkę, a kiedy Cassie zbiera się już do wyjścia, mówi: — Nie mogę ci niczego obiecać. Cassie spuszcza tylko głowę i pyta:

— Możesz przyjść do mnie wieczorem?

VCczoraj po południu i wieczorem było sporo telefonów do pani, pani doktor Morgan — informuje energicznym głosem telefonistka z centrali. — Ma pani coś do pisania? — Tak. Słucham.

Dzwoniła Nona i Mandy, lecz Ewa nie odezwała się wcale. Telefonowali też ze szpitala. Jena dzwoniła dwa razy. Ale to telefony od April wprawiają ją w przerażenie. Obramowuje kółkiem numer podany przez dziewczynę i pyta:

— Mówiła, po co dzwoni?

— Nie mam tu żadnej informacji, pani doktor.

— Dobrze. Dziękuję.

April kilkakrotnie usiłowała się z nią skontaktować. Znały się tylko z kliniki i teraz, kiedy Cassie wybiera numer April, czuje zimny, wilgotny dreszcz na karku.

— Odbierz, do diabła! — szepcze wsłuchując się w dźwięk dzwonka.

Obraca się na krześle dokładnie w chwili, kiedy Jena zamyka drzwi.

Jena trzyma obie ręce w kieszeniach białego fartucha i wspina się na palce. Jej gniew wypełnia gabinet taką falą gorącą, że zdumiona Cassie odkłada słuchawkę.

— Co się stało?

— Wcześniej wczoraj wyszłaś. Cassie wyjaśnia, co zdarzyło się Ewie.

— Miałam zamiar wpaść do ciebie na chwilę, jak uporządkuję pewne sprawy.

— Sprawy! Sprawy! A co z wczorajszymi sprawami?

— O co ci chodzi, Jena? Nie zostawiłam tu wczoraj nic rozgrzebanego. Barbara mnie zastąpiła. Ją spytaj.

— To nie ma żadnego znaczenia. Nikt nie mógł cię wczoraj znaleźć. Barbara też nie. Jesteś lekarką, Cassie i wiesz, że nie możesz zniknąć tak zupełnie, nawet na kilka godzin.

— Jena, nie mam pacjentek w ostatnim trymestrze, więc w końcu w czym problem?

Ale już wie, już czuje chłód w żołądku, zanim jeszcze Jena — z twarzą ściągniętą jak pięść — powie:

— Jedna z twoich pacjentek bez skutku usiłowała cię złapać. Wreszcie skontaktowała się ze mną i pytała, czy nie wiem, gdzie cię znaleźć. Nie chciała rozmawiać z nikim, tylko z doktor Morgan.

— April de Vito. Właśnie do niej dzwoniłam, ale nikt nie odbiera. Co mówiła? - Cassie już wyobraża sobie skargi, że mąż bije... Ale skoro facet znów tracił rozum, gdzież, u licha, podziewa się April dziś rano? Kto opatruje jej rany? Czyżby było aż tak źle, że dziewczynę zabrało pogotowie?

— Nie chciała puścić pary, wciąż tylko pytała o ciebie. Zupełnie, jakbyś schowała się u mnie w szafie. Cassie czuje, jak pot spływa jej po krzyżu, ogarnia ciepłem, które zaraz przekształci się w panikę.

— Zdenerwowana nieprzytomnie?

— Wprost przeciwnie. Zimna jak lód. Dziwna. Nie ma żadnych zaburzeń psychicznych?

— Skąd. Ma za to męża brutala. W każdej kwadrze księżycy, przy pełni i półpełni, facet wchodzi na orbitę, a potem leje April.

— Kolejny bandyta — mruczy Jena.

— Czekaj, spróbuję jeszcze raz. - Ale w słuchawce słychać tylko monotony sygnał. - Nic z tego.

— Powinnaś być gdzieś pod telefonem, kiedy cię potrzebowała, a nie teraz, musztarda po obiedzie! Cassie nie może wymyślić żadnego sensownego wytłumaczenia. Jena ma rację.

— Nie można tak sobie zniknąć i nie pofatygować się nawet, żeby sprawdzić u telefonistki, kto dzwonił. Nie można nagle zapaść się pod ziemię. Człowiek ma jakieś obowiązki. — Jena przemierza pokój jak surowa wychowawczyni, biblijny prorok, sumienie Cassie.

— Wiem.

Jena zatrzymuje się i pyta:

— I gdzieś ty była?

To moja sprawa - chciałaby odpowiedzieć, ale Jena się tym nie zadowoli.

- To osobiste sprawy — mówi w końcu.

- Ach, tak! - Śmieje się Jena. - Mężczyzna! Powinnam się była domyślić! Zawsze chodzi o mężczyznę, prawda?

- Nie zawsze. W każdym razie nie w moim przypadku. I dobrze o tym wiesz, Jena - protestuje Cassie. Nagle przejmuje rolę Jeny, staje znów pod drzwiami i obserwuje siebie. Widzi kobietę, której włosy sterczą jak naelektryzowane, kobietę tak opętaną mężczyzną, że lecą od niej iskry.

- Mężczyzna, nawet taki, który się zdarza tylko raz na jakiś czas, nie może być powodem, żeby zniknąć bez wieści, kiedy jest się potrzebnym pacjentce! Mężczyzna jest tylko mężczyzną, Cassie — kończy Jena z sarkazmem. - Nie musisz mi robić wykładu. Dziękuję ci bardzo! - Cassie denerwuje się wreszcie.

Patrzą na siebie twardo i w tym momencie Barbara uchyla drzwi i wsadza przez nie głowę.

- Moje panie, słyhać was nawet w szpitalnej aptece. - Jena wymija Barbarę i energicznym krokiem idzie przez korytarz. - No, no, no... O co wam poszło, że skończyło się aż tak głośno?

- Myślałam, że słyzałaś każdą sylabę.

- Niekoniecznie każdą. Raz jakąś zagubioną spółgłoskę, to znów samogłoskę.

Cassie znów wyciska numer April i pełna niepokoju, czekając przy słuchawce, wyjaśnia Barbarze:

- Wczoraj wieczorem byłam przez kilka godzin nieosiągalna. Jena ma prawo wygarnąć mi to i owo. Źle zrobiłam, nie ma się o co spierać. Ale jest tak piekielnie wścibska! Cholera jasna!

- Cassie rzuca słuchawkę na widełki.

- Kilka godzin. Masz na myśli chyba całą noc, prawda? Cassie unika spojrzenia Barbary i mruczy:

- Nie było mnie jakiś czas, i kropka.

Barbara rozciąga usta, dobrze rozumiejąc, w czym rzecz.

- Hm, jeśli to chodzi o mężczyznę, mam nadzieję, że miałaś na tyle rozsądku, Cassie, żeby się z tym nie zdradzić przed Jeną. Wiesz, jakie są gusta i zwyczaje Jeny, i sama dobrze rozumiesz,

Diana Silber

że dla niej nigdy w życiu mężczyzna nie będzie dostatecznym wytłumaczeniem jakichkolwiek zaniedbań.

- Nie chodzi o jej gusta, zresztą nikt tego na dobrą sprawę nie wie, ale o zasadę. Jena twierdzi, że powinnam być osiągalna telefonicznie. I co do tego ma rację. - Nie wiadomo dlaczego Cassie zamiast naskakiwać na Jenę, zaczęła jej właśnie bronić.

- Niech ten, kto jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem - mówi Barbara, ale Cassie dobrze wie, że właśnie ona jest fanatycznie związana z kliniką. Barbara nigdy nie zapomniała, że przede wszystkim jest lekarką, a dopiero w drugiej kolejności kobietą i żoną.

Do zeszłej nocy Cassie uważałyby, że i jej jako lekarce nie można nic zarzucić. Tak samo jak Barbarze i Jenie. Cóż ona sobie wyobrażała właściwie? Jake...

- Słuchaj, wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę. Zajmij się rano moimi pacjentkami.

- Wiesz, nie powiem, że ci to wchodzi w krew, Cassie, ale... Dobra.

- Wczoraj wieczorem April DeYito dzwoniła do mnie pięć razy, a teraz nie odbiera telefonu.

- Dobra, Cassie. Już powiedziałam.

Cztery gipsowe domeczki, zespolone w jeden budynek w kształcie podkowy i podwóreczko z miejscem do parkowania, znajdują się mniej więcej w połowie ulicy. Po obu stronach tego zespołu mieszkań rozsiadły się identyczne domki. Wewnątrz podwórka, pod skrzydłem domu, biegnie betonowy chodnik i rosną rachityczne, zakurzone krzaczki, których dawno nikt już nie podlewał. April mieszka w części najbardziej cofniętej od ulicy.

Ciszę zalegającą sąsiednie mieszkania - lokatorzy są najwyraźniej gdzie indziej - zakłóca czyjś niemelodyjny ryk: *I wanna hold your handl* i szybkie wybijanie taktu przez niewprawnego muzyka.

Cassie naciska dzwonek i niecierpliwie czeka na „Chwileczkę!” April albo płacz dziecka - jakiś znak, że ktoś jest w domu. Ale nic nie słyszy; czuje jedynie głuchą pustkę.

Jeszcze raz naciska dzwonek i przekręcając gałkę w drzwiach,

ze zdumieniem stwierdza, że drzwi są otwarte. „April?” Głos zawisa w gęstej ciszy.

Cassie ostrożnie wchodzi do środka, robi krok po krocisku. Przekracza cementowy próg i wchodzi na żółty chodnik w korytarzu. Na małym leżaczku siedzi pluszowy miś i patrzy na nią szklanym wzrokiem.

— April, jesteś w domu?

Mieszkanie wychodzi na zachód i dzień jeszcze się nie rozpędził na dobre, żeby słońce już liznęło kawałek podwórka przed oknem; ale robi się coraz goręcej, a powietrze nabiera zapachu drożdży.

Wyjdź stąd. Jesteś tu intruzem. Wlazłaś bez zaproszenia. Jeśli jej mąż zejdzie z góry... Cassie myśli o jakiejś ciemnej postaci bez konkretnego oblicza — na wypalanej złością twarzy nie widać żadnych rysów.

Podobnie jak budowla przeżarta przez ogień, ta twarz jest równie niebezpieczna, bo nie ma w niej nic, na czym by się można oprzeć. Tak, Cassie wie, że on ją też może zbić, tak jak bił April, swoją żonę.

— Jest tu kto?

Schody trzeszczą mimo wykładziny. Cassie stąpa po kościach, tak jak dwa pokolenia ludzi, rok po roku, dzień po dniu, stąpały po trupach w Santa Monica. Gdyby nie to, że przy-gwaźdza ją poczucie winy, już dawno by stąd uciekła.

Jakiś dziwny zapach dochodzi z góry i z każdym stopniem się wzmaga. Cassie już wie i żal ściska jej serce. Och, April - ubolewa bezgłośnie, zanim ją jeszcze ujrzała rzuconą w kąt pokoju dziecięcego jak szmacianą lalkę. Kołyska leży przewrócona na bok. Naga lampa, bez abażura, wala się po podłodze — sterczą druciki rozbitej żarówki. Dwoje dzieci April leży wprasowane w jej ciało, wciśnięte w jej biodra. Młodsze śpi. To dziewczynka — głowa jej opada jak zbyt ciężki kwiat na wątlej lodyżce. Chłopiec — sześciolatek, jak Cassie pamięta - ma nie widzący wzrok. April niknie w abstrakcyjnie rozmazanych ciemnych kolorach — fioletowych kontuzjach, zakrzepłej rudej krwi.

— Och, April! — wykrzykuje Cassie, odrywając rękę od framugi drzwi. Z trudem przedziera się do niej. Ma wrażenie, że idzie przez wodę, a do kostek u nóg ktoś przypiął jej straszne ciężary.

Dopiero kiedy Cassie przykuca i zagląda jej w twarz, dziewczyna ją zauważa. W pierwszej chwili Cassie widzi w jej oczach iskrę lęku, ale potem April rozpoznaje ją i widać gwałtowną zmianę na jej posiniaczonej buzi.

Śpiące dziecko szepcze coś przed sen i usiłuje wejść w ciało matki, jakby szukając drogi powrotnej do miejsca, które je wcześniej chroniło. Przyklejony do April chłopiec nawet nie drgnie.

Cassie delikatnie dotyka spiczastej, kruchej brody April i obraca głowę dziewczyny do siebie. Uważnie się przygląda obrażeniom twarzy.

- Dzwoniłam do pani - szepcze April.

- Tak mi przykro, że mnie nie było. Och, Boże, April, wybacz!

Cassie z udręką patrzy na sińce April. Sześćioletni chłopiec odziedziczył delikatne rysy po matce. Nie, Cassie nie musi pytać jej o szczegóły. Wszystko widzi jak na dłoni. Teraz April zwinięta w kłębek, obejmując ramionami dzieci, czekała, aż ktoś przyjdzie, aż przyjdzie Cassie i jej wysłucha.

- Pił coraz gorzej. Telewizor ryczał. Sąsiedzi walili w ściany, więc poprosiłam go, żeby ściszył, bo przeszkadzamy innym. Wtedy mnie rąbnął. Dzieci płakały. Trzymałam małą na rękach, a on ją uderzył w uszko. Cassie delikatnie odgarnia włosy z okrągłej buzi dziewczynki — ciemna pręga ciągnie się przez cały policzek. Cassie ostrożnie bada palcami kość policzkową, dziecko kwili przez sen, ale się nie budzi.

April cały czas mówi, nawet wtedy, gdy Cassie oświadcza:

- Muszę was stąd zabrać czym prędzej. Zanim on wróci.

- Nie! - piszczy April jak nadepnięta mysz.

- Gdzie on jest? - Rzucone spod oka spojrzenie sześćioletniego chłopca jest wymowniejsze i przeraża ją bardziej niż pisk April. — Tu? W mieszkaniu? - Skrzywdził dziecko... Zbiegłam na dół... Nóż...

- O, Boże!!!

Cassie wstaje gwałtownie. April wciąż monologuje jak taśma, która przewija się i odgrywa na okrągło.

- Już się podnosił... załatwiłby nas wszystkich... nie tylko

mnie, ale i Franka, i małą... gdyby to tylko o mnie chodziło, to proszę bardzo, ja mogę z tym żyć... ale nie oni... Poczęstowałam go wtedy... Leżał sobie...

— April! — Cassie już jest w drzwiach.

- Zadzwoiłam do pani... Dzwoniłam i dzwoniłam... Rozmawiałam z tą drugą lekarką, mówiłam, że muszę się z panią skontaktować, bo on wpadł w szal... I te brudne prześcieradła... Że telewizor ryczy i sąsiedzi walą w ściany...

Kwaśny odór dochodzi z sąsiedniego pokoju, dokąd coś ciągnie Cassie wbrew jej woli. Wie, że za chwilę po raz pierwszy i ostatni zobaczy męża April. Wściekły pies - myślała o nim, kiedy April zjawiała się w szpitalu i przysięgała, że upadła, potknęła się, wpadła na coś i w ogóle jest strasznie niezręczna. Wściekły pies - myślała Cassie w gniewie. Trzeba go wziąć na smycz i wyprowadzić do lasu. A przecież jako lekarka wie, że ci, którzy nadużywają przemocy, to ludzie chorzy, sami głęboko zranieni, na ogół skrzywdzeni w dzieciństwie. Potrzebne im leczenie, przeprogramowanie, terapia, trening. Wyprowadź go za miasto, pozbadź się tego psa - myśli wciąż to samo. Nie ma w niej miejsca na współczucie. Jej instynkt klóci się z inteligencją. Tak, teraz stało się to najgorsze. Cassie reflektuje się, że przez cały ten czas, kiedy April odwiedzała ją w szpitalu, ani razu nie użyła jego imienia. Zawsze mówiła o nim: „mąż" albo „on". Jego tożsamość leżała gdzieś w cieniu, ukryta przed światłem za parawanem strachu, który on rozniecał, rozbudzał, podsycił. Jego furia, jego nieposkromione szaleństwo czyniły go niewidzialnym. Wściekłość go odmieniała. Z Jekylla robiła Hyde'a; w blasku księżycy zamieniała w wilkołaka. Aż wreszcie pożarła go w całości i obróciła w kogoś, kto budzi tylko nienawiść. Budził.

Cassie przykłada palec do zimnej szyi. Pod tą skórą, która bardziej przypomina kamień niż cokolwiek żywego, puls nie bije już od wielu godzin.

Krew — zadziwiająco niewielka ilość krwi — która wyciekła z rany po uderzeniu kuchennym nożem w plecy, zdążyła zakrzepnąć. Na białym prześcieradle widać żółte plamy. Cassie zauważa też przebarwienia na spodniach koloru khaki, ale mocz też wysechł. Tylko zapach pozostał - ostry, nieprzyjemny.

Ciało — teraz „maż” i „on” przechodzą dalszą metamorfozę — leży na boku. Na de poduszki widać profil twarzy. Szklane oko robi wrażenie równie nierzeczywistego, jak niewidzące oko pluszowego misia, i tak samo jak ono patrzy w pustkę. Pomarszczona skóra pod okiem jest nienaturalnie ciemna, ale reszta zupełnie gładka, bez skazy. Twarz zwyczajna, nawet dość przystojna.

Jest drobny. Dużo mniejszy, niż Cassie go sobie wyobrażała. Trudno to z całą pewnością stwierdzić, bo ma podkurczone nogi — zupełnie jakby w ostatnich chwilach życia specjalnie przybrał pozycję embrionu — ale nie mógł mieć więcej niż metr sześćdziesiąt pięć czy sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

Cassie spodziewałaby się raczej wielkoluda, złowrogiego olbrzyma, a tymczasem ujrzała żalosego, drobnego mężczyznę. Nawet za życia nie mógł być nikim szczególnym; po śmierci stał się niczym.

Cassie powoli wstaje i wraca do pokoju April tą samą drogą, co przyszła. Przenikliwy pisk ciągnie się w nieskończoność, uporczywy jak wiatr — ale Cassie wie, że to zawodzenie rozbrzmiewa tylko w jej głowie.

20

Lorraine siedzi na czubku wulkanu. Ostatnio wybucha z byle powodu. Noga George'a zrasta się zbyt wolno jak na jej wymagania i weselne plany biorą w łeb. Każdy chce jej tylko dowalić — utyskuje. A zatem Nona chodzi w sklepie na paluszkach; cicha i pokorna, nie wychyla się ani słowem krytyki. Klientki jednak nie są tak wyszkolone i wciąż potykają się o zły humor Lorraine.

Nonie żal kobieciny, którą szefowa zaraz wyśle do jakiegoś tańszego, mniej szykownego sklepu w pasażu. Zahukana, bezbarwna, szara mysz, która pewnie dotknie materiału i odpadnie na widok metki z ceną. I co z tego! Lorraine nie powinna

traktować z lodowatą obojętnością nieśmiało wyszeptanego pytania i tak ostentacyjnie wygładzać rękawa dotkniętego przez nieszczęsną klientkę. Czubek głowy kobiety ledwie sięga kołnierzyka Nony.

— Czym mogę pani służyć? - Nona uśmiecha się.

— Potrzebna mi sukienka.

— Jaka sukienka? Zwykła? Na co dzień?

— Och, nie! Coś na specjalną okazję. Coś, co się nosi...

— Patrzy na Nonę wzrokiem przejrzystym jak deszczówka.

— Hm, proszę mi powiedzieć, o jaką okazję chodzi, a ja pani coś zaproponuję — mówi Nona uprzejmie, czując na plecach wrogie spojrzenie Lorraine. Ona nic nie kupi! Marnuje twój czas! Nasz czas i Flory!

Choć kobieta pewnie wyglądałaby bardziej na miejscu w jakiejś średnio drogiej sukience z domu towarowego, Nona poświęca jej swój czas. Zresztą w sklepie jest tylko stara, wierna pani Jorgansen, z którą Lorraine znakomicie sama sobie poradzi i którą już zamknęła w przymierzalni z dwoma dżersejami Missoni. — Moja siostra wychodzi za mąż — zwierza się kobieta, pochylając się do Nony i tym samym pokazując jej siwe odrosty na głowie. — Ach, więc chodzi o wesele.

— Nie, jeszcze nie. Na razie będzie przyjęcie zaręczynowe

— odpowiada kobieta i dodaje w zaufaniu: — Wychodzi za mąż za człowieka z bardzo dobrej rodziny.

— A gdzie odbędzie się to przyjęcie? — W domu u Mateusza. To znaczy w domu jego rodziców. To bardzo duży dom i dużo ziemi. Mają dwoje służących. — Przyjęcie będzie po południu czy wieczorem?

— To ma być przyjęcie koktajlowe — odpowiada kobieta ze zmarszczonym czołem.

— Doskonale. - Nona prowadzi ją do długiego wieszaka przy ścianie. — Pani jest bardzo drobna...

— Nic nigdy nie leży na mnie dobrze.

— Nie traćmy nadziei. Z całą pewnością znajdziemy coś, w czym będzie pani wyglądać wprost rewelacyjnie.

— Rewelacyjnie. — Kobieta marszczy nos, jak gdyby określe-

nie „rewelacyjnie” nie mogło odnosić się do niej. — Wystarczy mi, jak to, co założę, będzie po prostu na miejscu.

- Na miejscu?

- To znaczy, że będzie to sukienka absolutnie właściwa na taką okazję. Podobna do tych, w jakich wystąpią inne panie.

Nona wyluskuje z wieszaka beżowy jedwab i podkłada pod brodę klientki.

- To tylko kwestia odnalezienia własnego stylu, i już. Trzeba poznać swoje kolory. Trzeba się zastanowić, czy nie szukać czegoś z podkreśloną talią... Myślę, że właśnie tak. I trafić na odpowiednią długość.

- Spódnice nosi się raz krótkie, raz długie, a ja mam zawsze na sobie zupełnie nie to co trzeba.

- Do kolan. To najbezpieczniejsza długość, zwłaszcza dla osoby raczej niskiego wzrostu.

Nona odwiesza beżową sukienkę.

- A to? — Wyciąga niebieską z ozdobnymi rękawami. — L'odoba mi się pani w tym kolorze. Błękit podkreśla odcień pani oczu. I wzór nie jest krzyczący. Proszę przymierzyć, a ja tymczasem znajdę jeszcze coś innego. — Nona kieruje klientkę do alkowy na tyłach sklepu. Mija Lorraine, która zaciska zęby i syczy jak wąż: „To jest Nipon za pięćset pięćdziesiąt dolarów!”

Jak tylko kobieta znika bezpiecznie w przymierzalni, Nona z biegłością starego krupiera robi błyskawiczny przegląd towaru na wieszaku. Lorraine stoi po przekątnej sali i już ma ochotę zrobić Nonie wykład na temat, jakich to klientek nigdy nie należy zachęcać do mierzenia albo o tym, jak umiera handel, ale szczęśliwym trafem pani Jorgansen wynurza się właśnie z dwoma dżersejami, gotowa do odlotu, i Lorraine musi się nią zająć. Co więcej, ponieważ wartość zakupu wynosi niemal tysiąc dolarów, Lorraine jest zmuszona odtajać nieco w uśmiechu. Jej uśmiech wygląda jak lodowy kwiat na zamrożonej szybie. Podczas gdy pani Jorgansen trzyma przy sobie Lorraine, Nona niesie do przymierzalni szlachetną w fasonie sukienkę z brzoskwiniowej krepy i biało-czarną z mory - w nich też jej klientce może być do twarzy. Stawia co prawda na tę pierwszą,

niebieską - na drobnej kobiecie leży wprost jak ulał, poza tym układana spódnica wyokrągłą jej biodra.

- Wygląda doskonale.

- Tak pani uważa? — Kobieta zastygła przed lustrem.

- Proszę się odwrócić i popatrzeć z tyłu. - Kobieta obraca się posłusznie, jak dziecko. Trudno określić jej wiek, ale Nona obstawia, że ma czterdzieści kilka lat. Rozsiewa wokół aureę staropanieństwa i dodaje sobie niepotrzebnie lat krótkimi, falującymi włosami, które najwyraźniej farbuje henną i dlatego mają jednolity zbyt ostry czerwonobrazowy odcień — widomy znak amatorskiej domowej roboty. Nona zasugeruje taktownie wyprawę do salonu Józefa, na drugim poziomie pasażu i doradzi jasnozłote pasemka.

Napomknie też dyskretnie o zmianie koloru szminki, zaproponuje delikatne stonowanie barwy i bąknie kilka słów. o dobrodziejstwach tuszu do rzęs. Hm, gdyby zadbać o nią odpowiednio, byłaby z niej zupełnie atrakcyjna kobieta... - Proszę się wyprostować, żeby materiał nie marszczył się z tyłu. O tak.

Świetnie. - Nona mocno chwyta kobietę za ramiona i podciąga ją w górę. - I co pani o tym sądzi?

- Nie wiem - pada odpowiedź. Kobieta patrzy na siebie w lustrze jak na obcą osobę. - Czy to nie nazbyt agresywne? Chodzi mi o ten wzór. Zawsze źle wyglądałam we wzorzystych ubraniach.

- W tym jest pani naprawdę doskonale. Ale proszę przymierzyć tę brzoskwiniową suknię i zobaczyć, jak w niej będzie się pani czuła. - Nona!

Coś się kotłuje w drugiej części sklepu. Trzy klientki weszły nagle nie wiadomo skąd. Lorraine daje Nonie znak ręką.

- Zaraz wracam! - rzuca Nona kobiecie w przymierzalni.

- Przestań ją wreszcie zachęcać! — syczy Lorraine. — Przecież wiesz, że i tak nic nie kupi!

Nona wzrusza ramionami.

- Potrzebna jej sukienka. A w tej niebieskiej wygląda naprawdę znakomicie.

- Jesteś zdrowo walnięta, wiesz? Przez cały czas, odkąd dla mnie pracujesz, nie nauczyłaś się niczego! Nie rozpoznajesz

nawet, która kupuje Nipona, a która tylko mierzy, bo nudzi jej się w przerwie obiadowej! - Lorraine aż poczerwieniały policzki. Gniew kipi w niej niebezpiecznie. Ale właśnie wtedy Nona czuje delikatne i zbawienne klepnięcie w ramię.

- Myślę, że ta jest dobra - mówi jej klientka. Wyratowana ze szponów Lorraine Nona prowadzi kobietę do lustra. - Muszę się dobrze przyjrzeć.

- *Declassd* — *syczy* Lorraine za ich plecami, a Nona ma nadzieję, że drobna kobieta nie rozumie tego i że obelga nie dojdzie celu.

- Podoba mi się kolor. A pani? - Zerka na Nonę w lustrze, czekając na aprobatę.

Brzoskwiniowy kolor podkreśla bladożółty odcień jej cery, ale Nona mruczy uprzejme „mhm...” i mruży oczy. — Owszem, ładna, proszę jednak przymierzyć jeszcze tę biało-czarną jedwabną, zanim zdecydujemy, która jest najlepsza. Powinna unikać mówienia w liczbie mnogiej — naśladowania sposobu, w jaki dorosły zwraca się do dziecka. Ale jej mała klientka budzi w niej opiekuńcze uczucia, zwłaszcza że Lorraine w każdej chwili gotowa ją wypędzić do tańszego sklepu.

Tak jak Nona podejrzewała, ta ostatnia sukienka jest najgorszym strzałem. Kobieta jeszcze raz nakłada niebieską. - Rzeczywiście ładnie. - I jest wprost idealna na popołudniowe przyjęcie.

W nagłym zwrocie uczuć, tak charakterystycznym u kobiet kupujących ubranie, drobna klientka wyzbywa się wszelkich wątpliwości i wpada w zachwyty nad błękitną sukienką.

- Przecudna! - mówi. - I jak dobrze leży! Tak, pani ma rację, jest idealna na zaręczynowe przyjęcie Karoliny. — Zbiera się wreszcie na odwagę i pyta: - Ile kosztuje? - Pięćset pięćdziesiąt.

Żrenice kobiety rozszerzają się. Jest przerażona.

- Pięćset pięćdziesiąt?!

Nona czuje natychmiastowe zdenerwowanie. Nie tym, że kobieta nic u niej nie kupi, ale tym, że klientka jest przekonana, że to jedyna na świecie właściwa sukienka na zaręczynowe przyjęcie Karoliny (przecież nie może przynieść siostrze wsty-

du i wobec tego będzie musiała ją zdobyć za wszelką cenę. A pięćset pięćdziesiąt dolarów to dużo więcej niż kwota, na jaką może sobie pozwolić. W jej oczach płonie ogień. Czysz... Raty za samochód... Trzy miesiące bez obiadów? W tej chwili skłonna jest do największych wyrzeczeń.

- Z całą pewnością będziemy mogli rozpisać jakoś terminy płatności — rzuca Nona spiesznie.

- Przyjęcie jest w niedzielę, za niecałe dwa tygodnie -stwierdza klientka ponuro.

Nona modli się w duchu, żeby nie okazało się czasem, że kobieta ma debet na kartach kredytowych, i żeby nie podsunęła fałszywego czeku.

Ubrana w swoją spódnicę i bluzkę, kobieta z nabożeństwem wręcza Nonie suknię i przejęta, niczym osoba przystępująca do komunii, mówi:

- Proszę mi to zapakować.

To, że ta szara mysz kupuje jedną z sukienek Flory, złości Lorraine bardziej, niż gdyby wycofała się jak niepyszna i poszła chyłkiem do J.C. Penneya. Wisi więc niczym chmura gradowa nad ramieniem Nony i kontroluje sprawdzanie karty Visa. Potem pilnie ogląda prawo jazdy, porównuje zdjęcie i chudą twarz za ladą. Nie, Lorraine nie da się oszwabić, nie dopuści do tego, żeby jakiś błąd powstał za jej zezwoleniem.

— Przyniesie ją z powrotem, jak tylko trafi do domu i połapie się, co najlepszego zrobiła — szepcze ze złością Nonie w ucho. — Albo co gorsza — w tym miejscu zaciska z wściekłości zęby — wystąpi w tej sukience, a potem będzie nam ją próbowała oddać.

— Nic takiego nie robi — uspokaja Nona.

— W odróżnieniu od ciebie, ja zawsze jestem realistką. Ty żyjesz w świecie marzeń, gdzie wszyscy ludzie są po prostu cudowni!

Nona jest urażona i już ma zamiar odciąć się Lorraine, ale jakaś klientka odwraca jej uwagę, prosząc o pokazanie złotych kolczyków z wystawy.

Kiedy w końcu zostają same w sklepie, Nona zdążyła już przetrwać oblegę. Doszła też do wniosku, że często daje się otumanić radosnym uczuciom. Wystarczy przypomnieć sobie

na przykład takiego Alana. Przecież szalała na jego punkcie! A z chwilą, gdy w jej życiu pojawił się Fitz, zaczęła wprost uwielbiać ziemię, po której on stąpa. Są tak fenomenalnie dobrani! No i w dodatku Fitz nie jest żonaty. I jaki dla niej dobry... Dużo lepszy niż Alan, który upychał ją gdzieś pokątnie między pracą a domem. Fitz przychodzi do Nony na relaksujące kolacje. Nawet sam gotuje.

— Ty, moja złota, nie kiwaj nawet jednym ślicznym paluszkiem. Zaparkuj tylko swój wspaniały tyłeczek na stołku i porozmawiaj ze mną. O, masz, kieliszek Chardonnay, żeby ci się dobrze mówiło.

— Nie mogę ci nawet pomóc? - Czuje się dziwnie; nagle jest gościem we własnym domu. Fitz tymczasem kręci się po kuchni w jej starym kraciastym fartuchu. — Nie. Robienie *paelli* rozpracowałem do najmniejszego szczegółu. — Uwielbiam *paelle*.

Fitz odpowiada jak każdy mężczyzna, który od czasu do czasu zaczyna coś pitrasić:

— Takiej jak moja jeszcze na pewno nie jadłaś! - Uśmiecha się. - Na pewno nie w Bostonie. Wy tam w Nowej Anglii jadacie tylko fasolę i zupę rybną. Założę się, że twoja mama przechowywała jakieś wystrzałowe przepisy jeszcze z okresu Rewolucji.

— Och, moja mama nigdy nie gotowała. Do kuchni czasem wchodziła tylko przez pomyłkę, bo to akurat było tuż obok jadalni.

— No to kto gotował?

— Kucharka.

Fitz wali się w czoło.

— Jasne! Moja mała dziewczynka miała królewskie dzieciństwo. Nona pociąga wino.

— Miałam zupełnie normalne dzieciństwo. Nie było w nim nic nadzwyczajnego.

— W to już nie uwierzę.

— To prawda.

— Śliczna mała bogata dziewczynka z Bostonu.

— Nie drocz się ze mną.

Fitz wyczuwa, że wszedł na śliski grunt. Wychodzi zza piecyka, całuje ją w policzek i delikatnie wiedzie językiem po jej szyi aż do ramienia.

— Przepraszam — szepcze. — Ale chcę wszystko o tobie wiedzieć. Chcę poznać każdą chwilę twojego życia. Jestem tobą urzeczony do nieprzytomności, moja ty najmilsza. Zupełnie zważyłaś mnie z nóg. Jak bardzo chce mu uwierzyć!

Oczy naprawdę mu błyszczą, kiedy przesuwają się w bok, żeby na nią spojrzeć. Co tam w nich widać? Pragnienie? Żądze? Może jednak miłość?

Jej niepokój przeistacza się w strach; Nona za chwilę gotowa wpaść w panikę.

— Najpierw ty mi opowiedz o sobie.

— Bardzo proszę, natychmiast. Co chciałabyś wiedzieć? Nie wie o nim zupełnie nic. Nie wie nawet, jak zarabia na życie. Zajmuje się tyloma rzeczami naraz. „Robi” w biznesie — czytaj: w Hollywood — w telewizji, w filmie. Pracuje na zleceniach. „Jakoś wiąże koniec z końcem, moja ty kochana.”

Nigdy nie była u niego w mieszkaniu, w norze, w czarnej dziurze Kalkuty. Nie, jego mieszkanie nią da się nawet porównać z jej gniazdkiem.

— Któregoś dnia ściagnę sobie oddział sprzątaczek i kiedy odkopią mi trochę chałupę, wywiozą z niej górę śmieci i moje pokoje staną się godne tego, by weszła do nich królowa, wtedy spędzimy tam noc.

— Nie musisz zadawać sobie tyle trudu.

— Jesteś cudowna, wiesz o tym? Najśłodsza kobieta, o jakiej mógłbym zamarzyć. — Całuje ją w czubek nosa i podsuwa krewetkę na widelcu. — Spróbuj. — Obserwuje, jak Nona delikatnie gryzie białe mięso. — Musiałaś być przepiękną małą dziewczynką. Masz jakieś zdjęcia?

— Gdzieś są.

— Muszę je zobaczyć. Siedzisz sobie w koronkach na kolanach papy. Albo na kucyku.

— Nigdy nie miałam kuczka. Fitz ma rozczarowaną minę.

— Wyobrażałem sobie, jak jedziesz na kucyku i włosy masz

zebrane w dwa pędzelki. Tata trzyma cugle i uśmiecha się do swojej słodkiej córeczki. Zdjęcia jak z „Town and Country”!

Fitz stawia wielki garnek na stole, dolewa wina do kieliszków, zapala świece.

— Chodź, siadaj i powiedz, jaki to ze mnie kucharz nad kucharze.

Paella da się zjeść, choć ryż jest rozklejony, a kurczak zbyt krwisty przy kościach. Nona klnie się, że w życiu nie jadła lepszej. Je, uśmiecha się, mówi to, co Fitz chciałby usłyszeć, ale kiedy on sprząta ze stołu, idzie do łazienki i tam zwraca nie strawioną kolację do muszli klozetowej.

Powiedział: „Za nas”.

Na dwa dni przed histerektomią Ewy urządzają sobie nie tyle świąteczną (bo co tu niby świętować), ale dość uroczystą kolację, żeby podkreślić rangę mającego nastąpić wydarzenia. Nona i Cassie zwierają szranki wokół Ewy, otaczają wagony, rozpalają ogniska.

Już wcześniej uzgodniły, że trzeba zrobić coś więcej, nie ograniczać się tylko do kwiatów, które zanoszą do szpitala, do przyniesienia czasopism, przesłania dowcipnych kart z pozdrowieniami. A zatem Cassie przygotowała ulubione dania Ewy. O dziwo, nie jest to nic wymyślnego, *a la mode*, a dość zwyczajny udziec jagnięcia, sałatka Cezar i chrupiące ciasto z czekoladowym kremem. „Ostatni prawdziwy posiłek skazańca przed butelką z kroplówką” — żartuje Ewa, ale docenia ten gest dobrej woli.

— Tylko dlaczego kobietom zawsze się wydaje, że na smutek i stres najlepiej jest kogoś dobrze nafaszerować jedzeniem? - pyta Ewa przy stole u Cassie. Woląaby raczej porozmawiać o sobie i nieuniknionej operacji niż wysłuchiwać opowieści o Fitzu i tym złowrogo brzmiącym „nas”. Wszystkie doświadczenia Nony w zdobywaniu partnera, w tworzeniu „my”, zawsze sprowadzały Nonę na samo dno rozpacz. Ewa nie chce się teraz martwić — przynajmniej nie w tej chwili — kiedy ten nowy związek Nony się rozpadnie. No bo przecież musi.

Ewa nie pamięta już, jak mówiła Nonie, żeby była wdzięczna losowi za Fitz'a i jaki to z niego najprawdziwszy klejnot po tej koszarnej świni, Alanie.

- Cicho bądź i jedz sałatę - mówi Cassie i kątem oka patrzy na smukłe palce Nony, które dyskretnie grzebią w liściach sałaty i wyławiają skwarki. Nona niewiele rzeczy może nazwać swoim smakołykiem, ale na pewno są nimi napeczniale tłuszczem skwarki. Tak, Cassie pamięta te ogołacane przez nią sałatki...

- Jestem zakochana - oznajmia Nona. Cassie daje jej po łapie i Nona odchyła plecy na oparcie krzesła; po królewsku unosi brodę. - Ależ jesteśmy zadowolone z siebie, co nie? — rzuca Ewa.

- Ty wiecznie jesteś zakochana. — Cassie marszczy czoło.

- Tym razem już naprawdę. Słowo honoru! - Nona przysięga z wiarą i oddaniem dziecka. Zależy jej, żeby przyjaciółki potraktowały ją poważnie.

- Daj mi święty spokój! - irytuje się Ewa.

- Musisz poznać Fitzę.

Ewa ma zdecydowanie władczy stosunek do Nony. Owszem, interesuje się nią jak młodszą siostrą. Przyznaje, że zależy jej na Nonie tak jak na Louise czy JoAnne. Zresztą kto wie, czy, w gruncie rzeczy, nawet nie bardziej na Nonie niż na tych dalekich, obcych kobietach, z którymi łączy ją związki krwi i wspólna przeszłość. Liczą się głównie ci, których sami sobie wybieramy. Tak, ale nie ma najmniejszej ochoty poznawać jakiegoś Fitzę, bo jeśli z przeszłości można wyciągać wnioski na przyszłość, to po wyjściu ze szpitala Ewa spodziewa się zobaczyć Nonę zauroczoną jakimś zupełnie innym, nowym facetem. Tak, niebawem na wspomnienie o Fitzu Nona zmarszczy nos, tak jak to robi teraz na myśl o Alanie. Kiedy Ewa stanie na nogi, Fitz już na dobre zniknie w czarnej dziurze pamięci słodkiej Nony.

- Trzy tygodnie w domu - przypomina im Ewa, wracając do swoich zmartwień. Oczekiwanie, pewna doza strachu - tak, owszem, przyznaje - sprawiają, że wciąż wraca myślą do operacji. Rozważa, jak będzie znosić pooperacyjny ból, wyobraża sobie swoje ciało zgięte jak scyzoryk, słyszy już szelest powłóczenia nogami.

- Wcale tak nie będzie - koryguje Cassie. Ale Ewa wciąż ma przed oczami widok matki sprzed wielu, wielu lat.

Pewnego ranka, kiedy Ewa miała osiem lat, matka zupełnie

spokojnie oznajmiła dzieciom przy śniadaniu, że wyjeżdża z domu na kilka tygodni. Musi troszkę odpocząć, zmienić środowisko. Tak mówiła, a jej siostra, Daisy, która przyjechała zająć się domem, pomniejszona kopia matki, powtarzała za nią jak echo. Ojciec milczał; zdradzał go tylko niepokój w oczach.

Co wieczór, po kolacji tata wbijał się w niedzielny garnitur i skrapiał się obficie Old Spice'em, żeby zagłuszyć zapach farby i terpentyny. Szorował dłonie szczotką, aż nabierały różowości małego prosiaczka, i wydłubywał farbę spod paznokci. Miał włosy przyklejone do czaszki i poruszał się ociężale jak w ołowianych butach. Zabierał rysunki dziewczynek, kwiaty z ogrodu, papierowe serduszka, pudełka z cukierkami, a któregoś razu, kiedy szykował się do wyjazdu do szpitala, obiecał im, że mama już niedługo wróci.

Kiedy wreszcie wróciła, była zgięta wpół i zupełnie obca. Miała przygarbione ramiona i powłóczyła nogami jak ten pies potracony przez samochód, którego Ewa widziała minionego lata. Louise zaczęła płakać i schowała się pod stołem w jadalni. Ciotka Daisy uciszała je:

- Ciii, dziewczynki, musicie pomagać mamie. Nie można mamy męczyć.

Ewa codziennie rano nosiła jej herbatę, choć mama wołała kawę. „Herbata jest najlepsza” - mówiła ciotka. JoAnne czytała mamie nagłówki popołudniowej gazety - popisywała się, ile już umie. Louise zwijała się w kłębek tuż obok mamy na koldrze i ssała kciuk. Kiedy mama wstawiała z łóżka, chodziła wolno i ostrożnie; utykała i obronnym ruchem kładła rękę na brzuchu. Na jej twarzy zastygał półksiężyc uśmiechu. Jest chora - myślała mak Ewa. Zawsze już będzie chora. Niemożliwe, żeby to była tylko histerektomia, jeśli pamięć nie płata Ewie figła, ale nie będzie teraz dzwonić do New Hampshire, żeby o to spytać. W ogóle chyba nie powie nikomu w rodzinie o tym, jak teraz cierpi. Nie, ona zawsze jest silna; jeszcze nie leży na deskach. - Dzwoniłaś do agencji? - pyta Cassie.

- Do jakiej agencji? - Nona wylawia ostatnią skwarę i oblizuje palce. Ma mały koci języczek, czerwony i szpiczasty.

Cassie sprzed czasów Jake'a nigdy nie wyobrażała sobie zachowań seksualnych znajomych czy nieznajomych ludzi — myśl o tym, że ktoś leży nagi w łóżku, sapie, jęczy i wzdycha, wprawiała ją w najwyższe zakłopotanie. Teraz jednak uznaje, że widok rozebranej Nony musi sprawiać mężczyznom nieopisaną przyjemność. Nona jest smukła, ale przy tym pełna, jak Madonna z obrazów Rafaela.

- Pomocy domowej — odpowiada Cassie szorstko, czerwieniąc się, że pozwoliła sobie rozebrać Nonę do naga. Nona ściąga brwi. - Myślałam, że my się Ewą zajmiemy.

- Niby jak? Przecież pracujecie przez cały dzień. - Ewa czuje się ofiarą sytuacji, która wymyka jej się spod kontroli, dlatego mówi podniesionym głosem. — Ty masz w dodatku tego swojego Fitzę, miłość życia, ochy i achy, wieczory w świetle księżyca. No i nie zapominajmy też o Jake'u naszej kochanej Cassie. — Śmieje się, ale nie całkiem szczerze.

Cassie i Nona patrzą sobie zatroskane w oczy. Nie będzie to takie łatwe — myślą.

Nona chce uniknąć kłótni i szybko zmienia temat.

- Jak tam Jake? Kiedy go poznamy?

- W Święto Dziękczynienia - mówi Cassie. Tylko na chwilę daje się odwieść od głównego wątku. — Ewa, któraś z nas codziennie będzie do ciebie zaglądać.

- Oczywiście! - potakuje Nona.

- Ale mimo to powinnaś wziąć kogoś z agencji. Przez pierwszy tydzień po wyjściu ze szpitala będziesz naprawdę zadowolona, że ktoś się kręci po domu. Nie będziesz w takiej znów świetnej formie.

- Będę się czuła jak wymaglowana szmata. O ile w ogóle nie umrę.

- Na pewno nie umrzesz! — krzyczy Cassie.

Nona gwałtownie przytyka chusteczkę do ust. Wie, że Ewa może nie obudzić się po operacji, ale nie jest to przecież temat do rozmowy. Wyciągnięcie takiej ewentualności na światło dzienne musi przynieść pecha.

Ewa spuszcza z tonu. Uspokaja się. Tak, rzuciła im w twarz tę przerażającą prawdę, przestarszyła je, zmusiła, żeby załamały

ręce i pogodziły się z jej tragedią. Za szybko przeszły nad tym do porządku, za mało przejmowały się tym, że tam w szpitalu wyrwą Ewie wnętrzności, całą kwintesencję jej kobiecości.

— Naturalnie, że mogę umrzeć. Niektórym się to zdarza, nie budzą się z narkozy. Serce przestanie mi...

— Mało prawdopodobne — przerywa jej Cassie.

— A krwotok?

— A inne rzeczy?

— Ewa przestań na to patrzeć tak czarno.

Cassie i Nona przekonują przyjaciółkę jedna przez drugą; ich słowa nakładają się na siebie. Ewa słucha tego wszystkiego, ale nic nie słyszy. Pęknięta na pół — zupełnie jakby dwie Ewy siedziały w jednej skórze — od czasu popołudnia spędzonego z Williamem nie może dojść do równowagi hormonalnej. Są takie chwile, kiedy ma wrażenie, że nie jest już sobą, że nabiera jakiejś pozacielesnej osobowości, niczym duch żony Abramsa. Ze jest dryfującą ektoplazmą. Czasem zaczyna płakać — w najdziwniejszych porach, histeryzuje bez powodu, zupełnie jak wtedy w parku. Jakie to okropne tak straszyć małe dzieci!

— Żadna z was nie byłaby w takiej sytuacji sama — wybucha Ewa. — Miałobyście czyjeś ciepłe ciało przy sobie. — Sama czuje, że mówi zbyt głośno. Kolejny symptom szaleństwa komórek?

Nona wciąga powietrze i przywdziewa na twarz najpogodniejszą minę dziewczyny, która zagrzewa swoją drużynę do boju. — Ty też nie jesteś sama. Masz nas. Jesteśmy ci bardzo oddane.

— Jest jeszcze przecież Johnny — przypomina Cassie.

— Tak — przytakuje Nona. — On też będzie przy tobie, sama zobaczysz.

Ewa jest o krok od tego, by im wreszcie powiedzieć, że jeśli o to idzie, to Johnny nie ma najbledszego pojęcia, że coś jej w ogóle dolega. Ale dopiero wtedy na nią naskoczą! Uprą się, żeby natychmiast mu powiedziała, najlepiej od razu zadzwoniła. Ewa już sobie wyobraża, jak Nona mówi: „Dzielenie się sobą jest podstawą każdego prawdziwego związku”.

Cassie kroi mięso w plastry. Płaty jagnięciny odpadają z no-

ża, jedwabście różowe i miękkie. Chciałaby wreszcie przestać mówić o operacji Ewy, nawet jeśli właśnie z tej okazji wyciągnęła na stół najlepszą porcelanę i srebro. Chciałaby też nie ciągnąć już wątku Fitz'a. Ma nieodpartą potrzebę posiedzenia w ciszy, rozsmakowywania się w jedzeniu i muzyce. Chce rozkoszować się miłymi doznaniem: smakiem, dźwiękiem, artystycznym ułożeniem płatów mięsa, marchewki i młodych ziemniaków na białych talerzach.

Bo przecież z chwilą, gdy Cassie pozwala sobie na moment nieuwagi, natychmiast - jak diabeł z pudełka - z jej pamięci wyskakuje obraz męża April. I sama April; ma rozczochrane włosy, rozdziawione usta i - po walce stoczonej w obronie własnej i dzieci - chyba ze sto dwadzieścia lat. Można powiedzieć, że April zabiła własną młodość.

Cassie rozkłada talerze i otrząsając się, spycha April w dalekie zakamarki mózgu.

- Mężczyźni są dziwni przy łóżku chorego - zaczyna Nona. Niektórzy mogliby konkurować z Florence Nightingale, gotowi nosić napar z mięty, wzruszać puch w poduszkach... Tyle że większość ucieka od choroby gdzie pieprz rośnie. No tak, ale Johnny na pewno będzie wspaniały.

Ewa uderza dłonią w stół, aż dzwonią sztućce i talerze.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, co? Ile z nim słów zamieniłaś? Uzbiera się z dziesięć? Ale dlatego, że nosi spodnie, w których ma rozporek, od razu jest cudowny! Fitz jest cudowny! Alan był cudowny! Wypłuczę ci to słowo z ust lizolem! - Nona ma oczy pełne łez i Ewa natychmiast się mityguje. - Cholera, Nonnie!

Przepraszam cię. Chciałaś jak najlepiej. Tylko proszę cię, przestań nareszcie uważać, że żyjesz w najcudowniejszym ze światów. Właśnie przez to bez przerwy obrywasz. Nie patrzysz krytycznie.

Wystarczy, że ktoś się do ciebie uśmiechnie, a od razu jest twoim dozgonnym przyjacielem!

- Uważasz mnie za idiotkę.

- Ewa chce tylko powiedzieć, że nie patrzysz na ludzi obiektywnie. Nie oceniasz ich i -każdemu wybaczasz

- włącza się Cassie, jakby Ewa potrzebowała tłumacza.

- Fitz jest zupełnie w porządku. Dlaczego sądzicie, że coś jest nie tak?

- Z doświadczenia - mruczy Ewa.

- To ja go znam, nie wy, i on jest naprawdę... - Nona gryzie się w język. Ewa triumfuje.

- A widzisz? Sama widzisz! O tym właśnie mówimy. A teraz przysięgaj, że nie użyjesz tego słowa przez najbliższy tydzień.

— Chwyta Nonę za nadgarstek.

- Jedzmy już. Wszystko stygnie - zauważa Cassie.

Choć jest to jej ulubione danie, Ewa ledwie dziubie widelcem. Nic nie smakuje jej tak jak dawniej. Jena uznała, że Ewa jest wykończona psychicznie, i przepisała jej witaminy. Zupełnie jakby jakieś pigułki miały jej pomóc! Kończy wino i nalewa sobie do pełna kolejny kieliszek. „Żadnego alkoholu” - upominała Jena. Tylko świeże owoce, jarzyny, pieczywo i kasze z grubego przemiału. I dużo snu.

- Chcę to już mieć za sobą - mówi Ewa wpatrując się w mięso. Czuje ucisk w piersiach. Nagle na myśl o jedzeniu martwego zwierzęcia robi się jej niedobrze. Najwyraźniej mądrości Johnny'ego, których nie brała sobie wcale do serca, zasiały w niej swoje ziarno. - Wszystko odbędzie się szybciej, niż myślisz - pociesza Cassie. - Być już po drugiej stronie...

- Po drugiej stronie czego? — pyta Cassie zaniepokojona tym, że Ewa ledwie dotyka jedzenia na talerzu.

- Życia. Wieku. Być już starą, bez żadnych możliwości...

— Złe samopoczucie pogłębia zmarszczki na jej twarzy. Nona, przestraszona zagładaniem w przyszłość, gwałtownie zabiera się do kolacji. Chwali pieczeń, sos miętowy. Cassie podaje Ewie bagietkę. Milczą.

Wreszcie Nona wykrzykuje: - Ojej, zapomniałam wam powiedzieć! Miałam koszmarne sen związany z morderstwem, tym, które ty Cassie odkryłaś. Nie pamiętam szczegółów, ale zbudziłam się, trzęsąc się od stóp do głów! - To nie było morderstwo. — Cassie broni April.

- Mąż nie żyje, wychodzi więc na to samo - stwierdza Ewa i wzrusza ramionami. Ani martwy mężczyzna, ani jego zabójczym nic ją nie obchodzą. Od czasu wypadku ucieka od świata zewnętrznego, od tego, co nie jest jej ciałem.

Ale wyobraźnię Nony - mimo wszelkich jej zaprzeczeń - zabójstwo bardzo ożywiło, zupełnie jakby oglądała świetny film. Ba! Lepiej! Bo tu wszystko dzieje się naprawdę. Po kilkanaście razy wraca do tego, wyciąga z Cassie wszystkie szczegóły, aż wreszcie może ze spokojnym sumieniem wiernie opisać Fitzowi „scenę zbrodni”; opowiedzieć mu o tym, jak przyjechała policja i przesłuchiwali Cassie przez ponad godzinę!

- Fitz uważa, że byłaś szalenie bohaterka w ogóle wchodząc do mieszkania, kiedy stwierdziłaś, że drzwi są otwarte i nikogo tam nie ma.

- Dlaczego? Skąd miałam wiedzieć, że on nie żyje?

- No ale wiesz, April go zadźgała i mogła być na tyle szalona, żeby i tobie zrobić krzywdę.

- Chwilowa niepoczytalność - mówi Ewa i czeka na to, że Cassie zaraz rzuci się w obronie April: „To nie ona jest za to odpowiedzialna!”

Cassie ma jeszcze mniejszą ochotę na rozmowy o April i jej mężu niż o histerektomii. I nagle zaczyna zapewniać Ewę, obiecywać, że operacja to nic takiego, furda, podczas gdy do tej pory zachowywała się bardzo powściągliwie. Tylko fakty i naga prawda, oto dewiza kliniki Magdalenę-i Cassie absolutnie zgadza się z tą zasadą: kobieta powinna wiedzieć. Rzecz dotyczy w końcu jej ciała. To jej ciało i jej lekarz, a nie zepsuty samochód i mechanik. Powinno się jej mówić to, co jest do powiedzenia. Cassie pamięta z Landry starego doktora Ormonda. Hmykał i achął, i uspokajał. *Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.* Miał gęstą grzywę białych włosów i cesarski profil. Wyglądał jak Cezar August medycyny i utrzymywał swoje pacjentki w niewiedzy od kołyski po grób. To zupełnie nie w stylu Cassie - ani innych lekarek z kliniki, ale jej uczucie do Ewy sprawia, że chciałaby coś podkolo-rować, zmniejszyć jej lęk przed bólem, przemilczeć trudne momenty okresu rekonwalescencji i wstrząs, jakiego dozna organizm.

- Pomyśl tylko, jaka to wygoda - dorzuca Nona. - Koniec z miesiączkami. Co za ulga! - Ale przecież sama nie odebrałaby tego w ten sposób. Widać to w jej przerażonych oczach. Brak macicy i jajników?! Toż to koniec z wymarzonymi dziećmi,

mężem za stołem przy śniadaniu, domkiem ślicznym jak z obrazka, choinką na święta i wszystkimi innymi rzeczami, którymi przystraja swe marzenia. Tak, żeby nie wiadomo jak wesoło pocieszała Ewę, na jej miejscu od razu umarłaby z rozpaczy. Cassie widzi to gołym okiem i wie, że Ewa też zdaje sobie z tego sprawę. Ale Ewa daje się Nonie wygadać.

- Mam czterdzieści pięć lat — mówi wreszcie, odsuwając od siebie talerz. — Taki głupi wiek: wiele już mam za sobą, ale jeszcze sporo zostało mi do końca. Wystarczająco dużo, żeby zdążyć złapać trochę szczęścia. Jeżeli to w ogóle będzie jeszcze możliwe.

- Nie zniosę tego dłużej! — wybucha Cassie.

- Cassie! - Nona jest wstrząśnięta, bo przecież Cassie jest zawsze tak pełna współczucia.

- Przez ciebie czuję się winna, Ewa. Bo jestem teraz szczęśliwa i zdrowa.

- Dajcie jej tylko mężczyznę! — W głosie Ewy słychać urazę i poirytowanie. To śmieszne, ale czuje się zdradzona.

Cassie, zakochana po uszy, bezwstydnie nie na miejscu, żałuje, że jak zwykle nie trzymała języka za zębami.

Teraz jest zmuszona powiedzieć: - Szczęście nie zależy od tego, czy ma się przy sobie mężczyznę...

- Byle jakiego mężczyznę, Cassie! — wpada jej w słowo Nona.

- Naturalnie.

- Ale tobie zdecydowanie poprawił się nastrój od chwili, kiedy Jake wjechał kosiarką na trawnik — zauważa Ewa. Od dzieciństwa matka Cassie wpajała w nią, łagodnie, jak prawdziwa dama, że w życiu należy coś robić, pójść w świat, nauczyć się zarabiać. Oczywiście kobieta wychodzi za męża, rodzi i wychowuje dzieci, ale poza tym powinna mieć też zawód i możliwość samodzielnego zapracowania na siebie. Po raz tysięczny Cassie zadaje sobie w duchu pytanie, skąd w jej matce wzięło się takie przekonanie? Przecież ojciec nie był potworem w domu ani dusigroszem.

Gdyby mama nie powtarzała tego na okrągło, czy Cassie nie siedziałaby teraz w Ohio, nie wekowała brzoskwiń i nie prowadziła wyprzedaży rupieci dla Eastern Star? A może pracowałaby

Diana Silber

na pół czy na ćwierć etatu w spółce telekomunikacyjnej, zarabiając dla Christmas Club?

Małżeństwo, rodzina, wysoko kwalifikowany zawód, nie byle jaka praca. Matka nie uznawała rozwodów ani wyczekiwania na tego jedyne.

- Ten jedyny właściwy. — Cassie marszczy nos. — Kobiety mają zupełnego hopla na punkcie tego jedyne, wysnionego księcia, który pojawia się wyłącznie w bajkach.

Ewa spogląda na Nonę.

- Czyżby znów powrócił temat Królewicza Marzeń? To znaczy Jedyne Kochanka?

Nona potrząsa głową.

- Przestańcie! - woła Cassie. - Jake jest po prostu... facetem. Dobrze nam razem. Lubię go. Jestem szczęśliwa, kiedy jest przy mnie. - Czuje się głupio.

- Nie wierzę w to, co słyszę. Szczęście i mężczyzna w jednym zdaniu! Ależ doktor Morgan!

- Zamknij się, Ewa. Nie wyolbrzymiaj znaczenia tych kilku zdań. Opowiadam wam tylko, co czuję. Nie zakładam nowego kościoła. - Tak, ciągle te same akty wiary. Obie z Noną mówimy ci o tym od lat. To się nazywa wiara w mężczyznę przy sobie. I Panie Jezu, żeby nam się udało! A teraz padniemy na kolana, podziękujemy ślicznie Panu Bogu i wyznamy swe grzechy! - Nona ryczy ze śmiechu, a Ewa uderza pięścią w stół i intonuje: - Lepiej być z kimś niż samej jak palec, uwierzcie mi na słowo, moje wierne owieczki. Słuchajcie, a będziecie zbawione! Cassie wcale nie jest do śmiechu. Jeżeli to ma być żart z niej, nie widzi uzasadnienia. - To nie jest kwestia chodzenia z facetem, który ma łaciny samochód i weźmie mnie nim na kolację. Nie mówimy o takim partnerze. Mnie na Jake'u naprawdę zależy.

Ewa poważnieje i odpowiada szorstko:

- Z tego, co mówisz, wynika, że ty częściej płacisz rachunki w knajpie niż on. I założę się, że Jake nie jeździ BMW.

Nona jest wyprowadzona z równowagi. Nerwy odmawiają jej posłuszeństwa; zaraz wystrzeli i trafi obok tematu. Nie może znieść, kiedy się kłóca, nawet tylko trochę. Nawet kiedy powo

dem jest coś tak blahego, jak odmienne filozofie życiowe. Skoro między nimi nie może być harmonii, to gdzie właściwie jej szukać? Przywiązuje ogromną wagę do związku, jaki je łączy.

- Nie jestem idiotką — mówi Cassie.

- Proszę was, nie kłóćmy się! - woła Nona. - Bo jeśli Ewa ma raka?

- Co?! - Obie wpatrują się w nią nieruchomo.

- O czym ty mówisz?

- Kto powiedział, że mam raka? Cass, ty coś przede mną ukrywasz!

- Niczego nie ukrywam. W naszym szpitalu mówimy pacjentkom wszystko, dobrze o tym wiesz.

- Chciałam tylko... — Nona wije się jak piskorz. — Chciałam tylko, żebyśmy przestały się kłócić, na wypadek, gdyby... O Boże! - urywa. Już nie pierwszy raz Nona, chcąc naprawić sytuację, tylko ją pogarsza. Ma absolutny dar osiągania efektów odwrotnych od zamierzonych.

- A może zapomniałaś mi wspomnieć o jakimś malutkim drobiażdżku?

- To zupełnie bez znaczenia. Wiemy, że nie masz raka. Tyle wykazują badania.

- Ale nie jest to całkiem wykluczone?

Cisnienie w pokoju nagle spada. Okrągłolice, lalkowate dziecko z okresu pionierskiej Ameryki uśmiecha się enigmatycznie ze ściany nad serwantką.

- Ależ naturalnie, że całkiem wykluczone! - Nona prawie krzyczy. - W ogóle nie zaprzataj sobie tym wcale głowy! - Nieostrożnie sprowokowała całą sytuację i teraz chce wszystko odrobić, wygonić raka, zanim się rozpanoszy na dobre. - Niewykluczone?

- Każdy może mieć raka, nic o tym nie wiedząc. Zupełnie zdrowe komórki potrafią nagle gwałtownie się namnażać i wyrwać spod kontroli.

- Dzięki. Doskonale wiem, na czym to polega - mówi Ewa. - Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Omijasz je, z lewej, z prawej, krążysz wokół niego, ale nie odpowiadasz. No, Cassie, powiedz wreszcie.

Cassie odrzuca głowę w tył i patrzy w sufit.

— Oczywiście, że mogłabyś mieć jakąś złośliwą postać nowotworu. — Zdanie dryfuje coraz wyżej i wyżej.

— Ale to jest praktycznie nieprawdopodobne, tak nieprawdopodobne, że w ogóle nie bierzemy tego pod uwagę. Ta możliwość nie wpływała na naszą decyzję. Ale nie da się tego wykluczyć, bo taka hipotetyczna sytuacja istnieje. Proszę bardzo. Zadowolona? - Cassie jest wściekła na Ewę, że tak bardzo przyparła ją do muru. Wyrwała prawdę z Cassie jak zaropiałą ząb, a teraz żałuje, że przyjaciółka nie skłamała. Co to za jakaś obsesja z tą prawdą? Ewa oddałaby wszystko, żeby nie wiedzieć, gdyby tylko Nona nie wyjechała nagle z rakiem. Tak, Nona też dałaby sobie uciąć język. Zrobiło się jakoś niemilo, nieprzyjemnie. Nie tylko przez samo słowo, chorobę i ewentualną możliwość, ale przez nagle narosły gniew i wrogość. Czuje, że lzy cisną się jej do oczu, więc podskakuje na krześle.

— Muszę już lecieć. Fitz pewnie będzie dzwonił. Może zechce wpaść. Nie mogę dopuścić, żeby na mnie czekał. Mężczyźni łatwo się niecierpliwią. Same wiecie.

— Cassie nic nie wie na ten temat, biedaczka. Nic nie wie o subtelnych kobiecych potrzebach, ale już się uczy, prawda kochanie? — mówi Ewa.

Cassie z kamienną twarzą obserwuje Nonę, która macha im na pożegnanie. Nadstawia jej chłodny policzek. - Nona ledwie muska go wargami.

— Nie masz prawa mi tak dokuczać - mówi Cassie, kiedy zamknęły się drzwi za Noną.

Ewa nagle widzi, że pokruszyła cały kawałek bagietki.

— Nie mogę z tobą siedzieć ani minuty dłużej - mówi.

— Bo chcesz prawdy, a kiedy ci ją daję, nie możesz jej znieść.

— Chyba tak — przyznaje Ewa. — Och, Cass, jesteś taka dobra.

— Cóż za bzdury! — Cassie nalewa sobie resztkę wina.

— Przygotowałaś wspomniała kolację, a myśmy jej ledwie skubnęły.

— Mamy jeszcze ciasto.

— Nie, przepraszam cię, naprawdę nie mogę. — Popsułam

To jeszcze nie koniec

363

cały wieczór — myśli Ewa. Powinnam spróbować jakoś to naprawić. Posiedzieć trochę, zjeść ciasto, wypić kawę. Ale to niemożliwe. Jakaś piła bezustannie rozcina jej głowę i za chwilę Ewa zacznie tak krzyczeć, że aż popękają szyby.

— Zostań jeszcze, nastawię ekspres z kawą.

- Nie dziś.

Cassie nie zatrzymuje jej na siłę. Siedzi cicho i patrzy, jak Ewa zbiera rzeczy, nakłada skórzaną kurtkę, zasuwa zamek błyskawiczny. Dopiero w ostatniej chwili, kiedy Ewa już sądzi, że przyjaciółka pozwoli jej wyjść, ot tak, bez słowa, Cassie wstaje, odprowadza ją do drzwi i przytula do siebie.

- Przepraszam - szepcze.

— Nie wiem za co. — Ewa wzrusza ramionami.

Nona jest zakochana. Czuje się lekka jak piórko - jej świeży oddech dobywa się prosto z płuc. Podśpiewuje sobie pod nosem i wdzięcznie, tanecznym krokiem sunie przez sklep. Wreszcie Lorraine przywołuje ją do porządku. Mówi, że Nona ją rozprasza, przyprawia o ból głowy. Naturalnie Lorraine zdaje sobie sprawę z tego, że Nona się kocha. Każdy to dostrzega. Nona wprost nie może usiedzieć spokojnie. I w ogóle nie widzi takiej potrzeby! „Dzięki” - szepcze w powietrze, odkładając słuchawkę, zanim Fitz zjawi się w jej mieszkanku. To „dzięki” nie jest adresowane do nikogo. Może do Pana Boga?

- Skoro tak się kochacie, to dlaczego nie mieszkacie razem? Dlaczego przychodzi do ciebie tylko na kilka nocy w tygodniu?

- pyta Lorraine. Ze złości aż drży jej nos. Jest zaziębiona i przez to w jeszcze gorszym niż zwykle humorze. Lorraine sugeruje, że coś się musi święcić, że najwyraźniej coś dzieje się na boku. Nona słyszy, co mówi Lorraine, ale nie przyjmuje tego do wiadomości. Nie da sobie niczym przesłonić bezchmurnego nieba, nie pozwoli utyłać paluchami swojego kryształowego szczęścia.

Naturalnie, że zastanawia się czasem, co Fitz robi wtedy, kiedy go nie ma u niej.

Fitz nazywa ją „Nonnie”, zupełnie jak Adam, a kiedy zaczyna opowiadać o pracy, serce mało nie wyskoczy jej z piersi. Tak, Fitz ma tyle różnych spraw ponapinanych i wszystko się ciągle kotłuje. Fitz mówi, że trzeba jeszcze poczekać, zobaczyć, co z tego wyniknie, wszystko razem będzie szalenie skomplikowane.

Nona myśli o filmach, o serialu dla telewizji. W końcu to przecież Hollywood. Tutaj kelnerzy są aktorami, a młode dziewczyny marzą, że któregoś dnia ktoś je nagle odkryje. Chłopcy ze stacji benzynowych piszą scenariusze, tak samo jak lekarze i dentyści. Każdy księgowy szuka inwestora do niskobudżetowego filmu, a matki i żony siedzą nad poranną kawą obmyślając kolejne pomysły do tasiemca w stylu *I Love Lucy*.

- Ma kilka rozkręconych spraw. Prace są w różnym stopniu zaawansowania — zwierza się Ewie. Mówi o rozkręceniu i stopniach zaawansowania, ale tylko domyśla się, że to jest właśnie to, o czym niejasno przebąkiwał Fitz.

Jest pora obiadowa i Nona siedzi w szpitalu. Operacja odbyła się poprzedniego dnia. Ewa leży na wysokim białym łóżku w białym pokoju, równie bezbarwna jak szorstkie prześcieradło, na którym spoczywają jej dłonie podobne polnym- myszkom

- odarte z czerwonego lakieru paznokcie wyglądają blado. Włosy jej nagle zmarniały — w bezładnych strąkach zwisają wokół twarzy. Wydaje się, że zmniejszyła się o połowę w stosunku do tej Ewy, która, pewna siebie, ubrana z bezbłędną elegancją, sprzedaje drogie domy. Zupełnie jakby wraz z guzem i organa-

mi - do których się przyssał niczym miękki, tropikalny owoc

- wycięto też całą jej istotę.

- Wody... - Głos Ewy szeleści jak papierowa serwetka. Nona napelnia szklanke i podaje ją z wyginaną plastikową słomką.

- Uwielbiam słomki - mówi patrząc, jak Ewa pije. - Przez słomki pije się zawsze wtedy, kiedy jest wesoło: na majówkach, w kinie, na plaży. Ewie wcale nie jest teraz wesoło. Ale też i nie jest jej aż tak źle, jak to przewidywała przed operacją. Ból, nawet jak się nasila, jest zupełnie znośny. A ponieważ może sobie sama regulować dożylnie podawaną ilość narkotyku, to choć nie nadużywa tego, wie, że wszystko ma pod kontrolą. Czeka, aż ból stężeje i narosnie w niej wysoko jak ceglany mur, zza którego nic nie da się zobaczyć, i dopiero wtedy, gdy nie ma już nadziei, żeby zarzucić wysoko nogę, podciągnąć się na górę i przeskoczyć na drugą stronę, dopiero wtedy naciska guziczek, uwalnia przepływ lekarstwa, zaczyna głęboko oddychać i rozluźnia się. Wtedy może sobie powiedzieć, że już zapracowała na to, by teraz poddać się fali, która uniesie ją tam, gdzie wszystko jest trochę rozmazane - tej dobroczynnej fali, która zagłusza ból. Ma zamglone oczy. Podała sobie narkotyk kilka minut przed przyjściem Nony i te kilka minut akurat wystarczyło, żeby odciągnąć ją daleko od bólu. Nie słucha tego, o czym Nona mówi, choć dźwięk głosu przyjaciółki sprawia jej przyjemność

— przypomina miłe, niskie bzyczenie owada za siatką w letni dzień.

Nona nie zauważa w Ewie szczególnej poprawy. Tak jak poprzedniego wieczoru, sprawia wrażenie kobiety, której zadano gwałt.

Niektóre symptomy muszą mieć swoje konsekwencje - przypomina sobie w duchu Nona. Nie wszystkie nocne bóle i cierpienia ustają o świcie. Minęły już długie tygodnie od czasu ostatniej wizyty Nony u doktora Rubina. Tak, może właśnie operacja Ewy jest sygnałem, że trzeba pójść na badanie?

Ewa zapada w drzemkę, a Nona zaczyna martwić się o swoje zdrowie - zagląda w ukryte zakamarki ciała, bada je w myślach,

woła jak pilot w przestrzeni: „Hej, jak się macie? U was wszystko dobrze?” Wreszcie wstaje, podchodzi do małego stolika przy łóżku, poprawia telefon, pudełko z jednorazowymi chusteczkami, szklanki z wodą i karafki.

Ewa aż podskakuje, gwałtownie wyrwana ze snu.

- Cassie była dziś u ciebie? - pyta Nona.

- Wczoraj... Po południu.

Nona wie z całą pewnością, że poprzedniego dnia Cassie zjawiała się w szpitalu dopiero o szóstej, ale postanawia nie poprawiać Ewy - najwyraźniej straciła poczucie czasu. - Przyjdzie później, nic się nie martw. - Hmm... - Ewa zupełnie nie jest tym zainteresowana. Na orbicie, na którą ją wyniósł demerol, nie może skoncentrować myśli na żadnym temacie. Obrazy są jakieś rozdarłe — osobno nos, ucho, wszystko rozrzucone w niewłaściwych miejscach, jak u Picassa. To, co podsuwa jej wyobraźnia, też jest rozdrobnione. Nazbierało się tam więcej nie pasujących do niczego części niż na złomowisku. Ale to jej nie niepokoi. Teraz, kiedy tak płynie, śmierć wydałaby się jej tylko kolejną stacją w przestrzeni.

Ewa co prawda nie przypomina sobie, żeby informowała matkę o operacji, ale najwyraźniej zrobiła to, bo teraz mama dzwoni z New Hampshire i mówi, że baptyści modlą się za Ewę i że jeśliby miało nastąpić to, co najgorsze, to przecież jest jeszcze drugi brzeg, po przeciwległej stronie rzeki, gdzie...

Abramson czeka. Jasne, że czeka. Są takie cienie, które nie znikają, wymykają się ciągle na wolność — na przykład żona Niedźwiedzia — impulsy elektryczne czy molekuly, które zachowują kształt ciała, choć samo ciało już przestało istnieć. Tak, niewątpliwie coś w tym jest, odurzonej Ewy nie trzeba o tym przekonywać. Kiedy dojdzie do siebie, stanie na nogi i zacznie znów sprzedawać domy za dwa miliony na Beverly Hills, będzie się pewnie śmiać z tych szpitalnych przywidzeń. Ale to będzie później. Teraz Ewie wcale nie do śmiechu. Myśli o śmierci, o tym, żeby wypłynąć na słonej fali w morze i potem niech się dzieje, co chce...

Otwiera zaciśnięte pięści i rozczapierza palce na szorstkim prześcieradle.

Nona uznając, że Ewa chce ją wziąć za rękę, posłusznie ściska dłoń przyjaciółki. Ale to, czego Ewa naprawdę chce, to wrócić do snu tak realistycznego, że myli go z rzeczywistością, do świata sennej uludy, który miesza się jej z kanciastym światem drzwi, biurek, krzesel i okien.

Sen jest prosty jak chińska układanka, kiedy dobrze wycięte drewniane części zaczynają do siebie pasować. Ewa idzie długą drogą wijącą się przez brązowy krajobraz. Łagodne wzniesienia przypominają nierówności kołdry. Ziemia jest naga, bez drzew i skał — żadne poszarpane rany nie psują idealnej geometrii snu. Z daleka wzgórze wygląda jak miękki zarys piersi.

Świeży pył przykrywa gliniastą ziemię, po której - nie zostawiając za sobą śladów - idzie Abramson w domowych zdeptanych kapciach.

To idzie martwy Abramson, ale inny niż ten, którego składała do grobu. Jest szczuplejszy i więcej w nim kości. Ma na sobie ulubioną flanelową koszulę, złachane sztruksy i choć bury jak ziemia i szary jak popiół, wciąż przecież jest Abramsonem.

- Zastanów się dobrze, czego chcesz - ostrzega ją. Naprawdę chce już umrzeć? Bo być z Abramsonem znaczy... - Ewo, kochanie! - woła matka, która tą długą drogą doszła aż do New Hampshire.

...przejsć na drugą stronę.

Zatrzymują się niecałe pół metra od siebie. Nic ich nie dzieli, nie grodzi - ani strumień, ani ulica, ani betonowy most. Wystarczy, że Ewa obróci się i pójdzie razem z nim.

Ale nie robi tego, nie zrobiła. Chyba postanowiła nie umierać, choć to czysty nonsens - ciągle to sobie powtarza jak litanie, aż wreszcie ból staje się zbyt silny i trzeba zarzucić sieć, by schwytać w nią tego potwora. To tylko sen...

Nie szkodzi, że twarz tak się Abramsonowi wyostrzyła, że takie ma wielkie pory na zniekształconym nosie, włosy w długich, rozczochranych strąkach i czerwone żyłki na białkównce oczu. Ewie wydaje się, że opowiada o tym Nonie, ale ta rozmowa, podobnie jak spotkanie z nieżywym Abramsonem, odbywa się tylko w eterze.

Nona, zupełnie nieświadoma, że właśnie rozmawia z Ewą, przysłuchuje się odgłosom szpitala. Słyszy dzwonki i brzęczyki, żalobny głos w dyżurce oddziału, wzywający poszczególnych lekarzy, brzęk wózków z jedzeniem, wytłumione kroki salowych, szum platformy rozwożącej książki z miejscowej biblioteki. Poca się jej ręce. Wyobraża sobie, że sama jest pacjentką, leży płasko w łóżku, unieruchomiona, bezwolna — do nóg, ramion i nosa ma podłączone kroplówki.

Odwiedziny u Ewy wprawiają ją w popłoch, ale nie może jeszcze odejść. Poprawia gałązkę orchidei i irysy, które przyniosła Ewie - salowa wykombinowała nawet zielony szklany wazon. Krąży wokół szerokiego parapetu, dotyka kalii, róż i drobnych żółtych stokrotek, które Johnny nadesłał w słomianym koszu - Ewa powiedziała mu o szpitalu, zaledwie w przeddzień operacji — wraz z balonem ozdobionym wizerunkiem uśmiechniętego Garfielda, opatrzonym życzeniami: „Wracaj do zdrowia!”. Stoi tam też idealnie mieszczący się w kubku do mycia zębów mały bukietek fiołków od Tytusa Reynoldsa. Ewa ma dość kwiatów na długie dni, a w szpitalu jest niecałe czterdzieści osiem godzin. Będą potrzebowały ciężarówki, żeby ją zabrać do domu. Kto ją zabierze? Nona sądzi, że obie z Cassie. Combi Cassie bardzo się teraz przyda. Pojadą razem. Samotne kobiety, kobiety bez mężczyzn, które pomagają sobie nawzajem. Trudno zresztą powiedzieć, że jest tak zupełnie samotna. Przecież ma Fitz. Cassie też jest związana z mężczyzną. Biedna Ewa.

Nona wygląda koc, na którym teraz spokojnie spoczywają palce Ewy; uśmiecha się do śpiącej przyjaciółki. Wreszcie może wyjść. Słyszy głos Fitz na nagrany na automatyczną sekretarkę, widzi go, jak wygląda zza jej drzwi wejściowych, i już nie może się doczekać spotkania, choć pamięta przecież, że dziś wieczorem jest umówiony w interesach. Hm, plany się jednak zmieniają, a spotkania czasami kończą się niespodziewanie wcześniej.

Och, Nona uwielbia mieć Fitz w łóżku obok siebie, zasypiać przytulona do jego kosmatej piersi - czuć tę miękką, żywą poduszkę pod policzkiem. Fitz jest wielkim, gorącym zwierzęciem, które dzieli z nią ciepło, a jeśli go zabraknie, Nona zasypia gdzieś daleko na morzu, wiele kilometrów od bezpiecz-

nego brzegu. Noce bez Fitz'a po prostu nie mają końca. Jak bardzo łatwo przyzwyczaiła się, że leży przy niej mężczyzna, że mężczyzna przychodzi do niej na kolacje, przynosi butelkę wina. Przyzwyczaiła się do tej znajomej twarzy i do czułości, jaką ją obdarza. Choć nie wspominał dotąd o przyszłości, nie robił planów, nie składał obietnic, do niczego się nie zobowiązywał, Nona uważa, że są parą. Uważa, że są już tak mocno złączeni, jak bliźniaki syjamskie zrosnięte biodrami, klatką piersiową i czołem, aż po grób. Nauczyła się — o tak, nauczyła się wreszcie — by nie zadawać żadnych pytań, nie nawiązywać do przyszłości. Sam szatan nie wydarłby jej z gardła takich słów jak: „do końca” czy „na zawsze”. Takie są reguły gry — które zaakceptowała w końcu - że to mężczyzna pyta, nie kobieta. „Czy zechcesz być...?” jest działką mężczyzny. Więc teraz tylko czeka na Fitz'a, cichutka jak trusia. Szczęśliwa. No pewnie, że szczęśliwa.

Beth Levinson zagląda do Cassie i usadawia rozłożyste biodra na jej kuchennych stopniach. Trzyma w garści szklaneczkę dżinu z tonikiem i folguje sobie - indyk już się piecze w piecyku.

Cassie nie jest w najlepszym nastroju, w końcu musi przelożyć uroczystą kolację z okazji Święta Dziękczynienia z dziś aż na sobotę. Wieczorem pojedzie z zapiekanką z makaronu do Ewy, bo akurat stara babcia Trący przyleciała z Salt Lake, i Doug - z wdziękiem małego chłopca, który niegdyś ją tak strasznie rozczulał, a teraz okropnie irytuje - poprosił, żeby Mandy ten dzień spędziła z nimi.

Cassie mówiła, że już zaplanowała wszystko, a poza tym decyzja należy chyba przede wszystkim do Mandy. Mandy nie jest już przecież dzidziusiem, którego można przeciągać wraz z wózkiem to w prawo, to w lewo. Ma swoje zdanie. I Doug zgodził się, że przede wszystkim ją powinni zapytać. Mruknął coś jeszcze, że Mandy będzie wiedziała najlepiej, co tu jest sprawiedliwe — przecież wszystkie święta, poza Dniem Niepodległości, spędza zawsze z Cassie, więc Święto Dziękczynienia nie będzie aż tak strasznym poświęceniem.

Cassie była tak bardzo wyprowadzona z równowagi i takim wstrętem napawał ją przymilny głos Douga, że z najwyższym

trudem powstrzymała się, żeby mu nie powiedzieć, co o tym naprawdę myśli. A niech was wszystkich szlag! Ciebie i Trący, i jej starą babkę!

Cassie skłonna była w ogóle nie wspomnieć Mandy o tym, ale Doug najwyraźniej natychmiast do niej zadzwonił, bo w ciągu godziny Mandy zatelefonowała do domu i oznajmiła, że na Święto Dziękczynienia jedzie tym razem do ojca. W jej głosie brzmiało tyle radości, jakby Trący obiecała zamówić królewską pizzę z pobliskiej knajpki, albo może kilka hamburgerów od McDonalda.

Beth wie o tym wszystkim i cały czas, nieustająco, nakłania Cassie, by razem z Jakeem zasiadła u nich do indyka. Ale zapiekanka z Ewą jest już zaplanowana, a Jake idzie do Yanga na wietnamską wersję podziękowań składanych Bogu. Beth, kobieta o silnej woli, która nienawidzi wszelkich kompromisów, w końcu składa broń i przystaje na wspólną kolację w sobotę.

- Możesz w każdej chwili zmienić zdanie - mówi Beth, której bardzo zależy na towarzystwie przy stole; Tony wyjechał gdzieś na północ. Poza tym oboje z Alem lubią Jake'a, którego wraz z Cassie zaprosili pewnej niedzieli na elegancką kolację. Jake poszedł w białej koszuli, bez krawata, i w sztruksowej marynarce. Beth tylko wzdychała zachwycona; w kuchni szepnęła Cassie, że złapała sobie, owszem, niezłego ptaszka. Tony wpadł wtedy na tydzień. Akurat zmieniał pracę, mieszkania, dziewczyny.

Natychmiast porozumieli się z Jake'em. Już po chwili gadali jak starzy znajomi, rozpaleni jedną pasją - znaleźli w sobie duchowe pokrewieństwo. „Znajomość z poprzedniej karmy” - orzekła Beth, kiedy dwaj mężczyźni rozprawiali o muzyce, co jakiś czas przypieczętowując swoje opinie stuknięciami butelek z piwem. Żartowali, wybuchali śmiechem, zarażając swym dobrym nastrojem resztę biesiadników. Al czuł się w tej atmosferze jak kocur, który mruczy z ukontentowania, zwinięty w kłębek przy kominku.

Levinsonowie doszli do wniosku, że Jake zostanie na stałe, co dla Beth było jednoznaczne z małżeństwem z Cassie. Cassie protestuje:

- W dzisiejszych czasach ludzie żyją bez dobrodziejstw...

- Wiem, wiem - przerywa Beth. Pijąc, wysuwa wąską dolną

wargę. Trzepocze powiekami. Troszkę za bardzo lubi dżin i zbyt wcześnie w ciągu dnia chwyta za szklaneczkę. — Nie musimy się wcale pobierać.

- Ale czy to zrobicie? To właśnie chcę wiedzieć, nie to, czy możecie tego nie zrobić. Wiesz, można powiedzieć, że równie dobrze możesz nie być Hinduską. — A kto to może wiedzieć! — wykrzykuje Cassie, lekko podenerwowana, wciąż jeszcze nieswoja od czasu powrotu Jake'a. Nie może znieść myśli, że któregoś dnia on znowu zniknie. I nawet kiedy rozgrzana leży w jego ramionach, jakiś paskudny głos szepcze jej do ucha: „A jeśli któregoś dnia będziesz go miała dość?” Od odejścia Douga Cassie nauczyła się, że dobrze jest czasem przystanąć i zrobić rachunek zysków i strat, spojrzeć na związek krytycznie, nie myśleć, że będzie trwał wiecznie. Przecież wolno jej nagle coś zniechęcić. Kto wie, czy nagle się nie poczuje nieszczęśliwa i nie zechce odetchnąć w samotności? Oczywiście, dopóki Jake nie zawitał w jej życiu, nie miała okazji, by w praktyce przeciwiczyć swoje przemyślenia. Teraz, choć jest tak blisko z nim związana i czasem szybuje z nim pod samo niebo, tracąc nad sobą kontrolę, choć jest zakochana po uszy, rozpierana namiętnością, lekkomyślna jak młoda dziewczyna, wciąż czuje jakiś niepokój. Jake nie jest całkiem gładki. Trzeba pamiętać, żeby się mieć na baczności. Tak, Jake przywodzi jej na myśl sweter z owczej wełny - łaskocze, drapie i zostawia wysypkę na skórze. — Nie poprosił cię jeszcze o rękę, ot i wszystko — wyrokuje Beth. Uchwyciła się tematu małżeństwa i trzyma się go kurczowo. — Musisz go trochę podpuścić, i już. — Kostki lodu grzechoczą w rozkołysanej szklance. - I już! - Cassie jest oburzona. - A jeśli ja nie chcę? - Czego nie chcesz? Podpuszczać go, czy żeby ci się oświadczył? Cassie kręci się na schodku i ma przemożną, choć wredną, ochotę powiedzieć swojej od zawsze zamężnej Beth, sąsiadce i przyjaciółce: „Nie każda kobieta marzy tylko o obrączce na palcu”. Ale Beth wypuła już tyle, że nie zawaha się przypomnieć Cassie jej samotnych i przeplakanych nocy.

Tak, Beth gotowa jest powiedzieć wszystko. Nic nie jest w stanie poskromić jej języka. Al często o tym mówi. Jego też nie oszczędza; nieraz nadział się na jej ostre komentarze.

Wyslizgany stopień, a może to stan Beth - kto wie, czy nie wypila takiej samej szklanki, kiedy piekła ciasto? - powoduje, że Beth potyka się wstając. Cassie łapie ją za rękę i zaraz sama wstaje. Przez chwilę wygląda na to, że Beth pójdzie za nią do kuchni. Może nawet na górę i pod prysznic? Beth potrafi się tak czasem czepić jak rzep psiego ogona, ale Cassie zupełnie już nie ma nastroju na dalsze wałkowanie Jake'a.

Przytrzymuje siatkowe drzwi i nagle ogarnia ją fala zazdrości, że Al nie jest kimś obcym dla Beth i odwrotnie. Nawet z zawiązanymi oczami odnajdą się w ciemnościach. Takiej bliskości nigdy nie osiągnie z Jake'em. I dobrze o tym wie. - Muszę się zbierać. Ewa pewnie umiera już z głodu. Beth pociera wilgotną szklankę o zaróżowiony policzek.

- Na pewno się nie namyślisz? Moglibyśmy podjechać i przywieźć Ewę do nas.

- Nie, Beth. Nie. - Cassie ma uczucie, że teraz ją przeprasza, bo Beth zostaje taka nieszczęśliwa.

...choć w życiu nie była - wyjaśnia Ewie.

- Zawsze mówiłaś, że Beth Levinson jest aż zanadto szczęśliwa. Że wręcz ocieka szczęściem.

- Nie, nigdy nic takiego nie mówiłam. Na pewno nie mówiłam, że jest za bardzo szczęśliwa. Nie sądzę, żeby o kimkolwiek, kto się czymś cieszy, można powiedzieć, że jest nazbyt szczęśliwy, chyba że to sztuczna euforia, która jest skutkiem picia czy naćpania.

- A jak tam Nona? - pyta Ewa. - Unosi się coraz wyżej i wyżej, jak urwany balon napelnięny helem?

- To nie jest szczęście.

Skończyły kolację i Ewa wyciąga się na kanapie. Cassie narzuca jej ciepły pled na nogi.

- Hm, nie jestem pewna, czy mogę się nazwać szczęśliwą

- mruczy Ewa. - Ale na pewno jestem bardzo zadowolona.

- I ma po temu powody. Jena stwierdziła, że Ewa jest zdrowa jak rydz. Pulpowata masa okazała się zwłóknioną tkanką. I Cassie to potwierdziła! W tej chwili żadne oszalałe komórki nie jedzą Ewy żywcem. Ewa wzdycha przeciągle i zamyka oczy - teraz jakoś światło ciągle wydaje się zbyt ostre, a ona, podobnie jak kret, woli na

Diana Silber

świat patrzeć w półmroku. Zaczyna zapadać w drzemkę, wreszcie otrząsa się z rozleniwienia i prosi, żeby Cassie powtórzyła jej to, co mówiła przed chwilą. - Tylko tyle, że dobrze wyglądasz.

- Jasne. Ostatnimi czasy rzeczywiście przypominam królową piękności. - Gdyby to nie Cassie podrzuciła jej ten komplement, natychmiast kwestionowałaby jego szczerłość, bo od czasu operacji czuje się tak atrakcyjna jak stara, znoszona skarpeta.

- Ale to prawda - upiera się Cassie.

- A te odrosty? - Ewa mierzwi krótkie włosy.

- O tym nie warto mówić. Każda kobieta ma odrosty. Ewa uśmiecha się.

- Co byś powiedziała, gdybym przestała sobie nimi zupełnie zawracać głowę. I gdybym chodziła siwa, co?

- Dlaczego nie? Siwe włosy będą się dobrze komponować z kolorem twoich oczu — odpowiada Cassie zdziwiona. Pogodzenie się z wiekiem i starzeniem się zupełnie nie jest w stylu Ewy.

Cassie wyprostowuje plecy, poprawia włosy i chwytą za torebkę na długim pasku. Zbiera się do wyjścia. Jest dopiero wpół do dziesiątej i Ewa sprzed operacji na pewno chciałaby ją jeszcze zatrzymać, zaproponowałaby kolejną szklaneczkę czegoś mocniejszego, filiżankę kawy albo partyjkę tryktraka. Tamta Ewa nienawidziła bezczynności, ale ta nowa jest inna. Zupełnie jakby na salę operacyjną w blask jaskrawych lamp wwieziono jedną kobietę, a wywieziono drugą, inną, cieplejszą, łagodniejszą. To przecież zupełnie nienaukowa refleksja, kompletnie absurdalna, ale całując Ewę w policzek, Cassie ma ogromną ochotę zapytać: „Kim jesteś?” Nie ma potrzeby, żeby Ewa odprowadzała ją do drzwi. Cassie spokojnie trafi sama. Ewa nie nalega. Cassie zerka na nią jeszcze przez ramię i zastanawia się, czy nie powinna jednak zostać dłużej. Ale przecież naprawdę musi iść. Jak to jest, że przestaje ostatnio wiedzieć, czego naprawdę chce?

Tak sobie zorganizowała dzień, żeby minąć się z Dougiem. Mandy będzie już w domu, na górze, a Jake przyjedzie kilka minut potem. Tak to sobie wszystko zaplanowała, ale oczywiście wyszło całkiem inaczej. Przede wszystkim ona i Doug zajeżdża

ją pod dom niemal równocześnie. Kiedy Cassie wychodzi z garażu, światła jego BMW niemal całkiem ją oślepiają. Czuje się naga w ostrym blasku, ma wrażenie, że widać w niej każdą skazę. Już słyszy złośliwe komentarze Trący. Ale Doug sam przywiózł Mandy do domu.

- Było genialnie — opowie jej później Mandy zadowolona z życia. Tak, jej zdaniem, pobyt u młodziutkiej macochy był naprawdę ekstra, cokolwiek by się za tym kryło.

Doug, pogodnie nastawiony do świata, wysiada zza kierownicy. Wylacza silnik, jakby miał jakiś powód, żeby się zatrzymać na dłużej. Mandy przechodzi na drugą stronę i staje między rodzicami. Przez krótką chwilę tworzą dawną trójkę — Mandy stuka matkę biodrem, opiera się ramieniem o ojca i za chwilę zapewne powie: „Chodźcie, zrobimy sobie kanapkę”.

- Jak się masz, kochanie. - Cassie całuje córkę w policzek, delikatnie przytula ją i odciąga od Douga.

- Spędziliśmy wspaniały dzień. A ty? - pyta Doug unosząc kąciki ust w udawanym uśmiechu, jakim częstuje obcych. Cassie zastanawia się, czy Mandy napomknęła mu o Jake'u. Mama ma faceta. Zesztywniałby słysząc coś takiego? Zakląłby: „Niech to jasny szlag!”? A może stwierdziłby: „Najwyższa pora”. Albo zapytał: „Jaki on jest”? Oczywiście nie powie Mandy: „Dobrze to mamie robi. Jest za bardzo spięta”.

Cassie, czy ty nigdy nie możesz się odprężyć? Więcej luzu. Spokojnie...

W ciemnościach na podjeździe wspomnienia wprawiają ją w rozdrażnienie. Chciałaby wypiąć się na przeszłość i skoncentrować na kąśliwych uwagach, jakie spodziewa się usłyszeć w każdej chwili. Pewnie, że Doug nie krzyknie: „Bomba! Świetnie! Dobrze jej to robi. Mam nadzieję, że mama jest szczęśliwa”. Jakoś nie może sobie wyobrazić, że Doug mógłby jej dobrze życzyć, skoro omal jej nie wykończył, robiąc tak straszliwą krzywdę.

Załatwił ją młodszą kobietą. A ile ich było przed Trący? Tych, które nie chciały wychodzić za niego, albo którym się nie udało nakłonić go do małżeństwa? Czy zawsze dzieliła z kimś tego mężczyznę, którego zmarszczki widać tak wyraźnie pod-świedone ostrym światłem reflektorów?

- Nic nie może się równać z dobrym pieczonym indykiem.

- Doug chętnie by sobie pogadał, zdecydowany zostać i pogawędzić o byle czym, tyle że do tej pory Cassie nie zamieniła z nim nawet zdania.

Trochę dalej, tuż przy krawężniku, parkuje wóz Jake'a. Cassie zerka w stronę domu, szukając Jake'a wzrokiem za rozmywającą kształty zasłonką, ale nie może go dostrzec. Czy Doug wie, że w tym domu, który kupili razem, w którym mieszkali lata, w ich domu, gdzie własnoręcznie malowali kuchnię, zrywali poręcze schodów i zdzierali tapety ze ścian, jest teraz inny mężczyzna? Czy jakieś uczucia wiążą go z tym domem? Jakies wspomnienia? A może domu też można się pozbyć równie łatwo jak jej?

No tak, Jake pewnie ogląda ich teraz zza dyskretnie rozsuniętej zasłony.

- Mamy tu świetną dziewczynę. Czego to ja się nie nasłuchałem o uczelni. O rany!

- Jakie znów „O rany”? - Doug przypomina jej agenta ubezpieczeniowego.

- Ona jest rewelacyjna!

- Och, tatusiu... - mruczy Mandy. Mogło być jeszcze gorzej, mógł powiedzieć: „Po prostu rewelacja!”

Kiedy Mandy skończyła osiem lat, Cassie uświadomiła sobie, że ma tylko jedno dziecko, choć w marzeniach po jej domu biega ich cała gromadka. Oświadczyła wtedy Dougowi, że chciałaby mieć jeszcze jedno. Nie, to nieprawda. Nie oświadczyła Dougowi, tylko się jemu oświadczyła, to trafniej oddaje sytuację. Poszła do fryzjera, ostrzygła włosy, zafundowała sobie elegancką fryzurę, położyła perłowy lakier na paznokciach i kupiła sobie długą jedwabną togę, która miękko układała się na jej nazbyt okrągłych kształtach.

Postanowiła uwieść męża przy blasku świec, dobrym winie i nastrojowej muzyce - piosenkami Sinatry albo Tony'ego Bennetta.

- Boże! Skąd wytrzasnęłaś takie pościelówki? - krzyknął.

- Zatańcz ze mną - powiedziała i wyciągnęła do niego ramiona.

Naturalnie przygotowała mu wspaniałe danie z książki kucharskiej Julii Child.

Doug zdmuchnął świece i włączył lampy.

— Lubię widzieć, co mam na talerzu — skomentował. Cassie przyniosła do salonu kryształowe lampki koniaku.

— Czegoś ode mnie chcesz — zawyrokował, w końcu nie był głupi. Podrapał się za uchem i czekał, o co poprosi. Tydzień w Maui? A może już znudził jej się Mustang i chciałaby pojeździć Mercedesem, BMW, a może Jaguarem? Futro z norek? Nie, to nie Cassie.

Utknęła tę sieć gestów, którymi go chciała zniewolić, bo doskonale wiedziała, że na pytanie wprost: „Czy nie chcesz drugiego dziecka?” Doug zaraz zacznie warczeć, tak samo jak wtedy, gdy domyślił się, że ta muzyka i świece są nie bez kozery. Nie! - krzyknie. Asolutnie nie! Jedno mu całkiem wystarczy. Czy nie wypruwał z siebie żyl, żeby jego jedynaczka miała wszystko co trzeba: aparat korygujący zgryz, obozy, prywatną szkołę, lekcje tenisa i baletu? Tak, dopiero lata później Cassie doszła do wniosku, że w zabezpieczeniu przyszłości Mandy i ona miała przecież swój niemały udział.

Poza tym - rzucił się - nie potrzebował już więcej dzieci do szczęścia. Bo on w domu najbardziej lubi ciszę. Zamiast kolejnego dziecka zaproponował jej na jesieni wycieczkę do Europy. Albo do Rio, w przyszłym roku w lutym, na zakończenie karnawału. Jej próba uwiedzenia go spaliła na panewce i jeśli nawet myślała o tym, żeby, zamiast sobie do gardła, wrzucić pigułkę do sedesu, na takie oszustwo była zbyt honorowa. A zatem jedyne dziecko, jakie ma, jakie oni mają, stoi tuż koło niej - góruje nad nią trzema centymetrami wzrostu i nosi w sobie jakiś rys dalekiego podobieństwa do ojca. Tak, zawsze będzie tylko w połowie jej. Niechęć Cassie, której nigdy nie pozwoliła sobie wyrazić długim, przeciągłym krzykiem, powoduje, że żołądek pęcznieje jej jak przy niestrawności. Lepiej by się teraz czuła, gdyby choć raz dokopała Dougowi, walnęła go na odlew w twarz czy rozorała pazurami policzki. Ale Cassie, nieśmiała nastolatka, umiała zranić tylko siebie. Zaczęła obgryzać paznokcie, głęboko wygryzała skórki po bokach i w zapamiętaniu oddarła paznokieć z lewego palca wskazującego, kalecząc się do krwi. Gryzła i gryzła, aż wreszcie zbulwersowana Jena kazała jej przestać. Skoro rozwód tak bardzo ją rozbił, powinna się udać do psychiatry. Dezaprobata Jeny

powstrzymała ją od dalszego obgryzania paznokci, ale już po chwili Cassie złapała się na tym, że wtyka kciuk między zęby.

Tak, narasta w niej rozgoryczenie. Doug ma narzucony na plecy biały sweter niedbale zawiązany na barkach i ciemną koszulę, rozpiętą nieprzyzwoicie nisko. Wygląda jak z reklamy Ralpa Laurena, jak model Calvina Kleina - facet na jachcie ze szklaneczką przedniej whisky, jakiego ogląda się na błyszczących stronach eleganckich czasopism. To nie jest mężczyzna, z którym była związana od czasów uniwersytetu. Jak to możliwe, że zmienił się tak szybko? A może dopiero teraz dostrzegła w nim te zmiany?

Szuka jego oczu. Oczy na pewno ma wciąż te same. Ale oczy Douga giną w cieniach mroku.

Jak to się stało, że nagle stał się kopalnią banalnych zwrotów i mówi teraz do Mandy tak, jakby całą trójką występowali w cotygodniowym, półgodzinnym programie telewizyjnym pod tytułem „Rozwód na wesoło”? Przywiózł Mandy do domu i powinien już pędzić do Trący, ale najwyraźniej wrósł w podjazd na dobre, gdy tymczasem ona usiłuje malować powietrze kłębkami konwersacyjnej pary. Musi być jakiś powód, że Doug chce ją odprowadzić do domu, zupełnie jakby liczył na kieliszek porto - zawsze je pił po kolacji. Rozsadza go chęć podzielenia się z nią jakąś rewelacją. Powie jej na pewno, jeśli mu tylko pozwoli. Ale Cassie odsuwa się od byłego męża — wydaje jej się zupełnie niemożliwe, żeby ten mężczyzna kiedykolwiek do niej należał. Doug nachyla się do niej i łapie ją za ramię.

— Hej, myślałem, że moglibyśmy napić się kawy albo nawet czegoś mocniejszego. Masz jeszcze to porto, które moja cioteczka Tildy przysyłała nam z Anglii? — Nie, nie mam! — krzyczy Cassie, wrywając się z jego uścisku. — To było lata temu. Już go dawno nie ma.

— O, przepraszam! — Doug cofa się o krok. — Nie sądziłem, że aż tak je lubiłaś.

Cassie obraca się w lewo i wymija Douga, kierując się do domu. Nie będzie mu tłumaczyć, że wylała jego ulubione porto do zlewu w kuchni.

— Muszę już iść. Jestem zajęta.

— Znowu wychodzisz?

— To naprawdę nie twoja sprawa. — Cassie odwraca się od niego jak od złego psa, który w każdej chwili gotów ją ugryźć w piętę. Światło dochodzi zza jego pleców, dlatego nie widzi go wyraźnie. Wygląda jak nieznajomy bez twarzy, przeniesiony z koszmarnych snów na jawę.

Co za pomysł! Mieliby usiąść przy kawie czy porto, jakby zabierali się do omawiania sytuacji na Bliskim Wschodzie? Jakby ich rozwód nie był tak bolesny. *Dlaczego nie miałabyś z Mandy zamieszkać w apartamencie jakiegoś niedużego domku? Tak jak my z Tracy. Ten dom jest w końcu naszym wspólnym majątkiem.* A teraz chce się do niego wdrzeć na siłę, rozpanoszyć w kuchni, zupełnie tak, jakby nigdy nie próbował go jej odebrać, jakby nie czekał niecierpliwie na dwudzieste pierwsze urodziny Mandy, kiedy Cassie, zobowiązana orzeczeniem sądu, będzie musiała dom sprzedać.

Minęły trzy lata od czasu, gdy Doug wybałał: „W moim życiu jest inna kobieta”, i od tamtej pory nie zagadał do niej przyjaźnie. A teraz, kiedy na górze pewnie siedzi Jake i ogląda telewizję, Doug akurat postanowił złożyć jej towarzyską wizytę.

— Nie widzę żadnego powodu, żebyśmy mieli być przyjaciółmi — rzuca Cassie ostro.

— No wiesz! — protestuje Doug; w jego głosie słychać urazę. Najwyraźniej nie wie, dlaczego Cassie się gniewa. — Dobranoc, Doug. Mandy, zobaczymy się w domu.

— Tylko mi nie zabieraj Mandy.

— Mandy może tu zostać na rodzinnych pogaduszkach z papą choćby do samego świtu, Doug. - Cassie wchodzi na schodki.

— Zaczekaj, Cass! Muszę ci o czymś powiedzieć!

— Innym razem. - Jakim innym razem? Od ostatniego spotkania z Dougiem minęły miesiące, a i to dzisiejsze jest jej równie na rękę, jak grypa na wakacjach. - Zadzwoń do mnie. Znasz numer telefonu.

— Cassie, zawzięta z ciebie kobieta. Zawsze taka byłaś i zawsze będziesz.

Zawzięta? Ja? - pyta Jake'a, który siedzi na górze z najnowszym egzemplarzem „Time'a”. O nie, ona jest jak jutrzienka; zadowala się piwem i śladem rosy na trawie. — Mam serce

z wosku. Gdybym była twarda i zawzięta, nigdy nie pozwoliłabym mu odejść z panną Gidget. Twarde kobiety zawsze zwyciężają. Nie dają sobą powodować, nie stają się odrzuconym śmieciem, zużytym meblem... - On już oznakowuje sobie krzesła, które będą jego. Byli małżonkowie tak się zachowują. Gdyby byli inni, nie rozpadałyby się nasze małżeństwa — śmieje się Jake.

- Hm, pewnie masz rację...

Słychać trzaśnięcie kuchennych drzwi i głucho stąpanie na schodach. Mandy pruje w adidasach na górę. Patrzy na Jake'a długo i podejrzliwie, mówiąc do matki:

- Nie byłaś zbyt miła dla taty. Chciał być serdeczny.

- To jest twój ojciec, ale mój były mąż. Nie zapominaj o tym. On ma powody, żeby mnie rozmiękczać.

Ciebie zabiera do kawiarni, prowadzi dyskusje nad lodami, i to jest naturalne. Ale żeby gawędzić ze mną w mojej kuchni, musi mieć jakiś powód.

— Mówi, że połowa domu należy do niego.

— Chciałby ją sobie zabrać do Marina?

- Jesteś tak strasznie podejrzliwa, mamo.

Ale i tak za mało - myśli Cassie. Czy to mi chciałaś powiedzieć? Mandy odrywa wzrok od Jake'a, który, niczym nie skrępowany, siedzi w starym bujanym fotelu — już dawno miała zamiar wyrzucić ten fotel. Jake i Mandy poznali się bez zbędnych ceremonii na górze i natychmiast nastąpiło zderzenie. Oboje mało elastyczni, nie mogą w jednej sekundzie nawiązać ze sobą kontaktu. Musi potrwać, zanim nabiorą do siebie zaufania i zanim Mandy zrozumie, że nigdy żaden mężczyzna nie zabierze jej matki. Nie, żaden mężczyzna nie zmieni tego, co je łączy. Zostań z nami na dzienniku... Idź do siebie... Cassie nie wie, czego oczekuje od Mandy. Jake wsadza nos w tygodnik i nic jej nie pomaga. Mandy z rozmachem siada na tapczanie i po turecku krzyżuje przed sobą nogi. — Co robisz jutro?

— Zdejmij nogi z tapczanu.

— Przecież to stary gruchot — zauważa Mandy, ale posłusznie siada inaczej.

— Pracuję, rzecz jasna. Bo co?

— Myślałam, że mogłybyśmy się wybrać na zakupy. — Mandy, która nienawidzi zakupów z Cassie, zachowuje się, jakby Jake'a nie było w pokoju. — Zaraz, muszę pomyśleć, o której uda mi się wyrwać z kliniki. — Możemy pójść wieczorem. Sklepy są otwarte do późna. A potem zjemy sobie gdzieś dobrą kolację. Albo pójdziemy do kina. Ostatni raz oglądałyśmy razem film jeszcze przed wakacjami.

— Bo ja wiem...

— Nie chcesz?

— Mandy, porozmawiamy o tym jutro. Dobra? — Cassie czuje swędzenie skóry.

— Jeśli nie chcesz, to powiedz po prostu.

— Wcale nie mówię, że nie chcę.

— Ale takie mam właśnie wrażenie. - Mandy wyprostowuje się i siada sztywno. — Wiem, kiedy zawadzam.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

Mandy spogląda na Jake'a z niechęcią. Jake nadal siedzi głęboko zaczytany.

— Chyba już pora, żebyśmy poszła spać — stwierdza Mandy.

Kocham cię najbardziej na świecie — powtarza Cassie w myślach i w myślach otwiera szeroko ramiona, jak wtedy, kiedy Mandy stawiała pierwsze kroki.

— Spij dobrze — mówi. — Porozmawiamy rano. — Cassie nadstawia policzek, ale Mandy nie całuje jej, tylko bez słowa wychodzi z pokoju. — Dlaczego to robisz? — rzuca. — Co?

— Dlaczego zachowujesz się tak, jakby jej tu nie było. Ona traktuje cię jak mebel, a ty w ogóle jej nie zauważasz. — Daj jej spokój, Cassie. - Mówi „jej”, ale myśli o sobie.

— Chciałabym, żebyście się dogadali.

— Dogadamy się. Takie sprawy nie układają się w ciągu jednego wieczoru. - Cassie przypomina sobie jego córki, dwie twarze nieobecne na zdjęciach, dwie bezimienne dziewczynki, które zostawił gdzieś w Teksasie. Jak wobec tego miałby się teraz interesować Mandy?

I co ona właściwie robi z facetem, który odszedł od swoich dzieci, i który pewnie nie wysyła im nawet kartek urodzinowych, a co najwyżej dzwoni raz na rok w Wigilię?

Jake wstaje z fotela.

— Chodź, już późno. Czas do łóżka.

Cassie jest wściekła. Jest raptem o krok od tego, żeby powiedzieć mu: „Nie możesz zostać na noc”, ale znów sama nie wie, czego chce. Cały dzień zastanawiała się nad tym, a teraz on popędza ją na górę i to ją zwalnia od podejmowania decyzji.

Ledwie zamknęły się drzwi sypialni, a Jake już rozpina jej białą jedwabną bluzkę, unosi jej kruche nadgarstki - zbyt kruche, by mogły utrzymać takie mocne dłonie. Uwalnia jedną rękę z białego mankietu, potem drugą, całuje dłonie Cassie, wodząc językiem wzdłuż wewnętrznych linii. Zsuwa z niej bluzkę i przytula wargi do żyłki pulsującej na jej szyi, delikatnie nagryza ciało. Otacza ją ramionami i wprawnie (Boże, jak wprawnie!) rozpina jej nowy, koronkowy stanik, a tuż za ścianą słychać skrzypienie podłogi. Cassie sztywnieje. Uważa, że powinna go powstrzymać, powiedzieć, że nie dzisiaj, odesłać go do domu. Ale jest taka bezwolna, och, tak strasznie bezwolna, wprost mięknie pod jego dotykiem. A przecież nawet wtedy, gdy obracając ją jak w walcu, wiedzie ją do łóżka i układa na kołdrze, jeszcze wtedy ma czas, żeby krzyknąć: „Nie!” Jednak tylko wzdycha cicho i mruczy jak kotka, gdy on tymczasem cofa się na chwilę, żeby zrzucić z siebie ubranie.

Kiedy wraca do łóżka, przyciska wargi do jej warg, protest Cassie miesza się już z jękiem pragnienia - oddech Jake'a wypełnia jej usta. A mimo to Cassie wciąż walczy wewnętrznie, nie chce się poddać przyjemności, lecz słowa sprzeciwu, które nieoczekiwanie usiłuje z siebie dobyć, Jake tłumi, wycisza i wpycha jej z powrotem w gardło. A potem jest już w niej, sięga jej piersi, wznosi się niecierpliwie i ciągnie Cassie za sobą, coraz wyżej i wyżej. I Cassie na przemian raz jest bardziej kobietą, raz matką. Kobieta zwycięża, Cassie poddaje się, choć wyobraża sobie, ba!, nawet widzi, drobniutkie żyłki muszli ucha, które Mandy przyciska do fioletowej tapety w kwiatki po drugiej stronie ściany.

Co za bezczelność! Co za straszna bezczelność! - krzyczy Cassie.

Ręce jej drżą i wylana gorąca kawa parzy dłonie, ale Cassie jest zbyt zdenerwowana, żeby to zauważyć. Jest wściekła i zraniona od stóp do głów.

Cassie i Barbara siedzą niedbale w poprzek winylowych tapicerowanych krzeseł w pokoju lekarskim.

Wyglądają jak dwie studentki. Barbara pali papierosa, trzyma go czubkami kciuka i wskazującego palca, i mrużąc oczy spogląda na Cassie przez spirale dymu. Jest dwuwymiarowa, kolorowa, błyszcząca jak Theda Bara w technicolorze i zupełnie nie jest tą osobą,

Diana Silber

której Cassie chciałaby się zwierzać. Ale tyle zależy od okoliczności.

- Niczego się nie spodziewaj, a nie przeżyjesz rozczarowania — mówi sentencjonalnie Barbara.

- Niczego się nie spodziewałam! Ale coś podobnego!

- No cóż, w końcu wzięłaś z nim rozwód. Gdyby był takim wspaniałym, cudownym księciem z bajki, zatrzymałabyś go przy sobie, prawda?

Cassie nie chce jej przypominać, że Doug odszedł na własne życzenie, że gdyby ktoś ją o to pytał, to nie puściłaby go od siebie, chciałaby go mieć przy sobie przez te wszystkie lata, jakie im jeszcze zostały. Nie zakładała jego odejścia. Jednak czy była naprawdę zadowolona z życia? Teraz wydaje jej się, że żyła jak w letargu, że ich małżeństwo było oszukańczą grą, farsą, ale tak naprawdę funkcjonowało całkiem nie najgorzej - dziękuję, wszystko dobrze - i jeśli nawet nie przypominało rajskiego ogrodu, nie było też przecież ugorem. Obraca się na krześle, wyprostowuje plecy, łączy kolana i odpowiada Barbarze, która nie pyta o nic. - Nie, wcale jej nie powiem. Niech to zrobi sam. Jak on w ogóle śmie uważać, że to moje zadanie?! - Tak, jest bezczelny. Masz rację.

- I to jeszcze jak! „Słuchaj, Cassie, lepiej będzie, jak Mandy dowie się od ciebie niż ode mnie, że Trący i ja spodziewamy się dziecka.” A niby dlaczego? Bo robi w portki ze strachu, że Mandy wywinie orła!

- Wywinie orła? Dzieciaki jeszcze tak mówią? Cassie lekceważy pytanie Barbary.

- No więc lepiej będzie, jak ja przejmę na siebie pierwsze uderzenie. I żeby to chociaż było moje dziecko!

- Żeby było! Tak, to dowód kolejnej zdrady z jego strony. Z nią nie chciał mieć drugiego dziecka, ale teraz urodzi mu je Trący. Cassie czuje, że mogłaby posiekać Douga na kawałki. Miał szczęście, że nie trafił wczoraj do jej kuchni. Mogła chwycić nóż i przebić go na wylot. Natychmiast przypomina sobie męża April. Ta krew w pokoju nie była wcale na niby. Wciąż jeszcze ma w nozdrzach odór rozkładającego się ciała.

Nie, nie, nie...

To jeszcze nie koniec

- A zazdrość jest jak choroba - poucza Barbara. Z tym swoim prostym nosem przypomina królową Nefretete. Cassie wie, że Barbara w życiu nie była zazdrosna. Mo wyrwałby sobie najpierw prawe jądro z korzeniami, zanim spojrzalby w kierunku innej kobiety. Tak, on nie narzeka, że ma żony za dużo; on ma jej wciąż za mało.

- Nie jestem zazdrosna - odpowiada Cassie, żeby tylko coś mówić. Ale jedną ręką ukradkiem dotyka brzucha, jakby spodziewając się, że poczuje kopnięcia drobnych nóżek, delikatne niczym trzepotanie anielskich skrzydeł. Barbara, która nie ma ciagot macierzyńskich i nigdy ich nie miała, unosząc brwi, w milczeniu obserwuje Cassie.

- Dlaczegoż, u licha, miałabym być zazdrosna? Mandy skończyła osiemnaście lat. I ja miałabym mieć jeszcze dzieci? To nonsens. I jakie ryzyko! Miałabym czterdzieści pięć lat. Nie czytałaś raportu Kasmira na temat późnej ciąży? Barbara nic nie mówi. Zresztą co może powiedzieć, widząc, w jakim stanie jest Cassie. Cassie milknie. Nagle ogarnia ją zakłopotanie. Powinna była zostawić te rewelacje Douga — jego prośbę! — dla Ewy i Nony. Nachodzi ją refleksja, że jeśli' przyjaźń objawia się słowami pociechy i ukojenia, to z Barbary doprawdy żadna przyjaciółka. Barbara mówi to, co jej ślina przyniesie na język, a przecież mogłaby okazać choć odrobinę współczucia. Cassie bardzo tego teraz potrzebuje. Z drugiej strony jednak rozpiera ją chęć walki, nawet z Barbarą, która zawsze zwija żagle - o, teraz też to robi - jak tylko na horyzoncie zaczyna się zbierać burza.

Jak na ironię, następna pacjentka Cassie jest bezpłodna. Ma trzydzieści siedem lat i, podobnie jak Nona, słyszy ogłuszające bicie zegara biologicznego. Jest w niej to prymitywne pragnienie, żeby mieć dziecko, mieć za wszelką cenę, ale mija miesiąc za miesiącem i nie dzieje się zupełnie nic. Cassie podejrzewała, że to sprawa jajników. Teraz, kiedy rutynowe badania wykazały, że jajniki pracują normalnie, zamierza zbadać i ustalić poziom estrogenów.

Cassie tłumaczy. Pacjentka dyszy jak biegacz zziajany po dziesięciokilometrowym biegu. Ma puste oczy, nie słucha. Przyszła tu, żeby dowiedzieć się, że jest absolutnie zdrowa, albo żeby ją ktoś zapewnił, że jeśli cokolwiek szwankuje, wszystko

oczywiście da się jeszcze naprawić. Z łatwością. Nawet operacyjnie, jeśli będzie trzeba.

- No więc w czym problem? - pyta wojowniczo, bo Cassie jest jej kapłanką i wyrocznią. Nic nie zmieniło się na lepsze, przez wymianę autorytetu mężczyzny na kobiety, skoro przepowiednia nadal jest mało czytelna i słycać w niej tylko słowa skazującego wyroku. Ta kobieta gotowa jest zabić ją wzrokiem, jeśli Cassie jej nie obieca, że zdoła zmienić naturę.

Nie można jeszcze tracić nadziei. Cassie współczuje, pociesza, wygładza zmarszczki na czole pacjentki i wreszcie słyszy ciche westchnienie:

- Pani doktor, bardzo proszę... Tak strasznie chcę mieć dziecko...

Cassie nie gwarantuje niczego. Nie krzyczy też „Nie!”, jak to zrobiła dziś podczas rozmowy z Dougiem.
Nie!

Po powrocie do domu, patrząc w łazience na profd Mandy, wyrzuca to z siebie, bo musi:

- Twój ojciec dlatego tak bardzo nalegał wczoraj na rozmowę ze mną, bo chciał mnie prosić, żebym ci powiedziała, że on i Trący będą mieli dziecko. Zadzwoił do mnie dzisiaj do kliniki. Powiedziałam mu, że tego nie zrobię. Ale jeśli nie ja, to kto? On na pewno nie. Dowiedziałabyś się dopiero wtedy, kiedy dziecko byłoby już na świecie. Uważam jednak, że musisz mieć czas, żeby przyzwycząić się do tej myśli. Och! - wykrzykuje, kiedy córka się do niej odwraca; jej zmrużone oczy pociemniały; Mandy patrzy wzrokiem bazyliuszka. - Och, wszystko skopałam! Wiedziałam, że tak będzie, ale miałam nadzieję, że i tak lepiej to zrobię niż twój ojciec. Źle czy dobrze, ale przynajmniej ci powiem! Jesteś dla mnie najważniejsza, Mandy. Zawsze.

- To... To... - Dreszcz wstrząsa ciałem Mandy.

Cassie opiera się o ścianę. Kręci jej się w głowie, jakby to ona była w ciąży, nie Trący. Boże, niech ta Trący straci tę swoją nieskazitelną figurę, niech się przepoczwarzy w ropuchę, niech dostanie żylaków, niech się jej na brzuchu zrobią rozstępy grube na dwa palce! Niech przytyje trzydzieści kilo i schudnie tylko dziesięć!

- To absurdalne! Tata i jakieś dziecko! A co będzie ze mną?

Po co miałby mnie kochać, jak będzie miał zupełnie nowe dziecko i wszystko zacznie od początku? - Teatralnym gestem łapie się za serce, ale Cassie wie, że nie gra przed publicznością. Ból ją przeszywa na wskroś.

- Ależ będzie cię kochał! Zawsze! - zapewnia Cassie, ale skręca się z niepokoju. Co będzie, jak Doug przestanie się interesować Mandy - myśli i czuje ucisk w piersi. Nie tak całkowicie, ale na tyle wyraźnie, żeby zranić tym Mandy? Żeby zranić jej dziecko! Wyciąga do córki ramiona.

Mandy odtrąca rękę matki. Żadne uściski, przytulaski, drapanie pod brodą nie osuszają jej łez.

- Kochanie, jest mi naprawdę bardzo przykro. - Cassie siłą woli usztywnia szczękę, żeby się nie rozplakać. Tak, gdyby się teraz rozplakała, tylko by potwierdziła obawy Mandy. Musi przekonująco zapewnić Mandy, że to nie narodzone dziecko nie zmieni uczuć jej ojca.

Kłamczucha! Wstrętna kłamczucha! Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo przecież - odpowiada na własne ciche pytanie - gdyby nie zależało mu na tobie tak bardzo, nie robiłby takich starsz-nych podchodów. Nie zawracałby mi tym w ogóle głowy, gdyby nie wiedział, jak bardzo się zdenerwujesz. I poza tym - ciągnie triumfalnie - gdybyś nie była na pierwszym miejscu, powiedziałby ci o tym, wzruszając ramionami po swojemu: „A właśnie, wiesz, że...”

Mandy ze świstem wciąga powietrze. Jej oczy ogromnieją. Cassie przygotowuje się już na przenikliwy krzyk, który zatrzęsie całym domem, ale w ostatniej chwili Mandy rezygnuje.

Cassie pociera sztywne ramię, którego Mandy laskawie nie wrywa i mówi teraz już wolniej:

- Na początku będzie nieco trudno. Ale z czasem wszystko się ułoży. Nikt nie może odebrać ci tego, co łączyło i łączy cię z tatą.

No i dlaczego - myśli desperacko, chcąc za wszelką cenę uchronić Mandy przed bólem - dlaczego Doug nie mógł się zadowolić lataniem z kwiatka na kwiatek? Jakże go nienawidzi! Jeśli jest jakaś sprawiedliwość na tym świecie, Trący powinna uciec od niego z jakimś jasnowłosym ratownikiem.

Mandy wyraźnie cichnie; histeria mija, ale właśnie kiedy Cassie zaczyna się już rozluźniać, Mandy ze łzami w oczach wybiega z łazienki i krzyczy:

- Wszyscy się będą ze mnie śmiać!

No tak, jeszcze i to! Cassie pędzi za córką do sypialni.

- Zaczekaj! - woła łapiąc ją za rękaw. Mandy wyrывa się, gwałtownie staje, zatrząskuje matce drzwi przed nosem i przekręca klucz.

- Zostaw mnie w spokoju! - drze się, gdy Cassie szarpie za klamkę.

- Dobrze, kochanie. Jak sobie życzysz - woła Cassie zza drzwi i odchodzi. Ale robi raptem kilka kroków, gdy Mandy gwałtownie otwiera drzwi i wrzeszczy:

- Jesteś taka sama jak tata! Ten facet! Nie możesz z tym poczekać, aż wyjadę?! A może chcesz, żebym się już pakowała? Może psuję ci plany?!

- Mandy, przestań! Porozmawiajmy spokojnie. - I co jej powie? Tego Cassie nie wie, choć skłonna jest przeprosić córkę, że poszła z kimś do łóżka. Dręczona poczuciem winy może tylko wykrzyknąć:

„Przepraszam!”. Ale Mandy nie daje jej okazji. Gnana wściekłością, pędzi po schodach, nic sobie nie robiąc z protestów matki. Cassie rzuca się za nią, ale Mandy jest szybsza. W ciągu zaledwie kilku sekund wybiega na zewnątrz i zanim Cassie dopadnie drzwi kuchennych, już odjeżdża.

Cassie zadzwoniła do Jake'a i przestrzegła przed przychodzeniem wieczorem. Jeśli liczyła na to, że będzie ciepły i wyrozumiały, bardzo się pomyliła. Jake jest daleki i zimny jak grudniowa noc

Mandy musi oswoić się z nową sytuacją - tłumaczy Jake'o-wi. Wszystko spadło na nią tak niespodziewanie.

Jake... Trący w ciąży... Jake mówi, że nie o to chodzi. Chodzi o to, że Cassie ustępuje córce, poddaje się jej.

A ma przecież swoje życie, przypomina Jake. Przez chwilę Cassie zastanawia się, czy on czasem nie mówi przede wszystkim o sobie, ale natychmiast odsuwa od siebie tę nielojalną myśl. I w tej samej chwili

uświadamia sobie, że Jake jest właśnie ojcem, który odszedł.

Cassie pragnie, by wziął ją za rękę, ale nie może przecież do

niego pojechać. Musi być w domu, kiedy wróci Mandy - mówi Ewie, gdy przyjaciółka dzwoni, żeby zaprosić ją do siebie. Mogłyby wszystkie spotkać się u Cassie, tylko że Nona ma randkę z Fitzem... Mimo to Nona jedzie po Ewę, której wciąż nie wolno prowadzić.

- Ale frajda! Moje pierwsze wyjście z domu! - woła Ewa do Cassie od progu. - Wiekowa babcia!

Cassie źle znosi te dowcipy Ewy - kolejna blizna pooperacyjna.

- Muszę już lecieć - mówi Nona. Stoi z ręką wspartą na biodrze. Ma na sobie czarną pelerynkę, jasnoszarą wełnianą spódnicę, wysokie zamszowe botki i wygląda bosko. Królowa nocy. Obie jej to mówią.

- Miłość zwycięża wszystko - stwierdza Ewa, bez śladu dezaprobaty.

Nona wywraca oczami.

- Jesteś bardzo dziwna ostatnio.

- Kto? Ja? - pyta Ewa. Jest szczerze zdumiona.

Nona pędzi do siebie na spotkanie z Fitzem. Ma klucz, nie musi czekać, jeśli mnie nie będzie. Tak mu tłumaczyła, żeby nie pomyślał sobie, że chce go usidlić. Ale i tak nie chce się spóźnić. Fitz jednak zapewnia ją uśmiechem, pocałunkiem, niedźwiedzim uściskiem, który mało nie gruchocze jej kości, że w ogóle nie ma sprawy.

Marian wierzyła w zasadę: „Jeśli zadbasz o przyjemności mężczyzny, on będzie dbał o twoje. Da ci to, czego pragniesz: dom, małżeństwo, poczucie bezpieczeństwa”. I chociaż Nona dobrze wie, że takie poglądy są dziś straszliwym przeżytkiem, że w naginaniu się do nich jest coś upokarzającego, nie może się powstrzymać.

Czasem przechodzi jej przez głowę myśl, że za bardzo dogadzała mężczyznom, którzy przemknęli przez jej życie. Ale kiedy chce już powiedzieć „Nie!”, strach chwyta ją za gardło. Nawet wtedy, kiedy od niej odchodzą, boi się nazwać rzeczy po imieniu. Patrz i czekaj; bądź nieśmiała i cicha. Rób to, na co on, oni mają właśnie ochotę.

Przypomina sobie Magika, drży, jedzie przed siebie. Fitz już

czeka, ale nie szkodzi. Otworzy sobie piwo, rozłoży się na kanapie, będzie w domu i wyciągnie do niej ramiona, kiedy stanie wreszcie w progu.

- Myślałam, że gdzieś idziemy - mówi Nona, znajdując go w kuchni.

- Na Pico jest świetna chińska restauracja. Przywiozłem coś stamtąd. - Fitz uśmiecha się; mistrzowsko pieści ustami jej szyję. Nona ma na sobie nowy żakiet Anny Klein obszywany złotą lamówką ze złotymi grubymi guzami. Chciała go włożyć do swoich ulubionych spodni z krepy w kolorze mchu i białego golfa. Chciała potaćzyć, zapleść włosy w warkoczyki, nałożyć szminkę w odcieniu fuksji - ostatni krzyk mody.

- Jesteś porywająca, moja ty piękna. - Fitz ściska jej pierś, a Nona przesuwa się tak, by mógł ją pełniej chwycić. - Uwielbiam chińską kuchnię. - Hej, to jeszcze nie wszystko. Niespodzianka! Mam też trawkę! I co? Bomba! Fu, fu, fu, rozpedzi wszystkie smutki! Świetna. Wiesz na co. Zobaczysz.

Narkotyki zawsze ją przerażały. Marihuana zagłębia w najtajniejsze zakątki jej pamięci, porusza w niej to, czego Nona się boi. W czasie tych nielicznych prób, kiedy paliła trawkę, nazbyt daleko zawędrowała w przeszłość, ale teraz nie chce psuć przyjemności Fitzowi, wzrusza więc ramionami i mówi:

- No dobrze. Może.

- A co się stało?

- Nic, ale... - Spodziewała się dziś czegoś specjalnego. Nagle staje na palcach i mruczy:

- Chodźmy do ciebie.

- Do tej mojej nory?

- Na pewno nie jest aż tak źle. Nie chcesz obrazić mojego poczucia estetyki. - Chichocze. - Co?

- Hm, nie jest to Tadż Mahal, bez wątpienia. Najwyżej jakiś przystanek w szczerym polu. I daleko tej mojej dziurze do twojego ślicznego gniazdka. Za niskie progi dla ciebie, księżniczko. - Wysypuje uprażony ryż do porcelanowej miski. - Kłopoty z forszą, złe inwestycje... Niebaczenie posłuchałem pewnego handlarza, który kiedyś zarabiał krocie, ale teraz już prawie się nie liczy. Ale zaczynam wychodzić z dołka. Włożyłem sporo gotówki w dużą

sprawę u siebie. - W jego oczach lśnią iskry dobrego humoru. Nona uznaje, że wreszcie dobiła do spokojnej przystani u boku mężczyzny, który przeciwności losu potrafi znosić z uśmiechem i który złe chmury rozprasza pogodnym parsknięciem śmiechu. Tego jej trzeba i z wdzięcznością przytula się do jego piersi. - Hej, zjedzmy najpierw.

- Chciałam się tylko przytulić - szepcze nieśmiało. Fitz klepie ją po ramieniu.

- Masz, chińskie piwko. - Wyzwała się z uścisku i otwiera dwie butelki. - Dzisiejszy wieczór jest nasz. - I nagle Nona czuje się zakłopotana, jakby Fitz urządzał przedstawienie. Jest coś wyszukanego, teatralnego w tym, jak nakrywa do stołu, nakłada jedzenie na jej talerz, przykrywa jej kolana serwetką. Namawia ją na kolejną butelkę, rozbrawa uśmiechami, drobnymi pieszczotami - wodzi palcem po jej ramieniu, policzku - dba o jej samopoczucie. Ale po co? Po to, żeby zjadła zwyczajne chińskie danie i wypła gorzkie piwo? Szalenie zależy mu na tym, by się rozluźniła, poddała nastrojowi.

- Powinniśmy się dobrze czuć ze sobą. Swobodnie. - „Swobodnie” wypisuje palcówką w powietrzu. - Na tym to wszystko polega, prawda? - Jasne.

- Posłuchaj mnie. Tak mało o tobie wiem, a chcę cię poznać na wylot. Muszę cię znać od „a” do „zet”, od samego początku do teraz. Chcę - nachyla się, chwyta ją za rękę i zagląda głęboko w oczy — chcę, żebyś była we mnie, a ja w tobie. — Jego żarliwość podnosi temperaturę w kuchni tak bardzo, że Nona ledwie oddycha. - Nie miałaś takich pragnień jak byłaś mała, żeby być kimś innym, zamieszkać w obcym ciele i oglądać świat innymi oczami? Bo jak tak. Ale może dlatego, że byłem gruby i miałem dwie lewe ręce i nogi. Matko, byłem ostatnią niedojdą! - Ty? Nie wierzę! — Nona wybucha śmiechem.

- Tak, śmieć się, śmieć! Ty musiałaś być nieskazitelna. Cudowna mała dziewczynka w koronkach i kokardkach, która przesiadywała u papy na kolanach. Świat leżał u twych stóp.

- Nie było aż tak źle.

- Źle! Musiałaś być po prostu bajeczna! - Fitz niesie palcówkami krewetkę do jej ust. Nona posłusznie rozchyła wargi. Fitz

przygląda się jej z ciekawością naukowca. — Opowiedz mi wszystko o sobie. O tym, jak byłaś dzieckiem, jak dorastałaś, o każdym dniu od chwili urodzin. Chcę wiedzieć wszystko i spojrzeć na świat twoimi oczami. Nona nigdy nie zetknęła się z nikim - ani mężczyzną, ani kobietą - kto jak Fitz pragnąłby takiej intymności. Schlebia jej to, ale jego żarliwość jest jak pożar, pochłania ją, wymyka się spod kontroli. A zatem do końca kolacji Nona okopuje się, żeby pożar nie podszedł za blisko. Chce nakłonić Fitz, żeby mówił o sobie - nieraz już skutecznie ratowała się tym manewrem. Ale Fitz jest chytrzejszy od innych znanych jej mężczyzn. Dużo jej mówił o swoim życiu prywatnym, aż za wiele, i teraz przypiera ją do muru, czeka na szczegóły. Połknie ją w całości, przeżuje dokładnie, wypluje same kości. Przez krótką chwilę, ułamek sekundy, Nona tężeje z gniewu: Jakim prawem? Wyciąga rękę po puste opakowania.

- Nie. Dzisiaj ja się zajmuję kuchnią - powstrzymuje ją.

- Ja sprzątam. Idź do pokoju. Weź tylko te piwa. Zaraz przyjdę.

Nona czuje, jak ulatuje z niej złość. Wychodzi z kuchni i posłusznie, już bez niechęci, przechodzi do salonu. Pije piwo, poddaje się troskliwości Fitz, jego miłości i staraniom o dobry nastrój.

- Takiej trawki nie paliłem od czasów Berkley. A to już cała epoka. — Fitz siedzi na kanapie przy wyciągniętych nogach Nony, trzyma skręta w ustach. Zapala zapalną o podeszwę buta i ciągnie powietrze, aż skręt rozżarza się ogniem. - O mamusiu, niebo w gębie! Spróbuj. - Nona nie może się zdecydować.

- No, spróbuj, zobaczysz, jak ci będzie dobrze.

Nona wkłada skręta między wargi; Fitz cały czas go trzyma. Kiedy wreszcie wypuszcza dym, Fitz namawia ją na drugiego macha. Wolną ręką pieści jej obleczone pończochą palce stopy, aż wreszcie przyjemność, jaką Nona czuje, wędruje coraz wyżej i wyżej, by znaleźć ujście w cichym pomruku.

Nona nie przyzna się do tego, ale nigdy właściwie nie paliła trawki, nawet wówczas, gdy należało to do obowiązujących obyczajów towarzyskich. Może pić, ale palenie wywołuje u niej natychmiastową panikę. Strach podszeptuje jej, że za chwilę uniesie ją całkiem inna fala niż ta, która zagarnia ją podczas uprawiania miłości. Zresztą mimo intensywnych starań z jej

strony w sypialni nie traci - niestety - nad sobą kontroli. Choć mruży z rozkoszy, tak naprawdę bardziej wsluchuje się w narastające crescendo męskich jęków.

- Jak to było wychowywać się w takim wielkim domu z tyloma służącymi?

- Nie było ich tak wielu. Tylko kucharka, niania i kobieta, która co rano przychodziła sprzątać.

Fitz ryczy ze śmiechu, spada z kanapy, a potem przesuwa ustami po łydce Nony, aż do kolana.

- Moja ty księżniczko, toż to cała armia! Moja matka uważała, że elektroluks jest znakiem szczególnej łaski Pańskiej! Dłoń Fitz'a trafia pod spódnicę i Nona natychmiast tężeje, ale już po chwili Fitz wysuwa rękę i pieścąc jej nogę wraca do stopy. Masuje palce i rozmawia o Marian i o Adamie, jakby ich znał całe życie. Dym trawki wpycha Nonę do małego pokoju o wysokich ścianach, przed błyszczące, duże okna. Nona słyszy swój głos, gdy opisuje dom, swoją sypialnię, jadalnię i salon na dole. Opowiada Fitzowi o tym, jak siedziała na kolanach Adama. - Woził mnie na kolanach. „Jedzie, jedzie pan, pan, pan na koniku sam, sam, sam...” Śpiewał piosenki. Tu mi szeptał...

- Pokazuje zagłębienie przy szyi. - Opatulał mnie w łóżku. Nie Marian, tylko właśnie on. Opatulał aż po samą brodę. - Nona wysuwa dolną wargę. - Lataliśmy na czarodziejskim dywanie nad Alpami. Wiatr szumiał mi we włosach.

Fitz dotyka łagodnie jej ust, a potem Nona znów zaciąga się skrętem.

- Twój ojciec już nie żyje, prawda?

- Biedny tatuś. Nie zasłużył sobie na to, co się potem stało.

- Zamknęła oczy i dobrą minutę trzymała dym w płucach. - Ten dziedziniec! Dziedziniec! Ilu ich tam było! Ze setka. Kilka setek. Mężczyźni. Widziałam ich. Nie wtedy, ale na filmie.

- Jaki dziedziniec? - Nachyla się nad nią, aż wreszcie Nona nie widzi już nic, tylko Fitz'a. Jego twarz jest zamazana, nieostra.

- Umarł na dziedzińcu. Był martwy, zanim upadł na ziemię. Tak powiedzieli matce. Oni. - Unosi się na łokciu. - Wszyscy to byli „oni”, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Diana Silber

— O, moja słodka. Masz, pociągnij sobie jeszcze. Wszystko odpływa raz w przód, raz w tył. Nona unosi się w powietrzu, niczym astronauta w stanie nieważkości. Obraca się, koziolkuje stopami do góry, rozwiera nogi. — Za co go zgarnęli?

— Co?

— No, twojego ojca. Za co go zamknęli? Co takiego prze-skrobał?

— Nic. To wszystko kłamstwo. - Chciałaby usiąść, ale ramiona ma miękkie jak z waty. — Mylili się. Tysiąc procent. Mylili się, nie chcąc mu uwierzyć. On nigdy by tego nie zrobił. Nie zrobiłby tak. Nigdy by...

— Oczywiście, że nie. Nona opada na kanapę. Ręce i nogi ma całkiem bezwładne.

— No właśnie. - Usiłuje się podnieść, usiąść. Ogarniają ją podejrzenia. - Nie udawaj jak wszyscy, że mu wierzysz. — Nic podobnego. Nie udawałbym, nie przed tobą.

— Podli ludzie. Obrzucili mu samochód zgniłymi jajami i pomidorami. — Jaki samochód? Światło zbija się w mglisty kłęb, z którego wylaniają się granitowe ściany sądu.

— Samochód, którym jechał na rozprawę. Po schodach w górę i w dół — odpowiada. Ma uczucie, że wypada z rodzinnego domu. Wypada z okna na piętrze i zlatuje wprost do hotelu w Back Bay, a potem do jakiegoś innego, nieznanego, z czarnymi roletami w oknach.

— Nigdy nie wróciliśmy do domu i mama zmarła w Maine, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, dokąd uciekła. Mówiłam ci już o tym?

— Nie — odpowiada Fitz, ale tak swobodnie, tak wdzięcznie płynie tuż obok, niczym wytrawny tancerz. To niemożliwe, że nie pamięta, jak wtedy płakała.

— W Bangor. Nawet nie w Bar Harbour. Jakby wcale tam nie była. Nie dojechała nawet do L.A... Nie, nie można mówić L.A., to takie pospolite. Do Los Angeles.

Nona przewraca głowę na poduszce, raz w lewo raz w prawo. Przenosi Marian z krzesła na krzesło w pokoju. Ubiera ją

w kostium, to w drukowaną sukienkę, to znów w biały len. Jak papierową lalkę. Prześladowuje ją obraz matki.

- Pokój przewraca się do góry nogami. Weź mnie do łóżka.

- Za chwilę, kochana. Zaciągnij się jeszcze, to leczy wszystkie rany. Zaraz poczujesz się wspaniale. Tata by sobie tego życzył. Przecież cię kochał, nawet jeśli zrobił to, za co go zamknęli.

Nona odpływa z dymem kolejnego macha, i z jeszcze następnym.

- Marian mówiła, że nikt tego nigdy nie wybaczy. Nigdy nie zapomni. Powiedziała, że dobrze się stało, że nie wyszłam za Simona. - Nigdy mi nie opowiadałaś o Simonie.

- Nie masz się czym martwić, nie kochałam go tak mocno jak ciebie. - Nona chichocze i wyciąga się w stronę Fitz'a. Pożera jego usta, liże go po twarzy, zaciąga się skrzemem i wypuszcza dym na jego usta i policzki. - A zatem do łóżka. Tylko nie mów do mnie: „Simon”.

- To było dawno temu.

Fitz otacza Nonę ramionami i wędruje do sypialni. Zaczynają nawzajem rozpinąć sobie guziki. Nonie idzie to znacznie gorzej niż Fitzowi - palce ma jak z waty.

- Ale ze mnie niezdara.

Fitz układa ją na kołdrze, potem pod kołdrą i obsypuje pocałunkami, które ją zawsze rozbijają. Sunie ustami po szyi, wzdłuż barku, aż do piersi.

- Simon — szepcze Fitz.

- Simon gdzieś sobie pływa. Doświadczony marynarz. Pewnie łysy i kościsty jak jego staruszek. Adam obiecywał, że będzie dla niego niczym rodzony ojciec i w końcu dobrze się stało, że nie... Och, tak, zrób tak jeszcze raz... Fitz liże, dotyka, pieści i powoli, powolutku Nona znów wygląda przez znajome okno, przez lekkie zasłonki podnoszone podmuchami wiatru. Macki światła stojącej lampy w jej sypialni obejmują postać Simona. - Śliczny Simon - zaczyna. - Przeżywał mnie. Obrzucał wstrętnymi kłamstwami. Adam chciał go zabić. Nie, Simon... Dotykał mnie.

- Kto cię dotykał?

Diana Silber

- Kto...

- W ten sposób?

- Tak, och, tak. Nie, proszę nie przestawaj!

- Najpierw mi powiedz. Kto cię dotykał? Jak? Dlaczego Simon cię przezywał?

- Proszę, tatusiu. Nie! Tatusiu, tylko troszkę.

- Czy Adam robił to tak? ^

Nona wsuwa się pod Fitzę, na spadochronie z trawki osiada na morzu i płynie przez mozaikę przeszłości. Widzi twarz Simona zawieszoną w oknie jak w witrażu. Simon stoi na balkonie za zasłonką. Simon wrzeszczy...

Jego głos grzmi głośniej niż morskie balwany. Jego głos ją łamie.

- Tatusiu — mówi Nona — proszę cię przestań. Tatusiu. Wstań.

Wszystkie słowa więzną jej gdzieś w gardle - tkwią w jej pamięci i nikt ich nie słyszy.

Wieczorem w sobotę Nona znów jedzie do Ewy, żeby ją zawieźć do Cassie na przełożoną uroczystą kolację z okazji Święta Dziękczynienia. Ewa jeszcze nie jest gotowa.

- Nie mogę się zdecydować, co nałożyć. Kretyńskie, prawda?

Jest jakaś miękkość w jej twarzy, jakieś rozluźnienie w okolicy ust, dlatego uśmiech błąka się po nich niczym nie zakotwiczony statek.

- Myślałam o tej białej sukience. - Wyciąga jedwabną suknię z długimi rękawami, drukowaną w maki. — Kupiłam ją u ciebie ze sto lat temu i nigdy jej na sobie nie miałam. Czas leci, pani Pociupińska. Mogło mnie tu już nie być między wami. A zatem — robi dwa małe kroki i z rozmachem zdejmuje sukienkę z wieszaka — muszę wynosić te moje ciuchy!

Żarty Ewy, takie najgłupsze z możliwych, i to, że Ewa dosłownie starzeje się w oczach, sprawiają, że Nona jest zdenerwowana i ogarnia ją — co u niej takie niezwykle — niecierpliwość.

- Nie wkładaj tej białej. Jest piękna, ale zbyt strojna. Cassie będzie w spodniach, Mandy w dżinsach...

- Mandy jest jeszcze dzieckiem - zauważa Ewa zupełnie spokojnie.

- Zobacz, że i ja mam tylko spódnice i sweter.

- A nasz kochany Jake? I słodki Fitz? Mamy w końcu wielką galę. A swoją drogą, gdzież to się podziewa nasz najdroższy Fitz? Nie przyjechał z tobą?

Nona też myślała, że z nią będzie, ale zbudziła się sama w łóżku. Zniknął bez śladu. Nie zostawił nawet kartki. Stolik do kawy w saloniku zaśmiecony był butelkami po piwie, brudnym szkłem; w popielnicze leżały niedopalki skrętów. „Fitz!” - krzyczała raz po raz, gdy wynurzyła się ze snu, w którym oglądała twarz Simona w oknie. Śnił jej się Simon w ponurej scenerii, Simon, który stał na balkonie, ukryty za zasłoną i patrzył na nią czerwonorubinowymi oczami.

Ewa bierze ją za ramię i lekko potrząsa.

- Nic ci nie jest? Czy coś się stało między wami?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Zamyśliłam się tylko.

- A to co znowu znaczy?

To znaczy, że Nona nie ma zielonego pojęcia, gdzie jest Fitz. Nie wie, dlaczego, gdy do niego dzwoni, słyszy jedynie mechaniczny głos automatycznej sekretarki. O tym właśnie myśli, ale mówi:

- Wydaje mi się, że mówiłam mu o kolacji u Cassie, ale chyba znów coś zawałam. - Jak zwykle - dodaje w duchu.

Co takiego powiedziała Fitzowi, że odszedł bez jednego słowa, bez pożegnalnego całusa?

Nawet ktoś, kto nie ma pojęcia o gotowaniu, poradzi sobie z przygotowaniem uroczystej kolacji z okazji Święta Dziękczynienia, na którą składają się: indyk, świąteczny sos, kandyzowane bulwy roślin tropikalnych, tłuczone ziemniaki, ciasto z dyni. To bardzo proste. Cassie, tradycjonalistka, zawsze podaje w ten dzień kolację taką, jaką pamięta z dawnych czasów z Landry. Teraz częstuje nią Ewę, Nonę, Jake'a, Levinsonów i Mandy. Johnny wraca z Santa Fe i przyjedzie tu prosto z lotniska. Powiedział Ewie, żeby nie czekali specjalnie na niego, ale Cassie nie spieszy się. Piją wino, zagryzają pleśniowym serem na krakersach i domowej roboty

pasztetem z chrupiącą bagietką. Kolacja zaczyna się o piątej po południu i powinna trwać długo, a Cassie może z powodzeniem udawać, że jest dopiero czwartek, nie sobota.

Powietrze jednak drży od napięcia, jakby burza na horyzoncie nabierana mocy. Nawet Al Levinson, choć na wpół drzemie, jest wyraźnie wytrącony z równowagi. Epicentrum szykującego się sztormu stanowi Jake, mimo że zachowuje się tak, jakby był tego zupełnie nieświadomy. Ukontentowany myślą, że jest niewidzialny, nie zwraca uwagi na ciekawe spojrzenia Ewy i Nony, jak gdyby to nie jemu rzucały zaintrygowane spojrzenia i nie o nim ukradkiem szeptały do Cassie. Jaki przystojny.

Gdzie on ma ten tatuaż?

Ale oczy! Matko, byłaś bardzo powściągliwa!

Jake swobodnie porusza się między kuchnią, salonem i jadalnią. Jest u siebie. Wie, gdzie Cassie trzyma najlepszy serwis, srebrne sztucce, wie, którą miseczkę Cassie chce wyjąć dla gości.

— Jakie to miłe widzieć mężczyznę, który nie byczy się i nie czeka, aż kobitka sama obskoczy biesiadników — mówi Ewa Cassie w kuchni, kiedy Jake wynosi kolejną butelkę Chardonnay do salonu.

Nona kroi ogórek w plasterki.

— Ewa, ty sobie lepiej usiądź — radzi.

Ewa odgarnia kosmyk z czoła. Cassie nie zauważa śladu siwizny i właśnie ma zamiar powiedzieć, że Ewa chyba nie będzie farbować włosów, kiedy dostrzega, jak Nona pastwi się nad ogórkiem.

— Nie, nie tak. Plasterki muszą być cienkie. — Wyjmuje jej nóż z ręki i demonstruje.

Ewa opiera się o szafkę, manifestując, że nie będzie siadać.

— Jak Mandy przyjęła twojego faceta? — pyta.

Cassie żałuje, że na pytanie Ewy nie może odpowiedzieć krótko i po prostu, ani też go zlekceważyć.

— Nie mogę teraz o tym mówić — stwierdza w końcu. Chciałaby, żeby w ogóle nie było o czym mówić, żeby dało się spacyfikować Mandy i skłonić ją do zaakceptowania faktu, że matka ma kochankę.

Kochanek... O Boże, niby dlaczego Mandy miałaby to wszystko przyjąć z idealnym spokojem, skoro

sama Cassie czuje się nie bardzo na miejscu. Nie należę do kobiet, które mają kochanków - myśli po raz tysięczny chyba, zwłaszcza teraz, kiedy mężczyzna, który regularnie dzieli z nią łóżko — o czym wszyscy wiedzą — siedzi na brzegu kanapy i rozsmarowuje ser na krakersie.

Cassie wyjmuje kawałki bagietki nagrzone w piekarniku i wraz z pasztetem niesie je do salonu. Proponuje kawałek Beth, siada obok Jake'a i opowiada mu ostatnie nowinki o Tonym. Al, trochę senny lecz w pogodnym nastroju, wdaje się w jednostronną rozmowę z Mandy. I jak to ma w zwyczaju od lat, pyta ją o szkołę, choć teraz przecież to już nie przedszkole, a wyższa uczelnia. Ale Mandy, która wbiegała i wybiegała z domu Levin-sonów, traktując go jak własny, nie dalej jak poprzedniego wieczoru oznajmiła matce, że nie znosi sąsiadów. To oczywiście wynika - skonstatowała Cassie w duchu - z jej buntowniczego stosunku do całego świata. Do Jake'a, ojca, Trący. A z drugiej strony, z przewrotnością nastolatki, Mandy wybrała się dziś rano do Marina del Rey i była nad wyraz słodka w stosunku do brzemiennej macochy. Ba, wykazała wręcz ogromną tolerancję wobec ojca, który zadzwonił, by poinformować Cassie, że wszystko jest w porządku. Mówił, że najwyraźniej przesadzali obawiając się jej reakcji na fakt, że czeka ją jeszcze przyrodnie rodzeństwo. Cassie nie ma ochoty opowiadać Dougowi, że Mandy jest wściekła jak wszyscy diabli, tylko gniew wyładowuje bliżej domu. Na Cassie. Zabić posłańca! A poprzez Cassie i na Jake'u, którego winy są absolutnie niewybaczalne. Matka zainteresowała się nim, skupiła na nim uwagę, dlatego Jake staje się wygodnym winowajcą w każdym scenariuszu, i Cassie naprawdę nie wie, jak mogłaby to zmienić.

Cassie posmarowała pasztetem kawałek bułki i wyciąga rękę nad stolikiem, żeby podać kanapkę Mandy.
— Jestem na diecie — oświadcza córka i odwraca głowę.

— Dzieciaku, nikt nie przestrzega diety w takie święto. To bardzo nieamerykańskie - droczy się Al, nieświadom faktu, że wkłada kij w mrowisko i Mandy tylko czyha na okazję, żeby wyładować złość.

Teraz spogląda na Alę spod zmrużonych powiek.

— Nie należy się śmiać z otyłości.

- A kto tu jest otyły? Ty?! - Al Levinson szczerze lubi Mandy, zna ją zresztą od czasów, kiedy sięgała kolan konika polnego. Tysiące razy bujał ją na ogrodowej huśtawce, częstował niezliczonymi hot-dogami i hamburgerami, które własnoręcznie przygotowywał na ruszcie, ofiarowywał jej lukrowane jabłka na patyku i inne słodczyce na Halloween i wraz z Beth zawsze przynosi jej prezent na Boże Narodzenie oraz na urodziny. Przechowuje zdjęcia Mandy w rodzinnym albumie, a kiedyś wyciągał jej żądło osy z ramienia, gdy Mandy miała pięć lat, ryczała jak zarzynany bawół, a Doug zzieleniał i mało nie zemdlał. Tak, Al przeżyje szok, kiedy odkryje, że Mandy ma go w nosie, Jeśli mu powie, że nigdy go nie lubiła i że ich sympatyczna przyjaźń nie stoi na twardym gruncie, lecz na ruchomych piaskach. Al co prawda nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy, ale coś go już jednak niepokoi, bo przesuwając się na krawędź fotela, skąd może wziąć Beth za rękę i ją uścisnąć. Beth bez przerwy miele językiem, lecz spogląda na Ala z miłością i pozwala mu spleść palce ze swoimi.

Ewa rozparta wygodnie na poduszkach w salonie dostrzega ten gest i znów ma przed oczami Abramsona. Ale podczas gdy dawniej, obserwując zachowanie zakochanych Levinso-nów, cierpiała katusze zazdrości, dziś nic jej nawet nie zakłóca. Po prostu patrzy z przyjemnością na to, jak się kochają po tylu latach małżeństwa, i cieszy się tym, że nie ma już w niej zawiści.

Abramson polubiłby tę spokojną parę w średnim wieku, odpowiedziałby serdecznością na ich ciepło. Najważniejszą ludzką cechą — mawiał — jest dobre serce.

Łagodność Ewy w okresie rekonwalescencji nie tylko dziwi Cassie i zmusza Nonę do pytań: „Co ci się stało?”, ale bawi też samą Ewę. Wychyła z pooperacyjnego snu przepoczwarzona, ale nie potrafi inaczej odpowiedzieć na pytanie Nony niż zwykłym wzruszeniem ramion i krótkim: „Nic. Jestem taka sama”.

Prawda ma w sobie coś z science fiction.

Choć nie zapyta o to Jeny ani nawet Cassie, nie ma najmniejszej wątpliwości, że podczas operacji albo jakoś tuż po niej balansowała niebezpiecznie na granicy życia, postawiła już stopę na brzegu rzeki i naprawdę spotkała - nie tylko we śnie - Ab-

ramsona na zakurzonej drodze. I właśnie on dał jej wybór: zostać z nim albo iść dalej. To, że od niego odeszła, nie jest zdradą i Abramson jej wybaczył. Ważne jest to, że Abramson istnieje w jakiejś części przestrzeni i bezczasu, i czeka. Niewyobrażalność tego objawienia, fakt, że niedzielne opowieści wygłaszane z ambony znalazły swoje potwierdzenie, w równym stopniu ekscytują ją i cieszą. Święty Mikołaj istnieje naprawdę. Tylko kto w to uwierzy?

Boski pierwiastek, myśl, moc, która sploda ze sobą elementy i stworzyła wszechświat, nie wyposażyla Ewy w żaden szczególny dar, nie wybrała jej spośród milionów innych ludzi. Nie, Ewa nie jest aż tak zarozumiała. To, że wróciła stamtąd i zachowała pamięć, jest najzwyczajniejszą pomyłką. Nawet najdoskonalsza siła najwyraźniej dopuszcza pewien margines błędu.

Ewa nie snuje planów w związku z tym doświadczeniem. Nie będzie występów przed gawiedzią w MacArthur Park, nie napisze bestselleru „Znów jestem z wami!”, nie założy nowej sekty. Jeśli to egoizm skłania ją, by przemilczała prawdę, niech i tak będzie. Ta miękkość w niej - ale nie miałość myślenia - bierze się stąd, że Ewa widzi swoją przyszłość u boku Niedźwiedzia. Jest zadowolona.

Zaabsorbowana rozważaniami, nie zauważa roszady wśród gości. Beth wreszcie ściągnęła Jake'a do rozmowy z Alem. Al poklepywał właśnie Mandy po kolanie, lecz na szczęście zdążył odwrócić się już do Jake'a i nie zauważył, jak Mandy ostentacyjnie wyciera spódnicę skażoną jego dotykiem. Beth jest już w połowie opowieści o histerektomii Ewy, a tak naprawdę to w trakcie opowiadania własnej operacji — na szczęście odbywają tę rozmowę ściszonymi głosami, dzięki czemu tylko co trzecie słowo dociera do mężczyzn zajętych dyskusją o baseballu. — Hormony pomagają na poty i na te straszliwe huśtawki nastrojów. Wyrównują, jak walec. Ewa uśmiecha się.

— Powinni ci je już podawać.

Czystka, jaką urządzili jej wnętrznościom, sprawia, że Ewa czuje swoją przynależność do siostrzanej wspólnoty. Kiwa głową, a Beth ciągnie wątek:

— Nie masz żadnych paskudnych objawów, co? Bo niektóre

z moich koleżanek dostawały potwornych mdłości. Którejś nawet cierpły nogi... A z kolei jedna z dziewczyn na aerobiku twierdzi, że od tych pigulek można dostać raka i za nic na świecie nie weźmie ich do ust, żeby je nawet mieli wmuszać w nią siłą. Uważa, że wszystkie takie siupy są dane od Boga i najlepiej położyć się spokojnie jak pies i poddać się naturze. Wyobraź sobie! — Beth dyszy oburzeniem.

- Kto to może wiedzieć? - rzuca Ewa. Wolalaby raczej patrzeć w sufit niż rozmawiać o własnym ciele.

Al ciężko wstaje z fotela. - Przed kolacją trzeba odlać kartofelki - oświadcza i idzie do łazienki.

Beth widzi, jak Mandy się krzywi.

- Zawsze tak mówi. Słyszałaś to już z tysiąc razy. - Odwraca się z powrotem do Ewy. - Mężczyźni nie mają takich problemów, skurczybyki. Choć prostata Ala spędzała mi sen z powiek, słowo daję.

Jake nakłada kupkę pasztetu na krakersa i wyciąga rękę w stronę Mandy.

- Masz ochotę?

- Nikt mi nie wierzy, że jestem na diecie.

- Al ma rację. W Święto Dziękczynienia się je, a nie pości.

- To nie jest żadne święto — wyjaśnia ponuro Mandy. - Święto było w czwartek. Dzisiaj jest sobota. Święto Dziękczynienia spędzałam u taty. - Spojrzenie, jakie Mandy posyła Jake'owi, jest tak mordercze, że powinno być natychmiast odnotowane w aktach najbliższego komisariatu.

Jake lekko obnaża zęby, jakby Mandy była małym, podskakującym, psotnym pieskiem. Dwa dni wcześniej powiedział Cassie, że Mandy prędzej czy później pewnie pogodzi się z tą sytuacją, ale teraz - patrząc na niego - Cassie uważa, że wcale mu na tym nie zależy.

On tymczasem wstaje i idzie do kuchni po piwo. Woli je od wina, które piją wszyscy z wyjątkiem Mandy - jest tak zawzięta, że nie tknęła nawet niskokalorycznej Pepsi.

Kobiety obserwują Jake'a w skupieniu, jakby schodził w teatrze ze sceny. Wreszcie Beth zakłóca nastrój, mówiąc:

- Cass, te twoje krakersiki są przeznaczone, jak zawsze.

Cassie śmieje się.

- Chyba za często je robię.

- Beth powiedziała ci komplement, mamó. Dlaczego nie potrafisz go przyjąć normalnie i nie protestować ciągle. „O nie, to nie ja, to przecież nic takiego”?

- Przestań dokuczać matce - upomina Jake, wracając z kuchni z odsieczą, niczym John Wayne. Trzyma puszkę piwa. Cassie wolałaby, żeby wziął szklankę, choć zdaje sobie sprawę z tego, że to jej sekretne życzenie jest dość absurdałne i całkiem nieistotne. Stanął w jej obronie i sprawiło jej to przyjemność.

Cassie uśmiecha się, bo Mandy obserwuje. Z drugiej strony jednak, nie ma żadnego powodu, żeby Jake mieszał się w ich rodzinne sprawy i żeby mówił: - Matka się ciężko zharowała przygotowaniem kolacji. Twarz Maridy kurczy się w grymasie i przez chwilę wygląda na to, że Mandy wybuchnie płaczem albo wystrzeli jak rakietą, ale zanim do tego dochodzi, Beth woła:

- I to jakiej wspaniałej kolacji!

Mandy odwraca się do Beth, traktując ją jak kolejnego napastnika:

- Jeszcze nie jedliśmy, więc skąd ta pewność, że będzie taka wspaniała?

- Wspaniała, czy nie, zabierzmy się do jedzenia. Umieram z głodu - wtrąca Ewa, z nadzieją, że uratuje Cassie i siebie. Ze zdumieniem stwierdza, że chce uciec od wszelkich napięć, tak jak Nona od podniesionych głosów. To też jest coś całkiem nowego.

Ale Mandy jest tak zła, że musi swój gniew wyladować.

- A co ty tak podskakujesz, Ewa? Masz tylko leżeć i odpoczywać. Mama twierdzi, że nikt nie powinien ci niczym zawracać głowy ani cię denerwować. Czy ja cię kiedyś denerwowałam?

- Cass, pomocy! Nie mogę odkręcić słoika! - krzyczy Nona z kuchni.

Cassie rzuca się na pomoc, wdzięczna, że coś wyrwało ją wreszcie z pokoju, i woła:

- Za dwie minuty jemy! Jake, chodź pokroić mięso! - dodaje, choć sama znakomicie umie podzielić indyka.

Gniew Mandy zwarzył wszystkim humor, choć pamiętają, że Mandy jest dużym dzieckiem, które musi mieć czas, by przystosować się do nowej sytuacji, i że z jej punktu widzenia i ojciec, i matka wystawili ją rufą do wiatru. A mimo to nawet Al, który dopiero co wrócił z łazienki, woli nie zostawać z Mandy w salonie. A zatem całą grupą przechodzą teraz do kuchni.

Beth wyjmuje słoik z rąk Nony i po zdecydowanym stuknięciu w jego dno, uwalnia żurawiny. Al wisi nad Jake'em, żeby dorzucić swoje pięć groszy przy rytualnym krojeniu indyka. Choć słyhać gwar głosów, bo wszyscy mówią naraz, Jake milczy. Cassie ma nadzieję, że to krojenie mięsa pochłania go tak bardzo i że Mandy nie popsula mu humoru. Martwi się, że jest wściekły na Mandy — i nie bez powodu — a przez Mandy i na nią. Tak, właśnie na nią. Cassie przeżuwa te dwa słowa i czuje gorycz w ustach.

Ewa bierze koszyczek z bułkami i małe talerzyki z masłem i niesie je na stół.

- Czuję się tak dobrze, że mogę już przejść te pięć metrów. No i poza tym muszę zażywać ruchu — oznajmia. — Ruch, jak mawiała szpitalna gestapowa, która ciągnęła mnie po korytarzu, kiedy ślaniałam się na nogach, ruch jest podstawą szybkiej rekonwalescencji.

Przyjaciele Cassie udają, że nie zauważyli złośliwości Mandy, że nic nie zakłóciło świątecznego spotkania — tego sobotniego Święta Dziękczynienia — i wszyscy są szczęśliwi jak w telewizyjnym reportażu.

Ewa uśmiecha się do Cassie. Nona, przechodząc obok, ściska ją leciutko. Al opowiada kawał o facecie z parasolem, ale Cassie, zajęta przekładaniem jedzenia na półmiski, nie słucha. Musi się pilnować, bo choć Mandy ma muchy w nosie, to przecież ona, jako osoba dorosła, powinna zachować spokój.

Mimo ożywienia w kuchni, Mandy z zaplecionymi przed sobą ramionami stoi przy drzwiach do ogrodu. Ma na wpół odwróconą twarz i z profilu wygląda jak starsza, zgłodniała kobieta. Wygląda przez okno. Nie patrzy na nic szczególnego i w każdej chwili gotowa jest wystrzelić jak z procy, przy najmniejszej nawet prowokacji. O Boże — modli się w duchu Cassie — żeby tylko nie wybiegła stąd nagle i nie zepsuła wszystkiego!

Ale wszystko wskazuje na to, że Mandy, niczym rozwścieczona kawka, szykuje się do odlotu. Dokąd? Do Jennifer? Do Pepe's Pizza Parlour? Do Harveya, Dom, June czy do innych kolegów bądź koleżanek, których Cassie nigdy nie widziała? I wróci do domu z oddechem przesyconym piwem i zapachem trawki we włosach?

Półmisek wypada jej z rąk.

- O matko, to przedwojenny półmisek! - krzyczy Beth i rzuca się na kolana. Macha rękami nad rozbitym szkłem, jakby odczyniała rytualne czary.

- Daj spokój, Beth. Przecież nie ty go zabiłaś.

- Półmisek jest tylko półmiskiem - stwierdza Nona. - Mandy, złap szczotkę i śmietniczkę.

O dziwo, trzaśnięty półmisek, nad którym Beth wciąż lamentuje i co do którego Ewa wyraża nadzieję, że da się jeszcze skleić, rozładowuje napięcie. Nona przypomina wszystkim, że przedmioty są tylko przedmiotami. Opowiada, jak to jej matka miała ich tysiące - część z nich sprzedawała, reszta zaś gdzieś przepadła. Precjoza takie czy inne po prostu czasem znikają. Choć raz czuje się mądrzejsza od innych kobiet, a przecież dotąd zawsze szukała w nich wsparcia. Tłumaczy im teraz, że nie można przypisywać przedmiotom nadmiernej wartości, chyba że są akurat egzemplarzami najczystszej sztuki, jak na przykład „Guernica” czy „Mona Liza”.

- To nie ludzie - ciągnie, kiedy siadają przy stole. Gdyby Fitz był tu z nimi teraz, opowiedziałby im historię o Karman Ghia, o tym jak mało nie zginął, jednak w ostatniej chwili zdołał wyskoczyć z domu. Dom spalił się do samych fundamentów, a rodzice akurat wtedy byli na plaży. Tak, Fitz umie błyszczyć opowiadając historie. Cały aż promienieje. Szkoda, że nie ma go przy niej. Nigdy nie siedziałby z takim stoicyzmem podróżnego w obcej restauracji jak Jake, który bez słowa zwiesza głowę nad talerzem.

Rozmowy wybuchają i rwą się, nie płyną gładko jednym torem. Cassie podsuwa co raz to inny temat wraz z plasterkami indyka, różyczkami brokułów, żurawinami, słodkimi ziemniakami i bułeczkami własnego wypieku, ale nikt, nawet Beth, nie ma wiele do powiedzenia. Cassie wmawia w siebie, że to przez

jedzenie, że wszyscy są zanadto pochłonięci kolacją, bardzo smaczną zresztą. Ewa całą winę przypisuje Jake'owi. Jake czuje się skrępowany towarzystwem, w dodatku Mandy wisi nad nim jak kat na dobrą duszą. Tak - myśli Ewa - oni nigdy się ze sobą nie dogadają. I kiedy cisza przedłuża się niepokojąco, do kuchni wchodzi Johnny. Nie czekał nawet, aż Cassie otworzy mu drzwi. Wnosi z sobą podmuch ożywczego wiatru i Ewa nie jest jedyną osobą, która z radością wita jego spóźnione przybycie. Jego wejście odmienia atmosferę przy stole. Napięcie znika, słychać znów głosy, dokonują się prezentacje - bo Johnny zna tylko panie. Paralizująca spotkanie złość Mandy zostaje zepchnięta gdzieś na bocznicę.

Tylko Jake nadal smętnie wisi nad talerzem. Ewa już słyszy wyjaśnienia Cassie: „On jest bardzo nieśmiały. Trzeba czasu, żeby go rozruszać”. Ewa żałuje, że Cassie, zbliżając się wreszcie do jakiegoś mężczyzny, nie trafiła na inny egzemplarz. Kiedy w końcu siedzą już przy kawie i dyniowym placku, Ewę ogarnia znużenie. Filiżanka z cieniutkiej porcelany nagle jest dla niej zbyt ciężka. Kark drętwieje jej pod ciężarem głowy. Zmęczenie omotuje jej kości. Cassie zauważa to i pyta:

- Chcesz się może na chwilę położyć?
- Nie, ale sądzę, że na mnie już czas. Johnny zrywa się jak oparzony.
- Nadwreżyłaś się dzisiaj.
- Moja niańka! - Ewa się śmieje.
- Chodź, odwiozę cię do domu.
- Ja mogę ją odwieźć, jeśli pan... - wrywa się Nonie. - Chciałam powiedzieć, że skoro pan wrócił dopiero co z Phoenix...
- Santa Fe - poprawia Johnny zdehumorowany, przez ostatnie dziesięć minut bowiem opowiadał wszystkim o swojej podróży.
- Pan jest samochodem?

Umawiają się nad głową Ewy, gdy tymczasem Cassie mówi:

- Dam ci trochę indyka i ciasta na jutro.

Diana Silber

- Nie oczekuj, że będę protestować. Możesz jeszcze dorzucić wannę żurawiny.

Beth nie może powstrzymać uwagi:

- Cassie jest wyborną kucharką. Al wyciąga palec w stronę Jake'a.

- Szczęściarz z ciebie, mój panie. Rozum, uroda i cała Julia Child w jednym opakowaniu.

Mandy gwałtownie ściąga z kolan serwetkę i jak burza wybiega z pokoju.

- Byłeś tą kroplą, która przepelniła czarę - mówi Beth i uderza Ala w ramię. Al spogląda po gościach ze zdumieniem.

- Co ja takiego zrobiłem?

V^ygodnie umieszczona na przednim siedzeniu w samochodzie Johnnynego, Ewa duma o Mandy, Cassie i Jakeu. Jak trudno jest ludziom żyć ze sobą albo nawet obok siebie. Najczęściej obijają się o siebie jak kule bilardowe.

Myśli o tych, z którymi sama się wiązała, o tych związkach, które układały się dobrze, i swoim zaangażowaniu, którego nigdy przenigdy nie będzie żałować. Johnny prowadzi ostrożnie, chcąc jej oszczędzić podskoków na nierównym terenie, gwałtownego przyspieszania i hamowania. Trzyma obie dłonie na kierownicy i monologuje o wakacjach w Nowym Meksyku, o synu strzelistym jak kaktus. Co za chłopak! Ewa powinna go zobaczyć.

Ewa uśmiecha się, kiwa głową, wtrąca stosowne słówko, ale myśli o siostrach. Święta przypominają jej rodzinę, wywołują wspomnienia. Jednak tej nocy tu w Kalifornii, New Hampshire wydaje się równie odległe jak Jowisz, a twarze jej siostr są jedynie ujęciami ze starych fotografii. Ewa wraca myślą do przyjaciół, do Johnnynego, Nony, Cassie. Ma jeszcze kilkoro z dawnych lat. Na przykład Mae Horton, koleżankę kelnerkę, z którą pracowała tamtego lata, gdy poznała Jordana. Mae ma metr osiemdziesiąt wzrostu i siedmioro dzieci. Ewa ma też znajome w Los Angeles. Takie jak Alli. Można się z nimi umówić na zwyczajną kolację w środku tygodnia, poplotkować przez telefon, zjeść lunch w sobotę, czy pójść do Neimana na godzinne zakupy.

— Nie byłabym dobrą matką — słyszy nagle swój głos. A jednak jej wspomnienia, te którym po raz pierwszy w życiu przygląda się bez poczucia winy i łez bólu i wściekłości, te wspomnienia związane są z bardzo krótką chwilą, kiedy trzymała niemowlę. Drań. Tak go nazywała w czasie tych kilku minut sam na sam. Idź sobie, Draniu - myśli, ale myśli serdecznie. Odejdź ode mnie. Raczej bądź wolny, tak powinna pomyśleć. I mnie też uwolnij — wzdycha, opierając głowę na samochodowym podglówku.

— ...najlepszą w świecie - mówi Johnny. Chce jej sprawić przyjemność, ale osiąga skutek wprost przeciwny. Czyżby zapomniał, mimo że pamięta, by omijać dziury w jezdni, że Ewa nie może już mieć dzieci? Nie może ich mieć, nawet gdyby nabiła sobie głowę tak desperacką myślą, że chce zostać matką.

— I pomyśleć, że mogłabym być tak rozdarta, tak przyparta do muru jak Cassie.

— Nie musi być akurat tak.

— Spóźniłeś się na lwią część przedstawienia. Cassie jest więźniem własnej córki. Mandy ją szantażuje... Och, już nawet nie wiem czym. Tym, że przestanie ją kochać, że ucieknie do Douga, choć Trący jest w ciąży. Po prostu torturuje Cassie możliwością odejścia.

— Więcej jest takich koszmarów związanych z dziećmi — mówi Johnny i wstrząsa nim dreszcz. - Mnie się śnią straszne sceny wypadków, bójek, strzelaniny. Kiedy mój chłopak do mnie leciał, wierz mi, że odetchnąłem dopiero wtedy, jak samolot już bezpiecznie kołował. Nie uwierzyłabyś, jakie okropne rzeczy umiem sobie wymyślić. Jeśli idzie o mojego syna, wyobraźnia rusza mi z kopyta. - W świetle białej ulicznej lampy Ewa widzi nerwowo pulsujący policzek Johnny'ego. - Po świecie chodzą miliony pacanów, ale tak naprawdę zależy ci na jednym, dwojgu, może trojgu, zależy ile ich masz. Liczą się tylko twoje.

Ewie jest szkoda Johnnyego i Cassie, dwójki zakładników losu. Miałam rację — powtarza sobie już nie wiadomo który raz.

Zmęczonym gestem bezwładnie kładzie rękę na nodze Johnnyego i tak dojeżdżają do domu.

Naturalnie, że zachowuje się jak idiotka. Musi być jakiś powód, dla którego Fitz chwilowo zniknął, i kiedy już wreszcie dopadnie go przez telefon, Fitz ryknie śmiechem i wszystko jej wyjaśni. Albo sam do niej zadzwoni, jak tylko wróci. Nona zostawia niezliczone wiadomości na sekretarce. Cały czas, i w dzień, i w nocy, słycać tylko maszynę i nagrany głos Fitz: „Cześć, nie ma mnie”. Nawet o trzeciej nad ranem. Na pewno gdzieś wyjechał. Jakies nagle interesy. Albo śmierć w rodzinie. O, Panie Boże, który jesteś w niebie, niechże on tylko nie będzie chory, niech nie leży w śpiączce, podłączony

do rozmaitych rurek, sztucznie podtrzymywany przy życiu. Niech nie przepadnie tam, gdzie go już nigdy nie odnajdę.

- Fitz dał nogę — stwierdza Ewa. Nie przepoczwarzyła się całkiem w sam miód i słodycz. Wpadła do Flory obejrzeć sukienkę, którą Nona zatrzymała specjalnie dla niej.

- Uwielbiam cię w błękitach - oświadcza Nona, stając tuż koło Ewy, której postać odbija się w trój skrzydłowym lustrze.

- Tyle tych marszczeń... Chyba za bardzo mnie przytłaczają.

- Wcale nie. Są *trte chic*.

- Wiesz, co? Dla ciebie nawet kodety baranie są *trb chid* Nie jest całkiem przekonana do sukienki, ale ją kupuje. Za karę za własny cynizm. Fitz zapewne wystawił Nonę do wiatru, ale Ewa nie chce być tą, która jej o tym powie. Nona ciągle opowiada, jacy byli szczęśliwi. Nigdy się nie kłócili, nie poróżnili się nawet w najmniejszych drobiazgach. Po prostu nie ma powodu, żeby od niej odszedł! Zjedli chińską kolację, a potem się kochali. Fitz powinien co prawda być przy niej rano w łóżku, tak samo jak wreszcie powinien odłączyć sekretarkę i odbierać telefony. Powinien być osiągalny, a nie jest.

Dzień, dwa, trzy, cztery, cały tydzień. Godziny wloką się noga za nogą. Coraz wcześniej zapada zmrok; jesień ustępuje zimie. Niemożliwe, że Fitz tak po prostu zniknął, jak królik z kapelusza. Przy kolacji z przyjaciółkami, Nona nagle zdradza, że chyba zawiadomi policję.

- Policję! — Cassie opada na wiklinowe oparcie krzesła. Serwetka zsuwa się jej z kolan na kafelki posadzki. Policja nieodłącznie kojarzy jej się z April, sztywnym ciałem zabitego męża, i dwojgiem maluchów.

- Byłaś w jego mieszkaniu? — pyta Ewa. - Nie. - Dlaczego?

- Bo nie wiem, gdzie mieszka — przyznaje Nona, opuszczając głowę nad kieliszkiem wina.

Ewa unosi brwi patrząc na Cassie.

- To niewiarygodne! Ona niczego się nie uczy! Muszę sobie gołać.

Diana Silber

Stare, znajome przerażenie, że nie znajdzie Jake'a, znów łapie Cassie za gardło. Ale jeśli przyzna się, że jechała do Yanga po adres Jake'a, że na dobrą sprawę jest taka sama jak Nona, obie przyjaciółki uznają ją za osobę miękką i bez charakteru.

Ewa zamawia szkocką z wodą sodową.

— Napij się wina — radzi Cassie.

— Muszę wypić coś mocniejszego.

— Wino jest wystarczająco mocne. Posłuchaj mnie. Jestem twoim lekarzem.

Ale to nieprawda. Jena dalej leczy Ewę, prowadzi wszelkie konieczne badania kontrolne i wszystkie o tym dobrze wiedzą. Poza tym w końcu jeden normalny drink, szkocka z wodą, na pewno Ewy nie zabije. Bo niby dlaczego? Pomijając fakt, że nie ma już wewnętrznych kobiecych organów, jest zupełnie tak samo normalna, jak Nona czy Cassie. Ewa i Cassie wdają się w tę prawie małżeńską sprzeczkę tylko dlatego, że nie chcą dać się wciągnąć w miłosne problemy Nony. Żadna z nich nie ma ochoty rozwałkować problemu, dlaczego znów się nie udało. W końcu Fitz niósł ze sobą pewną obietnicę. Z nikim nie związany, przystojny i — jeśli wierzyć Nonie, która w takich przypadkach jest całkiem niewiarygodna - czuły i troskliwy. Kiedy Nona wychodzi do toalety, Ewa nachyla się nad stolikiem i szepcze: — Cóż, u licha, siedzi w tej porażająco pięknej babie, słodkiej jak cukierek, że każdy romans wędnie jak podlany cyjankiem? — Ona naprawdę powinna przejść jakąś terapię.

— Daj spokój. - Ewa macha ręką, a potem szuka w torebce papierosa. - Ten jej doktor Rubin spełnia rolę psychoanalityka. — To internista.

Jakaś kobieta z krwistoczerwonymi ustami, siedząca przy stoliku na lewo, na widok Winstona i zapalanej zapalki klepie Ewę w ramię i mówi:

— Tu się nie pali.

— A niech to szlag! — Ewa klnie, gotowa natychmiast walczyć, i wreszcie przypomina sobie sprzed tygodni. Ale nie robi w zasa-

dzie nic wojowniczego, tylko przypala papierosa, zaciąga się mocno, a potem wrzuca Winstona do pustego kieliszka po winie.

- Obrzydliwe - komentuje Cassie.

- Wolalabyś, żebym go przydeptała?

Cassie właśnie ma zamiar nawoływać do zawieszenia broni, kiedy wraca Nona i od razu pyta:

- I co mam teraz zrobić?

Ewa rzuca widelec na talerz i odpowiada bez zastanowienia:

- Zapomnij o nim!

Ramiona Nony smętnie opadają i Cassie natychmiast wkracza do akcji:

- Daj mu trochę czasu. - A gdy Nona przygryza wargi jak zraniona dziewczynka, Cassie dodaje, choć wie doskonale, że jej, rada niewarta jest funta kłaków: - Może wszystko się jeszcze ułoży, jeśli mu dasz czas. Może wróci, kiedy będzie gotów. Stolik, przy którym siedzą stłoczone łokieć w łokieć, stoi na oszklonym patio, wychodzącym na ulicę, gdzie rosną królewskie palmy. W dali - niesłyszalny dla biesiadników - ocean z rykiem uderza o brzeg. Przezroczyste ściany tłumią wszelki dźwięk, ale nie skrywają twarzy, która nagle rozpląszcza się na szkle. Ta twarz ma w sobie coś pierwotnego, jest stara i nieszczęsna, a wokół niej, niczym małe żmijki, sterczą cieniutkie warkoczyki. - A sio! Precz! - Kelner wybiegł na zewnątrz i macha wy-krochmaloną serwetką na starą kobietę, która z wózkiem wyladowanym rupieciami zatrzymała się naprzeciwko stolika Ewy, Cassie i Nony. - Zabieraj się stąd! - Naciera na nią niczym niezręczny matador. Kobieta ciągnie wózek i, powłócząc nogami, przesuwa się do następnego stolika, a potem jeszcze dalej, aż wreszcie wymachujący ramionami kelner zwycięża. - Jest głodna. Nie możemy pozwolić, żeby odeszła stąd bez jedzenia. Bez kilku groszy - zauważa Nona. - Jeśli chcesz ją nakarmić, to najlepiej sprowadźmy ją tutaj, posadźmy... - Ewa, nie mów głupstw! - mityguje Cassie, choć słyszy sardoniczną nutkę w głosie przyjaciółki. Nie przypuszcza, żeby Ewa była do tego zdolna. Może w dawnych czasach, w czasach

Jordana, wybiegłaby i sprowadziła do restauracji taką kupkę nieszczęścia. Ale w trakcie związku z Abramsonem oduczyla się takich szokująco radykalnych gestów. Przy Abramsonie, który miał serce na właściwym miejscu, ale który niechętnie pędził na barykady, nauczyła się płacić i podpisywać petycje. Nona jednak potraktowała tę impulsywną sugestię dosłownie i zanim Ewa czy Cassie zdążyły ją powstrzymać, już zrywa się z krzesła i wybiega przed restaurację. Cassie nie może podjąć decyzji, czy pędzić za nią czy zostać. - Nie wierzę...

- Sama jej to podsunęłaś.

- Ale czy ona musi mnie słuchać?! Nie potrafi odróżnić rzeczy, których się nie robi od zwykłej rozmowy?

Cassie patrzy, jak Nona podchodzi do starej kobiety.

- Czasem myślę, że ona naprawdę miesza fantazje z realiami - mówi. Nona chwyta kobietę za rękaw zniszczonego swetra; stara niecierpliwie strzepuje z siebie nie chcianą dłoń.

Nona i kobieta z wózkiem stoją zaledwie parę kroków od szyby, ale oprócz Cassie i Ewy inni biesiadnicy nie zwracają na nie uwagi, jakby ściany zrobione były z cegły - nikt nie chce dostrzec zakłócających spokój bezdomnych. JPrzyjaciółki czujnie obserwują scenę. Czy trzeba będzie pospieszyć Nonie na pomoc?

Rozmowa na ulicy, prowadzona przez tak dalekie sobie kobiety - Nonę, wysoką, smukłą, wiotką, i starą, może nawet nie taką znów leciwą, ale zaskorupiałą w brudzie i szaleństwie, okrągłą jak beczka - nie prowadzi donikąd. Nagle, nie zważając na czerwone światło, kobieta spycha wózek z krawężnika.

Przez chwilę wygląda na to, że Nona pomknie za nią. „O, nie!” wyrywa się Cassie, a Ewa już prawie wstaje. Ale Nona wraca. I wcale nie szura nogami ani nie zwiesza głowy, choć obie w duchu przyznają, że przecież wraca na tarczy. Idzie długimi krokami, swobodnie wymachując ramionami - przyciąga uwagę. Jeden z dwóch mężczyzn przy sąsiednim stoliku mówi do swego kompana: „Ładna kobieta”.

Krzesło dzwoni o kafelki podłogi, gdy Nona na nim siada. Nie pada jedno słowo. Równie dobrze mogłaby wrócić z toalety, gdzie poprawiała makijaż.

Cassie namawia ją do jedzenia. Zupa czosnkowa jest tu

pierwszorzędna, ale Nona marszczy nos na myśl o czosnku. Będzie ją czuć, a kto wie, czy Fitz nie czeka w domu, więc trzeba uważać.

- Jesteś kompletną wariatką! - wyrokuje Ewa.

Na wieść, że Fitz ma klucze do mieszkania Nony, Cassie omal nie nakazuje jej, żeby następnego ranka natychmiast zmieniła zamki, ale Nona od razu się odgryza. Wsuwa brodę i przypomina Cassie o Mandy. Mandy wróciła do Pordand i podejrzenie milczy. W innych okolicznościach Cassie mogłaby zadzwonić do Douga i jego pociągnąć za język, ale nie teraz. Teraz to wykluczone.

Nona zamawia jako główne danie sałatkę z krewetek.

- Ma mało kalorii - tłumaczy, jakby miała kłopoty z nadwagą, i spodziewa się, że Ewa zaraz ją obruga.

Naturalnie Ewa podnosi na nią głos, bo ją kocha, ale Nona nie znosi krytyki, która zawsze godzi w nią jak kamień. Po drugiej stronie ulicy, pod lampą, stoi kobieta z wózkiem. Nona odwraca się od niej i przysuwa krzesło bliżej stolika, a potem nachyla się do Cassie. Wciąż jest urażona, że nie pozwolono jej okazać jakie ma dobre serce. Nie mam z nią nic wspólnego. Zupełnie nic - powtarza Nona w duchu. Jakie to głupie, że sama myśl o tym wyciska jej łzy z oczu. Nie zauważa nawet, że zaczyna bawić się chlebem.

Cassie dotyka jej ramienia i mówi:

- Hej, jutro też jest dzień. Ewa wybucha śmiechem.

- O, Boże! Ale kicz! Zupełnie jak w popołudniowych serialach!

- Teraz przynajmniej jesteś sobą, uszczypliwa jak za dawnych czasów — stwierdza Cassie z zakłopotaniem. Ale Ewie udało się wywołać uśmiech na twarzy Nony, która przypomina przyjaciółkom, że rodzina McKenzie jest przecież częścią jej życia.

- A zatem za seriale! - woła Ewa i unosi kieliszek z winem.

Cassie dzwoni do Ewy. - Niepokoję się o nią.

- Ile można?!

- Przedtem był żonaty Alan, a jeszcze wcześniej...

— Mąż gaj owej.

— Wiesz, w rozmowie z tobą czuję się jak idiotka — mówi Cassie. Odkłada słuchawkę i próbuje nie myśleć o Nonie i jej problemach. Ale natychmiast zaczyna się martwić o April.

Ma uczucie, że jest za nią odpowiedzialna i winna, bo powinna była zrobić dla niej więcej. Tylko co? I jak? Ten facet już nie żył, kiedy April dzwoniła do Cassie. Więc gdyby nawet była wtedy pod telefonem, i tak nie uratowałyby mu życia. A jednak...

Policja potraktowała April lepiej, niż Cassie oczekiwała. Chociaż zawieźli ją do aresztu, głusi na krzyki Cassie, że April działała w obronie własnej, to poczekali, aż siostra April przyjedzie z Whittier i weźmie do siebie dzieci. April opowiadała, że potem prowadzili spokojne przesłuchanie, poczęstowali kawą, dali jej ligninowe chusteczki i pozwolili wyjść do łazienki. Co prawda, z obstawą. Dla Cassie było najważniejsze, że jej znaleźli prawnika. April wyszła za kaucją i ma obrońcę - rudowłosą, bystrą dziewczynę po prawie w Stanford, która aż kipi oburzeniem. Ta prawniczka chce powołać Cassie jako głównego świadka. Cassie opowie w sądzie, jak mąż bił April. Jak ją zepchnął ze schodów. I gwałcił.

Sąd zezwolił April na pobyt u siostry do czasu rozprawy, która ma się odbyć tuż po Nowym Roku. Raz w tygodniu Cassie rozmawia z nią przez telefon i teraz April pamięta. Teraz nie wije się jak piskorz i nie ma luk w pamięci. Opisuje Cassie każde uderzenie, każde pchnięcie, każdy cios, silny i słaby, i oparzenia papierosem na stopach. April pamięta, a Cassie chce zapomnieć. Mówi jej, że ze wszystkich sił pragnie, żeby to wszystko wcale się nie wydarzyło. Ale tak nie jest - słyszy w odpowiedzi. I April - podszkolona przez rudowłosą dziewczynę - dodaje: „Traciłam przy nim rozum”.

Do czego mężczyzna może doprowadzić kobietę - myśli Cassie za każdym razem, kiedy odkłada słuchawkę po rozmowie z April. I z Noną.

Przestanieś wreszcie snuć się tak smętnie po sklepie? - Lorraine wsparła dłonie na biodrach, rozstawiła nogi. Wygląda jak złowrogi instruktor kung-fu i naciera na Nonę przed trzy

skrzydłowym lustrem. Znowu na chwilę zamarł ruch w sklepie i teraz są tylko we dwie. Lorraine ma od rana oczy czerwone jak królik i choć Nona o nic ją nie pyta, najwyraźniej szuka okazji do wielkiej awantury. Nona wpada w zastawione sidła i mówi:

— Wcale nie smęcę.

- Opancerzyłaś się jak żółw w skorupie!

— Nieprawda.

- Nie sprzeczasz się ze mną, Nona! Zwłaszcza, że twoim zadaniem jest stworzyć dobrą atmosferę w sklepie. Należy się to naszym klientkom. Kiedy przychodzą do Flory, mają prawo do tego, co najlepsze. Lorraine robi z igły widły i gdyby Nona kątem oka nie ujrzała jej nieszczęśliwej twarzy w lustrze, pewnie akurat dziś byłaby gotowa postawić się szefowej i powiedzieć jej prosto w nos: „Lorraine, głupia jesteś”. Ale to ona sama jest głupia. Lorraine ma rację.

Po prostu nie może znaleźć Fitza. W książce telefonicznej jest tylko numer bez adresu. Mówił, że mieszka w Venice. Zatem w niedzielę Nona krąży po bulwarze tam i z powrotem. Choć już zima, pogoda jest całkiem wiosenna. Na błękitnym niebie jaśnieje słońce, znad oceanu ciągnie lekki powiew, więc w Venice pełno jest półnagich plażowiczów, turystów wysmarowanych olejkiem, tęgich kulturystów i młodzieży, niebezpiecznie szybko mknącej na deskorolkach. Wszędzie roi się wprost od dziewcząt w skąpych bikini, tak że nikt już praktycznie nie zwraca na nie uwagi. Jakiś karzeł, odstrzelony niczym pan młody na weselu - w białym garniturze, koszuli i krawacie i w eleganckich butach - cotygodniowym zwyczajem ciągnie za sobą ciężki drewniany krzyż z jednego końca promenady na drugi.

Samotna jodła, wyrastająca z obramowania w piasku, ustrojona jest w kolorowe bombki, łańcuchy i anielskie włosy. Starsza kobieta stoi na składanym krześle i usiłuje poprawić gwiazdę przekrzywioną na czubku drzewka.

Wydaje się, że całe Los Angeles wyległo na deptak w Venice. Brakuje tylko Fitza.

Nona znowu zaczyna przymierzać się w myślach do powia-

domienia policji i zgłoszenia, że Fitz przepadł bez wieści. Rozważa też możliwość wynajęcia prywatnego detektywa. Przez chwilę zajmuje ją ten pomysł. Zastanawia się, czy wolałaby, żeby wyglądał jak Paul Newman czy może jak młody Robert Mitchum. Tak, ten pomysł jest naprawdę ekscytujący! Już sobie wyobraża, jak wchodzi po skrzypiących schodach do biura, gdzie wyłysiały chodnik upstrzony jest plamami kawy i podziurawiony żarem z papierosów. Tam właśnie wynajmuje mężczyznę w lśniącym garniturze. I w kapeluszu na głowie, pod którym skrywa bujną czuprynę.

Przygoda z detektywem rozpała jej wyobraźnię całą drogę do domu, do samego Westwood. Nona wchodzi do cichego mieszkanka, które nagle wydaje jej się strasznie puste. Jak całkiem inaczej czuła się wiedząc, że Fitz na nią czeka albo że wpadnie później!

Odszedł, zniknął, zgubił się, przepadł. Może mu już nie zależy — myśli Nona i gorzki ból w piersi wyciska jej łzy. Fitz musi się jakoś odnaleźć, bo ona tak bardzo go pragnie. Przecież nie zrobiła nic złego.

Chcę cię poznać na wylot, od podszewki. Opowiedz mi...

Nie, nigdy. Przenika ją dreszcz przerażenia. Nie powie nic, oprócz dobrze przerobionych kawałków przeszłości, wygładzonych w każdym detalu. Tylko tyle. Tylko tyle mówiła.

Bierze niskokaloryczny Sprite i nastawia Michaela Jacksona tak głośno, że szyby drżą w oknach. Chodzi po pokoju nerwowym krokiem pantery i stara się nie wspominać tego, co mogła zrobić bądź powiedzieć po piwie i trawce. - Nie mogłam tego powiedzieć! - krzyczy w ciszę dzielącą *Thrillera* od *Beat It*. — Niemożliwe, żebym mu to powiedziała!

Jednak nie może odsunąć od siebie myśli, że mogła popełnić głupstwo. Później dzwoni do Fitz'a, gotowa nagrać mu kolejną wiadomość, ale żadne wytłumaczenie nie przychodzi jej do głowy i po długim sygnale odkłada słuchawkę.

Kiedy palce Jake'a zamierają na strunach, Cassie pyta go, co sądzi o nagłym zniknięciu Fitz'a. O tym, że odszedł zupełnie bez słowa, nie zostawił nawet złamanej kartki w butelce, jednego dziękuję za wspólnie spędzone chwile.

Jake grał piosenkę country o zagubionych dzieciach i aniołach. Słowa, jego zdaniem, nie miały znaczenia. W tej piosence ważna była melodia. Cassie ma zupełnie w nosie, na co powinna zwracać uwagę w piosence. Podoba jej się, że Jake wypełnia sypialnię muzyką. Nikt nigdy nie śpiewał jej serenad, choć niewątpliwie Jake gra w równym stopniu dla niej, jak i dla siebie. Siedzi na starej kanapie przy oknie i daje się muzyce przenieść w inny wymiar. Sypialnia jest długa, a ponieważ boczne lampki rzucają tylko tyle światła, żeby rozjaśnić drewnianą ramę w nogach łóżka, sylwetka Jake'a tonie w ciemności. Cassie opiera się o twarde wezglowie, skąd lepiej go słyszy, niż widzi, melodia oplata ją jak dym.

Wszystkie jego piosenki są smutne, choć gdy mu to któregoś dnia wytknęła, natychmiast zaprzeczył. Ale kiedy grał dla niej następnym razem, specjalnie wybrał same piosenki protestu

- choć żadna nie miała nic wspólnego z jego wojną. Kolejnym razem znowu rozśmieszał ją zabawnymi przyśpiewkami. W końcu jednak wrócił do ulubionego repertuaru, smutnych, leniwych pieśni, wśród których czuł się najljepiej. Nona z Fitzem, a właściwie Nona, z powodzeniem mogłaby być ich bohaterką. Jake twierdzi, że jeśli się ma właściwą melodię, napisanie piosenki o czymś czy o kimś nie jest już żadnym problemem. Cassie potrząsa głową, rozmyślając przy muzyce o ostatnim romansie Nony.

- Jak sądzisz, dlaczego odszedł od niej w ten sposób?

- Skąd mam wiedzieć? W życiu nie widziałem faceta.

- Ale co sądzisz o tym jako mężczyzna? Cassie wie, że niepotrzebnie się upiera.

- Mężczyzna bardziej rozumie innych mężczyzn - ciągnie.

- Wydaje mi się, że powinieneś przynajmniej spróbować odgadnąć, o co mogło mu chodzić. Poza tym... - Zostawia mu furtkę, żeby przypomniał jej, jak sam od niej uciekł i jak musiała go szukać, żeby go ściągnąć z powrotem. Od tamtej pory pytanie, które być może leży u podstaw jej wypytywania o Fitz'a brzmi: „Czy wróciłbyś sam z własnej woli?”

- Słuchaj, jestem tylko jednym z facetów, nie reprezentuję męskiej społeczności Los Angeles. Niech ci się nie wydaje, że

umiem odgadnąć sekretne myśli mężczyzn, bardziej niż ty umiesz odgadnąć wasze babskie tajemnice. — Rozbawiła go i teraz się do niej uśmiecha.

— Jeśli idzie o sprawy uczuć, mam doskonale wyobrażenie, co przeżywają kobiety. - Naprawdę? Czasami nie wie nawet, co sama właściwie czuje. Ale nie przyzna się przed nim do tego, bo akurat jego rozumie mniej niż innych. W wielu sprawach jest jej wciąż jeszcze obcy i jeśli pochopnie obdarzyła go zaufaniem, odkryje to dopiero wówczas, gdy wszystko między nimi się skończy.

— Zagraj coś jeszcze — prosi czując się najbezpieczniej, gdy Jake jest zajęty muzyką.

— Nie, jestem już zmęczony. - Wstaje i ostrożnie odkłada gitarę. Z tej odległości Cassie ma wrażenie, że oprócz nich ktoś trzeci jest w pokoju i też przygotowuje się do snu. Sposób, w jaki Jake dotyka instrumentu, uruchamia jej wyobraźnię.

— Moim zdaniem, choć ono wcale się nie liczy, ten przyjaciel Nony po prostu chciał z nią zerwać, tylko nie miał odwagi powiedzieć jej tego w twarz. Jeśli nie będzie się odzywał dłuższy czas, Nona zdąży ochłonąć i nie dojdzie do żadnej konfrontacji. Mężczyźni tego nie znoszą — tłumaczy Jake, zdejmując koszulę i szykując się do łóżka ze swobodą mężczyzny, który niejedną noc spędził w tej sypialni i będzie tu sypiał w przyszłości. — Przed chwilą zastrzegalesz się, że możesz mówić tylko za siebie — przypomina mu Cassie i chociaż jego nagie ciało sprawia jej nieklamana przyjemność, zastanawia się, czy dobrze jej z tym, że Jake jest taki swobodny w jej domu. „Czuje się jak u siebie”, powiedziała kiedyś Beth, a Nona z Ewą natychmiast jej przyklasnęły. Jake podnosi koc i wsuwa się w pościel.

— No dobra, to ja nienawidzę konfrontacji.

— A więc będziemy ich unikać — obiecuje dzielnie Cassie, właściwie całkiem pewna, że jeśli Jake postanowi od niej odejść, zrobi to podobnie jak Fitz. No tak - myśli sobie - pożegna się pewnie najpierw, ale zrobi to bardzo zdawkowo i szybko.

Jake kładzie się na boku, Cassie nachyla się nad nim, ale on leży odgradzony plecami tak, że Cassie nie może dojrzeć jego oczu. Zresztą te oczy nie zdradzą jej żadnych tajemnic.

Jest tak samo zamknięty jak dawniej. W gruncie rzeczy ostatnio rozmawiają ze sobą jeszcze mniej. Cassie czeka, że usłyszy coś o wojnie, o Wietnamie, o jego przyjaciółach zabitych czy zaginionych podczas akcji, o jego nie spełnionych pragnieniach i nieudanych podróżach. Ale gdy tylko zbyt zadręca o sprawy osobiste, Jake błyskawicznie zmienia temat. Wycierpiał aż nadto i ona nie ma prawa piętrzyć pytań.

Cassie często gryzie się przy nim w język i milczy.

Zgiął kręgosłup w kabłąk, podciągnął kolana i oplód je ramionami, chroniąc w ten sposób wrażliwy środek. Tak śpi naprawdę, a jeśli Cassie trąci go w nocy czy delikatnie pogładzi jego nagą skórę, coś na kształt dreszczu przerażenia wstrząsa jego ciałem.

Kiedy śpią, musi ich dzielić pas wolnej przestrzeni.

Przykryta aż po czubek nosa, wsłuchuje się w cichy oddech Jakea i wie, że, jak zwykle, zasnął w mgnieniu oka. Chciałaby, żeby nie spał. I chociaż pragnie wpełznąć między jego ramiona i kochać się z nim, nie obudzi go przecież. Po cichu układa się w łóżku, szykując do snu. Gasi światło i w pierwsze) chwili sypialnię zalewa zupełnie nieprzenikniona ciemność. Z czasem jej wzrok przyzwyczaja się do mroku - Cassie dostrzega szarość przy parapecie okna i supelkową fakturę dywanu pod drzwiami. Za kilka minut pewnie zaśnie. Tak myśli. Ale tymczasem leży bezsennie przez dobrych kilka godzin. Wreszcie Nona przyjmuje do wiadomości, że Fitz dał nogę, że zwinął manatki i uciekł od niej, choć wciąż nie rozumie dlaczego. Przestaje w końcu błagać mechaniczny głos w telefonie, by zechciał do niej zadzwonić. Jeśli nadal drżą jej palce, kiedy otwiera korespondencję przy skrzynce, to tylko dlatego, że list idzie długo i to, że dostanie od Fitz'a pisemną wiadomość, jest jeszcze teoretycznie możliwe. Pisanie listów stanowi jednak domenę kobiet. Nona zawsze myśli o pisaniu, kiedy chce odnowić nadwądowną przyjaźń. I bardziej liczy się sam proces pisania niż słowa na papierze. List jest jak most przerzucony na drugą stronę rzeki.

Nona poświęca całe czterdzieści minut przerwy obiadowej na

wyszukanie odpowiedniej karty świątecznej dla Fitz'a w jednym ze sklepów pasaży. Decyduje się na wesołego Mikołaja, który siedzi na leżaku na plaży i pociąga drinka z zaszronionej szklanki, ozdobionej papierową parasolką. „Jest co najmniej kilka sposobów spędzania świąt Bożego Narodzenia”. Pod spodem Nona zamaszyście dopisuje fioletowym pisakiem: „Życzę ci naprawdę wspaniałych Świąt!” Ale naturalnie nie może wysłać kartki, bo przecież nie wie dokąd. Wkłada ją do szuflady nocnego stolika i czeka na życzenia od Fitz'a. Tylko nic nie nadchodzi.

- Może to wina poczty - wyraża nadzieję, rozmawiając z Ewą przez telefon. - Zawsze są opóźnienia w okresie świątecznym.

- On po prostu nie wysłał ci kartki, nie zadzwonił, nie zrobił nic! I nie nabijaj sobie głowy myślą, że przyśle ci limuzyną brylantowy naszyjnik od Camera! Ten drań jest już *passi*. To przeszłość. To zwykły szczer i dziękuj Bogu, że już z nim nie jesteś! - Ale są święta!

Ewa nie przejmuje się świętami. Załatwia niezbędne prezenty komu trzeba, wysyła czek matce, kosze owoców ważnym klientom, kupuje drobne upominki - poniżej pięćdziesięciu dolarów

- Nonie i Cassie. Na ogół dla Mandy ma jakąś ciepłą bawełnianą bluzę, buteleczkę wody kwiatowej i bransoletkę ze sztucznej biżuterii. Robi to, żeby sprawić przyjemność Cassie, pilnuje się zwłaszcza od czasu rozwodu. Tego roku, gdyby miała wybrać to, na co ma ochotę, sprawiłaby Mandy pięciopalczystą dyscyplinę. Nona uwielbia świąteczne zamieszanie. Co roku ubiera choinkę. W Wigilię zaprasza grupkę przyjaciół na ajerkoniak i bożonarodzeniowe kolędy. Ale święta się zbijają, a ona coraz częściej myśli o odstąpieniu od tego zwyczaju i o tym, żeby Boże Narodzenie minęło jak najprędzej. Chciałaby udać, że wcale go nie ma. Ale to niemożliwe. Pasaż ustrojony jest karnawałowo wymyślnymi dekoracjami i drzewkiem, sięgającym pierwszego piętra. Tu i tam widać kołędników w dickensowskich strojach, w sztruksowych spodniach i pasiastych apaszkach; jest też atrakcja dla maluchów

- święty Mikołaj na tronie. W oknach wystawowych widać sztuczny śnieg, cukrowe pałeczki, albo małe sanki wyladowane po

brzezi kolorowymi prezentami. Upominki przepięknie wyglądają, ale to tylko puste pudełka opakowane błyszczącym papierem i obwiązane kokardami.

O tej porze roku po Crystal Mail kręcą się dzikie tłumy. Wszyscy gdzieś spieszą, przepychają się, trącają innych przechodniów; w ich oczach lśni determinacja. Chcą wydać pieniądze.

Zazwyczaj Nona czuje wyraźne ożywienie w przedświątecznym okresie wzmożonych zakupów. Unosi się wysoko na fali ludzkich emocji. Teraz jednak jest całkiem rozbita. Załamana, zmęczona fizycznie, czuje, że coś ściąga ją nisko na ziemię. Zajeżdża do gabinetu doktora Rubina na kontrolne badanie. Lekarz stwierdza ten sam syndrom co zwykle. Nie ma się czym martwić. Obiecuje jej poprawę samopoczucia w drugim tygodniu stycznia. Jeśli nie, zaleca tygodniowy wyjazd w góry, gdzie Nona będzie się mogła skupić na tym, by nie złamać nogi. Nona czuje, że doktor Rubin przestał się nią przejmować, i rozważa w myślach, czy nie zmienić lekarza, nie znaleźć nowego, któremu jeszcze się nie opatrzyła, jak stary, znoszony kapelusz. Ale stan letargu uniemożliwia jej podjęcie decyzji. Poza tym znów zaprzęta ją urządzenie przyjęcia. Więcej energii musiałaby chyba włożyć w zerwanie z tradycją niż w poddanie się jej. Ewa chce przyjść z Johnnym, Cassie i Mandy naturalnie będzie towarzyszył Jake, choć Mandy bez wątpienia przyjedzie osobno.

- Jest muchą w rajcu - zauważa Ewa, kiedy we trójkę spotykają się na szybkiej przekąsce na drugim piętrze pasażu. Wygospodarowały kwadrans, by przysiąść na chwilę w tej przedświątecznej polce.

- Rzeczywiście - przyznaje zaatakowana Cassie. - Mandy źle się czuje, kiedy on jest obok.

- Kipi wrogością, moim zdaniem - stwierdza Ewa skubiąc bułkę; nie ma ochoty na skórkę.

- Nie pogarszaj spraw, bardzo proszę — protestuje Cassie. - Po prostu nie czują się ze sobą swobodnie.

Przechodzą obok siebie jak duchy.

Nona wylewa pół butelki ketchupu na hamburgera.

- Jest skrepowana w obecności kochanka swojej matki — zauważa. - Dla mnie to całkiem normalne.

Diana Silber

- Naprawdę spróbujesz wszystko to wsadzić w usta? - pyta Ewa, kiedy Nona unosi bułkę wyladowaną mięsem, sałatą, pomidorem, majonezem i ketchupem.

- Usiłuję ją wybadać, co sądzi o Jake'u, dlaczego przy nim chodzi jak chmura gradowa, w końcu widziała go raptem kilka razy, ale ona uparcie milczy. Od chwili gdy wysiada z samolotu, ciągle powtarza to samo: „Nie ma o czym mówić”. - O matko, Nona, cieknie ci po brodzie!

Nona, niczym się nie przejmując, ociera twarz i wbija zęby głęboko w bułkę.

- Przestań się na mnie gapić - próbuje mówić, nie przerywając żucia. - Wiesz, że się zawsze uswiniam przy tanich hamburgerach.

- Jak widać - komentuje Ewa.

- Nię zdradziła zupełnie nic, co czuje? - Nona wraca pytaniem do Mandy.

- Zawsze słyszę to samo. Nie ma o czym mówić.

Oczywiście, że jest. Nie lubisz go.

- Czy powiedziałam ci, że go nie lubię, moja kochana mamó? - „Moja kochana mamó” jest złym znakiem.

Odsuwa się od Cassie. Bardzo zeszczupłała, całe siedem kilo, między Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem. Za bardzo. Cassie martwi się o córkę, która teraz, sztywna jakby kij połknęła, wychodzi z pokoju wyniosła niczym angielska księżniczka.

Następnego ranka łapie ją przy śniadaniu,

- Zależy mi na nim - mówi Cassie, siadając naprzeciwko córki.

Mandy kurczy się nad talerzem płatków zbożowych z plasterkami jabłka.

- To świetnie.

- Chciałabym, żebyś się z nim zaprzyjaźniła.

- Mam wrażenie, że jestem już dość dorosła, żeby sobie samodzielnie wybierać przyjaciół. Poza tym, większość czasu mieszkam przecież gdzie indziej.

- Mieszkasz tutaj. Tu jest twój dom. - Cassie brzmi bardziej wojowniczo, niżby tego chciała.

- Moim zdaniem, mój dom jest tam, gdzie spędzam większość czasu, a nie tam, dokąd przyjeżdżam na wakacje.

Cassie z łoskotem stawia filiżankę na spodku. Wylana kawa plami jej mankiet. Pędząc do kranu, by zmyć plamę z jedwabiu, wie, że to beznadziejne, że zawsze zostanie przebarwione miejsce.

Następnego wieczoru Cassie puka do sypialni Mandy i pyta, czy mogą porozmawiać.

Siada ostrożnie na krześle przy biurku, gotowa w każdej chwili zerwać się i uciec, choć zdecydowała wreszcie wszystko „wywalić”. Dlaczego tak ją niepokoi ten związek, skoro, jak sama przysięga, „Jake nigdy nas nie rozdzieli. On nie jest Tracy”. - Mamo, Tracy i tata są małżeństwem.

- Właśnie o to mi chodzi. - Cassie pochyła się w przód, napięta jak struna, omal nie pęknie. Czuje ucisk w żołądku. — Nie zamierzam wychodzić za Jake'a. — Oczywiście, że nie! Ta deklaracja, którą złożyła bez najmniejszego namysłu, zaskakuje ją samą, i Cassie zaczyna dumać. Kiedy to właściwie postanowiła, że Jake nie będzie stałym elementem w jej życiu? Którejś niedawnej nocy przyszło jej do głowy, że Jake pewnego dnia odejdzie, bo jest z gatunku mężczyzn — cóż ona wie o mężczyznach? - którzy, podobnie jak Fitz, po prostu zamykają za sobą drzwi, zanim kobieta zorientuje się, że w ogóle zostały otwarte. A może tylko się tak wtedy straszyla? Przecież nie chce, by odszedł - wprost przeciwnie. Na dobrą sprawę, myśl, że mogłoby go zabraknąć przy niej, powoduje w niej chęć zrobienia czegoś bardzo dramatycznego.

Wyobraża sobie, że mogłaby rzucić się na ścianę albo biegać po ulicy tam i z powrotem i krzyczeć wniebogłosy. Ale przecież wie, że prędzej czy później Jake powie *sayonara*.

- *Zależy* mi na Jake'u. Chyba mogę to nazwać miłością

— mówi Cassie z boleśnie ściśniętym gardłem. — Ale nigdy się nie pobierzemy ani nie będziemy ze sobą na zawsze. — Cassie cierpi jak potępieniec, usiłując wyjaśnić Mandy swoje uczucia, choć z książek wie, że dzieciom nie trzeba mówić zbyt wiele. Tymczasem Mandy z wyrazem znudzenia na twarzy rozkłada przed sobą „Cosmopolitan”.

- Masz kompletnego hyzia — stwierdza. — Mnie to w ogóle

nie przeszkadza. Zapomnij, że tu jestem i zajmij się swoim romansem. Usiłuję tylko przebrnąć jakoś przez święta, przeczytać lektury, spotkać znajomych. Baw się miło. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. - Zaciska usta z wyrazem dezaprobaty. Jak to się stało, że wychowałam tak strasznie purytańską córkę - dziwi się Cassie. Rozmowa wiedzie donikąd, choć Cassie usiłuje ciągnąć ją jeszcze przez kilka następnych minut. Mimo zwierzeń matki Mandy jest wciąż tak samo nie przekonana. A może rzeczywiście istnieją złe fluidy między Mandy i Jake'em i ona naprawdę go nie lubi? Ale dlaczego?

- Nie ma obowiązku lubić wszystkich ludzi, z którymi los nas styka - odpowiada Mandy na pytanie.

- Czasami myślę, że walę głową o mur, kiedy rozmawiam z tobą... kochanie. — Dorzuca „kochanie”, żeby Mandy nie pomyślała sobie, że jest na nią zła.

- Więc daj temu spokój, mamó. - „Mamo” zamiast „moja kochana mamó”. Przynajmniej jest jakiś postęp. Mandy wraca do czytania pisma, a Cassie wychodząc z pokoju postanawia poddać sprawę i cieszyć się zarobionymi punktami.

Cassie wciąż martwi się świętami, choć, jak się okazuje, wszyscy w końcu jadą do Nony, tyle że każde własnym samochodem. Kiedy zatem stoi w kolejce do kasy przy stoisku z alkoholami i wykrzykuje: „O Boże!”, nie ma przy niej ani Jake'a, ani Mandy i nikt nie pyta: „Co się stało?”

Zdjęcie w prawym dolnym rogu znanego ze skandali brukowca wprost wybucha jej przed oczami. Cała sterta gazet za chwilę zajmie się ogniem. Cassie gwałtownie chwyta pierwszą od góry i czyta:

NAJWIĘKSZY SUPER SZPIEG AMERYKAŃSKI WYKORZYSTYWAŁ SEKSUALNIE WŁASNĄ CÓRKĘ! Tak brzmi podpis pod ziarnistym, pożółkłym zdjęciem Nony. Nona uśmiecha się na nim bezbronne i ma minę, która wywołuje w człowieku pragnienie, by czym prędzej ją uspokoić słowami: „Cii, moja maleńka” i zabrać galopem do domu. Stoi tam półbokiem w dżinsowym żakiecie od Calvina Kleina i w podkoszulce i patrzy przez ramię.

Cassie upuszcza butelkę szampana z miejscowej winnicy

- wybrała ją zresztą ze względu na cenę, nie na markę. Mężczyzna stojący tuż przed nią w kolejce podskakuje nerwowo i krzyczy „Cholera jasna!”, ale Cassie oszołomiona zdjęciem Nony, w ogóle go nie zauważa. Nona napastowana? Super szpieg? Jej ojciec?!

Ojciec Nony był solidnym biznesmenem w dwurzędowym garniturze. Umarł na chorobę wieńcową. Nona nieraz mówiła, jaki był elegancki. - Proszę pani, zbiła pani szampana za dwadzieścia pięć dolarów. Halo, proszę pani? - niecierpliwie się sprzedawca za ladą.

- Co? Och, przepraszam.

- Przepraszam! O, Panie! Ludzie już całkiem potracili głowy w te święta!

- Zapłacę.

- Dwadzieścia pięć plus podatek.

Cassie wyciąga pieniądze, odsuwa się na bok i wciąż roztrzęsiona czyta ten sensacyjny artykuł od deski do deski. Choć rozpoznaje tu i ówdzie znajome wątki, odkrywa nagle świat najzupełniej nieznany. To nie jest jej Nona. Nie może być! Nieważne zdjęcie, Boston, Adam przedsiębiorca, Marian, duży biały dom z kolumnami... Engels? Nona Engels? Toż to jakaś straszliwa pomyłka to brukowe opowiadanie, drukowane wielkimi wołami. Nona nie nazywa się Engels! Nigdy się tak nie nazywała. Nigdy! Przynajmniej w ciągu tych wszystkich lat, odkąd znają się z Cassie. Muszą odszczekać te brudne oszczerstwa, to „wykorzystywanie seksualne”. Cassie dławi się i nie słyszy kasjera, dopóki ten nie podnosi głosu:

- I jeszcze pięćdziesiąt centów za „Insidera”.

Adam Engels, amerykański szpieg. Cassie przypomina sobie coś mgliście, kiedy pożera wzrokiem opowieść o zdradzie tajemnicy za niemałą fortunę, o przyjaciółach ze świata polityki, o złych inwestycjach, handlowaniu informacjami, o wystawnym życiu pośród antyków, o kawiorze, butelkach z najstarszych winnic i o Rolls Royce'ach.

Engels był olśniewającym szpiegiem, nie takim smętnym jak Rosenbergowie czy pospolitym jak ostatnio Walkerowie. Engels

był lajdakiem, który zasiadał wysoko, kokietował szerokim uśmiechem, odnosił sukcesy jako biznesmen, udzielał się w zarządach rozmaitych organizacji charytatywnych, wydawał eleganckie przyjęcia i, jeśli wierzyć lubieżnemu reporterowi „Iside-ra”, uprawiał seks z własną córką.

»Wykorzystywał swe jedyne dziecko, by zaspokajać niezdrowe żądze. Engels zdeprawował dziewczynę słodką i piękną niczym delikatny kwiat. Nona Engels żyła jak w stuporze. Nawet jej narzeczony, uświadamiając sobie, jak strasznie ją wykołejono, nie mógł się zmusić, żeby ją poślubić. Choć kochał ją szczerze i nieraz mówił publicznie, że w niczym nie ustępowała Elizabeth Taylor, zerwał zaręczyny.

Któregoś wieczoru, podczas szykownego przyjęcia nakrył ojca z córką...”

Artykuł staje jej w gardle, ale Cassie siedzi już w samochodzie i pożera dosłownie każde słowo. Wszystko wydaje się nierzeczywiste niczym science fiction, ale przecież prawdziwe w znanych jej szczegółach.

Engels - dowiaduje się teraz - umarł w więzieniu. „Po prostu nagle umarł” - mówiła Nona. „Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Padł martwy na ziemię.”

Wewnątrz gazety zamieszczono kolejne zdjęcia Nony. Cassie nie ma już żadnych wątpliwości. Nona ostrożnie wchodząca na schody gmachu sądu federalnego. Nona przy samochodzie koło domu, który Cassie dobrze zna z opowiadań. I jeszcze jedna fotografia, jakby wyjęta z „Town and Country”: Nona i Adam Engels, przystojny i męski, stoją razem na łagodnie chylącym się zboczu, porośniętym gęstą murawą.

Adam Engels wygląda młodziej, niż to wynika z jego metryki i opasując kibić Nony ramieniem, przywołuje na myśl kochanka, a nie ojca. Co zresztą odpowiadało prawdzie, jak utrzymuje „Insider”.

- Nie będę mówił o tym, co widziałem. Powiem jedynie: „Bez komentarza!” - rzucił Simon Anderson, eks-narzeczony, w twarz reporterowi „Insidera”.

Kto to widział? Gdzie są aktorzy? Kto grał pierwsze skrzypce?

Widziałam Simona z jego najlepszym przyjacielem...

To jeszcze nie koniec

429

Cassie usiłuje przypomnieć sobie tego zbyt kochającego przyjaciela sprzed lat, ale bezskutecznie.

„Niewinny chłopak zobaczył nagle swoją ukochaną i Adama Engelsa - który miał się stać bohaterem niesławnego procesu - złączonych uściskiem w sypialni. Engels pieścił...”

Cassie robi się niedobrze; nie może czytać dalej. Styl tego reportażu jest mocno przesadny, wręcz parodystyczny, ale reporter zrećźnie opisuje szczegóły. Cassie widzi wyraziście całą scenę, odwrotność tej, którą opisała im Nona.

Jakie to podobne do Nony, żeby odwrócić kota ogonem, postawić wszystko na głowie. W jej wersji Simon był zdrajcą i to jego zachowanie było nie do przyjęcia.

Cassie nie ma jej tego za złe. To kłamstwo naznaczone jest bólem i krwią. Sama widuje w klinice młode dziewczęta, oszołomione, zdeorientowane... To Adama Engelsa i autora tych rewelacji należałoby powiesić za jaja. Cassie wraca na pierwszą stronę i w końcu odnajduje nazwisko dziennikarza, wypisane dumnie, jakby podpisywał prestiżowy artykuł w „Esquire”.

Nie zaskakuje jej to. Tak, teraz, jak się nad tym zastanawia, lodowaty błysk w oczach Fitzza zdradzał dużą złośliwość. To istny diabeł o przystojnej twarzy. Ze też go nie przejrzały! Zbyt wiecie zębów pokazywał w uśmiechu. I wykorzystał Nonę równie bezwzględnie jak jej ojciec.

Obie z Ewą zachęcały ją do związku z Fitzem, bo Fitz nie był żonaty. Po Alanie błyszczał niczym gwiazda. Stwarzał nadzieję. Nie obarczony prawnym związkiem z inną... Choć kto wie, może mieć jednak żonę — ba! — nawet dzieci. Bo to wiadomo? Teraz już nieważne. W świadzie innych grzechów Fitzza cudzołóstwo w ogóle się nie liczy. Tyle jest schematów postępowania, tabletek, syropów, płynów w aerozolu, najróżniejszej aparatury, drucików, rurek, ampulek, które znoszą fizyczne cierpienie, ale żadna recepta Cassie nic tutaj nie pomoże. Owszem, mogłaby wrzucić gazetę do kosza, pojechać do Nony jak gdyby nigdy nic i modlić się na przyszłość.

W pierwszej chwili postanawia nie dojechać na ten świąteczny ajerkoniak, *bowillabaisse*, sałatkę, malinowy tort, ale to tylko

przelotna myśl. Czy kiedykolwiek chowała głowę w piasek? Poza tym Mandy i Jake tam będą. Cassie patrzy na zegarek. Powinna się pospieszyć. W poprzednich latach zawsze była przed czasem i pomagała Nonie nakrywać do stołu. Nona uwielbia wykwintne gesty, serwete-czki pod ptifurkami, kolacyjne serwety złożone wymyślnie jak kwiaty. Plasterki cytryny przybiera gałązkami mięty. Mroziłaby kieliszki do szampana, gdyby jej zamrażalnik był większy.

W ten wigilijny wieczór Cassie wolałaby przejść na kolanach z pielgrzymką od Bedejem do Nazaretu, byleby tylko nie trafić na przyjęcie u Nony. Pocałunek, jakim obdarzy przyjaciółkę, będzie pocałunkiem Judasza. Jakże ona będzie teraz mogła rozmawiać o tym i owym, jeść, pić, wznosić toasty za zdrowie L pomyślność? Zdrajczyń!

Siedzi w aucie zaparkowanym naprzeciwko sklepu z alkoholem tak długo, że wreszcie do okna wystawowego podchodzi sprzedawca i bacznie się jej przygląda. Krzyczy coś całkiem nieświętecznego. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość - skąd ma wiedzieć, czy Cassie nie chce go napaść? Teraz już małe dzieci prowadzą rozboje, starsze panie i śliczne młode dziewczyny. Wygląd Cassie, jej jedwabny kostium, perłowy cień do powiek i brylantowe kolczyki nie są najmniejszą gwarancją.

Stykają się wzrokiem przez grubą szybę wystawy i Cassie czuje, że mężczyzna trzyma palec na spuście. Mnie gazetę. „Insider” to w końcu nie „Times” ani nawet „People”. Ani znajomi Cassie, ani Nony nigdy go nie czytują, najwyżej rzucają okiem w kolejce do kasy w jakimś supermarkecie. Skandaliczne plotki i nieprawdopodobne historie: TROJ-GŁOWY KARZEŁ GWAŁCI MATKĘ, SIEDMIOLATKA RODZI KOSMITEŃ!, TELEWIZYJNY POKAZ REINKARNACJI REMBRANDTA nie są w końcu w ich stylu. Nona i jej przyjaciele, teoretycznie mogliby nawet nie zauważyć SUPER SZPIEGA AMERYKI... Ja nie...

Sprzedawca przechodzi pod drzwi i staje w rozkroku zawodowego komandosa. Za chwilę ją pogoni. Cassie nie może już dłużej zwlekać.

25

Nie powiedziałam, że go nie lubię.

- A co, może go lubisz?

Nona cofa się dwa kroki od baru między pokojem i kuchnią, gdzie teraz stoją gotowe tace z zakąskami.

Mandy przyjechała wcześniej, może żeby pomóc, ale prawdopodobnie po to, by swobodnie pogadać.

- On nie jest dla niej. Wiesz, co mam na myśli.

- Bo to nie lekarz albo prawnik, jak twój ojciec? Mandy marszczy nos.

- Czuję w tym rasizm.

- Rasizm? — pyta Nona.

- Tak jakbym go miała nie lubić, bo nie ma forsy. A to nie o to chodzi. Pieniądze są bez znaczenia. O tym się nie mówi, nawet nie myśli.

Nona zastanawia się, czy też opowiadała kiedyś takie bzdury jako córka bardzo bogatych rodziców, wychowana w domu, w którym nikt nie wspominał nawet, że coś w ogóle kosztuje. Przypuszcza, że dzieci chowane pod kloszem - a Mandy z pewnością do nich należy - są więcej niż troszkę głupie.

- Wyjmijmy te faszerowane jajka z lodówki. Trzeba je ułożyć na półmisku.

- Tym długim szklanym? Na tym co w zeszłym roku?

- Pamiętasz? - Nonie sprawia to przyjemność.

- Dlaczego nie? Nie jestem ostatnim matolem - odpowiada cierpko Mandy. Podejrzewa, że przyjaciółki jej matki, Nona też, uważają, że ma zdrowego zajoba na punkcie chłopaków, makijażu, ciuchów, zabawy i prywatek. Kto wie, czy nie uznały już, że bierze narkotyki, czego wcale nie robi - owszem, czasami pali trawkę na prywatkach. Trawka jest równie powszechna jak piwo czy precle, i dla Mandy równie narkotyczna co tabletki aspiryny.

Mandy uważa się za osobę poważną. Tak, przyznaje, że są takie chwile, że gubi się w jakimś lesie i nie potrafi odróżnić jednego drzewa od drugiego, ale to zdarza się każdemu, kto trochę myśli. Gotowa przysiąc na wszystko, że strasznie jest czujna i wszystko łapie, ale w rzeczywistości niektóre informacje odbijają się od niej jak od ściany. Spokojna z natury, nieczupurna, nie należała do dzieci, które na każde „tak” od razu mówią „nie”. Dopiero od niedawna popadła w konflikt z matką, od czasu, gdy nastął Jake. Ale za nic na świecie nie przyzna się do tego. Fantazjuje o tym, że obie są na tonącym statku lub w płonącym domu i Cassie poucza ją, jak ma się ratować, ale Mandy nie słucha matki, robi wprost przeciwnie i ginie.

Ostatnio stwierdziła, że Cassie nie ma zielonego pojęcia, kim ona, Mandy, naprawdę jest. Ba, i nie ma nawet szans, żeby to odkryć. Dzieli się tym spostrzeżeniem z Noną.

- Więc skoro ja jestem dla niej czarną dziurą, jakim sposobem rozumie jego?

Nona nie widzi związku i chce czym prędzej zmienić temat. Czuje się nielojalna wobec Cassie, rozmawiając o niej z córką. Za jej młodych lat dorośli unikali wszelkich tematów, choćby troszeczkę tylko nieprzyjemnych. W każdym razie ci, których znała. Zwłaszcza Marian potrafiła odejść wpół zdania, jeśli Nona czymś ją zakłopotala. O pewnych sprawach po prostu się nie mówiło, były poza wszelką dyskusją - odgrodzone kolczastym drutem, jak terytorium wroga. Nona pamięta zamknięte drzwi. Widzi w lustrze zaróżowioną twarz Marian. Słyszy śmiech Adama, jakby ojciec wciąż żył w pokoju obok, a nie leżał od lat w zimnym grobie. Jej ciałem wstrząsa dreszcz. - Przecież to może być jakiś bandzior, morderca — ciągnie Mandy, nie pozwalając Jake'owi. Nona unosi głowę.

- Nie jest mordercą. I jeśli w końcu zaczniesz wymawiać jego imię, nie będzie to znakiem, że nagle zaczęłaś go lubić. Mandy kołysze się na piętach.

- Nabijasz się ze mnie.

- Nic podobnego. Ale to takie dziecinne, że ciągle mówisz „on” zamiast: „Jake”. Niechże już ma to swoje imię. Mandy nie ma zamiaru się wycofać, ale cóż, przed sobą ma Nonę, więc mięknie.

- Chyba masz rację. Chodzi o to, że wpelzł w nasze życie jak wąż.

- Co ci się tak bardzo w nim nie podoba? - Podaje Mandy tackę z serem i popycha ją w stronę pokoju.

- Nic w nim nie ma.

- Jest bardzo przystojny.

Mandy wraca, żeby wziąć półmisek z jajkami.

- Wcale tak nie uważam. Za każdym razem, jak go widzę, jest nie ogolony.

- Wielu mężczyzn nosi zarost. - Nona niesie za nią gęsty sos majonezowy.

- Dlaczego on się nie goli?

- Daj spokój! Nie dlatego go nie lubisz, że ma brodę.

- Nie lubisz, to za dużo powiedziane. - Mandy wzrusza ramionami.

- Już przestań się nad tym rozwodzić i policz kieliszki. - Nona delikatnie dotyka ramienia Mandy chcąc ją ułagodzić. Mandy protestuje, ale Nona zostawia ją przy barku i idzie do toalety szybko sprawdzić makijaż. Utyka gdzie trzeba jakiś niesforny kosmyk, wygładza upartą zmarszczkę wokół ust i wreszcie zadowolona wraca do kuchni. Tajemnicą jej corocznych udanych przyjęć jest nadmiar jedzenia, które Nona - z wyjątkiem jajek - kupuje w najlepszych restauracjach na Beverly Hills. Zawsze zostaje jej tyle resztek, że z powodzeniem wykarmilaby kolejną grupę gości. U Marian - pamięta Nona - stoły wprost uginały się pod półmiskami. - Którego to wspaniałego adoratora zaprosiłaś na wieczór? Nona szybko odwraca się w bok.

- Ale mnie przestraszyłaś!

- Nie chciałam - mówi Mandy.

- Nie słyszałam cię wcale.

- No tak, bo kto to słyszał, żeby mieć dywan w kuchni?

- Najnowsza moda - broni się Nona.

- To musi być pomysł Ewy.

- Nie. Ewie strasznie się nie podoba.

Mandy jest niestała w uczuciach wobec Ewy, choć od czasu operacji nie napada na nią specjalnie i okazuje jej zdecydowanie mniej niechęci. Prądy upodobań i wrogości Mandy są tak przypadkowe i zmienne, że gdyby nie dotyczyły też Jake'a, nie warto by w ogóle na nie zważać. Nieoczekiwanie jakiś nagły podmuch wiatru gruntownie zmienia jej nastawienie. Nona myśli o Cassie i ma nadzieję, że tak też będzie i z Jake'em

- po burzy przyjdzie pogoda, ale instynktownie czuje, że to nieprawda. - No więc, kto to taki?

- Kto?

- Ten twój wspaniały mężczyzna, który tu dziś będzie. Mandy wyobraża sobie, że życie Nony jest jakby wycięte

wprost z *Dynastii*. I jeśli nawet Nona nie zasiada na Olimpie pośród największych gwiazd Hollywoodu i wielkich magnatów,

to w każdym razie jest niemalże tuż obok. Nona nigdy nie miała serca, żeby rozwiać te iluzje.

— Dzisiaj będę sama.

— Przecież mama mówiła mi, że masz teraz kogoś, kto jest twoją wielką miłością.

— „Mam” to za dużo powiedziane. — Nona wzrusza ramionami, zaciska zęby i postanawia, że się nie rozbeczy. Te dwadzieścia lat różnicy, jakie je dzielą, i fakt, że jest czymś pośrednim między matką Mandy a jej przyjaciółką, nie pozwalają się Nonie rozkleić. Wyobraża sobie, jakby to było, gdyby nagle jedna z koleżanek Marian zaczęła sobie drzeć włosy z głowy i histeryzować z powodu zawiedzionej miłości - Nona na pewno chciałaby uciec i schować się, choćby pod stołem.

Dzwonek u drzwi stwarza okazję, by zbyć pytanie Mandy uśmiechem. Nona pędzi do pierwszych gości i przyjmując kolorowo zapakowane prezenty, przypomina sobie, że mimo fatalnego samopoczucia postanowiła cieszyć się wieczorem. Kolejne Boże Narodzenie bez męża i dzieci, i bez kochanka, w którego ciepło mogłaby się wtulić. Gniew ją roznosi. Cassie czuje nerwowe mrowienie w kręgosłupie, gdy rusza spod sklepu i ucieka przed sprzedawcą o zmrużonych oczach, którego złość jest prawie namacalna. Jedzie przed siebie bez celu. Niekoniecznie w kierunku mieszkania Nony, ale też i nie w przeciwnym kierunku. Krąży. Właśnie, krąży wokół własnego gniewu i bólu.

Naturalnie jest wściekła na Fitza, Jamesa Fitzgeralda o szerokim uśmiechu Hucka Finna, czarującym sposobie bycia — jak mawia kompletnie niewiarygodna Nona - i o zmierzwionej czuprynie. Jakże mu zależało! Jak słuchał w napięciu, przekrzywiając głowę!

Jasne, że słuchał. Najpierw zadawał niewinne pytania, potem pewnie ją spił i wyrwał jej z gardła przeszłość. Używał kleszczy i rozdarł ciało.

Pewnie, że inni też wykorzystywali Nonę, zostawiali odciski butów na jej plecach, tłamsili serce jak szmatę do podłogi i zachowywali się ze wszech miar skandalicznie, jak tylko mężczyźni potrafią obchodzić się z kobietą, która jest w ich

życiu wyłącznie przygodą. Nona jest urodzoną idiotką, pięknoscią, która nie umie przeciwstawić się nadużywaniu jej ciała i dobrego serca, ale o ile Cassie wiadomo, żaden facet dotychczas nie rozłupał jej jeszcze od czubka głowy aż po same pięty.

Cassie zatrzymuje się na światłach. Jakaś ciemna postać przechodzi przez ulicę, niemal ocierając się o przedni zderzak. Gdyby to był Fitz, bez najmniejszych skrupułów wdusiła-by gaz.

Ale nie tylko Fitz rozpała ją do białej gorączki. Jest także wściekła na Nonę. Za to, że padła ofiarą mężczyzny, którego jedynym celem było zdobycie pikantnej historii. I jeszcze za to, że akurat na nią padło to odkrycie. Tak samo miała ochotę wyczytać te rewelacje z brukowca, jak stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Teraz już musi pokazać Nonie tego szmatławca, „Insidera”. Po prostu musi.

Goście zaczynają się pewnie zjeżdżać. Może Mandy siedzi już u Nony? Jeśli Jake przyjedzie, a Cassie nie będzie, na pewno zaszyje się gdzieś w ciemnym kącie. Jej znajomi krepują go bardzo. „Jestem nieodpowiednim facetem w nieodpowiednim miejscu” - tak mówi. Będzie miała dużo szczęścia, jeśli Jake w ogóle przyjedzie. Cassie nienawidzi kłamstwa, nie znosi fabrykowania wykrętów w rodzaju nagłej grypy czy zepsutego samochodu.

Jej złość sama się coraz bardziej nakręca. Czuje, że ogarnia ją furia na Jake'a, Mandy, nawet Ewę. Dlaczego to nie im wpadł w ręce ten brukowiec? Dlaczego to zawsze ona musi nieść ludziom złe wiadomości?

Kiedy pierwszy raz miała poinformować o śmierci czekającą na wyrok rodzinę pacjenta, myślała, że nigdy tego nie zrobi. Nie mogła znieść myśli, że będzie mówić słowa, których bezsilni ludzie nie będą chcieli słyszeć. *Nie mogę być posłanką, która przynosi najgorszą w świecie wiadomość.*

Ale nie mogła się od tego wyłgać, bo wiedziała, że jest kobietą i ma swoje chwile słabości. Musiała nieść ciężar obowiązków zawodowych na równi ze swymi kolegami. Musiała udowodnić innym, w tym chirurgowi, który operował chłopca po nieszczęśliwym wypadku na terenie szkoły — chłopak wypadł w czasie

To jeszcze nie koniec

434

zabawy z pierwszego piętra budynku - że jest w stanie powiedzieć: „Przepraszam, syn państwa niestety od nas odszedł”.

Nie zdejmując fartucha i maski, która wciąż dyndała jej u szyi, wyszła na korytarz, gdzie miała spotkać się z obcymi, tonącymi we łzach, ludźmi.

Boże, chyba oszalałam! - myślała. - Umarł, odszedł, straciliśmy go, nie odzyskał przytomności. - Wszystkie słowa, które przychodziły jej do głowy, natychmiast więzły w gardle.

Wydusiła tylko: „Tak mi przykro” Przykro! Mój Boże! Zupełnie jakby to przykro zmieniało „lewo” w „prawo”. I jakby miało dla nich choćby najmniejsze znaczenie.

Nawet dziś, kiedy to wspomina, każda chwila przesuwa się przed jej oczami jak na zwolnionym filmie.

Późne popołudnie, pora odwiedzin. Szpital szumiał gwarem. Odwiedzający wnosili ze sobą fragmenty zewnętrznego świata - czasopisma, kwiaty - kryjąc za nimi własną radość i zdrowie przed chorymi.

Hall przy sali operacyjnej, gdzie rodziny czekały na wynik operacji promieniał jasnym pomarańczem i żółcienią. Na podłodze leżało blade, niemal białe linoleum. Administrator szpitala - optymista - uznał, że w ciepłym, pogodnym wnętrzu czas płynie milej i szybciej.

Matka i ojciec, starszawi rodzice chłopca - którego ciało wieziono już pod prześcieradłem bocznym korytarzem do windy towarowej na dół, by złożyć je w podziemnej kostnicy

- trzymali się za ręce jak młodociani kochankowie. Ściskali się nawzajem, nie zauważając ani reprodukcji obrazów Utrilla na ścianach - stromych, brukowanych kocimi łbami uliczek, surowych wiejskich murków - ani też nieskromnego przepychu światła za oknem. Stali, śmiertelnie przerażeni, wpatrzeni w Cassie człapiącą korytarzem w papierowych botkach.

Nie było w nich nic godnego uwagi. Mężczyzna miał na sobie jakiś zwyczajny brązowy garnitur, podobny do tych, jakie nosił ojciec Cassie, kobieta - pognieciony, fioletowy kostium. Byli zwyczajnymi ludźmi, którzy bez tchu czekali na Cassie - ona im miała obwieścić, że właśnie przed chwilą ich życie się zaważyło. Obiecywała sobie, że nie będzie robić uników, zrezygnuje

z półśrodków i nie odwróci wzroku, żeby nie widzieć przeszywającego bólu w oczach nieszczęsnych rodziców. Spojrzy im prosto w twarz. Ale potem spostrzegła, jak ostrożnie przesuwają się na brzeg plastikowych krzeseł i wolniutko wstają. Wystraszyła się tej powolności. Cóż to za arogancja - myśleć, że uda jej się brutalnie wyrwać im syna z ramion? Póki milczała, dla nich jeszcze żył. Mógł dojść do siebie, może poharatany, ale ciągle żywy. Z chwilą, gdy powie im, że odszedł, nadzieje rozwieją się i tych dwoje w jednej chwili przeistoczy się z przerażonych rodziców w zrozpaczonych żalobników.

Przy pasku kostiumu matki widniała czerwonopurpurowa plama. Ojciec rozluźnił pasiasty krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli. Buty miał podniszczone, bez połysku. Tyle lat minęło, a ona nadal pamięta szczegóły. Wierna pamięć nie omieszkała zrobić zdjęć, których Cassie chciałaby nigdy nie oglądać.

A tymczasem - i tak już miało być w czasie jej całej praktyki zawodowej - wystarczyło tylko, że powiedziała „Tak mi przykro...”, by ojciec zaczął potrząsać głową, a matka, wyniesiona wysoko bólem, poszybowała w przestworza na krzyku.

„Tak mi przykro” - powiedziała Cassie wtedy pierwszy raz, a kiedy matka opadła na krzesło, czym prędzej dorzuciła w panice: „Robiliśmy, co w naszej mocy”.

Choć teraz nie bywa już aż tak sparaliżowana w obliczu tragedii i ludzkiej rozpacz, nie może przecież, po prostu nie może pokazać Nonie „Insidera” i wyrzucić z siebie nic nie znaczących frazesów w rodzaju:

„Przykro mi” czy „Cóż, prawda wyszła na jaw”. Tylko co ma powiedzieć?

Zagubiona w myślach, zbacza z pasa i przejeżdża linię ciągłą, niemal wpadając na nadjeżdżającego Cadillaca. Jazgot klaksonów sprowadza ją na ziemię. O mały włos spowodowałaby wypadek; ręce jej drżą jak galareta, więc postanawia zatrzymać się przy jakiejś bramie. Siedzi przez chwilę ciężko dysząc, aż wreszcie głośno mówi: „Mam dość bycia dorosłą”.

„Weź się w garść, Cassie” - słyszała od znajomych, kiedy Doug odszedł jak dziecko, które znudziło się starą zabawką. Nie został w domu ze względu na zobowiązania wobec niej i Man-dy, na składane przysięgi, nie zważał na to, że była mu dobrą

żoną i przyjacielem. Odszedł, bo wybrał długie mocne nogi, pełne usta i piersi jak brzoskwinie.

Doug nawet przez chwilę nie zastanawiałby się, tylko by wrzucił „Insidera” do kosza i poszedł do Nony jak gdyby nigdy nic. Bo to nie jego zmartwienie. Albo inaczej. Wpadłby do Nony i już od progu by krzyczał: „Hej, Nona, czy to prawda, że twój ojciec był szpiegiem?” Chciałby usłyszeć jak najwięcej szczegółów... Ale nawet on nie zadałby jej pytania: „Naprawdę chodziłaś z nim do łóżka?”

Kiedy Cassie trafia w końcu na przyjęcie u Nony, wszystko jest już w połowie zjedzone. Mandy wychodzi do drzwi i wita ją z uniesionymi brwiami; w jej oczach widać niepokój, choć roztrzęsiona Cassie tego nie zauważa.

- Gdzieś ty była? - pyta Mandy.

- Miałam różne sprawy. Z tyłu stoi Jake.

- Chciałem już dać chodu. - Cassie od lat nie słyszała tego wyrażenia. Anachronizm tego „dać chodu” rozsierdza ją jeszcze bardziej.

- Trzeba było zadzwonić - upomina ją Mandy, biorąc ją pod prawe ramię.

- Nie mogłam.

- Powinnaś mieć telefon w samochodzie. Pewnie jesteś ostatnią lekarką w Los Angeles, która jeszcze go nie ma. - Ona ma rację - przytakuje Jake, jakby ktokolwiek pytał go o zdanie.

Choć raz Mandy i Jake tworzą wspólny front, ale Cassie nie ma ochoty dyskutować z nimi o telefonach.

- Dobrze mi zrobi kieliszek wina - mówi i idzie do pokoju.

- Mamo, dziwnie się zachowujesz. - Mandy depta matce po piętach. — I gdzie jest ten szampan, który miałaś przynieść?

Jake poszedł do barku po wino. Cassie wychyla kieliszek do dna. Jake spodziewał się, że Cassie spokojnie usiądzie koło niego, ale ona opada na sofę obok Ewy, ściska przyjaciółkę za ramię i szepcze:

- Musimy pogadać.

- Pogadać?

Diana Silber

- W cztery oczy.

Cassie wymyka się do łazienki jak dziecko. Łzy napływają jej do oczu, tusz do rzęs szczypie. Zjadła prawie całą szminkę z dolnej wargi i brzegi górnych jedynek zabarwione są „Różową namiętnością”.

Kiedy już bezpiecznie zamknęły za sobą drzwi na klucz i Ewa siada na wannie, Cassie wyciąga z torebki wymiętą gazetę.

- Co to wszystko znaczy? Cóż to za tajemnice?

- Nic nie wiesz. Masz, czytaj.

Nagłówek i duża fotografia Nony wyciskają Ewie z ust przekleństwo: „Jasna cholera!” Cassie obgryza paznokiec kciuka, gdy tymczasem Ewa czyta wszystko po kolei. Skończyła. Kipi wściekłością.

- Po cholere mi to pokazałaś?

- Dziękuję bardzo. Bardzo mi pomagasz.

- O Boże! - Ewa upuszcza gazetę na podłogę i chowa twarz w dłoniach. — To ją zabije.

- Zawsze tak wszyscy mówią, jak nie mają oryginalnych pomysłów. Zabije ją! Wcale jej nie zabije! Ludzie nie padają tak łatwo. W każdym razie nie od złych wiadomości czy rewelacji sprzed dwudziestu lat, które nagle znowu ujrzały światło dzienne na półce w supermarkecie! Ludzie są bardziej odporni. Zwłaszcza kobiety. - Zgoda, o ile nie przebierze się miarka. Jak było z tą twoją April - przypomina Ewa.

- To co innego.

- Moim zdaniem, Nona ma też dość powodów, żeby wydziobać wątrobę słodkiemu Fitzowi. Uroczy, jak wódz Attyła! Kutas jeden!

- Bomba, Ewa! To ci dopiero pomoc! Posiedzimy tu sobie troszkę i obsmarujemy Fitza - piszczy Cassie.

- Nie czepiaj się mnie! To nie moja wina, że to gówno trafiło do gazet.

- Dlaczego nigdy nam o tym nie mówiła? - Cassie nabiera w dłoń letnią wodę z kranu i pije, żalując, że nie wzięła ze sobą kieliszka wina. Ewa zapala papierosa. - Teraz mnie jeszcze otrujesz.

- Nie przejdę przez to bez papierosa - broni się Ewa.

To jeszcze nie koniec

441

- Znowu wpadłaś w nałóg.

- Przestań mi prawić kazania. Nie wpadłam w żaden nałóg. Cassie wzrusza ramionami.

- Nie możemy tu siedzieć całą noc i sprzeczać się o twoje palenie. Musimy coś zrobić. Trzeba przygotować Nonę na to, co zobaczy na półkach jutro rano. Dziwię się, że nikt tutaj nie wymachuje jeszcze „Insiderem”. - Może nikt nic nie powie.

- Głupia jesteś!

- A ty niemożliwa!

Stoją i krzyczą na siebie. Cassie dostrzega w lustrze czyjąś obcą, rozindyczoną twarz i dopiero po chwili orientuje się, że to jej własna.

- Nie podoba mi się to wszystko — mówi odwracając głowę od lustra. - Nie mam siły. Mam dość martwienia się i niańcze-nia ludzi. Dość tego wiecznego kombinowania, gdzie przyłożyć plaster. Jestem ginekologiem-położnikiem, a nie psychiatrą. Zajmuję się tylko fizycznościami. Ha, ale to mało! Poczciwa stara Cassie musi chuchać na rany. Musi być zawsze spokojna. Zaufaj Cassie! Ona to wszystko załatwi. Mam tak dosyć... Ewa klaszcze w dłonie; papieros podskakuje jej w ustach, gdy rzuca: - Nareszcie!

Nona łomocze w drzwi i woła:

- Co się tam z wami dzieje?

To najgorsze Boże Narodzenie w życiu - szare jak pogrzeb, mimo słońca na niebie. Bardziej ponure i nieszczęśliwe niż to pierwsze po odejściu Douga. Wszystko odbywa się zgodnie z tradycją, jak Pan Bóg przykazał. Mandy, jak zwykle, wstaje rano pierwsza i pędzi na dół do prezentów pod zieloną choinką. Tak, w tym momencie szalenie jest dorosła i samodzielna! *Mamo, nie jestem już dzieckiem.* W dniu Bożego Narodzenia oczekuje dziecięcych przyjemności i bezpieczeństwa, które wynika z ustalonej kolejności zdarzeń, następujących po sobie jak padające kostki domina. Wszelka zmiana byłaby zagrożeniem, zwłaszcza od czasów, kiedy w wygodnym fotelu przy oknie zabrakło nagle ojca w szlafroku, popijającego kawę.

Zwłaszcza, w te święta żadna zmiana nie może wkroczyć do domu przez drzwi ustrojone girlandą sosnowych szyszek. To znaczy, że nie będą wraz z Jake'em siedzieć po turecku na podłodze i wspólnie otwierać prezentów. Wystarczy już przyjęcie u Nony i odświętna kolacja u Levinsonów, Ewy czy jeszcze innych znajomych, z którymi Cassie i Mandy nigdy nie obchodziły świąt. Można się jeszcze ewentualnie dogadać w sprawie uroczystej kolacji, pod warunkiem, że znajdą się na niej pieczona szynka i paszteciki z mięsem, ale od chwili, kiedy wróciły z wigilijnego przyjęcia u Nony, do następnego wieczoru wszystko musi być tak jak zawsze. Tak samo jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i wierzyła, że święty Mikołaj wejdzie do domu przez komin. Jak zawsze w wigilijną noc wysoko podciąga koldrę, choć już nie zostawia mu na półce nad kominkiem słodyczy ani mleka. Tak samo jak dawniej kładzie się do łóżka i śni słodkie sny o niespodziankach pod drzewkiem, nie mogąc się wprost doczekać dreszczu emocji, który towarzyszy rozwijaniu szeleszczącego papieru, zdejmowaniu wstążek, zagłądaniu w tajemnicze pudełka, rozwijaniu prezentów z bibułki. Ręcznie dziergana skarpeta wisi między ceglami przy kominku i czeka na słodkości, gumę do żucia, ołówki, notesiki, temperówki w kształcie hot-dogów czy hamburgerów, małeńkie buteleczki z perfumami, szminki, cienie do powiek, bawełniane apaszki, skarpetki frotowe, wążutkie kostiumy bikini, nakręcane, cmokające usteczka i miniaturowego Snoopy'ego z gumy.

Mandy co roku siada na kanapie i przed wyjęciem paczek spod choinki wysypuje drobiazgi ze skarpety. Jedna, najwyżej dwie są przeznaczone dla Cassie, reszta przygotowana jest dla Mandy.

Oczywiście Cassie wie, że mocno przesadza, ale w święta nie umie się powstrzymać.

Pod tym względem ten rok też nie jest wyjątkiem. Od czasu rozvodu Cassie za wszelką cenę chce uszczęśliwić Mandy. Ale nie czuje triumfu, słysząc radosne okrzyki Mandy. Co chwilę wraca myślą do wydarzeń sprzed dwunastu godzin.

Do Nony, jej zdjęć i krzyczącego nagłówka, kiedy bezradne i nieszczęśliwe patrzyły na zszarzałą, kościstą kobietę o obwisłej

skórce. Miała woskową twarz, na tle której jasnoczerwone usta wyglądały wulgarnie. Tam, w łazience, między Ewą i Cassie, nagle przestała być pięknnością - nie była nawet atrakcyjna.

- Takie bzdury!

- Co za świństwo!

- Możesz ich podać do sądu!

- I sporo wygrać!

Nie umiały powstrzymać się od uwag. Walczyły z milczeniem Nony, usta się im nie zamykały, dziamgoliły bez końca - jak obie później przyznały, niczym głupie flądry.

Ewa dotknęła jej lodowatej dłoni, która zmroziła ją do szpiku kości. Cassie objęła ją ramieniem, ale Nona stała sztywna, jak odlana z betonu.

Spodziewały się jęków i szlochów. Nawet tego, że Nona walnie pięścią w lustro. Cassie gotowa była w każdej chwili wybiec do samochodu po apteczkę pierwszej pomocy. Miała nadzieję, że stanie się coś, czemu ona jako lekarz będzie umiała zaradzić. Medyczne zabiegi pomogłyby Nonie jakoś się wyzbierać; tymczasem Nona zapadła w milczenie, cofnęła się w głąb siebie. Skurczyła się i choć popadła w stan bliski katatonii, spływała potem.

- Nie musimy o tym mówić. - Ewa spuściła głowę. Cassie wytarła spocone dłonie o uda.

- Nie będziemy. Nie tylko dziś, ale w ogóle, jeśli tak będziesz chciała...

Nona nie odpowiadała. Nachyliła się nad umywalką z rozpostartą gazetą. Powoli czytała każde słowo opowieści o sobie, o swojej przeszłości, która dzięki Fitzowi stała się wszystkim znana.

- Chodzi nam tylko o ciebie - zapewniała Cassie, jakby mogła zaleczyć ranę obietnicą. Gdybyż istniał taki proces, dzięki któremu można by usunąć to i owo z pamięci.

- Zrobimy tak, jak tobie będzie odpowiadało - mówi Ewa unikając odbicia własnej twarzy w lustrze.

Skupiona, wpatruje się w Nonę, gotowa w każdej chwili podtrzymać ją, gdyby się zachwiała.

Nona milczy uparcie, jakby straciła głos, jakby straciła też zdolność myślenia.

Ewa trąca Cassie.

- Daj jej jakiś zastrzyk.

- Jaki zastrzyk? Chyba nie uspokajający. - Jakikolwiek środek uspokajający zabilby Nonę od razu.

- Jakiś magiczny napój. W końcu to ty jesteś lekarką.

- Nie będziemy się teraz klócić — odpowiada Cassie, zdecydowana nie popaść w koleinę niezgody, co robią zawsze, kiedy są zdenerwowane i w stresie.

- Wygońmy wszystkich do domu. Koniec przyjęcia. Ona nie może teraz do nich iść, a my też nie jesteśmy w nastroju. Cassie miała aż nadto tego ucztowania. Już samo przejście od drzwi wejściowych do łazienki wystarczyło, by chciała wrócić do siebie.

Pod drzwiami i przez dziurkę od klucza sączyły się dźwięki *Adeste Fidelis* śpiewanej rozchwianymi, przesiąkniętymi winem głosami. Beztroska radość zebranych gości spadła na Cassie niczym lawina brudnej ziemi. - Chcesz, żebyśmy powiedziały, że nagle się rozchorowałaś?

- Tak - wydusiła Nona. Uśmiechnęły się, słysząc jej głos; dawał im nadzieję.

- Nie przejmuj się tym świńskim artykułem. Dzisiaj sensacja dnia, jutro wymościsz już kubły od śmieci. Poza tym, kto czyta takie gówno? Tylko jakieś półgłówki. Nikt z naszych znajomych — powiedziała Ewa, jakby zapominając o tym, że to przecież Cassie przyniosła „Insidera”. - Ewa ma rację. Nikt z twoich znajomych nie weźmie tego do ręki - przysięgała Cassie, chcąc oszukać samą siebie, udawać; skłonna zapalić świeczki przed każdym bóstwem, byle tylko ulżyć Nonie w cierpieniu. - Poza tym na tym zdjęciu niewiele widać. To możesz być równie dobrze ty jak i ja na przykład. I tysiące innych kobiet. Chuchały na nią, dmuchały, żeby ją tylko pocieszyć, skłonne wszystko postawić na głowie. I ani razu nie zapytały o Adama Engelsa. I chociaż przecież obie były strasznie ciekawe, nie postawiły ani jednego pytania. Złowieszczy urok szpiegostwa, nieprzebrane miliony dolarów, proces w sądzie federalnym, więzienie - upadek, po którym wielki świat odwrócił się od Engelsa. To wszystko rzeczywiście miało miejsce, zdarzyło się naprawdę, w do-

datku jednej z nich. Niewiarygodne — powie Cassie nie raz — lecz dobrych kilka razy, niewiarygodne, że to właśnie przytrafiło się Nonie, a nie jakiejś postaci z telewizyjnego serialu.

Jeśli zaś idzie o „zblżenia seksualne”, które Fitz odmalował z niekłamanym talentem, zgodnie zdecydowały, że nigdy nie będą ich dociekać. Zgodziły się, że o tym nie muszą wiedzieć. Naturalnie różne rzeczy dzieją się na świecie. Ale po co o tym mówić? Bodaj nawet myśleć?

Ewa i Cassie, stłoczone w łazience, trącając się łokciami i biodrami - traktowały się zresztą z niezwykle delikatnością, jakby je wypalono z kruchej porcelany - obawiały się, że Nona to właśnie zrobiła. Ale w tamtej chwili, idealnie odgadując wzajemne uczucia, wiedziały, że Nona musi nabrać dystansu do swojej przeszłości i faktu, że wraz z jej zdjęciem historia jej młodości będzie krążyć po kraju. Gorąco ją namawiały, żeby raz na zawsze pochowała przeszłość i wystawiła nagrobek. Dziś zawierucha, ;jutro znowu zaświeci dla niej słońce. Zakłopotane, że wiedzą aż tyle, wstydziły się swoich reakcji.

Nona nie uroniła ani jednej łzy, lecz Ewa ofiarowała jej chusteczkę, gdy Cassie wyszła z łazienki, żeby odprawić gości. - Nona źle się czuje. Dopadła ją grypa, która ją rozkładała od rana. Wysyłam ją prosto do łóżka. - Odświętnie ubranej Cassie, która nerwowo przebiera palcami wokół szyi, jakby szukała słuchawek, udało się w końcu przekonać gości i wypchnąć wszystkich do domów. Wyrazili swoje ubolewanie i cichutko na palcach, niczym elfy świętego Mikołaja, wyszli z pokoju.

Cassie odprowadziła ich do drzwi. W tym Mandy i Jake'a. Oboje chcieli z nią zostać. Cmoknęła ich w policzki, podziękowała za pomoc i obiecała, że niedługo wróci.

Mimo wysiłków Cassie jakiś cień przysłania ten świąteczny poranek. Mandy nie rozumie, co wisi w powietrzu i dlaczego na ustach matki gaśnie uśmiech, ilekroć sądzi, że ona nie patrzy. Dlaczego jest tak nienaturalnie radosna?

Po rozpakowaniu prezentów i głośnych zachwytach — jak przystało na taką okazję — siadają do śniadania w jadalni, żeby uroczyściej zjeść jajka na bekonie. Cassie zapewnia Mandy, że ten różowy rozpinany sweter, który od niej dostała, jest po

prostu cudowny i znakomicie będzie jej pasował do białej układanej spódnicy. Mandy głośno podziwia złotą bransoletkę, którą już ma na rękę, i obiecuje, że natychmiast po śniadaniu przymierzy nowe dżinsy. Wysilek, jaki wkładają w poprawienie atmosfery, jakoś się jednak oplaca, bo przez chwilę są tylko dwiema kobietami - właściwie dziewczynami, obgadującymi miłe drobiazgi - a nie matką i córką. Napięcie wynikające z konieczności trwania w związku opartym na pokrewieństwie mija i obie w spokoju popijają kawę. Cassie napomyka o wczesnej kolacji u Levinsonów, o czwartej po południu, poprzedzonej jakimiś napitkami. Mandy nie musi przychodzić wcześniej, jeśli nie chce.

- Jake też tam będzie?

Cassie przesuwa koszyczek jagodzianek w stronę Mandy. Kupiła je w sklepie zamiast upiec własnoręcznie i teraz czuje wyrzuty sumienia. Nie chciałaby, żeby Mandy głodziła się w święta.

- Są zupełnie niezłe, jak na kupne drożdżówki.

- Mamo!

- Naprawdę dobre.

- Unikasz odpowiedzi - Mandy przygląda się jej uważnie, tak jak zazwyczaj rodzice patrzą na kręcące dzieci.

- Jake został zaproszony. - Cassie wzdycha i znowu ogarnia ją poczucie winy, podobnie jak przy bułeczkach. - Dlaczego?

- Nie wygłupiaj się, Mandy. Dobrze wiesz, dlaczego. Bo chcę, żeby tam ze mną był. Bo Jake i ja...

- Nie zaczynaj wszystkiego od początku, mamo. Nie chcę już słyszeć tych bzdur o związku dwojga ludzi i o uczuciu. Jeśli jeszcze raz powiesz, że jesteś zaangażowana, chyba naprawdę strzele pawia.

Cassie płonie rumieńcem.

- Kiedy to prawda! Jestem zaangażowana.

- Och, mamo. Zachowujesz się jak kobieta samotna. Zupełnie jak Nona i Ewa.

- Bo jestem samotna! Nie jestem mężatką. Jestem kobietą rozwiedzioną. Mężatką, owszem, byłam, jakiś czas temu. O czym ty właściwie mówisz?

- Jesteś moją matką! - Mandy wpatruje się w nią i jej dezaprobata jest tak silna, że niemal odpycha Cassie od stołu razem z krzesłem. Mandy wypchnęłaby ją przez okno, na drugą stronę ulicy, wysłała wysoko pod niebo. Tak, przeniosłaby Cassie zupełnie gdzie indziej, bo teraz widzi w niej jakieś zupełnie obce dziwadło.

- Wiesz, Mandy, oddychałam i żyłam już na długo przedtem, nim urodziłam ciebie. I poza tym, że jestem twoją matką, mam przy okazji kilka innych ról do spełnienia. Na przykład jestem lekarką. Jestem również człowiekiem, przyjaciółką, obywatelką tego kraju, podamiczką i kobietą związaną z mężczyzną, na którym mi zależy. - Och, Boże - myśli Cassie. Dlaczego ktoś nie zatka mi szybko gęby? Ale nie może się powstrzymać, choć Mandy zasłania sobie uszy. - Naturalnie jestem też twoją matką. I to jest na pierwszym miejscu. Ale to przecież nie wszystko. Tak, jeszcze ją trochę podręcz, ty kretynko. Załatw jej ten świąteczny dzień - mityguje się Cassie w myślach. Jednak gniew nagromadzony od wczoraj zwycięża. — Jestem żywą istotą! — krzyczy. Mandy zostaje siłą wciągnięta do ekskluzywnego klubu ludzi, na których Cassie jest wściekła. Jak na złość, Mandy, którą najbardziej ze wszystkich chce chronić i oszczędzić, jest też jedyną osobą, przy której Cassie może bezpiecznie stracić panowanie nad sobą. Żeby nie wiadomo co, Mandy zawsze jest blisko, zupełnie jakby wciąż łączyła je pępowina. Mandy jej nie zostawi. Jasne, że może wybiec do swojego pokoju, uciec do Douga, spakować manatki i odjechać w siną dal - tak przynajmniej wynika z policyjnych statystyk — ale wszelka wrogość między nimi jest sztuczna. Cassie zawsze będzie jej matką i nawet gdyby miały zamienić tylko trzy słowa w roku - choć to wydaje się Cassie zupełnie niemożliwe - to Mandy pozostanie jej córką. Biologia - jak powiedziałaby Ewa - chociaż mówiąc to, Ewa ma całkiem coś innego na myśli.

A więc, kiedy Cassie wybucha, kiedy mówi: „Kocham cię, ale mam również swoje prawa”, kiedy Mandy przewraca krzesło i wybiega z jadalni, jest to tylko chwilowy koniec świata.

Johnny poleciał do Nowego Meksyku, do syna, na tydzień między świętami Bożego Narodzenia a Nowym Rokiem. Czas minął im szybko - i to jeszcze jak! - na wycieczkach po wymarłych miasteczkach.

To wszystko jest dzisiaj dużo warte - opowiada Ewie po powrocie. - Artystyczne, wymyślne; mnóstwo tam małych sklepików ze świecami, domowymi słodyczami, ręcznie robionymi kowbojskimi ubraniami i butami. - Podnosi nogę, żeby jej pokazać. - Tamtejsi rzemieślnicy zapatrzeni są w tradycję kowbojską i zachody słońca. Wszyscy mieszkańcy tego rejonu chodzą w dżinsach i zamszowych kurtkach z frędzlami, w kracias-

tych koszulach z bawełny lub perkalu. Zabawny sposób zarabiania pieniędzy, ożywianie przeszłości. - Johnny wybucha śmiechem. Nie mógł się wprost nacieszyć starymi, drewnianymi chodnikami.

- No i ludzie za wszelką cenę pragną się wzbogacić - zauważa Ewa. — Zdobyć choć kawałek ziemi, najgorszego ugoru. Pamiętam, że jak byłam mała, jakiś czas mieszkał z nami pradziadek. Nie miał już wtedy swojego domu i krążył między moją matką a jej czterema braćmi. Troszkę tu, troszkę tam. Miesiąc spędzał u nas, po świętach jechał do Salem, później na Rhode Island na kilka tygodni. W każdym razie, kiedy był u nas, spał w pracowni, gdzie mama zazwyczaj szyla. Tak naprawdę była to oszklona weranda na piętrze. Na parapecie koło łóżka, tuż obok szklanki ze sztuczną szczęką, stał zawsze niewielki słoiczek z ziemią. Zwykła bura ziemia, którą, przyjeżdżając tu na przelomie stuleci, wywiózł ze swego kraju, ze wsi o nazwie ućkanej spółgłoskami. Zawsze mówił, że nawet jeśli nigdy tam nie wróci, ma przecież swój dom ze sobą.

- Ty też masz naczynko z ziemią z New Hampshire ukryte w szufladzie z bielizną? - żartuje Johnny.

- Nie jestem sentymentalna. Drzewa zapuszczają korzenie, ja nie.

Johnny zdradza większe zainteresowanie spalonymi słońcem relikdami przeszłości niż na turystę przystało.

- Paręnaście z nich udałoby się nieźle zagospodarować i rozkręcić. Znalazłem takie, które mi bardzo przypadły do gustu. - Opowiada jej, co trzeba by zrobić, żeby przeobrazić te sypiące się stare miasteczka w doskonale punkty letnich spotkań ze sztuką i zimowych festiwali filmowych.

- Ty mówisz poważnie!

Opalenizna podkreśla zieleń jego oczu i Johnny wygląda przystojniej niż kiedykolwiek przedtem.

Wysmagany wiatrem pustyni, ma już tę charakterystyczną czerstwość ludzi, którzy spędzają dużo czasu na świeżym powietrzu, więc Ewy nie dziwi tak bardzo — bo niby dlaczego? — odpowiedź:

- O przebudowie? Jasne, że tak.

- A gdzie się podziało zwykle życie z pensji zarobionej między dziewiątą a piątą, co?

- Jest takie jedno miasteczko, nie za daleko na północ, bliżej Las Cruces, przycupnięte przy bitej drodze. Najprawdziwszy rodzynek. Żywcem wyjęte z westernów Howarda Hawksa. Idealne. I niespecjalnie zniszczone. Niektóre budynki są całkiem, całkiem.

Johnny opowiada dalej z entuzjazmem, gdy tymczasem gorąca fala potu nagle oblewa plecy Ewy. Estrogen niby powstrzymuje uderzenia gorąca, ale Ewa i tak się poci. Czy to hormony czy zapal Johnnynego podnosi temperaturę jej ciała i rozpala policzki?

Chce mu powiedzieć, że co chwilę rodzi się jakiś dureń

— niechby tylko na moment Johnny przestał tokować. Dureń! Jak on w ogóle mógł brać pod uwagę, że od niej odejdzie? Przecież łączy ich bardzo praktyczny, wygodny układ. A może on sobie wyobraża - to co, że wszędzie wokół pełno samotnych, polujących kobiet - że łatwo znajdzie inną, równie znakomitą partnerkę? Tak się jakoś cudownie składa, że dotychczas nie popadali z sobą w żadne konflikty.

- Bez ciebie tam nie jadę.

- Co ty mówisz? - Czyżby słyszał jej myśli?

- Pojedziesz ze mną do Nowego Meksyku. Pojedziemy we dwoje. Razem, Ewo! - Śmieje się jak za dawnych dobrych czasów, kiedy był jeszcze grubasem. Ewa odparowuje, że teraz jest chodzącą widokówką.

Mówi o tym zaskoczony Cassie. - Chce się z tobą ożenić?

Nie, Johnny nie wspomniał nic o tym, o zalegalizowaniu ich związku. Powiedział tylko: „Chcę, żebyś była ze mną”. Przyzwyczaił się do niej, jak ona do niego, i z niechęcią myśli o tym, że w Nowym Meksyku miałby zaczynać wszystko z kimś obcym.

- Dopasowałem się, jeśli tak można powiedzieć. Czuję się z tobą swobodnie. - Marszczy się, chcąc jak najuczciwiej określić swoje uczucia.

- Hm, nie jesteś trudnym towarzyszem, dobrze o tym wiesz

- odpowiada Ewa. - Mówię to najzupełniej szczerze. Wcale się nie wygłupiam.

- Zwłaszcza w oparach alkoholu i narkotyków...

— Nie, to co innego. Ale to już przeszłość, nie zapominaj o tym.

Johnny szykuje się do wyjazdu z Los Angeles, do tego, żeby zakończyć pewien rozdział życia i zacząć coś całkiem nowego. Robi to szybciej, niż Ewa zdążyłaby przygotować błyskawiczny suflet. Majątek leży na pustyni i Ewa jako agentka nieruchomości, powinna to świetnie rozumieć.

— Wiesz, praca agenta nieruchomości w Los Angeles to cokolwiek innego niż zapychanie z kubłami piachu gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, mój panie.

Zabrał ją na kolację. Nie tam, dokąd dotychczas chadzali, do jednej z knajp o umiarkowanym standardzie i umiarkowanych cenach, ale do modnej argentyńskiej restauracji z sufitem wyłożonym lustrami i szklanymi kwiatami na ścianach. Jest wcześnie, więc siedzą pośród morza pustych stolików i nie zajętych wiklinowych krzeseł. Kelnerzy z gładko zaczesanymi w tył, lśniącymi włosami, w czarnych frakach, przywodzą Ewie na myśl tancerzy tanga. Cała knajpa ustrojona jest na jakieś wielkie wydarzenie, huczną zabawę, ale w tej chwili oprócz Ewy i Johnny'ego jedynie w przeciwległym końcu sali siedzi dwoje ludzi — nawet nie jedzą. Brzęk srebrnych sztućców rozdziera ciszę jak uderzenie w cymbalki.

Johnny zamawia kurczaka.

— Kurczak to przecież mięso — przypomina mu Ewa. Nie puści mu płazem ani tej wykwintnej restauracji, ani też kurczaka.

— Raz na miesiąc można sobie pozwolić.

— Od kiedy? Ciągle tylko słyszałam same wyrzekania na kurczaki, żeby nie wspomnieć już o jedzeniu drobiu w ogóle. Raz na miesiąc, coś takiego! Wymyśliłeś to chyba przed chwilą. Mówiłeś przecież...

— Wiem, co mówiłem. Od czasu do czasu kurczak jest absolutnie dopuszczalny — odpowiada szorstko i niecierpliwie, jak za dawnych czasów, gdy był dobrze ustawiony. Czyżby Johnny wracał do swojego dawnego „ja”, czyżby się przeobrażał w człowieka walczącego o rzeczy, w kogoś, kto ściga się z innymi, by zająć pierwsze miejsce i wystartować w górę nawet bez samolotu? Nie, Ewa nie przypuszcza, żeby chciał znów wrócić do pustych kalorii. Na razie tylko do kurczaka.

Tymczasem Johnny stwierdza w duchu, że Ewa nie tylko jest ciekawa, ale również i podejrzliwa albo, co gorsza, zaczyna się wręcz bawić w cenzora, dlatego ich rozmowa umyka w brzęk sztućców i naczyń, a na pierwszy plan wysuwa się samo jedzenie.

Przez chwilę, przy deserze, Johnny walczy z przemożną pokusą zamówienia ciastka czekoladowego. Nerwowo bębni palcami w blat stołu. Kelner - strzaskany słońcem poskramiacz deski surfingowej - odczytuje listę słodkości, raz, drugi, trzeci. Johnny słucha z napięciem, wzdycha boleśnie i mało język mu nie ucieknie. - Tak, zjadłbym - przyznaje się Ewie. - Ale ty stoisz na straży mojej uczciwości. Nie mogę zamówić sobie tysiąca kalorii...

- I trucizny - dorzuca Ewa.

- I trucizny, kiedy ty siedzisz naprzeciwko.

Ewa jest tak przyzwoita, że zamawia tylko bezkofeinową kawę bez śmietanki i rezygnuje z cytrynowego ciastka, na myśl o którym cieknie jej ślinka.

Po kolacji idą wolnym krokiem po Melrose, wchodząc w pierwszą falę wieczornych spacerowiczów. Noc otula ich łagodnie, narzuca kojący rytm. W otwartych sklepach widać pierwsze afisze poświętecznych wyprzedaży. W wieczór wkrada się chłodny powiew, ostry jak sorbet. Ewa zapina płaszcz, w obawie przed przeziębieniem, gripą, wszelką dezorganizacją ciała. Codziennie ktoś jej przypomina, że wciąż siedzi na krawędzi okna i w każdej chwili może spaść w jedną albo w drugą stronę. We śnie słyszy głośny tętent końskich kopyt - uderzenia własnego serca.

W snach na drodze czeka na nią Abramson i ciągle nawołuje.

Spacerują chodnikiem Melrose i Ewa wymachuje skórzaną torebką od Magnina, którą dostała na Gwiazdkę od Johnnynego. To kosztowny prezent, ale nie aż tak drogi, jak zamszowa kurtka, którą mu podarowała. A jednak, jest oznaką jego przywiązania - myślała rozwijając srebrny papier. Teraz inaczej zaczyna o tym myśleć. To podarunek, jaki Johnny mógł ofiarować kobiecie w swoim poprzednim życiu. Torebka jest w wysmienitym guście. Ma dobry fason. I została kupiona w doskonałym sklepie.

Czy ta torebka to ostrzeżenie, że już go znów kusi, by sięgnąć po złoto?

Wymarłe miasteczko! Słodki Boże!

Ewy nie trzeba przekonywać, że Johnny dopnie swego — obróci wymarłą pustynię w oblegany kurort. Ale czuje, że wszystko się w niej burzy. Pomysł, żeby zrekonstruować historię na wzór z katalogu Searsa zupełnie ją dobija. Chce mu właśnie powiedzieć, że nie należy budzić licha, kiedy nagle w połowie ulicy natykają się na długiego Cadillaca z płetwami, bijącego w oczy czerwienią i ozdobionego barwnymi neonami. Kiwające się palmy nad drzwiami i niebieski ocean falujący na bagażniku sprawiają wrażenie, że samochód cały czas się rusza. Wyległy na ulicę tłumek zmusza kierowców do ostrożnej jazdy, a gapie w ptzejeżdżających autach wyciągają szyje, podobnie jak wtedy, gdy widać jakiś wypadek, rozbite samochody, powykręcane ciała i morze krwi na ulicy. - Po co ktoś zadaje sobie aż tyle trudu? — pyta Johnny. Ewa, o to samo mogłaby go spytać w związku z wymarłym miasteczkiem Nowego Meksyku, ale mówi: - Taki kicz.

- Słyszę to słowo od lat, ale do dziś nie jestem pewien, co właściwie znaczy. Wiem tylko, że kicz to nie sztuka i nic, co można by dać matce na urodziny.

- Ja mówię o zabawie, a ty chcesz z tego żyć.

- Moje wymarłe miasto będzie pyszną zabawą.

- Będzie wesołym miasteczkiem. Rozrywką dla roztytych mamus, tatusiów w kwiecistych bermudach i rozwrzeszczanych bachorów. Zupełnie nie w twoim stylu. Tylko o to mi chodzi.

Tłum popycha ich dalej. Rozłączają się, żeby obejść odzianą w czarną skórę trójkę młodych ludzi, znowu się schodzą, potem znów robią miejsce dla staruszki pchającej młodego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Kiedy wreszcie idą ramię przy ramieniu, dłoń Ewy nie chce się jakoś spleść z dłonią Johnnynego. Ich palce spotykają się i całkiem naturalnie uciekają od siebie.

- To jest interes, dlatego jest w moim stylu. Uważasz, że powinienem pozwolić, żeby taka okazja wymknęła mi się z rąk, tylko dlatego... - Staje gwałtownie w pół kroku. Teraz ich kolej

na zakłócenie rytmu przechadzki. - A niby co jest złego w robieniu pieniędzy?

- Skąd weźmiesz inwestorów? Kto ci pożyczy te grube miliony? Boże, miliony! - Dlaczego złość tak gorzko smakuje, jak gdyby kolacja była czymś zatruta? Jeśli Johnny zapyta ją wprost, czy może mu powiedzieć, że nie chce w nim samym żadnych zmian? Podoba jej się taki, jaki jest teraz, szczupły jak Wielki Knut, by nie powiedzieć jak patyk. Tłuszcz zniknął mu z twarzy i odsłonił wyraźne kości. Nie ma w nim nic zbędnego, jak w sylwetce sportowego wozu, w odróżnieniu od przeladowanego Cadillaca - gdyby się trzymać samochodowych porównań - to znaczy w odróżnieniu od tego bogatego Rockefellera, jakim był wylegając się na plaży w Malibu. Znow ruszają przed siebie i, Johnny opowiada jej o swym wielkim planie. Hałas ulicy, wieczorne zamieszanie i jej niechęć, by traktować te mrzonki poważnie, sprawiają, że docierają do niej tylko strzępki. Ale to, co słyszy, jest jakies za bardzo rozdęte, farsowe. - Mąż twojej byłej żony?

- Nie tyle on, co jego ojciec.

- Biejący teść twojej eks-małżonki?

- Nie rób min pod tytułem, że mi nie wierzysz. Harvey zarządza syndykatem budowlanym i naprawdę nadajemy na tej samej fali.

Jakiś obcy duch zawładnął umysłem i ciałem Johnnynego. Ten Johnny, którego zna, nie powiedziałby „Nadajemy na tej samej fali”, nawet gdyby go łamać kołem. Jej Johnny, ostrożny w sprawach diety, ten, który z nerwowym zaangażowaniem chciał cały kraj nawrócić na wegetarianizm, który chętnie dolewałby witamin do zbiorników wodnych i zamknął palaczy w więzieniach, nie używał takich przesadnych zwrotów. W każdym razie nie robił tego dotychczas, dopóki nie złapał bakcyła, by zbić fortunę na piaszczystej ziemi Nowego Meksyku.

Johnny chce porzucić harmider Melrose, autostrady i Zachodnie L.A., wypieszczone trawniki, plaże, pasaż handlowe i nadmiar restauracji. Teraz będzie stukał obcasami wysokich kowbojskich butów o drewniane chodniki. Będzie nosił marynarkę z frędzlami, kraciaste koszule, podniszczony kowbojski

kapelusz, zdeptany przez konia, i znoszone, a nie rozjaśniane fabrycznie džinsy. Będzie niczym Wyatt Earp zawiadywał swym królestwem, staro-nowym miasteczkiem, wybłyszczonej jak sztuczny owoc. Znowu bogaty i sławny, będzie realizował marzenie dziesięciolatka.

- No więc pojedziesz ze mną czy nie? - Namawia ją jeszcze raz, żeby ruszyła z nim na wschód. — Z początku nie można liczyć na kokosy. Zamieszkamy w Albuquerque, a potem, kiedy budowa ruszy, kupimy sobie przyczepę. - W zdenerwowaniu uznaje, że milczenie Ewy jest dezaprobatą ostatniego pomysłu, bo czym prędzej zaczyna jej opowiadać, jak taka przyczepa wygląda, jakie ma luksusowe rozwiązania wewnątrz. Według jego słów, brakuje jej tylko złotych kranów w łazience. — Nie chce się wierzyć, że to dom na kółkach! - Ty mówisz poważnie, prawda?

Zatrzymują się przed kioskiem z jogurtami, który zapewne rozdaje je dzisiaj za darmo, bo kolejka chętnych kończy się aż trzy sklepy dalej. - Masz ochotę tylko na jogurt czy też może na lody? Pamiętam, że jedzenie lodów jeszcze niedawno było strasznym grzechem. Idę o zakład, że jeśli teraz sięgniesz po jogurt, nie wybierzesz tego niskokalorycznego. Machniesz ręką i weźmiesz sobie taki w trzech smakach, obłany ciemnym sosem z kawałkami czekolady. Kto wie, czy nie z bitą śmietaną na dodatek?

- Co ty z tym jogurtem? Chcesz? Chcesz może loda w rożku? Masz jeszcze ochotę po tej wielkiej kolacji?

- Nie wracaj tak pośpiesznie w przeszłość! - wykrzykuje Ewa i rzuca się przez ulicę, wprost między samochody, jakby była nietykalna, odporna na wszelkie uszkodzenia ciała. Nie, jej to w ogóle nie przychodzi do głowy. Ma wrażenie, że jest pulsującą raną, miejscem zdartej skóry tak obolałym, że nawet podmuch wiatru uraża je boleśnie.

Johnny biegnie za nią, krzycząc:

- Chcesz się zabić?

Chce tego? Jest wściekła na niego za to, że ją utrzymał przy życiu, że zainteresował sobą na tyle, by jakiś czas nie spieszyła się z wyprawą do Abramsona? A teraz ją zostawia i tylko pyta: „Pojedziesz ze mną czy nie?”

Johnny idzie tuż obok, niemal siłą wyciąga z niebezpieczeństwa.

- Już się pozbierałam do kupki! - wykrzykuje Ewa.

- Pozbierała się! O mały figiel, a rozpadłabyś' się na małe kawałeczki! Chryste! Jak na inteligentną kobietę, jesteś nadzwyczaj głupia! Czy matka ci nie mówiła, żebyś nie wylazła na środek ulicy, nie rozejrzawszy się najpierw w lewo i w prawo, mimo że w L.A. pieszy ma teoretycznie pierwszeństwo na jezdni? - Johnny nie może się powstrzymać, zupełnie jakby Ewa cudem uniknęła śmierci, jakby samochód niemal otarł się o jej spódnicę.

- Nie pouczaj mnie! - wrzeszczy Ewa i rzuca się na niego z pięściami. Choć strasznie wychudł, jest na tyle wielki, że Ewa zaledwie obija sobie kostki o jego pierś.

Johnny. chwytą ją za nadgarstki i przytrzymuje ręce. Z łatwością mógłby ją unieść i przerzucić przez ramię, ale tylko potrząsa nią łagodnie, a w jego wzroku więcej jest bólu niż złości.

- Dlaczego jesteś taka wściekła? Co ja takiego zrobiłem? Ewa przygryza wargę, żeby nie zawyc: „Jadłeś kurczaka na kolację i byłeś o krok od zamówienia deseru. I widzę, że zmieniasz się w kogoś zupełnie innego!” - Mam dość wszystkich zmian w mężczyznach - mówi mu po chwili, kiedy już może spokojniej oddychać. Umierania - myśli nagle. Chodzi jej o umieranie. A jeśli nie, to tego, że na jej oczach zostawali kochankami innych. W snopie światła ulicznej latarni cienie wydłużają się na twarzy Johnnynego - wygląda teraz jak cyrkowy iluzjonista. - Idę naprzód, nie chcę stać w miejscu - przeprosza Johnny.

- Nie mam zamiaru już nigdy poddawać się eksperymentom z bronią nuklearną, ale na litość boską, Ewa, nie mogę reszty życia spędzić w zasmarkanym kantorku zestawiając fakty i liczby dla jakichś facetów!

Chowałem głowę w piasek. Żadnego ryzyka, żadnych niespodzianek.

Johnny broni się, a ona tymczasem opiera plecy o witrynę księgarni i myśli z przerażeniem: Ja kocham tego mężczyznę!

Skończył przemowę i Ewa potakuje bez słowa. Johnny obejmuje ją ramieniem i zgodnym krokiem wracają do samochodu.

Ewa boi się powiedzieć o tym Nonie. Najlepiej będzie, jeśli przemilczy prawdę, jeśli uchyli się od intymnych zwierzeń. Przynajmniej dopóki wszystko nie wróci do normy.

Spotykają się we dwie na wczesnym seansie filmowym, potem wpadają na kolację do baru. Ewa opowiada Nonie o sytuacji na rynku nieruchomości, o zastoju w interesach i o niesłychanych ofertach Azjatów, którzy wykupują biurowce w centrum miasta. Skłoniła Nonę do wyboru filmu, a teraz namawia ją do jedzenia. Wreszcie Nona wybucha: - Przestań tak kwoczyć nade mną! Jeszcze nie umieram!

- Tego brakowało! - woła Ewa i zamawia następny kieliszek wina.

Nona jest teraz trudna, ale i tak widać postęp w porównaniu z tym, co prezentowała przez całe święta i tuż po, kiedy Cassie wmuszała w nią środki uspokajające - wtedy miała zupełnie szklany wzrok i wyglądała jak w śpiączce.

Ewa cały pierwszy dzień świąt przesiedziała w saloniku Nony. Co parę minut zaglądała do sypialni, żeby popatrzeć na zwiniętą na łóżku przyjaciółkę. Nona nie prosiła o jej towarzystwo, o tabletki, o jedzenie, które w nią wmuszały łyżkami, o Bacha na okrągło ani o serce. Ich troskliwość spłynęła na nią jak deszcz. „Nie możemy wiecznie jej pilnować” — skarżyła się Ewa Cassie, ale i tak trwały przy Nonie murem i spędzały z nią każdą wolną chwilę. Ustaliły sobie zmiany, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie, jakby teraz Nona przechodziła pooperacyjny okres rekonwalescencji.

O dziwo, Nona wstaje co rano, ubiera się, robi makijaż.

Jeśli ktoś nawet pobieżnie usłyszał coś o wiadomym artykule, to zachowuje się zadziwiająco dyskretnie. Ponieważ nazwisko, którego Nona obecnie używa — przyjaciółki zastanawiają się, czy prawnie, ale nie pytają o to — widnieje w książce telefonicznej, jacyś wariaci wydzwanają czasami i plują w słuchawkę mieszaniną nienawiści i wulgaryzmów. Nona postanawia na jakiś czas zdjąć słuchawkę z widełek, ale praktyczna Cassie namawia ją do zmiany numeru, bez ujawniania go w następnych wydaniach książki.

- Słuchaj, czy mnie już całkiem odbija czy to ta piękność,

którą przyprowadziłaś do mnie na przyjęcie? - Allie dzwoni do Ewy, żeby się dowiedzieć. - Wiesz, że nie pamiętam nazwisk, ale chyba widziałam już tę twarz.

- To pomyłka — mówi Ewa wiedzona instynktem. — Poda sprawę do sądu. Dziennikarz pomylił ją z kimś innym. A ten „Insider” to chyba najgorszy szmatławiec. Jakim cudem w ogóle wpadł ci w ręce?

- Tylko sobie wyobraź! Chodziła do łóżka z własnym ojcem, a wygląda tak, jakby jedzenie lodów było poniżej jej godności - odpowiada Allie. Nie wierzy Ewie. Jak większość znajomych Nony. Wszyscy świetnie wiedzą, że „Insider” jest ostatnim brukowcem, ale to, co napisano w nim o Nonie, w najlepszym razie przyjmują za półprawdę. Ludzie spodziewają się ognia, bo bez niego nie ma przecież dymu - przypomina Cassie Jake.

Pewnego ranka na progu mieszkania Nony staje reporter z „People”. Nona, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem, zamyka się w domu, dzwoni do Flory, mówi że jest chora i nie idzie do pracy.

Gdyby wszystko chciało się dobrze ułożyć, Lorraine, która wyjechała na święta do Meksyku, mogłaby w ogóle nie oglądać „Insidera”, ale los jest złośliwy i ktoś najwyraźniej zadbał o to, by gazeta trafiła w jej ręce, bo Lorraine naskakuje na Nonę od razu w pierwszy poświęcony dzień. Ocieka jadem i ostrzy zęby, jakby miała zamiar wgryźć się w kark Nonie, która liczy pieniądze w kasie.

- I co, nawet nic nie powiesz? Jesteś taka sławna! Może chcesz udawać, że nic się nie zmieniło?

Nona czuje w ustach jedną ranę, ale nie ma Lorraine nic do powiedzenia. Robi to, co zawsze przed otwarciem sklepu: sprawdza plastikowe torby, pudełka, taśmę do kart kredytowych. Kiedy przechodzi przez sklep na zaplecze, Lorraine depcze jej po piętach, stukając wysokimi obcasami.

- Wiesz, naprawdę mocno się zastanawiałam, czy pozwolić ci przyjść dzisiaj do pracy.

W zamkniętym przez kilka dni sklepie jest zimno i Nona czuje gęsią skórę pod rękawami bawełnianego swetra. Rozciera ramiona wyobrażając sobie, że Lorraine jest teraz daleko na

To jeszcze nie koniec

456

Alasce, a nie dwa kroki za plecami i nie wrzeszczy, jakby mówiła do kogoś z upośledzeniem słuchu.

— Naturalnie, nic bym się nie dziwiła, gdybyś została w domu. Gdybyś nie fatygowała się...

— Mów ciszej - rzuca Nona, gwałtownie obracając się do niej. — Co?

— Krzyczysz.

Lorraine tężeje, jakby Nona szykowała się do ataku.

— Nie krzyczę!

— Owszem, krzyczysz. Krzyczysz na mnie z powodu tego plugawego szmatławca.

Lorraine wojowniczo wysuwa biodro, gdy tymczasem Nona zbiera stos pudełek i wraca do sklepu.

Lorraine nigdy się nie poddaje, więc znów idzie za Noną.

— Czego ty się właściwie spodziewałaś, co? Że normalni ludzie nie będą tym zainteresowani? Nie jesteśmy święci. W każdym razie, ja nie. Miejmy tylko nadzieję, że nikt cię nie rozpozna. Nona potyka się, pochyla w bok. — Nie obrabowałam banku. Nie zrobiłam nic złego.

Zrobiłaś, zrobiłaś - słyszy jakiś wysoki, młody głos z przeszłości. Drapanie w gardle przypomina jej, jak łatwo może za chwilę wybuchnąć gromkim płaczem. Zbiera się w sobie, by powstrzymać szloch. Boi się okazać słabość przy Lorraine; tu właśnie powinna — ba! wręcz musi — być mocna jak żelazo.

— To już kwestia względna — odpowiada Lorraine cierpko. Nona przygryza wnętrze policzka, żeby nie stracić panowania nad sobą. Ból sprawia, że może jasno myśleć. Lorraine jest rozeźlona, mruczy coś wściekle i miota się między rynsztokową ciekawością, furią i zazdrością, bo przecież mimo tego, że ten artykuł o Nonie ukazał się w strasznym brukowcu, to teraz jej twarz jest publiczną własnością.

Nona została tak wychowana, że skłonna jest zawsze współczuć ludziom; tym na granicy rozstroju nerwowego, nieszczęśliwym, nawet szarpanym wściekłością. „Więcej much złapiesz słodyczą, miodem” — to wpoila w nią Marian. Tyle że ona, w odróżnieniu od swojej matki, jest w takich sytuacjach szczerą. „Zawsze bądź damą” - przykazywał Adam.

Po cóż słuchała takich bzdur?

Tatus cię kocha... Nona czuje smak krwi w ustach. Toż to czysty idiotyzm myśleć, że Adam popełnił jakiegokolwiek przestępstwo. Cóż to za podłość, że Fitz przypisał jej te słowa. Nigdy tego nie powiedziałam - wybucha niemyim krzykiem, który uderza o mur ciemności. A gdyby tak zapomniała?

Lorraine nie poddaje sprawy. Patrzy na nią wzrokiem bazyliuszka i Nona musi chwycić się lady, żeby jej nie dać po gębie. Nie poczuje nawet pieczenia dłoni, tak samo, jak nie czuje bólu rozgryzionego, miękkiego ciała. Rąbnie ją w twarz na odlew i będzie patrzeć jak głowa Lorraine poleci w bok niczym kwiat lilii na cieniutkiej lodydze. To jej da może przynajmniej tyle przyjemności, ile osiąga w łóżku z mężczyzną.

Aleją pasażu płynie już fala klientów. Za minutę Nona otworzy podwójne drzwi, zablokuje każde skrzydło haczykiem w podłodze. Klientki będą już mogły napływać do sklepu swobodnie i będą grzebać w ubraniach, przebierać. Mogą też stanąć w progu i wytykać Nonę palcami. „Córka szpiega”. „Ojciec i córka”. „W miłosnym uścisku”.

Lorraine w końcu podchodzi za blisko. Owiewa Nonę gorącym oddechem i obłokiem Opium.

Nona, obraca się na pięcie i wbija palec wskazujący w kościsty dekolt między piersiami Lorraine.

- Zostaw mnie! Moje prywatne życie nie ma związku z Florą. Lorraine aż piszczy z oburzenia.

- Myślę, że ma, a ja tu w końcu jestem kierowniczką! Leonard i Howard zgadzają się ze mną.

- Powiedziałaś im!

- To nie jest jakieś drobne uchybienie czy głupia wpadka, Nona. „Insider” trafia też do Orange County. Na pewno już im wpadł w ręce.

- Nie wszyscy kupują takiego brukowca - ucina Nona. Chciałaby chwycić Lorraine zębami za gardło; czuje, że ślina napływa jej do ust na myśl, że mogłaby jej przegryźć krtań. Wyobraża sobie, jak krew spływa po białej bluzce od Liz Claiborne. Lorraine leży martwa na podłodze. Nona triumfalnie opiera stopę na jej brzuchu. „Nie pozwolę nikomu mnie ranić!” - krzyczy, wymachując flagą wolności.

Obie kobiety zamarły z wściekłości, z czego wybawia je dopiero klientka, która odrywa się od szumiącego tłumy w pasażu i wchodzi do sklepu. Jest to niewątpliwie szalenie wymagająca pani, której wszyscy domownicy muszą się podporządkować. Widać to na pierwszy rzut oka, bo kiedy w pierwszej chwili ani Lorraine, ani Nona nie widzą jej i nie stają na baczność, natychmiast władczo wygina plecy w łuk. Lorraine chwilowo spuszcza parę i idzie do klientki. Nona wraca do rzeczywistości. Tak się składa, że przyjaciółka, która poleciła Florę władczej damie, jest jedną z najlepszych klientek Lorraine, a więc trud, jaki Lorraine musi włożyć w dogodzenie tej nowej, liczy się podwójnie. Nona przez najbliższą godzinę obsługuje zwyklesze śmiertelniczki i raduje się w duchu widząc, że Lorraine zwija się jak w ukropie.

Dobrze jej tak - myśli i życzy jej, żeby pocila się tak jak najdłużej, aż do samego obiadu. Nona natomiast ma całkiem spokojny poranek. Jednak szklaneczka czegoś mocniejszego dobrze by jej zrobiła — język jej całkiem wysechł. Nigdy nie pija w ciągu dnia, chyba że co najwyżej mały kieliszek wina, dzisiaj jednak ma nieprzewartą ochotę na dżin - na dobrą sprawę wcale już nie pamięta, jak dżin naprawdę smakuje. Ma w końcu swoje kłopoty z pamięcią. Jej pamięć jest dziurawa, często ją zawodzi - kompletna ruina. Walają się w niej tylko jakieś śmieci. *On nigdy... Tatusiu, ja nigdy...*

- Słucham?

Wysoka szczupła kobieta o dobrze zrobionych oczach i zmarszczkach wygładzonych zabiegiem kosmetycznym pyta: - Czy my się skądś nie znamy?

Nona przechyla głowę jak ptak, ale nie ugina kolana i nie dyga w ukłonie, co zawsze robiła przed gośćmi na kolacjach. Tak, to mogłaby być znajoma Marian — wrona wisząca nad sewrską porcelaną i licząca szparagi.

- Z całą pewnością widziałam już panią.

Jeśli Lorraine to usłyszy, od razu pomyśli, że klientka łączy twarz Nony ze zdjęciem z „Insidera”. Mimo że Nona bardzo mocno ściągnęła włosy do tyłu i zrobiła mocniejszy makijaż, podobieństwo nadal istnieje.

Jednak nie zważając na ostre

światło w sklepie, Nona nie przecząc ani jednym słowem, zapewnia wysoką kobietą, że to na pewno pomyłka. Kłamie jak z nut, z większą biegłością, niżby się sama po sobie tego spodziewała. Wytrząsa z rękawa najprzeróżniejsze miejsca: rzuca tytułami spektakli teatralnych, oper, nazwami muzeów.

- Ależ tak! To na pewno była *Cyganeria* w zeszłym tygodniu! Wiedziałam, że musiałam już panią gdzieś widzieć. Zawsze się chwale, że mam pamięć do twarzy. - Kobieta gawędzi z Noną serdecznie, wynosi ją piętro wyżej, ponad krąg kasty usługowej, plasuje pośród tych, którzy w operze siedzą na parterze koło orkiestry, gdzie Nona w życiu nie była.

Jeszcze kilka klientek bacznie przygląda się Nonie - robią krok w tył i patrzą, ale żadna nie mówi: „To pani...” W Los Angeles pełno jest drugorzędnych aktorek i aktorów-sobowtó-rów i ludzie szybko się przyzwyczajają do najróżniejszych niespodzianek, traktując je jak chleb powszedni.

Nona przez jakieś pięć minut chodzi po sklepie swobodnie, niczym się nie martwiąc i nie przejmując, i nagle czuje, że ogarnia ją drzenie. Uczucia skaczą wysoką amplitudą. W jednej chwili strach - dławiąc krzyk - chwyta ją za gardło, w następnej zaś Nona uznaje, że jest zupełnie niewidzialna. Musi czym prędzej wziąć jakąś tabletkę albo napić się czegoś mocnego, by stępić ostrze emocji. Tylko to musi być coś, co jej nie uśpi, nie przytrzyma z dala od Flory i nie stworzy Lorraine okazji do natychmiastowego wylania jej z roboty. Nona nie ma zamiaru odchodzić ani też głupio wkładać głowy pod topór.

Bez przerwy boli ją żołądek, ale zamiast do doktora Rubina, dzwoni do Fitza i nagrywa się na sekretarkę. „Nie kocham cię, nigdy cię nie kochałam!” Dzwoni do niego jeszcze raz, o trzeciej nad ranem, i po długim sygnale przytyka słuchawkę do ryczącego głośnika, skąd płynie głośnie nagranie U2.

Gdy nie może zasnąć, kołysze się do snu słowami „przetrwam to wszystko”, tymi, które słyszała lata temu, kiedy Marian szlochała.

Śni jej się, że proces Adama odbywa się pod wodą. Nona wpływa i wypływa z sądu. Sędzia jest jakąś rybą, oskarżyciel węgorzem. Marian nosi ciężkie pierścionki na mackach.

Tak naprawdę Marian nosiła się wówczas bardzo skromnie.

Ledwie się ruszała, ostrożnie chodziła — stawiała jedną elegancko obutą stopę przed drugą. Adwokaci wiecznie pouczali, by była dyskretna. Ale Marian miała jakąś dzikość w oczach i adwokaci umierali ze strachu, że któregoś dnia nieoczekiwanie wybuchnie. Nona dosypywała więc środek uspokajający do porannej kawy matki. Uspokajała ją tak intensywnie, że Marian chodziła w dzień jak lunatyczka, w nocy zaś, kiedy środki przestawały działać, upijała ją czystym Martini.

Dla Nony proces Adama był jedną wielką grą. Pieczołowicie trzymała się założenia, żeby zaprzeczać wszystkiemu. Taka zabawa na niby. „Mój tata jest niewinny” - oświadczyła z podniesioną głową jednemu z obrońców, a ponieważ wyglądała jak nimfa, bardzo chciał jej uwierzyć.

Spędziła długie godziny wpatrując się wprost przed siebie. Na ogół patrzyła na pustą ścianę za sędzią albo na omszały róg wysokiego okna — za zmatowiałą szybą światło miało kolor owsianki.

„Mój ojciec nie żyje” - trenowała na głos pod prysznicem - żeby nikt jej nie słyszał. *Zginął na wojnie. Rozbił się na Storror Drive. Umarł po długiej i ciężkiej chorobie.*

Ale nic z tego nie wychodziło. Adam codziennie zjawiał się na sali, przystojny i elegancki, gładko wygolony, pachnący cytrynową wodą kolońską - choć nigdy nie siedziała na tyle blisko niego, by wyczuć ten zapach. Co jakiś czas odwracał się w ich stronę i kiwał im głową.

Obie z matką były przystojnymi kobietami o długich nogach i stanowiły przedmiot powszechnego zainteresowania. Zachcianki Adama wykończyły Marian. Błagała, żeby nie ciągnęli jej na rozprawy; nie chciała odwiedzać go w celi.

Dlaczego o tym Fitz nie chciał napisać? O tym, jak Marian raz po raz krzyczała: „Nie! Nie! Nie!”?

Bo nigdy mu o tym nie mówiła. O tamtym zresztą też nie. Nie mówiłam, jak Adam trzymał mi rękę na piersi i o kręconych włoskach, które obrastały mu dłoń.

W czasie tego przedpołudniowego kwadransa zastoju w sklepie Nona pod czujnym okiem Lorraine składa na nowo splecione apaszki, rozrzucone podkoszulki i ciężko opada w ramiona Adama. Pamięć wskrzesza ciepło jego ciała. Wspina się na

kolana ojca. A potem w ogrodzie, kiedy przytula się do niego, czuje na policzku szorstkość jego marynarki z tweedu.

Bez względu na to, co mu powiedziała, Fitz dopuścił się grubego nadużycia, składając opowieść z nielicznych okruchów przeszłości, i teraz Nona, niczym górnik, wykopuje dawne fakty z pamięci i czuje fizyczną bliskość Adama. Chce poczuć jego dotyk, dokładnie tak jak dawniej, usłyszeć ten sam zachrypnięty szept - żadnych zmian! Wyrównując rzędy wykończonych murek swetrów, mówi bezgłośnie: „Powinnam go zabić, tato”.

Porządkuje wiszące paski, poprawia bluzki złożone na chromowanej *ttagtre* ze szkła i celowo nie schodzi szefowej sprzed oczu. Lorraine nie wie jednak, że właśnie teraz Nona ofiarowuje ojcu głowę Fitz na tacy. Jak gdyby nigdy nic wiesza kostium Kenzo na płaskim manekinie z drutu i syczy przez zęby: „Zwierzę!” Czuje w ustach piasek, drobne kamyki, szlamowatą wodę. Gotowa się nimi prędzej zadławić, niż miałaby Fitz spytać: „Dlaczego udawałaś, że mnie kochasz? Dlaczego jak szpieg - dokładnie o to oskarżali tatę - skradłaś mi wszystkie sekrety i sprzedałaś wrogowi?”

„Nikt nigdy nie wie wszystkiego o drugim człowieku, zwłaszcza kobieta o mężczyźnie” - mówiła pewna kobieta, przypadkowy gość na kolacji. Siedziały tylko we trójkę przy kominku: Nona, Marian i ta kobieta; grubsza niż większość znajomych matki, bardziej miękka i macierzyńska, w jakiejś koszmarnej niegustownej sukience. Ta paniusia zaważadnęła ich czasem tamtego wieczoru, a Marian nie chciała się jej pozbyć. Tak niewielu dobrze postawionych znajomych odwiedzało je wtedy, przysyłało zaproszenia na drobny lunch czy choćby na herbatę. Nona czuła wobec tej nieznajomej wdzięczność do momentu, gdy damulka nie powiedziała: „Nikt z nas nie jest jasnowidzem”. Demokratycznie włączyła i siebie do tej smutnej kompanii. Co żona może wiedzieć o sprawach męża, kiedy mąż znika z domu, ma pełną swobodę ruchów, wychodzi do biura, do klubu, na pola golfowe czy wypływa na jachcie? Nie mogła wprost uwierzyć, skąd ktokolwiek mógłby mieć taką pewność, że Adam nie kupczył tajemnicami. O to jej chodziło.

To jeszcze nie koniec

465

„To nie jest wykluczone” - bąknęła cierpko, a Marian gwałtownie wstała i wyszła z pokoju.

Nona rozplątuje naszyjniki i rozkłada je na aksamitnych tackach.

-j Idę na kawę - oświadcza.

Lorraine odrywa się od ściany jak pięściarz od narożnika.

— Nie masz jeszcze przerwy.

- Za pół godziny.

— Wtedy możesz iść.

Nona wyciąga zza pleców zabląkane ręce. Nie będzie stać przed Lorraine niczym uczennica, nie będą już dużymi dziećmi - Lorraine jest silniejsza, więc ją terroryzuje. Nona mówi wyraźnie, obnażając zęby: „Idę teraz”. Nie będzie już grzecznie wysłuchiwać niczyich insynuacji.

Lorraine dławi w sobie oburzenie z zaciekłością pułapki na myszy. O tak, wydusi z tej Nony całą prawdę o tym, co się stało, ale nie może przecież chwycić jej za gardło i wyrwać jej siłą wyznania, dlatego, podobnie jak przyjaciółki Marian, gwałtownie zmienia taktykę i udaje serdeczność.

- Powinnaś się z tego zwierzyć, zamiast tłamsić to w sobie i udawać najdzielniejszą z dzielnych. Nie jestem wyłącznie twoją szefową, Nona. Zależy mi na tobie. W innych okolicznościach byłybyśmy zapewne przyjaciółkami od serca. - Nos Lorraine wydłuża się bardziej niż bajkowemu Pinokio, a Nona czuje mdłości. Lorraine chciałaby wysłuchać zwierzeń Nony. Ale nie z przyjaźni ani też wiedziona ludzkim odruchem współczucia, lecz z powodów najzupełniej przeciwnych. Lorraine jest królową-czarownicą i ofiarowuje jej zatrute jabłko.

Nona wie, że gdyby choć na chwilę straciła zdolność myślenia i opowiedziała Lorraine jakieś szczegóły, w przyszłości uderzyłyby w nią jak granaty z wyciągniętą zawleczką. Nie, Nona nie zdradzi niczego, poza tym, co musi, i to mrozi serce Lorraine do ostatniej cząsteczki. Dzień upływa, a one weszły w stan otwartej wojny. Nona nie może się nadziwić, dlaczego Lorraine nie wygarnęła jej jeszcze wszystkiego, co ma na wątrobie, i dlaczego wciąż zwleka z wymówieniem.

466

Diana Silber

Wcześniej czy później - być może chce najpierw osobiście obgadać tę sprawę z właścicielami - wywali Nonę z Flory.

Wytrwam, nie dam się, nie pozwolę się przepędzić...

Jakaś stal tworzy się w ciele Nony. Nona garbi się, chowając ramiona przed ostrzem noża, które czuje między łopatkami. Ale zrobić unik to mało. Całą przyjemność pracy w tym wspaniałym sklepie zawsze zatruwała Lorraine, która, jeśli jej na to pozwoli, posunie się do największego świństwa.

Nona śni o polu porośniętym wieloma takimi Lorraine. Dorastają wysokości kukurydzy i chwieją się na wietrze. Bije od nich podłoscia; przezywają ją ordynarnie. Nona budzi się z krzykiem i szuka po omacku kogoś, do kogo mogłaby się przytulić. Wyciąga ramiona do Magika, ale go przecież nie ma. Zaczyna szlochać.

- Dość! - krzyczy nagle. - Dość!

Ferie świąteczne Mandy nie są jedynie kilkudniową przerwą, ale ciągną się i ciągną w nieskończoność. Dopiero w czwartym tygodniu stycznia będzie wracać do szkoły. We wrześniu, kiedy Mandy wyjeżdżała, Cassie zamartwiała się, że nie zniesie samotności i pustki w domu, teraz natomiast sądzi, że jeśli nie wsadzi córki szybko do samolotu, za chwilę po prostu oszaleje.

Codziennie rano budzi się z zaciśniętymi kciukami i nadzieją, że Mandy wreszcie wróci do normalnego nastroju i skończy z tą przeplatanką ponuractwa i radosnej egzaltacji. Zaczął się nowy rok i od samego początku Mandy ma nieustające muchy

w nosie. Co więcej, jej niechęć do Jake'a nie tylko nie maleje, ale wręcz rośnie.

Mandy patrzy, jak Jake kosi trawę, i niemal pluje przez lewe ramię przesadnie, mówiąc:

- On jest przerażający.

- Przerażający? To niedorzeczne! Jake jest sympatyczny. Zupełnie zwyczajny. - Żaden z tych przymiotników nie pasuje do Jake'a, więc Cassie próbuje jeszcze raz: - Cudowny.

- Sympatyczny, zwyczajny, cudowny. Widziałaś ten film pod tytułem *Ojczym*, mamó?

- Przestań się wygłupiać! - odpowiada Cassie z większym naciskiem, niż sytuacja tego wymaga, ale, Boże! jaka ta Mandy nieznośna! Zresztą Cassie popada w złość przy najmniejszej wzmiance, że Jake coś zrobił „nie tak”. „Nie tak” niesie ze sobą zbyt wiele możliwości, które mogą się szybko rozmnożyć niczym bakterie. Zupełnie mimo woli przychodzi jej na myśl Fitz i ten artykuł w „Insiderze”, który przesuwa się przed jej oczami jak mikrofilm.

Jake to nie Fitz i Cassie zła jest na siebie, że gryzą ją jakieś podejrzenia. Jest zirytowana córką i podenerwowanie usidla jej rozsądek niczym lep muchy.

Jake naturalnie nie jest przerażający. Nawet w najmniejszym stopniu. Jest cichy, pełen rezerwy. W sprawach uczuć chodzi wciąż po napiętej linie, ledwie jej dotykając stopami. I niby dlaczego ma być inaczej? Wietnam pozostawił w nim więcej śladów, nie tylko tatuowanego amerykańskiego orła.

Cassie zaczytuje się w fachowej literaturze na ten temat. Potem stacja PBS nadaje specjalny program poświęcony wietnamskim weteranom. Ogląda ten reportaż przez całą długą godzinę i zastanawia się, czy kilometry stąd, po drugiej stronie miasta, Jake też siedzi w ciemności przed swoim Panasonikiem, gdy tymczasem ona leży w łóżku, z nasuniętą pod samą brodę kołdrą.

Przerażający? Jake? Skąd! Cassie postawiła prywatną diagnozę, że on wciąż boi się wojny, że widział za wiele okropieństw i nie potrafi przystosować się do zwykłego życia. Doznał wtórnych obrażeń psychiki i Cassie jako lekarz, który ma ciągle do czynienia z różnymi urazami, musi to zrozumieć. Błądzi po omacku, ale krzepi ją myśl, że z czasem będzie już coraz łatwiej

To jeszcze nie koniec

466

i lżej. Dzięki miłości. Ale kogo właściwie ma na myśli? Jake'a czy siebie?

A co do Mandy, to Nona ma rację. Będzie kręcić nosem na każdego mężczyznę w łóżku matki, który nie jest jej ojcem. Takiej Tracy nawet morderstwo uszłoby płazem w oczach Mandy, nawet ta ciąża, która rozedmie ją do postaci wspaniałej Madonny, lecz od Cassie wymaga dozgonnej czystości.

Jake twierdzi, że Mandy to jeszcze dziecko, i sądząc po tym, ile uwagi jej poświęca, znaczy dla niego tyle co uprzykrzona mucha, którą zauważa ledwie kątem oka. „Niech pomieszka jakiś czas z ojcem” - mówi, kiedy Cassie się skarży. I jeszcze: „Niedługo będzie już miała swoje życie, to kwestia roku czy dwóch.”

Cassie, zmrożona takim postawieniem sprawy, przygotowuje krakersy z pasztetem i polemizuje. „W życiu nie dam jej Do-ugowi” i „Ona ma raptem osiemnaście lat”.

Dzieci nie wzbudzają w nim ciepłych uczuć. Nie ma w nim nic ojcowskiego. Jest jak samotny rekin w ciemnym oceanie

- smutny mężczyzna o złych wspomnieniach. Cassie boi się nawet zapytać, kiedy ostatni raz widział swoje córki. Kiedy ostatnio rozmawiał z nimi przez telefon?

Czas nie wygląda kantów ich związku. Cassie czeka, w łóżku obraca się do Jake'a, unosi na fali pragnienia i ciągle ma nadzieję. Jake jednak nadal drży przez sen i co jakiś czas budzi się zlany zimnym potem o ostrym zapachu. Cassie wciąż się musi mieć na baczności, kontrolować każde słowo ze skrupulatnością badacza, a mimo to, niestety, ciągle mówi mu niewłaściwe rzeczy.

Cassie koncentruje całą swoją moc, jakby uważała, że tym może wymusić na nim gesty czulej serdeczności, również i poza łóżkiem. Zwykle odruchy serca - uścisk, nieoczekiwany całus

— w pewnym sensie przypieczętowałyby ten jej związek bardziej niż zapierające dech uniesienia pod kołdrą. Ale nawet w te dni, kiedy Jake czuje się przy niej swobodnie, kiedy bosy chodzi po domu jak kot, wciąż trzyma ręce w kieszeniach dżinsów i milczy - unika wyznań. Gdyby go kiedyś złapali ci z Viet Congu, jego kamienna zatwardziałość doprowadziłaby ich do szaleństwa - myśli Cassie. Jake jest prawdopodobnie równie odporny na wodę, nieczuły na bat, obojętny na głód, ciemność czy

światło, jak na jej znaczące dotknięcia, spojrzenia i westchnienia. Nie potrafi wyludzić od niego jednego serdeczniejszego słowa, wyznania, i wstydzi się, że tak jej na tym zależy. Do czego to podobne, żeby odpowiedzialna kobieta, lekarka, specjalistka, z której zdaniem ludzie się bądź co bądź liczą, do której zanoszą modły pełne nadziei, chodziła na palcach wokół mężczyzny, co to nie zagrzewa nigdzie miejsca na dłużej i znika bez śladu? Boi się, że od niej ucieknie, jak to zrobił wcześniej, i że tak samo nie można mu ufać jak Alanowi albo Fitzowi. Myśl o tym, że znów zostanie sama, opuszczona i skazana na nowe polowanie, przyprawia ją o skurcze żołądka. Pewnej nocy, kiedy zbudziła się za plecami Jake'a, odurzona snem pocałowała go w plecy - leciusiętko, żeby go czasem nie zbudzić - i wyszeptała nieśmiało, jak wszystkie niepewne kobiety: „Chcę, żebyś był szczęśliwy”. I to nie było kłamstwo. Mimo tego, że spał i nie mógł jej słyszeć, musiała powiedzieć mu prawdę. Kiedy Mandy idzie na górę, Cassie nadal przygląda się Jake'owi - strzyże trawnik i wygląda tak samo, jak w dniu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Nie zmienił się ani trochę i wciąż nęka ją go stany depresji i okresy milczenia. Nie ma co narzekać - myśli Cassie. Przeżyli wspólnie także dobre chwile. Gra jej na gitarze, chodzi z nią do kina i na kolacje, zadowala ją w łóżku. Czego chcieć więcej? „Czego” - szepcze przy oknie, kiedy Jake i kosiarka znikają jej z pola widzenia.

Kończą skromną kolację, spaghetti z sałatą. Są sami, bo Mandy pojechała do koleżanki, choć to jej ostatnia noc w domu przed wyjazdem do Portland. Samolot Mandy wylatuje nazajutrz z rana, ale Cassie staje do operacji w szpitalu i nie może jej odwiedzić na lotnisko. Zaproponowała, że może Doug by ją odwiózł, ale - o dziwo - Mandy zadzwoniła do Tracy.

— Mandy uważa, że ciąża i małe dziecko to coś cudownego

— zwierza się Cassie Jake'owi przy kawie. — Nie jestem tym zachwycona.

Jake jak zwykle wzrusza ramionami.

— Przestań się martwić.

— A co, powinnam jej może pozwolić, żeby sobie urodziła

dziecko, żeby zabawiała się na prawo i lewo? Nie martw się! Dobrze sobie! Nie masz pojęcia, jak to jest! Jake garbi ramiona i marszczy gęste brwi. Skrytykowany kurczy się w sobie.

Cassie natychmiast przeprasza:

— Nie sprzeczkajmy się. Nienawidzę klótni. Nawet z Do-ugiem unikałam awantur. - I zbyt usilnie dbałam o to - myśli teraz z niechęcią — by łagodzić konflikty.

Jake ma ciemne oczy. Nie sposób zajrzeć w głąb jego serca. Nic nie odpowie. Dolewa kawy i opiera łokcie na stole. — Dlaczego tak mało z siebie dajesz? — wybucha Cassie.

— Twoim zdaniem, wszystko robię źle.

— Tego nigdy nie powiedziałam. — Dlaczego znowu dała się podpuścić? Z koleżankami i z pacjentkami w klinice rozmawia spokojnie i po namyśle; nie rzuca słów na wiatr. Ale przy Jake'u cała jest rozdygotana jak stary Chevy, rocznik 41. Nie może się powściągnąć, kompletnie traci rozum.

W dzbanku już nie ma kawy i Jake wstaje, żeby jeszcze zaparzyć. Może chce się napić, a może unika rozmowy? Cassie zakłada, że znowu robi unik, dlatego dziwi się słysząc:

— Wiesz, ciągle jesteś rozdarta między kliniką, swoją córką i przyjaciółkami, i nie masz dla mnie czasu. Nie masz czasu, żeby po prostu być razem, nigdzie nie pędzić. — W dzinsach, w roboczej koszuli i szerokim pasku przypomina Mela Gibsona, Kevina Costnera, Toma Cruise'a, wszystkich młodych gwiazdorów, którzy się jej podobają, choć prędzej by umarła, niż się do tego przyznała. Siedząc w ciemnej sali kina cofa się do młodzieńczych lat. Zaczyna marzyć jak nastolatka. Pewnie dlatego ma niespokojne sumienie. Co by na to powiedziała Barbara? A Jena? A te wojujące pacjentki, które zajadle walczą o prawo do swojego lekarza? Jake wraca do stołu i Cassie rozkoszuje się widokiem jego wolnego kroku. Jestem taka sama jak Nona - myśli z niesmakiem - taka jak April DeVito. Chodzę po cienkiej linie, wiszę wysoko na trapezie, gotowa jestem skoczyć wprost przed siebie, w pustkę.

— Muszę popracować nad Mandy - ciągnie. - Chcę. Ty straciłeś kontakt ze swoimi córkami, więc nie rozumiesz takich potrzeb. Twoje dziewczynki zniknęły jak nasiona dmuchawca

na wietrze. Nie przeczę, że być może bywam trochę nadopiekuńcza, ale jaki ty jesteś, Jake? Tatuś zrobił swoje i poszedł w siną dal. Dlaczego się z nimi nie kontaktujesz? Wyślij im list albo widokówkę, jeżeli trudno ci rozmawiać przez telefon.

- Wara od moich dzieci - mówi Jake opanowanym, chłodnym głosem, przypominającym niskie warczenie dobermana albo owczarka, który nie żartuje.

Cassie zdejmuje stopę ze szczebla pod stołkiem, na wypadek gdyby musiała szybko uciekać. Ze strachem myśli, że Jake mógłby ją uderzyć! Mógłby po prostu wyciągnąć rękę i trzepnąć ją w twarz. Kto wie, może nawet przyłożyć jej pięścią?! Czuje mrowienie w kręgosłupie. Ta chwila zawisa niebezpiecznie między tym, co było, i tym, co jeszcze będzie. Dziewczyny zakopane pod domem w Santa Monica też miały taki moment, kiedy panowanie nad sytuacją skurczyło się do grubości chirurgicznych nici. Naturalnie, jeśli Jake nawet uderzy ją w twarz, i tak nie robi jej fizycznej krzywdy. To znaczy, że mnie nie zabije - myśli Cassie. Czuje mdłości, gdy uświadamia sobie, że po ugotowanej przez siebie kolacji, siedząc przy kawie naprzeciwko mężczyzny, którego kocha, zastanawia się, czy ten jej mężczyzna jej czasem nie zabije.

Jake przerywa magię chwili; zapach siarki rozplywa się w powietrzu.

- Późno już. Pora, żebym ruszał do domu. To jest ostatni wieczór Mandy przed wyjazdem, więc pewnie nie chcesz, żebym ci się plątał po domu. - Co za miła wrażliwość.

- Nie bądź sarkastyczna, Cassie - odpowiada Jake smutno.

- Nie, zaczekaj! - Cassie zrywa się z za stołu. - Mówiłam szczerze. To naprawdę bardzo miłe... Okazujesz dużą wrażliwość, kiedy usuwasz się, żebym mogła spędzić ten wieczór z Mandy sam na sam. Cieszę się, że o tym pomyślałeś. - Cassie podskakuje po kuchni, ogarnięta nagłym fizycznym pragnieniem, żeby z nim być, ale wstydzi się i nie potrafi mu tego okazać.

Jake wali w stół zaciśniętą pięścią; szkło brzęczy.

- Do ciężkiej cholery! Nie jestem potworem! Możesz sobie myśleć, że jestem wielkim zerem, skoro wyjechałem z Teksasu, i rzeczywiście daleko mi do wzorowego tatusia...

To jeszcze nie koniec

470

- Nic podobnego! Jesteś cudownym mężczyzną. Bardzo cię cenię! - Weź mnie do łóżka - myśli. Tylko mnie weź do łóżka, wejdź we mnie, niech czuję, że do ciebie należę!

Jake aż trzeszczy ze złości.

- Cassie, denerwujesz się o Mandy, a ona denerwuje się tym, że jej mamusia ma gacha, z którym sypia regularnie i to w domu... - Obrzydliwie to nazwałeś! - wybuchła Cassie. Jake unosi górną wargę odsłaniając zęby. - Co powiesz na „mężczynę, który jej dotrzymuje towarzystwa”? Cassie opanowuje się szybko.

- Lepiej — kłamię.

- Doskonale. Cieszę się, że ci się spodobało. - Nakłada kurtkę. Cassie za nic na świecie nie chce, żeby teraz wyszedł. Nienawidzi ogarniającej jej paniki. Któregoś dnia Jake już nie wróci. No to co? Zostawi ją. I co z tego? Nie będzie jej lepiej samej?

Nie przeżyję tego, jeśli on odjedzie. Jeśli umrze. Nie przeżyję

— zaklina się w duchu, jakby przekonywała kogoś trzeciego. Ma nadzieję, że na jej twarzy nie widać śladu emocji, kiedy Jake otwiera kuchenne drzwi. Promień światła łamie się na zmatowiałej szybie. Jakiś spóźniony gość wyprowadza samochód z podjazdu Levinsonów. Tony znów wrócił? Zostaje z nimi?

Dzieci i mężczyźni, dwie stałe w życiu kobiety - myśli Cassie. Robi się jej jakoś lżej na sercu.

- Zadzwoń do ciebie jutro. Może powiedzieć nie. Ma wolny wybór. Nie jest skazana na Jake'a prawnymi więzami ani też taka głupia, żeby dać mu się bić. Co za pomysły! I jaki łatwy pretekst dla kobiet pokroju April. Cassie nie rzuca w nikogo kamieniem. O tak - myśli, zagładając mu w oczy, kiedy wsuwa się w jego ramiona i wciąga jego zapach niczym dzikie zwierzę, ale na miłość boską... - Dobrze - odpowiada, kiedy Jake odrywa usta od jej warg. - Zadzwoń jutro. - Rozchmurz się, Cassie.

- Próbuję. Nie będę cały wieczór rozmyślać i się zamartwiać. Jake pieszczodliwie dotyka jej włosów. Wciąż stoi w progu.

Najwyraźniej nie wychodzi z takim entuzjazmem, o jaki go posądzała.

- Czego ty chcesz, Cassie? Czego chcesz ode mnie?

Istnieje tyle różnych odpowiedzi, ale Cassie wybiera najprostszą, co jest zupełnie do niej niepodobne. Jake może się nie zmienia, ale ona chyba jednak tak.

— Nie wiem — mówi wysuwając się z jego ramion.

Tak się składa, że Tracy wygodniej odebrać Mandy z kliniki i stamtąd zawieźć ją na lotnisko. Niechże Bóg broni, by ktoś miał przemęczać ciężarną żonę Douga!

— Usiłuję przełamać lody z Tracy — oznajmia Mandy z nieco udawaną satysfakcją. — Chcę się z nią zaprzyjaźnić. — Aż gnie się w pasie pod tym słowem i Cassie mruga niespokojnie. - Tracy naprawdę dużo z siebie daje, mamó. W jej stanie. W jej stanie! To staromodne wyrażenie napelnia usta Cassie drobinami piasku. — Może odwiozę cię, zanim pojedę do szpitala.

— Odpuść sobie, mamó. Naprawdę. Masz swój plan dnia. Tracy to rozumie.

Tracy rozumie! Mandy tak to przedstawia, jakby operacja była towarzyskim spotkaniem, damskim brydżem, zebraniem w kole gospodyń miejskich. Cassie zaczerpuje tchu, a potem spuszcza parę.

„Wszystko jedno” Te dwa słowa zapożycza od Mandy, która używa ich, kiedy chce ją rozwścieczyć.

Nie ma powodu, żeby ściągać Tracy do gabinetu Cassie, ale tak jakoś wychodzi, że Tracy staje w progu.

Wygląda jak fregata ze wzdętym dziobem. Cassie patrzy na dziewczynę - młodość aż od niej bije - i czuje, że nigdy dotąd nienawidziła ciąży aż tak bardzo. Groszek w strączku, bułeczka w piekarniku...

Włosy Tracy prerafaelickimi kędziorami obramowują jej serduszkowatą twarz. Jakieś wewnętrzne światło rozjaśnia jej idealną cerę. Jest opalona jak Polinezyjka. Cassie gotowa jeszcze się zapomnieć i ostrzec ją o ryzyku zachorowania na raka skóry.

— Cześć, Cassie! Jak leci? - pyta Tracy i wpływa do gabinetu. Cassie już wstała z krzesła. A nich szlag trafi tę chęć, by do

ostatniej chwili siedzieć z Mandy. Mandy też się podnosi i jakoś nieprzyzwoicie długo zbiera rozrzucony po całym gabinecie bagaż: torbę na ramię, książki, puchową kurtkę, rękawiczki, egzemplarz „Mademoiselle”, torebkę domowych pierniczków i cytrynowych ciasteczek.

To jeszcze nie koniec

475

- Cześć Tracy.

- Maleństwo gotowe? - Tracy uśmiecha się do Mandy.

- Za dwie i pół sekundy.

Cassie chce jak najszybciej pozbyć się aktualnej żony Douga ze swojego gabinetu, nerwowo wyciąga ręce w stronę córki i pyta: - Pomóc ci?

Mandy, jakby na złość, wszystko robi wolno. Wygląda na to, że zaraz zabierze się za przepakowywanie torebki, że będzie w niej grzebać w nieskończoność. Najpierw szuka okularów przeciwsłonecznych, potem pyta: - Gdzie moja książka?

- Pod krzesłem. - Cassie pokazuje palcem.

- Co czytasz? - Ośmielona Tracy robi dwa kroki w przód. Jest jakoś nieprawdopodobnie rozdęta i Cassie zastanawia się, czy mimo tego, że nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, nie cierpi czasem na zatrucie ciążowe. A może bliźniaki? Nie, jeśli urodzi Dougowi bliźniaki, to już doprawdy będzie nie do zniesienia!

- Opowiadania Johna Cheevera. - A kto to taki?

- Mam go na liście lektur z literatury amerykańskiej - odpowiada Mandy spokojnie, bez żadnych podtekstów, w rodzaju: „ty, głupku”. - A ja właśnie skończyłam ostatnią książkę Jackie Collins. Mówię ci, bomba! *Tris sexy!* - Chichocze. - Gdybym miała głowę na karku, to bym ci ją przywiozła. Miałabyś co czytać w samolocie. - Ona naprawdę ma zęby jak kamienne nagrobki. Wielkie, olśniewające, zajmują zbyt dużo miejsca na twarzy. Zupełnie koński zgryz! Gdyby nie ten jej groszek w strączku, bułeczka w piekarniku, byłaby absolutnie wulgarna. Później, po czterdziestce, będzie mieć chude ramiona i długie, słupowate nogi w żyłakach. Cassie stwierdza z zadowoleniem, że pewnie nigdy nie będzie umiała się ubrać.

- Jeszcze tylko zrobię siusiu przed drogą, dobrze? - Mandy pyta matkę i Tracy, jakby któraś z nich mogła powiedzieć „nie”.

- Muszę już lecieć do St. John's - oponuje Cassie, ale Mandy wybiegła na korytarz, a Tracy, nie zważając na chłód Cassie, rozgaszcza się w gabinecie.

- Słuchaj, Cassie, skoro tu jestem i mamy chwilę czasu, czy mogę cię o coś zapytać?

Cassie nie potrzebuje kryształowej kuli, by wiedzieć, że Trący nie spyta o pogodę, tylko wyludzi od niej darmową poradę. Jak ona w ogóle śmie? Czy ta kobieta - dziewczyna! - nie rozumie, że stare, zużyte żony, bez względu na okoliczności, nie życzą sobie takiego kumplostwa? Czuje ból w szczęce, ale mówi:

- Naturalnie. O co chodzi?

Trący rozsiada się w foteli pacjentki i przysuwa się bliżej biurka. Cassie nie wie, czy też powinna usiąść czy może będzie lepiej, jak postoi. I w chwili, gdy dotyka już skórzanego fotela, Trący zaczyna zwierzenia.

- Wiesz, mam takie jakieś koszmarne sny. Prosto z rzeźni. Mówię' ci, to nie do uwierzenia!

Sny?

- Wszyscy mamy sny.

Trący rozkłada nogi, żeby wygodniej ułożyć wzdęte łono, i teraz, kiedy z przerażeniem w oczach siedzi naprzeciwko Cassie, wygląda jak zwykła, przestraszona, ciężarna kobieta.

Cassie próbuje spojrzeć na nią jak na swoją pacjentkę, zapomnieć, że ma przed sobą kobietę, którą zapłodnił mężczyzna, z którym sama ma dziecko. Żeby zerwać ze swoją małostkowością, nachyla się nad biurkiem i przymyka oczy - nie chce widzieć Trący zanadto wyraźnie. Ona z kolei przysuwa się jeszcze bliżej, tak że teraz dzielą je od siebie raptem centymetry.

Jesteśmy absurdalne — myśli Cassie, i ma uczucie, że ogląda tę scenę przez odwrotny koniec teleskopu wycelowanego prosto w jej gabinet. Żona numer jeden z żoną numer dwa.

- Wszędzie jest pełno krwi. Widzę wielkie czerwone kałuże. Naprawdę przerażające - opowiada Trący oblizując czerwone usta, które nie schodzą się do końca nad tymi niemożliwymi zębami.

- Opowiedz to swojemu położnikowi, jeśli niepokoją cię aż tak bardzo — radzi Cassie, doskonale rozpoznając wagę problemu. Trący ma powód do zmartwień. Nie jest przecież aż tak niebotycznie głupia, żeby zawracać jej głowę byle czym. To dlatego - Cassie już wreszcie wie - dlatego właśnie Trący chciała przyje-

chać po Mandy do kliniki. Czy to pospieszne wyjście do łazienki też ma z tym jakiś związek? Czyżby jej córka zachowała się jak zdrajczyni i specjalnie zostawiła ją z sam na sam z drugą żoną ojca?

- Nie mogę - odpowiada Trący. - To jeden z tych ambitnych doktorków. Tylko wypycha pierś, żeby mu prezydent czy ktoś tam inny przypiął do niej medal. Sztywniak. - Marszczy zadarty nos. - Doug nic tylko mówi, że muszę mieć to, co najlepsze. Niech to szlag! Wygląda na to, że za chwilę kupi mi Mercedesa!

- Nie przypuszczam... - Cassie usiłuje dać Trący do zrozumienia, że nie nadaje się na jej powiernicę, że wcale nie ma ochoty tego słuchać, ale Trący już rozwija żagle i płynie unoszona słowami: - Klepie mnie po głowie i naśmiewa się z lęków ciężarnych. Mówi, żebym się nie martwiła. Nienawidzę, kiedy ktoś naśmiewa się z moich strachów. Może to całkiem naturalne chodzić w ciąży i urodzić dziecko, ale ja tego jeszcze nigdy nie robiłam! To nie jest jazda na wrotkach po deptaku, co nie?

Niestety Cassie świetnie rozumie, jak Trący się teraz czuje. To, że kobiety od początku świata rodziły dzieci - w jaskiniach, na polu, w domu przy położnej, same, w salach porodowych, w taksówkach, autobusach, samolotach, pociągach i na autostradach w godzinie szczytu - nie ma żadnego znaczenia. Rodzenie dziecka jest naturalną kolejną rzeczą, wydarzeniem nierozzerwalnie związanym z cyklem życia, ale dla każdej kobiety jest też czymś bardzo niezwykłym, przeżyciem jedynym w swoim rodzaju, nawet jeśli rodzi już po raz dwunasty. Tylko mężczyzna może próbować sprowadzić ciążę do zwykłych zjawisk, czegoś, czym w ogóle nie warto się przejmować.

Cassie nie ma wyboru. Jest lekarką, ale jest też po prostu ciekawa.

- Co jest w tych snach oprócz krwi? - Łamie się w końcu.

- To właściwie jest jeden sen, tylko w różnych ujęciach. Jakby kamera łapała za każdym razem inny fragment tej samej sceny. No wiesz, raz z tej, raz z tamtej.

Cassie przypomina sobie, że Trący otarła się o przemysł filmowy, zanim Doug nie wyzwolił jej z pogoni za pracą. Wybawił od kanapy w przedpokojach wytwórni filmowych

- myśli Cassie ze złośliwą satysfakcją, ale ta długofazowa antypatia do Tracy - której nie lubi dla zasady - ku jej ogromnemu zdumieniu, nawyrażniej zanika.

- Jestem w białym pokoju. Wszystko jest białe: podłoga, sufit, ściany - zaczyna Tracy i opowiada swoją wersję wczesnego Bergmana. - Nie ma tam nic kolorowego.

- Nie wszyscy śnią kolorowe sny. Tak naprawdę, kolory we śnie należą do rzadkości.

- Różne rzeczy śniły mi się przed ciążą, ale teraz wszystko jest czarno-białe.

- Mów dalej. - Operacja czeka w St. John's, godzina odlotu Mandy staje się coraz bliższa. Cassie czuje pokusę, żeby umówić Tracy na wizytę, ale to by znaczyło, że będzie ją znów miała w swoim gabinecie i będzie musiała założyć jej kartę. Tracy Morgan. Pani D.Tracy Morganowa. Na pewno ktoś skojarzy to nazwisko i w najlepszym razie powie: „Hej, Cassie, a to ci zbieg okoliczności!” Nie! Lepiej ją trzymać od kliniki jak najdalej. - Leżę naga na czymś w rodzaju hamaka, który zwisa z sufitu i jakaś maź płynie mi po nogach i wpelza na brzuch. Lee! Zimna i śmierdząca. - Maź? Jakiś płyn?

- Tak, to nie jest tylko maź. Widziałaś *The Blob*. - Cassie potrząsa głową. - No, wszystko jedno, to jest trochę podobne, ale to coś żyje. Ma taką głowę jak w *Obcym* i wygląda jak zombi. Uff! - Teraz Tracy kręci głową, blednie. - I ma oczy. - Oczy?

- Jest zielony...

- W czarno-białym śnie?

- Wiem, że jest zielony. Czuję to. Jest nawet dość wesoły, tylko okropnie się go boję, zwłaszcza jak wpelza mi na piersi i sunie do gardła...

Tracy robi się mlecznobiała, a nad jej brwiami widać kropelki potu. Cassie szybko wstaje z fotela.

- Nie mów już o tym. To tylko sen, prawdopodobnie projekcja strachu związanego z urodzeniem dziec...

Tracy za bardzo się rozpędziła, nie może zamknąć ust, dopóki nie wyrzuci z siebie wszystkiego do samego końca.

- A potem siedzi mi na ustach. Takie drobne obślizgłe

rzeczy wciskają mi się w usta, w dziurki od nosa. Co to za wstrętny smak, o matko!, jak psie gówna...

Oczy Trący rozrastają się do ciemnych księżyców, które wiszą nad jej policzkami.

- O Boże, zaraz zwymiotuję! - Próbuje jedną ręką wyswobodzić się z fotela, a drugą zasłonić usta.

- Nie! Zaczekaj! - krzyczy Cassie, sięgając pod biurko po metalowy kosz na śmieci. Ale za późno. Trący łamie się w pół i wyrzuca z siebie ciemnoróżowe wymiociny prosto do metalowego koszyka na biurku Cassie.

V^iem, że tak będzie najlepiej.

- Dla kogo? Dla ciebie? Przyczepa w Nowym Meksyku? W jakimś wymarłym miasteczku?

Cassie rozkłada się byle jak na kanapce w sypialni Ewy i patrzy, jak przyjaciółka się ubiera. Jest w ponurym nastroju, tak ponurym jak gasnący za oknami dzień. Dziś kończy pracę wcześniej, ale znów nie na tyle, żeby nie wrócić jeszcze do kliniki, gdzie ma umówione spotkanie z panią Holland. Pani Holland jest jej wierną pacjentką od samego początku, od kiedy Cassie, Barbara i Jena założyły Magdalenę. Zawsze pani Holland, nigdy Elizabeth. Pani Holland ma fiołkowe oczy, konwaliowym talkiem pudruje sobie wszystkie pęknięcia na ciele i ma jajniki zaatakowane rakiem drugiego stopnia. Choć sześćdziesiąt procent pacjentek przeżywa newralgiczny pięcioletni okres rekonwalescencji po usunięciu śluzowego raka torbielowatego, pani Holland jest nad wyraz krucha. Przekroczyła siedemdziesiątkę i gaśnie. Jest drobna jak ptaszek i ma „ten wygląd”.

Cassie nigdy z nikim nie rozmawia o wyglądzie. Koleżanki lekarki zaraz zarzucą jej, że wróży z fusów, ponosi ją wyobraźnia i prezentuje zupełnie nieprofesjonalny stosunek do pacjenta i choroby. Cassie nie chce, żeby ją wyśmiały. Jeśli zaś idzie o laików, to nawet najlepsze przyjaciółki obruszą się, jeżeli Cassie, medyk całą gębą, wywali im na stół, że śmierć kładzie się na kimś cieniem.

Cassie widzi to piętno. Widzi tę szarość, kiedy pani Holland szykuje się do zabiegu chemicznego. Ta szarość zaćmiewa jej źrenice i jeśli nawet na chwilę znika, po jakimś czasie znów wraca. Cassie wie, że w ciągu najbliższych miesięcy ten cień się pogłębi,

aż wreszcie pani Holland będzie już na stałe nosić na sobie - niczym biżuterię - symptomy nadchodzącej śmierci. - Cass!

Tak, można powiedzieć, że słusznie nazwano ją Cassandrą. Wstyd jej. Przeczucia są czystą bzdurą. Jakie to nienaukowe! Nie ma w wyglądzie pani Holland nic szczególnego. Pani Holland ma całkiem duże szanse, żeby żyć. - Cassie, ocknij się wreszcie. Znowu gdzieś odpłynęłaś. - Myślę o pacjentce. - Jeszcze analizuje wszystkie „za” i „przeciw”. - Nic mi o tym nie mów.

Od czasu histerektomii Ewa unika złych wiadomości, nie chce wiedzieć, że trzeba coś wyrwać z ciała, wyciąć, pokroić. Stroni od komplikacji, chce mieć święty spokój. To budzi w Cassie podejrzenia. Nie umie zdefiniować tej zmiany w Ewie, powiązać jej z organiczną przyczyną.

- Żeby się przeprowadzać tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, wskrzeszać umarłe ulice jakiegoś zrujnowanego miasta...

- Wielkie rzeczy! — przerywa Ewa. — Może się nie uda, ale możemy spróbować.

- Johnny tak, ale ty?

- Och, Cass, najpierw byłam hipiską, paliłam trawkę i cały swój majątek nosiłam w plecaku. Szłam za Jordanem jak wierna Rut czy Naomi. Która tam z tych biblijnych kobiet wiernie towarzyszyła mężowi? Potem wyszłam za mąż za mojego Niedźwiedzia, który był dwa razy starszy ode mnie, aż wreszcie pod wpływem kaprysu wyszłam za Williama - groszem wtedy nie śmierdział. A jeszcze później zawarłam ślub z agencją nieruchomości. Teraz kolej na Johnny'ego i wyprawę w pustynię. To wszystko jest to samo, tylko w innej postaci. - Nie chcesz, żeby Johnny pojechał bez ciebie - chytrze zauważa Cassie.

- No to mnie zastrzel.

- Jedź sobie, jedź. Czuję się nieszczęśliwa, że wyjeżdżasz, ale to egoizm. Moje życie tak bardzo się z tobą łączy.

- Nie próbuj wzbudzić we mnie poczucia winy, że uciekam od przyjaciół i odrzucam, jak ostrzegął mnie kochany Tytus, wysoce lukratywną karierę.

To jeszcze nie koniec

478

- A co mówią twoje siostry? Że chyba oszalałaś, co? Ewa wybucha śmiechem.
- Mam to w nosie. - Zdejmuje z wieszaka białą sukienkę w maki. - Spójrz no, może powinnam ją włożyć? Nona mi ją wybrała. Podoba ci się?

- Nona i jej wybory! Nie. Maki przypominają mi handlarzy narkotyków.

Ewa odwiesza sukienkę do szafy.

- O, Boże! Ale jesteś w nastroju! A co powiesz na czarne spodnie i koszulę?

- Nie mogę w ciebie wpierać, że zwariowałaś. To nie *fair*.

- Ja też będę za tobą tęsknić. Ale ty będziesz przynajmniej miała Nonę. No i masz przecież Jake'a.

- Masz Jake'a! Zupełnie jakby był przyprawą do sałaty! Coś takiego! Poza tym to nie to samo. To ma zupełnie inny wymiar niż nasza przyjaźń. — Och! — Cassie przytyka pięści do oczu. — Zaraz się straszliwie wyglupię i chyba zacznę beczeć.

Ewa nie jest aż tak przygotowana na koniec tego życia i początek romantycznej przygody u boku Johnyego, żeby ocierać łzy z oczu Cassie. Tak, rzewne rozstania sprawiają jej ból, choć w rzeczywistości spędzi jeszcze dobrych kilka tygodni w mieście. W ostatniej chwili, kiedy już wsiada do samochodu, kiedy ściskają się mocno z Cassie - ich perfumy mieszają się ze sobą - kiedy czują, że nadchodzi kres ich bliskiej przyjaźni, Ewa ma ochotę ryknąć gromkim szlochem.

- Będę tu wracać na urlopy - obiecuje myśląc, mając nadzieję, że w końcu to miasto zacznie ją niepokoić przez to, że będzie jej znajome i obce zarazem. Bo tak naprawdę, to wcale nie podchodzi do wyjazdu z L. A. aż tak nonszalancko, jak to udaje przed Cassie. Okazuje się, że nie jest jej łatwo porzucić dobijania targu, oprowadzania klientów po domach i odnoszenia sukcesów. Sądziła, nawet po operacji — o tym okresie myśli teraz jako o momencie gubienia równowagi - że ma w sobie jakiś silny mięsień, który steruje jej emocjami i nie pozwoli już na żadne zmiany. Nieprawda. Chce pojechać z Johnnym i, ku swemu zdumieniu, zdecydowała się na trwały związek. Ale uczciwy, bez tego fałszu małżeństwa z Williamem! Tylko, Boże drogi, była już tak blisko zdobycia gabinetu Tytusa!

— I nie zapominaj, że musisz z Jake'em przylecieć do Nowego Meksyku — ciągnie Ewa układając plany na przyszłość. Chce tym podnieść na duchu i siebie, i Cassie.

— Wsiądziemy na konie i pojedziemy gdzieś w kaniony. Rozchmurz się, Cass! Pomyśl o tych piknikach i zachodach słońca!

Cassie ciągnie nosem i uśmiecha się słabo. Nie chce mieć Ewie za złe, że jest taka szczęśliwa, ale nic na to nie może poradzić.

— Po prostu trudno mi sobie ciebie wyobrazić w tak prymitywnych warunkach.

— Tylko przez jakiś czas. — Ewa się śmieje. — Nie mam zamiaru na zawsze wracać na łono dzikiej przyrody. Poza tym jadę tam w interesach. Nie zapominaj o tym.

— Bardzo ryzykownych, moim zdaniem. Ale w końcu, ja się na tym nie znam.

Cassie dyskretnie powstrzymała łzy ligninową chusteczką. Łzy zawsze sprawiały, że obie z Ewą wpadały sobie w objęcia, pocieszały się nawzajem dotykiem, kieliszkiem czegoś mocniejszego albo gorącą herbatą. Teraz jednak te łzy wprawiają je w zakłopotanie. Materiał, z jakiego utkana jest ich przyjaźń, zaczyna się przecierać. Nagle nie wiedzą, co sobie jeszcze powiedzieć. Ewa opowiada o tym, jak to JoAnne przyjechała w odwiedziny do Filadelfii, kiedy ona z Jordanem zatrzymali się na kilka tygodni w domu jego matki.

„Szpieg zrzucony na terytorium wroga”, tak ją pół-zartem nazwał Jordan, opętany swoją paranoją. Cassie pamięta tę historię jeszcze z dawnych czasów, ale nie chce, by przyjaciółka zmieniała temat. Ewa porusza się teraz lekko, tanecznie, lżej niż przez te wszystkie lata, odkąd Cassie ją zna. Cassie leży na kanapie, słucha i odpływa niesiona wyobraźnią, zupełnie jak dziecko tuż przed zgaszeniem światła. To nie wymaga od niej wysiłku. Zdecydowanie woli jednym uchem słuchać historii sprzed lat, niż myśleć o Ewie w Nowym Meksyku. Albo o pani Holland. Czy Nonie. Nona zachowuje się ostatnio jakoś zbyt dziarsko i zbyt normalnie. Przypomina Cassie stan przedrakowy, którego nie można spuścić z oka.

Ale najgorszym wspomnieniem jest obraz miotającej się Trący, dyszącej, szlochającej, spoconej, która czekała na jakieś pocieszenie. Spodziewała się, że Cassie wyjaśni jej koszmarne sny, zupełnie

To jeszcze nie koniec

483

jakby Cassie miała w sobie boską moc i poza leczeniem fizycznych dolegliwości umiała interpretować znaki.

Czy te sny związane są z Dougiem, z czego Trący podświadomie zdaje sobie sprawę?

Cassie chce zapomnieć o zielonkawej twarzy Trący, ale obraz nie znika przed jej oczu. Idź porozmawiać ze swoim lekarzem, z mężem, ale nie ze mną!

Tyle różnych spraw. Dżungla wątków. O ile bardziej uporządkowane jest teraz życie Ewy, kiedy wszystko wychodzi na prostą. - I wiesz, dobrały się jak w korcu maku! Bez przerwy gadały o burzach i ogrodzie, zupełnie jakby moja siostra była ogrodniczką i miała pola obsiane roślinami! Ale to cała JoAnne! - opowiada Ewa, wciąż jeszcze, po dwudziestu latach, oburzona, że JoAnne tak szybko znalazła wspólny język z jej teściową tego dnia, kiedy wpadła do nich na herbatę.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za jakieś sześć tygodni, może dwa miesiące. Wiele tam trzeba najpierw przygotować. Tu zresztą też jest co robić. - Może urządziłybyśmy sobie jakąś pożegnalną kolację połączoną z urodzinami Nony?

Czterdziestka jej stuka. - Rycząca czterdziestka. Wielkie rzeczy! - Ewa poklepuje się palcem po nosie. - Czemu nie? Ale nie sądzisz, że dla Nony powinnyśmy zaprosić co najmniej pluton żołnierzy, zamówić orkiestrę filharmoników i wymalować odświętnie ściany? Nie trzeba jej teraz dużo szumu i krzyku?

- Trudna sprawa. Może wielka gala byłaby najlepszym rozwiązaniem, ale co będzie, jeśli nie? Co będzie, jeśli to ją wpędzi w jakąś depresję? Hm... Wolalabym coś bezpieczniejszego.

- Jak zawsze - rzuca Ewa ostro, ale z uśmiechem, żeby nie urazić przyjaciółki.

Ewa jest wreszcie gotowa i Cassie idzie do łazienki ochłodzić zimną wodą rozognione policzki. Woła przez otwarte drzwi: - To oszczerstwo. Od czasu do czasu zdarza mi się zrobić coś szalonego. - Broni się. Nie chce uchodzić za nudną piłę, choć boi się, że to niestety prawda. - Nie jestem taka zupełnie zwyczajna.

- Oczywiście, że nie, kochanie. - Ewa zjawia się w lustrze. - Jesteś kimś bardzo szczególnym.

- O tak, nad wyraz! Wszyscy jesteście szczególni.

Leonard i Howard, chociaż nie pojawiali się w sklepie tygodniami, nagle zagląдают tam przez dwa dni z rzędu. Kolejnego przedpołudnia Howard przyjeżdża sam. Nona dobrze odczytuje znaczenie tej wizyty. Wydarzenia są jak liście herbaty na dnie filiżanki. Co też on ma właściwie na myśli, mówiąc, że: „Ten sklep jest naprawdę sympatyczny. Ma właściwą atmosferę. Leonard twierdzi, że ma klasę, ale są przecież inne ekskluzywne sklepy, w których człowiek dostaje gęziej skórki i ma ochotę wytrzeć nogi przed wejściem. Nie o to nam chodzi we Florze. Kobiety mają pełne prawo czuć się swobodnie, kiedy rozstają się z pie-

niedzmi. Kto chciałby zostawić w sklepie pięćset dolarów i czuć się jak kompletny śmieć?"

Howard opiera się mocno o ladę, której brzeg wpija się w jego potężny brzuch. Ale on nawet tego nie zauważa. Wisi nad kontuarem, odwrócony do Nony. Nona słyszy, jak Lorraine, kropla po kropli, sączy jad w jego ucho, opowiada mu kłamstwa, zmyśla jak najęta; wypływa z siebie te potworne plotki, wyczytane w „Insiderze”. Teraz Howard podchodzi do niej, ze ślinką na ustach. Gorąco jego miętowego oddechu pali pożądanie wiszące w powietrzu. Nona może się tylko uśmiechnąć. Tyle w niej szczeroci i życia co w manekinie, ale ruch jej ust powoduje, że duże, obwisłe uszy Howarda płoną czerwonym rumieńcem.

Howard jest słonikiem Dumbo - słodki, gruby, niezbyt mądry, noga w interesach. Leonard trzyma kasę, Howard tylko idzie jego śladem. Ale to Howard zawiaduje finansami rodziny i on podpisuje czeki. Leonard nigdy nie pyta go o zdanie, jednak gdy tylko Howard wystąpi z jakąś propozycją, Leonard przechyla głowę - małe jabłuszko na prostej łodyżce - i słucha w skupieniu. Stojąc za ladą, Nona nie zapomina o tym wszystkim, gdy tymczasem Howard zastanawia się głośno, czy nie byłoby dobrze zorganizować jeszcze małego kącika z butami. Co Nona o tym sądzi?

- Właśnie się wybierałam na lunch, Howardzie. Może omówimy to nad talerzem? Jeśli miałbyś ochotę wybrać się ze mną. - Nona wsuwa czubek języka między zęby; ten różowy czubek tańczy jak małe zwierzątko. Przez całe życie nigdy nie zachowała się podstępnie, ale też i nie spała nigdy snem sprawiedliwych. On patrzy na nią, a ona dobrze wie, co robić. Umie zmrużyć oczy jak najlepsza *femme fatale*, zatrzepotać rzęsami, wypchnąć biust pod właściwym kątem. Umie westchnąć głęboko i tak się pochylić, by Howard dostrzegł głęboki rowek między jej piersiami. Nona potrafi uwieść faceta na jedną noc czy na tydzień. Jej niepowodzenia wynikają z faktu, że wierzy w miłość, w uczciwość i nie potrafi wykonać właściwych figur z łatwością i swobodą tancerki na lodzie. Nie umie posunąć gładko i godnie, a potem zniemacka gwałtownie się obrócić i zawirować w zapierającym oddech piruecie. Ale Howard jest zbyt naiwny,

żeby odróżnić prawdziwą uwodzicielkę od amatorki. Oblewa się rumieńcem, czerwony jak piwonia.

- Będę bardzo szczęśliwy.

- Wezmę tylko torebkę z zaplecza. Howard jest dżentelmeński.

- Nie spiesz się - mówi, a Nona nagradza go wilgotnym uśmiechem. Delikatnie muska też grzbietem dłoni rękaw jego marynarki.

- Nie jestem ci potrzebna - oznajmia Nona wychodzącej z łazienki Lorraine. Mae, starsza od nich sprzedawczyni, która pracuje tu wieczorami i w czasie weekendów, przyszła dziś pomóc przy wyprzedaży i wesprze Lorraine, jeżeli w sklepie zrobi się przedobiedni tłok.

- Ja o tym decyduję - prycha Lorraine. - Poza tym, właśnie wybieram się na przerwę. Ty zostaniesz z Mae.

- Jasne. - Nona unosi brwi i robi sympatyczną minę. - Powiem tylko Howardowi, żeby poczekał, aż wrócisz. Nie zawadzi, jak się tu trochę pokręci.

- Idziesz z nim na lunch? Dlaczego? - Lorraine wpada w panikę. Policzek zaczyna jej pulsować. Jak zwykle węszy zdradę.

- Dlaczego? - dziwi się Nona niewinnie. - Bo mnie zaprosił.

Nona przekonała Lorraine, że to Howard wystąpił z zaproszeniem, co więcej, zanim kelner przyniósł im sałatki, zdążyła też wmówić w Howarda, że wspólne wyjście na lunch było jego wspaniałym pomysłem.

- Tak się cieszę z tych kilku chwil sam na sam z tobą, Howardzie. Nie mogłam się już doczekać, kiedy wreszcie będziemy mogli spokojnie porozmawiać. - Rzęsy Nony niby pająki przysiadają na jej policzkach. Howard puchnie z dumy.

- Obydwaj z Leonardem zawsze chętnie wesprzemy radą, wysłuchamy sugestii albo, uchwaj Boże, skarg.

- To zupełnie cudowne, Howardzie. Doceniam w pełni fakt, że mam takich wyrozumiałych szefów.

Bardzo was obu cenię, ciebie i Leonarda. - Oblizuje wargi. - A zwłaszcza ciebie.

- Mnie? Dlaczego? - pyta Howard całkiem odurzony. Żadna kobieta, nawet żona, którą poznał jeszcze na uniwersytecie, nie powiedziała mu nigdy „zwłaszcza ciebie”. Czuje teraz mrowienie w żołądku, jakby zawisł gdzieś wysoko na linie.

- Dlaczego ciebie? - Nona śmieje się. - Bo jesteś ciepły, dobry. Nie chcę powiedzieć, że Leoanard nie jest wspaniałym pracodawcą, ale ty... — Jej westchnienie napina jedwab bluzki na piersiach. - Ty jesteś inny... - kończy szeptem, a Howard, jak pajacyk na gumce, niemal leży wyciągnięty nad stołem. Kiedy Nona podnosi wzrok, widzi swoje pomniejszone odbicie w jego źrenicach.

Howard ma kompletny zawrót głowy. Jego wnętrzności zostały wyrwane z korzeniami i leżą już gdzieś na podłodze. Pragnienie i żądza, obietnica romansu i przygody tańczą indiański taniec w jego sercu.

Jest zupełnie zwykłym mężczyzną; na brodzie widać mu szramy po zacięciach przy goleniu. Rozdyma go nadwaga i już niebawem czeka go transplantacja włosów. Chodzi jak kaczką, a jego obfite biodra wypychają spodnie drogiego garnituru. Ale poza tym naprawdę jest ciepły i dobry. Nona nie kłamała, kiedy to mówiła, choć w błyszczącym świede baru widzi w nim raczej wygodny przedmiot niż mężczyznę.

Nona przyozdabia komplementy nową porcją wilgotnych westchnień i powłóczystych spojrzeń. Raz czy dwa jej palce muskają jego dłoń.

- Nie chciałabym być nielojalna... Myślisz, że zdradzam Lorraine? Ale czy uważasz, że to w porządku przyjmować w upominku sukienkę od dostawcy? Może jestem głupia i nie ma w tym nic nieetycznego... - Zawiesza głos, żeby oblizać dolną wargę, i dobrze wie, że „głupia” to ostatnie określenie, jakie przychodzi Howardowi do głowy, kiedy na nią patrzy. - Naturalnie nie mogę przysiąc, że Lorraine wyświadcza mu za to jakieś przysługi, że na przykład przyjmuje od niego niewłaściwe zamówienia. Jednak sam wiesz, że ta jego bluzka z chińskiej krepy wisiała u nas bez końca. Nawet po obniżeniu ceny o połowę nie mogliśmy się jej pozbyć. - Waha się chwilę, a potem szepcze jak spiskowiec: — Była źle skrojona.

Howard potakuje w milczeniu. Na jego pulchnej twarzy

widać skupienie i powagę, jakby był rasowym hadlowcem, a to przecież nieprawda. Ze wszystkich jego inwestycji Flora jest najmniej udana - przez większą część roku niebezpiecznie balansuje na granicy opłacalności. W gruncie rzeczy Leonard od dawna namawia go na zlikwidowanie tego interesu, ale Howard po prostu lubi swój sklep.

„Nie możemy dokładać do niedochodowego sklepu” - ostrzegął Leonard przeglądając księgowość.

- Naturalnie, gdyby nim pokierować właściwie... - Howard myśli głośno, tonąc w oczach Nony i nic się nie bojąc nadciągającej fali. Czyżby Lorraine fałszowała księgi? Ubijała własne interesy na boku?

- Ricardo pozwala jej zatrzymać dla siebie sukienki z kolekcji pokazowej. Takie, których jeszcze się nie nosi, bo to nie sezon. Z początku nie sądziła, że tak będzie zawsze, ale zostawił jej przedtem i teraz też to zrobił. Nie uważasz, że to niezmiernie dziwne? - Za darmo?

Nona unosi brodę jak dziecko, które nie chce dać jednoznacznej odpowiedzi.

- Nie jestem pewna, ale na to wygląda.

- Nie możemy działać pochopnie. Być może dostaje od niego jakiś rabat. W tym interesie rabaty to chleb powszedni

- mówi Howard i odważnie wyciąga rękę, żeby poklepać dłoń Nony. Chciałby temu nadać wujowski charakter, ale to się nie bardzo udaje.

- Och, Howardzie, zawsze chcę o ludziach myśleć jak najlepiej!

- Naturalnie, że tak. Masz złote serce.

- Być może Lorraine tylko się przechwala, że dostała od niego dwie drogie sukienki. Zresztą, nawet jeśli nie zapłaciła za nie ani grosza, to jeszcze nie znaczy, że przyjmuje od niego niewłaściwe zamówienia. Ale te bluzki! No i zjawily się też w sklepie spódnice, które jak na Florę są za bardzo krzykliwe. Drapowane, a tu mają diamentowe broszki. - Nona podnosi się na krześle, żeby unieść biodro do poziomu stołu, a kiedy to robi, jej piersi przypominają krągłe i dojrzałe brzoskwinie.

- I Howardzie... - Nona pochyła się nad blatem i zbliża twarz

do wiszącej głęboko nad stołem głowy nieprzytomnego mężczyzny; są tak blisko siebie, że mogliby się całować. - Howardzie...

— szepcze Nona — one są z atlasu.

— Z atlasu? — pyta Howard konspiracyjnie przyciszonym głosem.

— Nie powinniśmy sprzedawać atlasu. To zupełnie nie w naszym stylu.

— Nie, nie. Atlas jest fatalny - Howard zgadza się bez zastrzeżeń, gotów w tej chwili głosować za wojną nuklearną czy masowym mordem, za czymkolwiek, czego zażyczy sobie Nona, kiedy tak patrzy na niego tym słodkim spojrzeniem i rusza różowym jęczyzkiem.

— Wiedziała. Wiedziała, że mnie zrozumiesz. — Nona wsuwa skurczone palce w spoconą dłoń Howarda. Howard czuje, jak jej drobne palce dotykają jego linii życia, i mało co nie dławi się z wrażenia.

— Porozmawiam z Leonardem.

Nie wiem, jak długo. — Cassie zawiesza głos. Spogląda w stronę drzwi i łuku między jadalnią i bawialnią. Widzi kanapę i marchewkowe loki Trący. - Tak, kochanie - mówi do słuchawki. „Kochanie” ledwie przechodzi jej przez zaciśnięte gardło. Nie pasuje do Jake'a, ale on nie zwraca na to najmniejszej uwagi.

— Wiem, że Santa Monica Fourplex gra tylko jeden wieczór w Three Stooges. Może zdążymy, a zjemy po koncercie. - Słucha, zagryza wargi, przestaje, próbuje rozluźnić napięte ścięgna szyi. Czy on nigdy nie przestanie narzekać? Im szybciej skończą tę rozmowę, tym szybciej splawi Trący i będzie mogła wyjść z domu. Jego złość jest jak suchy lód. Tak, oczywiście on temu zaprzecza, ale jest jednak na tyle wściekły, że Cassie nie robi to już żadnej różnicy. Nie, on nie wybucha szaleńczym gniewem ani też nie zamierza podnieść na nią ręki — zdecydowanie poniosła ją wtedy fantazja - ale, kiedy ma jej coś za złe, cofa się w głąb żółwiej skorupy. Kulturalna wersja przyjacielskiej potyczki - myśli Cassie, gdy Jake oznajmia, że kolację zje sam, pójdzie sobie do kina, obejrzy telewizję i zobaczą się dopiero w sobotę.

— Nie zapraszałam jej tutaj, jak wiesz — Cassie prawie jęczy. A wszystko przez te głupie Three Stooges. Jakby nie było o co!

— Wypraw ją do domu.

— Nie można nikogo tak po prostu wykopać za próg.

- Zona byłego męża może być jednak wyjątkiem - myśli Cassie.

— Zobaczmy się w sobotę. Gram w Inglewood u Goodwina.

— Doskonale. — O matko, jeszcze jeden wieczór w jakimś ponurym barze przy jednym jedynym kieliszku wina, bo przecież prowadzi... I to czekanie na przerwy, a potem na drugą w nocy, kiedy już pora, żeby iść do domu. — Do soboty.

„Za długo. Będę za tobą tęsknić” - szepcze Cassie w niemą słuchawkę.

Trący zachowuje się jak grzeczna dziewczynka z przyklasztornej szkoły.

— Mam nadzieję, że nie burzę twoich planów na dzisiaj

- przeprasza. - Powinnam była najpierw do ciebie zadzwonić.

— Nic nie szkodzi. Nie przejmuj się - kłamie Cassie i macha rękami. Żałuje, że nie ma czarodziejskiej różdżki, która by jednym ruchem uwolniła ją od Trący. Co ona tu właściwie robi?

— Doug pracuje do późna i ja się tak objam. - Trący wzrusza ramionami, a jej kościste łokcie unoszą się jak skrzydła.

— Pracuje do późna. — Cassie pamięta to ze swojego małżeństwa.

— Wybrałam się po lody jogurtowe. Mam takie zachcianki. Ale nie na kwaśne ogórki, tylko na lody jogurtowe. Morelowe z karmelkową polewą. Cassie się krzywi. — I posypane tartą czekoladą.

Pyta, czy mam takie w lodówce? - zastanawia się Cassie i wstaje z fotela na biegunach — to bujanie zaczęło jej nagle przeszkadzać, poczuła się jak matka przy nadziei. Siada na fotelu przy kanapie. Obicie tych dwóch mebli gryzie się bardziej niż zazwyczaj. Naprawdę musi się wziąć w garść i zadbać o ten pokój, bo przecież nigdy nie przywyknie do pasków w sąsiedztwie buńczucznie kwiecistego wzoru.

Trący nie zauważa chyba żadnej dysharmonii, ale na dobrą sprawę w ogóle nie patrzy na pokój. Gdyby to Cassie trafiła do

domu pierwszej żony swego męża, zapamiętałaby każdy najmniejszy szczegół, wchłonęłaby w siebie atmosferę wnętrza. Wciągałaby zapach głęboko w płuca, żeby potem, na spokojnie, porównać rzeczywistość z wyobrażeniami. Ale może Trący nigdy nie była ciekawa pierwszego domu Douga. Cóż może znaczyć jego dawne życie dla długonogiej dziewczyny, która nosi swoje pierwsze dziecko, mieszka nad brzegiem oceanu i marzy, żeby wrócić do dawnej figury?

- No i smakowały ci? - pyta Cassie, krzyżując nogi. Prostuje plecy, składa ręce na podolku, usiłując przybrać swobodną postawę. Nie wie, że wygląda teraz jak dyrektorka liceum Trący. Od razu lepiej by się poczuły, gdyby Cassie rozparła się wygodnie w fotelu, przerzuciła nogę przez oparcie i zupełnie się rozluźniła. I niby dlaczego nie? W końcu to jej dom. W połowie. Druga połowa należy do Douga, to znaczy, że w jednej czwartej do Trący.

Cassie nie słyszy odpowiedzi, tak jest wstrząśnięta odkryciem, że zajmuje część własności Trący.

- Słucham? - Mówiłam, że nie dojechałam do Penguina. Przejeżdżałam tędy... — Nie ma tu, o ile Cassie pamięta, żadnego sklepu, budki czy nawet stoiska z lodami. Nie ma ich ani w bliższym, ani w dalszym sąsiedztwie. — Pomyślałam sobie, że może zajrzę do ciebie i porozmawiamy troszkę. - Zupełnie jak Nona

- myśli Cassie. — Tyle wiesz o tych sprawach.

- „Te sprawy” to ciąża, poród i tak dalej?

- Zwłaszcza „i tak dalej” — chichocze Trący.

Cassie nie znajduje w tym nic zabawnego, ale zmusza się do uprzejmego uśmiechu. Chociaż dlaczego miałyby być taka uprzejma, przecież nie zapraszała tej dziewczyny!

- Zrobiłam sobie wczoraj trwałą. Co o tym sądzisz? - Trący nawija jeden lok na palec. — Kobietom w ciąży włosy się prostują.

Cassie miałyby to tak samo w nosie, gdyby Trący ogoliła się całkiem na лыso, ale mówi:

- Bardzo ładnie.

- Tak, też tak sędzę, ale Doug twierdzi, że wyglądam głupio.

- To twoje włosy. Rób z nimi, co ci się podoba - odpowiada Cassie, usiłując sobie przypomnieć, czy Doug kiedykolwiek zauważał u niej takie rzeczy. Mogłaby z powodzeniem zapleść sobie rastafariańskie warkoczyki i też by nic nie powiedział.

- Tak właśnie robiłaś?

- Ja... - Cassie gryzie się w język. - Wiesz co, nie ma sensu rozmawiać o Dougu.

- Tak, przepraszam. Nie bądź na mnie zła. - Trący zasłania nos rudym lokiem i kurczy ramiona jak przestraszone kurczątko. Czy to dla tej kobiety Doug porzucił rodzinę i dom? Dla tego dziecka? Cassie patrzy na dziewczynę, na tę nieznaną Trący, burzycielkę ogniska domowego, i cała jej dawna złość wydaje jej się teraz beznadziejnie głupia.

A mimo to jakiś cieniutki, słaby głosik nadal pyta: „Co on w niej widzi, u diabła?”

Trący wstrzymuje oddech, jak maluch, który czeka, aż niebezpieczeństwo minie, i wreszcie Cassie poddaje się niechętnie i przegrywa tę dziecięcą potyczkę, kto kogo przetrzyma.

- Nie jestem zła - mówi, ponieważ nie chciałaby za chwilę zbierać Trący z podłogi. - Dlaczego miałabym być zła? - Bo jesteś kretynką, która tu przyleciała po fachową poradę.

- Myślisz, że jestem głupia, że przychodzę do ciebie. W złym stylu. Taka durna Trący.

- Nigdy nie powiedziałam... Trący wydyma policzki.

- Och, Doug ciągle mi opowiada, jaka z ciebie stuprocentowa dama, świetnie wykształcona...

- Ja?!

- Mówi też, że ty nigdy w życiu nie mieszkałabyś w tym samym mieście co ja, gdyby sytuacja była odwrotna. - Mina Trący dobitnie świadczy o tym, że za tego życia to całkiem nie do pomyślenia.

- Jesteś dla siebie surowa. Naturalnie musi być jakiś powód...

Wygląda na to, że Trący nigdy nie pozwoli Cassie skończyć zdania. Zdenerwowanie nakręca ją do ciągłego gadania; bez przerwy zaciera i ścisną dłonie.

- To ten stan... - Klepie się po wystającym brzuchu, na

wypadek gdyby Cassie nie zrozumiała, o co chodzi. - Ten stan sprawia, że chciałabym być bliżej ciebie.

- Co?!

- Naprawdę jesteś mi bliska.

- Nie masz matki? - Cassie wpada w panikę.

Trący wierci się na kanapie. Boli ją krzyż, a ucisk na pęcherz wymusza pytanie:

- Mogę skorzystać z łazienki?

- Jasne - jęczy Casie. - Pierwsze drzwi na lewo od wejścia. - Trący robi dwa, trzy kroki i spogląda przez ramię na Cassie wzrokiem zbitego psa, jakby chciała, by Cassie wstała i ją zaprowadziła. - Na pewno trafisz. Drzwi są pewnie otwarte. Jak zwykle. - Dobrze. Poradzę sobie.

Jak Doug to robi, że zostawia tę dziewczynę i wychodzi do pracy? Przecież ona krwawi jak otwarta rana. Czy zawsze trzymała się czyjejś spódnicy i bała własnego cienia? Cassie nie pojmuje, jakim cudem Trący dojechała z Marina aż do Palisades. W dodatku wieczorem.

- No więc co z twoją matką? Pamiętam też, że masz babcię; przyjechała do was na Święto Dziękczynienia.

- Cassie draży temat. Stoi w kuchni i parzy herbatę. Wrzuca do czajniczka suche liście herbaty, trochę rumianku i mięty. - Mama mieszka w Hilton Head. W Południowej Karolinie.

- Coś mi to mówi. Ale nie słyszę u ciebie południowego akcentu. - Podsuwa Trący metalowe pudełko z ciastkami. - U mnie? Skąd! - Trący ostrożnie wybiera cytrynowe ciasteczko. - Ja jestem z Oregonu. Z Salem. Donna siedzi w Hilton Head, bo jej mąż zawodowo gra w golfa.

- Rozumiem, że to nie twój ojciec.

Trący czerwieni się i zmieszana patrzy w stół. Gdyby nie ten wielki brzuch, wyglądałaby jak pierwszoklasistka, która po lekcjach czeka, aż ktoś odwiezie ją do domu.

- Tatuś zostawił nas bardzo dawno temu. Donna mówi, że to już tak dawno, że prawie go nie pamięta.

Zapisał się tylko tym, że zrobił jej mnie. Potem kazała sobie podwiązać jajowody. Pozbyłaby się tej ciąży, chociaż to wtedy było zakazane.

Znalazłaby kogoś pokątnie. Ale wiesz, przez kilka pierwszych miesięcy miała normalny okres, a kiedy się połapała, że jest w ciąży, było już za późno. Tylko że po niej prawie do końca nie było nic widać. Nie to co u mnie. Ja jestem jak wielka krowa - nieoczekiwanie zawodzi głośno, przez co Cassie o mało nie upuszcza filiżanek. Trący płacze i od jej szlochów mosiężna lampa pod sufitem zaczyna się wolno kiwać. Cassie powstrzymuje odruch, by objąć dziewczynę, której przecież nie znosi. Panienczka, lalunia. Ukradła jej męża. Trący jest trzęsieniem ziemi, w czasie którego na dobre pękła szczelina rysująca się na małżeństwie Cassie i Douga. Dlaczego miałyby jej teraz żałować? Cassie ma ochotę krzyknąć wniebogłosy, ale mówi spokojnie: - Nie jesteś znów taka gruba. Zupełnie nieźle wyglądasz. W wielu kulturach ciężarne kobiety uchodzą za piękności.

- Ale nie w Marina del Rey!

- Myślisz o Dougu.

- On jest jak moja matka. Dla niego jedno dziecko to i tak za dużo. Chodzi o ekologię. Nie powinniśmy przeludniać planety. Zużywamy powietrze, niszczymy oceany. Plaża wygląda jak śmietnisko. A co będzie z drzewami? Lasami, pustyniami? Te nowiny zaskakują Cassie. Nigdy nie sądziła, że taki z niego bojownik o ratowanie środowiska. W czasie ich małżeństwa beztrąco wyrzucał puszki po lemoniadzie przez okno samochodu i podkreślał zalety energetyki jądrowej.

Jedno dziecko. Cassie czuje irracjonalną ulgę, że Doug tak samo nie chciał tego dziecka z Trący, jak następnego z nią. - A ty go zaskoczyłaś - rzuca Cassie nagle rozpromieniona.

- Nie mów tak. Kiedy już byłam pewna, że to ciąża, zapytałam go, co by zrobił, gdyby nam się zdarzyło. A on odpowiedział, że chciałby się go pozbyć. Wtedy się przestraszyłam. Kobiety umierają przy zabiegach.

- Dzisiaj już nie - mówi Cassie, wiedząc, że Trący nie chciała skrobanki z kilku różnych powodów. - Jesteś za ochroną życia? - Pewnie, że tak. Kto by tam głosował za śmiercią?

- Chodzi mi o to, czy jesteś przeciwko aborcji?

- Nie, jeśli ktoś sam tego chce. Albo jeśli musi. Jak ktoś by

cię zgwałcił i potem kazali ci mieć dziecko, to byłoby okropne. Poza tym nie uważam też, że trzeba rodzić kaleki. - Niech inne mają skrobanki, byle nie ty?

- Dlaczego nie mam mieć dziecka?! Ty masz! - krzyczy niespodziewanie.

Jej zaciekleść szokuje Cassie.

- Nie możesz mieć mi tego za złe! - odkrzykuje. Czajnik gwizdże. Cassie z ulgą zabiera się do nalewania herbaty. Zamiast zwykłych kuchennych kubków wyjęła porcelanowy serwis. Na talerzu w kwiaty układa cytrynowe ciasteczka i pierniczki wyjęte z lodówki. Rozkłada koronkowe maty stołowe i materiałowe serwetki. Trący bierze pierniczek.

- Fantastyczne. Sama je robiłaś? - Cassie kiwa głową. - Doug nigdy nie może się nachwalić, jaka to z ciebie wspaniała kucharka.

- Nic podobnego. Każdy to potrafi. Trzeba tylko czasu i trochę starania.

- Ja też sobie radzę. Jeśli uważam, co robię, i nie zacznę akurat o czymś marzyć, potrafię ugotować to i owo. Ale nie jestem Julią Child. Doug dał mi na Gwiazdkę jej książkę kucharską i zaczynamy się przymierzać do większej roboty. - Ta książka jest rzeczywiście wyjątkowa.

- Tak samo jak doktor Cassie Morgan.

Dougowi smakowała jej kuchnia i podobało mu się, jak Cassie bez wysiłku przyrządzała posiłki. Wśród przyjaciół uchodziła za najlepszą kucharkę. Tak, kiedy teraz się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że Doug bardziej ją chwalił za *pot-au-feu* niż za urodę czy sukcesy zawodowe.

- Uważa, że wspaniale radziłaś sobie z pracą i prowadzeniem domu.

- Być może - stwierdza Cassie i nie dodaje, że wiecznie bił się w piersi za to, że nie pomaga. *Cassie przepraszam, powinienem był odebrać rzeczy z pralni, przywieźć mięso, odstawić samochód do warsztatu. To moja rola. Czy kiedykolwiek mu to zarzuciła? Nie sądzi, ale któż to może teraz wiedzieć, skoro chodziła jak we śnie przez niemal całe małżeństwo?*

Czego Doug od niej oczekiwał?

Diana Silber

- Wykłuwa ci oczy moimi ciasteczkami? - pyta nieco rozbawiona, ale i wściekła na swojego byłego. „To *coq au vin* nie jest tak dobre jak mojej pierwszej żony!” Och, biedne dziecko. Trący pewnie myślała przed ołtarzem, że jeśli zrobi w domu hamburgery zamiast kupić je u McDonalda, to Doug będzie ją nosił na rękach. Trący staje się ostrożna.

- Doug jest wspaniałym mężem. Jest taki wyrozumiały.

- Kłamstwo! — wybuchła Cassie, niczego tym razem nie udając. - Doug robi to, na co ma ochotę, a jeśli nie dotrzymujesz mu kroku, natychmiast złości się, wrzeszczy, krytykuje. A już na pewno nie jest wyrozumiały! Trący aż piszczy, żeby porozmawiać o wspólnym mężu, o jej małżeństwie, o ciąży i o tym, co będzie dalej, ale czuje się w obowiązku stanąć w obronie Douga. Wymienia jego zalety, jakby Cassie była przygodną znajomą poznaną w pociągu gdzieś między stacjami. Gloryfikuje go z żarliwością ewangelisty.

- Król rodzaju męskiego - rzuca uszczypliwie Cassie, ale Trący puszcza to mimo uszu. Posuwa się jedynie do tego, by powiedzieć:

- Zdarza się, że z pracy wraca zdenerwowany. I prawdą jest, że z rana bywa ponury.

- I wiecznie narzeka.

Cassie, oczko puściło mi w skarpecie! Cassie zabrakło nam gruyera, białego wina i szamponu przeciwłupieżowego! Cassie z kranu kapie, okno w sypialni przecieka, drzwi skrzypią, kawa jest zimna, gorąca, za słaba, za mocna! Cassie!

Czy mieszkanie w Marina jest dość duże, żeby pomieścić te wszystkie zażalenia? Trący, od kiedy straciła dziewczęcą sylwetkę i wdzięk, musi być ciężko znosić to jego wieczne utyskiwanie i malkontenctwo. W czasie jej ciąży nudził na potęgę, a w końcu Mandy była planowanym dzieckiem. Jaki niemożliwy musi więc być teraz!

Czy dlatego Trący siedzi dziś w jej kuchni, że Doug kompletnie wytrącił ją z równowagi? Że nie ma pojęcia, jak radzić sobie z tym ciężarnym ojcem?

Na matkę, jak widać, wcale nie może liczyć, ale babcia jest przecież cudowna. Obiecała, że przyleci, jak już będzie pora, ale

ostatnia podróż mało jej nie wykończyła. Artretyzm strasznie jej dokucza. Wykrzywia ją całą jak w filmowym horrorze. Trący wygina palce, a jej spiczaste paznokcie — pewnie doklejane — wyglądają, jakby ociekały krwią. - Wiesz, istnieją jeszcze agencje. Możesz wynająć pielęgniarkę. Dwie. Trzy. Jeśli trzeba, odpowiednio kwalifikowana pielęgniarka może być przy dziecku całą dobę.

- Obca osoba! Czy taka się przejmuje? One to mają głęboko gdzieś, tylko forsa się liczy. Obca pielęgniarka to nie rodzina. Ona nie zna ani mnie, ani tego maleństwa. - Bębni palcami o brzuch.

I to ma być ta współczesna, wyluzowana dziewczyna z plaży, którą Doug poślubił dla zabawy i rozrywki? Tę nową receptę na życie zaczerpnął chyba z „Family Circle”, a nie z „Cosmopolitan”.

- A przyjaciółki?

- Pewnie, mam ich całe stada! Nie wiszę samotnie na linie w kosmosie. Tylko że wszyscy mają własne sprawy i kłopoty, sama chyba rozumiesz.

Cassie myśli o Ewie i Nonie.

Trący zaczyna podrzucać ramionami w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Poza tym, nie znam nikogo, kto umie wydzięgać bambo-szki, nie mówiąc już o śpiworku! - Cassie gwałtownie kaszle w serwetkę, żeby nie parsknąć śmiechem. Ubawiło ją oburzenie Trący. - Każdy tylko wpadnie na moment, pozachwyca się i potem się zmyje. Gdyby można było sobie kupić niemowlaka w sklepie, może zatrzymaliby się, żeby pooglądać.

- Dolać ci herbaty?

- Dziękuję. - Trący podsuwa spodek z filiżanką. Teraz obie są bardzo poważne.

- Zjedz jeszcze pierniczka - proponuje Cassie. Ma wyrzuty sumienia, bo wie, że Trący nie powinna futrować się kaloriami. - Myślisz, że mogę? Nie jestem za gruba? Ten wykrochma-lony doktor powiedział, że mogę utyć tylko piętnaście kilo i kropka. Dwa miesiące temu wrzuciłam już ponad dwanaście. Podobno to szkodzi dziecku. Poza tym mówił, że jak się tak roztyję, to zawsze już będę wielką krową.

- Ile ci przybyło?

- Nie wiem - kłamie Trący.

Cassie ocenia wyćwiczonym okiem, że Trący już przekroczyła zadaną piętnastkę, a do końca ciąży zostało jej jeszcze dwa i pół miesiąca. - Rzeczywiście nie ma po co tak tyć. - Trący trzyma w palcach pierniczek, nie mogąc się zdecydować, czy go zjeść czy odłożyć na talerz. Czeką, co jej powie Cassie. Jakim cudem

- nie może się nadziwić Cassie - znalazła się w tej sytuacji?

- Pijesz mleko? - Trący robi minę. - Powinnaś, ze względu na wapń.

- W dzieciństwie nie znosiłam mleka.

Cassie wstaje i idzie do lodówki. Nalewa Trący wysoką szklankę mleka.

- Pij. Zagryź pierniczkiem, ale nie przyzwyczajaj się zbyt do słodczy.

Na twarzy Trący zadowolenie rozlewa się szeroką falą i Cassie zauważa garść piegów na jej nosie.

- Są takie dobre, że wprost nie mogę się powstrzymać

- Ociera usta serwetką.

- Dziękuję - mruży Cassie i obserwuje, jak Trący ostrożnie gryzie pierniczek i elegancko popija mlekiem.

Pamięta, jak sama w szkolnych czasach przesiadywała w kuchni u sąsiadów. „Masz się zachowywać tak, żeby ludzie mówili, że jesteś dobrze wychowana” - upominała ją matka. I Trący również - mimo tej nie zagrzewającej nigdzie miejsca Donny, jest przecież dobrze wychowana.

Jest żoną Douga, ale równie dobrze mogłaby być jej koleżanką, siostrą, córką - myśli Cassie i poruszona tym odkryciem, uderza krzesłem mocno o posadzkę. - Czy powiedziałam coś złego? - Trący jest zaskoczona. - Nic nie mówiłaś.

- To naprawdę bezczelność z mojej strony, żeby cię tak nachodzić. A ty jesteś taka uprzejma. Słuchasz mnie i w ogóle. Nawet mnie częstujesz... - Cassie zamyka oczy. Trący pospiesznie wyjaśnia. - Rozumiesz, jak się boję. Rozumiesz, że chcę mieć to dziecko i równocześnie nie chcę. I to jak... - Łzy płyną jej kaskadą po policzkach.

- Przestań! Przestań natychmiast, bo zaraz zacznę wrzesz-

cześć! - krzyczy Cassie, o krok od straszliwego wrzasku. Wymachuje serwetką przed nosem Tracy, przerażona aż taką poufalością.

— Przepraszam — szlocha Tracy.

- Nie trzeba. Tylko... - Przecież ta okropna dziewczyna nie może sięść za kierownicą w tym stanie! - Zadzwońię po Douga, żeby cię odebrał.

- Nie! Zabije mnie, jeśli się dowie, że byłam tu u ciebie! Racja. Krew na pewno uderzy mu do głowy, jak wyobrazi

sobie, że tu siedziały we dwie i niczym najlepsze kumy obrabiały jego bieżące małżeństwo. Cassie czuje doskonale, że Doug nie pobłąza swojej nowej żonie w niczym. A teraz Tracy musi wypuścić się na szerokie wody, przestraszona i samotna, bez jednej życzliwej duszy, która mogłaby nią rozsądnie pokierować.

No i co zrobiłaś? — Ewa umiera z ciekawości. — Zaproponowałaś, że będziesz ją prowadzić?

— Nie mogę. To nieetyczne.

— Idę o zakład, że Cassie obiecała zająć się dzieckiem — wtrąca Nona. - Zobowiązała się do pomocy i do tego, że wprowadzi Tracy w arkana macierzyństwa. Będzie czymś między babcią a matką numer dwa. A kiedy Tracy rozechoci się na dobre, będzie zostawiać jej dziecko na trochę, albo na dłużej w sypialni gościnnej na piętrze. Nona tnie jak nożem. Zazdrość kipi w niej niczym rozgrzana lawa i Cassie dosłownie odsuwa się od przyjaciółki, żeby się czasem nie sparzyć. Złośliwość jest nową cechą Nony, ale w tym rozparzonym gniewie kwitnie wprost znakomicie. Cassie bąknęła kiedyś Ewie: „Sądziłam, że awans na kierowniczkę Flory to jakieś osiągnięcie, że Nona od razu lepiej się poczuje”. W końcu trzeba sobie jakoś radzić; życie nie stoi w miejscu.

- Nie popadajmy w skrajności - broni Cassie Ewa. - Ale rzeczywiście spodziewam się zdjęć w listach.

Dzidzius trzymiesięczny. Dzidzius półroczny. Będę też pewnie wysłuchiwać monologów przez telefon o tym, jak uczy się chodzić, mówić i jaki jest genialny. Harvard murowany - droczy się.

Cassie to wcale nie bawi.

Diana Silber

— Czyście na głowy poupadały i sądzicie, że nie mam co robić, tylko niańczyć cudze dzieci? — irytuje się.

— Ze wezmę sobie urlop i będę zmieniać pieluchy? Przecież ja pracuję!

— W tych żartach było ziarnko prawdy.

— Zapomniałaś wspomnieć o kochanku — przypomina Ewa.

— Z kochankami jest jak z ogrodem, wymagają ciągłej pielęgnacji.

— A właśnie, jak tam Jake? Niewiele o nim słyszymy ostatnio.

Cassie czuje w tym jedynie złośliwość, więc nie odpowiada na pytanie.

Francuska restauracja, którą wybrała na tę podwójną okazję, jest bardzo elegancka — wybijana dębową boazerią, dyskretnie oświedona. Siedzą sobie pod ścianą przy stole nakrytym śnieżnobiałym obrusem.

Delfinarium ustrojone orchideami zajmuje centralną część sali i wygląda bajecznie. Sztuńce są srebrne i ciężkie, a kelnerzy, obsługujący ich pozbawiony męskiej opieki stolik, arogancy. Cassie nie jest pewna, czy dobrze wybrała, ale zależało jej, żeby ten ich ostatni wspólny wieczór wypadł jak najlepiej i na trwale zapisał się w pamięci. Szampan pieni się w kieliszkach. Cassie unosi swój i mówi:

- Za Nonę, najmłodszą czterdziestolatkę w całym Los Angeles!

- Cii! - wykrzykuje Ewa - Nie mów o tym głośno!

- Och, już się z tym pogodziłam. Poza tym i tak będę mieć wiecznie trzydzieści siedem lat. To brzmi rozsądnie, nie uważacie? - Ewa i Cassie sądzą, że od Bożego Narodzenia Nonie przybyło co najmniej dziesięć lat. Wznoszą toast za nowe życie Ewy, za kolejny początek.

- W waszych ustach to brzmi tak, jakbym przeżyła jakąś reinkarnację. A ja tylko wyjeżdżam, to wszystko.

— Żeby zamieszkać w przyczepie pośrodku pustyni — zauważa Cassie, wciąż nie pogodzona z tym faktem.

Czujny kelner znowu napelnia kieliszki. Wznoszą toasty, ale bez satysfakcji. Bo czego jeszcze można sobie życzyć poza długim życiem, zdrowiem i szczęściem? Ewa przyjmuje te życzenia z całą otwartością, jednak zna je wszystkie na pamięć, dlatego wydają jej się nie całkiem autentyczne.

Cassie, mimo wysiłków, by skupić się na tu i teraz, wciąż myśli o Trący. Męczy ją myśl, że Trący jest tak anemiczna i należałoby jej zrobić kilka badań, nie może przecież z tym zadzwonić do „krochmalonego doktora”. Może kiedy jutro spotkają się z Trący na lunchu, pouczy ją, co trzeba mu powiedzieć. Jeśli Trący dobrze odrobi lekcję, jej lekarz powinien wysłać ją na badania.

- Cassie, znowu gdzieś odpłynęłaś - zauważa Ewa.

- A co tam u Jake'a? - nie chce popuścić Nona.

- Kocham go!

Obie z Ewą wybuchają głośnym śmiechem - zbyt głośnym jak na L'Abbe de St. Julien, gdzie konwersacje odbywają się modlitewnym tonem. Kobiety przy sąsiednich stolikach mają bardzo republikański, arystokratyczny wygląd - mogłyby być koleżankami Nancy Reagan; mężczyźni siedzą w dostojnych dwurzędowych garniturach. Od czasu do czasu nad grubym dywanem niesie się czyjś zabłąkany szept i delikatny brzęk szkła. - Na pewno nie! - rzuca wyzwanie Ewa.

- Dlaczego tak mówisz? Dlatego, że nie papłę o nim bez przerwy? Dlaczego wiecznie musimy gadać o facetach?

- Milczysz, więc masz coś na sumieniu - mówi Nona, z tą swoją niewinną otwartością, choć niewinna już nie jest. Ewa zabawia się serwetką. Zdenerwowała ją agresywna reakcja Cassie na żart.

Już spakowana, z ustalonym terminem przeprowadzki w garści, załatwionym i opłaconym transportem, oczekując aż dobiegną ostatnie dni jej wypowiedzenia w „Agencji Bookera”, Ewa znika po kawałku z ich życia. Właściwie już jej nie ma, z wyjątkiem tych chwil, kiedy robi się jej żal i chciałaby nadal być najlepszą z agentek na rynku nieruchomości. Wyjeżdża, czy może nawet już wyjechała, dlatego nazywanie rzeczy po imieniu, niechowanie głowy w piasek, stawianie Nony i Cassie na baczność, leżą grzecznie zapakowane w kartonie. Nie powie więc: „Nie wiem, co cię z nim łączy, ale to już nie miłość”.

- A ty, ty jesteś teraz bardzo zajęta Florą, mają ty pani Krezus - droczy się Cassie.

- Howard nie potwierdził jeszcze na sto procent sprzedaży

Diana Silber

sklepu. - Nona jest lodowata. - A jeśli nawet się zdecyduje, to pytanie, czy będę mogła przejąć Floreę bez powiększenia dziury budżetowej. Trzeba będzie dobrze wszystko rozpatrzyć. Ustalić warunki.

Nona w eleganckim kostiumie pani kierowniczkii, z aktówką od Marka Crossa przy nodze, rzucająca terminami prosto z kursu zarządzania, na który już uczęszcza, prowokuje Ewę do ostatniej uszczypliwości.

Ewa uśmiecha się słodko i pyta:

- A gdzież to nasz kochany Howard zadaje sobie aż tyle trudu, co?

Nona patrzy teraz wzrokiem Lorraine, ale tego Cassie i Ewa nie wiedzą.

- Sugerujesz może, że sypiam z Howardem? - Drobinę lodu dzwonią w powietrzu.

Dlaczego ta zmiana w Nonie jest wciąż taka bolesna? Chciały, żeby dorosła, krzyczały, że przecież ma już te swoje czterdzieści lat! I teraz, proszę, siedzi obok nich bez śladu dawnej niewinności, przebiegła, nie dająca z siebie nic, zdecydowana nikomu nigdy nie zaufać.

- Myślę sobie, że trzeba korzystać z okazji. Lorraine odchodzi. No cóż, nie wyobrażam sobie, że mogłabym być zawsze tylko kierowniczką. Powiedziałam to Howardowi i on to rozumie.

Oczywiście, że sypia z nim, zawróciła mu w głowie kompletnie - myśli Ewa. Ale dała mu najpierw niezłą szkołę, zanim wpuściła go do łóżka. Naturalnie wcześniej obiecał jej już gwiazdkę z nieba, odejście Lorraine i sklep na dogodnych warunkach. Jakim cudem przekonał do tego współnika? Ewa spogląda wstecz i widzi wszystko jak na dłoni. Tak, podziwia finezję Nony i wstrzymuje się od wszelkich ocen. Jakże by mogła inaczej? Przeszłość, niby duch Abramsona, który obdarowuje ją lodowatymi pocałunkami, przypomina jej smak poniżenia. Ewa nie rzuci w nikogo kamieniem, już nie, a że sama idzie za mężczyzną, którego potrzebuje, nie chce nawet specjalnie udawać.

- Za łatwe życie! — Nona wznosi dramatyczny toast.

- Wcale nie będzie łatwiejsze. Trzeba ze szczątków zbudować nowe miasto, zrobić interes, którym mogliby się zadławić

To jeszcze nie koniec

500

nawet najlepsi klienci Tytusa. Ciężka praca. Hektolitry potu. Ale to jest dopiero wyzwanie, co? - Ewa przytyka chłodne szkło do czoła. - Kawał roboty!

- Zaraz będziemy oplakiwać twoje odciski! - rzuca Nona.

- To rzeczywiście ciężka praca - mówi Cassie twardo, zawiedziona obiema przyjaciółkami, bo rozmowa ciągle się rwie i wieczór nie płynie, jak sobie zaplanowała.

- Moja ty kochana! - Ewa się uśmiecha. - Dzięki ci Panie za twe hojne dary. Nasza święta...

- Nie jestem święta!

Jedzenie, absolutnie *nouvelle*, precudnie udekorowane, wjeżdża obficie na stół. Trzech kelnerów zwija się przy stoliku z wprawą i precyzją chirurgów. Cassie czuje ucisk w piersi. Zupełnie nie jest głodna, choć wie, że potem będzie, Boże, i gdyby tylko Jake był takim mężczyzną, do którego można zadzwonić o północy! Zaprosiłaby go na pizzę z serem, papryczką i kielbasą. Napiliby się piwa. Poprosiłaby go, żeby się nie śmiał, i opowiedziała mu o tym pożegnalnym wieczorze. Bo i z czego tu się właściwie śmiać? Siedzą jak żałobnice i jeśli nie będą ostrożne, cały wieczór zaraz legnie w gruzach na obrusie.

Żal i samotność wiszą już nad grzybami *szitake*, młodziutkimi marchewczkami ugotowanymi *al dente*, nad kaczką po moskiewsku, jagnięcymi żeberkami w sosie jeżynowym i duszonymi małżami, a każdy ruch widelcem jest ciężkim wysiłkiem. Za ich plecami wisi cień; czyha obok mosiężnych kinkietów rzucających mdłe światło. Wkrada się na ich przykryte serwetą kolana, wpelza na upierścienione dłonie. Dla Cassie Ewy już w zasadzie nie ma - chodzi po pustyni w kraciastej koszuli, w džinsach i wysokich butach; wznieca tumany kurzu i osłania ręką oczy przez bezlitosnym słońcem. A Nona... Ten ciepły blask Nony przeobraził się teraz w ostry, diamentowy błysk, który skrzy się na szkle i srebrnych sztućcach.

- Nie smakuje ci jagnię? - pyta Ewa.

Nona odsuwa mięso na brzeg talerza i wbija widelec w marchewkę.

- Statyczne.

- Matko jedyna, jedzenie nie jest statyczne! - Ewa wybucha śmiechem.

Diana Silber

- Kiedy mówię, że jest, to jest - odpowiada Nona ostro, bez śladu dawnego dziewczęcego chichotu i zmieszania.

- Ale z ciebie jędrza! Szczęśliwa czterdziestka! Stajesz się taka inna. - Ale Ewa i Cassie wiedzą, że to nie czterdzieste urodziny spowodowały tę zmianę. Może pod warstwą piasku od zawsze krył się granit twardszy, niż kiedykolwiek przypuszczały? - Musisz przyjechać do mnie w odwiedzin. Na łono przyrody.

- O nie, dziękuję. Przyroda! - Nona wzdryga się. - Komu potrzebne tyle kurzu i skał?

Ewa unosi się na krześle, a Cassie pyta czym prędzej - zanim Ewa z Noną skoczą sobie do oczu:

- Jak tam remont mieszkania? - Zdecydowałam się na *ecru* — odpowiada Nona.

W drodze do toalety Cassie mija telefon wiszący w niedużej alkwie. Ukryta przed oczami ciekawskich, mogłaby spokojnie zadzwonić do Jake'a. Zastanawia się, czy nie zaprosić go do siebie, może nawet zdobyć się na odwagę i poprosić, żeby zagrzał łóżko.

Ale nie, opiera się pokusie i spieszy do toalety, gdzie siada przed lustrem i chowa twarz w dłoniach.

Jak mogłaby mówić im o Jake'u, spojrzeć im w oczy i z uniesioną brodą powiedzieć, że właśnie...

- Cassie, myślę, że już pora, żebyśmy zamieszkali razem. Moja umowa o wynajmie mieszkania kończy się w tym miesiącu. Po co utrzymywać dwa domy?

Cassie tańczyła nerwowo po tylnym ganku, mało desek nie starła na proch tym wiecznym szuraniem stopami. Jego propozycja wytrąciła ją całkiem z równowagi; spytała impulsywnie:

- Nie sądzisz, że powinniśmy z tym jeszcze poczekać?

Nie mogła spojrzeć mu w twarz, więc patrzyła na dom Levinsonów, na Beth, która niczym więźniarka machała jej z okna w łazience.

- Zaczekać? Na co? - spytał twardo, zupełnie nie tak, jak powinien to zrobić mężczyzna, który chce się wprowadzić do drogiej sercu kobiety. Ta rozmowa musi go dużo kosztować — myślała Cassie i zacisnęła zęby w poczuciu winy.

- No wiesz, wasze stosunki z Mandy nie ułożyły się jeszcze

właściwie. To po pierwsze - tłumaczyła. Czy spyta ją, co po drugie, trzecie i tak dalej? Nie chciała nawet w myślach nazwać tego ich problemami. Nie, miała nadzieję, że Jake nie zapyta. Nie była przygotowana, żeby wyciągnąć listę spraw i dokonać wiwisekcji ich związku.

- Mandy w życiu nie powie do mnie: „tatusiu”, i dobrze o tym wiesz.

- Niby dlaczego miałyby to zrobić? Nie jesteś jej ojcem. Ale musicie się chyba jakoś najpierw dogadać, to wszystko. I Mandy musi cię zaakceptować. To moja córka, Jake. Kocham ją. - Bardziej niż ciebie. Bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę. Tego już nie powiedziała.

- Niczego nie zaakceptuje, chyba że będzie musiała. Kiedy zamieszkamy razem... - Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Jake zechce ją do tego namawiać, a ona będzie kręcić nosem i mówić, że potrzebuje przestrzeni życiowej. Dlaczego? Czy nie kochała go tak bardzo, że na myśl o jego odejściu oblewała się rześnistym potem? A teraz nie chce mieć żadnych zobowiązań!

Jake stał na trawniku. Zakręcił węża z wodą, a na przodzie jego koszuli widniała długa, mokra plama. Odgarnął włosy do tyłu. Był taki opalony, tryskający zdrowiem, taki męski i przystojny, że Cassie czuła, jak miękną jej kolana. Ale nie chciała wychodzić za niego, mieszkać z nim ani też być odpowiedzialna za kogoś, w czyjej obecności musi wiecznie stąpać po rozżarzonych węglach. Najpierw się zachwiał, a potem stał sztywno pod świerkiem i słuchał tych słów starych jak świat, o przestrzeni dla siebie, o związku, o autentyczności uczuć, a Cassie zastanawiała się, czy nie popełnia błędu. Kiedy skończyła, zapytał:

- Jest ktoś inny?

- Och, wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami! Dla was zawsze musi być ktoś inny! - zawołała. - Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby być tak jak dotąd. Mamy zamieszkać razem tylko dla oszczędności? - Powstrzymała się przed dodaniem, że jej nie brakuje pieniędzy. Nie powiedziała mu też, jak często czuła się w obowiązku koić jego nerwy, rozgrzewać jego zimno własnym ciepłem.

- Albo mieszkamy razem, albo kończymy ze sobą.

- Jake zagraj mi jakąś piosenkę. Zaśpiewaj mi... - Jakby

zapomniała, że są na dworze, że on dopiero co skończył podlewać ogród. - Nie bądź trudna.

Odgrywając w pamięci rozmowę z Jake'em, rozmowę, której zawsze pragnęła uniknąć, a która w końcu nie okazała się taka znów najgorsza, Cassie szepcze w złożone dłonie: „Nigdy nie bywam trudna”. Nie jest, w odróżnieniu od Douga, Jake'a i nowej, przepoczwarzonej Mandy. I chociaż bardzo powoli, to jednak uświadamia sobie, że nie znosi być z ludźmi - mężczyznami, bo u Mandy to na pewno tylko przejściowa faza - którzy wymagają, żeby ich niańczyła.

A mimo to wciąż ma łzy na czubku nosa od chwili, kiedy Jake zaproponował jej trwalszy układ, a ona odmówiła.

Była tak przekonana, że pewnego dnia on po prostu spakuje manatki! Ale pewnie wymyśliła to sobie, bo Doug odszedł od niej dla innej kobiety. Cassie walczy ze łzami, powstrzymuje się od tarcia oczu, żeby nie zniszczyć makijażu, kredki, tuszu i granatowych cieni, ale na myśl o Trący - „innej kobiecie”, o mało nie wybucha śmiechem.

Hm, chyba nie jest ze mną aż tak źle, skoro siedzę w kiblu, chichoczę i martwię się, żeby nie rozmazać sobie makijażu i nie wyglądać jak obraz Picassa! Tamtej nocy, gdy zrozumiała, że jej odmowa podziałała na Jake'a jak policzek i że on nie wróci, leżała w łóżku i patrzyła na poruszone podmuchem wiatru zasłony. Nagle stwierdziła na głos niezaprzeczalny fakt, że jej życie jeszcze się nie skończyło. I w gruncie rzeczy, gdyby miała wybór, kogo chce przy sobie zatrzymać, Jake'a czy Ewę, bez chwili namysłu wybrałaby rzecz jasna Ewę.

Pod niektórymi względami bowiem, nie, pod wieloma względami, będzie się czuła bez niej zdecydowanie bardziej samotna. Nie będzie jej łatwo zastąpić ją inną przyjaciółką. To chyba w ogóle niemożliwe.

Podczas gdy Jake - któremu jest bardzo wdzięczna, bo dzięki niemu dowiedziała się, że nie jest jeszcze tak martwa i uwiędła, by nie chcieć już zaznać miłości - zawsze będzie połączeniem dobrych i złych wspomnień, aż wreszcie rozplynie się w pamięci, gdy jego miejsce zajmie ktoś inny. Tak - myśli Cassie - wydmuchując nos i zbierając się w garść. Niezależnie od tego, z jakim stoicyzmem będzie znosić

swój los, zostawi okno nadziei otwarte na oścież. Ale nie powie o tym nikomu. Ani Ewie, która wiruje już w kurzu marzeń, ani Nonie, tak boleśnie zimnej i dalekiej. Cassie wie, że i ona zmieniła się bardzo w ciągu ostatnich kilku miesięcy, wraca więc do stolika z szerokim uśmiechem na twarzy - aż szczęki ją bolą od tego - i zaciska kciuki, myśląc o przyszłości. Jedna biała świeczka płonie malutkim drżącym płomyczkiem na czekoladowej truflii przybranej bitą śmietaną. Nona z dezaprobatą zaciska usta. W zeszłym roku w restauracji przy Melrose przywiązały balony do jej krzesła, nakłoniły kelnerów, żeby po włosku zaśpiewali „Sto lat”. Ale tyle wydarzyło się od tamtej pory... Dzięki artykułowi w „Insiderze” przeobraziła się w damę. Pewnie jest teraz bardzo podobna do matki. I najwyższa pora - myśli Ewa, ale jakaś część tej nowej, łagodniejszej Ewy, nie może tego przeboleć. Naiwność Nony, jej niewinność, te jedwabne pasemka włosów, które kręciły się wdzięcznie przy szyi, odmładzały całą trójkę.

- ...publiczny spektakl.

- Przepraszam, ale to dlatego, że cię tak kochamy.

Nona rozchyła usta, albo przynajmniej tak to wygląda w intymnym świetle sali. Ewa oczekuje jakiejś deklaracji z jej strony, jakichś słów protestu, nawet na odczep się. Ale chwila mija. Nic ich już teraz nie łączy. Kończą deser w milczeniu, piją kawę - do ostatniej kropelki na dzień. Cassie upiera się, że sama zapłaci za kolację. Ewa jej nie chce pozwolić.

- Spotkałyśmy się tutaj, żeby uczcić urodziny Nony.

- I życzyć Ewie szczęśliwej podróży - dodaje Nona.

- Wszystkie jesteśmy tak samo zobowiązane - ciągnie Ewa. Cassie przysłuchuje się tej sprzeczce przez kilka chwil. - Przyjaciele powinni nauczyć się ze sobą zgadzać.

- Chyba raczej nie zgadzać - poprawia Nona, nie dodając swojego „prawda?”

- Też - przytakuje Cassie. - Ale teraz już ani słowa. Zabieram was na strzemiennego. Zgoda?

Za nic nie chce się z nimi rozstać. Ewa wyczuwa, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Ich ciepłe, bliskie trio rozpada się w kawałki. Cassie i Nona, bez Ewy, nie będą już sobie tak bliskie. Zwłasz-

cza po tej zmianie, jaka zaszła w Nonie. Przewidując przyszłość, Ewa przez mgnienie oka widzi Nonę poślubiającą pyzatego Howarda, widzi, jak Nona poprawia mu klapy garnituru i wiedzie do ołtarza.

Obiecuje sobie, że przyjedzie na to wydarzenie. I na przyjęcie. Zaleją się szampanem.

Żadnych żonatych facetów, jeśli nie liczyć Howarda. - To interesy.

- Albo nowe dramaty.

- Żadnych romansów, które wprawiały ją w histerię o trzeciej nad ranem.

- A co z doktorem Rubinem? Nie splajtuję bez niej?

- Będzie mieć inne fizyczne dolegliwości.

- Skoro pani to mówi, pani doktor. Ale myślę, że szczęście...

- Wcale nie jest szczęśliwsza niż przedtem! - wykrzykuje Cassie.

- Nie, masz rację. Ale wyzwoliła się z tej nieszczęsnej huśtawki młodzieńczych nastrojów, a to już coś.

Siedzą tyłem do sali, przy małym okrągłym stoliku, pod którym wiecznie obijają się nawzajem kolanami.

Obserwowały Nonę, gdy szła do toalety - widziały, jak pożądliwie patrzyli na nią mężczyźni - a teraz obserwują jej powrót. Noc im ucieka. Cassie i Ewa siedzą coraz sztywniej, coraz bardziej drewniane. Cassie myśli, że teraz będą je łączyć jedynie wspomnienia. Jest niemal pewna, że Nona nigdy już nie wpadnie do niej zniecka, nie posiedzi, nie poplotkuje z Mandy w czasie ferii wiosennych, nie da się pocieszać ani prowadzić za rękę. I wcale nie pojedą do Ewy do Nowego Meksyku.

- Wiesz, to głupie. Nasza Śpiąca Królowa zbudziła się i chce pomścić swoją krzywdę, a my się zachowujemy, jakby to miał być koniec.

- Gruba przesada!

Wysoki, ciemny i wprost nieprawdopodobnie przystojny mężczyzna obraca się na bambusowym stolku od baru i zatrzymuje Nonę, chwytając ją za ramię. Z daleka jego palce na białym rękawie bluzki wyglądają jak odnóża pająka. Za chwilę pająk podpełźnie jej do gardła i ugryzie ją tuż nad dekoltem.

- Kto to? - pyta Ewa.

- Nie martw się. Naszą nową Nonę obcy już nie obchodzą.
- A któż by się tam martwił? Ostatnio jestem straszną egocentryczką, poza tym nie mam czasu na zmartwienia. Muszę się mocno skupić. Nona podchodzi do stolika chłodna i nieporuszona. Mężczyzna przy barze obraca się na stolku tak, że teraz patrzy w ich stronę.
- Twój wielbiciel...? - pyta Cassie.
- Zwykły podryw.
- Lepszy niż zazwyczaj - zauważa Ewa.
- Nie zachęcaj jej. - Cassie przeczesuje włosy dłonią, zaniepokojona, że Nona gotowa jest pójść z kolejnym mężczyzną, o którym nie wie nic, i mimo całej przemiany narazi się znów na nieobliczalne ryzyko.
- Czy ty się kiedyś wreszcie przestaniesz wszystkim zamartwiać? - rzuca Nona ostro. - Zrobiłaś z tego prawdziwą sztukę. Martwisz się o mnie, o Ewę, o Mandy. I o ciężarną żonę Donga.
- Cassie jest urażona. Nie pamięta, żeby Nona kiedykolwiek ją skrytykowała. Musi się bronić.
- Nie martwię się o Trący. W każdym razie nie tak znów bardzo... Podejrzewam tylko, że to małżeństwo nie potrwa zbyt długo. - I zanim któraś z kobiet zarzuci jej zawiść, dodaje: - Doug tak samo nie dojrzał jeszcze do związku z Trący, jak nie był przygotowany do małżeństwa ze mną. Teraz, kiedy ona jest w ciąży, a zwłaszcza potem, gdy urodzi się dziecko, znienawidzi każdą chwilę życia rodzinnego. Nigdy nie był mężczyzną, który wiesza obrazki na ścianach czy wyrzuca śmieci. I na litość boską, niech nikt mu nie kupuje bamboszy pod choinkę! - W ogóle nic mu nie zamierzam kupować - mówi Ewa i półgębkiem zwraca się do Nony: - Twój ostatni podbój świdruje cię na wylot tymi zabójczymi oczami. Czy to czasem nie jakiś aktor? Ma ten ognisty wygląd człowieka szklanego ekranu. Mam wrażenie, że wyżera sobie drogę do twojego salonu.
- Skoro tak cię interesuje, idź i zapytaj go - mówi Nona, wbijając jej szpilę, bo przecież wie, jak bardzo Ewa trzyma się Johnny'ego. Złapała mężczyznę i stała się ostrożna; nie pozwala sobie nawet na najmniejsze spojrzenie w kierunku innego face-

ta. Nona z niechęcią myśli o takiej lojalności i choć udaje, że jest inaczej, po cichu cieszy się z wyjazdu Ewy; nie będą miały ze sobą nic wspólnego. Ta przyjaźń zrobiła się nieznośna. W ogóle, jak to się stało, że kiedyś tak podziwiała Ewę? A miłość? O tym nie będzie już myśleć. Niech sobie Howard bajdurzy o miłości.

Mężczyzna przy barku unosi pytająco brwi. Wypije z nim drinka? O to ją pytał po drodze. A potem może wybiorą się gdzieś razem, pojedą gdzieś, do niej albo do niego? Nona zna to na pamięć, może odegrać ten spektakl za niego.

Mężczyzna unosi szklaneczkę.

Nona trzepocze rzęsami. Zakłada nogę na nogę - spódnica podjeżdża jej w górę. Jej ręka omdlewającym ruchem sunie w dół uda.

Cassie i Ewa pochylają głowy nad niewidzialnymi ulicami na obrusie: tu są Main i School Street, a tu Devil Creek Road. Nie widzą, jak usta Nony układają się w bezgłośnie słowo: „Później”.

Czy to, że pójdzie z tym mężczyzną, że będą się przytulać, dotykać, spać razem, ma jakiegokolwiek znaczenie? Dlaczego miałyby z nim iść?

- Albo dlaczego nie? - głośno zadaje pytanie.

Cassie podnosi głowę; Ewa też patrzy na Nonę. Któraś z nich pyta:

— Co dlaczego nie?